PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY DRUGI. — TOM LXXXV.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1905.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1905

JASEŁKA.

AKT DRUGI: HERÓD

Sala tronowa w pałacu Heroda, kapiąca od złota i drogich kamieni. W głębi, na środku ściany, tron pozłocisty na podwyższeniu pod purpurowym baldachimem, który spływa w bogatych fałdach aż ku ziemi. Po obu stronach tronu dwie ogromne arkady przysłonięte drogocennemi oponami.

Opona z prawej rozsuwa się powoli wśród potężnego dźwięku surm wygrywających fantary. Wchodzą trębacze z herbowemi płachtami u trąb; za nimi oddział STRAŻY PRZYBOCZNEJ, PAZIOWIE, DWORZANIE, pomiędzy którymi HETMAN z mieczem państwa, KANCLERZ ze zwojem pergaminów, PODSKARBI i MARSZAŁEK; ci na poduszkach niosą złote jabłko i berło. Za nimi HERÓD w skarłatnym płaszczu, podbitym gronostajami i w koronie. Paziowie niosą za nim końce płaszcza. Orszak zamyka drugi oddział straży przybocznej. HERÓD zasiada na tronie. Dostojnicy ustawiają się po obu stronach na stopniach, dworzanie, paziowie i gwardya półkolem. Trąby milkną.

HERÓD (stojąc)

Otom jest pan nad światem
I mocarz nad mocarze!
Przed moim majestatem
Wszystko pada na twarze.
Miecza mego brzeszczotem
Podbiłem cudze ziemie;
Krwią, żelazem i złotem

Uciskam ludzkie plemię;
Królów brałem w niewolę,
Obalałem ich trony,
Kładłem sobie na czole
Zdarte z ich głów korony.
Tysiąc wsi, tysiąc grodów
Obróciłem w perzynę;
Sto podbitych narodów
Blednie, kiedy ja skinę.
Mój ukaz światem włada
I rządzę berłem krwawem,
Zwyciężonemu biada,
Bo siła jest przed prawem!
— Przed blaskiem mej korony,
Miast czołem bić w pokorze
Zgnębion i uciśniony,
Targa ten lud obrożę.
Bunt w dumnem sercu niesie
I powoływać śmie się
Na jakieś prawa Boże,
Na ludzkie jakieś prawa:
Ja Boga się nie boję,
Z Nim najłatwiejsza sprawa;
I ludzi się nie wstydzę,
Bo znam potęgę moję
A z klątw i krzyków szydzę,
Na płacz, na jęki głuchy.
Ciała wziąłem w niewolę,
Ręce skułem w łańcuchy,
Spętam serca i duchy,
Spokój i ład wprowadzę
W całym państwa obszarze;
Ja król — tak chcę! tak każę!

(siada)

Słuchajcie dygnitarze
I wy moi dworzanie

I rycerze nadworni:
Kanclerz przed Nami stanie
I zda nam z tego sprawę,
Co działają oporni.

KANCLERZ
(występuje i składa trzy nizkie ukłony)

Samodzierżawny Panie!
Nakłoń ucho łaskawe
Ku pokornemu słudze.
Przebacz, jeśli gniew budzę;
Ale nie z mojej winy
Zwiastuję złe nowiny.
Ten naród buntowniczy
Trwa w milczącym uporze,
Na siły własne liczy,
Na miłosierdzie Boże;
Żyje w ojców swych wierze,
Mówi swoim językiem,
Zwyczajów dawnych strzeże.
Tam każdy — buntownikiem:
Małe dziecko w kolebce
Ssie bunt z matczynem mlekiem.
Buntem są te pacierze,
Które matka mu szepce;
Bunt zieje z ich oddechu,
Bunt z oczu im wyziera,
I z każdego uśmiechu:
W buncie żyje lud cały,
Z buntem w sercu umiera.
Gdyby odkopać kości,
Co już w grobie zbutwiały,
Toby jeszcze zadrżały
Do ojczyzny, wolności!

HERÓD

Ukaz wydaj surowy,
Że w szkole ni urzędzie

Już im nie wolno będzie
Użyć ojczystej mowy.
Ich dziatwę buntowniczą
W szkołach nauczyciele
W naszej mowie niech ćwiczą:
Opór przed tą nauką
Niechaj karzą na ciele,
Niech katują, niech tłuką!
— Naszą mową w kościele
Zaś — niech prawią kazania;
Jeśli kapłan się wzbrania
To go zbiry zabiorą
I gnać go na powrozie
W one straszliwe kraje
Kędy woda nie taje,
Gdzie rąbać trza siekierą
Chleb zmarznięty na mrozie.
— Lud z wiary siłę bierze
Więc go zachwiać w tej wierze,
Zmusić do naszej wiary:
Każ zamykać świątynie,
Znoś modlitwy, ofiary,
Aż i duch buntu zginie.
A gdyby lud zuchwały
Bronił swego Kościoła —
Poślę mego hetmana
I wojska huf niemały.
Wraz otoczyć dokoła
Tłuszczę, co tam zebrana,
Nie czekać aż najświętsza
Ofiara się odprawi:
Zbrojno runąć do wnętrza
Niech się kościół okrwawi,
Niech się zbroczą ołtarze —
Ja król, tak chcę i każę!

KANCLERZ

Rzekłeś, wszechwładny Panie,
Wedle Twych słów się stanie!
(z trzema głębokimi ukłonami wraca się na miejsce).

W. PODSKARBI
(występuje przed tron i składa potrójne ukłony)

Władco rządzący światem,
Racz przyjąć moją radę,
Przed Twoim Majestatem
U tronu stóp ją kładę;
Nie gardź słowami memi. —
Jeżeli chcesz to plemię
Zgładzić z powierzchni ziemi
Wyrwij im ojców ziemię!
Cóż lud bez ziemi znaczy?
Gdy ziemię król wykupi
Cały naród tułaczy
Wieść musi żywot trupi:
Będą jako w jesieni
Liście strącone z drzewa;
Wiatr je — gdzie chce — rozwiewa
Aż je w nicość zamieni.
— Monarcho złotych tronów
Każ dać krocie milionów,
Ich ziemię piędź po piędzi
Osadzaj naszym ludem;
Ten ich z ziemi wypędzi.
Już kraju z naszych szponów
Nie wyrwą żadnym cudem.

HERÓD

Masz przyzwolenie nasze
Sługo wiernie oddany:
Toć są wśród nich Judasze,
Którzy w złote kajdany

Oddadzą sami pono
Ziemię-matkę rodzoną.

MARSZAŁEK (przed tronem)

I mnie posłuchaj, królu:
Za co na nich te kary?
Za co krzywdy bez miary?!
Oni we łzach i bólu
Bronią jeno wytrwale
Swej ojczyzny i wiary.
— Czy masz serce z kamienia?
Upamiętaj się w szale,
Radź się swego sumienia...

HERÓD

Co?! Tak mówi Marszałek?!
Precz z nim — niech mnie nie drażni...
Z godności swej wyzuty
Niechaj gnije ten śmiałek
Na dnie najgorszej kaźni.
Brać mi go stąd! Pod knuty!

(Straż chwyta i wyprowadza Marszałka)

CHÓR
(daleki za sceną)

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi:
Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi:
Czemprędzej się wybierajcie
Do Betleem pośpieszajcie
Przywitać Pana.

HERÓD (zaniepokojony)

A co to za śpiewanie?
Czy słyszycie? Słyszycie?
Dostojnicy, panowie,
Rycerze i dworzanie,
Strach mnie ogarnia skrycie,
Mącą się myśli w głowie...
Po kościach idzie mrowie...
Czuję, że coś się stanie!

(Arcykapłan w dwurogiej mitrze z »tablicą pokoleń« na piersiach, w szacie długiej, obwieszonej srebrnymi dzwoneczkami, wchodzi głębią przez prawą arkadę. Gdy staje na progu sali tronowej, widać poza nim w głębi krużganku otwarte okno, przez które pada mocny blask ogromnej gwiazdy z promiennym warkoczem)

ARCYKAPŁAN

(staje przed tronem i mówi w takt pieśni chóru, który za sceną śpiewa dalsze strofy kolendy)

Oto nad światem wielka nowina,
Panna Przeczysta zrodziła Syna,
Powiła Go w Betleemie,
Króla królów, Pana ziemie
Boga na niebie.

On tron Dawidów, Syon posiędzie,
Królestwu Jego końca nie będzie;
Uciśnionych On ochłodzi,
Niewolników oswobodzi,
Nędznych posili.

Anieli śpiewem budzą pasterzy,
Trzech Królów przed Nim czołem uderzy;
Już ze wszech stron ciągną rzesze,
Kędy na stajennej strzesze
Gwiazda goreje.

Mnie Pan zdjął z oczu wszelką zasłonę:
Czasy Twych rządów są policzone
Za twe gwałty i uciski
Sądu Boga jesteś blizki
Srogi mocarzu!

(Heród osłupiały z trwogi i gniewu zrywa się na tronie, ale słowa przemówić nie może. Arcykapłan wychodzi)

(milczenie)

HERÓD (po chwili)

Czy ja dzisiaj szaleję?
Czy starzec ten oszalał?...
W serce mi lęku nalał
I wam zmieszał rozumy.
Co to jest? Co się dzieje?

(do straży)

Rzucić się na te tłumy,
Zgarnąć motłoch próżniaczy
I tutaj mi pod strażą
Wegnać przed tron mój złoty.

CHÓR
(za sceną blizko)

Jezus malusienki
Z niewinnej Panienki
Dziś się rodzi o północy wśród zimnej stajenki. *(bis)*

O Najwyższy Panie,
Waleczny Hetmanie,
Wieczny Królu nieba, ziemi, leżący na sianie. *(bis)*

(z chórem kolendy miesza się odgłos bębnów i krzyki trąb).

DWORZANIE

Słychać bębnów łoskoty...
Trąby z pieśnią się ważą...

(Pędzeni przez straż, płazowani mieczami i bici nahajami, wpadają tłumem kolendnicy: mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci w strojach z różnych okolic. Końca tego tłumu nie widać; zalega on krużganek poza arkadą na prawo od tronu. W blasku gwiazdy Bożego narodzenia widać tam głowę przy głowie. Gdzieniegdzie połyskują kopie i miecze straży. Ci, których wegnano do sali, stanęli w popłochu przed tronem, na przedzie Bartos).

HERÓD

Wy zbuntowane chamy,
Wy nikczemne pastuchy,
U zamku mego bramy
Śmiecie wszczynać rozruchy?!
Śmiecie śpiewać w tej mowie,
Co srogo zakazana?!
— Cuda, widzenia duchy
Wylęgły wam się w głowie!
Szukacie sobie Pana,
Myśląc, że tron mój kruchy
I korona zachwiana.
Wasz Król, to Dziecię Boże

Co gdzieś między bydlęty
Zrodzon w nędznej oborze,
Na głód w żłobie i nędzę!
— Ha, ja wam one męty
Z tępych mózgów wypędzę,
Złamię i upokorzę
Ślepy upór prostaczy;
Wyplenię zabobony.
Gdy krzyknę na siepaczy,
Miecz spuszczę podniesiony
Uznacie mnie za Pana.
Tu, niewolników syny!
Ja król, ja bóg jedyny,
Przedemną na kolana...

BARTOS

Dzisiaj w Betleem.

CHÓR

Dzisiaj w Betleem.

BARTOS

Wesoła nowina.

Bo Panna czysta

CHÓR

Bo Panna czysta.

BARTOS

Porodziła Syna.

CHÓR

Chrystus się rodzi,
Swiat oswobodzi,
Anieli grają,
Króle witają,
Pasterze śpiewają,
Bydlęta klękają,
Cuda, cuda ogłaszają.

BARTOS

Chociaż w stajence.

CHÓR

Chociaż w stajence.

BARTOS

Panna Syna rodzi.

Przecież On wkrótce.

CHÓR

Przecież On wkrótce.

BARTOS

Ludzi oswobodzi.

CHÓR

Chrystus się rodzi i t. d.

BARTOS

My też idziemy.

CHÓR

My też idziemy.

BARTOS

Powitać Jezusa.

Króla nad królmi.

CHÓR

Króla nad królmi.

BARTOS

Uwielbić Chrystusa.

CHÓR

Chrystus się rodzi i t. d.

(Heród, uszom własnym niedowierzając, słuchał jakby otrętwiały z gniewu i zdumienia: Podczas drugiej strofy zrywa się na tronie z zaciśniętemi pięściami, rój dworzan otacza natychmiast króla, który miecz wyrywa z pochwy i daje nim znak Wielkiemu hetmanowi. Na skinienie hetmana dobosze uderzają w bębny między drugą a trzecią strofą. Podczas trzeciej straż obsadza wszystkie wyjścia, dobywa mieczów i ustawia się w szyk bojowy. Dworzanie obstąpili tron).

HERÓD

(rozpalony złością do hetmana)

Hej wielki hetmanie

Wojsko na nich prowadź!

Każ siec, bić, mordować,
Niech nikt nie zostanie.

(Na skinienia hetmana, trębacze uderzają w trąby pobudkę, która brzmi jak pierwsze dwa wiersze kolendy: Przybieżeli do Betlejem pasterze... Zasłona na prawo od tronu rozsuwa się: nowy hufiec wojsk Herodowych, sprawiony do boju, staje pod arkadą. Hetman z podniesionym mieczem, wskazuje tłum kolendników. Wojsko rzuca się na bezbronnych. W tej chwili między nacierającem wojskiem, a pasterzami zjawia się chór Aniołów, z błyszczącymi na piersiach pancerzami, pod złocistą kapą zarzuconą na ramiona. Na głowach szyszaki złote, w rękach płomienne miecze. Aniołowie rozpostartemi skrzydłami zasłaniają kolendników i na pobudkę trębaczy odpowiadają dalszym ciągiem kolendy)

CHÓR WOJSKA ANIELSKIEGO

Chwała na wysokości!
Chwała na wysokości
A pokój na ziemi!

(Hufiec żołnierzy Herodowych przerażony, cofa się. Na skinienie hetmana trąby grają tę samą pobudkę)

CHÓR WOJSKA ANIELSKIEGO

Chwała na wysokości i t. d.

(Wojsko Heroda w popłochu pada na ziemię. Hetman zbiega ze stopni tronu sam staje na czele. Pobudka trąb, nowe natarcie)

CHÓR WOJSKA ANIELSKIEGO
(pędząc przed sobą pierzchające wojska i dworzan Herodowych)

Chwała na wysokości i t. d.

(Cały dwór Heroda i jego straż rozpędzona uciekają przez arkadę po prawej stronie tronu. Pod baldachinem zostaje sam Heród, blady z trwogi. Paziowie rzuciwszy pochodnie, pierzchli. Scenę oświetla łuna bijąca od Aniołów i blask betlejemskiej gwiazdy, padający z krużganka z lewej strony tronu)

(CHÓR KOLENDNIKÓW pod osłoną skrzydeł anielskich wychodzi, śpiewając. Pieśń oddala się, słabnie, w końcu cichnie. Heród przejęty trwogą, został sam na tronie w pustej, ciemnej sali. Goły miecz leży na jego kolanach. Otula się w płaszcz królewski i siedzi długo bez ruchu).

HERÓD

Strach!... Ci złoci a biali
Z rozpostartemi skrzydły,
Jak oni zasłaniall
Bunt tej tłuszczy obrzydłej!

Strach!... Świat się cały wali
I niebo całe płonie
W tej komety ogonie
Nad Dzieciątkiem w kolebce...
Strach!... W pustej, ciemnej sali
Wszyscy mnie odbieżali
Podli tchórze, pochlebce...
Sam zostałem na tronie...

(Nagle prostuje się na tronie i odwraca poza siebie, jakby głos jaki słyszał).

Kto tu? Słyszę, ktoś szepce
W baldachinu oponie
Kto tu?!... Sam się obronię!

(podnosi miecz).

(Za oparciem tronu ukazuje się ciemna rogata głowa SZATANA, z błyszczącemi ślepiami. Z boków sterczą rozpięte, ogromne skrzydła nietoperze).

SZATAN

(wychylając się ku siedzącemu Herodowi, szeptem).

Nie lękaj się mnie panie
Jam anioł twego tronu,
Mem królestwem otchłanie...
Zawżdy przy tobie stoję,
Znam wszystkie myśli twoje,
Znam wszystkie twe zamiary.

HERÓD

Ratuj moją koronę,
Radź! W którą spojrzę stronę,
Wszędy klęski bez miary
Przeciwko mnie zwrócone.

SZATAN (szeptem)

Krwi trzeba i ofiary!

HERÓD

Ratuj! Ja ci ołtarze
W całem państwie postawię,
Krwią ofiar je zakrwawię,
Czcić mym ludom cię każę.

Na cześć twoją kadzidła
Wonnymi dymy wioną,
Ale mnie weź pod skrzydła
I bądź moją obroną.

SZATAN (półszeptem)

Komu skronie koroną
Szczęsny los przyozdobi,
Wszystko mu dozwolono,
Co dla korony robi.
Celem jest powodzenie!
Cnota mija bezpłodnie,
Wolę wiąże sumienie,
Król niech działa swobodnie.
Grzech króla nie jest grzechem,
Zbrodniami nie są zbrodnie.
Czyn zrodzon z nienawiści
Rozbrzmiewa sławy echem,
Jeśli daje korzyści!
Korony blask złocisty,
Z wszelkich go zmaz oczyści:
Kto potężny, ten czysty!

HERÓD

Nie działałem inaczej
Przez całe panowanie,
Czemuż dziś schnę w rozpaczy?
Mój tron czemu się chwieje?
Ratuj mnie, broń, szatanie!
Sam, nie wiem, co się dzieje,
I co to wszystko znaczy:
Niebo łuną goreje,
W komety świetle srogiem;
Burzy się lud prostaczy,
Wnet na mnie wręcz uderzy;
O Królu, co jest Bogiem,
Zrodzon między bydlęty

I otoczon barłogiem,
Po świecie baśń się szerzy.
A ten cud niepojęty:
Wojska duchów-rycerzy.
Ten nad pospólstwem mnogiem,
Wiech ich skrzydeł rozpięty,
Te widzenia! Te mary...

SZATAN

Dziecię, co jest twym wrogiem,
Wrogiem także jest moim,
To nieprzyjaciel stary.
My dwaj się nań uzbroim
I złączym siły nasze:
Ja strutymi opary,
Promienną gwiazdę zgaszę,
Która Dziecięciu świeci.
Ty czyń krwawe ofiary,
Wymorduj wszystkie dzieci... (znika)

(Heród po chwili zadumy zrywa się i mieczem uderza w jednę z tarcz herbowych u baldachinu. Na brzęk tarczy wbiegają PAZIOWIE z pochodniami za nimi W. HETMAN i ROTY przyboczne).

HERÓD

Wy tronu mego stróże,
Co nikczemnie pierzchacie,
Wy nędznicy, wy tchórze!...
Wyrwijcie z pochew miecze
I w pałacu czy w chacie
Niech krew dziatek pociecze;
Co nowonarodzone
Do nogi dziś wyginie,
Śmierć, śmierć każdej dziecinie.
Przysięgam na koronę!
Mordować bez wyjątku,
Nikomu nie przebaczę,
Ni własnemu dzieciątku...
Czy słyszycie siepacze?

I dla mojego syna,
Wybiła już godzina,
Choć serce we mnie płacze...

(Hetman wychodzi na czele roty przybocznej).

(Zaraz potem wchodzi KRÓLOWA w szkarłatnym płaszczu i koronie, za nią ORSZAK PAŃ DWORSKICH).

KRÓLOWA

Panie u moich podwoi,
Twoich żołdaków gromada
Mieczami jasnymi stoi,
I mnie, mnie, matce powiada,
Że chcesz syna swego zgonu.

HERÓD

Pani, bronię mego tronu.
Dziecię nowonarodzone,
Nie wiem, syn mój czy poddany,
Ma zostać panem nad pany,
Poniżyć moją koronę.
Niechaj żywym ogniem spłonę,
Nim dopuszczę tej niesławy!
Dałem rozkaz rzezi krwawej!...

KRÓLOWA

(pada na kolana przed tronem).

Wejrzyj na łzy moje słone,
Zebrze łaski twojej panie!
To twoje dziecko rodzone,
Dziedzic twój na majestacie!...

HERÓD

Precz! Com kazał to się stanie.

(Królowa zrywa się i wyciąga groźnie rękę).

KRÓLOWA

Zgiń, dziatek niewinnych kacie!
Przepadnij, krwawy tyranie!

(Słania się na ręce pań dworskich, które ją wyprowadzają ze sali).

(W arkadzie po prawej stronie tronu staje tłum kobiet, które straż stara się powstrzymać halabardami. Chór ten matek betleemskich jękiem i krzy-

kami zawodzi, wyciągając ku sali tronowej pięści. Wśród ogólnego lamentu słychać wykrzyki urywane)

I. MATKA

Puśćcie mnie! Puśćcie! Do oczu mu stanę...
Krew dziecka rzucę mu w twarz!

II. MATKA

Zbójco! Na dziatki patrz pomordowane,
Na rozpacz, na lament nasz!

III. MATKA

Herodzie, niech cię piorun Boży spali!

IV. MATKA

Niech żywcem stoczy cię trąd!

V. MATKA

Krew naszych dzieci waży Bóg na szali!
I woła cię na swój sąd!

HERÓD
(z tronu do straży).

Hej stróże, zamknąć podwoje tej sali,
Wiedźmy te wygnać stąd!

(Straże wypierają w głąb krużganków tłum betleemskich matek i zatrzaskują za sobą drzwi; górą przez półkole arkady pada blask betlejemskiej gwiazdy).

(Heród sam na tronie siedzi wzburzony. Zasłona po lewej stronie tronu rozsuwa się powoli, w głębi widać wnętrze sali obite kirem; na katafalku zasłanym czarnemi aksamitami i zdobnym w srebrne lamowania, wśród gorejących świateł stoi trumienka czarna i srebrna, Herodowego synka. Niewidzialny chór za sceną intonuje *Dies Irae*. Organy. Heród zstępuje z tronu i wlokąc za sobą swój szkarłatny płaszcz królewski, powoli zmierza ku pogrzebowej sali. W progu zachodzi mu drogę śmierć z kosą w kościotrupiej ręce).

ŚMIERĆ
(syczącym, piskliwym szeptem).

Dokąd? dokąd, spętańcze?
Nie wnijdziesz w te progi!
Do mnie, ja z tobą zatańczę,
Okropniku srogi!

HERÓD
(zamierza się mieczem).

Ktobądź jesteś, z drogi! Z drogi!
Przeraźliwa maro!

(miecz, trącony kosą śmierci, wypada mu z dłoni, ręka obwisa bezwładnie)

ŚMIERĆ

Ha, do tańca drżą ci nogi,
Pójdźmy pląsać parą!
(wyciąga ku niemu ramiona).

HERÓD
(kłania się i pada na kolana przed śmiercią).

Pani, żebrzę twej litości,
Dam ci me szkarłaty,
Okryj niemi nagie kości,
Wstąp na majestaty.

(Odpina płaszcz królewski spięty pod szyją i ściele go do stóp śmierci).

Pani, z rąk mych weź koronę,
A ja przy twym tronie
Zniżę czoło pochylone,
W pokornym pokłonie.

(Zdjętą z głowy koronę, drżącemi rękoma podaje śmierci).

ŚMIERĆ

Ja się nigdy nie wstydzę,
Choć szkielet mój nagi,
Z tronów i bereł szydzę
I z królewskiej powagi.
Korona u mnie tania,
Tak, jak czapka barania.
Ja w śmiertelną koszulę
Stroję chłopy i króle,
W zimne moje uściski,
Biorę dziecko z kołyski,
Ululam je, utulę.
Ja i panny młode
Od ołtarza wiodę
W zimne grobu łoże

A ciebie oszczędzę,
Morderco, potworze?

HERÓD
(wijąc się na klęczkach).

Wejrzyj na mą nędzę!
Cóż z państwem się stanie?!
Miej pomiłowanie!
Majestat mocarza
U stóp twych się tarza
W pokorze i skrusze!...

ŚMIERĆ

Słońce, miesiąc z gwiazdami
Pod mojemi stopami,
W obrotów zawierusze,
I w złotych skier kurzawie.
Wirują aż je skruszę,
Z mocarza czy nędzarza,
Wywlekam drżącą duszę
I przed sąd Boga stawię!

(Śmiga kosą po szyi Heroda, który pada na ziemię z okropnym wrzaskiem. Śmierć znika).

(Z fałdów baldachinu wychyla się szatan w całej postawie i biegnie ku zwłokom Heroda, miotanym drgawkami śmiertelnemi).

SZATAN

I o cóż tyle wrzasku?
Chy! Chy! Ryba po piasku
Nadaremnie się miota!
Ale ją uspokoję.
(Chwyta drgającego trupa).
Mnieś służył za żywota,
Sam lazłeś w moją sieć,
Chy! Chy! biorę, co moje
Na łeb: w zatratę leć!

(Posadzka sali tronowej pęka, z czeluści wybuchają płomienie; wśród bicia gromów i błyskawic szatan zapada się z Herodem).

(Kurtyna).

Lucyan Rydel.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

PRAWA SŁUGI.

Pokojowa reforma społeczna składa się z całego szeregu reform w dziedzinie tak rozległej, jaką obejmuje całe życie ludzkie w różnokształtnych swych objawach. Pokojowa i chrześcijańskim duchem ożywiona reforma społeczna obejmuje więc nie tylko tych, którzy są dość silni i uświadomieni, by dostrzegając własne krzywdy, o ich usunięcie się upomnieć, ale pamiętać winna przedewszystkiem o tych słabszych, którym nie z racyi ich siły i upominania się, ale z tytułu przykazania Bożego należy się pomoc i opieka.

Położenie służby, nie faktyczne na szczęście, ale w każdym razie prawne, jest właśnie tego rodzaju, że wymaga gwałtownie reformy. Regulaminy służbowe w tej mierze obowiązujące dają słudze niedostateczną opiekę; sługa pozbawiony jest przytem równouprawnienia i wydany na łaskę dobroci lub samowoli służbodawcy. Takie niesprawiedliwe stosunki ustać powinny co rychlej w społeczeństwie chrześcijańskiem. W naszej Galicyi obowiązuje regulamin dla służby zgodny w ogólnych zarysach z regulaminami panującymi w innych krajach koronnych monarchii, niemniej przeto niesłuszny i niesprawiedliwy.

Umowa o służbę jest wedle ustawy kontraktem najmu usług,

który w zasadzie winien być zawarty przez osoby zupełnie wolne i w decyzyi swej nieskrępowane. Jeżeli ta teorya nie sprawdza się odnośnie do umów o najem usług z lekarzem, adwokatem, malarzem, nakładcą i t. d., bo we wszystkich tego rodzaju umowach zawsze jedna lub druga strona będzie miała ekonomiczną przewagę i z niej przy zawarciu umowy skorzysta, to jednak zachodzą tu pewne względy, wynikające z położenia socyalnego drugiej strony kontraktującej i uniemożliwiające bezwzględny wyzysk. Cenę usługi reguluje zresztą przy usługach wymagających fachowej znajomości rzeczy, oprócz stosunku popytu do podaży, jeszcze rzadkość usług i szczególne kwalifikacye osoby, która usługi danej się podejmuje. Inna rzecz przy usługach pośledniejszego rodzaju, do których wypełnienia więcej jest osób uzdolnionych, i co do których powyższe względy nie zachodzą. Jednostronna przewaga służbodawcy objawia się tu nie tylko w kwestyi wysokości płacy, ale także w kwestyi trwania stosunku służbowego, terminu wypowiedzenia, prawa opuszczenia służby przed czasem w pewnych wypadkach i opieki nad sługą na wypadek choroby.

Cenę pracy regulują stosunki ekonomiczne. Regulator to częstokroć niesprawiedliwy, jednak w ustroju dzisiejszym w braku ustanowienia taryfy minimalnej nieodzowny.

Natomiast prawa dla wszystkich na równi obowiązujące, nie ulegające zmianie wraz ze zwiększonym popytem i polepszeniem stosunków ekonomicznych, właśnie dla tego nie powinny być niesprawiedliwe i nie powinny sankcyonować powagą swoją bezprawia, ale raczej winny, skoro równorzędność stosunku między służbodawcą a sługą jest już z natury rzeczy położeniem ekonomicznem obu na korzyść służbodawcy wykrzywiona, różnicę tę na rzecz strony pokrzywdzonej poprawiać i wyrównywać. Niestety nie czyni tego ani nasz regulamin służbowy, ani regulaminy innych krajów koronnych.

Wedle ustawy sługa, który zgodził się do służby, ma obowiązek do niej wstąpić. Jeżeli zaś do niej wstąpić nie może, należy sługę ukarać i nawet użyciem środków przymusowych zniewolić do wstąpienia do służby. W razie

natomiast, gdy służbodawca przyjętego poprzednio sługę do służby przyjąć się wzbrania, ma obowiązek jedynie wynagrodzić powstałą stąd szkodę i to nawet niezupełnie; jeżeli bowiem z powodu zmiany stosunków osobistych lub gospodarczych przyjąć sługi zgodzonego nie może, traci jedynie zadatek i nadto winien mu uiścić zasługę za miesiąc (dlaczego nie za 6 tygodni tj. za okres wypowiedzenia?) jeżeli służba trwać miała rok — w każdym innym razie za 14 dni. Dlaczego sługa traci w tym wypadku zwrot wydatków na wyżywienie, pomieszkanie a wedle okoliczności i odzież, to jest zupełnie niezrozumiałe.

Ponadto różnica w traktowaniu stron obu jest tu widoczna. Użycie środków przymusowych celem odstawienia sługi do służbodawcy, to przecież ograniczenie wolności osobistej i jako takie jest zbrodnią bez względu na to, czy osoba prywatna czy też władza bez nakazu sądowego czynu takiego się dopuszcza. Ustawa zasadnicza o wolności osobistej poręcza wszystkim obywatelom bez różnicy stanu, że gdyby urzędnik wolność czyją w sposób ustawą zabroniony ograniczył, popełnia w braku złego zamiaru przekroczenie a przy złym zamiarze nawet zbrodnię nadużycia władzy urzędowej. Zbrodnię gwałtu publicznego przez ograniczenie wolności osobistej popełnia »każdy, kto człowieka, nad którym mu z mocy prawa żadna nie przysługuje władza i którego ani za zbrodniarza uważać ani też za człowieka szkodliwego i niebezpiecznego uznać niema przyczyny, samowładnie trzyma w zamknięciu lub onemuż jakimbądź sposobem w używaniu wolności osobistej przeszkody czyni, lub gdy kto z przyczyny zdającej się być uzasadnioną człowieka zatrzymał, lecz o tem właściwej zwierzchności donieść zaniedbuje«. Że sługa wzbraniający się wstąpić do służby nie jest ani szkodliwym ani niebezpiecznym, tem mniej zbrodniarzem, to chyba jest jasnem. A że władza policyjna nawet w tym wypadku, gdy się jej zdaje, że miała prawo sługę do służbodawcy odstawić w drodze przymusowej, sądowi t. j. jedynej władzy kompetentnej o swoim postępku nigdy nie donosi, to codzienna praktyka stwierdza.

Ale pomijam prawa; sama korzyść służbodawcy, względy oportunistyczne przeciw temu postanowieniu przemawiają najsil-

niej. Przymuszony sługa nigdy dobrym nie będzie, wróci z żalem i naturalną niechęcią do służbodawcy.

Naostatek należy wziąć pod uwagę względy moralności i religii. Jakież przysługuje prawo służbodawcy nad sługą, jaka władza? Jeżeli sługa nie dotrzymał umowy, winien ponosić skutki cywilne jej zerwania, winien wynagrodzić powstałą szkodę — nic słuszniejszego, ale też nic ponadto. W prawie rzymskiem, germańskiem i innych, niepunktualny dłużnik tracił wolność osobistą; i dziś podobno dzieje się tak samo u niektórych ludów Afryki. W krajach cywilizowanych natomiast nieuiszczenie długu pociąga za sobą jedynie skargę i egzekucyę pieniężną. Areszt za długi tam nawet, gdzie się jeszcze utrzymał, nie jest przysporzeniem korzyści wierzycielowi, który owszem na utrzymanie dłużnika w tym wypadku płacić jest obowiązany, ale jest karą za lekkomyślność i bezrząd, a więc za winę wobec społeczeństwa popełnioną i tylko pośrednim sposobem wymuszenia zapłaty na dłużniku lub jego najbliższych. Prawo nowoczesne nie może do tego dopuścić, by niedotrzymanie cywilnego kontraktu pociągnąć miało dla kogokolwiekbądź za sobą następstwa tego rodzaju, jak ograniczenie wolności osobistej.

Jeżeli kto na to powie, że te wywody są ukute przy zielonym stoliku i że wynagrodzenia szkody faktycznie w najczęstszych wypadkach od sługi wydobyć nie można, że przeto w braku przymusowego odstawienia do służby, sługa zrywający kontrakt służbowy nie będzie potrzebował się niczego obawiać, to na to odpowiadam: Tam, gdzie słudze jest istotnie dobrze lub gdzie zapowiada mu się korzystna służba, nigdy chyba nie zerwie zawartej umowy. Takie wypadki obałamucenia sługi należeć będą zawsze do wyjątków, w których wystarczy rygor wynagrodzenia szkody. Mogą się atoli zdarzyć wypadki gromadnego zrywania umów służbowych, jak np. strejki rolne przez niesumienne i złośliwe agitacye czyjeś wywołane. Służbodawca istotnie znajdzie się w przykrem położeniu bez własnej winy w chwili, w której służby najwięcej potrzebował do pracy w polu. Czy jednak choćby w tym wypadku ma być stosowany przymus? Sądzę, że i wówczas absolutnie nie. Samopomoc społeczeństwa odpowiedziała na strejki zdrową reakcyą przez sprowadzenie robotników z innych

krajów, nadto zaś, co również było etycznie pożądane, przez podniesienie cen za robotę w polu, w tych okolicach, w których pracę robotnika rolnego niesłusznie wyzyskiwano. Przymus przy rozbudzonych namiętnościach byłby wywołał jawne nieposłuszeństwo i opór, a co zatem idzie, wkroczenie wojska i stan oblężenia.

W myśl § 17 reg. służbodawcy przysługuje prawo użycia w razie gdy »usilne napomnienie i nagany nie skutkują, s r o ż s z y c h ś r o d k ó w k a r n o ś c i d o m o w e j w s p o s ó b u m i a r k o w a n y i z d r o w i u s ł u ż ą c e g o n i e s z k o d l i w y«. To znaczy po prostu: wolno służbodawcy bić sługę, byle bez widocznych znaków. Ubrane to jest humanitarnym wstępem, wedle którego sługa przez wstąpienie do służby staje się »członkiem domowego koła służbodawcy«. Pomijając, że jest to brzydki germanizm: *Mitglied des häuslichen Kreises,* bo to jest już winą naszych urzędowych tłumaczeń, a powinno być zamiast tego: »staje się domownikiem« — przekonamy się niebawem, że to piękne stanowisko sługi jako domownika, ogranicza się jedynie do praw służbodawcy nad nim z chwilą zaś, gdy sługa np. zachoruje, prawo to nagle się ulatnia.

Jeżeli sługa zachoruje, ma służbodawca, dopóki trwa stosunek służbowy, starać się o jego pielęgnowanie i leczenie; wyłożone zaś koszta mogą być z zasługi potrącone, chyba że choroba sługi nastąpiła z udowodnionej winy służbodawcy. Jeżeli atoli choroba trwa dłużej niż 4 tygodnie, sługa po upływie tego czasu może być ze służby wydalony i jeżeli nie posiada majątku, należy o wypadku choroby zawiadomić przełożonego gminy lub obszaru dworskiego. Ponadto wolno służbodawcy odprawić sługę nawet bez wypowiedzenia i natychmiast, między innymi w tym wypadku, jeżeli sługa z jakiejkolwiek przyczyny jest zupełnie niezdatny do pełnienia służby, do której został przyjęty, jeżeli z własnej winy ściągnie na siebie chorobę zaraźliwą lub obrzydliwą lub jeżeli bez winy służbodawcy dłużej nad 4 tygodnie jest chory. Oto wszystko.

Treść tych postanowień jest jasna. Z góry niezrozumiała jest, dlaczego w tych postanowieniach tak wielką rolę odgrywa wina służbodawcy lub brak winy, pojęcie niesłychanie subtelne i bardzo subjektywnie ocenić się dające. Choroby zaraźliwe ściąga się

na siebie także przez nieostrożność lub brak czystości, niekoniecznie przez wybryk lub niemoralność. Wina służbodawcy istnieć będzie jedynie wówczas, jeżeli sam był nawiedzony chorobą zaraźliwą, i jeżeli sługa pielęgnując go lub w inny sposób od niego się zaraził. Jeżeli natomiast sługa odwiedza chorego brata lub siostrę w szpitalu lub gdziekolwiek i przytem nabawi się tej samej choroby, nie można przecież mówić o winie służbodawcy. Sługa wraca do domu; pokazuje się, że ma gorączkę tyfoidalną a więc chorobę stanowczo zaraźliwą; służbodawca wyrzuca go więc na bruk i to wedle ustawy natychmiast, bez wypowiedzenia, a naturalnie kosztów leczenia płacić nie potrzebuje.

Jeżeli nawet sługa nie zachoruje na chorobę zaraźliwą lub obrzydliwą (jakie nieścisłe określenie, przecież lada wrzodzik może być obrzydliwy dla kogoś!) to wolno mu chorować jedynie 4 tygodnie. Po upływie tego czasu traci bezwarunkowo służbę, a nawet i wtenczas koszta leczenia winien chory sługa z własnych funduszów ponosić a względnie ponosi je wprawdzie służbodawca, ale ma prawo wytrącenia ich słudze z płacy. Inni zależni pracownicy muszą być ubezpieczeni na wypadek choroby, wyjątek stanowi służba dworska i w mieście. Tym ludziom wprost więc nie wolno chorować pod grozą ruiny.

Jeżeli chodzi o tytuł prawny, dla którego służbodawca winien ponosić koszta leczenia sługi, to tytuł ten mieści się w samej odrębnej istocie kontraktu służbowego, absorbującego wszystkie siły żywotne sługi dla celów służby. Skoro sługa za swoją pracę otrzymuje tylko pewne *minimum* wynagrodzenia, t. j. takie, które ze stosunku popytu do podaży wynika i skoro z płacy tej żadna nadwyżka na nieprzewidziane wydatki nie zostaje, to rzecz zupełnie naturalna, że zwiększone koszta w razie choroby sługi ponosić winien nie kto inny, tylko służbodawca. Wszak sługa, wedle § 17 regulaminu, pozwalającego na bicie, był domownikiem służbodawcy; czyżby z chwilą, gdy zachorował, być nim przestał?

Rozumiem, że taki ciężar dla jednostek między służbodawcami może być wedle okoliczności bardzo dotkliwy i wprost przerastać jego siły. Od tego atoli jest ubezpieczenie służby na wypadek choroby, które jak najrychlej w drodze ustawodawczej

wprowadzić należy; póki zaś to nie nastąpi, bez względu na poszczególne wypadki, ustanowić się winno zasadę, że służbodawca winien ponosić z własnych funduszów koszta leczenia i pielęgnowania chorego sługi i t. d. bądź w domu własnym bądź w szpitalu, choćby najmniejszej winy w zachorowaniu sługi nie ponosił i to nawet wówczas, gdy sługa zapadnie na chorobę »zaraźliwą lub obrzydliwą«. Nie rozumiem zgoła, dlaczego tego rodzaju choroby należałoby wyłączyć z ogólnej zasady. Jeżeli sługa na taką chorobę zapadnie, tem jest godniejszy pożałowania; tak jak choroby zaraźliwe są różne, tak nawet te choroby, które prawdopodobnie ustawodawca miał na myśli, t. j. choroby weneryczne, niekoniecznie płyną z rozpusty. Nieostrożne dotknięcie chorego, jedzenie z jednej z nim miski lub picie z jednej szklanki wystarczyć może do zarażenia. Tam, gdzie ciemnota i niemoralność między ludem jest dość jeszcze rozpowszechnioną, jak np. we wschodniej Galicyi, traktować należy te choroby jako objaw społeczny, którego zwalczanie nastąpić chyba winno na innej drodze, niż przez pozostawienie chorego bez opieki i funduszów i wydalenie ze służby. Że religia nasza w żadnym wypadku na porzucanie takie bez pomocy ludzi nieszczęśliwych, choćby winnych, nie pozwala, dodawać zbytecznie. Wreszcie i o tem pamiętać należy, że człowiek chory powinien bezwzględnie uzyskać opiekę od społeczeństwa.

Jeżeli służbodawca oczywistą ponosi winę w chorobie sługi, winien ponieść koszta leczenia jego w całości i to bez względu na jakiś dowolny 4-tygodniowy termin, aż do chwili jego wyzdrowienia. Nawet w razie zaprowadzenia ubezpieczenia na wypadek choroby, winien służbodawca w takich wypadkach zwrócić wyłożone na sługę wydatki kasie chorych w całości. Na wypadek, gdy sługa zachoruje bez winy służbodawcy, ograniczenie odpowiedzialności tegoż za koszta leczenia tylko przez czas względnie krótki, odpowiadający terminowi wypowiedzenia, jest prawnie uzasadnione, połączyć z tem atoli należy taką organizacyę szpitali krajowych, by każdy chory mógł znaleźć w nich umieszczenie, co niestety dziś, wobec przepełnienia w szpitalach i przesadnej oszczędności niektórych kierowników szpitali, pragnących przed

władzami wyższemi pochwalić się nie zdrowotnymi ale finansowymi rezultatami swej gospodarki, — niema jeszcze miejsca.

Termin wypowiedzenia służby przy umowach rocznych na wsi wynosi 6 tygodni, przy innych 14 dni. Może atoli w pewnych okolicznościach nastąpić bezzwłoczne odprawienie sługi i bez wypowiedzenia (§ 28 r.). Tu należą: omówione już wypadki choroby, ponadto wypadk, »jezeli sługa bez pozwolenia służbodawcy obcym noclegu dozwala, albo w inny sposób porządek domowy grubo narusza«. Co do choroby § 28 reg. mówi także o ewentualności: »jeżeli sługa z jakiejkolwiek przyczyny jest zupełnie niezdatnym do pełnienia służby, do której został przyjętym«. Należałoby tu dodać: »prócz wypadku choroby w § 21 omówionego«; w przeciwnym wypadku mógłby służbodawca sługę chorego a przeto oczywiście niezdolnego do pełnienia służby bez wypowiedzenia, wydalić na zasadzie tego postanowienia. Jeżeli służbodawca, co jest zresztą rzeczą zrozumiałą, sługi chorego na chorobę zaraźliwą w domu swoim pielęgnować nie chce, to winien bezwarunkowo ponieść koszta jego leczenia oraz zapłacić mieszkanie i żywność wraz z zasługą przez okres czasu przewidziany ustawą, jeśli sługa ma być istotnie domownikiem służbodawcy nie tylko wówczas, gdy chodzi o jego pracę i trud, ale także wówczas, gdy chodzi o tę opiekę, jaka się domownikowi od głowy domu należy.

Postanowienie o »grubem naruszeniu porządku domowego« jest bardzo ogólnikowe i samowoli służbodawcy szerokie otwiera pole. Może wedle okoliczności i to postanowienie spowodować słusznie rozwiązanie bezzwłoczne stosunku służbowego, ale nie bez kontroli i zatwierdzenia władzy. Pozwolenie przenocowania np. starej matce, która przybyła do miasta, może być niewątpliwie naruszeniem porządku domowego, a nadto sprzeciwiać się zakazowi służbodawcy. Nie idzie zatem, by sługa miała być za to odprawiona bez wypowiedzenia. Ale nie dość na tem: sługa nie tylko w wypadkach § 28 regulaminu traci służbę bez wypowiedzenia, ale nadto ma obowiązek wynagrodzić zrządzoną szkodę służbodawcy. Może to być słuszne w wypadku, «gdy sługa dopuści się kradzieży, oszustwa lub sprzeniewierzenia, jeżeli źle hodował bydło lub z ogniem lub światłem nieostrożnie się obchodził, jeżeli

pieniądze służbodawcy bez jego wiedzy wypożyczał lub towary jego na kredyt sprzedawał«, ale postanowienie to jest wprost nieuzasadnionem, »jeżeli sługa obraził towarzyszów służby lub służbodawcę, oddawał się pijaństwu, nabawił się choroby lub z jakiejbądź przyczyny zostanie aresztowany«. W tych wypadkach jest już dość ukarany utratą służby, a ewentualnie jeszcze chorobą lub aresztowaniem, które wszak także może być niezawinione. By służbodawca mógł w tych wypadkach skarżyć jeszcze sługę o odszkodowanie, wydaje się tem mniej uzasadnionem, że w większej części tych wypadków przyczyna odprawienia zaszła niezależnie od woli sługi.

Ustawa pozwala słudze w pewnych wypadkach na opuszczenie służby bez wypowiedzenia. Wypadki te są następujące: »1) jeżeli sługa bez szkody dla swego zdrowia dłużej służby pełnić nie może; 2) jeżeli służbodawca przekracza granice przysługującej mu karności domowej, a przeto zdrowie lub życie sługi na niebezpieczeństwo jest narażone; 3) jeżeli służbodawca sługę do nieobyczajnych lub prawu przeciwnych czynności namawia, albo namówić usiłuje albo gdy go od podobnych usiłowań nie chroni przeciw domownikom lub osobom uczęszczającym do domu; 4) jeżeli służbodawca zamierza udać się w podróż, mającą trwać dłużej, aniżeli czas służby, lub mieszkanie swe przenosi na miejsce nad sześć mil oddalone i w tych wypadkach sługę przeciw woli jego pragnie zabrać ze sobą«. Atoli i w tych wypadkach z wyjątkiem drugiego nie wolno słudze opuścić służby bez pozwolenia zwierzchności gminnej, względnie przełożeństwa obszaru dworskiego, w Krakowie żaś lub we Lwowie bez pozwolenia dyrekcyi policyi. Jeżeli powyższe postanowienia są same przez się niedostateczne i połowiczne, to ostatnie zastrzeżenie czyni je zupełnie iluzorycznemi. Zgłoszenia do władzy i uzyskanie jej pozwolenia na wystąpienie ze służby bez wypowiedzenia, może mieć zastosowanie jedynie w wypadku 4, tj. w wypadku zamierzonej podróży służbodawcy. We wszystkich innych wypadkach, w których nastąpiło zaostrzenie stosunków między służbodawcą a sługą i to z winy służbodawcy lub domowników, sługa winien mieć prawo opuszczenia służby natychmiast i może być jedynie obo-

wiązanym *ex post* zawiadomić o swym postępku władzę, zwłaszcza, że ani zwierzchność gminna, ani przełożeństwo obszaru dworskiego, zazwyczaj osobiście w utrzymaniu sługi interesowane i będące zarazem stroną i sędzią, ani nawet młody koncepista policyi urzędujący we Lwowie lub Krakowie w sprawach służbowych nie dają tej gwarancyi szerokiego umysłu, niezależności, humanitarności i sprężystości, jakich potrzeba w nagłych wypadkach otoczenia opieką bezbronnego i zagrożonego sługi. Po za tem jednak przytoczone już postanowienia są niedostateczne i połowiczne. W ustępie 3 mowa była tylko o namawianiu sługi do czynów nieobyczajnych przez samego służbodawcę. Pod służbodawcą w myśl § 3 reg., należy rozumieć także jego zastępcę. A jeżeli czyn podobny popełnia małżonek służbodawcy, syn domu »panicz«, ekonom, rządca, fornal, lub parobek? W takim wypadku należy się użalić przed samym służbodawcą i dopiero wtedy odejść wolno, rozumie się za zezwoleniem władzy, jeżeli służbodawca »nie chroni sługi od podobnego usiłowania«. Ale jak tu uchronić nawet przy dobrej woli, jeżeli sługa zostaje z nastającym na jej cnotę pod jednym dachem? Przecież służbodawca nie jest w stanie upilnować każdego kroku obojga! Czyn nieobyczajny lub namowa do nich niestety są w społeczeństwie traktowane zanadto pobłażliwie, a już zgoła, jeżeli chodzi o dziewczynę wiejską. Tam szerzenie niemoralności poczytuje się za sport, choć i pod tym względem stosunki na lepsze się zmieniły. Wśród całego szeregu wypadków, jakie znam z praktyki, przytaczam jeden niedawny, w którym sługa na wsi odeszła bez wypowiedzenia, nie mogąc opędzić się paniczowi, a ponieważ nie dostała zasługi nawet aż do czasu odejścia ze służby, wniosłem dla niej skargę sądową. Ojciec bohatera, który z całym cynizmem w sądzie przyznał, że wiedział o tem, iż syn »zabierał się« do dziewczyny, powołał się jednak na okoliczność, że dziewczyna się przed nim nie skarżyła, więc nie był powołany ją chronić i sprawę wygrał. A dziewczyna za opuszczenie służby straciła zbiór kartofli na paru zagonach, przez nią samą obrobionych, który stanowił całą jej zapłatę za służbę. O skutecznej obronie ze strony służbodawcy mówić można tylko odnośnie do osób uczęszczających do domu, co do innych domowników lub osób zostających

w stałym stosunku służbowym ze służbodawcą należy dążyć do takiej zmiany ustawy, by słudze tak samo wolno było opuścić miejsce bez wypowiedzenia, jeżeli sam służbodawca dopuszcza się owych czynów nieobyczajnych lub do nich namówić usiłuje, jak również, jeżeli to uczyni ktokolwiek z jego domowników.

Nadto jest tylko postulatem sprawiedliwości, by niestety częste wypadki nakłaniania sług przez służbodawców do nierządu dostawały się do wiadomości władzy i były surowo karane. Wedle § 132 u. kar. czyn taki, nawet, jeżeli pozostał w sferze usiłowania, jest wprost zbrodnią, albowiem kwestyi nie ulega, że i sługa oddaną jest pod opiekę i dozór służbodawcy, co zresztą Najwyższy Trybunał Sprawiedliwości w pewnym konkretnym wypadku stwierdził. Władza dowiedziawszy się o wypadku zbrodni, ma obowiązek o niej donieść prokuratoryi państwa (§ 84 post. kar.); niestety to się nie dzieje i dzięki tej dziwnej pobłażliwości bohaterowie stajenni i kuchenni uchodzą za uczciwych ludzi.

W wypadkach pod 2 i 3 słudze należy się zasługa i żywność za resztę czasu służby, w wypadkach pod 1 i 4 tylko do czasu wystąpienia ze służby. To ostatnie postanowienie nie jest uzasadnione, bo jeżeli sługa jest tak chory, że nie może dalej pełnić służby bez szkody dla swego zdrowia, to należy mu się oprócz kosztów leczenia aż do czasu powrotu do zdrowia pełne wynagrodzenie za resztę czasu służby, więc zasługa, żywność i mieszkanie aż do upływu terminu wypowiedzenia, a to z przyczyn zasadniczych już powyżej przy omawianiu kwestyi choroby sług wyłuszczonych. W wypadku zaś zamierzonej przez służbodawcę podróży, wina zerwania stosunku służbowego cięży właściwie na służbodawcy, nie ma więc żadnego powodu, by sługa ponosił skutki postanowienia tegoż, winien więc i wówczas służbodawca wypłacić słudze całą należytość za resztę czasu służby. Wreszcie zauważyć tu należy, że jeżeli sługa otrzymać ma zupełne odszkodowanie, to postanowienie o przyznaniu tylko zasługi i żywności jest niedostateczne, sługa bowiem ponadto otrzymuje mieszkanie, czasem i odzież, a w braku służby za jedno i za drugie płacić jest obowiązany. Należy przeto i o tych potrzebach pamiętać, zwłaszcza tam, gdzie wina rozwiązania stosunku służbowego cięży wyłącznie na służbodawcy.

Mogą zdarzyć się wypadki, w których sługa zechce opuścić służbę przed upływem czasu służby z przyczyn ważnych, a jego osobistych stosunków dotyczących. W takim razie słuszność wymaga, by go od zobowiązania zwolniono, o ile istnienie takich przyczyn będzie przez władzę stwierdzone. Do takich przyczyn należy wedle dotychczasowego regulaminu sposobność wyjścia za mąż, objęcia własnego gospodarstwa albo rzemiosła, otrzymania spadku lub inna ważna sprawa wymagająca dłuższej nieobecności w miejscu służby, a wreszcie pomoc sługi w prowadzeniu gospodarstwa czy rzemiosła, należna rodzicom. Przyczyny te na ogół uważać należy za wystarczające, a sprawdzenie ich przez władzę zabezpiecza przed możliwemi nadużyciami. Jedna tylko okoliczność w tem postanowieniu jest zbędna, a mianowicie, że władza nie tylko ma sprawdzić czy podobne ważne przyczyny istnieją, ale także, czy sposobność wyjścia za mąż lub objęcia własnego gospodarstwa, lub rzemiosła i t. d. może być zaniedbaną przez dotrzymanie czasu służby. Przez ten ograniczający dodatek stawia się władzę w położenie decydowania o rzeczy tak subtelnej i czysto wewnętrznej jak n. p. decyzya, czy kandydat na męża wytrwa w tem postanowieniu, jeżeli narzeczona pozostanie jakiś czas w służbie. Wszak to się nigdy przewidzieć nie da, żadne obietnice w tym względzie dostatecznej gwarancyi nie dają; również nie da się z góry ocenić, czy przez odwłokę nie minie sposobność objęcia gospodarstwa własnego lub rzemiosła. W takich wypadkach nic naturalniejszego nad to, że sługa dąży do uzyskania swobody w jak najkrótszym czasie. Nie ma dalej powodu, by ograniczyć wypadki te do ewentualności zamęścia, a nie uwzględnić wypadku ożenienia się sługi rodzaju męskiego, który tem bardziej wymaga swobody sługi, bo do zajęć przedślubnych przyjdzie w takim razie staranie się o samoistne stanowisko lub przygotowania do jego objęcia. Wobec tego, że i kobiety, jak szwaczki, krawczynie i t. d. objąć mogą własną pracownię, a w takim razie winny być bez względu na termin umowy służbowej wcześniej zwolnione, o ile zdarzy się ku podobnemu usamodzielnieniu sługi sposobność, należy i te wypadki objąć powyższem postanowieniem. Za pozwoleniem wła-

dzy może sługa w nagłych wypadkach żądać nadto uwolnienia, jeżeli na swoje miejsce innego zdolnego sługę poleci.

Następne postanowienia §§-ów 31 i 32 zawierają jaskrawą różnicę traktowania służbodawcy i sługi przez ustawę, różnicę znachodzącą się zresztą również w §§ 84 i 85 ustawy przemysłowej, ale niemniej przeto niesprawiedliwą i z zasadą równości wszystkich wobec prawa niezgodną. Mówię tu o traktowaniu służbodawcy i sługi na wypadek zerwania umowy. Odnośnie do robotników przemysłowych, właściciel przadsiębiorstwa oddalający bez prawnego powodu robotnika przed upływem terminu czasu pracy lub dający mu powód do wcześniejszego odejścia bezprawnem zachowywaniem się, obowiązany mu jest za cały okres czasu, w którym miał u niego robotnik pozostać, uiścić płacę i wszystkie inne świadczyć korzyści, jakie mu w umowie o pracę były zastrzeżone (§ 84 u. przem.). Analogicznie z tem postanawia § 31 regulaminu służbowego odnośnie do sług, zaznaczając przytem wyraźnie, że służbodawca nigdy nie może być zmuszony do przyjęcia napowrót sługi przeciw swej woli.

§ 85 ustawy przemysłowej stanowi, że w razie opuszczenia służby przez robotnika przemysłowego przed czasem i bez prawnego powodu, tenże dopuszcza się przekroczenia karanego aresztem do 3 miesięcy i może być przez władzę zniewolony do powrotu do pracy. Analogicznie z tem postanowieniem przepisuje § 32 regul. służbowego, że sługa opuszczający bez prawnego powodu samowolnie służbę przed upływem czasu ma być na żądanie służbodawcy zmuszony do powrotu do służby, a oprócz tego będzie ukarany przez władzę. W obu wypadkach niezależnie od tych postanowień sługa obowiązany jest do wynagrodzenia zrządzonej szkody.

Tę rozmaitość traktowania przedsiębiorcy i robotnika uzasadniają motywa do projektu rządowego noweli przemysłowej z r. 1885 wskazaniem na nieściągalność odszkodowania, tudzież na zniesienie aresztu za długi, dokonane ustawą z r. 1868, wreszcie zaś na analogię z karygodnością w razie złośliwego uszkodowania cudzej własności. Niezależnie od tych argumentów wskazały motywa także na interes publiczny w przeszkodzeniu

nieprzewidzianemu zaniechaniu pracy. W tym względzie uznaje ustawa koalicyjna z 7 kwietnia 1870 l. 43 d. pp. w razie gromadnego zastanowienia pracy wszelkie umowy w tym względzie między robotnikami, mające na celu uzyskanie wyższej płacy lub wogóle korzystniejsze warunki pracy za pozbawione skutków prawnych, robotnikom zaś mimo tak zawartej umowy wolno do roboty wstąpić, a osoby wpływające w sposób niedozwolony na swych towarzyszy w kierunku zaniechania pracy, karane są przez sąd za przekroczenie aresztem od 8 dni do 3 miesięcy. Te postanowienia chyba dostatecznie zabezpieczają interes publiczny przed grożącymi mu nieusprawiedliwionymi strejkami i nie potrzeba na to aż przymusowego powrotu do pracy robotnika lub sługi, lub karania go za zerwanie umowy aresztem.

Atoli i inne argumenta motywów rządowych nie są uzasadnione, a przynajmniej nie wystarczają do odmiennego traktowania przedsiębiorcy i robotnika. Przeciw lekkomyślnym strejkom ustawa oprócz prawa koalicyjnego ma nadto surowe przepisy przeciwko tym przedsiębiorcom lub służbodawcom, którzy zbiegłego ze służby robotnika lub sługę, wiedząc o zbiegnięciu, do służby przyjmują lub w niej zatrzymują. Oprócz tego należne służbodawcy odszkodowanie winnoby być ze względów publicznego porządku w wypadkach istotnej winy robotnika lub sługi z całą energią z hipoteki gruntu jego ściągane, wszakże z tem ograniczeniem, że ma to nastąpić przez sąd i po uprzedniem stwierdzeniu sądowem, że takie odszkodowanie się słusznie należy,że sługa istotnie z własnej winy i bez przyczyny godziwej umowę zerwał. Nadto przedsiębiorcy przemysłowi radzą sobie z dobrym skutkiem w ten sposób, że się wzajemnie ostrzegają przed łamiącymi umowy służbowe robotnikami w drodze umieszczenia ich na t. zw. czarnej liście, co mogłoby być również do podobnych sług stosowane, i co oczywiście oddziaływa ekonomicznie w kierunku zmniejszenia ilości lekkomyślnych i bezzasadnych strejków — jakkolwiek wedle okoliczności może być także środkiem prześladowania robotników za ich przekonania polityczne. Motyw ten atoli w kwestyi sług nie może być zupełnie brany w rachubę.

Analogia ze złośliwem uszkodzeniem cudzej własności nie

zachodzi ze względu na istotną i zasadniczą różnicę między własnością rzeczy, a własnością prawa wobec drugiej osoby, polegającą jedynie na możności dochodzenia sądowego tego prawa. Obowiązany jest sam przez się osobistością niezależną i równą każdemu innemu wobec prawa; świadczenie, które winien wykonać, należy do uprawnionego, można je tedy wymusić tylko pośrednio, to jest o tyle, o ile wolność osobista obowiązanego, wolność jego stanowienia o sobie, nie ulegnie przez to ograniczeniu. Zasadniczo tedy kara aresztu w takich razach orzeczoną być nie powinna a tak samo i przymus powrotu do służby, który, jak już wyżej wskazano, jest poprostu ograniczeniem wolności osobistej.

Po zatem wprawdzie areszt za długi został zniesiony, ale wedle nowej ordynacyi egzekucyjnej, istnieją przepisy zabezpieczające wykonanie usług osobistych od każdego bez różnicy stanowiska społecznego w razie, gdy na ich świadczenie dłużnik zostanie zasądzony.

W szczególności w myśl § 353 ord. egz. w razie, gdy zobowiązany ma przedsiębrać czynność, dającą się wykonać przez osobę trzecią, a jej nie wykonuje, wierzyciel może być przez sąd dozwalający egzekucyi upoważniony do przedsięwzięcia tej czynności na koszt zobowiązanego przez inną osobę. W myśl § 354 o. e. wykonanie czynności, nie dających się wykonać przez osobę trzecią i zależących wyłącznie od woli zobowiązanego, może być wymuszone na zobowiązanym, w drodze nakładania grzywien pieniężnych lub aresztu do 6 miesięcy. Areszt ten atoli nie jest aresztem za karę, ale cywilnym środkiem przymusowym, w dodatku stosowanym do wszystkich i nie pozbawiającym nieposzlakowanego obywatela tego przymiotu. Usługi robotnika lub sługi specyalnie uzdolnionego mogą być tego rodzaju, że wedle okoliczności nadałyby się do zastosowania § 354 o. e. Co się tyczy innych wypadków, być może, że ordynacya egzekucyjna wymagałaby na wypadek gremialnych strejków stosownej interpretacyi lub uzupełnienia, bo wówczas oczywiście, jakkolwiek nie co do każdej jednostki, ale co do ogółu sług zachodziłaby niemożność wykonania świadczenia ze względu na brak rąk roboczych. *De lege lata* nie można wprawdzie tak rozciągle tłumaczyć postanowienia ustawy

mającej na względzie jedynie stosunki prywatno-prawne, ale chyba nie ulega kwestyi, że interpretacya ta zgodna z duchem ustawy mogłaby z łatwością znaleźć wyraz w dodatkowym przepisie.

Że zerwanie umowy po stronie robotnika przemysłowego lub sługi w wypadkach poszczególnych może być połączone z wielką niewygodą dla przedsiębiorcy lub służbodawcy, może mu nawet szkodę wyrządzić, która w wielkiej części wypadków ściągalną nie będzie, to kwestyi nie ulega. Ale fakty te, jak nie są pozbawione nigdy głębszej przyczyny po jednej lub drugiej stronie, tak z usunięciem tych przyczyn ustać muszą. Tu już nie prawo, ale wychowanie moralne społeczeństwa oraz wzmocnienie poczucia obowiązku u przedsiębiorcy lub służbodawcy do głosu przyjść winno.

W razie, gdy przedsiębiorca przemysłowy przyjmie robotnika, jakkolwiek z chwilą przyjęcia wiadomem mu było, że tenże nieprawnie rozwiązał stosunek pracy z ostatnim swym pracodawcą lub kto takiego robotnika zatrzymuje w służbie, mimo dowiedzenia się o nieprawnem rozwiązaniu poprzedniego stosunku służbowego, dopuszcza się przekroczenia ustawy przemysłowej i odpowiada solidarnie z robotnikiem poprzedniemu pracodawcy za szkodę wynikłą. Ten sam przepis ma zastosowanie do przedsiębiorcy przemysłowego, uwodzącego robotnika przemysłowego do zerwania umowy z poprzednim pracodawcą. W regulaminie służbowym przepisane jest tylko, że żadnemu służbodawcy nie wolno pod karą przyjąć do służby sługi nie posiadającego książki służbowej, nadto zaś § 5 przepisuje: »kto sługę uwodzi, aby nie wstępował do ugodzonej służby lub służbę, w którą już wstąpił, wypowiedział, albo opuścił, podpada stosownej karze i odpowiada za szkodę służbodawcy przez to wyrządzoną«. Na wypadek przyjęcia sługi, mimo, że rozwiązanie poprzedniego stosunku służbowego nie nastąpiło wedle przepisów ustawy, regulamin dotychczasowy nie zawiera postanowienia, tem mniej zaś nie ustanawia solidarnego ze sługą obowiązku wynagrodzenia szkody. Tu mieści się dostateczne rozwiązanie poprzednio omówionych trudności. Jeżeli sługa nie jest wstanie szkody wynagrodzić, to nowy służbodawca w każdym wypadku temu obowiązkowi potrafi zadość uczynić,

a jeżeli tym sposobem odszkodowanie jest zapewnione, odpada nawet najdalszy oportunistyczny motyw karania sługi, lub zmuszania go do powrotu do służby. Samo przez się atoli się rozumie, że solidarna odpowiedzialność nowego służbodawcy nastąpić może tylko wówczas: 1) jeżeli wiedział, że sługa porzucił dawną służbę przed terminem wypowiedzenia, 2) jeżeli sługa uczynił to bez prawnego powodu. W przeciwnym razie i bez tych ograniczeń, sługa, który zbiegł ze służby, w której go poniewierano i bito, w której chorował z przeciążenia pracą, lub w której czyhano na jego niewinność — skoroby tylko, często przez obawę, nie zawiadomił o tych przyczynach władzy — nigdzie nie mógłby znaleźć miejsca, byłby pozbawionym utrzymania i dachu nad głową.

Sługa opuszcza służbę albo dlatego, że mu się trafia inna lepsza i w takim razie może służbę normalnie wypowiedzieć, albo dlatego, że zachodzą prawne powody do opuszczenia służby przed czasem, o których już wyżej mówiliśmy, albo dlatego wreszcie, e zachodzą ważne przyczyny, n. p. zmiana stanu i t. d. Innych przyczyn na ogół nie ma; może być jeszcze wyjątkowo strejk, tj. gromadne zerwanie umów służbowych, a na to dostateczną jest reakcyą prawo o zakazie przeszkadzania robotnikom lub sługom w podjęciu pracy i określające takie postępowanie w pewnych wydadkach, jako przekroczenie ustawy karnej. Należałoby tedy § 5 reg. służb. o tyle zmodyfikować, że kara za uwiedzenie sługi do niewstąpienia do służby lub jej opuszczenia nie może odnosić się do tych wypadków, w których sługa miałby prawo opuścić służbę bez wypowiedzenia, tudzież wogóle do tych wypadków, w których namowa skierowaną jest jedynie do wypowiedzenia służby, a więc do prawem dozwolonego rozwiązania służbowego stosunku. Wynika to z natury rzeczy, że namawianie kogoś do czynności prawem dozwolonej, nie może być w żadnym razie przekroczeniem. Że zaś odnośne przepisy władze bezpieczeństwa i to nawet w Krakowie w odmienny sposób interpretują, tego miałem klasyczny przykład na własnej słudze, która namawiała siostrę swoją do wypowiedzenia służby, z której miała wszelki powód nie być zadowoloną, i za to »przekroczenie« została zasądzona przez krakowską dyrekcyę policyi na dwa dni

aresztu; Namiestnictwo zaś wniesiony rekurs o tyle tylko uwzględniło, iż zamieniło karę aresztu na grzywnę pieniężną w kwocie 2 złr., które biedna sługa, pragnąca uczciwie opiekować się swą siostrą, niewiadomo dlaczego musiała zapłacić. Jasnem jest również, że o ile słudze wolno opuścić służbę przed czasem, wolno i do takiego zerwania umowy służbowej namawiać, a może to być nawet wedle okoliczności moralnym obowiązkiem.

Służbodawca może się ze sługą co do czasu trwania służby także inaczej umówić, niż to ustawa przepisuje. W praktyce rozszerzają niejednokrotnie przepis ten w ten sposób, iż uznają za dopuszczalną odmienną umowę także co do terminu wypowiedzenia, kosztów choroby sługi, prawa jej żądania bezzwłocznego rozwiązania umowy służbowej itd. Taka odmienna umowa musi być wprawdzie zdziałaną bądź na piśmie, bądź ustnie przed zwierzchnością gminną, a we Lwowie lub Krakowie przed c. k. Dyrekcyą policyi, ale ograniczenie to przynajmniej na prowincyi nie daje dostatecznej gwarancyi bezstronności. Postanowienia na korzyść sługi zawarte w regulaminie są *iuris publici* i jako takie nie mogą być odmienną umową uchylone. Społeczeństwo ma w tem interes prawny, by ani termin wypowiedzenia nie był skrócony, ani obowiązek opieki i pielęgnowania na wypadek choroby uchylony, by sługa nie zrzekła się prawa bezwłocznego zerwania umowy w pewnych wypadkach, tudzież w tem, by mimo zawarcia tego rodzaju umowy była ona prawnie nieskuteczną i nieważną. W zasadzie wolności zawierania umów istnieje wyłom na korzyść dobra publicznego. Wyłom ten jest korrektywem faktycznej nierówności stron kontraktujących, niczem więcej. Gdyby ludzie byli ekonomicznie równi, takie ograniczenie wolności nie byłoby potrzebne. Wobec tego, że tak nie jest, ograniczenie wolności przywraca równość, chroniąc słabszą jednostkę przed wyzyskiem silniejszej.

Wreszcie sprawa aresztów policyjnych. Nawet w tych wypadkach, w których zasądzenie na areszt mogłoby wydać się uzasadnionem, należałoby otoczyć je co najmniej temi samemi gwarancyami prawnemi, jakie mają zastosowanie przy wyroku sądowym. Urzędnik policyjny lub wójt, orzekając karę aresztu, winien więc urzędować w asystencyi zaprzysiężonego pisarza, będącego zarazem

świadkiem przebiegu rozprawy, winien pouczyć sługę nieświadomego, że i w jakim terminie wolno mu wnieść rekurs przeciw orzeczonej karze, tudzież nie tylko na jego żądanie rekurs ten protokolarnie spisać, ale także pouczyć go o tem, że mu wolno żądać protokolarnego spisania rekursu. Rekurs winien mieć zawsze moc wstrzymującą wykonanie kary.

Nakoniec prawomocnie orzeczona kara aresztu, winna być wykonaną w ten sposób, by sługi karane za drobnostkę nie odbywały kary w towarzystwie osób moralnie upadłych, a odbywających karę lub znajdujących się w śledztwie za czyny nieuczciwe lub nieobyczajne, jak to się dziś u nas powszechnie dzieje. Areszty takie są szkołą zepsucia i demoralizacyi; w razie braku odpowiednich lokali, korzystniejszem będzie dla społeczeństwa, jeżeli kara aresztu nie będzie wcale wykonana, lub zamieniona na grzywnę, niż gdyby miała spowodować zepsucie danego osobnika. Tak jak dziś jest, z mniejszego zła wyrasta większe, a władza zamiast je tłumić, hoduje — w mniemanym interesie klasowym służbodawców, faktycznie ze szkodą tak służbodawców jak i całego społeczeństwa.

Dr. Leopold Caro.

„TOWARZYSTWA ETYCZNE".

Zdumiewające postępy wiedzy i umiejętności, przewyższające wszelkie oczekiwanie wyniki przemyślności ludzkiej, o których zamarzyć nawet nie śmiały wieki minione, budzą cześć i uszanowanie dla tych wysiłków, zabiegów i starań, napawają złudną niestety ufnością, że nie tylko nic nie uroniliśmy z przekazanych nam skarbów przeszłości, ale żeśmy je nawet wzbogacili, wzbudzają nadzieję, że nastąpią czasy jeszcze wydatniejsze w owoce cywilizacyi, śmiemy nawet sobie pochlebiać, że przekażemy, lub przynajmniej zapewnimy potomnym jeszcze obfitszy zasób dobra i tego, czego wszyscy zawsze pragniemy i bezustannie pożądamy... szczęścia. Z drugiej jednak strony, wyniki statystycznych badań, wykazując z matematyczną ścisłością stan istotny obecnego »postępu« ludzkości, rozczarowują nas zupełnie, rozwiewają bezpowrotnie złudny obraz wymarzonej »przyszłości«.

Nie wchodząc w szczegółowe wykazanie przyczyn nizkiego, bardzo nizkiego obecnie poziomu moralności we wszystkich sferach i klasach ludzi, przyczyn, w których tłumaczeniu rażąca zachodzi różnica zdań, zaznaczamy to tylko jedno, że wyleczyliśmy się wszyscy z błędnego zapatrywania, iż z postępem wiedzy pójdzie w parze także postęp umoralnienia społeczeństw i jednostek; wszyscy obecnie, bez względu na różnicę przekonań, jasno to widzimy, że rozeszły się te dwie drogi, że coraz niżej i głębiej upadająca obyczajność każe nam truchleć o przyszłość. To też nie dziw, że w ostatnich zwłaszcza czasach zrodził się silny prąd,

dążący do umoralnienia szerszych warstw ogółu, podniesienia poziomu obyczajności we wszystkich stanach, warunkach życia, we wszystkich stosunkach osobistych i wzajemnych jednostek i społeczeństw. Odrodzenie moralne, to cel ożywiający starania i zabiegi ludzi najrozmaitszych przekonań i wierzeń, to myśl łącząca wszystkich w dążeniu ku jednemu ideałowi. Lecz sposób skierowania tych starań i zabiegów, usiłowań i dążności ku wytkniętemu celowi, wybór środków zasadniczych dzieli tych odnowicieli ludzkości. Zaznaczyć tu można dwa główne kierunki i drogi. Jedni, wychodząc z założenia, że religia, wyznająca wiarę w osobowego, ponadświatowego Boga, uznająca wyższy, przedmiotowy porządek moralny i zależność człowieka od niego, ma jedna w sobie moc i siłę do umoralnienia jednostek i społeczeństw, w powrocie do niej widzą jedyny sposób ocalenia ludzkości, bo według ich przekonania poziom religijności łączy się ściśle z poziomem moralności, i upadkowi pierwszej należy głównie przypisać upadek tej ostatniej. Drudzy, upatrując dostateczne zabezpieczenie porządku moralnego poza motywami religijnymi, (jeżeli wyrazu »religia« używamy w znaczeniu zwyż określonem), zaprzeczając wyraźnie lub domyślnie ścisłego związku między moralnością i religią, zwracają głównie swą uwagę na to, by wszystkich ludzi, bez względu na rodzaj przekonań i wierzeń, połączyć w wspólnem dążeniu do wyższego stopnia obyczajności.

Do tej drugiej kategoryi zaliczyć należy »Towarzystwa«, rozwijające swą działalność społeczną, szerzące »kulturę etyczną«, naprzód w Ameryce, potem w Anglii, Niemczech, Austryi, Francyi, Włoszech i Szwajcaryi. To ten dziś powszechnie, pod tą nazwą, znany »ruch etyczny« *(ethical movement)*.

I.

Chcąc dać dokładny obraz historyczny ruchu i dążności »Towarzystw etycznych«, musielibyśmy skreślić wprzód bieg i rozwój filozoficznej myśli, usiłującej wyzwolić etykę z zależności od religii. Obecny bowiem »ruch«, na tej właśnie, jak się później przekonamy, niezależności etyki opiera swój byt i zasady.

Filozofowie starożytności, Sofiści i Sceptycy, a po odszcze-

pieństwie w XVI-ym wieku, które wielce wpłynęło na rozwój dążności ku uniezależnieniu etyki, Hobbes, Hume, Mandeville, Helvetius, Holbach i inni, później zaś Kant, Pozytywiści, Transformiści, nie wspominając już o materyalistach, panteistach, i o najnowszym kierunku Nietzsche'go — ci wszyscy, jużto wprost wyznawcy i obrońcy bezreligijnej moralności, jużto jak n. p. Kant, choć w praktycznej działalności człowieka uznawali za nieodzowne przyjęcie t. zw. postulatów rozumu praktycznego, to przecież przez to, że uważali przytem za niedostępne dla rozumu ludzkiego stwierdzenie istnienia Boga, nieśmiertelności duszy i wolności woli i t. d., wprost lub pośrednio zaprzeczali ścisłego związku religii z moralnością. To poprzednicy w zasadach obecnych »Towarzystw etycznych«. Szczegółowe jednak badanie ich teoryj i dowodów zbytby rozszerzyło ramy tej pracy, wystarczy więc zaznaczyć tylko, że pomimo niejasność, jaką »Towarzystwa etyczne« osłaniają szczegółowe bardziej teorye swych dążności i usiłowań praktycznych, pokrewieństwo ich z wymienionemi szkołami filozoficznemi wyłania się wyraźnie z jasno już wytkniętego, wspólnego wszystkim szermierzom nowego ruchu etycznego, celu: «podniesienia obyczajności... bez względu na ich przekonania teologiczne i filozoficzne«.

Ojczyzną »Towarzystw etycznych« są Stany Zjednoczone północnej Ameryki. W r. 1876 dr. Feliks Adler, profesor wschodnich języków i literatur na uniwersytecie Cornella w Itace (stanu nowojorskiego) założył w Nowym Jorku pierwsze »Stowarzyszenie dla etycznej kultury», przygotowawszy sobie wprzód odpowiednio grunt odczytami o potrzebie szerzenia moralności wśród wyznawców różnorodnych zasad i wierzeń. Pierwszy ten związek, który uważać można za źródło i pierwowzór innych, z biegiem czasu w tymże duchu powstałych Towarzystw, zaraz w pierwszych latach swego istnienia rozwinął iście gorączkową działalność na polu propagandy etycznej i pracy społecznej. Przedewszystkiem starano się pozyskać sobie jaknajwięcej wpływowych i gorliwych stronników, lub przygotować ich sobie przez wpływ na wychowanie młodzieży. Celem zaspokojenia pewnych religijnych potrzeb członków Towarzystwa, urządzono poranne wykłady nie-

dzielne z zakresu etyki[1]. »Kazania« te Adlera[2] gromadziły wiele publiczności, przeważnie robotniczej (Adler ma nadto prawo błogosławienia ślubów małżeńskich i grzebania zmarłych). »Etycy« amerykańscy powołali do życia cały szereg instytucyj specyalnych, jak »szkoła niedzielna« dla młodzieży od lat 7 do 16, gdzie za pomocą nauki poglądowej, z wzorów Starego Testamentu i Homera czerpanej, wszczepiać mają już od wczesnej młodości poczucie i poszanowanie dla szlachetności i dobroci. Dzieci starsze, jak mówi program, należy przy pomocy dyskusyi na tematy z życia codziennego, społecznego i politycznego w możliwie popularny sposób prowadzić do wyjaśniania im tych zagadnień ze stanowiska nakazów moralnych; z tego samego punktu widzenia należy im objaśnić dzieje cywilizacyjnego rozwoju ludzkości, wogóle zaś dążyć trzeba do wyrobienia w nich pewnego jednolitego, moralnością tchnącego poglądu na świat. W podobnym kierunku wychowuje »szkoła etyczna«, w której cztery są oddziały. Naprzód dziewczęta w wieku lat 15—18 raz na tydzień rozprawiają pod wodzą specyalisty d-ra Eliotta na tematy bliżej je obchodzące. Młodzi ludzie bez różnicy płci, powyżej lat 18, zbierają się w podobnym celu co dwa tygodnie (n. p. czytano i studyowano pod kierunkiem prof. Adlera wybrane ustępy z Nowego Testamentu). Wreszcie prof. Adler prowadził seminaryum, w którem raz na tydzień bardziej przygotowani czytali wspólnie moralistów i filozofów. Istnieje również szkoła etyczna dla chłopców w wieku lat 15—18, której zadaniem jest kształcenie poczucia obowiązków obywatelskich. Nadto »Zjednoczone towarzystwa pomocy«, założone w r. 1878, mają na celu wychowanie dzieci klasy robotniczej, organizowanie pomocy i opieki nad chorymi i powoływanie do życia instytucyj miłości bliźniego, bez względu na rasę i wyznanie. Z ruchem etycznym wiąże się instytucya feministyczna »Konferencya kobieca«, założona w r. 1893, a dzieląca się na: 1) towarzystwo badań nad naturą dziecka, zaznajamiające z organizacyą

[1] H. Struve: »Ruch etyczny« w *Bibliotece Warszawskiej*, t. I z r. 1901, str. 108.

[2] Poniższe wiadomości czerpiemy z broszurki niewiadomego autora, »Ruch etyczny«. Warszawa 1900, nakł. red. *Prawdy*.

dziecka pod względem fizycznym, duchowym i moralnym za pomocą wykładów pedagogicznych, filozoficznych i t. d.; 2) towarzystwo pomocy dla kobiet opiekuje się dziećmi biednemi, uczęszczającemi do szkół etycznych, choremi i t. d.; 3) związek, opiekujący się dziećmi ułomnemi, odszukuje takie dzieci w mieście, stara się im zapewnić wychowanie i wykształcenie; 4) sekcya robotnic ma na celu organizowanie najemnic, należących do Towarzystwa, w celu budzenia w nich uczuć solidarności wzajemnej.

Z biegiem czasu powstały i w innych miastach Ameryki podobne Towarzystwa, z których przecież każde miało zachować indywidualność własną [1]. Cztery Towarzystwa, Nowojorskie i powstałe kolejno w Chicago, w Filadelfii i w St-Louis połączyły się w r. 1887 w związek pod im. *Union of the Societes for ethical culture,* który za artykuł swój konstytucyjny uznał, że »celem ogólnym ruchu etycznego, reprezentowanego przez ten związek, jest podniesienie obyczajności w życiu jego członków, oraz całego społeczeństwa; jakoż wita on serdecznie i za towarzyszy swych uznaje tych wszystkich, którzy z celem owym sympatyzują, bez względu na ich przekonania teologiczne lub filozoficzne«. Według okólnika W. Saltera [2], każde towarzystwo ma jednego lub więcej mowców na konferencyach, i przez 7 lub 8 miesięcy odbywa stałe niedzielne zgromadzenia. Główną zwracają one uwagę na rozliczne objawy osobistej i społecznej obyczajności, one i od początku już gorliwie zabrały się do teoretycznej i praktycznej, społecznej reformy. Do tego celu służą im szkoły robotnicze, domy sierót, ulepszone mieszkania dla sfer pracujących, »związki sąsiadów«, mięszane konferencye ekonomiczne przemysłowców z robotnikami, szkoły dla przyszłych robotników. Szczególnie te »związki sąsiadów«, obok urządzania kursów etycznych zajmują przedstawicieli ruchu etycznego w Ameryce. Pierwsze,

[1] W. L. Sheldon: »Ruch etyczny« przetłum. przez J. K. Potockiego i W. M. Kozłowskiego. Warszawa 1900, str. 11.

[2] H. Gruber: *Die Gesellschaften für ethische Cultur,* w *Stimmen aus Maria Laach,* t. 44, str. 387.

utworzone według planu Stantona Coit'a, mają doprowadzić do urzeczywistnienia celów społecznych, etycznych towarzystw wśród szerokich sfer ludowych i z osobistem współdziałaniem tych ostatnich. Wszyscy (mężczyźni, kobiety i dzieci) mieszkający na tejsamej lub sąsiednich ulicach łączą się w kluby, które albo same na własną rękę, albo w związku z sąsiednimi, bezpośrednio lub za pośrednictwem innych, przeprowadzać mają wszystkie reformy dotyczące mieszkania, przemysłu, wychowania, z uwzględnieniem położenia społecznego lub godzin wypoczynku, według zakreślonego ideału społecznego. Celem umożliwienia czynnego współdziałania wszystkim członkom, klub nie powinien obejmować większej liczby, jak 70 osób. Przy tej sposobności zaznaczamy charakterystyczny szczegół, że członkowie Towarzystwa etycznego w Filadelfii zobowiązują się kupować takie tylko towary, których twórcy (robotnicy) wystarczająco i sprawiedliwie wynagrodzeni zostają przez fabrykantów [1]. Myśl założenia publicznego, wyższego kursu etyki stosowanej podał Adler w jednym z swych odczytów w Bostonie r. 1879. Celem pozyskania publiczności dla tego przedsięwzięcia, urządzono na trzecim i czwartym zjeździe Towarzystw etycznych w Filadelfii (1889) i w Nowym Jorku (1890) kurs próbny. Pierwszy taki kurs, już starannie przygotowany, odbył się Plymouth (Mass.) od 1 lipca do 12 sierpnia 1891. Przedmiotem wykładów była ekonomia, historya religij i etyka. W przypadających wówczas nabożeństwach niedzielnych objawił się pozawyznaniowy charakter Towarzystw w naprzemian po sobie następujących funkcyach duchownych rozlicznych sekt protestanckich i wiary żydowskiej. Wykładów słuchało około 200 osób, wśród tych 30 duchownych i przeszło 40 nauczycieli. Kierownicy ruchu postanowili otwierać takie kursy corocznie, dopóki na jakiejś wszechnicy nie powstanie osobna katedra etyki stosowanej. Celem pozyskania środków pieniężnych dla tego i dla innych przedsięwzięć i rozszerzenia działalności Towarzystw etycznych, postanowiono już w r. 1887 w Chicago rozszerzenie uczestnictwa przez dopuszczenie »członków w szerszem tego słowa znaczeniu«. Wa-

[1] »Ruch etyczny« nakł. *Prawdy* str. 13.

runkiem przyjęcia jest: »rozum i charakter przewyższający stan mierny«. Grupa 20 takich członków ma prawo wysłać swego przedstawiciela na ogólne zgromadzenie Związku *(Union)*. Każdy członek ma sam sobie oznaczyć wysokość swej wkładki. Dwie trzecie tej ostatniej przeznaczone są na urządzanie publicznych kursów etycznych [1]. Etycznej propagandzie służy wreszcie dziennikarstwo. W Chicago [2] zawiązano stowarzyszenie wydawnicze, *The open court publishing Company,* które ogłasza prace w duchu »Towarzystw etycznych«, kolportuje je na szeroką skalę i popiera cały ten ruch przy pomocy dwóch pism: *The open court,* (od r. 1887 tygodnik, a później miesięcznik, »poświęcony religii naukowej«) i *The Monist* (kwartalnik filozoficzny, wychodzący od r. 1890). W Filadelfii wychodzi co kwartał *Międzynarodowe czasopismo etyczne* (od r. 1890), w Chicago popularne pismo etyczne *The cause* (od r. 1895), a od r. 1900 *Ethical Ricord* w Nowym Jorku, celem ściślejszego połączenia towarzystw etycznych całego świata.

Drugim z kolei krajem, w którym wspominany ruch etyczny głębsze zapuścił korzenie, była Wielka Brytania. Tu był grunt już przygotowany [3] przez założone już poprzednio w Londynie i w Cambridge towarzystwa etyczne, mające na oku samoistną, niezależną od religii, pracę nad podniesieniem poziomu moralnego społeczeństwa. Obok działalności filantropijnej urządzały one niedzielne odczyty wieczorne. W r. 1887 wolnomyślny zbór *South Place Chappel* powołał na swego kaznodzieję Stantona Coit'a, jednego z najwybitniejszych szermierzy ruchu etycznego amerykańskiego. Na wniosek Coit'a przemieniło to stowarzyszenie swą pierwotną nazwę *South Place Religious Society* na *S. P. Ethical Society.* Nadto założył [4] Coit »Zachodnio-londyńskie towarzystwo etyczne«, wkrótce powstały dwa podobne nowe towarzystwa w Londynie, dalej w Oksfordzie, Cambridge, Edynburgu, Glasgowie. W r. 1896 [5] sześć Towarzystw etycznych połączyło się w Anglii w »Związek towarzystw etycznych«, corocznie odbywający kongres, a pro-

[1] Gruber: l. c., str. 389. [2] Struve: l. c., str. 109.
[3] Struve: l. c., str. 110. [4] Tenże: l. c., str. 110.
[5] »Ruch etyczny«, nakł. *Prawdy,* str. 15.

ponujący międzynarodowy zjazd etyków. Około r. 1899 było w Anglii z górą dziesięć Towarzystw, o przeszło 1000 członków. Czasopismem ruchu etycznego w Londynie było *Ethical World.*

Ruch etyczny amerykański zwrócił baczną na się uwagę szczególnie w Niemczech. Pod jego to wpływem, wolnomyślny »związek Lessinga«[1] ogłosił w r. 1882 konkurs na napisanie przystępnego wykładu praw moralnych, »opartego wyłącznie na niewątpliwych, faktycznych danych naturalnej wiedzy świata«. Wśród sześćdziesięciu pięciu nadesłanych prac, zyskały nagrodę *Grundzüge der Moral* Jerzego Giżyckiego, profesora berlińskiego. Giżycki stał się jednym z najczynniejszych propagatorów, duszą »ruchu etycznego« w Niemczech. Prócz własnych »Zasad moralności« i »Filozofii moralnej« (1888), wydał własny przekład prac amerykańskich przedstawicieli ruchu etycznego, jak W. M. Salter'a »Religia moralności«, »Mowy moralne«, »O etycznym poglądzie na świat«, Stantona Coit'a »Ruch etyczny w religii«, F. Adlera »O nauczaniu dzieci moralności« i t. p. Onto razem z Wilhelmem Försterem, profesorem astronomii zaprosił F. Adlera w r. 1892 do Berlina z kilku programowymi odczytami. Te odczyty i zgromadzenia sympatyzujących z celem ruchu etycznego dopełniły podatności gruntu, przygotowanego już pracami Giżyckiego i wcześniejszym jeszcze racyonalizmem bezreligijnym tak, że już na zgromadzeniu odbytem w Berlinie 18 paźdz. 1892 założono pierwsze »Niemieckie towarzystwo dla kultury etycznej«. Przewodniczącym obrano prof. W. Förstera. Postanowiono przytem, że Giżycki ma z polecenia Towarzystwa wydawać *Mittheilungen der deutschen Gesellschaft für ethische Cultur.* Przedtem wychodziły *Vorbereitende Mittheilungen eines Kreises gleichgesinnter Männer und Frauen zu Berlin.* Lecz już 1 stycznia 1893 w miejsce tych dwu pism ukazał się tygodnik *Ethische Cultur* pod redakcyą J. Giżyckiego. »Niemieckie towarzystwo etyczne« z dn. 20 listop. 1892 r. liczyło 552 członków, a już 28 lut. 1893 r. oznajmia Förster wzrost Towarzystwa do liczby 1180 członków. W r. 1893 Towarzystwo berlińskie zwołało kongres zwolenników ruchu ety-

[1] Struve· l. c. 111 i 112.

cznego do Eisenach, celem utorowania drogi założeniu międzynarodowego związku towarzystw etycznych. Wkrótce powstają Towarzystwa w Kiel, Magdeburgu, Wrocławiu, Frankfurcie nad M., Jenie, Fryburgu w Br., Królewcu, Monachium, Strassburgu, Ulmie i t. d. Z działalności niemieckich towarzystw etycznych zaznaczyć należy naprzód założenie[1] »biura informacyjnego dla urządzeń dobroczynnych« *(Auskunftstelle für Wohlfahrtseinrichtungen)*. Zajęto się przedewszystkiem zebraniem materyałów co do rodzaju i charakteru instytucyj dobroczynnych Berlina. Na podstawie tych wiadomości ułożono dzieło *Die Wohlfahrtseinrichtungen Berlins*. W biurze Towarzystwa jest biblioteka podręczna, zawierająca literaturę dobroczynności; staraniem Towarzystwa, Münsterberg wygłosił szereg wykładów w tym zakresie i urządził seminaryum pouczające, w jaki sposób z zabawy filantropijnej ma się uczynić źródło moralnej rozkoszy dla siebie i istotnej pomocy bliźnim. Towarzystwo udzieliło do r. 1899 około 4000 poad. Głównym przedmiotem narad na zjeździe w Eisenach było założenie[2] »Akademii etycznej kultury«. Już przedtem w duchu Adlera i z polecenia niem. Towarzystwa etycznego, otworzył dr. M. Keibel w Berlinie kurs próbny szkoły etycznej w dwóch oddziałach, do którego zgłosiło się 24 uczniów[3]. Obecnie Akademia etyczna[4], według uchwał wiecu, ma, w zupełnej swej niezależności od wpływów politycznych i religijnych, stać się: 1) środowiskiem badań najczystszych, nieuprzedzonych, 2) źródłem rozległej wiedzy, 3) miejscem przygotowującem nowych zwolenników kultury etycznej. Obejmować będzie: 1) wszechnicę z całem kolegium badaczy i nauczycieli, 2) seminarya, 3) cały szereg szkół, począwszy od elementarnych aż do najwyższych[5]. Profesorów dla takiej wszechnicy w Niemczech w istocie nie trudno będzie znaleźć, bo już teraz omal, że nie wszyscy nauczyciele etyki w 21

---

[1] »Ruch etyczny«, nakł. *Prawdy*, str. 28 i nast.

[2] V. Cathrein S. J.: *Religion und Moral*. Freiburg im. Br. 1900, str. 32.

[3] Gruber: l. c., str. 396. [4] Cathrein: l. c., str. 32.

[5] *Die Eisenacher Zusammenkunft zur Förderung und Ausbreitung der ethischen Bewegung*, abgehalten vom 5—15 August 1893, herausgegeben von G. Maier. Berlin 1894, str. 147—149.

uniwersytetach Niemiec należą do zwolenników nowego ruchu etycznego[1]. Z końcem marca 1894 r. ogłosiło »Niem. Towarzystwo etyczne« konkurs na napisanie naukowego podręcznika etyki czysto-ludzkiej, »któryby zachęcił rodziców i wychowawców do udzielania nauki moralności, wolnej oddzielających uprzedzeń religijnych i metafizycznych«. Żadna z współubiegających się o nagrodę prac do r. 1897 nie znalazła u sędziów uznania. »Towarzystwo« jednak powtórzyło ofertę cokolwiek już zmienioną i dr. Döring wydał swój *Handbuch der menschlich-natürlichen Sittenlehre für Eltern und Erzieher* (Stuttgard 1899). Bezpośrednim celem tej książki jest »podać sposób wychowywania takim rodzicom, którzy są przekonani, że zdrowe, tj. nowoczesnym wymaganiom odpowiadające, i skuteczne,czyli także wytrzymujące próbę życiową, wychowanie może być oparte nie na religijnych, ale tylko na czysto ludzkich zasadach. »A nadto praca ta ma na oku agitacyjne dążności, dowodząc możliwości i konieczności wychowywania moralnego »niezależnego od religii«. Wreszcie celem popularyzacyi etyki niezależnej, pozaberlińskie, niemieckie Towarzystwa etyczne dążą do zakładania bibliotek ludowych w duchu tego ruchu[2].

Organizacya samych Towarzystw etycznych w Niemczech żywo przypomina wolnomularstwo[3]. Najwyższą władzę dzierży powszechny wiec Towarzystw, zwoływany corocznie w październiku lub listopadzie, lub też częściej w razie potrzeby. Składają ten wiec pełnomocnicy poszczególnych oddziałów i pięciu członków głównego wydziału. Poszczególne oddziały, których liczba członków musi wynosić najmniej 25, mają prawo wysyłać na wiec ogólny jednego, a każda setka członków oddziału, razem liczonego z swemi filiami, wybiera nadto jeszcze jednego swego przedstawiciela. Związki filialne, które przypominają wolnomularskie kluby, podobnie jak oddziały masońskie loże i ogólny wiec, wiec lóż, mają najmniej 5 członków i poddane są władzy odpowiedniego oddziału. Prezydyum całego związku z 15 członków złożone, wybiera doroczny zwyczajny wiec, kierownika każ-

[1] »Ruch etyczny», nakł. *Prawdy*, str. 27.
[2] Gruber: l. c., str. 400. [3] Tenże: l. c., str. 401.

dego oddziału i jego pięciu towarzyszy wyznacza zwyczajne zgromadzenie członków dotyczącego oddziału, wreszcie kierownika i kasyera filii członkowie tejże. W obrębie samegoż oddziału według potrzeby tworzyć się mogą rozliczne grupy czy komisye. Filie i oddziały są samoistne w działalności w swoim zakresie, by ją jednak rozszerzyć, muszą wprzód uzyskać przyzwolenie swego oddziału, względnie wydziału głównego. Kto chce być członkiem Towarzystw, musi przekroczyć wiek 18 lat, okazać się gotowym do »prowadzenia życia odpowiadającego celom Towarzystwa« i do »działalności popierającej jego usiłowania«, musi przyjąć ustawy Towarzystwa i płacić wkładkę miesięczną, »według własnego uznania, jednak co najmniej z 25 fenigów« złożoną. Celem skutecznego osiągnięcia zamierzonych celów, już od swego założenia dzieliło się niemieckie Towarzystwo etyczne na cztery grupy: pedagogiczną, muzyczną czy agitacyjną, literacką i socyalną. Każdy członek może przystąpić do jednej lub więcej grup, nie jest wszakże do tego zobowiązanym, tem więcej, że Towarzystwo przyjmuje nie tylko czynnych, ale i słuchających lub honorowych uczestników. Wyniki obrad pojedyńczych grup ogłasza się na miesięcznych zebraniach.

Wiadomości te zaczerpnęliśmy z poszczególnych paragrafów konstytucyjnych »Niemieckich Towarzystw etycznych«.

Choć Francya przyczyniła się niemało do spopularyzowania niezależnej etyki, przecież zawiązane tamże Towarzystwo etyczne pozostało bez szerszego rozgłosu. Nienawistnie dla Kościoła usposobieni mężowie stanu i wolnomularze, chcąc zniweczyć wpływ katolicyzmu, a zarazem pozyskać sobie szerokie masy ludu, wprowadzili niezależną etykę do szkół ludowych. Ze cios zadany Kościołowi był dobrze wymierzony, dowiodły tego obecnie skutki. W r. 1882[1] usunięto wykłady religii z szkół państwowych, a od r. 1886 wykluczono nauczanie duchownych profesorów. W miejsce religii wstąpiła nauka moralności i obowiązków obywatelskich *(Instruction civique)*. Główni apostołowie bezreligijnej szkoły, P. Bert i J. Ferry wyraźnie zaznaczali, że bronią i szerzą tę moralność wieczystą,

[1] Cathrein: l. c., str. 14.

która nie zależy od tego lub owego sposobu wierzeń, ale swoje korzenie zapuszcza głęboko w samemże ludzkiem sumieniu[1]«. Wyznawali oni zasady moralności Herb. Spencera, szerzyli je i bronili ich otwarcie. Cały ten ruch bezreligijnego szkolnictwa, bezreligijnej moralności był poniekąd dobrym podkładem dla działalności Towarzystw etycznych. Różnił się od nich głównie tym rysem nienawiści ku urządzeniom religijnym, której w teoryi wyrzeka się nowy »Ruch etyczny«. Bądź co bądź wszakże posiew bezreligijnej moralności[2] powinien się był przyczynić niemało do wpojenia w umysły ideałów tegoż ostatniego. Głównie staraniem P. Desjardins'a, który w swej książce[3] *Le devoir présent* zwrócił uwagę społeczeństwa na różne w naszych czasach wątpienia i powoływał wszystkich ludzi dobrej woli do walki ze złem, zawiązano w r. 1891[4] w Paryżu *Union pour l'action morale,* wydające czasopismo *Bulletins.* Przyczynę niepowodzenia zresztą idei »ruchu etycznego« na gruncie francuskim upatrują niektórzy w tem[5], że Francuzi wogóle, a w szczególności pracownicy na polu moralności więcej zajęci są kwestyami politycznemi i socyalnemi, jużto idąc w tem za przykładem Comte'a, który etykę zastąpił socyologią, już też

[1] *Discours parlementaires.*

[2] Przy tej sposobności pozwalamy sobie przytoczyć znamionujący tak dobitnie cały ten kierunek bezreligijnej moralności w szkołach francuskich, ustęp, wyjęty z jednego z podręczników dla młodzieży *(Manuel d'instruction laïque):*

Q. Qu'est-ce que Dieu (Co to jest Bóg)?

R. Nous n'en savons rien (Nic o tem nie wiemy).

Q. Dieu n'est-il pas celui qui a tout créé et qui régit tout (Czy to nie Bóg właśnie wszystko stworzył i wszystkiem rządzi)?

R. Qu'en savez-vous... Démontrez sa nécessité (Skąd wiesz o tem... Udowodnij konieczność tego).

Q. Tout existe par lui, et sans lui rien n'existe (Wszystko przezeń istnieje, a bez Niego nic nie istnieje).

R. Prouvez-le! (Udowodnijże to).

Q. Nous ne pouvons le prouver (Nie możemy tego dowieść).

R. Pourquoi donc nous occuper de ce que vous ne pouvez ni montrer ni prouver (Pocóż więc zajmujesz nas tem, czego nie możesz stwierdzić lub udowodnić).

[3] «Ruch etyczny», nakł. *Prawdy,* str. 17.

[4] Struve: l. c.. str. 113. [5] Struve: l. c., str. 113, 114.

z przekonania, że zasady moralne, polecone przez Comte'a, nie mogą wywrzeć pożądanego wpływu na szersze warstwy społeczeństwa. Rozwojowi »Towarzystw etycznych« we Francyi przeszkadzają też liczne Towarzystwa wolnomyślne, których hasłem: *Athéisme et matérialisme.*

W Wenecyi we Włoszech istnieje Towarzystwo etyczne [1], *Circolo etico-sociale,* założone przez prof. Levi-Morenos. Utworzyło ono biuro porady prawnej, bibliotekę i szkołę ludową. Do szkoły uczęszczają dorośli robotnicy; wykłady odbywają się zimą, latem zaś uczniowie z dyrektorem swym, prof. Levi-Morenos zwiedzają przybytki sztuki i nauki. Organem włoskiego »Ruchu etycznego« jest tygodnik: *Cronache del rinascimento etico-sociale,* który stara się zjednać Ruchowi zwolenników przez ankiety w kwestyach ogół obchodzących (tak n. p. zaczęto od pytania: dlaczego Włosi kłamią?).

W Austryi [2] »Towarzystwo etyczne« wiedeńskie na trzy dzieli się grupy: literacką, społeczną i pedagogiczną. Pierwsza urządza odczyty, druga rozpoczęła ankiety (n. p. w sprawie wyzysku terminatorów rzemieślniczych), trzecia udziela rodzicom i nauczycielom wykładów z dziedziny pedagogiki. Około r. 1899 liczyło »Towarzystwo« wiedeńskie do 450 członków. Organem jego: *Mittheilungen der ethischen Gesellschaft.*

Pozostają jeszcze do wspomnienia »Towarzystwa etyczne« w Węgrzech z siedzibą w Budapeszcie, i w Szwajcaryi [3] istniejące od r. 1897, a podzielone na sekcye: społeczną i pedagogiczną. Dr. F. W. Förster, za którego inicyatywą powstały »Towarzystwa« w Zurychu, Bernie i t. d., prowadził wykłady z dziedziny pedagogiki moralnej. Sekcya zaś społeczna zajęła się gorliwie kwestyą mieszkań i stworzeniem stowarzyszenia mięszanego (co do rodzaju pracy) celem wymiany zdań i zbliżenia się do siebie wzajemnego.

I u nas w Polsce zajęto się ruchem etycznym, ale do utworzenia »Towarzystwa« jeszcze, o ile nam wiadomo, nie doszło. Książki wybitniejszych przedstawicieli ruchu etycznego, jak Gi-

[1] «Ruch etyczny«, nakł. *Prawdy*, str. 21 i 22.
[2] «Ruch etyczny», nakł. *Prawdy*, str. 22 i 23.
[3] «Ruch etyczny», nakł. *Prawdy*, str. 24.

życkiego, Sheldona przełożono na nasz język, tygodnik[1] *Głos* zajął się gorliwiej sprawą ruchu etycznego i nawet myślą założenia u nas takiegoż »Towarzystwa«.

Jeszcze na kongresie niemieckich »Towarzystw etycznych«, w r. 1893 w Eisenach, postanowiono, jak to zaznaczyliśmy, dążyć[2] do połączenia związków etycznych wszystkich krajów w jeden. Ułożono tam nawet program, który miał obowiązywać przyszły, międzynarodowy Związek etyczny. Do urzeczywistnienia tej myśli doszło we wrześniu r. 1896. W szwajcarskiem Bernie zjechali się przedstawiciele Towarzystw etycznych Stanów Zjednoczonych, Anglii, Niemiec, Austryi, Włoch i Szwajcaryi. Powzięto tam myśl utworzenia międzynarodowego Związku, wytyczono mu program, założono sekretaryat ze stałą siedzibą w Zurychu, którego zadaniem ma być wydawnictwo stałych wiadomości o rozwoju kultury etycznej, informowanie członków, propaganda, popieranie świeżo zakładanych Towarzystw i prowadzenie biblioteki literatury etycznej. Ponowiono też usiłowania celem utworzenia akademii etycznej w Zurychu.

Zaznajomiliśmy się już z historyą założenia Towarzystw etycznych, ich organizacyą i działalnością. Wniknijmy teraz głębiej w zasady tego ruchu, w teorye, na których byt swój i działalność opiera.

II.

Za przejście do tej drugiej części niech nam służy program wyż wspomnianego międzynarodowego »Związku etycznego», który wprowadza nas w sferę ideałów i dążeń obecnych Towarzystw etycznych:

»Celem Towarzystw etycznych jest popieranie moralnych zamiarów i celów ich członków. Lepsze życie etyczne nie jest tylko darem, który ofiarować mamy bliźnim, ale przedewszystkiem jest dobrem, które sobie stale, nieustannie wywalczać i zdobywać musimy. Środkami wiodącymi do urzeczywistnienia tego celu są: *a)* ścisła łączność ludzi, stanowiących Towarzystwa etyczne; *b)* wychowanie i kształcenie etyczne

[1] Struve l. c. str. 106.

[2] »Ruch etyczny«, nakład. *Prawdy* str. 30, 31, 32, 33, 34 i 35.

młodzieży na podstawie etyki wolnej od wszelkich hipotez i założeń metafizycznych albo wyznaniowych; *c)* samokształcenie moralne.

Towarzystwa etyczne powinny zająć pewne stanowisko wobec wielkich kwestyj społecznych, nurtujących w społeczeństwie współczesnem, których rozwiązanie wymaga najwyższego napięcia sił moralnych. Uznajemy tedy, że dążenie mas ludowych do życia godnego człowieka — jest celem moralnym pierwszorzędnej wartości, skutkiem czego stwierdzamy obowiązek popierania tego dążenia. Mniemamy jednak, że nie chodzi tylko o nędzę klasy ubogiej, ale nie w mniejszym stopniu o nędzę m o r a l n ą klasy posiadającej.

Uznajemy za obowiązek organów Związku etycznego gromadzenie broni duchowej w celu osiągnięcia postępu społecznego, pobudzanie do prac naukowych, mających na celu pojednanie zasad indywidualizmu i uspołecznienia, i połączenia ich w głębszem pojmowaniu życia, dokonywanie ankiet z dziedziny statystyki moralnej, któreby poglądowo wykazywały konieczność gruntownego zreformowania stosunków społecznych naszej doby i przy pomocy takich środków pedagogicznych podnosiły sumienie społeczeństwa do wyżyn sprawiedliwości społecznej.

Towarzystwa etyczne powinny dążyć do urzeczywistnienia powyżej wyłożonych zasad w związku ze stosunkami cywilizacyjnymi swego otoczenia, — a członkowie poszczególnych Towarzystw etycznych winni prostotą swego obejścia, skromnością obyczajów i rzetelną pracą w zakresie spraw ogół obchodzących — współdziałać ku postępowi społecznemu.

Widzimy w instytucyi rzeczywistego małżeństwa monogamicznego nieoszacowane dobrodziejstwo dla całej ludzkości, — konieczne zarówno dla moralnego rozwoju jednostki, jak dla stałego rozkwitu kultury moralnej wogóle; żądamy jednak, aby czystość małżeństwa zachowywana była bezwzględnie w życiu i poglądach ogółu, stosowana konsekwentnie i integralnie.

Należy k o b i e c i e umożliwić rozwój jej duchowej i moralnej indywidualności i zapewnić jej równe prawa z mężczyzną na wszystkich polach działalności i życia.

Jedno z najważniejszych zadań życia kulturalnego widzimy w powróceniu p e d a g o g i c e jej zatraconego jednolitego charakteru, gdyż wtedy tylko będzie mogła skutecznie pielęgnować nowy ideał etyczny.

Popieramy najzupełniej z całkowitem oddaniem się sprawę p o k o j u p o w s z e c h n e g o; zadanie nasze w tej dziedzinie sprowadza się do zwalczania militaryzmu nie tylko na zewnątrz, ale i w świecie wewnętrznym, w duszy naszych współobywateli, do zniszczenia wpływu, który wywiera na uczucia młodzieży, do paraliżowania egoizmu nacyonalistycznego, namiętności i pychy pseudo-narodowościowej, do głoszenia nakazów sumienia i rozumu, zagłuszanych w naszej dobie przez dzikie instynkty i ślepą nienawiść.

Nawołujemy nasze Towarzystwa etyczne nie tylko do pracy nad

rozwojem własnych instytucyj, ale do wspólnych, zrzeszonych wysiłków w kierunku stworzenia nowego ideału życia i postępowania, któryby jednocześnie odpowiadał wymaganiom jasnej myśli, czystego uczucia i niesplamionej obłudą woli; wierzymy bowiem, że ideał taki, pożądany gorąco przez całą ludzkość współczesną, uzdrowi i uszczęśliwi wszystkie klasy społeczne i wszystkie narody«.

Program ten i cel ogólny ruchu etycznego, podany przez nas wyżej, słusznie uważane być mogą za wyraz przekonań wszystkich Towarzystw etycznych, należących do »Związku«. Ale to też jest tylko to jedno, co na punkcie zasad Towarzystwa etyczne podpiszą. Wszystkie inne teorye bliżej określone, wszystkie zapatrywania, zdania i sądy, dostarczone nam przez organy poszczególnych Towarzystw, przez przemowy i pisma wybitniejszych ich przedstawicieli i przywódców, to, według tylokrotnie powtarzanego zastrzeżenia autorów, — zdanie jednostki lub jednej tylko grupy, nie obowiązujące innych ani do przyjęcia ani do odpowiedzialności i obrony dotyczącej enuncyacyi. »Niema chyba dwóch jednostek, któreby się zgodziły w szczegółach na to, co mogłoby stanowić spójnię ogólną... Towarzystwa owe... podobne są do siebie wszystkie pod tym względem, że kładą szczególny nacisk na etykę, jakkolwiek rodzaj tego nacisku różni określaliby różnie. Nikt przeto nie jest upoważniony do mówienia o Ruchu etycznym inaczej, jak w granicach swych własnych mniemań i przekonań. Stanowisko jednej grupy ludzi może tu spotkać się z potępieniem grupy innej«. Tak mówi jeden z główniejszych przedstawicieli Ruchu etycznego w Ameryce, W. L. Sheldon w swym »Ruchu etycznym« [1]. W przedmowie też do wydanego pod tym tytułem zbioru swych przemówień wyraźnie zaznacza: »w odczytach tych mówię tylko od siebie, — nikt inny ani też żadna zbiorowość ludzka nie ma być przez te odczyty reprezentowana. Kiedy powstała znaczna liczba Towarzystw etycznych, tak w Europie, jak w Ameryce, żadne z nich nie postradało samoistności, lecz niezależnem zostało od tego, co mówiono i czego nauczano na mównicach innych« [2]. Wobec tego niesłuszną byłoby rzeczą,

[1] Str. 16, 17. [2] Str. 6.

poszczególne zdania i wyznania uważać za znamionujące cały Ruch etyczny zasady, rozciągać uchwały i przekonania poszczególnych Towarzystw na inne i przypisywać im je jako normy postępowania. A przecież niepodobna, by Towarzystwo pragnące w jednym kierunku usilnie i wytrwale, a więc, co koniecznem do tego jest w każdej społeczności, — jednolicie pracować na polu praktycznem (nie czystej teoryi), i to przedewszystkiem, w pierwszym rzędzie na polu praktycznem, jak Towarzystwa etyczne, — nie miało, prócz jasno wykreślonego celu ogólnego, wytyczonych także dość szczegółowych nie ogólnikowych tylko środków, dróg do tego upragnionego celu niezawodnie, najprędzej, bezpiecznie prowadzących. Bez tego bowiem niema ani siły, ani sprężystości, ani też konsekwentnie wydatności w pracy zbiorowej, bo właśnie dlatego jednostki łączą się w stowarzyszenia, by wspólną pracą, wzajemnem wspomaganiem się osiągnąć cel, którego same sobie pozostawione nie dopną. A wspólna praca i pomoc tam jest niemożliwa, gdzie, choć przy wytkniętym celu ogólnym, panuje różnica poglądów na rodzaj środków zasadniczych. Tem bardziej niemożliwe to w pracy nad podniesieniem moralności, gdzie właśnie tem więcej wyjaśnić potrzeba normę ogólną, pobudki do zastosowania się do tej normy i t. p., na im szersze, mniej też oświecone warstwy wpłynąć się zamierza. Potrzebę tę odczuć musieli i odczuli istotnie przewodnicy Towarzystw etycznych. I choć w teoryi z zastrzeżeniem indywidualności swych zapatrywań głoszą zasady, — i w niektórych mniej znaczących w życiu szczegółowych sądach przyznać im tę indywidualność można, — w praktyce wszakże, wygłaszanymi w wybitniejszych odczytach i pismach poglądami, nadają ton i kierunek Towarzystwu, do którego należą. Dowodzi tego uderzające rzeczywiście podobieństwo przekonań i zasad przywódców najrozmaitszych Towarzystw i obcych sobie krajów, i w głównych rysach podobieństwo doboru działalności, środków w dążeniu do ogólnego celu całego Ruchu. To też za konieczne uważamy, nie ograniczając się na samem podaniu ogólnego celu Towarzystw, zdać sprawę także z teoryj i sam ten cel wyjaśniających i wytyczających drogi, po których należy zmierzać do celu, i środki doń wiodące. Chcąc

jednak zupełnie bezstronnie uprzytomnić i skreślić zasady Ruchu, posługiwać się będziemy, ile możności, słowami samychże przewódców Ruchu, którzy wpływem swym piętno pewne nadali swemu otoczeniu i Towarzystwu, które prowadzą, — przytoczymy tylko te przemówienia, których zadaniem było nadać kierunek działalności i pozyskać nowych w tymże duchu czynnych zwolenników, — i przypisywać będziemy tym enuncyacyom takie tylko znaczenie, jakie miało w powyższych okolicznościach i jakie okazało się w następującem po nich praktycznem zastosowaniu.

Przedewszystkiem wyjaśnić należy ten zasadniczy, a tak niejasny punkt w programie Ruchu etycznego, w jego celu: »... podniesienia obyczajności... bez względu na ich (członków) przekonania teologiczne lub filozoficzne«. Posłuchajmy założyciela pierwszego Towarzystwa etycznego i niejako twórcę całego Ruchu, F. Adlera, który, na pierwszym wiecu amerykańskich i angielskich Towarzystw w Chicago dnia 20 listopada 1887 r., tak wyjaśnia niezależność celu ogólnego od pojedyńczych przekonań teologicznych:

»Mówimy jasno: czy kto ma wiarę, czy jej niema, to niema żadnej doniosłości w czynieniu dobrze. Sądzimy, że niczego więcej nie potrzeba, jak tylko przedstawić człowiekowi normę moralności, a ten, jeżeli ona rzeczywiście jest słuszną, przyjmie ją bez względu na to, czy uzna, lub nie, samo jej teoretyczne uzasadnienie. Odwołanie się do sumienia jest bezpośrednie i równie bezpośrednio następuje potakująca odpowiedź sumienia. To punkt zasadniczy, na który zwracam uwagę mych słuchaczy. To punkt zwrotny, na którym odstępujemy od Kościołów. Wskutek wychodzenia z tego założenia, że pewne, do przyjęcia określonych teoretycznych twierdzeń naukowych czy dogmatów odnoszące się, przedwstępne warunki są nieodzowne do postawienia nauki moralności i do prowadzenia życia obyczajnego, poświęcono, jak dowodzą dzieje, czas i uwagę przeważnie tym przedwstępnym kwestyom, i w trosce o stwierdzenie tych koniecznych uprzednich warunków, w dziwny zaiste sposób zapoznał świat religijny najważniejsze zasady moralności. Wiecie dobrze z historyi religij, że ten świat religijny wywoływał straszne wojny, powodował zabójstwa, posługiwał się nieludzkimi i przeciwnymi naturze rodzajami kary i katuszy, tysiące ludzi oddawał na pastwę płomieni, i to wszystko czynił w tym jedynie celu, by w ich umyśle zabezpieczyć te właśnie, według swego mniemania nieodzownie potrzebne, uprzednie warunki do życia obyczajnego i cnotliwego. I nawet w obecnej dobie podobnie się postępuje. Miliony dolarów służą dziś do wysyłania misyonarzy do krain pogańskich, nie by ich mieszkań-

com przynieść światło kultury i cywilizacyi, zakładać szkoły, choć przy nadarzonej sposobności i to się dzieje, ale głównie celem wpojenia w umysły wierzeń, bez których, jak się sądzi, niemożliwem jest prowadzenie cnotliwego życia«.

A w kwestyi rozlicznych systemów filozoficznych tak się wyraża tenże sam mowca:

»Wielka liczba rozmaitych filozoficznych systemów i teoryj wzajemnie się zwalcza w odpowiedzi na pytanie, dotyczące słuszności i uzasadnienia motywów (do postępowania moralnego)... Dowody sekt naturalnych (szkół filozoficznych) wydają mi się niemniej słabe, jak popierające swe zasady argumentacye sekt teologicznych. Na żadnej filozoficznej teoryi nie opiera się Ruch etyczny, ani na systemie Spencera, ani na panteistycznym lub materyalistycznym. Ruch etyczny głosi po prostu zasadę: czyń dobrze z pobudki, którą uznajesz za słuszną. Ruch etyczny nie krępuje się żadną (określoną filozoficzną lub religijną teoryą), jest niezależny (od nich), i pozostanie takim, sądzę, jak długo będzie istniał. Nasz program składa się z jednego tylko punktu — moralność praktyczna. To wynik, do którego rozliczne teorye ostatecznie zmierzać muszą. Mając wzgląd na tę okoliczność, wołam do filozofa-teoretyka, że ta teorya odniesie zwycięstwo nad innemi, która najlepszymi poszczycić się może wynikami, — która rozwija najbardziej wykończone typy charakterów, — która udziela nam najszlachetniejszych i najwznioślejszych ideałów moralnych, — która w owocach swoich najchwalebniej wytrzyma ciężką chwilę próby. »Według owoców ich sądźcie je«. Nie w pracowni uczonego, ale w otwartem polu życia, w otoczeniu rozlicznych pokus odegra się walka rozstrzygająca między szkołami filozoficznemi.

Sądzę, że na zupełnie pewnym stajemy gruncie, gdy utrzymujemy, że jedynym celem usiłowań naszych ma być sprawiedliwe życie w praktyce, sprawiedliwe zachowanie się, praktyczna sprawiedliwość. I co to znaczy? Mamyż to rozumieć tylko w codziennem, zwykłem tego słowa znaczeniu? Czy to znaczy tylko zachować dekalog, nikogo nie zabić, nie przestąpić żadnej z tych, samych z siebie jasnych, reguł należytego zachowywania się? Nie przyjaciele. Praktyczna sprawiedliwość to głębie nadziei, to pełne wspaniałości obrazy ludzkiej wielkości i godności. Praktyczna sprawiedliwość to znaczy dla przyszłych pokoleń nowy, na sprawiedliwości oparty stan, nowy porządek społeczny, w którym nie będzie już nieznaczna mniejszość uganiać się za bogactwem kosztem trudu i nędzy przeważającej większości, ale w którym wszyscy osiągną możność prowadzenia w całem tego słowa znaczeniu godnego człowieka życia. Ona oznacza w przyszłości nowe prawo czystości w stosunkach wzajemnych obu płci, prawo czystości nie tylko poza małżeństwem, ale i w samemże małżeństwie, doskonałe i zupełne pojęcie o obowiązkach męża względem żony i żony względem męża, nowe za-

patrywanie na stanowisko i godność małżonki. Ona oznacza nową cześć przed dzieckiem, nowy sposób wychowywania; nowe, z głębi prawdy etycznej zaczerpnięte sumienie i serce nowe, wznoszące się ponad te małostkowe sprawy, do których zwyrodnienie czasów je zepchnęło, serce tak szlachetne, by mogło odczuć i przyswoić sobie najwspanialsze usposobienia i ideały duszy ludzkiej. Oto, co rozumiemy, gdy mówimy o praktycznej sprawiedliwości«.

W podobny sposób przemawiał Adler w pierwszą rocznicę założenia Nowojorskiego Towarzystwa etycznego, gdy w jedną całość ujmował wszystkie swe przemówienia z ubiegłego roku.

»Wyraz *Creed* (wiara, jako przyjęcie jakichkolwiek założeń teoretycznych, filozoficznych czy teologicznych) pojęliśmy w najszerszem znaczeniu, gdyśmy dzieło nasze rozpoczęli hasłem: Rozmaitość wiary (zapatrywania na świat), jednomyślność w działaniu *(Diversity in the creed, unanimity in the deed)*. Oto najlepszy rys charakterystyczny naszego Ruchu, według niego też chcemy być osądzeni.... Spełniamy boskie czynności; nic nie zależy na tem, jak się zapatrujemy na Boskie tajemnice. Fakta zasadnicze moralnej natury ludzkiej wśród ucywilizowanych ludzi ogólnie są uznane, choć w życiu nie znajdują swego wyrazu w dostatecznej mierze. Pod tym względem nie masz różnicy zdań i być nie może. Tu właśnie znalazł się pewny, bezpieczny grunt dla naszego zjednoczenia«.

Jaśniej i obszerniej zdawał Adler sprawę z celu i treści usiłowań Towarzystw etycznych dnia 3 lipca 1892, w jednym ze swoich berlińskich odczytów, które bezpośrednio spowodowały założenie pierwszego Towarzystwa, a z niem podwaliny Ruchu tak szeroko po Niemczech rozsianego:

»My — przynajmniej wielu z nas — straciliśmy dawne nasze zapatrywania na porządek świata, a w ich miejsce nie wstąpiła żadna nowa teorya. Pogląd na wszechświat coraz więcej i więcej się zaciemnia. Pytanie właśnie, c z y i n a j a k i e j drodze dojdziemy znowu do ogólnego poglądu, któryby nas zadowolnił i uszczęśliwił. Założyciele związków etycznych mniemali, że nie osiągnie się... go drogą badań przyrodniczych, ale tylko przez pogłębiające i w istotę rzeczy wnikające doświadczenie moralne. Więc już z góry przeciwnikami religii nie jesteśmy.., żywimy tylko to mocne przeświadczenie, że przez kulturę etyczną dojdzie się do nowego na wszechświat poglądu, do — pozwalamy sobie to twierdzić — r e l i g i j n e g o p r z e k o n a n i a«.

Takie żywić przekonania nie jest przecież nieodzownym warunkiem do przynależności do Towarzystwa etycznego. Tu przedewszystkiem potrzebne »etyczne wykształcenie, moralne pogłębienie rzeczy«. »Im bardziej wzrok na całość się zasłania, tem więcej skupia się

uwaga człowieka na to ziemskie życie i zewsząd rozlega się pytanie o wartość życiową. To pytanie i my sobie postawić musimy. Przypuściwszy raz, że ten byt ziemski jest jedynie możliwym dla człowieka, że wszelkie widoki na transcendentalny, nadzmysłowy świat są mu zamknięte.., jakież są tu na ziemi cele, które zasługują na to, by dążyć do ich osiągnięcia? Jakie mamy sobie założyć cele? Coby mogło życiu nadać prawdziwą wartość? To przecież pytanie, które każdy myślący człowiek musi sobie postawić. I oto widzimy, jak wielkie rzesze zbyt mało są na tym punkcie poświadomione«.., jedni nie myślą wcale o tem, inni upatrują swój cel w używaniu i bogactwie, lub w wiedzy czy sztuce, — ale te nie są w stanie zadowolnić nas i pocieszyć. »A oto, jak gwiazda wśród ciemności nocy, zaświeca nam myśl, że wartości życia szukać należy w dążeniu do obyczajności,.... moralność, pojęta w całej swej wzniosłości i głębokości, podnosi nas, jej trzymać się mocno powinniśmy. Obowiązek — to łódź ratunkowa, gotowa ocalić nas, rozbitków z nawy dawnych wierzeń religijnych«.

Przecież »zbyt banalną byłoby rzeczą tak wysoko podnosić i polecać rzecz tak z siebie samej jasną i zrozumiałą, jak spełnienie obowiązku, a po obowiązku znów tak wiele się spodziewać wydawałoby się przesadną nadzieją... Człowiek okazuje swą najwnętrzniejszą istotę w najczystszem i najwspanialszem świetle wówczas, gdy pierwotna siła twórcza w nim się zbudzi..., gdy on nie tylko przerabia świat rzeczywisty podług swoich ideałów, ale i same te ideały przekształca, podnosi, rozszerza. Idea rozwoju, zastosowana do moralności, samąż moralność w nowem świetle okazuje i zupełnie nowe daje nam pojęcie o tem, jakiego zadowolenia dostarczyć może człowiekowi dążenie do moralności. Więc gdy mówimy o obowiązku, rozumiemy przezeń t w ó r c z ą dążność do obyczajności. Tę twórczą siłę należy pobudzić. Ona, naszem zdaniem, nam udzieli najszlachetniejszego zapału... Pierwszorzędną więc zasadą naszego Ruchu nie jest: »Czyń, co jest twym obowiązkiem i powinnością«, ale: »Staraj się poznać, co jest twym najwyższym powinnym obowiązkiem« *(Pflichtschuldigkeit)!* »Dąż do tego, by dawne przepisy z nową siłą duchową zachować i dojrzeć do nowych wymagań moralnych, odpowiadających nowym stosunkom i potrzebom naszych czasów!...««

»Drugą zasadą naszych związków jest n i e z a l e ż n o ś ć m o r a l n o ś c i. Co przez to rozumiemy? Czy utrzymujemy może, że zapatrywania człowieka filozoficzne i teologiczne żadnego nie wywierają wpływu na jego moralność w praktyce życiowej? Przenigdy! Już pierwszy rzut oka na dzieje... musi nas pouczyć, że pogląd na świat wielce wpływa na działalność człowieka...; ale sądzimy, że z samego dopiero działania wypłynie słuszny pogląd na zasady czynności... Sądzimy, że każdemu człowiekowi, bez względu na jego przekonania filozoficzne i religijne, można i powinno się postawić żądanie: »Możesz, boś powinien!«

»Kościół wymaga, by dojść do działania dobrze i sprawiedliwie

przez boczną drogę wiary... My zaś prawie odwracamy tę tezę; mówimy: Wprzód czynić dobrze, bez żadnych wykrętów; słuszny pogląd na zasady działalności sam już wyniknie z czynów... Wprawdzie może być prawdą, że najgłębsze zasady etyki odnoszą się do pewnych metafizycznych i religijnych założeń; lecz chcąc poznać, czy rzecz się ma tak w istocie, potrzeba się wprzód z zupełną bezstronnością i natężoną uwagą zwrócić ku o b j a w o m życia moralnego... B y p o z n a ć p r a w a o b y c z a j n e g o ż y c i a, m u s i m y t y m c z a s o w o o d w r ó c i ć u w a g ę o d t e o l o g i c z n e g o tłumaczenia tychże«. Podobnie jak, »by poznać fizyczne prawa, musi badacz tymczasowo oderwać swą uwagę od chemicznej strony zjawisk«, choć »fizyczne i chemiczne zjawiska ściśle ze sobą są spojone...« »Proponujemy więc tymczasowo oddzielić moralność od religii«. »Także nauki przyrodnicze w ostatecznych swych zasadach w najściślejszym pozostają stosunku z kwestyami filozoficznemi i religijnemi; ale jaką niewolę cierpiały.., jak długo były w służbie teologii... Etyka pozostaje jeszcze zawsze w znacznej mierze w tej służebnej roli względem teologii. Czas już zmienić ten stosunek...«

»Trzecią zasadą Towarzystw jest, że etyczne życie to sztuka, której nauczyć się trzeba... Etyczna pedagogia Kościoła ulega błędnemu zapatrywaniu, że z podnieceniem woli... już przeważną część zadania się spełniło... Ale uwzględnić należy tę okoliczność, że zakres obowiązków zmienia się z wiekiem i rodzajem zawodu życia... Związek etyczny ma przedstawiać nie całość tylko z jednakowych cząstek złożoną, ale organiczną istotę. Członkowie takiego stowarzyszenia powinni się dzielić na rozmaite grupy, stosownie do wieku i zawodu. Celem każdej grupy jest przyczynić się do zupełnego zrozumienia zakresu szczegółowych obowiązków, dotyczących tej grupy, a to przez wspólne omawianie rzeczy i wzajemne pouczanie się, i pomagać sobie nawzajem do spełnienia tych obowiązków. W ten sposób z upływem lat członek Towarzystwa wstępować będzie z grupy do grupy, z stopnia na stopień, aż wreszcie u schyłku życia wcielonym zostanie do najwyższego oddziału najstarszych i najmędrszych... Nigdy nie będzie się miało uczucia, że już się czas nauki skończył...«

Podobnie jak Adler, tłumaczy niezależność etyki od teologii i filozofii drugi wybitny przedstawiciel Ruchu amerykańskiego, Salter, w swem dziele »Religia moralności« [1].

W podobny też sposób usiłują wykazać bezwzględną wyższość i niezależność moralności S. B. Weston, mowca filadelfijskiego Towarzystwa etycznego, W. L. Sheldon, mowca w St. Louis, i Stanton Coit z South Place w Londynie, wszyscy najwybitniejsi

[1] Str. 1 i nast. str. 328, także w *Ethics and Philosophy*. Philadelphia 1891, str. 4, 8, 304.

przedstawiciele Ruchu. Prof. Giżycki przytacza te zdania z uznaniem [1]. Na konstytuującem się ogólnem zgromadzeniu niemieckiego Towarzystwa prezes prof. Foerster podniósł, że etyka jest »niezależną od wszelkich odłamów religii.., wogóle od poszczególnych na świat poglądów«. »Należy pielęgnować to co niezależne od światopoglądów, bo wszystkie bezwzględne światopoglądy nie tylko religijne, ale nawet filozoficzne, przyrodnicze, ekonomiczne zagrażają niebezpieczeństwem stępienia tego, co sympatyczne, zamącenia wrażliwości duszy, delikatności uczuć, sprawiedliwości i tolerancyi przekonań... Właśnie do rozwiązywania tych poważnych, natarczywie cisnących się zagadnień (naszych czasów) nie powinniśmy ani z tej ani z owej strony z uprzednio powziętemi zapatrywaniami przystępować«.

Mimo zaprzeczenie związku religii z moralnością, wykluczenie religii z zakresu moralności, przecież stosunek Towarzystw do religijnych wierzeń nie ma być nienawistny, wrogi. Określa go najprzód okólnik Saltera o celu i środkach Towarzystw [2]:

»Ruch etyczny nie ma żadnego wyznania wiary, nie uczy żadnej religii, o ile przez religię rozumie się jakieś określone wyobrażenie o Bogu. Nie staje on jednak w przeciwności z religią. Członkowie i mówcy na konferencyach mają zupełną swobodę obrania jakiegokolwiek punktu zapatrywań religijnych, który im się wydaje rozsądnym. Niektórzy z nich nawet utrzymują, że sama etyka jest religią, o ile sprawiedliwe, moralne działanie jest środkiem do połączenia się duszy skończonej z nieskończoną Istotą. Inni są zupełnymi sekularystami. Łącznikiem, spajającym członków nie jest jakieś oznaczone zapatrywanie czy teorya teologiczna, ale praktyczny cel moralny«.

Komitet zakładający niemieckie Towarzystwo etycznej kultury, w swoich *Vorbereitende Mittheilungen*, szuka punktu wyjścia i nadziei żywotnego rozwoju moralności w tem,

»że ludzie zejdą się w tem, co ich jednoczy, pozostawiając na boku to, co ich dzieli. To będzie zjednoczenie oparte na zasadzie zupełnego zapoznania stronniczych punktów widzenia na polu religijnem, politycznem, socyalnem, a stąd otworem stojące dla zwolenników wszystkich partyj, mogące przynieść i rzeczywiście przynoszące błogosławione owoce«.

»Towarzystwo nie zwraca się do protestanta, katolika, żyda, po-

[1] *Moralphilosophie* str. 418 i nast., 424.

[2] *Society for ethical culture.* Philadelphia. Will. Salter. 1892.

ganina, nie do przedstawiciela tego lub owego socyalnego czy politycznego stronnictwa, ale do człowieka, noszącego w sobie ideę moralności. Jako takiego, witamy go z radością, bez względu na jego wiarę, stan, płeć. Jakąkolwiek nazwę nosić będzie jego rodzaj zapatrywania się na świat; dla takiego Towarzystwa ma ono wartość pozytywną, dopóki on sam czynem i słowem stosuje się do zasady: »Bądźcie dobrymi«; — ma ono wartość negatywną dopiero wówczas, gdy on sam obojętnem sercem, bez miłości i jej objawu przechodzi obok społeczeństwa ludzkiego, — i chociażby on przytem znał wszystkie tajemnice, wszelkie miał poznanie i wszystką wiarę. »W ten sposób ta idea może być spójnią wszystkich szczerze szukających dobra ludzi, daleko sięgającą poza granice ojczyzny, poza morza i kraje... Zupełna wzajemna tolerancya względem transcendentalnych wyobrażeń, owa tolerancya, od której domaga się Goethe, by znalazła w sobie zasób uznania; poważna, wspólna praca nad doskonałem zrozumieniem praw moralności i nad ich spełnieniem: oto w głównych rysach statuty etycznego Towarzystwa«.

»W gruncie rzeczy nie szuka się (przez to) niczego nowego. Chodzi właściwie tylko o urzeczywistnienie myśli, przed stu już laty wygłoszonej przez Kanta, dla którego kategoryczny imperatyw sumienia był mocną skałą, podstawą wszelkiej religii i wszelkiej filozofii: o zjednoczenie z dawna już istniejącej, niewidzialnej etycznej gminy w zewnętrzny związek«.

Głębiej tłumaczy istotę tej tolerancyi i podstawy, na których ma się ona opierać, wspomniany już W. L. Sheldon w swym «Ruchu etycznym« [1]:

»Prawdopodobnie najtrudniejszą dla ludzi rzeczą jest zachowanie postawy prawdziwie sympatycznej wobec wiary, którą wyznawali kiedyś, a którą częściowo porzucili. Mogą oni znajdować szczególną trudność w należytej ocenie takiej właśnie religii, która im jest najbliższą; mogą mówić o jej »łatwowierności i przesądności«. Ciągle mają przed oczyma te cechy, i potrzeba wielkiego wysiłku, aby dostrzegli ducha, tworzącego ich podstawę. Sądzę, że dlatego właśnie dostrzegamy dziś tak wielką dążność do kokietowania z buddyzmem albo innemi religiami Wschodu. Ludzie zapominają, że tam jest może również dużo, a może więcej rzeczy nieuzasadnionych lub przesądnych. Ale w wypadku ostatnim znamiona takie nie narzucają się ich uwadze, za sprawą całego otoczenia życiowego... Należyta ocena jakiejś wiary religijnej niekoniecznie każe domyślać się, że jesteśmy już wyznawcami. Ale pozwalałaby ona przypuszczać, że spoglądamy na wiarę ową, jak na taką, która w sposób przyrodzony rozwinęła się z dążeń ludzkiego serca, nie zaś jak na sztuczny wytwór, który po prostu mógłby być wymazanym z życia. Znaczyłoby to, że uznajemy wartość

[1] Str. 112 i nast.

uczuć, z których wynurzyła się owa wiara, która doprowadziła owych ludzi do jej przyjęcia, jakkolwiek sami nie moglibyśmy jej przyjąć.

Największe zmiany, zdarzające się w religii naszej, są właśnie te, które odbywają się całkowicie poza obrębem naszej świadomości. Nie wiemy na pewno, kiedy poczynamy wierzyć albo nie wierzyć. Rzadko kiedy lub nawet nigdy nie moglibyśmy wskazać stopni takiego przejścia. Spory w takich sprawach służą częstokroć do umocnienia stron obu na ich stanowiskach uprzednich, zwłaszcza, jeśli wiązało się z tem głębokie uczucie. Najlepszym środkiem wzmocnienia wiary religijnej w innych, rozniecenia nowego życia, zapału dla niej lub jej wyznawców — jest silna na nią napaść... Właśnie człowiek z najbardziej utrwalonemi, głębokiemi i pewnemi przekonaniami może zachować postawę największej sympatyi i tolerancyi wobec religijnych wrażeń i mniemań innego. Możemy być przekonani, że mamy coś lepszego lub najlepszego i dlatego też możemy być bardziej wyrozumiali i tolerancyjni.

Wierzę oto w sprawę, której służę: w religię etyczną, tak samo jak pobożny katolik wierzy w swój katolicyzm rzymski. Dlatego właśnie mogę niekiedy być obecnym i zachowywać się z całą sympatyą na nabożeństwie prezbiteryańskiego albo katolickiego Kościoła. Niema wtedy z mojej strony żadnej obawy lub niepokoju, abym nie uległ takiemu czy innemu wpływowi.

Dlaczegóżbyście nie mieli z równą gotowością zapożyczyć myśli natchnionej katolickiej książki pobożnej, jeśli ją znajdziecie, jak i z księgi Platona?... Prawda potrzebną nam jest bez względu na jej źródło. Jesteśmy spadkobiercami wszystkich wieków i dziedziczymy zarówno psalmy Dawida, jak i dramaty Sofoklesa... Autorowie tych dzieł wszyscy szukali światła. Miewali oni swoje słabe strony, pierwiastek przesądny. Ale każdy z nich rozwijał jakieś prawdy wielkie, my zaś szukamy prawdy, a możemy pomijać ich przesądy...

Z całej mocy waszej trzymajcie się i brońcie waszych odrębności religijnych, osobistych upodobań, pragnień waszego serca, jeśli wyrastają one z najgłębszych i najbardziej podstawowych pierwiastków przyrody waszej. Nic nie szkodzi, że inni ludzie śmiać się z tego będą; nie zwracajcie uwagi na to, że inni spoglądać na was mogą z wyrazem spokojnej wyższości umysłowej. Jest coś wyższego, większego i szlachetniejszego, niż umysł. Nawet zwierzę może myśleć i posiada umysł; ale instynkt religijny znamionuje tylko człowieka, — jakkolwiek niektórzy mogą być go pozbawieni, gdyż, że użyjemy słów Amiel'a, są oni dopiero kandydatami do społeczeństwa, niczem więcej.

Powinniśmy się zbliżyć do człowieka natury religijnej bez względu na jego rasę, klimat, narodowość. Gdy rozpoznamy w nim pragnienie życia wyższego, instynktową cześć dla wszystkiego, co jest wyższe, wówczas powinniśmy zespolić się z nim jeszcze ściślej. Jego Bóg może nie być naszym Bogiem, jego biblia ani jego modlitwa naszą. Bóg jego będzie jego umysłowym symbolem wszechogarniającej potęgi

wszechświata. My możemy oglądać wszechświat w świetle innem, a przeto mieć innego Boga. Cóż stąd, bylebyśmy obaj wiernie usiłowali dostąpić Boga prawdziwego... Ja mogę uznawać fakt pewien za najwyższy, za górujący nad innymi, wy na tem najwyższem stanowisku możecie umieścić fakt inny. Rzeczą najwyższą dla człowieka jest jego religia; to też nie będę żądał od nikogo, aby zmienił pragnienie swoje... Ale sama ta okoliczność, że on na najwyższem miejscu stawia fakt jeden, ja zaś inny, nie powinna przeszkadzać nam zespolić się w jakikolwiek sposób.

Religia może mieć wielką rozmaitość nauk, mnóstwo bogów, nieskończony szereg urządzeń, ale wbrew tej mnogości wyrosła ona z jednego uroczystego faktu czyli doświadczenia ludzkości; wynurza się ona z cierpienia i smutków naszych... Dlatego właśnie, że ludzie cierpieli i dręczyli się, dlatego gromadzą się społem, dlatego cieszy ich braterstwo, dlatego rozwinęli systematy religijne...«

Nie tylko o rzekomej tolerancyi względem wierzeń religijnych słyszymy wśród przedstawicieli Ruchu etycznego, ale według niektórych nawet przyjąć należy wyraz religia, jako znamionujący tenże Ruch, ponieważ i etyka jest religią. Adler utrzymuje, że »uczucie czegoś wzniosłego jest korzeniem umysłu religijnego... Moralny ideał, uosobiony czy nie, stawia nam przed oczy najwyższy typ wspaniałości, i jest jedynym, godnym naszej czci religijnej przedmiotem« [1]. »Moralność jest religią« — mówi wyraźnie Salter, — gdy religia jest »odczuciem czegoś bezgranicznego, co się ma spełnić, i tegoż spełnieniem«. Ateistą jest ten tylko, który nie wierzy w ideał moralności i w możliwość jego urzeczywistnienia [2]. Świat już ma dość słyszenia wciąż o niebie. Przywrócenia prawa i sprawiedliwości i uszczęśliwienie człowieka na tej ziemi, to »jądro» nowej religii [3].

(C. d. n.)

Ks. Karol Krokoszyński.

---

[1] *Creed and deed*, str. 174.

[2] »Religia moralności«, str. 235.

[3] Tamże, str. 227.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy)

Tymczasem jednak zmieniło się coś w stronnictwie francuskiem i już dnia 25 stycznia 1664 r. znajdujemy w źródłach pierwszy ślad, że postanowiono obrócić »elekcyę« na Kondeusza.

Królowa postanowiła zniszczyć Lubomirskiego i wpadła na pomysł, żeby mu wytoczyć proces o zdradę stanu. W czerwcu było to już obmyślone, w sierpniu podane do wiadomości senatu. Lubomirski, ścigany oszczerstwami, sam domagał się we wrześniu wytoczenia procesu, mając zupełnie czyste sumienie; nie przypuszczał, jak dalece sięga determinacya królowej w politycznej intrydze! Rozpatrywanie zdrady majestatu należało do sądu sejmowego; ażeby sąd taki mógł się zebrać, musiał być sejm. Zwołuje więc król na 26 listopada sejm, jakkolwiek nie myśli go na seryo odprawować, po to tylko, żeby go się po wyroku zaraz pozbyć za pomocą *liberi veto*. Sejmiki przedsejmowe odbywały się w połowie października, a dworscy wysłańcy i sami oficyalni od króla delegaci sejmikowi obrabiali szlachtę przeciw w. marszałkowi i hetmanowi. Gdzie się zanosiło na wybór zwolenników Lubomirskiego i wogóle posłów opozycyjnych, starano się sejmik zerwać, a kanclerz Prażmowski odrzucał wszelkie prośby o powtórne ich zagajenie. W ten sposób tworzono większość sejmową! Lubomirski przysłał na sejmik chełmiński kopię traktatu szwedzko-francuskiego. Chciał więc grać w otwarte karty, ale dwór

tej gry nie przyjął. Wyparto się traktatu i odtąd zaczyna się nieskończony szereg kłamstw, wśród których nie łatwo się oryentować, tembardziej, że w końcu i Lubomirski zaczął walczyć tą samą bronią. Opinia publiczna nie wiedziała, czego się trzymać; oszołomiona, miotana na każdym kroku wątpliwościami, zaogniała się tylko coraz bardziej, i tak przygotowywały się fermenty do wojny domowej. Pomimo wszelkich intryg dworskich polecił jednak cały szereg sejmików, żeby posłowie wstawiali się za Lubomirskim. Taką instrukcyę otrzymał też Sobieski, jako poseł województwa ruskiego.

Sam hetman i marszałek był ziemianinem województwa krakowskiego i miał swój sejmik w Proszowicach. Nie krył się, nie chował, przyjechał na sejmik i z podniesionem czołem wysłuchał, jak woźny odczytywał mandat wzywający go przed sąd sejmowy. Zarzucano mu długi szereg zbrodni, a wszystko było najzupełniej wyssane z palca. Nauka historyczna stałaby bardzo wysoko, gdybyśmy wszystko mogli wiedzieć z taką pewnością, jak to, że Jerzy Lubomirski był zupełnie niewinny i nigdy dotychczas żadnego nielegalnego kroku nie popełnił. Całą jego winą było, że się sprzeciwiał zamachowi stanu. Trwał też nadal na legalnym gruncie. Miał koło siebie w Proszowicach do pięciu tysięcy zwolenników, a nikt nawet nie przerwał woźnemu i trzymano się z całą ścisłością gruntu prawa. I niech mi kto mówi, że w ówczesnej Polsce była anarchia! Niechaj kto odszuka drugą taką scenę lojalności i poszanowania, samych nawet formalności prawnych, w całej historyi powszechnej nowożytnych czasów. Dwór postarał się o zerwanie tego sejmiku; skąd więc szła anarchia? Nie znają zaś dzieje polskie większej nielegalności i nadużycia nie tylko rzeczy ale i form, jak na sesyach sąd wybierających i w łonie samegoż sądu sejmowego; postępowano od początku do końca tak nieprawidłowo, że dowody nieprawności całej tej akcyi nasuwają się na każdym kroku i to w bezprzykładnej wprost ilości. Radziejowski dostarczał fałszywych świadków. Główny delator, Hieronim Dunin z Wielkiego Skrzynna nie chciał składać przysięgi w stanowczej chwili! Lubomirski nie stawił się, bo miał podejrzenie, że go z Warszawy żywcem już

nie puszczą. Sobieski, jako poseł, spełnił zlecenie obywateli. Do sądu sejmowego nie należał, wyjednał jednakże zwłokę ośmiodniową do stawienia świadków odwodowych. Marszałek nie korzystał z tego, bo wiedział, że i tak będzie skazanym. Wszak cały proces miał być wstrzymany, gdyby podpisał rewers na elekcyę Kondeusza lub d'Anguiena! Ale to równałoby się przystąpieniu już do spisku dworskiego. Lubomirski, podpisany na umowie małżeńskiej francuskiego księcia, nie mógł dalej wdawać się w nic, odkąd znanym mu był traktat francusko-szwedzki, odkąd wiedział, że za »elekcyą« kryje się zamach stanu i nowy szwedzki najazd. Odtąd — rzecz prosta — musiał występować przeciw samej już elekcyi *vivente rege*. W ten sposób nastała opozycya przeciw projektowi, na który pierwotnie była w zasadzie powszechna niemal zgoda (z wyjątkiem Fredry i nielicznych jego zwolenników).

Wiedząc, że będzie skazany na utratę czci, mienia i życia, musiał zawczasu myśleć o sobie. Nocą z 17 na 18 grudnia ruszył z Janowca do Łańcuta, a potem dalej, co było już »jakoby pierwszym krokiem do rokoszu«. Nie uważałbym jednak za pewne, czy myślał już o rokoszu. Bezpieczeństwa dla swej osoby musiał szukać za granicą i to wystarczy zupełnie do wytłumaczenia faktu, że dnia 24 grudnia zwrócił się listownie do elektora brandeburskiego i księcia Prus z prośbą o radę. Otrzymawszy chłodną tylko radę, żeby się pogodził z królem, zwrócił się do domu austryackiego i znalazł, jak wiadomo, przytułek na Ślązku. Wyrok zapadł dnia 29 grudnia; poczekano jeszcze kilka dni na proces przeciw mordercom Gosiewskiego i zaraz potem uznano już sejm za niepotrzebny. Skorzystano z pierwszej sposobności, żeby w wyjściu jednego posła uznać *liberum veto* i sejm rozpuszczono dnia 8 stycznia 1665 r. (Telefus, poseł halicki, wyszedł z Izby z protestacyą o to, że mu odmówiono głosu; ale nie zeznał swego protestu w księgach grodzkich, i sam do Izby wrócił i zapewniał, że wcale nie myśli sejmu zrywać, ale marszałek Gniński pomimo to zabrał się do wygłaszania mowy pożegnalnej!)

Sobieski uważał wyrok za niesłuszny i wcale się z tem nie taił. Zawakowały po Lubomirskim laska marszałkowska i buława.

Obie te godności ofiarowano Sobieskiemu, lecz on odmówił i wyjechał do Zółkwi, żeby ujść nagabywaniom królowej i — Marysieńki.

Był więc Sobieski upatrzony przez królowę na głowę stronnictwa francuskiego, żeby służył spiskowi i zamachowi stanu, jako pierwszy minister i jako hetman. Buławę dano, gdy odmówił jej przyjęcia, Czarnieckiemu; laska pozostała wakującą.

Zważmyż, jaką to świetną karyerą było dla 36-letniego człowieka, zostać nagle marszałkiem Wielkim Koronnym i hetmanem polnym! Zważmy nadto, że Sobieski należał do dworskiego stronnictwa! Widocznie począł się wahać pod wpływem bezprawia, popełnionego na Lubomirskim i budziły się w nim wątpliwości, czy dobrej sprawie służy.

Odmowa Sobieskiego musiała wywrzeć silne wrażenie — toteż królowa rozpoczyna układy z Lubomirskim! Ten znalazł się pięknie i godnie, żądając przywrócenia do urzędów, choćby tylko na trzy dni, poczem obiecywał sam z nich zrezygnować. Autor »Doli i niedoli« twierdzi, że Lubomirski, dotychczas nietylko czysty, ale wzorowy i zasłużony obywatel, naraz po wyroku zepsuł się i »stanąwszy na ziemi wygnania, na Śląsku, założył tam szalbierstw kuźnię, podobną do warszawskiej«, bo udawał się o pomoc do władców niemieckich. Syn jego pojechał do Wiednia i miał tam 15 stycznia 1665 r. audyencyę u cesarza; pozwolono Lubomirskiemu werbować sobie żołnierzy urlopowanych z cesarskiej służby. Dostał też Lubomirski niespodziewaną ofertę pomocy — z Moskwy! Syn kanclerza Naszczokina, podróżujący właśnie za granicą, doniósł o całej sprawie ojcu, przesadzając, że Lubomirski zbiera na Śląsku »duże wojsko«, z którem wkroczy do Polski, a wie, że wojsko koronne połączy się z nim. W Moskwie życzono sobie bardzo tej wojny domowej. Naszczokin sam pisał do Lubomirskiego dnia 9 marca 1665 r., zaręczając, że dostanie »znaczne posiłki« z Moskwy i zaznaczając wyraźnie, że pisze to po konferencyi odbytej ze swym panem. Prosi, żeby wygnaniec naradził się z jego synem i dał rychłą odpowiedź. Czy młody Naszczokin był u Lubomirskiego, nie wiemy; ale niebawem wyprawił marszałek swego pełnomocnika do Moskwy!

Poczyna się ciekawa sprawa, o której brak niestety, szczegółów, ukrytych jeszcze w archiwach rosyjskich. Zrazu czynił Lubomirski starania w Wiedniu, »żeby cesarz wyprawił niezwłocznie specyalne poselstwo do Moskwy, celem odwrócenia cara od wszelkiego pokoju lub rozejmu z Polską; że w takim razie owe sześć milionów, które car ofiaruje Polakom za zrzeczenie się Smoleńska i Siewierska, można będzie użyć na wojsko i na przeprowadzenie elekcyi wedle myśli jego«. Zaczyna się szereg korespondencyi z zagranicznymi dworami, a niełatwo orzec, czy w której z nich Lubomirski pisał to, co myślał, czy też pisał umyślnie tak, ażeby na wszelki wypadek zapewnić sobie życzliwość i schronienie. Faktem jest, że »podnieta« do wojny domowej wychodziła z Moskwy; ale nie mamy żadnych danych twierdzić, że ta podnieta wpłynęła na postanowienia Lubomirskiego. Król odrzucił propozycyę jego, co do przywrócenia do urzędów i teraz dopiero można stwierdzić, że Lubomirski gotował się do zbrojnej wyprawy do Polski.

Dwór porzucił zamiar przejednania b. marszałka i hetmana, bo właśnie Ludwik XIV przyrzekł wyprawić Kondeusza z czterema tysiącami starego żołnierza do Gdańska, i donosił, że Szwecya będzie miała 12.000 wojska na każde zawołanie Jana Kazimierza. Wobec tego postanowiono przystąpić do dzieła, lecz wcale nie w formie legalnej, zwykłej elekcyi. Zwołano tylko t. zw. konwokacyę, t. j. zjazd senatorów i to tylko litewskich, do Brześcia litewskiego. Tam miano ogłosić księcia d'Anguien Wielkim Księciem Litewskim, ażeby obawą zerwania unii zmusić Koroniarzy do powolności. Rzucano śmiało rękawicę! Ani cesarz, ani elektor nie życzyli sobie wojny domowej w Polsce, toteż posłowie ich wstawiali się za Lubomirskim, ale napróżno. Sympatye Habsburgów musiały jednak być po stronie b. marszałka, który siłą wypadków stał się — chociaż tylko przygodnie — przeciwnikiem francuskiej polityki w Polsce.

Przygotowanym już będąc na wszystko, czekał jeszcze Lubomirski, co będzie na nowym sejmie, który zagajono 16 marca 1665 r. Zerwano go! Skoro tylko doszła o tem wiadomość do Wrocławia, zaraz wyruszył (dnia 6 kwietnia) w trzysta koni do

Polski; z końcem miesiąca stanął na Spiżu, gdzie własny jego syn był starostą i przebywał w Lubowli do 20 maja 1665 r. Przez ten czas wystąpił przeciw niemu całkiem niespodzianie — Jan Sobieski i dał się użyć królowej na głowę francuskiego stronnictwa w Polsce.

W tej to chwili wpłynęła na tok spraw publicznych po raz pierwszy — Marysienka. Wypada nam tu poświęcić chwilę sprawom prywatnym Sobieskiego. Pisze o nich sporo p. Korzon, ale najlepiej zna je p. Czermak i teraz głównie za nim pójdziemy.

Sobieski miał lat 25, gdy na pokojach królewskich (było to przed samym najazdem szwedzkim 1655 r.) poznał 14-letnią Maryę Kazimierę de la Grange d'Arquien, dworzankę królowej Ludwiki Maryi. Bardzo się sobie wzajemnie spodobali; ale on był tylko starostą jaworowskim i pułkownikiem. Musiał więc ustąpić ordynatowi i wojewodzie sandomierskiemu Zamoyskiemu i co ciekawe, nigdy nie miał o to żalu do Maryi Kazimiery! Szesnastoletnia wojewodzina nie kochała się ani w mężu, ani w Sobieskim (nie kochała wogóle nigdy w życiu!), ale w tamtym podobała się jej ordynacya i karyera, a w tym piękna postawa i męskie przymioty. Za tamtego tedy wyszła za mąż, a z tym utrzymywała przyjazne stosunki, które — powiedzmy to zaraz i podnieśmy z całym naciskiem — nie wyrodziły się nigdy we wiarołomstwo. Marya Kazimiera odjechała męża, wróciła do Francyi z zamiarem, żeby, rozwiódłszy się, już tam pozostać i tam złączyć się ze Sobieskim, którego namawiała, żeby się ekspatryował i do Francyi na stałe przeniósł. Rodzice nie widzieli Marysieńki od 17 lat! poprostu powiedziawszy, nie znali całkiem swej córki. »Jest prawdopodobnem, że piękność jej wywołała wtedy (w 1662 r., miała zaś lat 21) w Paryżu większe wrażenie, niż się spodziewali, że więc uśmiechały im się widoki wydania Maryi Kazimiery w razie owdowienia (Zamojski wiecznie chorował) za jakiego magnata czy dygnitarza francuskiego; a kto wie, czy nie reflektowali i na to, że z pomocą jej wpływów i stosunków uda się im samym wydostać na wyższe stanowisko i otworzyć sobie źródło obfitszych dochodów?« Nie chcieli córki puścić z powrotem do Polski i bardzo radzi byli Sobieskiemu. Ale chorąży ko-

ronny oświadczył, że »honor i reputacya« nie pozwalają opuścić Ojczyzny i to w czasach wojennych. Po kilkunastu miesiącach wraca Marya Kazimiera do męża, z Sobieskim koresponduje i widuje się (daleka zawsze od wiarołomstwa), namawia go z ramienia królowej do intrygowania w konfederacyach wojskowych, potem do przyjęcia urzędów po Lubomirskim, lecz i jednym i drugim razem napróżno! Ale dnia 7 kwietnia 1665 r. umiera Zamojski, Marysieńka zostaje wdową (właśnie Lubomirski ruszał z Wrocławia na Spiż) i nagle wiele rzeczy się zmienia.

W dwa tygodnie po śmierci Zamojskiego przyjeżdża Sobieski do Warszawy. Rzecz naturalna, że po przeczekaniu żałoby mieliby się pobrać. Ale nadto stało się jeszcze coś, i to tak nagle, co upoważnia do wniosku, że Marya Kazimiera nie oddałaby i teraz swej ręki — nie będącemu nawet całkiem senatorem. Może nie koniecznie nawet trzeba dopatrywać się w tem ręki królowej, prawdopodobnie Marysieńka sama postawiła *aut — aut:* albo przyjęcie urzędów po Lubomirskim, albo ona nie odda mu swej ręki. Dnia 21 kwietnia przyjechał Sobieski do Warszawy, a (jak stwierdził p. Korzon), jeszcze przed 24 kwietnia zdecydował się przyjąć po Lubomirskim laskę marszałkowską. Przez to samo stał się przeciwnikiem dawnego marszałka i musiał sobie życzyć, żeby go pokonano. Występuje więc na radzie senatu przeciw porozumieniu z Lubomirskim, wystawia własnym kosztem 400 koni na spodziewaną wojnę domową, a dnia 18 maja przyjmuje oficyalnie urząd marszałka wielkiego koronnego. Było to skandalem dla całej Polski, a Sobieski stał się w jednej chwili niepopularnym do najwyższego stopnia. Nacierpiał się on sporo o tę laskę! Dla miłości kobiety postąpił wbrew przekonaniu i to zaznaczonemu przed niewielu jeszcze tygodniami tak demonstracyjnie! Zaznaczmyż, że w całem życiu nie powtórzyło się już nigdy coś podobnego. O wpływie Maryi Kazimiery na publiczne postanowienia Sobieskiego mówi się dużo, ale udowodnić go można tylko w tym jednym wypadku.

Ofiara tak ciężka, jak czyn wbrew przekonaniu dokonany, zdawała się złożoną napróżno na ołtarzu miłości, bo oto stary margrabia d'Arquien sprzeciwił się teraz małżeństwu. Kazał córce

wracać do Francyi. Nie miałby nic przeciw Sobieskiemu, gdyby się ekspatryował, ale w Polsce nie chciał córki pozostawić żadną miarą; miał widocznie we Francyi coś na widoku. Natenczas królowa zdobyła się na szczególny pomysł, istny zamach stanu w miniaturze. Na małżeństwie tem zależało jej niezmiernie; widząc, jak żelazne zasady Sobieskiego stajały na słońcu miłości, i to tak nagle, w jednej chwili, myślała, że zawsze tak będzie i że przez Maryę Kazimierę uczyni sobie z niego powolne narzędzie. Wobec tego małżeństwo to nabierało dla niej pierwszorzędnej politycznej doniosłości. Pisze tedy do margrabiego, że listy jego doszły za późno, bo ona już Marysieńkę za mąż wydała, że ślub był sekretny ze względu na to, że ciało nieboszczyka jeszcze nie pochowane, ale odbył się w obecności posła francuskiego Bonzy'ego, którym się świadczyła. Bonzy sam przyświadczył w depeszy do Paryża wyprawionej i oznaczył nawet datę: 19 maja i tak plotka o tajnym ślubie obiegła nie tylko całą Polskę, ale nawet całą Europę i dostała się nawet do historyi (padł jej ofiarą sam p. Czermak w swym szkicu p. t: »Potrójne śluby Jana Sobieskiego i Marysienki«, który jednak najlojalniej odwołuje w ostatniej swej pracy). Był więc drugi skandal złączony z imieniem Sobieskiego, a tymczasem ani on, ani Marysieńka nie wiedzieli zgoła o niczem! Gdy plotka dotarła do nich, zżymali się, a zwłaszcza Sobieski, ale stało się, co zwykle w takich razach: zanim się spostrzegł, już plotka zrobiła swoje i był zupełnie skompromitowany! Kiedy Marya Kazimiera wybrała się z końcem maja do dóbr ordynacyi zamojskiej, nie wpuszczono jej nie tylko do Zamościa, ale nawet podstarości okoliczni odmawiali jej wręcz dachu nad głową i musiała się nawet od podrzędnych oficyalistów nasłuchać wołania: »A nazad Sobkowa!« Wśród takich okoliczności najlepiej było przyspieszyć ślub; nie czekając więc terminu przystojnego wdowiej żałobie, pobrali się w kwartał po śmierci Zamoyskiego, dnia 5 lipca 1665 r., żeby okazać, jak bezpodstawną jest plotka o tajnie zawartem małżeństwie. Epizod ten okazuje nam, jak bezwzględnie postępowała sobie królowa, nie dbając o nikogo i o nic, dążąc do celu najprostszą drogą. Samo skompromitowanie Sobieskiego

było jej też na rękę; tem bardziej był teraz zawisły od niej i związany z powodzeniem dworskiej polityki, gdy opinia całej Polski odwróciła się od niego. Trzeba było nielada charakteru, żeby się z takiej matni wydostać z honorem.

Ożenił się Sobieski pospiesznie, jakby na postoju w wojennym pochodzie. Z uwielbianą i od dziesięciu już lat upragnioną Marysieńką mógł przebywać zaledwie cztery dni po ślubie! Piątego dnia trzeba było ruszać do obozu.

Lubomirski wyruszył z Lubowli już 20 maja, dnia 6 czerwca wydał z Libuszy swój manifest do szlachty, poczem skierował się do Lwowa, pustosząc gruntownie posiadłości Sobieskiego po drodze. Wojsko uznało Lubomirskiego w nowej konfederacyi zawiązanej we Lwowie dnia 6 lipca swym prawowitym hetmanem, co było zarazem buntem przeciw królowi. Z początkiem sierpnia rozpoczął się ów dziwny pochód wojsk Lubomirskiego po obwodzie Polski (zapewne dlatego, żeby w razie klęski być blizko granicy) i pościg snujących się za nim wojsk królewskich, pod wodzą samego hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Rewery Potockiego, (syn jego własny, Feliks, podczaszy koronny, przyłączył się do Lubomirskiego!). Wiadomo, jak dumnie i godnie postępował rokoszanin; jak chciał uniknąć rozlewu krwi, jak coraz nowe chorągwie przechodziły na jego stronę. Stał się przeciwnikiem groźniejszym, niż można było przypuszczać.

Rokosz pogmatwał plany królewskie. Na zamierzoną w Brześciu litewskim konwokacyę wybrało się ledwie — dwóch senatorów, a więc trzeba było wyrzec się jej pod pozorem odroczenia. Zamiar ogłoszenia Francuza Wielkim Księciem Litwy okazał się niewykonalnym i to było pierwszem, a walnem zwycięstwem rokoszan. Królowa nie dała za wygraną. Miała już na wszelki wypadek plan inny, omawiany w najzaufańszem gronie już od kilku miesięcy. Jan Kazimierz uda, że abdykuje i w ten sposób zmusi Polskę do elekcyi, na którą przybędzie — Kondeusz z wojskiem francusko-szwedzkiem. Sobieski wystawił dnia 5 czerwca 1665 r. formalny rewers na popieranie francuskiego kandydata, który (wraz z wieloma innemi) odesłano do Paryża. Komedya abdy-

kacyi miała nastąpić zaraz po pokonaniu rokoszu, ale Jan Kazimierz zamierzał pozostać po elekcyi nadal w Polsce.

Najpierw atoli trzeba się było załatwić z Lubomirskim. Zmiana taktyki dworskiego stronnictwa ułatwiała zgodę. Skoro król miał abdykować, musiałaby się i tak odbyć elekcya. Lubomirski nie mógł wiedzieć, że abdykacya miała być tylko udaną, mógł się spodziewać elekcyi zupełnie legalnej, a że przeciw samej osobie francuskiego księcia nic nie miał, mógł się więc zobowiązać do popierania go w razie bezkrólewia. Pragnął on szczerze pojednania i chciał uniknąć rozlewu krwi bratniej. Gotów więc był dać na piśmie oświadczenie, że będzie za Francuzem, ale królowa odrzuciła propozycyę. Nie koniec na tem: Lubomirski oświadczą, że przeniesie się na stałe zagranicę i to nie do »cesarskich krajów«, lecz do Włoch, byle go pozostawić przy majątkach ziemskich; obiecywał zaś wyjechać wkrótce, za kilka tygodni. I to odrzucono i Jan Kazimierz ruszył pod Częstochowę. Król poniósł klęskę (Sobieskiego nie było w tej bitwie). Zwycięzca puścił jeńców bez okupu i dopraszał się nadal pojednania. Miał Jerzy Lubomirski nader silny zmysł monarchiczny w sobie i zachowywał się rzeczywiście z przedziwną poprawnością względem króla. Ale dwór nie chciał pojednania. Szlachta wielkopolska łączy się z Lubomirskim i zaczyna się znowu bieganina wojsk po obwodzie Polski. Nie udało się pokonać go, on zaś sam nie chciał być zwycięzcą, lecz szukał ciągle sposobności pojednania się z królem! Czynił to szczerze, świadczą za nim czyny. Utrzymywał wprawdzie równocześnie stosunki z brandeburskim i cesarskim dworem, ale bo też prosty rozsądek wymagał, żeby na wszelki wypadek mieć odwrót zapewniony na ich terytoryum, nie zaciągał zaś żadnych a żadnych zobowiązań ani w Berlinie, ani w Wiedniu. Nareszcie, gdy już Lubomirski rozporządzał taką większością w kraju, że mógłby króla strącić z tronu, gdyby tylko chciał, przyjęto jego przeprosiny pod Palczynem dnia 7 listopada 1665 r., poczem Lubomirski usunął się znowu do Wrocławia. Oszukiwano go. Sprawę jego przekazywano nadzwyczajnemu sejmowi, oznaczonemu na 17 marca 1666 r., ale umawiano się z góry, że sejm ten będzie zerwany (ambasador francuski, bi-

skup Bonzy, wiedział o tem w sześć dni po akcie pod Palczynem!) i szukano zbirów do skrytobójczego zamachu na Lubomirskiego. Wyczekiwano na pewne Kondeusza. Sobieski radził ogłosić wtenczas zaraz abdykacyę i odbyć elekcyę na wiosnę. Wobec sprawy Lubomirskiego zachowywał się Sobieski poprawnie i gotów był zrzec się marszałkostwa, byle nastąpiło pojednanie. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że zwodzono także Sobieskiego i wyzyskiwano jego dobrą wiarę; na pewno zaś nie wiedział, że królowa o pogodzeniu się z Lubomirskim wcale nie myśli i tylko chce zyskać na czasie. W marcu 1666 r. prosił już Lubomirski tylko o zniesienie infamii i konfiskaty, nie żądając przywrócenia do urzędów. Było to przed samym sejmem, na którym miano roztrząsać sprawę b. marszałka i hetmana. Król prośbę odrzucił, jakkolwiek minęła już zima, a Kondeusz nie przybył. Posyłał król za to pieniądze Tatarom, żeby z nadejściem wiosny przybyli w sześć tysięcy koni.

Nie przybył Kondeusz, bo tymczasem zmieniła się konstelacya polityczna w Europie i tak cesarz, jakoteż sam Ludwik XIV doradzali zgodnie restytucyę Lubomirskiego. Zebrał się sejm i okazał usposobienie nader przychylne dla »rokoszanina«. Po śmierci Czarnieckiego (3 grudnia 1665 r.) zawakowała znów buława polna. Lubomirski żądał, żeby mu ją teraz zwrócono, a gdy król nadał ją Sobieskiemu, zażądała Izba poselska wstrzymania tej nominacyi przynajmniej na jeden rok. Uchwaliła też Izba prawie jednomyślnie (dnia 28 kwietnia 1666), że nie uznaje marszałkiem wielkim koronnym nikogo, jak tylko Lubomirskiego. Przechodził Sobieski przez ciężkie opały i wstyd publiczny, za to, że przyjął urzędy wbrew swemu przekonaniu. Przyjąwszy, nie chciał sobie dać ich wydrzeć. Niedawno gotów był złożyć je dobrowolnie, ale być przymuszonym do rezygnacyi, toć to całkiem co innego! Ażeby uśpić czujność Lubomirskiego, ofiarował mu król zwrot czci i dóbr, tudzież wojewodzińską godność sandomierską; ale też zarazem postarał się o zerwanie sejmu! Swoją drogą ambasador francuski, biskup Bonzy, przygotowywał Sobieskiego, że mogłyby zajść takie okoliczności, że zażądanoby od niego rzeczywiście złożenia godności w ręce Lubomirskiego. Zgadzał się

na to i zgodzić musiał, bo i tak ogół go nie uznawał ani marszałkiem, ani hetmanem i gdyby król chciał mu te urzędy odjąć, znalazłby się w położeniu bez wyjścia, upokorzony i ośmieszony przed całym krajem. Zamyślał więc przenieść się w takim wypadku do Francyi.

Po zerwaniu sejmu byłby i Lubomirski w położeniu bez wyjścia, jakby zawieszony między niebem a ziemią, gdyby nie to, że Wielkopolanie podnieśli na nowo rokosz i wezwali go na wodza. Chętnie to przyjął, a może nawet sam o to się starał; postanowił widocznie nie spocząć, póki wyrok sądu sejmowego nie będzie skasowany. Rozsyłał po kraju swój »jawnej niewinności manifest«, a dnia 19 czerwca 1666 r. przekroczył na nowo polską granicę. Znowu rokowania, a prowadzone nieszczerze, boć rzecz naturalna, że teraz Lubomirski nie dowierzał już do reszty dworowi. Już się umówiono o warunki, gdy wtem nad wszelkie spodziewanie król sam wydał mu bitwę pod Mątwami i to w sposób szczególniej podstępny, łudząc rokoszan do ostatniej minuty. Ale Lubomirski miał się na baczności. W ciągu półtorej godziny stracili królewscy 73 sztandarów. Dowodził król osobiście i hetman wielki koronny, 80 letni Rewera Potocki. Sobieski nie miał tam żadnej władzy, ani też rad jego nie słuchano. Z regimentu jego wybito wszystkich poruczników i chorążych, on zaś sam cofnął się ostatni z placu boju. A za to wszystko zganiał potem dwór na niego winę klęski! Widocznie upatrzony był przez królowę na ofiarę.

Zwycięski »rokoszanin« prosi, żeby król raczył przyjąć jego przeprosiny; król odmawia, ale — nie ma czem opłacać dalej wojska, a Ludwik XIV domaga się, żeby w Polsce był pokój wewnętrzny. Dnia 31 lipca 1666 r., ostatniego dnia opłaconego wojsku kwartału, a pod przymusem Francyi, staje tedy »deklaracya łaski«, ułożona w Łęgonicach nad Pilicą. Rokoszanom powszechna amnestya, osobista zaś sprawa Lubomirskiego odesłana znowu do najbliższego sejmu, któremu zastrzeżono ratyfikacyę całej ugody łęgonickiej; król zaś zrzeka się przeprowadzenia elekcyi za swoich jeszcze rządów, co było bez znaczenia, bo nie mogło oczywiście wykluczać przeprowadzenia jej za pomocą

abdykacyi! Dnia 8 sierpnia 1666 r. nastąpiła uroczysta scena przeprosin w Jaroszynie. Jakby dwór chciał popchnąć Lubomirskiego do zerwania umowy, zmieniono w ostatniej chwili formułę przeprosin, dodając wznowienie przysięgi na wierność i wyrzeczenie się wszelkich stosunków szkodliwych dla kraju z cudzoziemskimi dworami, podczas gdy Lubomirski obstawał przy tem, że wierności królowi nie naruszył, tylko się bronił od krzywdy, a stosunków zdradzieckich żadnych nie utrzymywał. Dla miłej zgody upokorzył się jednak Lubomirski. »Nie należy wyszydzać tej pokory, lecz uznać w niej wyraz mądrej, z prawem państwowem zgodnej i dobremu obywatelowi niezbędnej czci majestatu«. Niebawem otrzymał z Warszawy wiadomość, że knuje się znów zamach na jego życie, wyjechał więc ponownie na Śląsk, gdzie zastawiał naczynia stołowe, żeby mieć z czego żyć.

Zanim jeszcze wybuchnęła ta ponowna wojna domowa 1666 r., pojawił się za granicą nowy kandydat do polskiej korony. Ludwik XIV obiecankami tego wyniesienia zapewniał sobie mianowicie wierność palatyna neuburskiego, Filipa Wilhelma, na którym zależało mu niezmiernie, gdyż był on podporą »Rheinbundu«. Czy królowi Francyi zależało istotnie na tem, żeby elekcya tego księcia doszła kiedykolwiek do skutku, to wydaje się dosyć wątpliwem; w samym sposobie popierania jej więcej było przyrzeczeń, niż czynów i poczęto właśnie oszczędzać francuskich pieniędzy na agitacyę w Polsce; obiecywano miliony, ale zwlekano z wypłatą każdego tysiączka. Popierał tego księcia także cesarz (zgoda niesłychana!), ale najbardziej interesował się nim elektor brandeburski, dostawszy za to od niego z góry dwa okręgi w Niemczech (Ravenstein i Recklinghausen). Poseł brandeburski Hackeberg otrzymał misyę, żeby pozyskać dla tej sprawy Lubomirskiego, ten zaś był do tego stopnia lojalnym, że póki trwała wojna domowa, nie chciał się tem całkiem zajmować. Wszak mu król i tak zarzucał, że wchodził w szkodliwe dla Polski porozumienia z zagranicą. Ale narażać się nie mógł ani elektorowi, ani cesarzowi, bo był u nich zadłużony, a mógł ich jeszcze potrzebować. Nazajutrz więc po przeprosinach w Jaroszynie oświadczył Hackebergowi, że będzie popierać Neuburga. Czy powiadał to

szczerze, nie mamy żadnych danych do osądzenia. Trwały też dalej układy z królową polską, na co elektor poczynał widać patrzeć niechętnie, skoro Lubomirski uważał za stosowne wyprawić (z końcem listopada, a może z początkiem grudnia 1666 r.) do Berlina swego sekretarza z pewnego rodzaju usprawiedliwieniem, że układy jego z dworem zmierzały tylko do oszukania Francuzów. Tu natrafiamy na ustęp zupełnie ciemny. Cóż bowiem »Francuzom« mogło to wszystko szkodzić, skoro Ludwik XIV sam był za Neuburgiem, tak samo, jak elektor? Co mogło elektorowi szkodzić pojednanie Lubomirskiego z dworem, skoro sam to zawsze doradzał i za nim u króla tyle razy się wstawiał? Albo zachodzi tu nieporozumienie, albo zaszło wówczas coś, o czem nie powzięliśmy jeszcze ze źródeł wiadomości.

A tymczasem dnia 27 sierpnia 1666 r. były już ułożone warunki abdykacyi Jana Kazimierza i król miał złożyć koronę na najbliższym sejmie, a więc jeszcze z końcem tego roku. Wydaje mi się wielce prawdopodobnem, że wtenczas już na istotną zanosiło się abdykacyę, ale przymusową, pod przymusem nie tylko zwolenników Lubomirskiego (byli nimi obydwaj ówcześni kanclerze, Leszczyński i Olszowski; Prażmowski był już prymasem), ale niemniej i samego stronnictwa francuskiego. Rządy tego króla wszystkim a wszystkim dały się już we znaki! Odtąd też król poczyna zdradzać niechęć do abdykacyi i zwleka z nią od terminu do terminu, czując, że teraz nie byłoby to już komedyą polityczną! Ofiarował też niespodzianie świetne warunki Lubomirskiemu: nie tylko zwrot laski i buławy, ale nadto sperandę na kasztelanię krakowską; Sobieski miał zaś przenieść się do Francyi. Ludwik XIV zgadzał się zrobić go marszałkiem Francyi, ale — nazajutrz po elekcyi. Rozchodziły się pogłoski o wznowieniu kandydatury Kondeusza i być też może, że książę Neuburski był dla króla francuskiego tylko parawanem dla zakrycia przed Austryą i Brandeburgią właściwych swych zamiarów. Stajemy na gruncie bardzo niepewnym. Stan wiadomości z końca roku 1666 przedstawia się tak chaotycznie, a zarazem defektownie, że tu do żadnej konstrukcyi historyograficznej przystąpić jeszcze nie można. Sejm zaś, mający odebrać abdykacyę

króla, a zatwierdzić ugodę łęgonicką, został zerwany i to, zdaniem p. Korzona, z ramienia dworu. Lubomirski pisze list do senatu z żądaniem zupełnej restytucyi i toczą się dalej z królową układy, wśród których umarł Lubomirski we Wrocławiu dnia 31 stycznia 1667 roku. Rehabilitacya jego nastąpiła z urzędu dopiero za następnego panowania.

Dzień jeden przed zgonem Lubomirskiego podpisywano w dalekim Andruszowie rozejm z Moskwą na lat trzynaście i pół, odstępując jej Smoleńska, Siewierza i Czernihowa i oddając na okupacyę Kijów na dwa lata; wracały zaś do Polski: Inflanty polskie, Połock i Witebsk. Tu nasuwa się uwadze druga, ciemna zupełnie strona sprawy Lubomirskiego. Układy pokojowe z carem Aleksym trwały już od kwietnia 1666 r., a tuż przedtem, a może nawet jeszcze nieco równocześnie miały się odbywać jakieś porozumienia pomiędzy carem a Lubomirskim. Wiadomości o tem ograniczają się do tego, że Ordin Naszczokin, kanclerz, miał wiadomość od samego cara (datowaną 16 marca 1666 r.), że »przysłany od Lubomirskiego pułkownik przedstawił dwie prośby, po pierwsze: aby syn Lubomirskiego przyjęty został do służby carskiej i dostać mógł dwa miasta na Ukrainie, z których broniłby granic moskiewskich od Tatarów i Polaków, *(sic!)* powtóre: aby ojcu udzielono pieniężnej pomocy dla pomnożenia sił w walce z królem. Podobno Lubomirski dogadzając życzeniom cara i elektora brandeburskiego *(sic!)* miał popierać elekcyę cara na tron polski«. Ambasador francuski Bonzy pisał zaś potem, dnia 22 lutego 1667 r. do posła francuskiego w Konstantynopolu, że po śmierci Lubomirskiego przekonał się z jego papierów, że cała intryga cara i elektora zmierzała nie do czego innego, jak do elekcyi cara na tron polski. Potem mięszał Bonzy w to także jeszcze cesarza Leopolda I. Co o tem sądzić?

Wiemy, że car Aleksy Michajłowicz pragnął już w r. 1656 zostać desygnowanym następcą Jana Kazimierza. Czy to pozostaje w jakim związku z nawiązaniem następnie stosunków z Lubomirskim? Wiemy też, że nawiązywał on je również z Gosiewskim, hetmanem litewskim. Ale łączy się z tem inna arcyciekawa wiadomość. Oto po ratyfikacyi traktatu andruszowskiego car »że-

gnając poselstwo polskie (wojewody czernihowskiego Bieniewskiego) wezwał je na posłuchanie prywatne... żeby nakłonili króla i Rzpltą do zawarcia pokoju wieczystego niezwłocznie, kazał Ordin-Naszczokinowi odczytać obszerny i starannie opracowany memoryał o warunkach i pożytkach zjednoczenia państw, wreszcie prosił, aby w kwestyi zjednoczenia kościołów posłowie rozmówili się z patryarchami« (bawiło właśnie dwóch patryarchów w Moskwie). Zdaniem p. Korzona »szczerość życzeń carskich, jak dziś widzimy, nie ulega wątpliwości«. »On sam i najzaufańsi doradcy jego, Naszczokin, Matwiejew, byli zwolennikami cywilizacyi zachodniej, a do polskiej lgnęli najbardziej«. Wprowadzano nowe obyczaje i urządzenia, wszystkie dzieci carskie uczyły się języka polskiego, a Fiedor (upatrzony na kandydata do tronu polskiego) ożenił się następnie z Polką (Agatą Gruszecką) i przywdział kontusz, a dworzanie za jego przykładem.

Nastąpiła wojna turecka ze słynną wyprawą podhajecką. Król wzywa na pomoc... Kondeusza, który miał przybyć na czele niemieckich zaciężnych, wiodąc ich przez ziemie elektora brandeburskiego. Tak sobie król roił w kwietniu 1667 r. Kondeusz ani się ruszył, a sejm zmusił króla do ponownej deklaracyi o wolnej elekcyi. Sobieski gotów był ciągle składać urzędy, którymi zamierzano obdarzyć największego jego wroga, Dymitra Wiśniowieckiego i starego zdrajcę, Bogusława Radziwiłła. Sobieski od intryg daleki, godził się na wszystko i radził, jak ma Kondeusz urządzić swój przyjazd do Polski.

Sprawa nie ucichła ani po śmierci królowej Ludwiki Maryi (10 maja 1667 r.), lecz przybierała coraz bardziej takie kształty, że królowi »pozostawało tylko abdykować, albo uciekać, chcąc uniknąć sromotnego wypędzenia«. Na sejmikach stawały uchwały wprost rokoszowe, chociaż nie było już Lubomirskiego, tak opinia oburzoną była zapowiadanem wylądowaniem Kondeusza. Już i Sobieski odradzał, żeby Kondeusz nie przyjeżdżał na pogrzeb królowej (we wrześniu), a w końcu zarzucił nawet chwilowo myśl o nim. Kazał się Marysieńce dowiadywać w Paryżu u księżny orleańskiej, czy nie przyjąłby kandydatury jej brat, Jakób Stuart (późniejszy Jakób II). Stronnictwo francuskie rozprzęgało się; da-

wniejszy jego filar na Litwie, kanclerz Pac, »odstrychnął się stanowczo« i myślał o carewiczu Fiedorze, a król myślał tylko o tem, żeby... nie abdykować i oprzeć się na Francyi. Ale Ludwik XIV nie chciał mu złożyć w ofierze żadnego z francuskich książąt. Świeża historya rokoszu pouczała, że Polska nie da sobie narzucić króla, a w lutym 1668 r. uchwalał sejm (chociaż bezskutecznie) wydalenie Bonzy'ego, a w Warszawie dopuszczano się rozmaitych gwałtów wobec legacyi francuskiej. »Jan Kazimierz pałał zemstą, odgrażał się, że wyda całe Prusy królewskie pierwszemu lepszemu, kto mu wojska dostarczy, Francuzom, Brandeburczykom czy Szwedom i zapytywał posła brandeburskiego obcesowo, czy może liczyć na jego pomoc przeciw buntowi«. Z początkiem marca 1668 r. zawarł umowę z palatynem neuburskim.

Właśnie przyjechał z propozycyą pokoju wieczystego do Warszawy, około 1 marca 1668 r., wielki poseł carski, Wasyl Michajłowicz Tiapkin, a miał zapewne przygotować grunt dla carewicza Fiedora, który liczył dopiero pięć lat wieku; poselstwo jego nie poszło nawet pod decyzyę sejmu, zajętego wyłącznie t. zw. intrygami francuskiemi. Wymuszono na królu znowu oświadczenie, że za jego rządów nie odbędzie się elekcya; a skoro znaczna część opozycyi właśnie życzyła sobie elekcyi, znaczyło to więc w praktyce, że się króla zmusi do abdykacyi. Jakoż w kwietniu sam Sobieski odgrażał się, gdyby abdykacya miała być odłożoną jeszcze dłużej, niż na rok. Przez Marysieńkę przynaglał dwór francuski, żeby zawrzeć jak najprędzej umowę o elekcyę Neuburga. Ustanowiono wreszcie sejm abdykacyjny na 27 sierpnia i dnia 16 września 1668 odbyło się ostatnie ucałowanie ręki królewskiej. Tak więc i to do »nowin« przybywa, że cały ten liryzm, jakim dotychczas owianą była abdykacya Jana Kazimierza, pochodził tylko z nieświadomości naszej; on abdykował nie dlatego, że był »złamany cierpieniami i zawodami«, ale dlatego, żeby uniknąć sromotnej detronizacyi, bo już Sobieski gotował się zostać następcą Lubomirskiego i to z woli ogółu, wysyłającego do niego w tej sprawie deputacye od wszystkich

województw! Abdykacya Jana Kazimierza jest już zupełnie jasną. Ciemną natomiast pozostaje sprawa kandydatury cara Aleksego, względnie carewicza Fiedora i jej stosunek do wypadków tych lat, a zwłaszcza do rokoszu Lubomirskiego. Dalsze badania archiwalne winne się potoczyć w tamtą stronę. Rosyjscy historycy nie wiedzą dotychczas nic a nic o tej »polonofilskiej« stronie cara Aleksego.

Dr. Feliks Koneczny.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ.

PAPIESTWO JAKO WSZECHWŁADZA PAŃSTWOWA.

(Dokończenie).

Choć nie wiadomo, kto był Pseudo-Tomaszem, przecie można mniej więcej odgadnąć, w którym czasie opracował swój wyrób. Mianowicie czytamy o wypadkach po śmierci Ottona 3-go w roku 1002-gim:

»Odtąd, jak dzieje niosą, Grzegorz 5-ty, także Teutończyk, zarządził, żeby siedmiu książąt alemańskich wybierało cesarza«.

Ale znowu tego dzieje nie niosą. Grzegorz 5-ty (996—998) nie żył po śmierci Ottona. Ani też po nim nie widać nic zarządzonego o siedmiu wyborach. Po Ottonie 3-cim jego brat stryjeczno-stryjeczny Henryk 2-ry, którego obrali Bawarzy i Frankowie, zjednał sobie inne plemiona prośbami, kiedy objechał księstwa: więc jeszcze nie od siedmiu wyborców dostał berło. Po jego śmierci (1024) liczne tłumy przybyły na wybory pod Wormancyę i podzielone na gromady pod sześcioma tarczami, obrały Solijczyka: zatem jeszcze nie siedmiu wyborców wręczało berło. Solijski ród wygasł na Henryku 5-ym roku 1125-ym. Tłum 60.000 stanął na polu wyborczem i okrzyknął pod wpływem duchowieństwa króla Lotara 3-go: za jego więc czasów jeszcze nie sprawowali urzędu wyborcy osobliwi. Po jego śmierci, kiedy jego zięć Henryk Welf zagarnął godło cesarskie (1137), wtedy książęta już, a nie obywatele niemieccy tłumami, za antypapy Grzegorza

(1138), obrali Hohenstaufa Konrada 3-go z Gweibelingu. Z początku dokonywali obioru książęta wszyscy, potem najznaczniejsi rozstrzygali obór swoimi głosami, usuwali stopniowo wpływ innych i zagarnęli dla siebie prawo wyłączne. Do 1356-go nie był ustalony porządek wyborów. W tym roku Karol 4-ty urządził sprawę ostatecznie Złotą Bullą, która mianowała siedmiu elektorów.

Zatem nie od Grzegorza 5-go, ale chyba od czasów Grzegorza antypapy pochodzą pierwsze związki wyborów przez siedmiu książąt.

Kto w rozprawie z dziedziny naukowej tak pamiętnie zapisuje, który papież był Teutończykiem, niedokładnie jednak zna dzieje cezaryzmu zachodniego, którego zwolennikiem okazuje się tak otwarcie. Ani jego uwaga na teutoński ród owych papieży, ani jego nieporównane z niczem poglądy prostoduszne, ani niedbalstwo o dokładną wiedzę, ani popęd do wykładu pojęć z góry powziętych: nic tu nie przypomina Tomasza z Akwinu.

Następnie czytamy po słowach o Grzegorzu i jego rzekomej ustawie wyborczej: »Tak też trwa aż do tego czasu, to jest przez przeciąg lat 270-ciu albo około tego, i trwać tak długo będzie, jak długo rzymski Kościół, który zajął najwyższy szczebel w zwierzchnictwie, uzna za stosowne dla wiernych Chrystusowych, bo do niego należy upatrzyć cesarza, a to z trojakiego prawa: najprzód z Boskiego, bo zdaje się, że tego chciał Chrystus w słowach do Piotra; powtóre z prawa wrodzonego, bo tego wymaga stanowisko duchownej głowy w ciele chrześcijaństwa. Dlatego i pierwszy sobór nicejski papieżowi wobec Konstantyna przydziela prymat; także następne po tym soborze ustawy osobliwie wynoszą rzeczone zwierzchnictwo i mówią, że poważać trzeba jego wyrok, jakoby wydany z ust Boskich; i to samo wyznaje Karol Wielki. Także od jego wyroku nie można odwoływać się, ani od jego władzy świat niema większej, i jemu poruczono zastępować Boga na ziemi: i to trzecia droga czyli prawo na dowód, że najwyższy kapłan w tym wypadku posiada pełnię władzy«. »... Władza imperatorska odpowiada z niektórych względów wielowładztwu. Najprzód ze względu na wybór z rodu bądź świetnego, bądź ciemnego, i ze względu na dziedziczne następ-

stwo. Co do obojga mamy także w nowożytnych czasach przykład tak obranych cesarzy: mianowicie Rudolf, pospolity hrabia z Ausburg, i po jego śmierci wybrany cesarzem Adolf de Anaxone, którego stracił Albert syn Rudolfa i został tak samo obrany«.

Tu mamy wskazówkę o czasie, kiedy pisarz pracował. Przytacza między wypadkami z nowożytnej doby wybór Habsburga w r. 1272-m, po jego śmierci wybór Adolfa nassauskiego w roku 1292-m, który współzawodnikowi swemu, Albrechtowi Habsburskiemu, wydał bitwę i w niej pod Wormancyą poległ w r. 1298-ym. O wypadkach z roku, w którym piszemy, albo z poprzedniego, nie mówimy, że zaszły w czasach nowożytnych, ale, że je mamy obecnie; tak zaliczamy dzisiaj bitwę pod Jalu albo podbój Tybetu do wypadków już najnowszych, a do nowożytnych wojny między Francyą a Prusami, między Rosyą a Turcyą, między Hiszpanią a Ameryką, słowem wojny z przed lat kilku przynajmniej.

Zatem bitwa pod Wormancyą z roku 1298-go podobno o lat przynajmniej parę wyprzedziła chwilę, kiedy pisarz zaliczył ją do dziejów nowożytnych. Mogło tedy dziełko *De regimine* powstać wkrótce przed wspomnianem powyżej dziełkiem *De eruditione,* które wygląda na dalszy ciąg poprzedniego, a nosi na sobie podpis z roku 1303-go. Jeżeli trochę wcześniej wyszło dziełko *De regimine,* tedy użyłoby stosownych wyrazów o przygodach Nassauczyka i Habsburga[1]. Tyle można odgadywać o czasie, kiedy pisarz opracował ustępy, późniejsze od świętego Tomasza przynajmniej o ćwierć wieku.

Po słowach, przytoczonych poprzednio, pisarz dodaje jeszcze pogląd osobliwy (w rodz. 20-m):

---

[1] Dodać można uwagę, że od Grzegorza antypapy i pierwszego zawiązku wyborów przez siedmiu książąt w roku 1138-m aż do roku 1303-go upłynęło lat blizko 170. Pisarz wymienia od ustawy wyborczej Grzegorza 5-go do swojego czasu liczbę lat około 270-ciu. Grzegorz 5-ty przestał w 998-m panować, w lat 300 przed bitwą pod Wormancyą (1298), ani żadnej ustawy wyborczej nie wprowadził. Jak tu jakaś pomyłka przydała Grzegorzowi miano »piątego«, niestosowne oczywiście i powstałe może zamiast »antypapy«, tak mogła w przepisach liczba lat CCLXX wypaść zamiast CLXX: wtedy ta liczba oznaczałaby, że oba dziełka powstały jedno po drugiem około roku 1303-go.

»Z niektórych względów władza cesarska odpowiada królewskiej: ściąga podatki do skarbca osobistego, bierze koronę najprzód żelazną a potem z nogi papieża złotą, na znak poddaństwa wiernego rzymskiemu Kościołowi, po trzecie dowolnie ogłasza ustawy: dlatego nosi miano majestatu«.

Dalej pisarz uważa, że mocarze i władcy udzielni przybierają różne miana zarówno dla siebie jak dla dworzan i kończy księgę trzecią. W czwartej roztrząsa ustrój wielowładczy i pod koniec księgi dodaje: »Zostało jeszcze o władzy ojkonomicznej, to jest o zarządzie domowym, należnym głowie rodziny. Ta rozprawa ma treść zupełnie różną, niż przy innych rządach. I dlatego zdaje się odpowiedniem osobne o niej dzieło ułożyć, podzielone na księgi i rozdziały. Nakoniec wypada rzecz o cnotach, których wymaga rząd«.

Otóż drugie w księgach siedmiu dziełko »O wychowaniu władców«, zawiera same wskazówki obyczajowe i przepisy cnót. W poglądy na stanowisko cesarza i w sprawę berła nad wszechświatem już pisarz wcale nie wchodzi. Całą jego myśl właściwą o berle wszechświatowem, przyrzuconą do tła innych wywodów w dziełku pierwszem, możnaby już streścić w sposób następny:

Ustrój społeczny z wrodzonej potrzeby ludzkiej powstaje najdoskonalej przy siłach dostatecznych do zbrojnej samoobrony i przy rządzie jedynowładczym: cezaryzmie; cezaryzm ten tyranią nie grozi, skoro nad sobą znajduje papieża z berłem wszechświata, a groziłby, gdyby do tyranii drogę znalazł przez grzechy; taki nad światem rząd, sprawowany dawniej w Carogrodzie, wyrokiem papieskim przeszedł na szczep teutoński w osobie Karola Wielkiego; zachodni tedy cezaryzm, póki będzie w Rzymie uznanym za stosowny dla wiernego chrześcijaństwa, dzierżyć ma berło wszechświata«.

I powagą Tomasza z Akwinu poparty taki pomysł służyć miał za chwałę Kościoła rzymskiego, a nie mógłby jego sprawie szkodzić gorzej, choćby powstał w czyjejś głowie złośliwej.

Katolickie mocarstwa nie mogły odwracać uszu od nauki, która chełpliwie groziła, że od papieża zależy wydrzeć im byt

samodzielny i narzucić im nienawistne zwierzchnictwo cezaryzmu zachodniego.

Sprawa cała stosunku papiestwa do wszechwładzy państwowej, którą tylokrotnie i tak obszernie omawiają karty historyi, przedstawia dla badaczy nadzwyczaj rozległe pole. Przedewszystkiem wchodzi tu dzieło Augustyna *De civitate Dei*, które w średniowieczu tak rozmaicie bywało tłumaczone. Ale z góry zastrzegliśmy się, że nie o wyczerpanie tej sprawy nam chodzi, tylko o jeden jej kierunek, w stosunku do uprzedzeń, żywionych na Wschodzie. A jeżeli o rozwianie lub bodaj osłabienie uprzedzeń chodzi, to najlepszą chyba, zdaniem przynajmniej naszem, drogą jest, uchwycić rzecz w samym punkcie przełomowym, przełomowym o tyle, o ile on, jako taki, może zaznaczać się w uprzedzeniach Wschodu. Otóż prócz doktryny wchodzi w tę sprawę jeszcze jeden wypadek historyczny.

Nauka Pseudo-Tomasza o mocarstwie papiesko-teutońskiem miała za sobą żywy dowód doświadczalny: najazd państwa greckiego przez łacinników i zabór przez nich Carogrodu.

Na ten wypadek dziejowy spoglądamy zwykle w jednostronnem tylko oświetleniu. O udziale cesarstwa zachodniego i jego przedstawicieli głównych w krzyżowych wojnach trzeba zbierać wskazówki z różnych stron, aby widzieć prawdę w świetle stosownem. Rzuci nam to pełniejsze światło na dobę wojen krzyżowych. Światło to wcale nie zmniejszy uroku, w jakim błyszczą wśród dziejów wysiłki ducha chrześcijańskiego, aby odzyskać Ziemię świętą z pod zaboru tureckiego; wielostronne światło jednak uwydatni, (co było ostatecznie znanem,) że prócz stron jasnych były między krzyżowcami strony ciemne, pokaże prócz pobudek religijnych także współzawodnictwa polityczne, doprowadzi nakoniec do wniosku, że cezaryzm zachodni zwichnął chrześcijańską myśl Urbana. Skorzystać tu można ze zbiorowej pracy przedstawicieli nauki francuskiej, którzy pod przewodnictwem Lavisse'a i Rambaud'a wydali *Histoire générale* w roku 1903-im. Czytamy tam[1] otwarcie wyrażony pogląd, że wyprawy krzyżowe

[1] Zwłaszcza tom I, str. 659—685; t. II, str. 173, 299 i n., 845 i n.

zamiast zabezpieczyć świat chrześcijański przed grozą półksiężyca, zbierały tłumy zbrojne do walki zarówno przeciw wschodniemu cesarstwu rzymskiemu, jak przeciwko niewiernym. Wśród łacinników wielu wybitnych coraz mniej zważało na zamiar, z jakim Rzym wzywał ich pierwotnie do obrony Greków przed Turkami: zamiast bronić mocarstwa chrześcijańskiego i wejść z niem w przymierze, osłabili je i doprowadzili do rozstroju, w którym czekał je cios ostateczny z ręku tureckich.

Wymienione dzieło wysnuwa ten pogląd z licznych wypadków, z pośród których wystarczy tu przytoczyć następne:

Pierwszą myśl o wyprawach krzyżowych znajdujemy jeszcze w latach zgody Wschodu z Zachodem: gorącą odezwę wydał w tej sprawie Sylwester 2-ry w r. 1000-m.

Przypomniał tę myśl Grzegorzowi 7-mu cesarz grecki Michał Dukas w r. 1074-m i znalazł papieża chętnym, jak tego dowodzi jego odezwa do chrześcijan[1]. Ale Henryk 4-ty przez swoją wyprawę na Rzym nie dopuścił, żeby do jakiegobądź skutku doszły nadzieje cesarza Michała, łożone w chrześcijanach Zachodu.

Jednak pora stosowna do walki z Turkami nie zaraz przeszła bezpowrotnie. Turcy, już ustaleni na swoich zaborach w Azyi Mniejszej, doświadczyli sił na Grekach i spostrzegli[2], że o przewadze z żadnej strony nie można mówić: każda wyprawa zaczęła sprawiać tylko ten skutek, że jedni albo drudzy odebrali sobie jaką ruderę. Między obu szczepami nastawał *modus vivendi*, kiedy śród Turków wybuchły groźne niesnaski wewnętrzne. Cesarz Aleksy Komnen umyślił skorzystać z chwili i wyprawił poselstwo do Urbana 2-go w Piacenzyi roku 1093-gu na zjeździe biskupów,— jak opowiada świadek naoczny Bernold z Konstancyi.

Prośba odniosła skutek na razie zupełny. Urban, Francuz z rodu wysokiego, liczył setkami zwolenników wśród szlachty francuskiej. Pośpieszył do ojczyzny; w Clermont ujrzał przy sobie dziesiątki i dziesiątki biskupów, niezliczonych opatów, tysiące rycerstwa; przemówił o potrzebie greckiego chrześcijaństwa, wezwał na jego obronę przed niewiernymi i porwał zapalne tysiące

[1] Migne 148, 329. [2] Str. 825.

Jest to tedy dziejowym wypadkiem, że cesarz Aleksy na prośbę swoją znalazł w Urbanie papieżu gorliwego orędownika a rycerstwo łacińskie na tę pobudkę odpowiedziało okrzykiem: Bóg tego chce! A za wypadek dziejowy w nowszych czasach nie uchodzi, co przez długie lata rozgłośna wieść roznosiła, że pobudką do wypraw krzyżowych było objawienie, którem natchnięty Piotr, zwany Pustelnikiem, stanął nad Renem na czele niezliczonego tłumu mężczyzn, kobiet i dzieci, aby wraz z niejakim Walterem prowadzić je na wyprawę do Ziemi świętej. Stąd właśnie podnoszą poważny zarzut przeciw Piotrowi, jak mógł człowiek oświecony objawieniem nadziemskiem, a nie uniesiony fanatyzmem, ruszać z taką zbieraniną na podbój Ziemi świętej? Obronę Krzyża część tych wojaków zaczęła już u siebie nad Renem, gdzie Żydów złupili z majątków i powyrzynali ani nie przepuścili arcybiskupowi z Kolonii, iż bezbronnych przed śmiercią ukrył. Przeszli przez południową Słowiańszczyznę obrządku wschodniego, jakby kraj nieprzyjacielski, bo siedlisko odszczepieńców. Z podobnym umysłem podchodzili do Carogrodu. Tu Aleksy mógł już żałować, że sprowadził sobie takich sprzymierzeńców, przecie kazał ich przyjąć gościnnie, nakarmić, zaopatrzyć i wyprawić podług ich woli przez morze do Azyi. Po ich odjeździe słyszał niezliczone skargi na tych krzyżowców, iż głodni i nadzy zabierali, gdzie co mogli, nawet ołów z dachów cerkiewnych; przecie uwiadomiony wkrótce, że w Azyi giną z nędzy, wysłał znowu okręty po niedobitków. Piotr ich poprowadził na zgubę niewątpliwie; czy działał pobudzony marzycielstwem? Czy przekroczył zakres posłannictwa, które pełnił pierwotnie, pobudzony nadziemskiem objawieniem? o tem wątpić nie mogą ci, co liczą się z czcią, z jaką współcześni Piotrowi mówią o nim, jakby o świętym.

W każdym razie, choćby Piotr dodatnio wpływał na zapał ku wyprawom krzyżowym, przecie zostaje dziś wypadkiem niewątpliwym, że pobudkę do nich dał Urban papież, najżyczliwiej usposobiony dla prośby Aleksego cesarza.

Ale Aleksy, niezrażony pierwszym wynikiem swoich próśb, oczekiwał pochodu właściwych krzyżowców i przygotował dla

nich, wszystko, czego wymagał obowiązek gościnnego mocarza chrześcijańskiego względem jego sprzymierzeńców.

Istotnie w r. 1096-m nadciągnęły zastępy rycerstwa, a między innymi także bitny oddział z niższej Lotaryngii pod chorągwią Gotfrieda von Beulen.

Stolica Wschodu olśniewała ich i budziła w nich niechęć zazdrośną. Niektórzy zachowali się, jakby chcieli prostactwem okazać, że nie onieśmiela ich wschodni przepych cesarstwa. Wybryki ich do tego doszły, że raz nawet brat Gottfrieda, Baldwin, musiał któregoś z nich upomnieć, że im wstyd przynosi wszystkim, bo w komnacie przyjęć zasiadł sobie na tronie Aleksego, kiedy ten przystępnie obchodził gości i z nimi rozprawiał. Aleksy znosił to pobłażliwie, bo mówił, że zna nader przekorną swawolę frankońską; niezrażony niczem, udzielał gościom rad najrozsądniejszych na dalszy ciąg wyprawy, zaopatrzył ich w żywność, w machiny wojenne i zdolnych puszkarzy; nakoniec na wspólną z nimi wyprawę wyznaczył najlepsze wojska greckie pod dowództwem Achilesa Tatiosa. Wtedy uroczyście oświadczył przytomnym krzyżowcom, że zaprosił ich przez papieża Urbana na wspólną wyprawę, aby za ich pomocą odzyskać Ziemię świętą, ale nie zamierzył korzystać z ich męstwa i chrześcijańskiego zapału, jak tylko z pożytkiem dla nich samych: więc wypuszcza w lenno na prawie feodalnem każdemu wodzowi, cokolwiek który z nich wraz z wojskiem bizantyjskiem odzyszcze na Turkach; wezwał tedy wodzów obecnych, aby z góry złożyli hołd feodalny, jako lenni panowie przyszłych podbojów.

Na te słowa cesarza zaraz pierwszy Gottfried zawołał, że skąd własnym mieczem wygna zaborców, tam nie uzna nikogo swoim suzerenem, bo sam myśli tam panować jako władca udzielny, a nie myśli Grekom pomagać do podboju krajów, aby je im zwracać. Słowem wygłosił zasadę, którą dawno wyznawali Bawarzy: wobec Rzymu dowodzili, że własnym mieczem wydarli Słowian z niewoli awarskiej, przeto obrócili ich sobie na wiecznych poddanych, a nie odbili ziem ich Awarom, aby zostawić je wolnym Słowianom.

Ale o sile takiego dowodu Gottfried nie umiał przekonać

Aleksego; ten dobrze wiedział, że nie po to za pośrednictwem papieża sprowadził sobie posiłki łacińskie, nie po to żywi ich setki tysięcy i z nimi posyła co najprzedniejsze wojska własne, aby tracić część państwa przez najazd nie już turecki, tylko łaciński [1].

Wolno było Gottfriedowi nie przystać na feodalny stosunek względem Aleksego, odmówić (choćby nie wczas) swoich posiłków do wyprawy inaczej obmyślanej, niżby sam chciał, i wrócić ze swoimi Lotaryngczykami do domu. Ale po utarczce z Aleksym postąpił wręcz po zawadyacku, jeżeli nie po warcholsku: obsadził swojem rycerstwem przedmieście Pera i od cesarza zażądał okrętów do przeprawy za Bosfor na wojnę z Turkami; o przysiędze feodalnej nie dawał sobie mówić. Pierwszą tedy bitwę stoczył nie z Turkami, tylko z Grekami, bo doznał w tej mierze Aleksego nieugiętym co do swojej zasady o feodalnym stosunku. Pokonany przecie musiał Gottfried przysięgę złożyć, zarówno jak ją złożyli wszyscy wodzowie.

Ale przykład Gottfrieda znalazł niebawem naśladowcę; owszem, nawet prześcignął Gottfrieda Normand, Boemund ze Sycylii; obrócił swoje wojsko wprost przeciw Aleksemu, aby zdobyć jego państwo w r. 1107-m z pomocą Gottfrieda. Pokonany musiał Aleksego uznać zwierzchnim panem, od którego lennem prawem dostał Antyochię.

Syn Aleksego Manuel w podobnych, przy wtórej wyprawie krzyżowej, znalazł się stosunkach z cesarzem zachodnim Konradem, któremu Roger sycylijski radził zabrać cesarstwo greckie.

Wojska Konrada złupiły w przechodzie przez Słowiańszczyznę Sofię i pod murami Carogrodu napadły na wojsko greckie a następnie złupiły przedmieścia. Konrad z dumy wobec Manuela okazywał prostactwo najobrażliwsze. Znowu wojska jego, ledwo przepłynęły Bosfor, zaczęły łupić Małą Azyę i nie dotrzymały pola Turkom. Po nich nadszedł Ludwik 7-my francuski na czele wojska nie o wiele mniejszego, niż niemieckie, ale wyżywił je

[1] Ledwo wtedy mógł niejeden Grek pomyśleć, że od zaborczych łacinników Turcy już byli chyba o tyle wygodniejsi, że za zabór kraju nie kazali się karmić i utrzymywać i wozić.

bez zdzierstw na Słowianach i Grekach, przyjął przewodników od Manuela, nie wymagał od niego zaszczytów przeciwnych zwyczajem carogrodzkim; poprzestał na krześle niższem od cesarskiego.

Inni wodzowie naśladują Gottfrieda i Boemunda: wypowiadają Manuelowi posłuszeństwo lennicze, póki po nieszczęśliwych bitwach nie muszą jeden po drugim ponawiać przysięgi. I Turków osłabiały podobne krwawe zatargi wewnętrzne, jednak prędzej wyczerpały łacińskie państewka lenne i greckie cesarstwo.

Trzecia wyprawa przeprawą ciężką była dla cesarza Izaaka. Darmo szło od niego uroczyste poselstwo do Norymbergi i obiecywało Rudobrodemu pomoc: mieli jego rycerze dostać podostatkiem owoców, jarzyn, drzewa, owsa i siana a Rudobrody obiecał, że za wszystko inne zapłaci i przeprowadzi wojska spokojnie. Jednak sam nie o spokojnym przychodzie myślał, tylko o zaborze albo podziale cesarstwa wschodniego[1], wchodził w tej myśli w układy z wielkim żupanem serbskim Stefanem Nemanią[2], żądnym berła nad wielkiem państwem słowiańskiem na gruzach greckiego, wchodził w podobne układy z naczelnikiem nowej potęgi wołosko-bułgarskiej Asanem[3], doszedł z Izaakiem do stosunków tak silnie napiętych, że ledwie nie wypowiedział wojny otwartej, a nawet bez wojny odbył swój pochód jakby przez kraj nieprzyjacielski. W jednej cerkwi jakiś oddział znajduje obraz sądu ostatecznego, w którym upatrują własne twarze na postaciach mniej zaszczytnych: palą miasto. Przemocą zajmują Beroe, niosą przed sobą postrach między mieszkańców tak, że znajdują Andrinopol wyludniony na ich powitanie, osadzają swoją załogą Filipopol, szturmem zdobywają Didymoticon.

Szczęściem dla cesarstwa wschodniego, podczas trzech wypraw pierwszych zasób ducha chrześcijańskiego ożywiał jeszcze krzyżowców wogóle dość silnie; na dostateczną między nimi liczbę wspólników nie mógł oczekiwać cezaryzm zachodni, aby wykonać ostateczny zamach na Carogród, zamiast ciągnąć przeciw niewiernym.

Po Rudobrodym knuł dalej zamachy następca jego Hen-

[1] Tamże str. 173. [2] Str. 827, 847. [3] Str. 836, 847.

ryk 6-y: obsadził potajemnie Carogród swoimi warchołami, wyprawił posłów do Ormian i na Cypr z nakazem hołdu lenniczego: śmiercią zaskoczony nie mógł dopełnić zamysłów.

Klęska zwlekana spadła przecie na Carogród, kiedy na czwartą wyprawę ruszyły zbrojne zaciągi w części z Niemiec, w części z północnych Włoch, przejętych cezaryzmem. Wiódł je krewny Hohenstaufów, Bonifacy margrabia Montferatu, państewka słynnego nawet wśród północnych Włochów, jako najwierniej między nimi oddane Gibelinom. Padł tedy świetny Carogród, aby blasku już nigdy nie odzyskać: w trzech pożarach krzyżowcy obrócili w perzynę całe dzielnice, większe każda z nich od kilku razem miast zachodnich; odzierali domy, znieważali kobiety, bezcześcili świątynie, grabili skarbce, ogałacali przybytki sztuki z dzieł mistrzów, przetapiali bramy Lysimacha i Praksytelesa na groszaki...

I struchlał świat chrześcijański na widok strasznych sprzymierzeńców, których sobie sprowadziło rzymskie cesarstwo wschodnie. Zachód usłyszał niebawem klątwę, którą papież obłożył zaborców Carogrodu. Wschód zdumiony usłyszał, że pomiędzy zastępami owianemi duchem Bernardów z Clairvaux, pomiędzy bohatyrami gotowymi na męczeństwo i na śmierć dla zwycięstwa krzyża nad Półksiężycem, pomiędzy postaciami najszlachetniejszych mężów Zachodu, znalazły we wojnach krzyżowych miejsce zgraje najezdców, równie jak Turcy żądnych zagłady Carogrodu, zwycięstwa nad nim cezaryzmu zachodniego.

Cóż Grecy i południowi Słowianie na wyprawach krzyżowych zyskali? Nie ochronny wał przed zalewem tureckim, bo ten zalew tem prędzej nastąpił, im dotkliwiej cesarstwo wschodnie ucierpiało od krzyżowców; Grecy i południowa Słowiańszczyzna zyskała na wyprawach krzyżowych nieprzebyty mur między sobą a Zachodem. Żadne przestrogi następców Kerulariosa przed wiarołomstwem łacinników nie przedstawiły tłumom Zachodu w świetle równie nienawistnem, jak obrót nadany wojnom krzyżowym przez zachodni cezaryzm.

I na taki nastrój umysłów wpada jeszcze dziełko *De regimine,* aby powagą naczelną w nauce zachodniej uprawnić cezaryzm

i uprawnić jego czyny zaborczą zasadą o państwowej wszechwładzy papiestwa...

A cóż trwałego kto wśród łacinników zyskał z wypraw krzyżowych?

O rozmaitych zyskach pobocznych dostatecznie wiemy i nie możemy o nich wątpić, ale tego właściwie Europa zachodnia nie dopięła, po co ją wzywał Urban, po co tysiące najszlachetniejszych traciło majątki i lało krew. Jerozolimy przed Turkiem Europa nie obroniła ani nie założyła królestw trwałych nad Bosforem i w Palestynie. Łacińskie te królestwa odrzuciły podporę, jaką miały mieć od Greków. Miały tworzyć, jako lenna wschodniego cesarstwa, część wspólnej z Grekami potęgi wojennej: nie dostrzegły własnego pożytku ze zawiązków feodalnych z silniejszem mocarstwem i zaufały własnym siłom, a te były śmiesznie małe; krzyżowcy ślubowali walczyć a nie po zwycięstwie osiedlać kraj zdobyty, bo mieli swój własny, tłumnie tedy wracali do domu po odniesionem zwycięstwie; Gottfried np. ledwo dwustu rycerzy znalazł gotowych osiąść w jego królestwie; również słabą załogę zatrzymywały inne państewka: Antyochia, Edessa i Tripolis po powrocie krzyżowców do Europy. Cała ta zbrojna siła nie szukała żadnych stosunków ani węzłów z mieszkańcami tych krajów, Grekami; ci nie mogli w łacinnikach widzieć sprzymierzeńców swojego cesarza w Carogrodzie, swoich własnych obrońców przed niewiernymi: widzieli w nich zaborców kraju, usposobionych nawet gorzej, pogardliwiej względem miejscowych patryarchów i władyków, niż najezdcy tureccy; popierać takich rządów w swoim kraju nie czuli ochoty. Nakoniec, państewka te, pozbawione między sobą spójni, jaką im miał zapewnić stosunek feodalny z Carogrodem, same na siebie urządzały zbrojne wyprawy, w których nawet jedni przeciw drugim wchodzili w przymierza z Turkami. Słowem, myśl Urbana 2-go i Bernarda z Clairvaux zbłąkana na bezdroża, marnie zginęła.

Sam tylko cezaryzm zachodni wyszedł dobrze na swoim udziale w wyprawach krzyżowych: prócz pociechy, iż osłabił współzawodnika i przyśpieszył jego upadek, zyskał także potęgę, która jedna przetrwała następne zawieruchy dziejowe, i dziś

tworzy pierwszorzędny czynnik w stosunkach między-państwowych. Z całem dziełem wojen krzyżowych w gruzach znikł dorobek Europy zachodniej w jej rycerstwie zakonnem: Templaryusze zginęli bez imienia sławnego, Maltańczycy wiodą byt bez wpływu na dzieje. Jeden tylko zakon teutoński nie legł na spólnem rumowisku: nie mógł w Azyi spełnić posłannictwa, więc w Europie zajął pole do pracy, równie godnej jak współzawodnictwo z Grekami o pierwszeństwo na świecie. Z dorobku na coraz większy dorobek szła potęga krzyżacka... zakonna... świecka... hołdownicza... udzielna... z elektorami zrównana... wzięta na królestwo... osadzona na stolicy cesarskiej.

Duch cezaryzmu zachodniego, oto żywioł, który wniósł wielowiekową, nieuskromioną po dziś dzień rozterkę. Stanął ten żywioł u kresu żądz: póki z Rzymu mógł oczekiwać korzyści, na Rzym zwalony całym ciężarem, jego powagą usiłował uświęcać swoje pomysły, nakładał je całemu światu jako prawo Kościoła.

Kościół jednak tego nacisku nie znosił długo. Nie tylko we walce o inwestyturę pokonał Grzegorz Henryka. Pod Kanosą potęga myśli, potęga nieujarzmionej zasady wytrzymała jeden z naporów potęgi cesarskiego oręża. Tam naczelny wódz ducha uczył zwyciężać wolne społeczeństwo w zapasach z wszechwładztwem samowolnego cezara. Tam swobodny rozwój Chrystusowego dzieła miłości wypowiadał przyjaźń świeckiemu opiekunowi Kościoła, zrywał niemożliwą dłużej ugodę z polityką następców Karola. Kościół wypowiedział słowem na nieszczęście nie dość zrozumiałem już w owe czasy zasadę, że bez przymierza ze świecką polityką cezarów, oprzę swoją pracę chrześcijańską na mocy z nieba zsyłanej i spełni swoje posłannictwo na ziemi.

Tego słowa, wówczas wypowiedzianego nie dla każdych uszów dość dobitnie, nie zauważyli, czy nie dosłyszeli ci, którym szło o podporę w papiestwie dla zachcianek cezaryzmu zachodniego. Zamiary Grzegorza i Urbana, zdolne wzmocnić cesarstwo wschodnie przez wojny krzyżowe, musiały pójść w niwecz.

I poszły.

A wzbudzoną już przez te same zamiary otuchę Carogrodu w życzliwym Rzymie siewcy niezgody musieli zmienić w niena-

wiść, aby utrzymać Rzym dla siebie. Pod chorągwią łacińską trzeba było pochylić Carogród do upadku, z którego więcej nie powstał, trzeba było uprawnić wszystko nauką o państwowej wszechwładzy papiestwa, o jego polityce zachłannej i na to wytężonej, aby wszystko zetrzeć i przetopić na rzymski porządek.

To źródło przesądów przeciw papiestwu samo wystarczyłoby, aby odstręczyć Wschód od Zachodu. Dzieje przecie świadczą, że jeszcze niejeden objaw złej woli Zachodu dla Wschodu zwiększał wzajemną odrazę. Czyż jednak dalsze objawy nie płynęły z pierwszego źródła?

Czy nasienie, rzucone przez cezaryzm zachodni, nie zakiełkowało wcale w umysłach pewnych odłamów duchowieństwa zachodniego?

Nie mogła wśród dworu rzymskiego wielkiego zapału wywoływać myśl cezaryzmu taka, jaką Pseudo-Tomasz wyłożył. W jego pojęciu papiestwo posiadałoby wszechwładzę, ale raczej zasadniczo, niż wykonawczo. Nie papiestwo z tej wszechwładzy korzystałoby rzeczywiście, tylko cezaryzm w imieniu papiestwa używałby jej i wykonywałby ją samodzielnie. Papiestwo dawałoby właściwie tylko nazwisko swoje i kładłoby podpis, a potęgą zawiadowczą nad królestwami i zarządcą najwyższym narodów byłby urząd cesarski. Papiestwo stanowiłoby tylko prawną podporę cezaryzmu.

Myśl taka wynikała jasno z wywodów Pseudo-Tomasza.

Nie wynikała ta myśl, to prawda, z ewangelii, ani z dziejów Kościoła apostolskiego; ale ani Pseudo-Tomasz nie opierał swoich wywodów na ciągu nieprzerwanym świadectw aż do apostołów. Owszem: Pseudo-Tomasz wyraźnie przyznaje, że ani Chrystus Pan, ani święty Piotr, ani jego w Rzymie następcy nie wykonywali wszechwładzy nad światem aż do Konstantyna Wielkego. Nie z apostolskich nauk albo przykładów Pseudo-Tomasz wywodzi swój pogląd przychylny zachodniemu cezaryzmowi i podporze jego papiestwu wszechwładnemu, tylko z rozmaitych prawdopobieństw. Z możliwych wykładów przenośnej myśli ewangelii, z pomysłów Ptolomeusza o gwiazdach i klimacie, z mnóstwa błędów, przeciw prawdzie dziejowej.

Jakąż tedy w Kościele powagę posiada wniosek, osnuty na myśli przenośnej Pisma świętego, na pomysłach mędrców i świadectwach rzekomo dziejowych?

Bujać mogą takie wnioski i kwitnąć przez czas długi, albo krótki, zapalać ku sobie pokolenie choćby i niejedno, wywoływać spory nawet zażarte w różnych uczelniach: ale nauka nie wzrasta w apostolskim skarbcu prawdy objawionej od Boga, nauka choćby najpobożniejsza i najpotężniejsza, nie może należeć do wiary nadprzyrodzonej, nie wejdzie w skład jej dogmatów.

Pseudo-Tomasz wyłożył zasady cezaro-papizmu, jako wynik swojej pracy umysłowej na tle społeczno-politycznem, mistyczno-prawniczem, filozoficzno-historycznem, ale nie na tle składu wiary i prawdy apostolskiej.

Cokolwiek tedy dziko sobie wyrastało na krwi zasad Pseudo-Tomasza, cokolwiek papiestwu albo nadawało politycznie wzrost przychylny cezaryzmowi, albo kazało iść z kimbądź w zapasy czysto świeckie i wyłącznie natchnięte polityką: to wszystko mogło wichrzyć chrześcijaństwo i obryzgać niesławą dwór rzymski, albo samego papieża niejednego, ale to wszystko łatwo odbiega poza zakres apostolskiej nauki wiary i obyczajów, to wszystko może wkraczać w sprawy, w których nie koniecznie działa już nieomylny nauczyciel wiary i obyczajów, czasem wystąpi tylko świecki władca, w polityce swojej omylny.

Jak zatem papież żaden, mimo jakichbądź przestępstw swoich albo upadków, mimo swoich osobistych poglądów, chociażby przeciwnych wierze, za zasadę nie narzucił nam osobistych swoich błędów, albo motywów: tak mimo możliwego ze strony któregoś z papieży czynu albo występu, natchniętego osobistym tego papieża duchem wszechwładztwa, przecież osobiste czyny takie albo występy nie rozstrzygają o urzędowej zasadzie papiestwa. Ani nie mógłby żaden z tych papieży swoich poglądów osobistych i pociągu do wszechwładztwa podawać jako zasadę Kościoła, bo nie znalazłby sposobu, jakby rozwiązać świecką politykę wszechwładztwa do apostolskiej nauki wiary i obyczajów, a przeciwnie znalazłby długi szereg papieży, którzy wręcz odrzucali zasadę wszechwładztwa. Takich wypadków i papieskich

świadectw urzędowych przeciwko ich własnej wszechwładzy przytoczyć można wiele z historyi, naprzykład, za dziełem Hergenroethera osobnem o kościele i państwie [1].

Zatem wszelka obawa ustać musi o to, czy nie usłyszymy kiedy z ust nieomylnego papieża nowej nauki w duchu wszechwładztwa świeckiego.

Nie tylko władzy nad narodami w zakresie świeckim, ale nawet prawa do ścisłych rozkazów w polityce obcych narodów, nie przypisał sobie Leon XIII-ty w ciągu sprawy między niemieckim rządem a centrum. Na ostrzu miecza stanęła sprawa, którą rozstrzygnęło centrum wręcz przeciwnie, niż wskazywał im papież, ale wraz ze swoimi biskupami wypowiedziało z wielką pokorą posłuszeństwo papieżowi w politycznym zakresie. Leon XIII-ty nie wziął im tego za złe, cofnął swoje wskazówki i przez to uznał ich wielkie prawo do oboru w polityce drogi, jaką własny ich rozum im wskazał.

Jakże teraz trzeba odrabiać dzieło, widocznie wzniesione pracą katolików gorliwszych niż papież?

Praca ta znalazła dla siebie w średnich wiekach pole nader stosowne, mimo pozorów przeciwnych, a w naszych czasach posiew średniowieczny znajduje pracowitych hodowców.

Dwa pojęcia najwyższej władzy duchownej i świeckiej brano za jedno: to wygląda nam dzisiaj na śmieszny pomysł, za wytwór umysłu bardzo mało wyrobionego; zatem nie umiemy przywiązywać wagi do zarzutu, ściśle wywiedzionego z owej gmatwaniny pojęć; papież żąda najwyższego kapłaństwa, więc pozbawić zamierza władców ich naczelnego stanowiska, wydrzeć narodom ich byt udzielny.

Jednak posiew tej gmatwaniny pojęć, nie przypadkiem padł na rolę żyzną, nie przypadkiem z tej roli wyrósł jako wniosek, że zasady, że wyznania należą do właściwych oznak narodu, zarówno jak rodzaj rządu, strój, narzecze, zwyczaj, obyczaj i t. d. Ta zasada panowała w dobie przedchrześcijańskiej we wszystkich narodach, które zostawiły po sobie pomniki piśmienne. Nie tylko

[1] Zwłaszcza str. 389 i dalsze, 398 i dalsze, 412 i dalsze.

narody: plemiona pojedyncze i poniekąd rody, okolice i miasta miewały odrębną swoją, rodzimą i ojczystą cześć bóstwa tego albo owego.

U Żydów widzimy to do dziś dnia. Pojmują swoje wyznanie staro-zakonne jako wyraz istoty swej narodowej, przyjmują co roku dziesiątkami chrzest; tysiące ich w ciągu jednego pokolenia ludzkiego przyjmują nowy zakon; mimo tylu dziesiątków tysięcy Żydów nawróconych, nie widzimy chrześcijańskiej cząstki ich narodu, widzimy tylko ochrzczone jednostki, a te nie zawiązują między sobą stosunków w duchu spólnictwa narodowego; Żyd każdy opuścił wyznanie narodowe i już zdarł ze siebie narodowe węzły ze semickiem plemieniem, językiem, strojem, pismem, pieśnią i samą nazwą Żyda: wrasta w ten naród chrześcijański, wśród którego żyje. Choćby nawet chciał semitą pozostać ochrzczonym, a nie wynarodowieć, nie umiałby zostać narodowo sobą samym, bo wszelkie jego zwyczaje i obyczaje narodowe przesiąkły wyznaniowemi zasadami i obrzędami: tworzyć musiałby pomysł i dopiero podwaliny rzucać pod chrześcijańską budowlę odnowionego narodu żydowskiego.

Jak dziś naocznie widzimy, tak za czasów Chrystusa opisany znajdujemy ten sam nastrój u Żydów, który stapiał w jedno: i wyznanie ich i rozwój narodowy, zwyczaj i obyczaj, dzieje ich i państwowy byt. Wiedzieli, że prorocy przepowiadają im nauczyciela z ich krwi, zwiastuna prawdy, mocarza ducha: przedstawili to sobie w świetle narodowem: ich mocarz duchowy miał przywrócić świeckie mocarstwo, prawdę miał głosić żydowską, jako przeciwnik bezprawia miał walczyć przeciw rzymskiemu wielkorządztwu w Palestynie, jako założyciel królestwa sprawiedliwości miał odbudować królestwo Izraela; jeżeli Jego nauka Żydowczyźnie nie miała zapewnić zwycięstwa, nie miała być z Boga.

Chrystus jednak tej zasady nie uznał za swoją i otwarcie to Żydom objawił. Zapowiedział, że nie na ich narodowy skarb nie dla nich wyłącznie przeznaczył prawdę, której nie przyjmą ogółem, ale na dziedzictwo powszechne dla całego rodu ludzkiego. Przedstawił im, że prócz ludzi dobrej woli pośród nich, także

z pośród innych narodów słyszy głosy stęsknione do światła. Wyznał, że sam pragnie ojczyznę z Jerozolimą na czele nakarmić prawdą i wyzwolić ducha żydowskiego z więzów niemocy, ale prócz rodaków ma inne owce, także zgłodniałe paszy duchowej: musi je przywieść do swojej owczarni, nie żydowsko-narodowej, ale powszechno-ludzkiej; ustać mają narodowe przegrody między odłamami prawdy, a za każdą przegrodą osobna owczarnia ze swoim pasterzem, urzędnikiem wiary państwowej. Królestwo Chrystusowe zebrać miało wszystkie owce do jednej owczarni, ale nie do żydowskiej, ani do żadnej państwowej wśród królestw tego świata, ani też z drugiej strony wyprowadzać ich ze stosunków narodowych i państwowych i wydzierać świeckim królestwom.

Tę zapowiedź Chrystus spełnił i jedną już za apostolskich czasów owczarnię pod jednym pasterzem ustanowił.

Ale przyrodzony bieg świata stacza ciągle jego dzieje w łożysko, wykopane przez samolubne jednostki i narody. Nawet za księgi ewangielistów i apostołów chwytają nieraz mowcy i pisarze dumnie, aby z nich układać szczeble pod pomnik własnej chwały. Narody różne zlewają w jedno pojęcie swój ustrój państwowy z ustrojem Kościoła u siebie. Jak o żydowskiem wyznaniu i o tureckiem, tak słyszymy o wyznaniu niemieckiem, o wierze polskiej albo ruskiej, i nawet naród w tym stopniu oświecony, jak Anglicy, wydał ze siebie Henryka VIII-go i następnych miłośników ewangelii, aby z jej nauki międzynarodowej wykroić dla narodu swojego państwowe wyznanie anglikańskie.

Pochop do przeróbek prawdy powszechnej, aby z niej dostać narodowy wytwór oświaty, jaknajłatwiej upatrzy w kapłaństwie urząd państwowy i część narodowego ustroju, nie wystawi sobie władzy kapłańskiej bez żadnego pełnomocnictwa świeckiego, bez pracy narodowej na uszczerbek postronnych mocarstw, bez plemiennej nienawiści ku nieprzyjaciołom ojczyzny. Na taką rolę rzucony posiew myśli o zaborczem papiestwie znajduje do dziś niebacznych hodowców wszędzie, gdzie tylko polityka jakabądź i czyjakolwiek usiłuje użyć Kościoła najprzód za usłużną podporę, potem za służalcze narzędzie.

W średnie wieki wrócić nie możemy i zamykać usta, które głosiły cezaryzm zachodni, jakoby na chlubę papiestwu, rzekomej podporze władzy wszechpaństwa. Ani w następne wieki nie wrócimy, nie powstrzymamy rąk tym jędzom nienawiści, które wygrzebywały coraz głębszą przepaść między Wschodem a Zachodem, rozdrapywały rany w chrześcijaństwie, spragnionem lekarstwa na rany, stęsknionem do zgody.

Lekarstwem na jedną z tych ran, na przesąd ów, nie jest sam gołosłowny wyraz, że wraz z papiestwem samem odrzucamy myśl wszelką o jego wszechwładzy państwowej.

Na polu zbyt wydatnem wzrosło bujnie ziarno owego przesądu: pustem słowem nie wypleniono posiewu cezaryzmu zachodniego. Czynów nam trzeba dziś. Czynem najezdców na Carogród silnie poparła swoją wobec Wschodu grozę nauka o zachodniem wszechwładztwie cezaro-papieskiem. Czynem przeciwnym musi, bieg może długich wieków, wykorzeniać przesąd nieszczęsny. Tym czynem: to praca wyłączna nad wzrostem ducha chrześcijańskiego, nad rozwojem prawd jego wiary, nad rozkwitem jego obyczajności, praca wyłącznie chrześcijańska, bez zamiaru, aby szerzyć czy budować światowe królestwo jakiegobądź narodu, albo czyjebądź inne, tylko z oczywiście jedynym zamiarem: aby szerzyć Królestwo Boże na świecie.

Duch cezaryzmu nie znikł z tej ziemi wtedy, kiedy początek przeszłego stulecia odniósł koronę zachodnich cesarzy do muzeum starożytności: cezaryzm przedzierżgał się w inne postacie i obchodzi świat pod różnemi nazwami. Tchnie do dziś dnia żądzą swojej hegemonii nad światem, wciska swoją kulturę, narzuca wojskowy ustrój państwom, dąży przy zmienionych stosunkach do tego samego kresu, w który mierzył od wieków: usiłuje w Kościele znaleźć służalcze narzędzie do swojej polityki.

Najzgubniejszy to jego objaw dziś: przeciw niemu wystąpić możemy, powinniśmy i wielu widzimy takich, którzy prawie wystąpić już chcą i zawołać głośno wszystkim: czy pamiętacie, że nauki wiary i obyczajów nie godzi się i nie można rozumnie w Kościele pracy mieszać z żadnemi politycznemi zasadami? *Ks. K. Czaykowski.*

CUD MADONNY.

Lorenzo roznosi po mieście białe figurki gipsowe, ustawione na małej deseczce, którą dźwiga przed sobą, na sznurkach zawieszoną u szyi.

Są tu Madonny z Lourdes i Niepokalanego Poczęcia, ścierające głowę wężowi, jest Najświętsza Panna Łaskawa z promieniami bijącymi od rąk i św. Józef z lilią, św. Jan Chrzciciel z barankiem i wielki Święty Padewski z Bożą Dzieciną na ręku; są aniołki, modlące się pokornie, ze złożonemi rączkami i figlarne dzieci pyzate.

Lorenzo codzień rozsprzedać musi całą deszczułkę, inaczej nie śmiałby się na oczy pokazać srogiemu wujowi Babtyście, który wówczas obiłby go niezawodnie — jak mu to już tyle razy zapowiadał. Pewnie! przecie nie wziął go na próżnowanie i każdy dzień miał swoje brzemię. Lorenzo pojmuje to doskonale — ale tego zapalczywego w gestach i mowie, czarno zarosłego, z nawisłemi brwiami opiekuna, boi się tak okropnie... W domu go nigdy nikt nie bił i pracować też nikt nie kazał małemu *lazarone*.

W domu! oczy Lorenza widzą jak na jawie kwitnące lasy pomarańcz i oleandrów, i błękit włoskiego nieba, i jaśniejszy jeszcze błękit zatoki — a dalej, oczy już nic nie widzą, bo łza je przesłania i mroczy, gdy chcą spojrzeć w drogie, takie swoje i ukochane oblicze matki, od roku już blizko przysypane zimną ziemią cmentarza.

Gdy w miesiąc po pogrzebie, uprzedzony przez krewnych,

wuj Babtysta napisał, aby mu przysłać sierotę do dalekiego kraju, w którym miał w bogatem mieście własny handel odlewów gipsowych, zdawało się tam im wszystkim, w ubogiej wiosce rybackiej, że Lorenza spotkało wielkie szczęście — i on sam myślał zrazu, że chyba matka mu w niebie ten los uprosiła — ale bo wtedy nie wiedział jeszcze, jak zimnym i smutnym będzie ten kraj na północy i jak strasznie bać się będzie wuja Babtysty. Nie znał go przedtem wcale i zdawało mu się, że koniecznie musi mieć głos słodki i cichy, jak matka, i jej ruchy spokojne i łagodne... Wprawdzie dotąd nie bił go jeszcze ani razu, ale niechnoby kiedy Lorenzo powrócił do domu nie rozsprzedawszy całego swojego kramu!... Myśli chłopca drętwiały, gdy gorąca, południowa wyobraźnia malowała mu możliwość i jaskrawość takiej katastrofy — to też od wczesnego ranka niestrudzenie przebiegał ulice przepełnione gwarem obcej mu mowy lub stawał gdzie pod murem na najludniejszym placu i do każdego z przechodniów wyciągając rękę z którą ze swych figurek, patrzył tak gorąco a nieśmiało, że niejeden zatrzymał się i kupował tylko dla tego wzroku dziecka.

A może to Madonna tak pomagała sierocie? Madonna, której w opiekę oddała go umierająca matka, do której zawsze rano i wieczór tak nabożnie mówił litanię? Lorenzo pewnym był, że Madonna, i na każdy Jej wizerunek spoglądał z rozrzewnieniem, żegnając się przed nim kilkakrotnie, i czując, że Ona jedna słyszy i rozumie go tutaj w tym zimnym, mrocznym kraju, taka sama, jaką tam pozostawił w rozsłonecznionej, rodzinnej Italii.

Z figurek, które mu wuj powierzał do sprzedania, najbardziej zachwycała go zawsze Madonna z Lourdes, w białej zasłonie na głowie, z różańcem i taką śliczną szarfą błękitną! Lorenzo byłby w stanie w posążek ten wpatrywać się godzinami i myśleć sobie przytem, co też tam matka porabia w tem ślicznem niebie, błękitnem, jak szarfa Maryi — i czy jej też wolno tam, czasem, dotknąć się choć krajuszka tej szaty, posłużyć w czem Pani? — Figurki takiej, Lorenzo, gdy ją miał na sprzedaż, nie oddawał nigdy pierwszemu lepszemu — nie śpieszył się z nią: usuwał ją na bok, chował i osłaniał, a przechodniom przypatrywał się pilnie,

w oczy im zaglądał i starał się każdą twarz odgadnąć, czy wróży dobrego człowieka? Dopiero gdy przez oczy przechodnia przemówiło do niego coś poczciwego, gdy był pewnym, że świętego wizerunku nie odda w niegodne ręce, podawał błagalnie białą Madonnę z błękitną szarfą u pasa.

I dziś jeszcze, w ten zimny, wietrzny dzień listopadowy, Lorenzo nie sprzedał swej najcenniejszej figurki — z innemi powiodło mu się lepiej, niż kiedykolwiek, bo choć jeszcze daleko do wieczora, deszczułka jego już pusta prawie zupełnie — wreszcie bieli się na niej już tylko ten jeden skarb drogocenny, dla którego Lorenzo dziś, do tej pory, nie upatrzył jeszcze dość poczciwego człowieka.

Oto właśnie teraz już chyba ma, czego czekał: mija go młodzieniec, w którego rysach jest coś tak dobrego i tkliwego a zarazem coś tak smutnego bezmiernie, że Lorenzo bez wahania wyciąga śmiało ku niemu rękę, w której ukazuje mu jasną Madonnę: ten człowiek taki się zdaje smutny i niespokojny... niechże go Ona pocieszy!

Ale cóż to?!... Czy się to stało na prawdę? czy to się może w oczach mieni Lorenzowi... Młodzieniec, pomija go krokiem szybkim, niespokojnym, nie patrzy nawet na niego, i w jednej chwili, w jednem mgnieniu oka, wytrąca mu niechcący, rękawem, trzymaną w ręku figurkę, a sam śpieszy dalej, nie spostrzegłszy nawet co zrobił, nie obejrzawszy się na osłupiałe z przerażenia dziecko.

Lorenzo patrzy, nie wierząc jeszcze oczom swoim, na leżące u nóg jego skorupki — wreszcie, chyli się nad niemi wybuchając głośnym płaczem.

Stało się! Dziś go zatem spotka już bez wątpienia z grozą dawno przewidywana kara! On sam pocieszyć się nie może z żalu za swoją śliczną Madonną, a cóż dopiero powiedzieć ma wuj, któremu zrobił taką szkodę — wuj, co tak każdy grosz rachuje!

Lorenzo nie może powstrzymać łkania — ludzie patrzą na niego — zbiera więc machinalnie rozsypane okruchy, idzie ukryć się z nimi w jakiś ciemny kącik pod murem, i tu, usiadłszy na ziemi, pogrąża się w swojej rozpaczy.

Mokry, przejmujący do kości, wicher listopadowy, wypadłszy z za węgła ulicy, odnajduje drogę i do tego ustronnego zaułka, gdzie się tuli sierota przywykły do wonnych, ciepłych powiewów kwietnych wybrzeży. Wczesny mrok pochmurnego dnia jesiennego opada, pełen, strach niosących, cieni i dreszczów; ale dziecko, wciśnięte w ten zakątek panicznym lękiem powrotu do domu, zdaje się nie uważać, co się wokoło niego dzieje.

Opiekun, wyprawiając go na większą część dnia z towarem, dawał mu zawsze do ręki kilka groszy, aby miał czem na mieście głód zaspokoić, przed porą wieczornego posiłku. Lorenzo przywykł ostatnimi czasy kupować za to garść sprzedawanych już na rogach ulic pieczonych kasztanów, które zasunięte za odzienie na piersiach, zanim je schrupał, ciepłem swojem tak mile ogrzewały jego wiecznie zziębnięte ręce, a zapachem łechcąc podniebienie, tak mu przypominały przeźroczyste zmierzchy wieczorów w rodzinnej wiosce... ale dzisiaj zapomniał o głodzie. Po pierwszej chwili rozpaczy i przygnębienia, opanowany nagle myślą, aby przecież jeszcze próbować coś radzić na swą niedolę, zamiast kasztanów kupił jakiegoś kleju i oto siedzi tak, skulony pod murem, w niepewnem świetle migocącej na wietrze latarni, gorączkowo zajęty składaniem i spajaniem z sobą kawałków stłuczonego posążka.

Marna to jednak robota! Klej trzymać nie chce — skorupki, czy to powyszczerbiane na brzegach czy niewłaściwie składane przez drżące, zgrabiałe ręczyny, ani rusz nie przystają do siebie — zaledwo Lorenzowi uda się skleić jakiś ułomek, gdy dalsze dobierać zaczyna, już wnet ten pierwszy rozpada się znów w okruchy i trzeba go składać na nowo...

Kwadrans za kwadransem wydzwania, gdzieś na dalekim zegarze; biednemu dziecku, chwilową nadzieją osuszone, już znowu zy zalewają oczy i mieszają się na zsiniałej twarzyczce z pocałunkami pierwszych wilgotnych płatów śniegu, które wicher ukośną siatką rzuca poprzez zimne krople deszczowe.

Zwykła godzina powrotu już nawet nie wiadomo kiedy minęła; całodzienne znużenie i głód dopominają się coraz natarczywiej o swoje prawa, a jednak przechodzi to zupełnie moralne

siły Lorenza podnieść się, wyjść ze swego bezpiecznego ukrycia i stanąć oko w oko z opiekunem. Nie! za nic Lorenzo nie wejdzie z poczuciem wyrządzonej szkody, do tego jasno oświetlonego sklepiku, gdzie jednak w tylnej, oddzielonej firanką izdebce, czeka zwykle jego powrotu miska gorącej strawy. — Wymawiana to nieraz strawa, i nie przyprawiona żadnem cieplejszem słowem, za którem tęskni sierota — ale, im bardziej mu tego braknie, tem więcej nieśmiały i dziki wobec nowych warunków życia i otoczenia, w jakich się znalazł, z zawziętą skrytością zamyka w sobie całą nadmierną czułość i wrażliwość, wyrobioną przez pieszczoty matczyne.

Wspomnienie tych pieszczot, w tej chwili, przypływem bezbrzeżnej tęsknoty ogarnia dziecko, wyczerpane i rozstrojone zarówno nerwowym lękiem przed oczekiwaną karą, jak i tym obrazem dymiącej parą misy, który zamajaczył tak kusząco w jego wyobraźni, niedostępnością swoją na dziś wieczór, tem więcej drażniąc łaknący żołądek...

Ach! jakiż Lorenzo czuje się bezsilny, bezradny i opuszczony! Gdybyż mu się było udało zlepić choć główne kształty posążku, choć na dziś wieczór ukryć zaszłe nieszczęście przed groźnym, badawczym wzrokiem, na którego wspomnienie cierpnie sierota, dziśby jeszcze choć głód zaspokoił, a jutro... chyba Madonna, Madonna Przenajświętsza go ocali! On Ją tak zawsze kochał i modlił się do niej gorąco, i cóżby Jej było trudnego, w chwili gdy opiekun w zapamiętaniu już rękę na niego podniesie, osłonić go tą swoją szatą śnieżystą i ukryć, aż okrutnego człowieka gniew ominie...

W tej chwili — och! wszak to cud oczywisty! — skorupki gipsowe, które Lorenzo wciąż niezręcznie przymierza, same w rękach mu zaczynają zrastać się i łączyć w śliczny, jasny, bez śladu pęknięcia lub skazy, posążek Madonny!

Czyste Jej rysy coraz to więcej promienieją — tchną życiem! Biała postać rośnie — olbrzymieje — słodkie oczy bezbrzeżnem miłosierdziem patrzą na Lorenza, który sam sobie się dziwi, że w tej chwili nie czuje żadnej trwogi ani lęku, jeno zachwyt i szczęście ogromne, i taką jakąś znaną, cichą radość, jakby nie dział się tu

cud żaden, tylko on nagle odnalazł wszystko, czego mu właśnie brakło: matkę — ojczyznę — dom...

Rzucił się na kolana przed Boskiem Zjawiskiem, a święta Pani, kładąc lżejszą od puchu rączkę na jego głowie, odezwała się głosem słodkim, jak najsłodsze śpiewy anielskie:

— Czy chcesz, Lorenzo, zobaczyć matkę i Italię i waszą ubogą chatę, pod srebrnym liściem ocieniającej ją oliwy?

— Chcę, chcę! — łkał Lorenzo — chcę, choć raz jeszcze przed śmiercią, zanim mnie wuj zabije!

— Więc dotknij się kraju mojej szarfy błękitnej!

Sierota, drżącą ręką uczynił, jak mu kazano: w tej chwili świetlana postać jęła unosić się w górę, lekko, cicho, coraz to wyżej, z rozwianą długo na wiatr błękitną przepaską, a za Nią, za tą szarfą wiejącą, która rękę jego ciągnęła za sobą, jak przykutą, leciał Lorenzo, płynął powietrzem tak łatwo bez żadnego wysiłku, że dziwił się tylko w sobie, jak mógł dotąd tego nie umieć, co przecież każdy ptak potrafi...

W dole, pod nimi miasta i wioski wydawały się na zieleni pól, jak malutkie mrowiska, rzeki i wody błyszczały jak nitki lub tarcze ze srebra i szafiru — a oto coś, co wygląda na ziemi niby duża kreza zębata, białą, śniegową koronką obszyta u góry — to Alpy! Lorenzo pamięta, poznaje, wie, że poza niemi jest Italia!

Lecą teraz coraz szybciej i wyżej.

— Po drodze wstąpimy do nieba matkę odwiedzić — powiada święta Pani.

— A którędyż tu po drodze do nieba? — pyta Lorenzo i teraz dopiero zląkł się dźwięku własnego głosu: jak on śmiał do tak wielkiej pani przemówić?

Ale Ona zwróciła tylko twarz do niego i uśmiechnęła się łagodnie i rzekła:

— Do nieba wszędzie po drodze, moje dziecię, byle iść prosto, trafisz!

W niebie, niczemu nie dziwił się Lorenzo, zdawało mu się, że to wszystko już widział, że był tu już kiedyś, dawno, nie wiedział kiedy!

Tylko matki długo znaleźć nie mogli, aż naraz, Lorenzo, wśród tłumu białych aniołów z długiemi skrzydłami poznał ją, choć na ziemi wyglądała inaczej, i choć w tej chwili była odwrócona tak, że twarzy jej widzieć nie mógł. Poznał ją, po biciu własnego serca, które naraz skoczyło mu w piersiach jak szalone i zaczęło bić na gwałt, że to matka!...

Lorenzo rzucił się do niej z wyciągniętemi rękoma wołając w uniesieniu: »Mamo! Mamo!«

Ale matka nie odwróciła się do niego — wytężała ciągle wzrok w jedną stronę, ku ziemi, przysłaniając oczy ręką od niebiańskiego blasku, jak ktoś, co z wielkiej jasności w ciemność patrzy.

Daremnie Lorenzo wołał ją i błagał najczulszymi wyrazami, nie obejrzała się na niego, nie mógł zobaczyć jej twarzy, choć wiedział, że to ona i choć przemawiał do niej z pieszczotą, jak kiedy maleńki tulił się na jej kolanach: »To ja *mammina*, ja! twój mały Lorenzo!«

Zrobiło mu się bardzo smutno, że nie mógł nawet zobaczyć jej twarzy, i na głos zapłakał.

Wtedy, ta którą czuł, że była matką jego, odezwała się, wszakże nie odwracając głowy, głosem takim powolnym i sennym, jak gdy ktoś kogo ze snu budzi, a on wytrzeźwieć nie może:

— »Co to? kto tu płacze? czyj to głos?«

— To ja, matko! to twój mały Lorenzo! — powtórzył chłopak ze łkaniem — popatrz na mnie, bo mi serce pęknie z żalu za tobą!

— Ale biały anioł przecząco poruszył skrzydłami i westchnął tylko długo.

»To ja, matko!« zawołał po raz trzeci Lorenzo.

Lorenzo nie może być w niebie! rzekł anioł ciągle nie odwracając oblicza — ja o tem wiem najlepiej, bo godzinę Lorenza Bóg kazał mojemu sercu wydzwonić — to i nie mogę odjąć oczu od ziemi, bo one tam wciąż patrzeć muszą na swego sierotę!

— O matko! więc ty mnie widzisz?! *Mammina!* ty patrzysz na mnie, a mnie tak ciężko było, bo niewiedziałem o tem i tak się czułem samotny!

— Pójdź już, Lorenzo — tchnął za nim cichy głos, jak srebrne loretańskie dzwonki — nie można matce przeszkadzać: tu, każdy pełni swoje! Chciałeś pono jeszcze dom swój zobaczyć, i błękit morza i mogiłę?

— O tak! zawołał Lorenzo, i zdało mu się, że nagle na powieki mu padła i wzrok przesłoniła wiejąca z wiatrem błękitna przepaska Madonny... ale gdy bardziej oczy natężył, zrozumiał swój błąd: to przecież nie przepaska, tylko kołyszące się w słońcu szafiry zatoki — jakże mógł nie poznać ich odrazu! świetliste, srebrno-lazurowe tonie, leniwym ruchem wbiegały aż na złoty piasek, na którym leżał on, mały, kędzierzawy Lorenzo z tej tam ot chaty, na urwisku i swawolnie oblewały jego bose, wyciągnięte nogi.

A potem wstał, i podszedł aż do chaty, nad której dachem glinianym w spiece słonecznej drżała siwym, przeźroczystym cieniem oliwka, a po zewnętrznej stronie przymurka ochraniającego mały dziedzińczyk od strony przepaści, z pomiędzy dwóch rozsuniętych kamieni wytrysła duża kępa purpurowo-złotych laków i chwiała się nad urwiskiem, siejąc woń odurzającą...

Lorenzo chciał był, jak dawniej, wdrapać się aż do niej od strony przepaści, ale nie mógł — zresztą, nie robiło mu to żadnej uciechy: w chacie już obcy siedzieli, ani jednej znajomej twarzy w całej wiosce — w miejscu, gdzie niegdyś matka z nim siadywała, naprawiając sieci rybakom, jakaś pierwszy raz widziana kobieta, o potwornej głowie i przykrych, świdrujących oczach, szydłem cerowała sobie łachmany... Nie był to już jego dom, i było mu bardzo, bardzo smutno i ciężko — tak ciężko, aż zaczął się pytać siebie, dlaczego? A wciąż towarzyszy mu ten odurzający, gorzko-migdałowy zapach kwitnących oleandrów... i zobaczył, że jest na małem *campo-santo* swej wioski, i że tak pachną oleandry, zasadzone u matczynej mogiły.

— »To więc dlatego mi smutno! mamo, mamo!« zawołał, z głośnem szlochaniem, rzucając się twarzą w wyschłe badyle nagrobne i mówił sobie z rozpaczą, że jego słodka, śliczna *mammina* tam leży, pod tą spaloną mogiłą, tak rozsypana w proch, jak stłuczony posążek jego białej Madonny...

Ale zaledwie wypowiedział głośno te słowa, wnet poczuł

w sercu, że kłamie i strach go porwał okrutny, że tak zgrzeszył i niepokój jakiś szarpnął do żywego, aby stąd iść, iść coprędzej! bo ta mogiła już mu nic nie odpowiada, a tam, daleko, oczy matki napróżno wypatrują go z nieba w miejscu, w którem powinien być na ziemi. I czuł, że go moc jakaś i nakaz jakiejś siły, jakby poprostu sznurami szarpie i ciągnie do tego miejsca w obcem mieście, ku któremu matka wypatruje oczy nadaremnie i poczuł, że go ta siła wręcz za ramiona bierze i podnosi...

Otworzywszy powieki, zmorzone długim snem, ujrzał nagle pochylone tuż nad sobą pochmurne i groźne oblicze wuja Babtysty i uczuł, że to jego ręce podnoszą go z ziemi i dźwigają.

Instynktowym ruchem przestrachu zasłonił twarz rękoma, ale podnoszące go ramiona nie szarpały nim w uniesieniu ani gniewie, ale raczej obejmowały i przygarniały, jakby z jakąś szorstką czułością... Niedowierzający, zdumiony sierota lękliwie spojrzał przez palce, i ujrzał się utulonym na piersi, w objęciu opiekuna.

— Co z tobą bębnie? burczał głos, przywykły do gderliwego łajania — cztery godziny latam po mieście jak w gorączce, przez policyę szukać go każę — myślałem, żeś gdzieś zbłądził i przepadł już zupełnie, a ten urwisz śpi sobie w najlepsze w jakimś kącie! Cóż to? gorączkę masz? bredziłeś.

Podczas, gdy głos ten, burczący i chropawy, rozlegał się tuż nad jego głową, sierota po raz pierwszy w życiu odważył się na mgnienie oka, pełne lęku wejrzenie zatopić aż w samą głąb źrenic opiekuna, z tak blizka w niego z pod nawisłych brwi wpatrzonych...

Błyskawica to tylko była, bo długie rzęsy dziecka wnet zatrzepotały, jak skrzydła ptasze, nawykłym im ruchem nieśmiałego zakłopotania i czarną firanką przesłoniły oczy, ale w tym jednym błysku Lorenzo doznał olśnienia, które odrazu postawiło go na nogi. Z tych źrenic opiekuna, z tych samych źrenic, przed któremi dotąd spuszczał zawsze jaknajniżej głowę, wyjrzało do niego spojrzenie matki!

To samo ciepłe, tkliwe spojrzenie, od którego czarno-zło-

tych światełek taka słodycz i poczucie bezpieczeństwa opływało mu duszę, żywcem to samo ukochane spojrzenie, za którem tęsknota tak pożerała dziecinne serduszko, tylko te krzaczyste, cień rzucające brwi, na pozór czyniły je odmiennymi — w głębi, były to oczy te same, oczy brata i siostry! Po raz pierwszy ten wyraz oczu, nie było go dotąd nigdy.

Nowość tego odkrycia nagle przemieniła dla Lorenza całą osobę wuja: to nie był już ten obcy, groźny, strachem przejmujący opiekun, to był, w smutnej pustce jego sieroctwa, ktoś blizki, swój — budzący zaufanie!

Zaś wuj ten, nieświadomy uczuć dziecka, trzymając wciąż mocno jego rączynę w swojej namulonej dłoni, pociągał je szybko za sobą to przez ciemniej, to jaśniej oświetlone place i ulice. A gdy tak czuł uwięzione w swem ręku drobne, dziecinne paluszki, nie mógł otrząsnąć się z dziwnego, przemocą narzucającego mu się złudzenia: z barczystych jego ramion i pierwszem dotknięciem siwizny przyprószonej głowy, zsuwało się gdzieś wstecz trzydzieści lat ciężkiego życia, ciemna noc listopadowa i gwarne ulice obcego miasta ustępowały przed zalaną słońcem, pustą prawie równiną, przez której wyjałowione upałem, białym pyłem przysypane pola, kroczył tak często młody robotnik do pracy w odległej winnicy, a w dłoni czuł, jak w tej chwili chudą, dziecinną rączynę. Koło niego biegła niestrudzenie para bosych, brunatnych od słońca nóżek, wyglądających z pod krótkiej spodniczki, a słodkie, figlarne oczy, i czerwone jak koral usteczka śmiały się wciąż do niego ze smagłej, złotawej brwi. Teresina! Siostrzyczka! jak ona kochała tego dużego brata, jak lubiła, gdy jej pozwolił odprowadzać się do roboty i jak potem usiadłszy na przymurku winnicy, podczas, gdy on oczyszczał, podwiązywał lub obcinał latorośle, wyśpiewywała mu dla skrócenia czasu nieprzebrane piosenki — istnie skowrończe gardziołko! a on, jak kochał tego swego świegotliwego skowronka... Dziw, skąd mu dziś właśnie to jej wspomnienie takie żywe przychodzi, że przysiągłby niemal, iż to jej właśnie tak śmiesznie małą, kocią łapkę wyczuwa w swojej dłoni...

— Wuju Baptysto! ja dziś prawie wszystko sprzedałem —

zaczyna w tej chwili koło niego zrazu trochę drżący i urywany, ale upewniający się zwolna głos chłopięcy — tylko jeden posążek Niepokalanej Madonny stłukł się był w drobne okruchy, ale potem sam się zrósł cudem i Madonna odpłynęła w obłokach ku niebu i mnie z sobą wzięła, aby mi pokazać, że *mammina* stamtąd wciąż tu patrzy na mnie...

Czarno zarosła twarz Baptysty chyli się nad dzieckiem z niepokojem.

— Co ty mi znowu bredzisz? Uziąbł do kości i doprawdy jeszcze mi rozchorować się gotów! Skaranie Boże z tym dzieciuchem!

— Bredzi o dziwach, mruczał brodacz. Ale co dziw — dodał w myśli — to, to, skąd we mnie ta sympatya dla tego chłopca...

Zofia Mrozowicka.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Polska literatura agrarna w XX wieku.

II.

Ludwik Krzywicki: »Kwestya rolna«. — »Encyklopedya nauk społecznych«. — Dr. J. B. Marchlewski: »Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego«. — Władysław Grabski: »Ekonomia w produkcyi rolnej«. — Maryan Kiniorski: »Większa i mniejsza własność ziemska wobec parcelacyi«. — Stanisław Sulimierski: »Obecne stosunki wiejskie«. — Juliusz Waliszewski: »Kilka słów o parcelacyi«. — Aleksander Kłobukowski: »Własność ziemska w Królestwie Polskiem«. — Dr. Tadeusz Jackowski: »Przyszłość naszego ziemiaństwa w Wielkopolsce«. — Stanisław Dzierzbicki: »Działalność banku włościańskiego«.

Dziwnym zbiegiem okoliczności niemal równocześnie z pracą pana Rozwadowskiego pojawiło się na półkach księgarskich dzieło, wydane z pomocą Kasy Mianowskiego [1], którego autor doszedł do wręcz odmiennych wniosków. Pan Krzywicki broni wyższości wielkich gospodarstw w sposób, który, wątpię, czy im przysporzy zwolenników. Dobór i opracowanie obfitego, nader pracowicie zebranego materyału, nie jest dość ścisłe. Autor zestawia wiadomości o rolnictwie wszystkich krajów środkowo-europejskich, nie pomija Australii, Nowej Zelandyi, Kanady i Stanów Zjednoczonych; opanowanie i wyzyskanie

[2] Ludwik Krzywicki: »Kwestya rolna. Przełom w produkcyi środków spożywczych w drugiej połowie XIX wieku«. Warszawa 1903. Str. 407.

tak różnorodnego i niewspółmiernego mnóstwa faktów, zamierzone przez autora sprowadzenie ich do jednego mianownika, nastręczało poważne trudności, którym p. Krzywicki nie podołał. Najfatalniejszem w skutkach okazało się korzystanie ze źródeł drugiego rzędu; przytaczając cyfry statystyczne autor zazwyczaj nie sięgał do źródeł oryginalnych t. j. do wydawnictw urzędowych biur statystycznych, lecz posługiwał się literaturą opartą na wspomnianych wydawnictwach. Pisząc o wzrastającem obdłużeniu włościan w Galicyi, twierdzi p. Krzywicki, za jednym z dawniejszych autorów, że wzrosło z 465.513 złr. w r. 1868 na 51 milionów w r. 1890 (str. 325). Cyfry te przytaczają ciągle w dziennikach, mowach parlamentarnych, niestety i w pracach naukowych, p. Krzywicki i inni dowodzą nimi »przekonywująco« upadku stanu włościańskiego, a przecież są one z gruntu fałszywe. W r. 1868 zaczynano dopiero zakładać księgi gruntowe dla posiadłości rustykalnych, cyfry z r. 1868 dotyczą kilku powiatów, podczas gdy suma ogólna za rok 1890 obejmuje kilkadziesiąt powiatów, czego naturalnie statystyka urzędowa nie omieszkała zaznaczyć. Wzorem wielu innych p. Krzywicki jest niełaskaw na polską literaturę. O Pinczynie pod Gdańskiem pisze, że jest to próba stworzenia kooperatywno-współdzielczej wioski (str. 394), przyczem odwołuje się na znaną obszerną książkę Blondela: *Populations rurales de l'Allemagne,* i w tym wypadku zawiódł jego świadek. Gdyby autor był przeglądnął Kalksteina lub Trzcinieckiego, przekonałby się, że chodzi tu o lokalną spółkę parcelacyjną, o wspólne zakupno obszaru dworskiego celem dalszej odsprzedaży między członków spółki, która się rozwiązuje z chwilą rozwikłania interesu. Bez zawiązania spółki nabywcy mieliby trudności prawne w spłacie długów ciążących na majątku i w ich rozłożeniu na poszczególne nowe osady, które jednak nie powstają z zamiarem prowadzenia stale łącznego gospodarstwa na wspólny rachunek członków i myśli tej w czyn nie wprowadzają, nie są zatem instytucyą kooperatywno-współdzielczą.

Całe ustępy o rozmiarach rozdrobnienia gruntów są mylne, ponieważ autor nie zdaje sobie sprawy z pojęcia parceli katastralnej. »Statystyka urzędowa niemiecka parcelą nazywa osadę, posiadającą mniej, niż 2 hektary« (str. 254). W przypisku na str. 267 jest mowa o wiosce w Sachsen Meiningen, która ma na 804 ha — 9596 parcel, Niestety »parcela« w pierwszym wypadku nie jest identyczną z pojęciem, o którem mowa później. Pan Krzywicki na str. 254 źle przetłumaczył słowo *Parcellenwirthschaft*, po polsku używamy zazwyczaj wy-

rażenia »gospodarstwo karłowate« na określenie małej rolniczej jednostki gospodarczej, która nie wystarcza na wyżywienie właściciela i jego rodziny. Statystyka niemiecka gospodarstwa niżej 2 ha zalicza do tej kategoryi i nazywa je *Parcellenwirthschaft;* te gospodarstwa karłowate mogą się składać z jednej lub kilku parcel katastralnych, zazwyczaj obejmują większą liczbę parcel; parcela nie tworzy całości ekonomicznej, jest to kawałek gruntu oddzielony od innych, a należący do jednego i tego samego właściciela, który wiedzie odrębny żywot na mapie katastralnej [1], oznaczającej jego granice, ale nie w życiu gospodarczem. W Galicyi mamy około 19 milionów parcel, a właścicieli co najwyżej przeszło milion; w tem właściwem znaczeniu użył autor wyrażenia parcela na str. 267.

Statystyka francuska i belgijska nazywa parcelę katastralną *côte foncière,* co autor tłumaczy słowem »osada« (str. 276); że tu nie chodzi tylko o mylną terminologię, tego dowodem wyrażenie: »cyfry statystyczne, podając jedynie liczbę przedsiębiorstw« (str. 280) — otóż *de facto* wadą statystyki jest właśnie uwzględnianie tylko parcel katastralnych, wystarczające dla celów podatkowych, a zamilczenie liczby przedsiębiorstw.

Tymi przykładami nie wyczerpaliśmy usterek w opracowaniu materyału, których część przypisać należy niedostatecznej znajomości techniki rolniczej.

Jednym z objawów małego obeznania się z problemami technicznymi jest zbyt ogólnikowe ujmowanie stosunku wielkiej do małej własności ziemskiej. Jasne zrozumienie tego stosunku możliwem jest tylko w razie dokładnego rozróżniania rodzaju uprawy, przeważającego w danych gospodarstwach. Leśnictwo jest niewątpliwie domeną wielkiego gospodarstwa, także i uprawa zbóż jest przeważnie korzystniejszą w wielkich gospodarstwach, małe natomiast w pewnych ważnych działach produkcyi zwierzęcej gospodarstwa mają wiele niezaprzeczalnych zalet, zwłaszcza w czasach znacznie lepszej konjunktury targowej dla produkcyi zwierzęcej, w czem, nawiasem mówiąc, tkwi właściwe wytłumaczenie obecnego powodzenia gospodarstw mniejszych, średnich. Autor tego punktu widzenia nie wyzyskał dostatecznie [2], pominął także

[1] Por. moją rozprawę: *Grundbesitzvertheilungen in Galizien* (*Schmollers-Jahrbuch* z. IV za r. 1895, str. 1259—1290) str. 1282 i nast.

[2] Por. dr. Herman Levy: *Entstehung und Rückgang des landwirthschaftlichen Grossbetriebes in England 1904;* autor wychodząc z tej zasady podaje szereg cennych uwag o stosunku wielkich do małych gospodarstw.

ważny argument na korzyść wielkiego gospodarstwa z tytułu ubezpieczenia. Ryzyko strat jest w większem gospodarstwie mniej dotkliwe, w Niemczech, we Francyi mniejsi rolnicy tworzą liczne spółki dla ubezpieczenia bydła, wielka własność nie bierze w nich udziału, ponieważ uważa ten wydatek za zbędny. Sam fakt posiadania większej ilości bydła stanowi pewnego rodzaju ubezpieczenie przed stratami.

Coraz to znaczniejsze skupianie się ludności w miastach jest punktem wyjścia w wywodach p. Krzywickiego, przyczyną zasadniczych zmian w handlu płodami gospodarskimi i w technice rolnej. Tym sposobem powstają wielkie ogniska popytu, którym trzeba dostarczyć znacznych ilości towaru jednolitego, centralizacya handlu i handel hurtowny są dalszem następstwem tego objawu, drobny handel nie może zaspokoić swymi pierwotnymi metodami potrzeb ludności, zamieszkującej wielkie miasta. Centralizacya handlu pociąga za sobą centralizacyę produkcyi, ponieważ skup małych partyi różnorodnego towaru od wielkiej gromady przedsiębiorców, niedających poważnych gwarancyi, przedstawia trudności niemal niezwyciężone.

Autor opisuje przykładowo wielkie centralne targi na bydło, wspomina o szeroko rozgałęzionym międzynarodowym handlu jajami, przedstawia wzrastające znaczenie wielkiego handlu w obrocie przetworami nabiału, jako następstwo tych przyczyn pojmuje powstanie wielkich rzeźni, fabryczny wyrób masła i sera, olbrzymie zakłady sadownicze Kalifornii. Specyalizacya w produkcyi rolniczej jest dalszem następstwem tego przewrotu. Pan Krzywicki stara się udowodnić, że gospodarstwo zaczyna tracić swą wszechstronność, jedne specyalizują się w hodowli nasion, inne w hodowli zbóż lub inwentarza, powstaje osobny typ gospodarstw, obliczonych na jak największą produkcyę mleka.

Tym przedsiębiorstwom, przeważnie zamorskim, wyspecyalizowanym, pracującym licznemi maszynami i najemnym robotnikiem na wielkich, tanio nabytych przestrzeniach przeciwstawia autor europejskie gospodarstwa włościańskie o nader wysokiej cenie ziemi, oparte na intenzywnej pracy właściciela i jego rodziny, nie uwzględniając odmiennego historycznego rozwoju tych różnych form ekonomicznych. Pan Krzywicki ułatwia sobie zadanie zwalczania małych przedsiębiorstw przez to, że przytacza przeważnie argumenta przeciw racyonalności gospodarstw karłowatych, których liczne ujemne strony są powszechnie uznane; nie można jednak tych zarzutów rozszerzać na ogół stosunków włościańskich, nadmierna praca i niedostateczna konsumcya,

niemożność zaspokojenia choćby najmniejszych potrzeb kulturalnych, są często właściwością małorolnych, których osady nie wystarczają na wyżywienie rodziny, ale włościanin posiadający większy obszar ziemi znajduje się w lepszem położeniu. Pod tym względem p. Rozw. jest daleko ściślejszym, rozróżnia różne kategorye gospodarstw włościańskich i nie rozszerza obrony przedsiębiorstw małych na karłowate. Fakt przewagi gospodarstw najdrobniejszych, niesamodzielnych w wielu krajach, oraz dążność do powiększania się liczby tych gospodarstw, przejawiająca się pod wpływem konkurencyi zamorskiej, nawiasem mówiąc, nie wszędzie i bynajmniej nie w stopniu zmieniającym radykalnie podział własności ziemskiej, nie może jeszcze usprawiedliwiać podobnego uogólniania, a to tem bardziej, że rozwój przemysłu w wielu krajach zmienił gospodarstwa karłowate w czynnik ekonomicznie dodatni. Tam, gdzie jest w pobliżu dużo sposobności do zarobkowania w przemyśle, właściciel gospodarstwa karłowatego staje się robotnikiem, którego rodzina prowadzi drobne przedsiębiorstwo rolne jako zarobek uboczny; a ten stan rzeczy ma dużo zalet, wykraczających poza sferę ściśle ekonomiczną: własność ziemi wzmacnia społeczne stanowisko robotnika, zazwyczaj umożliwia mu prowadzenie życia bardziej hygienicznego i t. d. [1].

Lecz jak pogodzić wyższość wielkiej produkcyi z licznymi faktami parcelacyi, które przekonywująco dowodzą żywotności mniejszych jednostek gospodarczych? Pan Krzywicki sądzi, że zastosowanie elektryczności w rolnictwie wywoła przewrót na korzyść wielkiej produkcyi. Jest to hipoteza, której równie trudno zaprzeczyć, jak wykazać jej prawdopodobieństwo, albowiem sposoby przyszłego zastosowania elektryczności są nam nieznane, to też chyba przedwczesnym byłby spór o gospodarcze skutki zmian technicznych, na razie zupełnie nieuchwytnych.

Bardziej pozytywnym jest argument o wzrastającem znaczeniu zrzeszenia rolniczego, które wyodrębnia z małego gospodarstwa pewne działy i wiąże je w całości wyższego rzędu; p. Krzywicki sądzi, że kooperacya obejmie z czasem wszystkie działy gospodarstwa, rolnicy połączą się w stowarzyszenia wytwórcze, które będą prowadziły gospodarstwa na wspólny rachunek członków. Jedna tylko okoliczność świadczy przeciw prawdopodobieństwu rozwoju w tym kierunku, a jest

[1] Por. z nowszej literatury Hey: *Die Parcellenwirthschaften im Königreich Sachsen.* Tübingen 1904.

nią zbyt nizki udział małorolnych w współczesnem zrzeszeniu rolniczem. Zaradzi temu państwo stawiając zasadę »przymusowej assocyacyi« (str. 397 i 405).

Uwagi autora o udziale małorolnych nie są zupełnie trafne; wzrost oświaty, przykład stowarzyszeń pomyślnie się rozwijających wywoła zapewne w stosunkowo krótkim przeciągu czasu pożądaną zmianę bez uciekania się do obosiecznej interwencyi państwa. Już obecnie powstają stowarzyszenia, oparte na udziale małorolnych i to w krajach, w których zrzeszenie rolnicze znajduje się dopiero w początkach. Niedaleko Krakowa założono dwa lata temu spółkę mleczarską w Rybnej, złożoną z pięciuset członków, posiadających przeważnie jednę do trzech krów.

Ideał »przymusowej asocyacyi« jest ideałem kolektywistycznym, a nie kooperacyjnym, słowa te zawierają oczywistą *contradictio in adiecto.* Siłą zrzeszenią rolniczego jest jego dobrowolność, która zapewnia powstawanie stowarzyszeń tylko tam, gdzie są warunki korzystne dla ich rozwoju. Poparcie zasiłkami państwowymi stowarzyszeń rolniczych powinno być stosowane nader oględnie, ażeby nie narazić zrzeszeń sztucznie powołanych do życia na upadek, zrażający ludność rolniczą do dalszych prób na terenie nieznanym, nie wzbudzającym zaufania: »Przymusowa assocyacya« byłaby stokrotnie niebezpieczniejszą.

Oryginalna terminologia w pracach naukowych jest objawem pożądanym tylko wtedy, jeżeli jest koniecznym wyrazem nowych idei lub nowej systematyki przedmiotu, stanowiącej istotny postęp w porównaniu z dotychczasowym stanem nauki w danej gałęzi wiedzy ludzkiej. Pan Krzywicki używa nader oryginalnej terminologii, aczkolwiek treść książki nie zawiera dostatecznego usprawiedliwienia dla tego sposobu pisania. Doborowe osobniki poszczególnych odmian nazywa autor »eugienistami zwierzęcymi«, postępową hodowlę »zootechniką«, rolników specyalizujących się w hodowli »inżynierami hodowlanymi« — powstaje w ten sposób balast, zaciemniający jego wywody.

Właściwością książki, która znacznie umniejsza jej zdolność przekonywania czytelnika jest stawianie hipotez zupełnie dowolnych; pan Krzywicki liczy się z tem, że zastosowanie współczesnej kultury zootechnicznej do morza zamieni je na niewyczerpaną kopalnię pokarmu i nawozu (str. 90), zootechnikę, której autor przypisuje przesadne znaczenie, można będzie zastosować z czasem do człowieczeństwa celem udoskonalenia rasy ludzkiej (str. 93). Niektóre z hipotez p. Krzywickiego są objawem daleko posuniętego przeceniania łatwowierności czy-

telnika. Leżenie krzyżem w kościele tłumaczy autor przepracowaniem włościan, ich »zmęczeniem mięśniowem« (str. 111). Tendencyjność tych wywodów jest aż nadto widoczną.

Streszczeniem wywodów zawartych w książce przez nas omawianej jest artykuł p. Krzywickiego »Agrarna kwestya«, pomieszczony w zeszycie pierwszym »Encyklopedyi nauk społecznych« (Warszawa 1902, Wydawnictwo *Głosu*, str. 13—29). Zaznaczam przy tej sposobności, że wyszły trzy zeszyty »Encyklopedyi«, niewyczerpujące litery A na 144 stronicach, znajduje się w nich kilka artykułów, dotyczących polityki agrarnej; o ile mi wiadomo, dalszy ciąg wydawnictwa ma być zaniechany. Redakcya nie zdołała skupić nielicznych polskich pracowników na niwie nauk społecznych, dzieło ma charakter jednostronny, a mało fachowy.

Wyższość wielkich gospodarstw znalazła drugiego obrońcę w książce p. Marchlewskiego[1], której część druga obejmująca przeszło sto stron, a poświęcona stosunkom rolniczym kończy się ustępem o »sprawności ekonomicznej gospodarstw rolniczych drobnych, włościańskich i większej posiadłości«; część V (str. 312—349) przedstawia akcyę parcelacyjną polską i niemiecką. Niestety książka nie nadaje się do żadnego użytku, ponieważ zawiera liczne tabele statystyczne zupełnie błędne — może z powodu niedbałej korekty. Nie chcę powtarzać tego, co wykazało kilku recenzentów, przypomnę tylko, że p. Sokolnicki[2] w jedenastu obliczeniach na str. 128 i 129 znalazł osiem błędów, a na str. 130 jeszcze dwie omyłki i że przytacza długi szereg podobnych mylnych wyników cyfrowych, z których autor powyciągał wnioski. Także i wiadomości rolnicze p. Marchlewskiego są stanowczo za małe. Na str. 129 zalicza do gospodarstw włościańskich małorolnych gospodarstwa od 2—5 i 5—20 hektarów, z których rodzina posiadająca takie gospodarstwo wyżyć wyłącznie nie może, musi szukać zarobku postronnego *(sic!!)*. Posługując się taką metodą, dochodzi autor do wniosków zupełnie niespodziewanych, pisze np. »o parcelacyi (w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich) na wielką skalę, jak widzieliśmy z cyfr statystycznych, niema mowy« (str. 168).

Poglądy nader zbliżone do zapatrywań p. Rozw. na stosunek wielkiej do mniejszej własności ziemskiej odnajdujemy w pracach

[1] Dr. J. B. Marchlewski: »Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego«. Lwów 1903, str. III i 389.

[2] *Ekonomista* za rok 1903, tom II (str. 146—150).

pp. Władysława Grabskiego[1] i Maryana Kiniorskiego[2]. Pan W. Grabski zwalcza zapatrywanie rozpowszechnione w kołach ziemiańskich, a tłumaczące silny ruch parcelacyjny w Królestwie wyłącznie »nizkim, graniczącym z nędzą poziomem potrzeb własnych« u włościan, słabsze urodzaje na ziemiach chłopskich wyjaśnia tem, że jakość gleby na tych gruntach jest w wielu wypadkach gorszą, jak na sąsiednim obszarze dworskim; przyczynę gorszej jakości gleby widzi p. Kiniorski »w rozpowszechnionem do połowy XIX wieku przenoszeniu włościan na grunty oddalone od folwarku w celu bardziej dogodnego urządzenia gospodarstwa folwarcznego« (str. 103). Zdaniem p. Grabskiego wielka produkcya ma wyższość nad małą tylko w zakresie przemysłu, ponieważ maszyny i podział pracy nie odgrywają w rolnictwie tej roli, co w przemyśle, natomiast rozstrzygającym czynnikiem jest przyroda i praca ludzka. Nie ulega wątpliwości, że przewaga wielkiej produkcyi w przemyśle jest dalej sięgającą i bardziej powszechną, jak w rolnictwie, ale niepodobna udowodnić prawdziwości prawidła przeciwnego dla gospodarstwa rolnego. Pan Grabski w swych wywodach niedocenia znaczenia narzędzi i maszyn w rolnictwie, zresztą zupełnie pomija rozbiór szeregu czynników, przemawiających za wyższością gospodarczą — tylko tę mamy na myśli — większych przedsiębiorstw rolnych. Druga część rozprawy p. Grabskiego osłabia zbyt absolutne postawienie kwestyi w pierwszej; autor dochodzi do wniosku, że ofiarą prądu parcelacyjnego padną gospodarstwa słabsze zbyt zadłużone, źle administrowane. Reszta większych przedsiębiorstw utrzyma się, jeżeli ich właściciele nie będą żyć nad stan, jeżeli potrafią odpowiednio zastosować doniosłe zdobycze nowoczesnej techniki rolniczej. P. Grabski uznaje wyższość większych przedsiębiorstw, polegającą na większej łatwości zapewnienia sobie fachowego kierownictwa.

Pan Kiniorski przytacza szereg ciekawych spostrzeżeń o postępach gospodarki włościańskiej, dokonanych ostatnimi laty, wylicza wkładki do gminnych kas pożyczkowo-oszczędnościowych, obrachowuje kwoty wydane na zakupno ziemi, streszcza opisy gospodarstw włościańskich w »Zorzy« i wyniki, do których doszedł p. Stan. Chełchowski w znanej broszurze »Nasze wzorowe gospodarstwa wło-

[1] »Ekonomia w produkcyi rolnej« (str. 43—91 w t. II wydawnictwa zbiorowego »W naszych sprawach«. Warszawa 1900).

[2] »Większa i mniejsza własność ziemska wobec parcelacyi« (*Ekonomista*. Warszawa 1903, t. I, str. 81—114).

ściańskie« (Warszawa 1899, str. 86). Ostateczny wniosek p. Kiniorskiego opiewa: »Pomiędzy gospodarstwem chłopskiem z przed lat 20-tu a obecnem, jest odskok niemal równy temu, jaki daje się spostrzegać w sferze gospodarstw folwarcznych«.

Przedstawiony przez p. Kiniorskiego pogląd na potrzebę bardziej racyonalnego zorganizowania procesu parcelacyjnego zgodny jest w ogólnych zarysach z zapatrywaniami pp. Rozwadowskiego, Wład. Grabskiego i niemal wszystkich innych polskich autorów, którzy o tym problemie pisali; niestety jednak praktyka parcelacyjna we wszystkich trzech zaborach jest przeważnie odmienna. Zaleca zatem autor tworzenie gospodarstw, któreby dawały rodzinie włościańskiej utrzymanie i zajęcie przez cały rok, oraz parcelowanie o ile możności tylko częściowe obszarów dworskich celem upłaty długów, lepszego zaokrąglenia, uniknięcia strat przez uczynienie zbędnymi budynków gospodarskich, zwiększenie ich kapitału obrotowego. Ponieważ Bank włościański nie czyni zadosyć tym wymogom, przemawia p. Kiniorski za założeniem instytucyi parcelacyjnej, któraby starała się pokierować tym ruchem w duchu »społecznie racyonalnym«. jakby powiedział p. Rozwadowski.

Podobny postulat, za którym dawniej przemawiali Bloch, Jeziorański i inni, podnosi także p. Stanisław Sulimierski[1], oświadczając się również za wyższością ekonomiczną małych gospodarstw.

Mniej przychylne stanowisko wobec parcelacyi zajmuje p. Juliusz Waliszewski[2]. Widzi w niej raczej *malum necessarium*, zachęca swoich kolegów w zawodzie rolniczym do wytrwania na posterunku, trudność wykonania tej rady widzi w obciążeniu, wywołanem nadmiernie wysokimi spłatami rodzeństwa, doradza zmianę zwyczajów spadkowych.

Aleksander Kłobukowski[3] sądzi w swej przedśmiertnej pracy, że ruch parcelacyjny ma w sobie znamiona trwałości. Rolnictwo Królestwa znajduje się w trudnych warunkach: wysokie cła niemieckie, zwłaszcza zamknięcie granicy zachodniej dla zwierząt domowych, oraz różniczkowe taryfy kolejowe, umożliwiające nadzwyczaj tani dowóz

[1] »Obecne stosunki wiejskie« (»W naszych sprawach« tom III, str. 289—311. Warszawa 1902).

[2] »Kilka słów o parcelacyi« (»W naszych sprawach« str. 255—275, tom II. Warszawa 1900).

[3] »Własność ziemska w Królestwie Polskiem« (*Biblioteka Warszawska* I kwartał 1903, str. 502—531).

zboża z głębi cesarstwa, a wreszcie nieuregulowane służebności — oto główne powody niekorzystnego położenia większych gospodarstw. Przesilenie nie zagraża 1) latyfundyom, 2) majątkom leśnym, 3) posiadającym obszerne i dobre łąki, 4) bardzo urodzajne głeby, 5) zasobnym w kapitał obrotowy. »Folwarki oparte jedynie na produkcyi ziarna i mniej więcej odłużone, rychlej czy później będą musiały uledz parcelacyi«.

Tę dość pesymistyczną ocenę położenia gospodarczego własności szlacheckiej powtarza się często także, mówiąc o stosunkach w Poznańskiem. Dr. Tadeusz Jackowski, syn zasłużonego patrona Kółek rolniczych podjął się wdzięcznej obrony przeciwnego poglądu[1], wskazując na szereg zaniedbanych działów gospodarstwa, których lepsze wyzyskanie może znacznie podnieść jego rentowność.

Pan Stanisław Dzierzbicki[2] podaje nam w swej rozprawie wiadomości, dotyczące rozmiarów ruchu parcelacyjnego w Cesarstwie i w Królestwie o tyle, o ile nabywcy posiłkowali się kredytem w Banku włościańskim, nie wyzyskując jednak całego materyału zawartego w sprawozdaniach; parcelacye przeprowadzane bez pośrednictwa tej instytucyi są dla nas niemal zupełnie nieznane. Za pośrednictwem banku przeszło w ręce włościan około 2% całej przestrzeni Królestwa, a mianowicie zakupili do końca 1899 roku 192.241 dziesięcin, z czego 48.210 dzies. przypada na ostatni rok, przeciętnie na jednego osadnika wynosiła 4·4 dziesięciny; cyfra ta jednak nie wiele nam mówi, ponieważ nie wiemy, czy chodzi o dokupno ziemi przez sąsiadów czy też o zakładanie nowych zagród, a raczej nie wiemy, w jakim stosunku rozkłada się ta ilość ziemi na parcelacyę sąsiedzką i osadniczą. Suma pożyczek udzielonych przez Bank na zakupno tej ziemi wynosi 19.457, ogólna cena 20 milionów rubli.

O rozmiarach parcelacyi w Królestwie w roku 1900 dowiadujemy się z artykułów ogłoszonych przez p. Stanisława Dzierzbickiego w *Gazecie rolniczej*[3]; włościanie zakupili za pośrednictwem Banku włościańskiego 40.136 dziesięcin, zaciągając 4·9 milionów rubli pożyczki w banku, a dopłacając z własnych funduszów 1·498 milionów rubli.

---

[1] »Przyszłość naszego ziemiaństwa w Wielkopolsce«. Poznań 1901 str. 24.

[2] »Działalność Banku włościańskiego«. *Ekonomista*, z. IV, z roku 1901, str. 336—378.

[3] »Działalność Banku włościańskiego« (na podstawie urzędowych sprawozdań) nr. 19, 20, 22 i 23. Warszawa 1902.

Rozprawki p. Dzierzbickiego zawierają nadto cenne dane o wysokości cen, płaconych przez nabywców, oraz o różnej intenzywności ruchu parcelacyjnego w poszczególnych guberniach i powiatach [1].

Dr. A. Krzyżanowski.

Słoneczna Pieśń *Józefa Jedlicza.* Kraków, nakł. D. E. Friedleina. 1904.

Nowe tomy poezyi... tyle pojawia się ich rok rocznie, że plon polskiej Muzy powinienby istotnie być bardzo bogaty, gdyby w nim nie było przeważnie pustych kłosów, które nie dają nic, okrom słów misternie dobranych. Mechanika wiersza wyrobiła się do doskonałości gładka, nieraz nawet kunsztowna forma stała się powszechną i łatwą rzeczą, to też nieforemnych wierszy nikt już dzisiaj nie pisze — za to sowicie opływamy w wiersze bezmyślne i bezduszne. Nigdzie może trafniej, niźli do naszej twórczości poetyckiej nie da się zastosować piękne zdanie Schillera:

Weil ein Vers dir gelingt in einer gebildeten Sprache,
Die für dich dichtet und denkt — glaubst du schon Dichter zu sein.

Krytyka literacka jeśli naprawdę przewodniczyć ma czytelnikowi w wędrówce po krainach poezyi, nie może i nie powinna o tych miernotach poetyckich powiedzieć nic więcej, ponad Wirgiliuszowe słowa,

---

[1] Sprostowanie. Z powodu chwilowego wyjazdu z Krakowa nie robiłem korekty mego artykułu »Polska literatura agrarna«, drukowanego w listopadowym numerze, skutkiem czego nie zauważyłem, że tekst na str. 277 nie uwzględnia poprawek poczynionych w drugiej redakcyi rękopisu, przez pomyłkę nie posłanej do drukarni. A mianowicie powinny być opuszczone słowa: »pozycya ta« (w. 7 z góry) i następne aż do końca zdania tj. do słowa »w dochodach« (w. 9 z góry), oraz słowo »nietylko« (w w. 18 z góry). W w. 19 z góry trzeba uzupełnić słowa: »dla majątków« określeniem i »większych« w w. 20 z góry należy czytać zamiast »większych« średnich i mniejszych, w w. 22 z góry zamiast: »za nizką«, »za wysoką«. Oprócz tego zdania rozpoczynające się słowami: »Właściciele (w. 22 z góry) aż do słów: »wywody p. R.« (w. 10 z dołu) mają brzmieć: »Klawki obliczając dochody średnich i mniejszych gospodarstw podaje w kilku wypadkach liczby sprzedanego przychowku i udoju (względnie masła), sprzeczne z ilością krów, niemożliwie wysokie, a z drugiej strony w rozchodaeh oblicza za nizko wartość płacy właściciela i jego rodziny. Pan Rozwadowski podwyższa te wysokie dochody przez odmienną terminologię«. Wreszcie dodaję, że należy wszędzie czytać zamiast: »Anhagen«, »Auhagen«, zamiast: »Backkaus«, »Backhaus«.

wyrzeczone do Danta na widok dusz nijakich, ni złych, ni dobrych: »Nie mówmy o nich, spojrz raz i pójdź dalej!«

Natomiast jest obowiązkiem jej pierwszym (i najmilszym) podnosić tem skwapliwiej ukazanie się na widowni literackiej każdego prawdziwego talentu, określić jego rodzaj i kierunek pokazać — co w nim najistotniejsze i najlepsze.

Cóż z sobą przynosi poeta występujący co dopiero w szranki pod pseudonimem Józefa Jedlicza? Prawdziwe jego imię to... tęsknota. Jego *Pieśń Słoneczna* to ciągłe, bolesne wyrywanie się duszy ludzkiej ku słońcu, duszy spragnionej światła i ciepła, duszy tułaczej, nienasyconej niczem. Na różne tony śpiewa on tę bezbrzeżną, trawiącą go tęsknotę; różne ona w jego fantazyi przybiera kształty, ale w istocie swej zawsze zostaje ta sama, »nieodstępna«, »zrodzona z łez tajonych i doli sierocej«.

I wiem, czy będę w życiu krwawił się o ciernie,
Czyli trafię na szczęście w bolesnej podróży,
Ty pójdzież wciąż milcząca, pójdziesz za mną wiernie
I ta straszna wędrówka nigdy cię nie znuży.

I wiem, czy pójdę smutny, sam i nocą ciemną,
Czy z rzeszą tryumfalną w słoneczne poranki
Ty jak cień mój bliźniaczy pójdziesz wszędy ze mną,
Nakształt jedynej, wiernej na wieczność kochanki.

Choćbym ujrzał spełnioną żądz mych baśń daleką,
Przetrwasz iskrą w mej wiecznie gorejącej duszy —
Dżdżem łez nieutulonych pod moją powieką,
Skargą muszli w mem uchu, której nic nie zgłuszy...

Nawet i tam, gdzie o niej wprost niema mowy, gdzie poeta innym uczuciom głos daje, i tam jeszcze ona, tęsknota odzywa się niewidzialna a zawsze obecna. Ona go opętała, jest mu »przekleństwem i wydziedziczeniem«, a zarazem źródłem i duszą jego pieśni.

Więc nie dziw, że pieśń ta śladem nadziemskiej tęsknicy zawsze lecąca, w jej nawoływanie zasłuchana, w jej magnetyzujący wzrok wpatrzona, odbiła się skrzydłami daleko od wszelkiej rzeczywistości. Ani się ona pięknością przyrody nie upaja, ani w tajemnicach jej nie zagłębia; próżnoby kto w niej szukał obrazów świata zewnętrznego, po malarsku widzianych i odmalowanych plastycznie tęczami poetyckiego słowa. Od natury ona tylko pożycza woni, barw, kształtów i dźwięków, by swój cel i przedmiot jedyny — tęsknotę nieukojoną — wyrazić i wcielić. I dlatego to właśnie w tej pieśni wszystko jest,

wszystko jest widmowo przymglone, nieujęcie lotne, nieokreślenie echowe — wszystko, prócz tęsknego uczucia, które czasem żali się rzewnie, jak chore dziecko, a czasem targa się rozpacznie jak lew na łańcuchu.

Przeróżny, coraz odmienny kształt i wyraz przybiera tęsknota poety. Raz mówi on ustami Odysseusa »co przebył mórz grających bezmiar wichrem wzdęty«, o tej tęsknocie, która go po świecie gnała i naprzemian znowu ukazywała mu »drogie znajome brzegi, ciemne gór olbrzymy, stary dworzec, ojczyste nad pałacem dymy, na progu niewiasta smutna, bladolica...« To znowu tęskna jego dusza wciela się w s m u t n e g w i a z d y,

co wciąż błądzą po ciemnych bezdrożach,
Jak puste martwe statki po samotnych morzach
Krążą błędne wśród mroków otchłannej przeźroczy
Lśniąc jak wpatrzone w senną dal, ogromne oczy,
Mkną wieczyście, kres jakiś marząc niewiadomy,
Wciąż wchłaniane przez mroków milczące ogromy!
Aż mrąc swych własnych żalów tęsknicą bezpłodną,
Zwolna zgasną znużone z piersią wiecznie głodną
I umrą w dzikiej żądzy cudu i objawień
I nigdy nie dosięgną kresu swych wybawień.

Nuda i przesyt zrodzone z tęsknoty za nieskończonością, marność, znikomość, połowiczność doczesnej rzeczywistości, wywołują przed oczyma duszy »jasne w snach widziane światy«. Czasem znowu, jak w ślicznej *Baśni okien* sama rzeczywistość podnieca wyobraźnię do snucia czarownych wizyi:

Na sinej tafli okien, matowej, zamglonej
Mróz czarodziej wyrzeźbił niewidziane cuda:
Jakichś drzew fantastycznych tęczowe korony,
W których rozkwita bujnie srebrny kwiat — Ułuda.

Słoneczna Pieśń obejmuje całą dotychczasową twórczość Jedlicza, to też wyraźnie znać w niej stopniowy rozwój talentu, ale przełomu, zmiany pojęć tam nie ma. Potęgują się tylko zwolna, mężnieją natchnienia, rozszerza się lot, pogłębia nastrój poezyi, a w miarę tego zmianie ulega przedewszystkiem forma: zrazu regularne stroficzne ustroje wiersza, dźwięczące melodyą słów, miar i rymów; ale niebawem wyobraźnia, myśl, uczucie pomieścić się nie mogą w tej zaokrąglonej regularnej formie, więc rozprężają ją i przelewają się przez nią. Widać to w wierszach takich, jak *I żyjem wiecznie* lub *Wiosenny Hymn*, gdzie poeta chce trzymać się jeszcze stroficznej bu-

dowy, albo wtłoczyć usiłuje treść w ramę sonetu, a równocześnie łamie granice tych form, przekracza i łamie:

Oto wraca w tryumfie niemy, zadumany
Płomienny cherub zórz, zmartwychwstały w wonną ciszę
Oto znów żywy, stujęzyczny hymn ów słyszę;
W górze łka coś radośnie, jak ciche organy...

W tak zmiennej, nieregularnej rytmice układa się sonet odskakujący od typowych norm.

Albo jaka ciekawa i dziwna miara w tym drugim wierszu:

I żyjem wreszcie — smutni, obłąkani Prometeje,
Gdybyż nas rannych przykuto gdzieś do skalnych zwałów
Poobcinano skrzydła jednodniowych zapałów
I zakryto tę próżnię, której żaden wiatr nie zwieje...

Poeta zerwał jednak z połowicznością, poszedł dalej i zarzucił formy regularne. Jak Kasprowicz w *Święty Boże* i w *Salve Regina*, tak Jedlicz od melodyi przechodzi do harmonii wiersza nierymowego, płynącego najróżniejszemi rytmikami w takt, wezbranej fali natchnienia. Ta zmiana zewnętrzna wywołana była wewnętrzną potrzebą wypowiedzenia całej, niczem nieścieśnionej i nieskrępowanej treści, ale na treść samą nie wpłynęła w niczem:

W dal... w dal
niech płynie Tęsknica
za swoją dziką i płochą,
lecz najcudniejszą Kochanką —
niech płynie nieśmiertelna,
wolna jak anioł Tęsknica!
Niech płynie światowładna
Za tem »Czemś«, co mroki oświeca,
a kradnie radość porankom,
co w gwiazd źrenicach czaruje
i w tonach gasnącej zorzy...
Za tem »Czemś«, co wiecznie udręcza
i wiecznie zachwyca
uśmiechem tajemniczym —
Co wabi milczeniem, choć w bezmiar ucieka,
choć w bezmiar ucieka,
co wiecznie się cofa w dal niedościgłą,
a ma za sobą Nieskończoność — — —

Owa tęsknota wiekuista za nieziszczalnym, niedosiężnym ideałem wyraża się najlepiej w *Balladzie o Woju Witeziu*, który

wciąż marząc o swym złotym śnie,
Słonecznym śnie —
Od dziecka, od chłopięcych lat
wciąż pędzi borem, pędzi niwą
ukoić swą tęsknotę...
Wszerz i wzdłuż cały przebiegł świat,
by dosiądz owe widmo złote.

W tej pogoni za słońcem zeszło mu życie całe, aż dotarł już niemal do celu: na gnieździe gór... w tysiącznych skrach, gra złoty chór, gra w ciszy złote słońce... Lecz Witeziowi

zbroję powlekła rdza i pył,
a sucha dłoń
okryta siecią starczych żył —
włos długi lśni, jak śnieżny bór
na barkach, jakby brzemię gór,
a w kościach zimna śmierć!...

Ta święta, rozdzierająca serca tęsknota »za słońcem«, jest wspólną cechą dzisiejszego pokolenia; kto ją zdołał wyrazić, ten wyraził tem samem współczesną duszę ludzką. Wszyscy mamy *Nas. Zamek*, zbudowany »kędyś w borze czarodziejskim« i

Wszystko, za czem wzniesione łkają w mroku dłonie,
O czem dusza spragniona w rzadkich snach zamarzy,
W tym cudnym grodzie zorzą archanielską płonie
I luną szczęścia bije z płomiennych witraży —
Tam, za dziewiątą górą, za dziewiątą rzeką,
Lecz na wędrówkę sił nam nie stać tak daleką!...

Ogrom stęsknionych pragnień — a bezsilność woli, słońce za cel — a u ramion zwichnięte skrzydła, to znamię naszych czasów i naszych ludzi.

Jest w *Słonecznej Pieśni* jeden wiersz, zatytułowany *Ucieczka*, który mówi bardzo wiele, a więcej jeszcze daje do myślenia, zwłaszcza w końcowym swym ustępie. Na tajemniczem uroczysku leśnem, kędy »schowana księga tajemnych losów...« »kędy śpi bóstwo zapomniane i niewygasły znicz się jarzy...«

Płacząc z zachwytu
Składam na ołtarzu moje promienne sny
I wraz otwarta się przedemną nuroczna księga
. . . . . .
Na hebanowych księgi stronicach
Złocistych liter wiją się runy,

Jak w ciemnych mroku tajemnicach
Złociste wiją się pioruny — —
. . . . . .
Przeniknął mnie rozkoszny, krwawy spazm — — —
Pochyliłem się nad księgą —
Jakby nad własnym grobem swym...

I nic więcej? A słowo, słowo zagadki wszechbytu, wypisane »w księdze tajemnych losów« — gdzież ono? Słowa tego nie znalazł poeta, nie wypisał go dla siebie, ani dla nas... Umie on z całem współczesnem pokoleniem tęsknić bezmiernie do słońca i w mrok wyciągać ręce bezsilne: pieśniarzem jest dzisiejszej doby przejściowej, przedświtowej. Ale nie jemu dane — zagadkę sfinksową rozwiązać »z księgi tajemnych losów« słowo przeznaczeń wyczytać i zaśpiewać tryumfalną, słoneczną pieśń Przyszłości!

Lucyan Rydel.

Julian Klaczko, rys życia i spraw 1825—1904, z portretem J. Klaczki. *Ferdynand Hösick.*

Potrzebna była ta książka: wprawdzie nie ma chyba w Europie wykształconego człowieka, któryby się nie zachwycał *Wieczorami Florenckimi,* nie rozkoszował *Juliuszem II,* a nie wiedział, przynajmniej ze słyszenia, o politycznych pismach i dyplomatycznych działaniach Klaczki; wszelako mało kto zdaje sobie należycie sprawę z całego przebiegu żywota i z całego zakresu prac wytwornego i głębokiego pisarza, który — niemocą złożony, dożywa sędziwych lat w krakowskiem swojem zaciszu. Książka Hösicka czyni właśnie zadość tej potrzebie, zaznajamiając bliżej szerszy ogół z genialną postacią najznakomitszego naszego publicysty i estetyka.

Nie wszystkim wiadomo, że niezrównany mistrz prozy zaczynał swój zawód pisarski od... poezyi. Z listu Stefana Witwickiego do Bohdana Zaleskiego widać, że oczy emigracyi paryskiej były zwrócone na trzynastoletniego wileńskiego poetę, po którym wiele sobie obiecywano. Z podziwem wyrażają się współcześni o jego utworach, jak *Moja pierwsza ofiara* lub sonety *Gwiazda* i *Kwiatek.* Zgryźliwa krytyka Hipolita Skimborowicza, umieszczona w *Gazecie Porannej* do żywego dotknęła młodziutkiego Klaczkę i wytrąciła mu pióro z ręki. Bezpośrednim wyrazem zniechęcenia było *Pożegnanie* z poezyą, drukowane w tygodniku wileńskim *Laksnime* (1841). Ujęto się za młodym poetą w *Tygodniku Petersburga,* który w jego obronie zamieścił arty-

kuł X. Moszyńskiego, skwapliwie przedrukowany przez wiele pism polskich, nawet Skimborowicz odwołał swoje zarzuty, ale nic już nie zdołało zawrócić Klaczki na drogę poezyi. Wierszem o *Izraelicie na gruzach Palestyny* i *Elegią na śmierć Justyny Czudowskiej*, zamknął on ostatecznie poetycką swą działalność.

Ukończywszy domowe wykształcenie w Wilnie, siedemnastoletni chłopiec udał się w r. 1842 do Królewca na wydział filozoficzny tamtejszego uniwersytetu, gdzie kształcił się pod kierunkiem profesora Rosenkrantza, filozofa ze szkoły Hegla i Lobecka, słynnego hellenisty. W pięć lat później 1847 r. z królewieckim dyplomem doktorskim przeniósł się do Heidelbergu, dokąd nęciła go sława Gervinusa, wybitnego badacza Shakespeare'a. Gervinus ocenił wprędce niezwykły talent pisarski młodego Polaka i wciągnął go do współpracownictwa w swojej *Deutsche Zeitung*. W doskonałych artykułach malował Klaczko stosunki panujące naówczas w kraju, gdy ruch polityczny, jaki wszczął się w Poznańskiem w r. 1848, powołał go do stolicy Księstwa. Z tych czasów datuje znajomość a nawet zażyłość z najznakomitszymi ludźmi tamtejszymi: z Janem i Stanisławem Koźmianami, z jenerałem Chłapowskim, z X. Janiszewskim, z Kajetanem Morawskim, Augustem Cieszkowskim i innymi. Na jednem z zebrań politycznych zetknął się także raz jedyny z Juliuszem Słowackim, który przelotnie bawił wtedy w Księstwie. W tym to czasie, na tle zmiennych wypadków politycznych, powstała wyborna broszura polemiczna Klaczki: *Die Deutschen Hegemonen*, ogłoszona jako list otwarty z Berlina do Gervinusa. »Takiej świetności pióra — powiada o tej broszurze St. Tarnowski — takiego temperamentu, takiej siły namiętnej w oburzeniu i wzgardzie, takiej siły druzgocącej w inwektywie, a jak stal przeszywającej ironii nie miał dotąd nigdy żaden Polak, piszący o rzeczach politycznych«. Odpowiedzią rządu pruskiego był nakaz opuszczenia Berlina. Klaczko udał się do Paryża.

Tu zaczyna się druga niesłychanie świetna i płodna epoka jego życia, sięgająca aż po r. 1870. Dwudziestoczteroletni młodzieniec, obdarzony niepospolitemi zdolnościami zbliżył się wnet do Mickiewicza, a przez niego do grupy skupiającej się około Gałęzowskiego, J. B. Zaleskiego, Januszkiewicza, Wrotnowskiego. Równocześnie nawiązały się nici łączące z Hotelem Lambert, a w pierwszym rzędzie z ks. Marceliną Czartoryską. Henryk Rodakowski, Leon Kapliński, Franc. Mycielski, Ludwik Wodzicki, Jan hr. Tarnowski z Dzikowa, a później Stanisław Tarnowski, zwłaszcza zaś Waleryan Kalinka, na-

tenczas jeszcze świecki, oto koło, w jakiem obracał się Klaczko. Z polskich prac powstaje wtedy cenne studyum porównawcze *Lenora i Ucieczka*, rzecz drobna, lecz w swoim rodzaju i zakresie prawdziwe arcydzieło. Niebawem dał się poznać Klaczko francuskiej publiczności, jako głęboki krytyk i niezrównany stylista, pisujący z razu w *Revue Contemporaine* i *Revue de Paris*, a później w *Revue des deux Mondes*. Dotykając w swoich recenzyach najróżnorodniejszych przedmiotów, zdumiewa Klaczko olbrzymią wiedzą, samoistnością i nowością sądów i poglądów. Ze względu na przyszłe *Wieczory Florenckie*, najważniejszą może z tych prac jest studyum o *Dancie wobec krytyki nowoczesnej*, wywołane słynną książką Wittego o florenckim poecie. Zbija tam Klaczko teorye niemieckiego uczonego, a natomiast rzuca pierwszy zarys własnych poglądów na kwestyę Dantejską. Podczas wojny Krymskiej roiło się w prasie francuskiej od opisów tej krainy. Klaczce przyszedł do głowy pomysł, ukazać Krym w świetle poezyi, począwszy od Owidyusza, który opiewa »Taurykę« w swoich *Epistulae ex Ponto* aż do *Fontanny Bakczyseraju* Puszkina i *Sonetów Krymskich* Mickiewicza. Śliczna ta praca nosi tytuł: *La Crimée poëtique*. Do najpiękniejszych rozpraw Klaczki w *Revue de Paris* należy miażdżąca, wytworną ale zarazem śmiertelną ironią zaprawna, rzecz o Heinem, w której autor odsłonił w całej nagości moralną nicość charakteru, cynizm i próżnię duchową największego niemieckiego liryka. Niemniej świetna jest rozprawka o *Atenach w epoce Odrodzenia*. Wskazuje w niej Klaczko na dziwne zjawisko, że w czasach, gdy kultura europejska wzorowała się na zmartwychwstającej klasycznej starożytności, Ateny pełne najwyższych dzieł greckiej rzeźby i budownictwa nie pociągały nikogo i nie wywierały żadnego wpływu.

Podobnie miała się rzecz z poezyą: przekładano Wergiliusza nad Homera a Senekę nad Aischylosa. Zjawisko to tłómaczy on tem, że umysł ludzki skazany jest na stopniowe tylko i powolne zdobywanie każdej prawdy, każdego ideału. Wieków całych potrzeba było, zanim ludzkość rozeznała się w helleńskiej poezyi i sztuce, i uznała w niej najwyższy ideał klasycznej piękności. Nie tu miejsce na wyliczanie wszystkich prac Klaczki, pisanych wówczas po francusku. Równocześnie pióro jego nie przestaje służyć polskiemu piśmiennictwu. Między r. 1857 a 1861 wydawał Kalinka sławne swoje *Wiadomości Polskie*, których Klaczko był wielce czynnym współpracownikiem, zarówno w dziale politycznym, jak literackim. Tu wyszły surowe lecz słuszne krytyki *Krewnych* Korzeniowskiego i *Gladyatorów* Lenartowicza, tu

również ukazał się mistrzowski portret literacki J. U. Niemcewicza. Lecz kto wie czy koroną wszystkich polskich artykułów Klaczki nie jest przepyszny jego atak polityczny na Mierosławskiego i zgubne jego roboty rewolucyjne: *Nierycerski Katechizm*. Jeśli kiedy, to tu pióro Klaczki opływa żółcią zjadliwego dowcipu, łzami świętego oburzenia i krwią serdecznej boleści. W całej polemicznej literaturze polskiej nie ma chyba nic równego.

Niezależnie od *Wiadomości Polskich* wyszło w r. 1861 wyborne studyum Klaczki o korespondencyi Mickiewicza. »Dusza Mickiewicza, wielka prostotą w drobiazgach życia, potężna w uniesieniu twórczem, wychyla się z książki Klaczki taka prawdziwa, taka realna, jakbyśmy z samym poetą obcowali«.

Niebawem miał Klaczko duszę drugiego wielkiego wieszcza polskiego ukazać oczom Europy: w *Revue des deux Mondes* ukazało się jego wspaniałe studyum »O poecie bezimiennym«. Wszystko, cokolwiek od tego czasu pisano o Krasińskim, jest jedynie uzupełnieniem i rozszerzeniem tej pierwszej, pomnikowej monografii. Jakim ona poetę *Nieboskiej* określiła i pokazała, takim on już do dziś dnia pozostał.

Wszystkie te prace nie przeszkadzają Klaczce brać najżywszego udziału w życiu i sprawach bieżących. Widzimy go czynnym i ruchliwym członkiem t. z. »Biura Politycznego«, które powstało w Paryżu, w celu informowania opinii i prasy zagranicznej o prawdziwym stanie rzeczy i wypadków polskich. Dzięki temu zbliżył się Klaczko do politycznych kół francuskich, czego bezpośrednim skutkiem było zaofiarowanie mu posady sekretarza przy boku ministra Walewskiego. Istotnie mało kto nawet między najlepszymi francuskimi pisarzami władał tak przepysznie językiem i stylem francuskim, jak ten Polak. Odmówił Klaczko, bo warunkiem połączonym z tak zyskowną posadą, było zaprzestanie czynnego udziału w sprawach dotyczących kraju i narodu. W r. 1863 widzimy go w Londynie, dokąd jeździł w misyi dyplomatycznej do Palmerstona... Tymczasem wypadki europejskie toczyły się szybkim pędem: wojna duńsko-niemiecka, zakończona przyłączeniem Szlezwigu i Holsztynu do Niemiec, nad któremi zaczynała górować zagadkowa postać Bismarcka. Klaczko zajęty coraz bardziej temi kwestyami, »które jeszcze nie do historyi, a już do przeszłości należały« staje się nawskróś politycznym pisarzem. W *Revue des deux Mondes* ukazują się teraz kolejno jego doniosłe »Etudes de diploma-

tie européenne«. Pierwsza z nich: *Deux négotiations de la diplomatie européenne* odsłania tajniki zamysłów i działań Bismarcka i była niejako ostrzeżeniem Francyi i Napoleona III przed tym groźnym wrogiem, którego nie brano dość na seryo. Odtąd w miesięczniku Buloza, czytywanym przez wszystkie głowy korony i ministrów, Klaczko występuje raz po raz ze swymi poglądami na zawikłania i intrygi dyplomatyczne. Ze zdumiewającą przenikliwością umiał on zgadywać rzeczy, które dopiero przyszłość przynieść miała; przeważna część tych studyów poświęcona jest »panu Bismarckowi« i jego polityce. I tak w przeddzień wojny austryacko-pruskiej ogłosił Klaczko *La crise en Allemagne, le conflit austro-prussien et M. de Bismarck,* a przewidywania jego sprawdzić miały się niebawem. Pruski premier — jak świadczą niezliczone a niezbite dowody, czytywał pilnie wszystkie te studya i powziął głuchą nienawiść do ich autora, który tak bystro zaglądał mu w karty i planom jego przeszkadzał, zdradzając je przed światem. *La crise ministerielle de Vienne* i *Les préliminaires de Sadowa,* dwa dalsze studya ogłoszone w r. 1870, dotykały najżywotniejszych zagadnień wewnętrznej i zewnętrznej polityki austryackiej i sprawiły, że hr. Beust, olśniony zdolnościami dyplomatycznemi Klaczki, powołał go do swego boku. Istotnie kanclerz austryacki nie mógł sobie znaleść lepszego doradcy do przeprowadzenia swego antipruskiego programu. Bismarck, jak zwykle, mściwy, usiłował wszelkimi sposobami wysadzić Klaczkę z tak wpływowego stanowiska, szczuł więc nań swą urzędową i półurzędową prasę, a nawet posunął się do użycia intrygi dworskiej, która jednak nie odniosła skutku. Klaczko już jako tajny radca posłuje do sejmu galicyjskiego i wygłasza w nim wspaniałą gorącą mowę, w której z okazyi wojny francusko-pruskiej dał wyraz polskim sympatyom dla pokonanej Francyi. Wystąpienie to nacechowane podniosłością uczuć i głębokim zmysłem politycznym, rozdrażniło do krwi Niemców austryackich, a prusofilskie dzienniki wiedeńskie uderzyły na alarm. Nie chcąc Beusta narażać na trudne położenie, Klaczko sam zażądał dymisyi. Potem raz jeszcze wystąpił na arenie politycznej, jako członek austryackich delegacyi w Budapeszcie, gdzie półtoragodzinna świetna jego mowa zamknęła godnie polityczną jego rolę.

Usunąwszy się z widowni publicznej, udał się w r. 1872 do Paryża, a stamtąd na dłuższy pobyt do Włoch. »W czasach żelaza i krwi« — jak sam je nazwał — zapragnął powrócić na dawne swe pole prac estetyczno-literackich. Zatopił się w badaniu i rozpamięty-

waniu włoskiej sztuki i poezyi. Owocem tych dociekań miały być *Wieczory Florenckie*, oraz dzieło o *Papiestwie i Odrodzeniu*. Na razie jednak ogłosił w r. 1875 znowu w *Revue des deux Mondes* ostatnie swe dyplomatyczne studyum *Les deux Chanceliers*. Odnosi się ono do rosyjskiego kanclerza ks. Gorczakowa i znowu do Bismarcka. Klaczko dowodził tam niezbicie, jak dalece pod pokrywką przyjaźni Żelazny Książę podstępnie wyzyskuje zaufanie rosyjskiego męża stanu i w sidła go swoje wciąga. Jest to bodaj najcelniejsze z wszystkich studyów dyplomatycznych Klaczki. Skutek zaś miało ten, że Bismarck pienił się ze złości na autora i dzieło, a ks. Gorczakow do serca wziąwszy przestrogę, miał się odtąd na baczności przed niedawnym »przyjacielem«. Oziębiły się też nadzwyczajnie stosunki osobiste obu kanclerzy, co jawnie okazało się w roku 1879 na Kongresie berlińskim.

Zbyteczna rozwodzić się nad *Wieczorami Florenckimi*, rozpisywać się o *Juliuszu II*, który jest tylko wielkim zaokrąglonym fragmentem zawieszonej olbrzymiej pracy o *Papiestwie i Odrodzeniu*. Oba te dzieła należą do rzadkich książek, co niezatarte wrażenie wywierają na umysły czytelników i zupełnie nowe światło rzucają na zagadnienia, którym są poświęcone. Przyjęto je w całym świecie z takim zachwytem, a pisano już o nich tyle, że i autor monografii mówi o nich tylko pośrednio, wyjaśniając jedynie ich genezę i warunki, w jakich były pisane.

Oparta na drukowanych wyłącznie źródłach i materyałach — jak to sam autor stwierdza w przedmowie — nie wyczerpuje książka Hösicka przedmiotu; jej wartość i znaczenie w tem, że tak ważny, a dotychczas nietknięty przedmiot po raz pierwszy w całości obejmuje i przedstawia organicznie. To też ktokolwiek zechce w przyszłości pisać o Klaczce, będzie musiał liczyć się z tym pierwszym szkicem monograficznym. Zarys ten można oczywiście dalszymi szczegółami wzbogacać, obszerniejszym rozbiorem prac Klaczki uzupełniać, wizerunek psychologiczny autora *Dwóch Kanclerzy* rozwijać i pogłębiać, ale pierwszy nader trafny i prawdziwy, choć tylko ogólny kontur jego duchowej fizyognomii jest już uchwycony, obraz jego działalności literackiej i dyplomatycznej w przejrzysty całokształt ujęty i należycie oceniony.

Lucyan Rydel.

Z piśmiennictw obcych.

Handbuch der Musikgeschichte von *Hugo Riemann*. Erster Band, Erster Teil, Altertum. Leipzig, Druck und Verlag von Breitkopf & Härtel, 1904.

Możnaby na palcach zliczyć te podręczniki do historyi muzyki, które noszą na sobie piętno samoistnych badań nad źródłami. Ostatnią tego rodzaju książką była *Historya muzyki* A. Wilhelma Ambrosa, której tom pierwszy ukazał się w r. 1862. Jest to dzieło niewątpliwie epokowe, napisane z większą dozą zmysłu krytycznego, niż poprzednie książki tego rodzaju. Ale po roku 1862 powstało tyle nowych badań na polu tej nauki, że dziś nie można używać Ambrosa bez wielkiej ostrożności. W tym właśnie czasie pchnął umiejętność muzyczną na nowe tory prof. dr. Filip Spitta i zupełnie przekształcił metodę badań, a wybitni jego uczniowie (jak G. Adler, W. Bäumker, W. Brambach, Fr. Chrysander, H. Deiters, G. Engel, O. Fleischer, M. Friedländer, Fr. X. Haberl, R. Kade, P. A. Kienle, O. Koller, H. Kretzschmar, M. Lussy, H. Reimann, M. Seiffert, J. Sittard, K. Stumpf, A. Sandberger, Shohé Tanaka, E. Vogel, R. Wallaschek, J. Wasielewsky etc.) umieszczali szereg znakomitych prac w piśmie *Vierteljahrsschrift für Musikwissenschaft* (1885—1894) wydawanem przez Spittę, Chrysandra i G. Adlera. Jedną z najsporniejszych kwestyi, będących wiecznie na porządku dziennym od czasów już dawniejszych (od XVII wieku) jest kwestya muzyki w starożytności. Liczni filologowie i uparci a entuzyastyczni wielbiciele starożytnego świata, przyznawali muzyce greckiej to, czego ona absolutnie nie posiadała, t. j. polifonię czyli wielogłosowość. Nie posiadamy na to żadnego dowodu; filologowie usiłowali na podstawie pism Arystoxenosa, Pseudo-arystotelesa, Arystydesa Kwintyliana, Ptolemeusa, Polybiosa i innych udowodnić te hipotezy. Kończyło się zazwyczaj na sporach dotyczących krytyki tekstu (np. Westphal - Jan). Po dziśdzień nie posiadamy ani jednego dowodu polifonii greckiej; ostatnimi, którzy wmawiali w siebie i drugich, że Grecy posiadali harmonię lub kontrapunkt, są R. Westphal *(Geschichte der alten und der mittalterlichen Musik* 1864, *Die Musik des griech. Altertums* 1883) i Fr. A. Gevaërt *(Histoire et théorie de la musique de l'antiquité* 1875—1881, 2 tomy). Mimo ogromnej erudycyi i ścisłości autorów nauki ich przyjąć świat naukowy nie mógł. To też opracowanie drugiego wydania I tomu *Historyi mu-*

zyki Ambrosa pod wpływem ich dzieł przez niejakiego B. v. Sokolowsky'ego słusznie Rieman nazwał »monstrum«. Ten znakomity uczony zdradzający na każdym kroku kolosalne oczytanie, oświadczył się raczej za pierwszem wydaniem Ambrosa. Ale od tego czasu powstało mnóstwo specyalnych monografii z zakresu historyi, teoryi i filozofii muzyki greckiej, których jako niezgodnych ze zdaniem Westphala i Gevaërta p. Sokolowsky nie uwzględnił mimo ich niezwykłej wartości. Są to prace Aberta, Bellaigue, Bourgault-Decoudray'a, Combarieu, Crusiusa, Fleischera, Gomperza, Grafa, Guhrauera, Χρύσανθος'a, Jan'a, Κηλτζανίδης'a, Möhlera, Monroe'go, Παπασταματόπουλος'a, Πετρίδης'a, Reimanna, Reinacha, Rockstro, Ruelle'a, Σάνθος'a, Stumpfa, Θερέιανος'a, Thierfeldera, Torr'a, Τσέτσης'a, Williams'a i innych. Riemann, zebrał owoce tych prac i uzupełniwszy je swojemi badaniami napisał historyę starożytnej muzyki. Nie może ona być w gruncie rzeczy »historyą«, gdyż te skąpe resztki muzyki starożytnej, które dotychczas posiadamy, nie dozwalają nam wyobrazić sobie rozwoju tej sztuki; nie posiadamy również niczego innego, coby nam te braki zastąpić mogło. Dlatego zupełnie słusznie podzielił Riemann swe dzieło nie według jakichś urojonych epok (κατάστασις), lecz według jakości materyału. W pierwszej księdze zatytułowanej *Rozwój form greckiej muzyki* daje nam autor na wstępie rozdział o rzekomych ludowych melodyach w starożytności. Istniały one zapewne już wtedy, ale nie mogę się zgodzić z Riemannem na to, że »historya form greckiej muzyki jest historyą greckiej poezyi«, gdyż posługiwanie się tą ostatnią nie prowadzi do pozytywnych rezultatów, narażając na kolizyę pojęć i materyału, jako takiego, przyczem traci się z oka to słynne zdanie Arystotelesa: ὕλῃ καὶ τρόποις διαφέρουσιν. A przytem ustawiczne posługiwanie się historyą drugiej sztuki, w tym razie poezyi! Takie kategoryzowanie pieśni ludowych według treści i okoliczności jest nawet przy historyi poezyi niezbyt bezpieczne, cóż dopiero przy muzyce. Stąd też o muzyce niema mowy w tym pierwszym rozdziale dzieła Riemanna. O »mitycznych założycielach greckiej kultury muzycznej« mówi rozdział następny — lecz nie o muzyce. Następne rozdziały traktują o »eposie« i »nomosie«, o poetach-muzykach greckich: Olympos, Terpander, Klonas, Polymnestos, Sakadas. Autor zajmuje się przytem niektórymi problemami rytmicznymi, posługując się tym razem pracami metryków i filologów, jak Christ, Boeckh, Gleditsch, Saran, Westphal, Sievers. Tym razem bliższa »korespondencya« muzyki z poezyą jest bardziej usprawiedliwioną. Olym-

pos i Terpander byli podobno kompozytorami tak zwanych νόμοι, czyli hymnów. Stwierdzono niedawno jeszcze, że nietylko śpiewane lecz także instrumentalne nomosy istniały. Nic podobnego do naszych czasów nie zachowało się, twierdzenie twierdzeniem pozostać musi. Oczywiście nomosy instrumentalne były wykonywane przez flet (αὖλος); jednym z takich aulodów był Olympos (z VIII wieku przed Chr.). Tradycya przypisuje mu wynalezienie systemu enharmonicznego w melodyce (Plutarch *De musica* c. 11). Osiągał on »dziwne brzmienia« na flecie, opuszczając w dyatonicznej gamie jeden stopień. Tą skalą miała być nie dorycka lecz frygijska *(e'—e)*, opuszczanym tonem zaś t. zw. »Lichanos« czyli w naszym systemie ton *g* przy nastrojeniu *h*-moll, lub ton *f* przy stroju *a*-moll. Jeśli te »dziwne brzmienia były stosowane do doryckiej skali, to wypuszczanym tonem był ton *f*, czyli byłaby to tasama cecha, którą napotkać można w azyatyckiej pięciotonowej skali i w staro-chrześcijańskich śpiewach. W gruncie rzeczy jest obojętnem, który ton opuszczał Olympos, ale czytając dalej Plutarcha przekonamy się, że przez tą »manierę« Olymposa należy rozumieć interwal wielkiej tercyi, a nie małej, jak sądzi Riemann. Zresztą pięciotonowa bezpółtonowa skala, będąca podstawą muzyki była jeszcze za czasów Olymposa stosowaną. Tąsamą skalę wykazują instrumenty japońskie (Sono-koto, Kino-koto, Wanggong). Terpander (c. 675—50) był przedstawicielem cytarodyjskiej kompozycyi nomosów. Zarówno o nim jak i o następnych »muzykach« nic pewnego i nic ciekawego nie wiemy, a pisma starożytnych są bardzo z sobą w niezgodzie. — Księgę II swego dzieła zatytułował Riemann *Chortänze* (Gymno-pädien, Pyrrhiche, Hyporcheme, Die Feste und Festspiele, die Saiteninstrumente, die Blasinstrumente). I w tej księdze kwestye metryczne znowu zajmują za wiele miejsca. W jednej ze swych najnowszych prac metrycznych mówi Christ: *Die Lehre der alten Metriker ist eben dadurch auf so viele Abwege geraten, dass sie sich von der Musik trennte. Und wir sollten ihnen folgen?* (Abhdlg. der I Kl. der K. Bayr. Akademie der Wissenschaften XXII, II, str. 25). Pójdźmy za Christem, bo dotychczas mowy o muzyce nie było. Najciekawsze są ustępy o instrumentach muzycznych Greków. Autor oparł się zupełnie na pracach wielkiego znaczenia, jak prace Jana, Howarda, Hipkinsa, Stumpfa. Dziwi mnie tylko, że świetne badania Fleischera ignoruje Riemann z całym spokojem. Możnaby coś o tem powiedzieć, lecz to do sprawozdania nie należy. — Czwarty rozdział odnosi się do liryki (Archilochos, Melicy, Liryka choralna).

Archilochosowi przypisują wynalezienie dwóch form: t. z. παρακαταλογή i κροῦσις ὑπὸ τὴν ᾠδήν. Pierwsza odpowiada mniej więcej recytatywowi, co do drugiej powstały liczne wątpliwości przy interpretacyi. Gevaërt i Westphal utrzymują, że oznacza to akompaniament instrumentalny i rodzaj kontrapunktu. Gdyby głos instrumentalny posiadał samoistność, byłaby o tem mowa w licznych dziełach teoretyków średniowiecznych. Wiemy z Plutarcha, że głos instrumentalny posiadał pewną koloraturę (ποικιλία, κρουματικαὶ διάλεκτοι, μέλη κεκλασμένη). W gruncie rzeczy głos instrumentalny był ze śpiewem traktowany *unisono*, był tylko zdobniejszy przez dodawanie tonów między zwrotkami i wierszami, względnie zdaniami i odznaczał się nieco żywszą rytmiką. To też zasługi Archilochosa i Melików w dziedzinie metryki są wielkie. Okazem liryki chóralnej jest znana pityjska oda Pindara χρυσέα φόρμιγξ Ἀπόλλωνος, której autentyczności nikt nie przeczy.

Instrumentalnego głosu niestety nie posiadamy. — Bardzo ważnym ze względu na obecną epokę jest IV rozdział książki Riemanna, dotyczący stanowiska muzyki w dramacie starożytnym. Prawdopodobnie nietylko chóry, lecz i niektóre solowe partye były śpiewane (t. z. »epizody«), flet towarzyszył czasem śpiewowi, ale głównem jego zadaniem było utrzymać śpiewaka w odpowiedniej wysokości tonu. Jednak i flet miewał swe partye, t. zw. διαύλια.

Z muzyki dramatycznej greckiej posiadamy jeden *stasimon*, znaleziony w r. 1892, a pochodzący z »Orestesa« Eurypidesa. Jest on jednak zanadto skąpy, aby na jego podstawie można było wyjść poza hipotezy. W każdym razie wszelkie »modernistyczne« porównywania greckich trylogii lub tetralogii z *Pierścieniem Nibelungów* R. Wagnera jest i bezcelowem i zupełnie nienaukowem. — O ile mimo kilkuwiekowych badań nad grecką muzyką nie wyszliśmy poza dwuznaczne przypuszczenia, o tyle badania nad teoryą muzyki dały lepsze rezultaty. Poświęcił im Riemann całą drugą księgę. Poprzednie badania Bellermanna, Fortlage, Gevaërta, Paula i innych, są zebrane w tej księdze bardzo poglądowo i jasno przedstawione.

Wielkie znaczenie posiada rozdział p. t. »Najdawniejsze skale greckie«, gdzie Riemann wskazuje na liczne błędy i niemożliwości teoryi Westphala, Gevaërta, cytując bez ustanku źródła greckie. Że rozdział o piśmie nutowem w starożytności należy do najlepszych, nie potrzebuję dodawać, gdyż Riemann jest na tem polu autorytetem.

Riemann w przeciwieństwie do Ambrosa opuścił w swym podręczniku wszystko co dotyczy muzyki egipskiej, żydowskiej, wscho-

dniej azyatyckiej, oraz muzyki ludów pierwotnych. Ma to swoje złe i dobre strony. Dobre, bo pozbył się przez to naukowych dygresyi nad tem, czego dziś nie znamy (muzyka egipska, żydowska, assyryjska, babilońska, chaldejska, irańska). Złą stroną książki Riemanna jest ignorowanie etnografii muzycznej, w której to dziedzinie przeprowadzono w ostatnich czasach epokowe badania. Uczynił mu ten zarzut słynny badacz na tem polu. Dr Ryszard Wallaschek. Jeśli chcę mieć obraz dawniejszej kultury, udaję się do ludów pierwotnych i przeprowadzam w danym wypadku porównawcze badania, które jak dotychczas zostały uwieńczone bardzo pomyślnymi rezultatami, zwłaszcza w Ameryce, Anglii i Niemczech. Wpływ kultury wschodniej na zachodnią już w czasach helleńskich został stwierdzony. System Pitagorasa ma wiele wspólnego z chińskim systemem; pentatonika grecka odpowiada pentatonice indyjskiej i japońsko-chińskiej — co już aż nadto dobrze udowodniono (Fillmore, Wallaschek, Hornbostel i inni). Zwłaszcza w dziedzinie pochodzenia instrumentów możnaby wiele nowego powiedzieć, czego Riemann nie uwzględnia. Mamy jednak nie bezpodstawne nadzieje, że w historyi muzyki średniowiecznej da Riemann wiele uzupełnień.

Nowością, jaką ten uczony zaprowadził, jest podanie wszystkich źródeł ze starożytności pochodzących, oraz odpowiednich rozpraw. Dziwi nas tylko, że taki badacz jak Kiesewetter jest traktowany gorzej niż po macoszemu, a przecież to był jeden z filarów tych poglądów na grecką muzykę (z początku XIX wieku), które dziś Riemann reprezentuje.

Adolf Chybiński.

Au pays de Jésus. *Mathilde Serao.* Paris, Plon et Nourrit.

»...Już znikało Jeruzalem i szybkość pociągu się zwiększała. Wszystko więc było skończone! mogę żyć lub umierać, być szczęśliwą czy nieszczęśliwą, nigdy w życiu nie doznam już wrażeń podobnych. Wtedy to, gdy wieża Dawidowa w oddali zdawała się rozpływać, uczyniłam ślub. Przysięgłam, że napiszę w imię Jezusa i w imię wiary książkę na cześć kraju, który On błogosławił; i jeżeli nie będzie to dzieło najlepsze i najwięcej artystyczne, to przynaimniej najwięcej szczere i ludzkie z całej mojej twórczości. Obiecałam dokonać go z największą pokorą chrześcijanki prawdziwej dla prawdziwych i pełnych nadziei — chrześcijan. — Dotrzymałam mojej przysięgi dziś ślub ten spełniając, składam tę pracę u stóp krzyża i ręce me

do niego wyciągając, powtarzam za siebie i za synów moich słowa pierwszych chrześcijan: *Ave spes unica*«.

Temi gorącemi słowy zamyka autorka włoska, znana szeroko w świecie artystycznym, pani Matylda Serao swą śliczną książkę o Ziemi świętej.

Warto porównać słynnego z opisów cudownych przyrody Loti'ego z tą gorącą, pełną porywów duszą Włoszki. Bo właśnie odrazu uderza różnica tego, co odczute i umiłowane wszelkimi władzami: umysłu duszy wierzącej i gorącego serca — a tego, co tylko przepływa przez uświadomioną artystyczną wrażliwość. Dar słowa i plastyka opisów, wielkie odczucie charakteru przyrody obcej i innego kraju — to jeszcze nie wszystko. By wniknąć w głębię duchową, gdzie bije źródło życia, gdzie spoczywają wszystkie siły ludzkości w zarodku — trzeba gorącą siłą jakiegoś potężnego uczucia stworzyć sobie drogę — i trwałość. — Wyrafinowane, epikurejskie używanie piękna zewnętrznego jedynie dla odnowienia i podbudzenia wrażliwości artystycznej, zostawia po sobie jakiś smutek nieokreślony, jakiś zawód i tęsknotę za czemś, coby łaknącą duszę napełniło. I to wrażenie odnosi się przy najpiękniejszych dziełach Lotie'go.

Cóż to za kontrast z książką pani Serao! — Jest to książka pisana duszą, nie ambicyą autorską, ani literacką potrzebą — ta pielgrzymka pełna uniesienia budzi oddźwięk dziwnie silny przez swą szczerość i siłę wiary.

»Szukałam d u s z y kraju, w którym żył Bóg-Człowiek«, pisze pani Serao. Szuka ją i znajduje.„

W wyobraźni naszej jasno odtwarza się to wrażenie niespokojne, spragnione, jakiego pielgrzym doznaje, wylądowując w Jaffie. Rano o 10-ej przychodzi okręt, a o 2-giej już pociąg złożony z wagoników małych, brudnych, zapchanych wielojęzyczną rzeszą wchłania w siebie pielgrzymów. Trzy godziny i pół ma trwać podróż koleją, ale powolność turecka przedłuża ją nieskończenie, a spragnieni ujrzenia Miasta świętego pielgrzymi, muszą ulegać temu pospolitemu bezmyślnemu prawu podróży, które trzyma swoją kleszczą praktyczności wszystkich podróżników w ciasnym wagonie, licząc bilety, ale nie patrząc na nie więcej. Spóźnieni dobijają wreszcie do Jerozolimy; ale już zamknięte bramy kościoła Grobu świętego! — i przez opieszałość tureckich kolei w chwili, gdy się staje u celu tyloletnich pragnień nie można zaraz złożyć hołdu Panu w Jego świątyni. Trzeba zamknąć

w sobie tę tęsknotę miłości — i banalnie, tak jak w całym kosmopolitycznym świecie tego pierwszego wieczoru w Jerozolimie — zasiąść do table d'hôte z Anglikami i turystami Cook'a.

Ten kościół Grobu świętego, to cały tłumny i niejasny labirynt różnych kościołków i kaplic, które niestety, należą do różnych kultów chrześcijańskich. I tu u kolebki wiary naszej jedyna Prawda katolickiego Kościoła zepchnięta do poniżającej równorzędności z herezyą.

U bramy świątyni straż turecka flegmatyczna, powolna, patrzy sennemi oczyma na przechodzących wiernych. Przy kamieniu namaszczenia, na którem ciało Pana Jezusa namaszczono wonnemi olejami, uklęknie najpierw pielgrzym: i różne, ah! tak przeróżne sposoby odczuwania przebijają się na tych skupionych twarzach. Jedni łzami zalani jęczą, biją się w piersi i czołem uderzają o proch ziemi — innym ciche łzy płyną i przeciekają przez palce rąk twarz zasłaniających — inni oczyma dalekiemi patrzą w zaświaty, do których święte podanie do kamienia tego przywiązane, prowadzi przez krainę ewangelicznego opowiadania. I w tem wzruszeniu pełnem czci posuwają się ciche tłumy, poznać między nimi kosmopolityczną gromadkę turystów, oglądających wszystko tylko dlatego, że — ciekawe. Ale przeważają pielgrzymi z różnych krajów i różnych narodów, ubodzy i strudzeni, Rosyanie, Polacy, Grecy z Azyi Mniejszej.

Pani Serao kilka razy wspomina przelotnie o Polakach. I rzeczywiście lud nasz daleko więcej od klas zamożniejszych uczuwa tęsknotę do ujrzenia Ziemi świętej. W zachodniej zwłaszcza Galicyi napotyka się włościan, którzy często o kiju pielgrzymim tylko przebiegali to święte miejsce, nie lękając się trudu i żebrania o litość na okrętach, byle dotrzeć do celu.

Samo miejsce grobu świętego, to maleńka oddzielona od reszty kościoła — świątynia, złożona z dwóch części, przedzielonych bardzo niskiemi drzwiami.

Tutaj to na skale, która zawierała grób Józefa z Arymatei opierają się zbudowane z kosztownych marmurów wzniesione przez Helenę świętą mury — pierwsza część, to miejsce, gdzie Anioł obwieścił świętym niewiastom radosną wieść zmartwychwstania. Grób święty jest w drugiej celi, liczącej ledwo dwa metry kwadratowe objętości... Tutaj uklęknąwszy można ucałować zimną twardą skałę, która przed wiekami przyjęła najdroższe ciało Zbawiciela. Zakonnicy św. Franciszka dzień i noc czuwają nad miejscem świętem — czterdzieści

cztery lamp srebrnych dniem i nocą tu płonie, zaświecane i utrzymywane przez katolików, prawosławnych, ormian i koptów. Codzień rano kładą przenośny ołtarzyk nad świętym grobem dla odprawiania Mszy świętej.

Dzień cały tłumy pielgrzymów przesuwają się przez niskie drzwi: wśród nich mnóstwo dzieci, które z wzruszającą dokładnością pamiętają dobroć Pana Jezusa dla maluczkich. W nocy wolno czuwać niektórym pielgrzymom przy grobie świętym — i ta cisza wśród tych murów przesiąkniętych modlitwą, łzami i uniesieniem tylu dusz miłujących Boga — dziwne niezatarte głosy budzi w samotności grobu świętego. Dusza czeka i słucha i odgaduje: to słowo przedwieczne o jedynej rzeczy, które głód jej zaspokoić może: pocieszyć nieszczęśliwych, podnieść siły zwątlałe; to słowo, które starców, słabe niewiasty i kaleki wzmacnia, gdy nieszczęście i opuszczenie ciężarem strasznym je przywala. To słowo Boże o życiu Ducha, które jedno jedynie jest konieczne i jedno jedynie nie zawodzi.

Jeżeli w opisach Ziemi świętej przykuwa nas przedewszystkiem Jerozolima, kościół grobu świętego, Kalwarya, Droga krzyżowa, a potem Ogród oliwny, to jednak jeszcze przepiękne karty kreśli pani Serao i o innych miejscach drogich sercom chrześcijańskim, jak Tabor i Nazaret, Betsaida i jezioro Tyberyadzkie. Podróż do Galilei, gdzie te miejsca są położone, nie jest tak łatwą; lądem męcząca, kosztowna i niebezpieczna, prawie cały tydzień zajmuje. Lepiej więc jechać z Jaffy morzem do Kaiffy i stamtąd patrząc na górę Karmelu, jedzie się powoli i wygodniej już do Nazaretu przez uśmiechniętą i żyzną krainę, gdzie Matka Najświętsza spędziła lata dzieciństwa i młodości.

W pełnych wzruszenia słowach opisuje pani Serao to wrażenie Nazaretu, gdzie dotąd żywo, jakby z dnia wczorajszego trwa wspomnienie świetlane Przeczystej Dziewicy tu żyjącej. Ziemia święta i jej drogie skarby zajmują i pochłaniają całą uwagę podróżniczki, ale obok tych niezatartych obrazów, współczujące i tkliwe serce pani Serao, dziwnie bystro dostrzega i nędzę i cierpienie i żałosne tęsknoty, które targają życiem niejednem z pozoru skromnem i bez znaczenia. Niezatarta to sylwetka tej bladej mizernej zakonnicy, która słaniając się i mdlejąc od wysiłku, brała udział w procesyi Bożego Ciała z przejmującem uczuciem uspokojenia, że wkrótce a skończą się dni jej pielgrzymowania na ziemi. Inne znowu wrażenie wszędzie tej samej, niczem uleczyć się nie dającej tęsknoty spotkało panią Serao

w Tyberiadzie. W ciszy nocnej jakieś stąpania monotonne w przyległym do klasztornego schronienia ogródku, zasnąć jej nie dawały, budząc lęk niewytłumaczony... Te przytłumione odgłosy niezmęczonej i nieświadomej wędrówki swojej istoty były czemś jakby nie z tego świata... Powoli oczy jej w ciemności rozeznały szczupłą pochyloną postać zakonnika: chodził tam i napowrót po ciasnym ogródku... aż wreszcie przypadł do białej marmurowej płyty — i tam legł jakby martwy... Pod tą płytą złożone były zwłoki jego umiłowanego towarzysza w Zakonie. I tak ból i cierpienie niezatartym i niezwyciężonym rylcem wszędzie kreślą tę samą prawdę: W Tobie Panie jedyna ucieczka moja na ziemi...

M. Harsdorf.

Compendium Historiae Ecclesiasticae. In usum Clericorum Seminarii Brunensis concinnavit *Dr Franciscus Zeibert.* Ed. 3-tia procurata a Dre Joseph Samsour. Brunae, 1903, p. XV. 774.

Jak tytuł pokazuje, ma to dzieło być tylko podręcznikiem, zastosowanym do potrzeb seminaryjnych. Wydał ten podręcznik w r. 1884 Dr Zeibert, wówczas profesor historyi kośc. w Bernie, dla swoich kleryków w braku podobnych dzieł, jak twierdzi autor w swojej przedmowie (?). Nie rości on sobie żadnych pretensyi do oryginalności, gdyż sam przyznaje, że cała jego praca polegała na tem, iż z różnych poważnych autorów zestawił to, co uważał za koniecznie potrzebne dla wykształcenia kleryków pod względem historyi kościelnej. Był nawet tak skromny, że wszelkich uwag krytycznych i wszelkiego *apparatus scientifici* unikał, nie widząc na razie tego wszystkiego potrzeby. Dopiero w drugiem wydaniu uważał autor za wskazane mieć także nieco względu na ten *apparatus scientificus*, dodając trochę literatury odnośnej.

Dr Samsour, który sporządził niniejsze trzecie wydanie tego podręcznika seminaryjnego, z pietyzmu dla autora, jak mówi, w tekście nic prawie nie zmienił, stąd ogranicza się na powiększeniu owego *apparatus scientifici* i dodaje trochę literatury. Tyle co do genezy tego podręcznika.

Trzeba przyznać autorowi, że skrzętnie zebrał z różnych autorów wszystko, co dla podręcznika wskazanem być może, powiedziałbym nawet, że tych faktów i szczegółów za wiele, ale za to mniej krytycznego zmysłu. Przejawia się w całym podręczniku pewien rodzaj dogmatyzmu historycznego. W rzeczach, w których krytyka dzi-

siejsza nie doszła jeszcze do zupełnie pewnych rezultatów, autor wątpliwości nie ma żadnych, wystarcza na dowód tego przeczytać § 35, który nosi tytuł *Apologetae*. Sądzimy, że podręcznik każdy, szczególnie dla studyów wyższych przeznaczony, nietylko ma na celu podać słuchaczom pewną sumę wiadomości z przedmiotu, dla ich wykształcenia koniecznie potrzebną, ale dać im także podnietę do dalszych prac samodzielnych i badań, do czego naszem zdaniem służą właśnie krytyczne uwagi i choćby zaznaczenie najgłówniejszych kontrowersyi, jak to uczynił np. w znakomitym swoim podręczniku Prof. Dr. F. X. Funk. Z tego punktu widzenia wychodząc, podręcznik ten, wiele pozostawia do życzenia, uzupełnienie zaś braków jest wobec obfitej literatury historycznej i licznych gruntownych monografii nie tak bardzo trudną rzeczą.

Pochwały godną jest w podręczniku wielka przejrzystość, wszędzie zarysowująca się wielka i gorąca miłość do Kościoła i przystępny i dość gładki język łaciński. Co do tego ostatniego chcielibyśmy tylko nadmienić, iż wobec mnogości podręczników w każdym prawie języku, zdaje nam się nie bardzo na czasie wydawać tego rodzaju książki w języku łacińskim, gdyż sądzimy, że i po seminaryach już coraz więcej przeważa dążność do wykładania historyi w języku ojczystym; zresztą dla przedmiotu, którego celem jest przedstawić rozwój życia czy to politycznego, czy religijnego, albo społecznego i t. d. najodpowiedniejszym środkiem jest żywy język narodowy. Uprawnionej zaś dążności Kościoła, aby język łaciński został i nadal dla kleru jakby językiem rodzinnym, sądzimy, że się stanie aż nadto zadość, jeżeli inne gałęzie nauki teologicznej, jak dogmatyka, egzegeza etc. w tym języku będą wykładane.

Wogóle czuć w podręczniku bardzo atmosferę z połowy minionego wieku i czytelnik odnosi to wrażenie, że wymagania autora odnośnie do wykształcenia kleru pod względem historyi kościelnej są jak na nasze czasy zbyt skromne; przecież i inne gałęzie nauki teologicznej przybierają dzisiaj charakter więcej historyczny, a walka toczy się szczególnie na polu historyi.

Należy jeszcze dodać, że autor pisząc w pierwszym rzędzie dla swoich kleryków w seminaryum berneńskiem, więcej niż inne podręczniki uwzględnia dzieje Kościoła w ziemiach czeskich, i pod tym względem można tu znaleść bardzo trafne wzmianki i informacye.

Ks. A. Starker.

Z powieści angielskich.

The courtship of Morrice Buckler. *A. E. W. Mason.* 2 vol. Tauchnitz ed.
Tomasos fortune and other stories by *Henry Merriman.* 1 vol.
A garden of Spinsters by *Annie E. Holdeswarth.* 1 vol. Tauchnitz ed.
The greatest heiress in England by *Mrs. Oliphant.* 2 vol. Tauchnitz ed.
Castle Omeragh by *F. Frankfort Moore.* 2 vol. Tauchnitz ed.

Powieść z XVII wieku wszelako nie historyczna wcale, pełna awantur zajmujących głównie, dopóki dzieją się w Anglii na gruncie autorowi znanym, słabiej skreślonych, gdy ich widownia przenosi się w góry Tyrolu. Już to Austrya pod piórem powieściopisarzy angielskich zamienia się zwykle w krainę tajemnic, dziwacznych nazwisk, romantycznych zamków i przygód. Każda kobieta z Austryi wydaje im się mieszaniną cyganki, Węgierki i Włoszki: widać, że żaden z nich nie widział na oczy wesołego a bardzo powszedniego typu wiedeńskiej »Contessy«. — Podobnie tu; znać że autor pisał bez znajomości kraju i czasu, opisany bowiem Schloss Lukstein mógłby równie dobrze stać gdziekolwiek na przestrzeni Niemiec, byle pod niego podstawiono skałę. Data zapisana w powieści wypada natychmiast po odsieczy Wiednia i spustoszeniu przez Turków austryackich krajów — o tem jednak autor milczy, bo zapewne nic nie wie. Natomiast opowiada, że młody Anglik, przechowawszy u siebie dwóch poszukiwanych spiskowców, zwierza się z tem narzeczonej, ta jednak go zdradza przed tajnym kochankiem swym, cudzodziemcem grafem Lukstein. Graf wyzwany przez rywala, sprowadza na oznaczone miejsce pojedynku policyę; Anglik pojmany i skazany na szubienicę, ma tylko czas przyjacielowi swemu Morricowi Buckler powierzyć swą zemstę. To wszystko prolog. — Morrice, dotąd bardzo spokojny student, zatopiony w książkach, wybiera się z dobranym towarzyszem do Austryi dla spełnienia zlecenia umierającego. Dojeżdża wśród zimy do zamku Lukstein, gdzie właśnie odbywa się wesele właściciela; skrada się do jego gabinetu i tam wyłuszcza mu powód przybycia, z czego wywiązuje się walka. Lukstein pierwszy chwyta za broń, aby zdradziecko przeszyć przeciwnika, który zrazu usiłuje tylko się bronić. Atoli podczas gdy walczą, drzwi uchylają się z cicha i młoda hrabina wchodzi ze świecą w ręku w kataleptycznym śnie pogrążona: effekt niby bardzo teatralny, ale właściwie bez sensu. Gdy wyszła, bój zaczyna się na nowo, Buckler zabija hrabiego i ucieka. Drugi tom poświęcony jest cały poszukiwaniom pięknej Ilgi Likstein za zabójcą męża, o któ-

rym wie, że miał nieprzyjaciół w Anglii. Jedzie więc nad Tamizę, gdzie się poznaje z Bucklerem i domyślając się w nim winowajcy, pociąga go za sobą do Tyrolu. Równocześnie jednak zakochuje się w nim i nie wiedzieć, co ją bardziej gryzie, czy myśl, że on zabił hrabiego, czy zazdrość na przypuszczenie, że się bili o inną kobietę. W Luksteinie pierwsze uczucie przeważa, zatem Buckler widzi się wkrótce pojmanym i zamiast wydania w ręce władz (których przecie w XVII wieku w Austryi nie brakło) posłanym na ciężkie roboty do oddalonego punktu dóbr hrabiny, gdzie pod surową strażą musi żyć między chłopami, jak chłop. Stąd po różnych awanturach ucieka i pod zmienionem nazwiskiem zarabia na życie. Tymczasem jego przyjaciele zaniepokojeni jego zniknięciem zjeżdżają do zamku, opowiadają Ildze całą sprawę, wyjawiając winy hrabiego i fakt, że Buckler nie zamordował go, lecz zabił w pojedynku, broniąc własnego życia. Wtedy serce Ilgi taje, zaczyna poszukiwać zbiega i spotkawszy przypadkiem, wyjeżdża z nim do Anglii, nie chcąc już widzieć znienawidzonego Luksteinu. A więc zaczyna się ciche życie małżeńskie, nieco dziwne dla czytelnika, któremu zawsze milej widzieć takie Ilgi na papierze niż w życiu. Wolałby może nawet ich na papierze nie widzieć, gdyby młode wyobraźnie nie smakowały właśnie w podobnych fantastyczno-ściach. Wartość literacka powieści bardzo słaba.

Zbiór krótkich, czasem zbyt krótkich, żywo i barwnie skreślonych powiastek. Niektóre z nich wyglądają na pierwotny szkic dłuższej powieści, tyle w nich jest nierozwiniętego materyału. Podobno teraz stało się literackim sportem zawieranie jak największej ilości dramatycznego efektu w jak najdrobniejszych rozmiarach: *a story in a nutshell* — cała powieść w łupinie orzeszka — jak mówią Anglicy. Czasem to miłe, a czasem znów szkoda i mimowoli rodzi się posądzenie autora o lenistwo, o brak dostatecznej znajomości życia i literackiego kunsztu, aby rzucone na papier sytuacye rozwinąć. Zbiór nowelek H. Merrimana prowadzi nas często w okolice Gibraltaru, nie opisując wszakże tego, coby mogło budzić ciekawość, t. j. życia Anglików na tej dalekiej skalistej strażnicy. Jedna tylko stąd spływa mu pod pióro nienawistna pogarda, jaką Hiszpanie otaczają ludzi zrodzonych z ojca Anglika i matki Hiszpanki. Zdawałoby się, że przymieszka ognistej krwi Południa do wytrawnej, samą siłą swą spokojnej krwi brytońskiej powinna wytworzyć rasę bohaterów; dzieje się atoli przeciwnie. Owi pogardzani mieszańcy są pono zniewieściali i słabi, i — może

dlatego właśnie, że są pariasami — przewrotni. Lud daje im nazwę Skorpionów. Musi ich być nie wielu, skoro w żadnej książce hiszpańskiej nad Wisłą nie spotkaliśmy o nich wzmianki. Poza nimi widzimy w angielskich powiastkach ładne choć nieco banalne sceny z życia hiszpańskiego, poczem autor przenosi nas na różne punkty olbrzymiego brytońskiego imperium, najczęściej zaś na jakieś pola walk kolonialnych, na hinduskie lub inne niewymienione kresy, gdzie zawsze pod postacią wojskowego lekarza opowiada niby wspomnienia, epizody wzruszające lub zabawne. Najsilniejszym z nich jest: *On the track of the Wandering Jew* — »W ślad za Żydem Wiecznym Tułaczem«, obrazek z tak strasznie częstej epidemii cholery w Indyach. Przedstawia generała, który wśród długiego życia poświęceń i zasługi ma jedną słabość — bałwochwalczą miłość dla jedynaka. Charley jest młodszym lekarzem w jego dywizyi, chłopcem średnich zdolności i średniej wartości, poczciwym na tyle, by go ochronić od zazdrości kolegów. Ojciec rad go od trudów i niebezpieczeństw zasłania na każdym kroku, teraz zwłasza gdy Charley zakochany w pięknej Lizie, mniema widzieć szczęśliwą przyszłość otwartą przed sobą. A tu właśnie jak na złość przychodzi uwiadomienie, że na sąsiednim posterunku wybuchła w obozie cholera. W sercu ojca odbywa się walka: z kolei winien jechać Charley, ale tam śmierć prawie pewna i generał pierwszy raz w życiu popełnia podłość: prosi drugiego pułkowego lekarza, aby niby na ochotnika w miejsce jego syna pojechał. Ten również kocha się w Lizie, ale w nim litość nad słabością starca przeważa. Jedzie i tylko starszemu koledze powierza tajemnicę, aby gdy umrze, Liza wiedziała, iż nie działał jako samobójca, z pogardy dla życia... Opatrzność jednak niespodziewanie rzeczy obraca. Cholera dostaje się do miejscowości, gdzie leży obóz generała, któremu niepodobna już syna od obowiązku oddalić. Scena zamyka się w chwili, gdy Charley z litości pielęgnowany przez Lizę na cholerę umiera, a ojciec karą Niebios złamany spotyka się oko w oko z młodzieńcem, którego był w miejsce syna na śmierć wyprawił, a który spełniwszy szczęśliwie zadanie, powraca zdrów do swej poświęconej miłości...

A garden of Spinters literalnie: »Ogród panieński«, wyraz *spinster* jednak używany bywa zazwyczaj dla określenia »starej panny« — takie też mniej lub więcej powiędłe kwiaty rosną w ogrodzie p. Annie Holdesworth. Nie są one bez wdzięku, bo każda ma osobny urok słodyczy, inteligencyi lub poświęcenia, każda osobny romans w mniej

lub więcej odległej przeszłości. U niektórych widzimy koniec tego romansu w uwieńczeniu długiej wierności — u wszystkich innych pewien żal, że muszą samotne pozostać. A wszystko to czyste, dobre i wonne — jak nieco przywiędłe kwiaty. W jednym atoli obrazku główną postacią jest — mężczyzna. Duch wzniosłego poety zabłąkał się w ciało szkockiego nadbrzeżnego pasterza. Duncan żyje sam ze starą matką w maleńkim domku nad morzem, tu po skończonej pracy pisze swe wiersze, jakie mu w ciągu dnia przyniosły zapachy wrzosów i szerokie oceanu powiewy. Jakiś podróżny artysta odkrył jego talent i otwarł mu łamy wielkiego dziennika, więc Duncan posyła utwory swe do stolicy, która go nie zna, i której on nie zna. W tym samym dzienniku wszakże spotyka inne wiersze podpisane imieniem dziewczęcem, mówiące o długich cierpieniach, o długiem zamknięciu wśród drewnianych ścian miejskiego mieszkanka. I wraz serce poety zapala się litością, za pośrednictwem redakcyi wchodzi w korespondencyą z nieznajomą dziewczyną i marzy o dniu, gdzie będzie mógł wyrwać ją z miejskich murów na zdrowe szerokie przestrzenie, otoczyć ciepłem serca i tem co mieni dostatkiem. Tak mija czas długi, aż wreszcie Duncan oszołomiony zgiełkiem londyńskich ulic, niezgrabny w obcem mu miejskiem odzieniu staje u wrót wymarzonej przez siebie bohdanki. Tylko że te wrota wydają mu się zbyt wielkie, a sień i schody w kwiaty ozdobne nazbyt wspaniałe, nogi jego nieśmiało stąpają po miękkich dywanach... Tam wewnątrz Marya czeka także z bijącem sercem wejścia wymarzonego poety, romantycznego rycerza, który ją powiedzie do swego zamku, na wysoką skałę, o którą rozbijają się fale. Musi być bogatym, bo cóżby w liście jego znaczyły słowa, że »chce ją otoczyć wygodą i pięknem?« — Zdrowie jej już prawie wróciło, już może z pomocą siostry opuścić stylowy, dębem wykładany gabinet, gdzie ją tak długo więziło cierpienie... Resztę może sobie czytelnik dośpiewać: obustronne rozczarowanie, kilka słów niezręcznej rozmowy, przerwanej wejściem wesołych gości, pospieszne wyjście Duncana i jego długi smutek na pustynnem morskiem wybrzeżu...

Mrs. Oliphant nie szczyci się bujną wyobraźnią; mało u niej teatralności, mało jaskrawych barw. Natomiast jest psychologii wiele, wiele myśli i uczucia nie mało. Podobnie, jak: *The story of a country gentleman and his family* jest *The greatest heiress in England* przedewszystkiem studyum psychologicznem, subtelnem ale spokojnem, zda-

niem niektórych nieco mdłem. Założenie samo możliwe jest tylko w Anglii, gdzie żadne prawo nie tamuje swobody testamentu, gdzie każdemu (nie tak jak u nas) wolno za życia czy po śmierci rozporządzać własnym majątkiem, jak mu się żywnie podoba. Niektórzy mienią to niesprawiedliwością: łatwo jednak poznać, jakim bodźcem do pracy dla młodzieży może być myśl, że ojciec nie jest wcale obowiązany zostawić synowi majątku, że mu wolno czy między dziećmi, czy między obcymi uczynić wybór, a zatem syn musi mieć własny chleb w ręku i sam własną przyszłość budować. Toż samo prawo jest rękojmią trwałości dla historycznych fortun rodowych, oddawanych wolą rodzicielską w ręce jednego, mającego przytem moralny obowiązek popierania wpływem i groszem pracowitej karyery braci. — W powieści pani Oliphant, John Trevor, ubogi profesor odziedziczywszy olbrzymi majątek po pierwszej żonie, chce go w całości zachować dla jej córki; dla syna zaś z drugiego krótko trwałego związku przeznacza tylko profesorskie swe oszczędności. Czując zaś blizki koniec, zajmuje się długo, a raczej bawi spisywaniem testamentu, mocą którego chcąc ustrzedz córkę przed intrygami łapigroszów, sposobi dla niej umyślnie całą sieć takich intryg dość zawikłanych i luźnych, by żadna nie mogła odnieść tryumfu. Naznacza jej mianowicie liczne grono opiekunów dobranych z ludzi różnych stanów i opinii: dość powiedzieć, że wchodzi w nie dwóch pastorów odrębnych wyznań, że biedna dziedziczka ma spędzać połowę roku w mieszczańskiej prowincyonalnej rodzinie, a drugą połowę w arystokratycznym domu w Londynie. Wola ojca zostaje wykonaną dosłownie, gdyż każdy z opiekunów ma nadzieję, że mu się uda ową górę milionów na korzyść własnego kandydata przechylić. Rodzi się stąd mnóstwo sytuacyi dających autorce pole do bystrych spostrzeżeń i cieniowania odrębnych właściwości ludzkich. W końcu atoli następuje pokojowe rozwikłanie, gdy Lucy Trevor, która wśród wszystkich o nią zabiegów tuliła się cicho w swą miłość dla wydziedziczonego braciszka, oddaje rękę pierwszemu magnatowi okolicy, jedynemu, u którego spotykała bezinteresowną opiekę.

Castle Omeragh jest powieścią z czasów Cromwella, opisem jego prześladowań i walk z katolikami w Irlandyi; ciekawa, bo autor usiłując stać między dwoma narodami (nie między dwoma obozami) stawia, jako ideał złączenie krwi angielskiej z irlandzką, dodanie angielskiej trzeźwości do młodzieńczego irlandzkiego zapału. Zda się, że obrona zamku

Omeragh, a następnie fortel wojenny wodza Irlandczyków O'Neille są faktami historycznemi. Opis ich dramatyczny stanowi wartość książki — jako romans dość słabej, bo zepsutej wtrąceniem nadnaturalnych zjawisk. Głównym bohaterem jest Jezuita O. Mahony, rodzaj bardzo wojowniczego X. Marka, *spiritus morens* całej obrony, o którym jednak nie wiemy, czy istniał (rodzina Mahony istniała na pewno) i czy był takim, jak go p. Frankfort Moore przedstawia. Otóż ten O. Mahony zauważywszy u dawnego ucznia instrument czy ozdobę, znalezioną wśród szczątków zatopionej Armady, rodzaj kryształowej piramidki z arabskiemi cyframi i napisami, wynajduje jej znaczenie. Każe temuż uczniowi patrzyć pod pewnem oświetleniem w kryształ piramidy, gdzie ten po pewnym przeciągu czasu dostrzega zdrobniałe odbicie ludzi i przedmiotów oddalonych o kilka mil i co dziwniejsza, słyszy i rozumie ich głosy. Być może, iż fantastyczny opis czegoś podobnego zachował się w starych zapiskach. Tu mimo usiłowań autora, a za nim Ojca Mahony, by rzecz przedstawić jako wynalazek naukowy, czytelnik ma wrażenie bajki, psującej wiarogodność reszty. Powieść ta zatem ciekawszą jest mniej, jako utwór, niż jako objaw: z niej bowiem niejeden dowie się o straszliwych zbrodniach, popełnianych przez protestantów w imię religii, a świat zwykle tylko o cierpieniach heretyków pamięta.

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Monastyrskaja reforma v carstvê polskom. *D. Anučin.* (Russkaja Starina 1902, tom III. 513—532, tom IV, 145—165, 556—576; 1903, tom I, 201—210).

Dzieł, tyczących się naszej monasteryologii, traktujących o dziejach klasztorów pojedyńczych, mamy bardzo mało, a i te, co są, często nie wyczerpują przedmiotu w zupełności, każdy zatem nowy przyczynek w tym względzie, każde sprostowanie statystyki zakonów są nabytkiem ważnym i pożądanym.

Tak sobie myśleliśmy, dowiedziawszy się o wyjściu wyżej wymienionej pracy, która, naturalnie, zainteresowała nas bardzo. Niełatwo było tutaj dostać to wydawnictwo, ale nakoniec, po długich poszukiwaniach i staraniach, udało się nam przeczytać monografię pana Anuczyna i — spotkał nas, niestety, zawód wielki... Autor, pułkownik sztabu generalnego, potem piasujący inną godność policyjną, nakoniec gubernator radomski w swoim czasie, jak się zdaje, historyą się nie zajmował, historykiem z powołania nie był; pisząc te wspo-

mnienia swoje, miał on na celu inne zupełnie, nie historyczne względy; nawet tytuł, w naszem przekonaniu, nieodpowiedni dał swoim studyom, ponieważ tu niema mowy o reformie klasztorów, lecz o zupełnem ich, choć nieraptownem, zniesieniu przy końcu 1864 roku w Królestwie Kongresowem i skonfiskowaniu następnie ich majątków. Autora przytem interesował najbardziej przebieg całej sprawy *(chod déła)* w kancelaryjnem i biurokratycznem znaczeniu: jakich mianowano członków komisyi, — której polecono zebrać szczegóły o klasztorach (byli to oficerowie generalnego sztabu), — jak się obawiano, aby namiestnik cesarski owoczesny, hr. Berg, nie przeszkadzał tej czynności (gdyż miał żonę katoliczkę, notuje to pan Anuczyn), jak użyła ona podejścia, aby otrzymać potrzebne papiery z archiwum oświaty i spraw duchownych, nie budząc podejrzenia; załączony przytem panegiryk Milutinowi, grającemu tu pierwszą rolę, a także Czerkaskiemu i t. p. Autor zresztą nie tai się, jaki duch ożywiał całą tę komisyę, pragnącą jeszcze ze swojej strony »oczyścić« kraj z »łacinizmu« i zakonników, pomagając, popierając i ułatwiając im starganie ślubów i zachęcając do życia prywatnego...

A jednakże autor miał w ręku akta i dokumenty bardzo ważne i pouczające o klasztorach w Kongresówce, na mocy których mógłby łatwo przedstawić obraz i stan tamtejszych zakonów, zaskarbiając ogromną zasługę sobie i przynosząc dla nauki zdobycz. Mógł nam powiedzieć, ile natenczas, jakiej reguły było klasztorów, wielu w każdym mieszkało zakonników, jakie było każdego z osobna klasztoru uposażenie, czem się przeważnie one zajmowały; podać pewne daty fundacyi tych klasztorów i nazwiska powołujących je do życia. Są to wszystko rzeczy niezmiernie ważne, a niekiedy dotąd niezbadane zupełnie gruntownie. Nie wiemy np. dokładnie, wiele jeszcze mieliśmy w tym czasie klasztorów w Kongresówce, które nam wtedy wydarto!

Są wprawdzie w studyum p. A. statystyczne daty, ogólnie wzięte, ile klasztory posiadłości miały; znajdują ię czasem małe notatki, oświetlające ostatnie chwile zakonów w Kongresówce, ale tych wiadomości udziela autor bardzo skąpo, lecz właśnie z tych powodów i załączenia tych szczegółów ma ta praca niejakie znaczenie dla naszej monasteryologii, chociaż jest ona arcycharakterystyczna z innych względów...

Działalność swoją przedstawiła komisya Milutinowi, on ją rozpatrzył, porobił niektóre zmiany, które cesarz przyjął i kazał wydrukować ukaz po rosyjsku, z tłumaczeniem po polsku, francusku, niemiecku i angielsku, w którym powiedziano o zamknięciu i skasowaniu klasztorów, bo sprzyjały i pomagały powstaniu...

Sam autor był obecny przy zamknięciu klasztoru Bernardynów w Warszawie, zjawiwszy się tam nadedniem owej pamiętnej nocy, gdy pozabierano klasztory. Konwent Bernardyński warszawski opisuje on przy tej sposobności (polemizować z p. A. nie mamy zamiaru), twierdząc, że tej nocy nie wszyscy Bernardyni w domu nocowali; przed opuszczeniem swojej siedziby popili się, żaden się nie skupił myślami i nie pragnął się pomodlić w kościele; jeden tylko stary zakonnik płakał (zostawił też go autor na miejscu); większość zakonników mieli to być nieuki (nie mówi jednak p. A., czy ich znał przedtem), zajęci tylko politykowaniem i powstaniem, ale zapomina przytem, że ci, którzy brali

udział w powstaniu, już nawet w Europie nie byli na ten czas...

Następnie utrzymuje autor, że wielkich protestów ze strony biskupów, zakonników — nie było, a pomiędzy publicznością warszawską polską byli tacy, którzy się cieszyli, że zabrano zakonników. Kurya tylko z arogancyą, jak mniema p. A., wystąpiła w nocie kardynała Antonellego, co, naturalnie, nie miało żadnych następstw.

Są tu jeszcze wiadomości dokładne o tem, wiele rząd zabrał klasztornej ziemi i kapitałów w radomskiej gubernii i co się następnie stało tam z zabudowaniami klasztornemi po usunięciu zakonników w tejże gubernii.

γ

Dějiny slovanských apoštolů Cyrilla a Methoda, s rozborem a otiskem hlavních pramenů sepsal *dr. František Pastrnek*, profesor slovanské filologie při c. k. české universitě. (Spisůr poctěných jubilejni censu král. české Společnosti nauk číslo XIV). Praha 1902. Nákladem jubilejniho fondu pro vědechou literaturu českou. (8-ka wielka, str. XV i 300).

Dzieje św. Cyryla i Metodego, tak ważne dla ogółu Słowian, wywołały wiele hałasu w literaturze naukowej naszej i obcej z powodu oryginalnej hipotezy prof. Brücknera, znanej dobrze czytelnikom *Przeglądu*. Nie od rzeczy będzie, jeśli bodaj teraz pomówimy parę słów o samem dziele znakomitego znawcy pomników starosłowiańskich, prof. Pastrnka, zaleconem do nagrody czeskiemu Towarzystwu naukowemu przez prof. J. Gebauera i J. Kalouska, zwłaszcza, gdy o niem głucho w naszem piśmiennictwie peryodycznem. Jest to jedyna w swoim rodzaju praca, dająca trwałą podstawę do dalszych badań życia i czynów obydwu apostołów. Dzieli się ona na trzy części. W pierwszej poddał autor krytycznemu zbadaniu wszystkie dokumenty, tyczące się dziejów działalności św. Apostołów, oraz oznaczył dokładnie ich wartość historyczną. Z tego rozbioru okazuje się, że obie legendy, zwane przez autora morawsko-panońskiemi, są bardzo pomocne dla każdego, kto tylko chce zająć się badaniami nad św. Cyrylem i Metodym. Wiadomości, jakich tu braknie, uzupełniają doskonale współczesne świadectwa rzymskie. Poddane zatem zostały dokładnemu rozpatrzeniu obie legendy słowiańskie, rękopis legendy o Konstantynie, żywot Konstantyna w brewiarzach chorwackich, rękopisy legendy o Metodym, list papieża Hadryana II z r. 869, dalej wiadomości o najstarszych rękopisach ruskich oraz późniejsze dokumenty słowiańskie. Przy krytyce świadectw łacińskich rozpatrzona została gruntownie autentyczność listu papieża Jana VIII z r. 880 oraz stosunek legendy rzymskiej do legendy słowiańskiej o Konstantynie. Część tę kończy rozbiór słowiańskiego panegiryku o znalezieniu zwłok św. Klemensa i dokumentów greckich. Część drugą, bardzo obszerną (str. 37—150) wypełnia pięknie i krytycznie napisany życiorys obydwu apostołów słowiańskich. W części trzeciej przedrukował autor główne dokumenty, tyczące się działalności św. Cyryla i Metodego, a zatem: starosławiańską legendę o Konstantynie, takąż o Metodym, legendę rzymską *Vita cum translatione S. Clementis*, świadectwa bibliotekarza rzymskiego Anastazego o św. Cyrylu (przemowę Anastazego na soborze konstantynopolitańskim w r. 869, wyjątek z jego listu do króla Karola z r. 875 oraz list do biskupa Gauderyka), listy Ojca św. Jana VIII i instrukcyę wraz z listem papieża

Szczepana V z r. 885, a ponadto rękopis *De conversione Bagoariorum et Carantanorum* (pisany w r. 871), list arcybiskupa Theotmara i innych biskupów bawarskich do Ojca św. Jana IX z r. 900, wreszcie historyczną część legendy greckiej o Klemensie bułgarskim. Obok tekstów starosłowiańskich, których już tyle zawdzięcza nauka prof. Pastrnkowi, podane zostało ich łacińskie tłumaczenie, jak najdosłowniejsze, z pominięciem z tego powodu klasycznej stylizacyi. Nie o nią bowiem tutaj chodzi, tylko o dokładność przekładu.

Z dzieła prof. Pastrnka okazuje się, że idea cyrylo-metodejska przejawiła się najwyraźniej w stronie językowej całego przedsięwzięcia św. Apostołów, kiedy to w samodzielnej dyecezyi morawsko-panońskiej miał język słowiański uzyskać dostęp do wszystkich obrzędów kościelnych. Innych, a już bynajmniej dogmatycznych różnic nie było między ich nauką a nauką Kościoła. Obaj bowiem Bracia Soluńscy trwali silnie przy wierze świętej. A jeśliby się chciało koniecznie wysnuć z działalności św. Apostołów jaką myśl kościelno-polityczną, to można ją zawrzeć w trzech punktach: w uwolnieniu się z pod zwierzchności kościelnej bawarsko-niemieckiej, w liturgii słowiańskiej i nakoniec, pomimo różnicy językowej, w jedności z Kościołem rzymskim.

Słowem pożytek z dzieła szan. autora dla nauki jest wielki. Uzyskaliśmy bowiem nie tylko dokładny życiorys Braci Soluńskich, ale ponadto, to uważam za największą zasługę prof. Pastrnka, autentyczne teksty dokumentów oraz ich rozbiór krytyczny, ścisły i bezstronny. Pracowicie ułożony spis nazwisk, jest wielką pomocą dla każdego, ktoby chciał rychło odnaleźć się w książce tak obszernej. Dotychczasowa literatura naukowa, dotycząca kwestyi św. Cyryla i Metodego, została sumiennie wyzyskana. Razi tylko cokolwiek nieuwzględnienie dwu prac prof. dr-a Antoniego Kaliny, »Św. Cyryl i Metody« oraz »Wynalezienie pisma słowiańskiego«, drukowanych w pierwszych rocznikach *Przeglądu*.

Dr. Z.

Leon XIII wobec swego wieku. *Ks. Arcyb. Józef Teodorowicz* Kraków. 1903.

Praca ta znana jest czytelnikom *Przeglądu*, była bowiem w swoim czasie drukowana na jego łamach. Ponieważ ukazała się ona w osobnej odbitce, rejestrujemy to i podajemy do wiadomości naszych czytelników zwłaszcza, że broszurka Czcigodnego Arcypasterza ze względu na głęboką syntezę umysłowości i działalności zmarłego Ojca św., na szereg pięknych i głębokich myśli zasługuje na jak największe rozpowszechnienie.

K.

Podróż lądem i morzem do Jerozolimy i innych miejsc świętych Palestyny w 1898 roku. Przez *ks A. Kasyanowicza.* Warszawa. 1904.

Autor przyznaje, że nie miał bynajmniej zamiaru spisywać tylko swoich osobistych wrażeń, lecz raczej zachęcić do tej podróży, podając niekiedy garść praktycznych wskazówek. To też dużo w książce tej porad, jak najpraktyczniej, najoszczędniej, najkorzystniej urządzić podróż po miejscach pamiątkowych Ziemi świętej, którędy jechać, jakiego sposobu lokomocyi używać. Obok tego jednak treść właściwa tej książki, opis podróży i miejsc przez autora zwiedzanych, nie jest bez interesu. W bezpretensyonalny, prosty, a zajmujący

sposób kreśli podróżnik swe wrażenia, jakie na nim wywarły miejsca tak ściśle związane z historyą Odkupienia, miejsca, gdzie się urodził, przebywał, nauczał i poniósł śmierć krzyżową Zbawiciel i Jego Matka. Wieje z opisu tego przeświadczenie, jak pielgrzymka tego rodzaju podnosi i uszlachetnia, umacnia w wierze, daje zapas sił do walki z życiem.

L.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II, Tom XXI. Kraków 1903.

Na początku rozprawa S. Windakiewicza p. n. »Teatr ludowy w dawnej Polsce«.

Przedstawienia teatralne w dawnej Polsce można podzielić na trzy kategorye: teatr ludowy, jezuicki (szkolny) i nadworny. Dwoma ostatnimi wymieniając je tylko, nie zajmuje się zresztą autor; mówi wyłącznie o teatrze ludowym. Ten rodzaj miał najwięcej pierwiastków rodzimych, choć w wielu kierunkach znać na nim wpływ zagranicy. Że teatr był oddawna znany i lubiany w Polsce, dowodem fakt, że w XVI wieku mamy dwie kompanie aktorów narodowych. Jedna jest to kompania studentów krakowskich. Wystawiła ona w r. 1516 na zamku krakowskim wobec obojga królestwa sztukę łacińską *Ulyssis prudentia in adversis*, a w r. 1522 *Iudicium Paridis*. Kompania ta przekroczyła rogatki krakowskie i nabyła pewnej sławy, jak to widoczna z cytowanych przez autora wzmianek pięciu różnych współczesnych i późniejszych pisarzy.

Ze źródeł współczesnych dowiadujemy się o drugiej kompanii, częstochowskiej, wystawiającej od czasu do czasu misteryum o Zmartwychwstaniu Pańskiem. Misteryum to, jak autor wykazuje, opiera się na dziełach czeskich.

Dochowane do nas utwory, grywane dla ludu w dawnej Polsce, podzielić można na utwory treści religijnej i świeckiej. Religijne czerpały swą treść ze zdarzeń życia Chrystusa i Świętych. I tak sztuk na Boże Narodzenie i Trzech Króli doszło do nas 17. Wystawiane one były w Polsce w XVII wieku po kościołach lub domach. W nich odnajdujemy lwią część pierwiastków naszych kolend.

Dochowały się też t. z. dewocye postne i wielkotygniowe. Dewocye polskie są charakteru ściśle ascetycznego. Główną ich treścią było rozważanie Męki Pańskiej i dzieła Odkupienia z punktu ascetycznego. Z niemi łączy się obchód uroczystości Niedzieli Kwietniej, która w ludowej naszej sztuce dramatycznej odbiła się wyłącznie w formie prologów do pasyi wielkotygodniowych. Treść ich albo przedstawienie samej Męki Pańskiej, albo złożenie i lament nad grobem Chrystusa lub też t. z. *officia* emausowe. Przedstawienia te urządzały przeważnie bractwa pobożne. Osobne są znowu misterya na Wielkanoc, Wniebowstąpienie Pańskie i na Boże Ciało.

Obok misteryów poświęconych zdarzeniom życia Chrystusa, znajdujemy w dawnych rękopisach misterya o Świętych. Do najulubieńszych postaci należą obok osób Starego Testamentu Abrahama, Tobiasza, Józefa, św. Jan Chrzciciel, Marya Magdalena, św. Katarzyna, św. Stanisław.

Widowiska treści świeckiej mają znów dwojaki charakter. Są to albo utwory poważne i to albo mające za temat dzieje bohaterów starożytnych albo treści moralizującej albo też u-

twory moralizujące t. zw. moralitety — sztuki treści komicznej. Najważniejsze z nich są intermedya, grane w przerwach między aktami widowisk poważnych. Reminiscencye tych fars spotykamy w literaturze nowszej w przebraniu Grabca w »Balladynie« lub malarza w »Jowialskim«. Mamy wreszcie sztuki frantów, komików zawodowych i rybałtów, nauczycieli wędrownych.

Tak przedstawia się krótko szkielet pracy autora. Ramy te, przeważnie znane, wypełnia autor ogromnym zasobem szczegółów, po większej części pierwszy raz wydobytych na światło dzienne. Podaje treść sztuk znajdujących się w znanych mu rękopisach, rozbiera je, wskazuje wpływ zagranicy na nich.

Z przedstawienia autora przekonać się możemy, że repertuar naszych teatrów ludowych był wcale obfity, że były u nas silne zarodki rodzimej literatury dramatycznej, a brak było tylko talentów, któreby potrafiły te skromne zaczątki rozwijać i wyrobić z nich dramat artystyczny.

Ks. dr. Fijałek daje nam sylwetkę uczonego greckiego Jana Argyropula. Argyropul wyjechawszy wobec grożącej nawały tureckiej z Konstantynopola, doktoryzuje się w Padwie i obejmuje na uniwersytecie we Florencyi wykłady o Arystotelesie. Wreszcie kończy na katedrze literatury greckiej w uniwersytecie rzymskim Sapienza.

T. Sinko w łacińskiej rozprawie bada, jakie znaczenie nadawali Rzymianie określeniu *vir bonus*.

Prof. Kazimierz Morawski bada w poezyach Owidyusza wpływ współczesnej retoryki i wskazuje na wiele zwrotów, zdań i figur przejętych przez poetę od mowców i z dzieł nauczycieli wymowy.

Prof. Sternbach ogłasza zbiór wierszy Mikołaja Kalikla, poety greckiego z czasów cesarza Aleksego I Komena, zbiór zaopatrzony bardzo gruntownemi wyjaśnieniami rzeczowemi i językowemi.

Trzeci wreszcie z profesorów filologii na Wszechnicy Jagiellońskiej ogłosił w tomie tym kilka nieznanych dotąd wierszy Kalimacha i jeden wiersz Grzegorza z Sanoka do Kalimacha.

Oto krótkie przedstawienie bogatej treści tomu »Rozpraw«. Nie kusiliśmy się, by podać choćby w przybliżeniu całą zawartość omawianego zbioru, gdyż toby znacznie musiało rozszerzyć ramy naszego sprawozdania. *A. B.*

Sodalicya Maryańska. Czem jest — jak ją zakładać i prowadzić? Skreślił *ks. Alfred Wróblewski T. J.* Kraków 1904.

Jest to krótka instrukcya, podająca cel i organizacyę Sodalicyi Maryańskich, sposób odbywania nabożeństw wspólnych i zgromadzeń; wogóle to wszystko, co niezbędne jest do wiadomości tak kierujących sodalicyami, jak i poszczególnych sodalisów. Poprzedza pracę tę krótki wstęp historyczny, kreślący genezę i rozwój Kongregacyi Maryańskich.

Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z powodu wyborów włoskich.

Na samym początku musimy zwrócić uwagę naszych czytelników, że w obecnym numerze poruszymy kilka już może trochę przestarzałych kwestyi, a to dlatego, że w zeszycie jubileuszowym *Przeglądu* pominęliśmy »Sprawy Kościoła«, nie chcielibyśmy jednak nie wspomnieć o niektórych ciekawych i charakterystycznych faktach.

Pierwszą taką ważniejszą sprawą jest częściowy udział katolików włoskich we wyborach do parlamentu. Dążenie do wywołania znośnego przynajmniej *modus vivendi*, pojawiało się w zeszłym roku od czasu do czasu. Przyjęcie królowej matki przez Ojca św., zamianowanie komendantem żandarmeryi papieskiej wyższego urzędnika włoskiego, hr. Ceccopieri w miejsce ustępującego Tagliaferi'ego; wizyta złożona przez arcybiskupa Bolonii, kardynała Svampę, królowi włoskiemu, wizyta nosząca milczącą aprobatę Ojca św., to wszystko wskazywało, że na dobrej woli ze strony Watykanu nie zbywało i nie zbywa. Z drugiej zaś strony stosunki, jakie w ostatnich miesiącach we Włoszech zapanowały, żądały koniecznie pewnego współudziału katolików w życiu publicznem. Proces byłego ministra Nasi'ego wykazał ohydę i brud, szeroko całe społeczeństwo zakażający; loża, której Nasi był nieodrodnym synem, wystąpiła w jego obronie przed potępiają-

cymi go »lekkomyślnymi« sądami; wielki mistrz loży Ferrari wzywa znowu w swym ogólniku masonów, by dążyli do opanowania szkoły, usuwali z nich klerykalizm, zgnietli zakony i starali się o przeprowadzenie daleko sięgających reform społecznych.

Jak te reformy społeczne rozumieć potrzeba, wykazał kongres wolnomyślnych w Rzymie. W kongresie tym, który miał być ostatnim wyrazem nowoczesnej nauki, brali udział przeważnie socyaliści i anarchiści; bezwzględność anarchistów doszła do tego stopnia, że na kongres przysłali swoją delegacyę z Paterson, a więc z miejscowości, gdzie ukuto spisek na życie króla Humberta. Kongres był wprawdzie zupełnem *fiasco;* stare sale dawnego *Collegium Romanum* słyszały brutalne krzyki i kłótnie, widziały rozgorzałe twarze i najpospolitsze bitki, jakie chyba między tłumem tylko zachodzić mogą, ale ten kongres odsłonił przepaść, do której zbliżają się Włochy. Bluźniono tam nie tylko Bogu, i wszystkiemu, co jakkolwiek drogie jest człowiekowi, lecz równocześnie występowano też przeciwko rządom i panującym, wzywano publicznie do obalenia dynastyi, znieważono herby domu sabaudzkiego, tak, że słusznie mógł powiedzieć rzymski *Avanti:* kongres wolnomyślnych dowiódł tylko wzrostu, potęgi i zwycięstwa socyalizmu. Zasada masoneryi *licet, quod placet,* została przeprowadzona w czyn.

W tych warunkach udział katolików w życiu publicznem był wskazany; wzięli też w niem udział, przynajmniej częściowy i wykazali, co potrafią. Jakżeż jednak zapatrywać się na ich postępowanie wobec znanego papieskiego *non expedit?* Zakaz brania udziału w politycznych wyborach Włoch datuje się od Piusa IX, podtrzymywał go Leon XIII. Różnymi czasy starano się o złagodzenie tego rozporządzenia; odpowiedzią był dekret kongregacyi inkwizycyi z 30 lipca 1886, która stwierdziła, że *non expedit* jest prawdziwym z a k a z e m, i że Ojciec św. wytrwale przy tym zakazie obstaje. Owszem w liście do kardynała Rampolli z 14 maja 1895 r. przypomina papież, że nie zmienił swego postanowienia, i że prawdziwi katolicy mają się jego rozporządzeniami kierować. Uważano więc w ubiegłych latach *non expedit* za rodzaj dogmatu politycznego, ale czasy zmieniły się; względy, dla których ten

zakaz wydany został, istnieją wprawdzie jeszcze i dzisiaj, ale na razie musiały one ustąpić, przynajmniej częściowo innym ważniejszym pobudkom. Tak więc zezwolono po cichu, aby tam, gdzie to mogło być potrzebnem, katolicy porozumiawszy się wpierw z biskupami, stanęli w szeregach wyborców, zastrzegając równocześnie, aby nie występowali pod sztandarem katolickim w roli kandydatów.

Ten krok katolików wywołał rozmaite następstwa. Pierwszym owocem było świetne zwycięstwo rządu, któremu groziło wielkie niebezpieczeństwo ze strony partyi przewrotowych. Urzędowe i półurzędowe gazety liberalne pisały, że pierwsze wybory były klęską socyalistów, wybory zaś uzupełniające były równą zagładzie katastrofą: jest to fakt tem ważniejszy, że według relacyi pism liberalnych, socyaliści starali się przemocą i teroryzmem przeszkadzać katolikom, tak, że mogli oni przystępować do urn wyborczych, jedynie pod osłoną bagnetów.

Między katolikami znów pojawiły się po wyborach różnice zdań. Jedni stoją jeszcze dziś stanowczo przy dekrecie papieskim i oskarżają tych, którzy brali udział w wyborach, wprost o bunt przeciwko władzy kościelnej, inni pragną większych jeszcze dyspens, a może i zupełnego zniesienia zakazu na przyszłość. Jednym i drugim odpowiada kompetentna chyba w tej kwestyi *Civiltà* [1].

Stwierdza ona najpierw, że *non expedit* nie zostało bynajmniej zniesione, choć papież nie uważał na czasie w tych warunkach je przypomnieć; milczenie zaś najwyższej władzy kościelnej nie równa się bynajmniej zniesieniu zakazu, gdyż wszystko, cokolwiek w czasie wyborów się stało, nosiło charakter wyjątkowy. Z grugiej znów strony, pisze *Civiltà*, zakaz papieski jest czysto kościelnym zakazem dyscyplinarnym, a więc z natury swej zmiennym; nie twierdzi on bynajmniej, że branie udziału we wyborach jest samo w sobie już złe. Pius IX i Leon XIII mieli swoje przyczyny, dla których obstawali tak wytrwale przy zakazie; ponieważ jednak wchodzi tu w grę zakaz wyłącznie dyscyplinarny,

---

[1] *Civiltà* z 3 grudnia 1904 r. w artykule: *I cattolici italiani e le elezioni politiche.*

»który od okoliczności, osób i rzeczy zależy, może każdy zrozumieć, że zakaz, który w pewnych warunkach jest koniecznym, przy zmianie okoliczności stanie się mniej pożytecznym, a może i szkodliwym«, a ponieważ ten zakaz nie jest bynajmniej absolutnym i niezmiennym, więc też i papież nie staje z sobą w sprzeczności, jeżeli go zawiesza albo nawet i znosi. *Non expedit* jest wprawdzie protestem papieża przeciwko rewolucyi, ale gdyby on nawet został usuniętym, upadłaby tylko forma protestu, nie protest sam, gdyż ten zmieniłby się z protestu negatywnego na protest pozytywny, czyli na protest zorganizowanej za zezwoleniem papieża partyi katolickiej w parlamencie, któraby legalnymi środkami broniła praw Kościoła i Stolicy Apostolskiej.

Z prześladowań francuskich.

W tym samym czasie, w którym we Włoszech wzywa Ferrari wolnomularzy do walki przeciwko idei chrześcijańskiej, żąda wielki Wschód paryski, aby męskie i żeńskie kongregacye we Francyi zostały doszczętnie zniesione, i aby rzeczpospolita nie subwencyonowała żadnego kultu; wtenczas dopiero zapanuje w kraju swoboda sumienia i pokój religijny. Combes posłuchał tego głosu i przygotował nowy projekt rozdziału kościoła od państwa, projekt w niektórych szczegółach łagodniejszy od omówionego w zeszycie październikowym projektu Brianda, w innych jednak przewyższający go jeszcze. Następstwem jednego i drugiego projektu będzie i musi być zupełna niewola i bezwzględna zależność kościoła od nieprzychylnego mu rządu. Czego w tych warunkach spodziewać się można, łatwo przewidzieć.

Rząd tymczasem wszystko robi, by, nim jeszcze nowe prawo ogłoszonem zostanie, stłumić ducha religijnego. W szkołach wojskowych zaprowadzono tajną kontrolę, mającą na celu wybadać nie tylko, co czynią, i jak żyją uczniowie, ale nawet jak czują i myślą, a biada temu, kto zdradzi się choćby z najmniejszym objawem religijnym — czeka go pewna dymisya po szeregu moralnych i fizycznych prześladowań. Rząd poszedł jeszcze dalej. Całe masy oficerów składają za wiedzą ministra szczegółowe raporty loży o poszczególnych oficerach; loża przygotowuje z nich informacye; gdy te informacye wypadną niepochlebnie, oficer zostaje

albo pominięty przy awansie, albo podany do dymisyi, w przeciwnym razie awansuje szybko. I gdyby tu chodziło przynajmniej o jakie zbrodnie! Przeciwnie! sprawozdania loży wyrażają się o niejednym z oficerów, że jest on zacnym, pracowitym, zdolnym, lubionym od żołnierzy, ale jego żona i córka, a może i on sam chodzi na mszę św. i ta wina żony lub córki wystarcza, że cała przyszłość utalentowanego nawet człowieka zostaje złamaną. Te rządy wolnomularstwa w wojsku trwają już od kilku lat, a Combes i André byli tylko wiernymi wykonawcami jego woli.

I jakich szlachetnych ludzi wychowała sobie loża! Generał André, za którego ministerstwa masonerya tak się rozpanoszyła, i za którego wiedzą i poleceniem odnoszono się w kwetyi awansu oficerów po informacye do loży, wyparł się wszystkiego, zapewniał, że nie wie o niczem, i że postara się o ukaranie winnych szpiegostwa. I taki charakter byłby jeszcze do dzisiaj zasiadał w ministerstwie, gdyby nie niefortunna skądinąd awantura z Syvetonem. Wielki Wschód miał na tyle cywilnej odwagi czy bezczelności, że przyznał się do wszystkiego, tłumacząc się równocześnie, że chodziło mu o dobro rzeczypospolitej. Więc nie ulega już wątpliwości, że loża panuje we Francyi, nie rząd i parlamet! Dobrze i to wiedzieć, szczególniej dla tych, którzy w wolnomularstwie widzieli tylko utwór zbyt żywej wyobraźni, a nie prawdziwą, szeroko rozgałęzioną, wszystko, co chrześcijańskie i szlachetne, zwalczającą organizacyę.

Z niekonsekwencyi socyalistów.

Jak bardzo zasady, głoszone w teoryi różnią się od ich stosowania w praktycznem życiu, pokazuje się dość wyraźnie w postępowaniu partyi socyalistycznych. Ci sami ludzie, którzy domagają się niekrępowanej niczem wolności w życiu, żądali na kongresie wolnomyślnych w Rzymie w imię wolnej myśli zniesienia wolności nauczania; ci sami, którzy popisują się przed wszystkimi swem pragnieniem poprawienia doli ludu, rzucali na tymże samym kongresie najczarniejsze potwarze na misye zagraniczne, opiekujące się wychodźcami włoskimi na obczyźnie, choć oddają one emigrantom tyle przysług,

a nam liberalny rząd włoski i wszyscy rozumni Włosi tak wysoko sobie ich pracę cenią.

Jeden znowu z tych socyalistów, którzy tak zwalczają pojedynek, nazywając go słusznie przesądem i barbarzyńskim zabytkiem przeszłości, deputowany Jaurès, obrażony wysyła do Derouleda telegraficzne wezwanie na pojedynek, pokazując tem samem, że nie ma mowy o zachowaniu dobrych zasad w życiu, gdy tych przekonań moralnych brak w duszy.

Socyaliści francuscy dążą do usunięcia paragrafu karnej ustawy francuskiej, opiewającego, że za pewne przekroczenia może być deputowany pozbawiony swego mandatu i niewybieralny na przyszłość; równocześnie zapowiada Jaurès, że sam zaproponuje izbie usunięcie tego przepisu, jako niezgodnego z duchem czasu i postępu, ale dopiero, gdy przepis ten zostanie zastosowany do zmarłego tymczasem Syvetona, który musi być z parlamentu raz na zawsze wyluczonym.

Nie zaszkodzi tu zauważyć, że z okazyi skądinąd rzeczywiście brutalnego i wysoco nierozumnego wystąpienia Syvetona, rozpisywały się gazety partyjne nad niesłychanem naruszeniem wolności osobistej i parlamentarnej i poruszyły niebo i ziemię, by tych wolności bronić, zapominając widocznie o swych ciągłych napaściach na kościół, kler i publiczne praktyki religijne, albo o wystąpieniu socyalistów na kongresie rzymskim, którzy dla słusznych pobudek nie dopuszczeni do głosu, laskami porozpędzali prezydyum i pięścią przekonywali przeciwników, jak tę wolność rozumieć trzeba.

U nas znowu — nie twierdzimy tego o szerokich masach, ale o przywódcach — socyaliści są chyba najzawziętszymi wrogami kościoła i religii, stąd te bezustanne ataki na kościół, na kler, na nabożeństwa; równocześnie jeden z wybitniejszych szefów partyjnych w kraju, Witołd Reger, przyzywa na łożu śmiertelnem kapłana i w pełni swych władz umysłowych odwołuje ustnie i pisemnie wszystko, cokolwiek przeciwko kościołowi powiedział lub napisał, przeprasza za dane zgorszenie, ze skruchą przyjmuje święte sakramenty i z spokojem i z ufnością kończy życie swoje. Czyż nie przypominają się tutaj słowa jednego reformatorów, że

dobrze jest żyć w religii, jaką reformacya dała światu, lepiej jednak umierać w starej?

Zjazd nauczycieli w Lincu i jego skutki.

Bijący w oczy dowód, jaki rozkład, zamęt i zamieszanie pojęć panuje między wielką częścią kół pedagogicznych, dała konferencya krajowa nauczycieli ludowych w Lincu, odbyta pod przewodnictwem c. k. inspektora krajowego d-ra Zenza. Otwarta nienawiść ku Kościołowi i religii tryskała z mów tych, zasadami socyalizmu i ateizmu przesiąkniętych wychowawców młodzieży. Twierdzono tam, że ideał moralności zostanie osiągnięty, gdy dzieci do lat 12 bez ubioru zupełnie obchodzić się będą, a kto nagością się gorszy, należy do domu waryatów, że barbarzyństwem jest prowadzić dzieci na msze św., a zbrodnią na młodzieży dokonaną, zachować naukę religii, że udział w procesyach jest szkodliwy i dla zdrowia i dla moralności, że kościół fałszuje historyę, a baśnie i zabobony podaje jako ostatni wynik nauki, że księża są fałszywymi apostołami ziemskiej i niebieskiej szczęśliwości i t. d. Ze zdumieniem pytać się przychodzi, czy to wszystko jest prawdziwe, czy w katolickiej Austryi takie brutalne wystąpienie, i to jeszcze pod przewodnictwem urzędnika państwowego, jest możliwe?

W tym razie jednak trafiła kosa na kamień a zgromadzeni w Lincu nauczyciele nie spodziewali się pewnie, że taką na swoje głowy ściągną burzę i że najgorsze swej sprawie oddadzą usługi; przekonano ich, że nie można sobie bezkarnie drwić z religii tych rodzin, których dzieci się wychowuje. Prawie pięćset protestów rad gminnych, rad szkolnych miejscowych i wielkich właścicieli ziemskich, ubolewających nad podobnym objawem zwyrodnienia, wpłynęło do rady szkolnej krajowej, a silna w rzeczy, choć umiarkowana w wyrażeniu, mowa biskupa z Lincu, wygłoszona w sejmie Górnej Austryi i potępiająca nietaktowne, mówiąc oględnie, wystąpienie nauczycieli, wywarła najlepsze wrażenie i została prawie jednogłośnie przyjętą. Swoją drogą znamiennym do całej tej sprawy przyczynkiem jest fakt, że kiedy biskup dyecezyalny zaprotestował w radzie szkolnej krajowej przeciwko uchwałom

konferencyi i tonowi, w jakim rozprawy prowadzone były, rada szkolna protestu nie uwzględniła.

Ta wspaniała manifestacya religijnego ducha nie była bardzo na rękę radykalnym nauczycielom: rozpoczęli się bronić, lecz używają tej broni, którą zawsze posługują się ci, którzy są w błędzie i którym zła wola zawrócić się nie pozwala: oszczerstwem mianowicie, wymyślaniem i obelgą. Piszą więc o »kochanych, pobożnych chrześcijanach«, »o dobrych, pobożnych panach wójtach«, »o paszach wioskowych«, »o głupocie i zarozumiałości rad gminnych« — te i tym podobne kwiatki dobrego tonu i dobrego wychowania pojawiają się na każdej stronie ich czasopism od dwóch prawie miesięcy. Lecz i w tym wypadku trafiła kosa na kamień.

Tym ludziom tak o ś w i e c o n y m, tak rzucającym innym w twarz zarzuty o zacofaniu i średniowiecznej ciemnocie, wystawiła krajowa rada szkolna w swem rocznem sprawozdaniu o stanie szkolnictwa ludowego w Górnej Austryi wcale niepochlebne świadectwo. Utrzymuje ona, że uczniowie nie robią postępów w naukach, a przyczyną tego jest »nieudolność« wielu sił nauczycielskich; w ortografii np. »brakuje nauczycielom często nawet potrzebnej pewności«, a w geografii niemało nauczycieli »posiada niewystarczające wiadomości«. »Istnieje dużo nauczycieli, którzy nie mają żadnego albo małe poczucie obowiązku, i którzy tyle tylko pracują, ile potrzeba, aby nie otrzymali dymisyi. Uprawiają swój zawód jak istne rzemiosło; w szkole starają się, ile możności, oszczędzać się, by sobie siły dla czynności agitatorskiej poza szkołą przygotować. Ci najemnicy nadają ton na zgromadzeniach, ujemnie krytykują wszystko; dla nich niema żadnej powagi; oni odgrywają rolę prawdziwych i jedynych obrońców nieuwzględnionych praw nauczycielstwa i nie cofają się nawet przed wywieraniem pewnego teroryzmu na umiarkowanych«. Wobec tak surowego potępienia ze strony krajowej rady szkolnej, komuż przypada właściwie stawiać zarzuty i przewodzić masom?

Z pod zaboru pruskiego.

Pod zaborem pruskim stosunki stają się coraz nieznośniejszemi; to nie jest już tylko źle zrozumiana gorliwość i przesadzone pojęcie obowiązku ze strony jednego lub

drugiego urzędnika — to walka upozorowana prawem, ulegalizowana, walka, w której z jednej strony występują tylko siły moralne i duchowe, z drugiej przemoc i bagnety. Postępowanie rządu pruskiego wobec Polaków było często nieuzasadnione, niesprawiedliwe i sprzeczne tak z konstytucyą, jak i z królewskiemi przyrzeczeniami monarchów — dzisiaj walka ta przyjmuje charakter nie tylko już groźny, ale wprost wstrętny, bo przenosi się ją tam, gdzie nie powinno dla niej nigdy być miejsca: w ogniska rodzinne, do sfer duchownych, a etyka, jaką się wrogowie kierują, dziwne rzuca światło na ich moralne zasady.

Kiedy wydano rozporządzenie, by nauczyciele nie tylko w szkole do powierzonych sobie uczniów, ale i w domu własnym używali w rodzinie języka niemieckiego i kiedy z tego powodu wniesiono interpelacyę, minister kultu, prawdopodobnie wzorem francuskiego André, wszystkiemu zaprzeczył, co tak oburzyło nawet protestanckie pisma, że wytknęły one niektórym ministrom »krótką pamięć«, a *Berliner Zeitung* wspomniała coś o »barbarzyństwie, niegodnem państwa prawa i kultury«. Kiedy znowu naczelny prezydent v. Waldow doszedł do przekonania, że *es muss für jeden gutgläubigen Christen Bedürfniss sein, hin und wieder im Jahre eine Predigt in seiner Muttersprache zu hören* — ale tylko dla Niemców, broń Boże! dla Polaków — i zażądał od księdza arcybiskupa poznańskiego pewnej ilości nabożeństw niemieckich dla katolików niemieckich, podając równocześnie spis parafii, w których katolicy niemieccy w wymaganej liczbie się znajdują, widocznie przez omyłkę lub zapomnienie, a może i błąd drukarski, znaleziono w Mogilnie 630 niemieckich katolików, podczas gdy znajduje się ich tam wogóle 48 licząc w to także zniemczonych Polaków. Dziwnie też licuje z wolnością panującą »w państwie prawa i kultury«, bardzo niewinne zwrócenie się do urzędników polskich lub pochodzenia polskiego z zapytaniem, w jakim języku życzą sobie, aby dzieci ich były przygotowane do spowiedzi i komunii św.; to zapytanie wzorowane na starych retorycznych figurach, w realnem życiu traci na swej niewinności i przemienia się w ukrytą groźbę i rozkaz, gwałcący prawa rodziców.

Tak się dzisiaj Francya, a przynajmniej rozumne jej żywioły, oburzają na zaprowadzony od kilku lat przez rząd system szpiegostwa. Prusy wyprzedziły już pod tym względem Francyę a loża w Paryżu mogłaby się powołać na całe tłumy nauczycieli ludowych w Poznańskiem, na Szląsku i w Prusach, którzy o każdym kroku proboszcza lub wikarego informują odpowiednie władze i dość często, prawdopodobnie znowu przez pomyłkę lub krótką pamięć, która nagminnie w krainie czarnego orła zaczyna panować, fałszywe i oszczercze posyłają denuncyacye.

Ostatecznie to jeszcze najmniejsza — smutno jednak i bolesno, jeżeli kapłani nawet wychodzą z swej roli a zapominając o wzniosłem swem posłannictwie pracy nad zbawieniem dusz i nauce św. Pawła: wszystkim stałem się wszystko, abym wszystkich zbawił — przechodzą do walczących przeciwko nam szeregów. O jednym z dowodów na to twierdzenie, przytoczonym przez kilka gazet polskich, wolimy zamilczeć. Odsłania on taką przepaść szowinizmu i tak głęboką nienawiść, objawiającą się nawet wobec majestatu śmierci i wobec ginącej duszy, że chcemy wierzyć i wmawiamy w siebie, że to wszystko jest chyba nieprawdą lub przynajmniej jakiemś nieporozumieniem. Dziwnem jednak i nam przynajmniej niezrozumiałem wydaje się postępowanie kapłana, piszącego do organisty, który z rozporządzenia prodziekana zbierał podpisy polskie, aby się dowiedzieć, ile w jego parafii żyje Polaków i jakie mają co do służby Bożej życzenia, że gdyby był wiedział, iż zbiera on podpisy ludzi, domagających się polskich kazań, *hätte ich Sie mit Hunden von meinem Hofe hetzen lassen;* niemniej dziwnem, że postępowanie swego bezpośredniego przełożonego nazywa *schamlos* a w liście do konsystorza grozi, że wniesie sądową skargę na księży kondekanalnych. Równocześnie inny duchowny wzywa w protestanckiej *Schlesische Zeitung* rząd, by wydał nowe, wyjątkowe prawa przeciwko Polakom; tak długo, twierdzi on, ruch polski wzmagać się będzie, jak długo rząd nie zechce sięgnąć »do wielkich, niechybnych środków, jakiemi są: prawa wyjątkowe przeciw używaniu języka polskiego w stosunkach urzędowo-handlowych, na zebraniach i w prasie«. I cóż jeszcze dzisiaj jest niemożliwem? Wobec takiego faktu

trudno się dziwić, że *Kuryer Poznański* pisze: »Przed wiekami krzyżak wpinał ostrogę w rumaka, nie chcącego tratować po błagających litości podbitych szczepach — dziś kapłan niemiecki wzywa rząd pruski, aby się nie wahał wymierzyć ostatniego ‚niechybnego' ciosu w pierś nieszczęśliwego ludu«.

Pomijamy inne jeszcze przykłady i zaznaczamy tylko, że w takiem postępowaniu, jak to, o którem powyżej wspomnieliśmy, niema już miejsca dla ducha Chrystusa, niema zrozumienia dla Jego nauki. *Ks. Wiktor Wiecki.*

Kronika ekonomiczna.

Akcya zapomogowa rządu. — Budżet państwa na rok 1905. — Traktaty handlowe. — Działalność handlowa towarzystw rolniczych. — Rocznik spółek dla oszczędności i pożyczek. — Spółki dla kultury torfów. — Włości rentowe. — Przyspieszenie drenowania.

Obstrukcya w Izbie posłów austryackiej Rady państwa wywołała szereg następstw nadzwyczaj dziwnych, zupełnie nieznanych życiu gospodarczemu innych państw, a przeważnie bardzo ujemnych. W tym długim szeregu dziwolągów, zarówno politycznych, jak administracyjnych i ekonomicznych wybitne miejsce należy się projektowi ustawy zapomogowej, przedłożonemu przez rząd przed kilku tygodniami w izbie posłów. — Projekt upoważnia rząd do zużycia $15^1/_2$ miliona koron w pierwszym rzędzie na przeciwdziałanie szkodliwym skutkom tegorocznej posuchy, oraz w małej części na złagodzenie skutków kilku większych pożarów. Jak pokryć ten wydatek? O tem stanowi art. VI projektu: Izba posłów ma uchwalić zaciągnięcie pożyczki 69 milionów koron, która ma być zrealizowaną w formie listów rentowych. Po pokryciu z tej kwoty kosztów tegorocznej akcyi zapomogowej, pozostanie do dyspozycyi rządu $53^1/_2$ miliona koron, przeznaczonych na wzmocnienie zapasów kasowych.

W ostatnich latach rząd ciągle przeprowadzał akcye zapomogowe różnego rodzaju. Ponieważ parlament nie uchwalał ani nowych podatków, ani nowych pożyczek, ministrowie skarbu czerpali z zapasów kasowych, pozostałych po dawnych dobrych czasach Dunajewskiego, ale oczywiście długo nie można rządzić w ten sposób, zapasy kasowe nie są niewyczerpane, trzeba je odnowić.

Akcye zapomogowe są smutną austryacką specyalnością, nie odwieczną, przeciwnie stosowaną dopiero w ostatnich kilkunastu latach; od r. 1890 rząd wydał na te cele 106 milionów koron. Rząd tak skąpy, gdy chodzi o nowe laboratoryum na uniwersytecie, o kliniki, ten sam rząd znajduje miliony na akcye zapomogowe. Czy obciąża się opodatkowanych uzasadnionymi wydatkami? Mam pod tym względem poważne wątpliwości. — Akcya zapomogowa rządu, zwłaszcza w ostatnich latach nie jest szczerą, powód hojności nie tkwi w przekonaniu o jej potrzebie i w nadziei dobrych skutków, rząd używa jej jako środka walki politycznej z obstrukcyą. Parlament nie uchwala żadnych ustaw, najkonieczniejsze dojdą i tak do skutku § 14-ym, wyjątek robi dla zapomóg popularnych wśród wyborców. Jeżeli już trzeba płacić tak wysokie podatki, niechże przynajmniej rząd od czasu do czasu zasili kieszenie opodatkowanych gotówką; rząd tego nie robi bez uchwały parlamentu, ponieważ dogodnie mu w ten sposób ratować pozory konstytucyonalizmu, dowodzić częściowej przynajmniej żywotności maszyny parlamentarnej. — Obecnie powszechnie wiadomo, że dzienniki przesadziły następstwa posuchy; w wielu okolicach — także i Galicyi — rok ten nie należy do najgorszych, niebywałe urodzaje ozimin, średnie zbiory okopowizn, dobre ceny w zupełności wynagrodziły nieurodzaj pastewnych — w gospodarstwie przecie prawie nigdy urodzaj nie jest równomiernym we wszystkich działach. Mimo tego rząd zamiast zadowolić się zarządzeniami taryfowymi i celnymi, omówionymi w poprzedniej kronice, wnosi przedłożenie w celach politycznych dla pochwalenia się choćby chwilowem przełamaniem obstrukcyi.

Racyonalna akcya zapomogowa jest nader trudnem zadaniem administracyjnem, zasiłki rzadko dochodzą do rąk najbardziej potrzebujących, toną w kieszeniach sprytniejszych, którzy umieją wyznać się w zawiłej manipulacyi biurokratycznej i przedstawić w ujemnem świetle swoje położenie. Dalsza wielka trudność tkwi w problemie kontroli sposobu zużycia zapomóg, kontrola jest zawsze bardzo kosztowną, pochłania znaczną część całej kwoty, mimo tego najczęściej bezskuteczną, nie dającą żadnej gwarancyi odpowiedniego celowi zużycia, ponieważ zapomogi rozdzielają się między wielu na kwoty lub ilości (jeśli przedmiotem zapomogi są naturalia) bardzo drobne. Zapomogi, zwłaszcza w oddziaływaniu na ludzi o charakterze słabszym i o rozumie mniejszym — a tych jest większość, może znaczna większość, okazują się czynnikiem demoralizującym, który zaciera poczucie odpowiedzialności osobistej, przyzwyczaja liczyć na pomoc

z zewnątrz, zamiast na własne siły. Zapomogi tego rodzaju mają w sobie zawsze coś z jałmużny. Mogą być wyjątkiem, w Austryi zaczynają stawać się regułą. Taka polityka spycha państwo do rzędu kilku prowincyi indyjskich, w których akcya antigłodowa powtarza się prawie co roku. Tam usprawiedliwiają ją głodem, czego przecież o austryackich stosunkach powiedzieć nie można. Rzeczą rządu stworzyć warunki, w którychby ludność mogła przetrwać klęski własnymi siłami, a nie dawać stale zapomogi. Raz wszedłszy na tę ślizką drogę, jak się na niej zatrzymać? co jest klęską zasługującą na zapomogę, a co pozostawić należy zaradności jednostki?

Posłowie krajów alpejskich zwalczają ustawę zapomogową, ponieważ nie uwzględnia krajów, które ich wybrały. Wprawdzie z funduszów zapomogowych ma być kupowane siano w Styryi, Solnogrodzie i t. d. celem przewiezienia do Czech, ale to im nie wystarcza. W imię zasady równouprawnienia domagają się także zapomóg. Wiedzą, że to nonsens, że to nieetyczne, ale boją się zarzutu zaniedbywania interesu wyborców z ust przeszłych i przyszłych kontrkandydatów.

Rząd chce zwalczać obstrukcyę, a zatem godzi się na tę argumentacyę. — U nas klęska dotknęła ciężko kilka górskich powiatów zachodnio-galicyjskich, a akcyę zapomogową, zapoczątkowaną przez rząd jakimiś innymi funduszami prowadzi się także w Galicyi wschodniej w imię równouprawnienia na żądanie interesowanych, aczkolwiek tam o jakiejś anormalnej klęsce mowy być nie może.

Komisya budżetowa kierowała się przy powzięciu uchwały także li tylko względami politycznymi, godziła się na zapomogi, niektórzy żądali nawet podwyższenia kwoty, ale chcąc dać wotum nieufności rządowi, zezwoliła na wydanie renty tylko do wysokości tegorocznej kwoty zapomogowej $15^1/_2$ miliona koron. Rząd oświadczył, że wobec tego cofa przedłożenie zapomogowe. Może przecie tradycya ciągłych zapomóg dozna przerwy.

* * *

Przypatrzmy się budżetowej stronie problemu. — Przedłożenie zapomogowe jest — jak widzieliśmy — nieszczere ekonomicznie, pod pozorem zaradzenia skutkom nieurodzaju, dąży do innych celów, ale i jego budżetowa prawdomówność nasuwa zastrzeżenia.

Kwota zapomogowa $15^1/_2$ miliona koron nie figuruje w budżecie, do którego niewątpliwie należy, ponieważ nie chodzi o jednorazową inwestycyę, ale wydatek, który od kilku lat ciągle się powta-

rza, powinien zatem znaleść pokrycie w corocznych dochodach. Przedkładając osobną ustawę rząd zaciemnia fakt deficytu w budżecie na rok 1905, który zamyka się rzekomą nadwyżką $1^1/_2$ miliona koron. Wogóle budżetowe położenie monarchii nie jest zbyt różowe — jeszcze jeden powód przemawiający przeciw ciągłym zapomogom. Preliminarz budżetu nie jest i nie może być nigdy zupełnie prawdziwym obrazem rzeczywistości. Właściwą miarą jego wartości są zamknięcia rachunkowe, które wykazują, o ile budżet był przestrzegany. Dawniejsze zamknięcia rachunkowe wykazują większe przewyżki, jak preliminowano, ponieważ oceniano nizko dochody a wysoko wydatki. Ta przezorna, jedynie racyonalna polityka skarbowa znalazła swój wyraz zewnętrzny w tem, że zamknięcia rachunkowe za lata 1894 do 1900 wykazywały nadwyżki roczne 40 do 60 milionów koron, nadwyżka w r. 1901 wyniosła 19 mil., w r. 1902 już tylko 12 milionów koron, a za rok 1903 okazał się niedobór 1·894 miliona koron, nie mówiąc już o znacznem uszczupleniu zapasów kasowych zapomogami i innymi wydatkami. — W najbliższym czasie trzeba będzie zaciągnąć blizko 600 milionów koron pożyczki na pokrycie 262 milionów koron jednorazowych wydatków wojskowych na nowe działa, przekroczeń przy budowie kolei alpejskich (160 mil.), portu w Tryeście (46 mil.), przy robotach regulacyjnych w Czechach (12 mil.), na pokrycie sum pobranych z zapasów kasowych. Innymi słowy roczne oprocentowanie tych pożyczek wyniesie dwadzieścia kilka milionów koron.

Wspomniana nadwyżka $1^1/_2$ miliona koron jest sztuczną, została wykazaną, dzięki szeregowi pozycyi przypadkowych lub niestałych. I tak: w dochodach figuruje pozycya 5·9 miliona koron, jako rata należna rządowi od kolei południowej, z tytułu reszty ceny kupna linii Wiedeń-Tryest, pozycya, która w następnych latach nie będzie się powtarzać. Budżet na rok 1905 zwiększa zadłużenie monarchii: minister skarbu wstawił w dochód 14·4 milionów koron, które mają być pokryte z wydania nowych listów rentowych t. z. umarzających *(Tilgungsrente)*. W myśl obowiązujących ustaw rząd austryacki powinien nietylko długi państwowe oprocentowywać, ale część ich spłacać, kwota ta wynosi na rok 1905 około 22·6 milionów koron, z czego tylko część może być pokrytą z bieżących dochodów, na spłatę 14·4 milionów trzeba zaciągnąć nowe długi. Dalszem obdłużeniem państwa jest nowy sposób zarachowania wydatków na budowle. Dotychczas, gdy rząd stawiał nowy gmach sądowy lub nowe starostwo, rozkładał koszta budowy wedle czasu jej trwania, a więc jeśli miała trwać

dwa lata, połowa przypadała na budżet jednego roku, a druga na budżet następny. Obecnie wstawiono w budżet na rok 1905 tylko annuitety, to znaczy kwoty potrzebne na oprocentowanie i umorzenie specyalnych pożyczek na ten cel zaciągniętych.

Sytuacya finansowa skarbu państwa nie jest korzystną, to też możliwie największa oszczędność w wydatkach jest wskazana.

* * *

W ostatnich czasach pisma codzienne zajmowały się często sprawą odnowienia traktatu handlowego z Niemcami. Miałem już sposobność wykazywać na szpaltach *Przeglądu Powszechnego* wielkie znaczenie postanowień tego traktatu dla Galicyi, to też wiadomość o zerwaniu rokowań miałaby wielką doniosłość, gdyby nie to, że w kilka dni potem telegramy rozniosły wieść o podjęciu na nowo rokowań.— W każdym razie zawarcie traktatu napotyka na poważne trudności, których nawet przyjazd niemieckiego ministra do Wiednia — wypadek niezwykły w dziejach dyplomacyi handlowo-politycznej — nie zdołał usunąć. Wobec wygórowanych ceł rolniczych nowej niemieckiej taryfy, wobec nacisku wywieranego przez większość parlamentu niemieckiego na rząd w duchu przeciwnym ustępstwom dla żądań austro-węgierskich, dotyczących zniżenia tych ceł, ewentualność niedojścia do skutku traktatu nie jest wykluczoną. Podobno główna trudność tkwi w konwencyi weterynaryjnej, mającej zabezpieczyć wywóz bydła do Niemiec przed dowolnem zamykaniem granicy pod pozorem obawy zawleczenia zarazy z Austro-Węgier. Niemcy nie chcą odnowić obecnej konwencyi, a Austro-Węgry przystają na zwyżkę ceł niemieckich od bydła tylko, pod warunkiem zmian w konwencyi, w duchu korzystnym dla Austro-Węgier.

* * *

Towarzystwo rolnicze okręgowe w Wieliczce rozpoczęło w r. 1891 zakupywać nawozy sztuczne na wspólny rachunek członków; początki były skromne: sprzedano wówczas 207 ctn. za 3327·65 kor., w dwanaście lat później w r. 1903 sprzedano przeszło 692 wagonów za 494.417, a zatem za blizko $^1/_2$ miliona koron. Z biegiem lat obok nawozów sztucznych Towarzystwo rozszerzyło swą działalność handlową na inne towary potrzebne rolnikowi w swem gospodarstwie: w r. 1903 sprzedała Wieliczka nasion za dwa kroć, maszyn i narzędzi za 70.000, a węgla kamiennego i koksu za 35.000 koron, oprócz

tego sprzedawała sól dla bydła i paszę koncentrowaną i szereg innych towarów w drobniejszych ilościach, zwłaszcza w ostatnich latach rozwój działu handlowego okazał się nader szybkim, obroty zwiększyły się z 1·729 w roku 1902 na 3·191 miliona koron w r. 1903, a rok bieżący wykazuje znowu zwiększenie się ilości sprzedanych towarów. Wobec tego stała się reorganizacya Towarzystwa nieunikniona.

Towarzystwo opiera się na ustawie z r. 1867, składa się z członków opłacających rocznie stosunkowo małe wkładki, nieodpowiadających za zobowiązania Towarzystwa, nie posiada kapitału zakładowego. Zwiększone obroty wymagają jednak koniecznie nietylko kapitału zakładowego, ale także stworzenia podstaw zdolności kredytowej; bez odwoływania się do kredytu nie może istnieć większe przedsiębiorstwo, a ażeby kredyt uzyskać, trzeba dawać pewne gwarancye wierzycielowi. — Towarzystwo nie może prowadzić interesów wyłącznie komisowych, jest to po części możliwe przy maszynach i narzędziach, ale nawozy sztuczne, które stanowią podstawę przedsiębiorstwa, trzeba kupować na własny rachunek, za gotówkę, tylko w tych wypadkach można uzyskać znaczniejsze zniżki. Dlatego postanowiono utworzyć w Krakowie osobne stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką pod firmą: »Dział handlowy Towarzystw rolniczych«, któreby przejęło na siebie interesa, prowadzone przez Wieliczkę. Udziały oznaczono na sto koron, chcąc umożliwić przynależenie jak najszerszym warstwom ludności rolniczej. Udziały będą dawały tylko 4%, przedsiębiorstwo nie ma charakteru kapitalistycznego, nie chodzi zatem o wysokie zyski, ale o tanie sprzedawanie dobrych towarów członkom, między których będą rozdzielane pozostałe nadwyżki w stosunku do ilości zakupionych towarów — jest to wypróbowana zasada angielskich stowarzyszeń spożywczych. Pierwsze walne zgromadzenie odbędzie się w styczniu bieżącego roku.

W podobnem położeniu znajdują się Towarzystwo Kółek rolniczych i c. k. Galicyjskie Towarzystwo gospodarskie z siedzibą we Lwowie; obie te instytucye, początkowo założone dla innych celów, których osiągnięcie było możliwem w ramach ogólnej ustawy o towarzystwach z r. 1867, rozpoczęły przed kilku laty za przykładem Wieliczki akcyę handlową zupełnie tego samego rodzaju, obie wykazują także znaczny wzrost obrotów, który niewątpliwie z czasem skłoni je do poddania się ustawie o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych z 1 kwietnia 1873 r., obecna ich forma prawna nie odpowiada zwiększonemu zakresowi działania.

Zakładanie przedsiębiorstw współdzielczych na podstawie ustaw przeznaczonych dla asocyacyi niegospodarczych, okazało się niepraktycznem.

* * *

Wśród licznych druków sejmowych na szczególniejszą uwagę zasługuje IV rocznik spółek oszczędności i pożyczek za rok 1903, wykazujący znowu dalszy pomyślny rozwój tej instytucyi, po której tyle dobrego spodziewają się szermierze sprawy włościańskiej, a na której — po dotychczasowych wynikach sądząc — nie zawiodą się. W r. 1903 Patronat Wydziału krajowego obejmował 256 (177)[1] spółek z udziałami na 322.072 (188.863) koron, które zebrały drogą wkładek oszczędności 5,950.792 (3,042.481) koron, a rozpożyczyły 6,791.660 (3,861.563) koron. Fundusze rezerwowe wynosiły 193.986 (95.549), a obroty 17,530.312 (9,870.577) koron. Ilość członków w spółkach doszła do poważnej cyfry 46.684. Poza patronatem istniało 12 spółek z 3784 członkami i $^1/_2$ milionem koron wkładek oszczędności. W r. 1903 najsilniejszy przyrost ilości spółek wykazuje Galicya wschodnia, ale spółki tamtejsze są mniej liczne (przeciętna liczba członków w Galicyi zachodniej 233, w środkowej 164, wschodniej 139), a co gorsza bardziej pożyczkowe jak oszczędnościowe. Spółki w Galicyi zachodniej wystarczają sobie, zachodzi równowaga między wkładkami a pożyczkami, natomiast w Galicyi środkowej, a zwłaszcza wschodniej, spółki, aby udzielać kredytu, muszą z kredytu korzystać w stosunkowo wysokim stopniu.

Nadzwyczaj pouczająca jest tabela, wyjaśniająca przeznaczenie zaciągniętych pożyczek, aż 34·6% ogólnej sumy pożyczek (trochę więcej, jak w roku poprzednim) przypada na kupno gruntu, 23·5% na spłatę uciążliwych długów, a zatem na konwersye, 12·4% na budynki, 10% na spłatę rodziny i t. d. Najcharakterystyczniejszem jest zestawienie drobnej kwoty przeznaczanej na melioracye rolnicze $^1/_2$% z olbrzymią cyfrą na kupno gruntu. Chłop kupuje ziemię po nadmiernie wysokiej cenie, ale wkłada nader mało w ulepszenie gospodarstwa: stan zupełnie anormalny. Stosunkowo znaczna część pożyczek służy celom wiejskiego kramarstwa — aż 2·6% — dowód, że prąd zakładania sklepików wiejskich nie słabnie, jest to widocznie zajęcie rentowne, wobec małych obrotów w tego rodzaju przedsię-

[1] Cyfry w nawiasach dotyczą roku poprzedniego.

biorstwach, można to sobie wytłómaczyć tylko wysokimi cenami towarów, płaconymi przez konsumentów. Spółki przeważnie pobierały od pożyczek $6^1/_2{}^0/_0$, a płaciły od wkładek $5^0/_0$, tylko cztery spółki zadowalniały się różnicą $1^0/_0$ między stopą procentową od pożyczek a stopą od wkładek, stosunki procentowe zmieniają się powoli na korzyść, w ciągu roku 1903 szereg spółek poczynił przygotowania do obniżenia stóp procentowych.

Powodzenie tego wielkiego dzieła zawdzięczamy w znacznej mierze naszemu światłemu duchowieństwu, świadomemu swego społecznego stanowiska. Księża zajmowali w 130 spółkach stanowisko przełożonego zarządu, w 54 przewodniczącego rady nadzorczej, a w siedmiu stanowisko kasyera.

* * *

Oprócz spółek dla oszczędności i pożyczek patronat opiekuje się pięciu spółkami dla kultury torfowisk, które tworzą do pewnego stopnia specyalność galicyjską w zakresie assocyacyi gospodarczej rolników. Spółki trudnią się zakupnem nawozów na wspólny rachunek członków, w r. 1903 cztery spółki zakupiły nawozów za $12^1/_2$ tysiąca koron, prócz tego spółki zakupują na wspólny użytek członków różne narzędzia, jak walce, brony, kasety żelazne i t. d., które pozostają własnością spółki, a członkom bywają wypożyczane po kolei, w miarę potrzeby. Nawozy i narzędzia są przeznaczone do poprawy kultury na torfowiskach, należących do członków, a odwodnianych wedle wskazówek biura melioracyjnego Wydziału krajowego.

Obszar torfowisk, które dawniej były bezwartościowymi nieużytkami, a przez spółki zamienione zostały, względnie zamienione być mają na pola orne lub łąki, wynosi ogółem we wszystkich pięciu spółkach około pięciuset morgów. Wszystkie spółki znajdują się w Galicyi wschodniej. — W r. 1903 patronat zajął się przygotowaniami, zmierzającymi do zaopiekowania się spółkami mleczarskimi — powodzenie tej akcyi miałoby pierwszorzędne znaczenie dla podniesienia dobrobytu ludności włościańskiej.

* * *

Projekt ustawy o włościach rentowych, uchwalony podczas ostatniej sesyi sejmowej jest próbą zaradzenia ujemnym właściwościom naszego podziału własności ziemskiej, które pod wpływem szybkiej parcelacyi obszarów dworskich, występują coraz to silniej na jaw.

Zarówno teorya, jak wiekowa tradycya historyczna wyraźnie świadczą o tem, że podział własności ziemskiej uważać można za korzystny tylko wtedy, gdy zachodzi należyty stosunek między gospodarstwami różnego obszaru. Galicyjskie rolnictwo nie czyni zadosyć temu warunkowi; niema ogniw pośrednich między drobną własnością chłopską a kilkusetmorgowym folwarkiem. Ziemia znajduje się przeważnie w ręku ludzi, posiadających dobra wielkie lub magnackie i włościan, którzy nie mogą wyżyć na swym kawałku ziemi, muszą zatem uzupełniać szczupłe dochody z własnego gospodarstwa zarobkami ubocznymi. Bardzo mały udział przypada na większe gospodarstwa włościańskie i na jednowioskowe folwarki szlacheckie. Parcelacya umniejsza z każdym rokiem obszar własności średniej; przedmiotem jej są prawie zawsze kilkusetmorgowe kawałki, które kupują chłopi drobnymi, kilkumorgowymi parcelami. Zwyczaje spadkowe włościan działają w tym samym kierunku, realny podział ojcowizny jest bardzo częstym, co znowu przyczynia się do dalszego umniejszania gospodarstw chłopskich.

Długoletnie wołania o przeciwdziałanie skrystalizowały się w projekcie ustawy o włościach rentowych. Kraj jako taki udzielać będzie pożyczek hypotecznych na racyonalnie zaokrąglone gospodarstwa średnie od 3 do 60 hektarów, a których czysty dochód katastralny waha się w granicach od 50 do 1000 koron (§ 4). Projekt przewiduje dwa sposoby oznaczania wysokości pożyczki hypotecznej, albo bierze się za podstawę wartość całego gospodarstwa, oznaczoną przez osobne oszacowanie — wówczas pożyczka może dochodzić do $^3/_4$ kwoty, w ten sposób wypośrodkowanej, albo też udziela się pożyczki do wysokości trzydziestokrotnego czystego przychodu katastralnego wraz z połową wartości, w której są ubezpieczone budynki mieszkalne i gospodarcze, potrzebne do prowadzenia porządnej gospodarki (§ 7). Pożyczka musi oczywiście mieć odpowiednie pierwszeństwo hypoteczne, co jednak nie wyklucza gospodarstw już zadłużonych od dobrodziejstw korzystania z ustawy, ponieważ można uzyskać pożyczkę także i na konwersyę długów.

Wydział krajowy wypłaca pożyczkę w listach rentowych 4 lub $4^1/_2$ procentowych, w pierwszym wypadku dłużnik przez lat 56 płaci $4^1/_2{}^0/_0$ rocznie od pożyczonego kapitału, w drugim wypadku $5^0/_0$ przez 52 lat na umorzenie i oprocentowanie pożyczki. Wydział krajowy ma prawo emitować co najwyżej 5,000.000 koron listów rentowych. Pożyczka jest w zasadzie niewypowiedzialna w ciągu pierw-

szych dziesięciu lat, włość rentowa jest tylko wyjątkowo podzielną przed spłaceniem pożyczki. Ustawa nakłada na kraj znaczny ciężar finansowy, albowiem koszta jej przeprowadzenia ponosi skarb krajowy. Organem wykonawczym jest krajowa komisya dla włości rentowych, której przewodniczy marszałek lub jego zastępca, a w której zasiada sześciu członków, dwóch wybranych przez sejm, po dwóch powołanych przez namiestnika i Wydział krajowy.

Chodzi zatem o to, ażeby ułatwić tanim kredytem hypotecznym najstarszemu synowi spłatę młodszego rodzeństwa, ażeby ułatwić zakładanie większych gospodarstw włościańskich, do czasu niepodzielnych przy sposobności parcelacyi obszarów dworskich — obecnie z powodu braku dogodnego kredytu przeważa dążność kupowania w jak najdrobniejszych kawałkach. Zadaniem listów rentowych jest także i innymi sposobami utrwalać byt już istniejących średnich gospodarstw włościańskich, czy to przez konwersyę wyżej oprocentowanych długów na pożyczki rentowe, czy też przez udzielanie kredytu na melioracye lub kapitał obrotowy w granicach zakreślonych ustawą.

Zachodzi pytanie, czy ludność włościańska zechce korzystać z tej ustawy? W tym celu trzeba postarać się o jak najszersze rozpowszechnienie wiadomości, o treści i o celach ustawy. Trzeba rozrzucać broszury, drukować artykuły i miewać wykłady — wdzięczne pole działania dla przyszłej instytucyi, dla towarzystw i kółek rolniczych, dla czasopism ludowych i rolniczych, dla wszelkiego rodzaju nauczycieli wędrownych i instruktorów. Trzeba nie odstraszać ludności włościańskiej zbyteczną formalistyką; krajowa komisya, dla włości rentowych powinna urzędować dokładnie i szybko. W razie licznych zgłoszeń okaże się prawdopodobnie, że interesowani będą musieli ponieść część kosztów urzędowania krajowej komisyi, obecny przepis, nakładający na skarb krajowy ten ciężar, nie wiem, czy da się utrzymać.

O skuteczności ustawy stanowić będzie ostatecznie sposób jej wykonania. W każdym razie jest dowodem wzrastającego przeświadczenia, że należy coś zrobić dla uzdrowienia stosunków rolniczych, ma wielką wartość, jako zapowiedź bardziej świadomej celu polityki agrarnej. Miejmy nadzieję, że dalsza praca na tem polu nie ustanie.

* * *

Jak powszechnie wiadomo, rząd angielski około połowy zeszłego wieku zniósł niemal wszelkie cła na wytwory rolnicze. Równocześnie ażeby ochronić rolników od szkody, dostarczył im taniego kredytu na

wydrenowanie gruntów. podnosząc przez to bardzo znacznie rentowność gospodarstwa. Za przykładem Anglii poszły z równie dobrym skutkiem Niemcy, Francya i szereg innych krajów, w których zachodziła potrzeba osuszania gruntów w ten sposób. Jest prawdą uznaną, której nikt nie zaprzecza, że także i przyszłość galicyjskiego rolnictwa zależy w znacznej mierze od zaradzenia nadmiernej ilości wilgoci w ziemi. Jest to jedna z reform najpilniejszych, jej przeprowadzenie nie powinno natrafiać na trudności, ponieważ rentowność racyonalnego drenowania jest stwierdzoną, mimo tego postęp pod tym względem jest nadzwyczaj powolny.

Wedle obliczeń krajowego biura melioracyjnego wymaga przeszło $40^0/_0$ gruntów ornych, t. j. z górą $1^1/_2$ miliona ha wydrenowania; obszar, na którym drenowanie przeprowadzano wynosi obecnie w najlepszym razie $2^0/_0$ tej przestrzeni. W ostatnim roku wydrenowano około 3000 hektarów, to znaczy, że jeśli nie przyspieszymy kroku w następnych latach, wydrenujemy Galicyę za lat kilkaset, podczas gdy inne kraje osiągnęły ten sam cel w kilkudziesięciu latach. Trudność tkwi w znalezieniu funduszów. Ustawa z r. 1896 zapewnia pierwszeństwo hypoteczne wierzycielom, udzielającym pożyczki na cele melioracyjne, rolnicy twierdzą jednak, że formalności obowiązujące przy zastosowaniu ustawy, uniemożliwiają jej wykorzystanie, a instytucye finansowe uważają za potrzebne zabezpieczać się przed nią. Kasy oszczędności udzielając obecnie pożyczek hypotecznych, domagają się od dłużnika zrzeczenia się prawa korzystania z dobrodziejstw ustawy o kredycie melioracyjnym.

Kraj ułatwia drenowanie przez bezpłatne wykonywanie planów i kosztorysów, oraz nadzorowanie robót, o ile starczą siły krajowego biura melioracyjnego. Praktyka ta przyspieszyła niewątpliwie drenowanie na obszarach dworskich. Chcąc zachęcić włościan, kraj udziela im oprócz tego zasiłków w gotówce, a mianowicie pokrywa $^1/_3$ część kosztów. Państwo udziela pomocy w tej samej wysokości, interesowani opłacają zatem tylko $^1/_3$ kosztów i to zazwyczaj w formie robocizny, dokonywanej przez nich samych. Kraj wyznacza na ten cel w budżecie 50.000 koron rocznie, chodzi tutaj o stworzenie przykładów, zachęcających do naśladowania. Na tej drodze, już choćby ze względów budżetowych, niepodobna dążyć do wydrenowania wszystkich gruntów włościańskich, drenowania potrzebujących.

Powstała myśl stworzenia krajowego funduszu, przeznaczonego na udzielanie rolnikom bezprocentowych pożyczek melioracyjnych,

kraj zaciągałby przez lat dziesięć pożyczkę co roku po $^1/_2$ miliona koron, a rząd zwracałby krajowi koszta jej oprocentowania i amortyzacyi, kraj administrowałby bezpłatnie tym funduszem. W wykonaniu uchwały sejmowej Wydział krajowy przedłożył c. k. Ministerstwu Rolnictwa z początkiem roku 1904 pismo, z prośbą o pomoc finansową w tym kierunku, które, jak dotąd, nie doprowadziło do celu.

Wyznaczania i rozdzielania w ten sposób funduszu 50.000 kor. rocznie, nie uważam za wskazane. Wobec licznych zgłoszeń można uwzględnić tylko ich część, co wytwarza uzasadnione niezadowolenie. Zresztą drenowanie jest nakładem zyskownym, który zazwyczaj w kilku latach zwraca się w zupełności, nie ma potrzeby dawania zasiłków bezzwrotnych, a nawet idę dalej, wystarczy tani kredyt, pożyczki bezprocentowe są zupełnie zbędne. Nasz chłop, który płaci za ziemię sumy nieprawdopodobnie wysokie, który kupuje fałszowane nawozy, a mimo tego nie odstręcza się od ich używania, z pewnością zdobędzie się na poniesienie kosztów drenowania, jeśli zrozumie jego pożyteczność. Wobec tego wydaje mi się mylnem zapatrywanie, że świadomość zyskowności drenowania jest dość rozpowszechnioną i dalszy wniosek, który w bezprocentowości pożyczek widzi ratunek. Wystarczy w zupełności, jeśli kraj będzie udzielał tanich pożyczek melioracyjnych i zachęcał ludność rolniczą przez odpowiednie pouczenie do korzystania z nich. Wspomniana petycya Wydziału krajowego do Ministerstwa rolnictwa żąda za wiele, zwłaszcza wobec trudnych stosunków skarbowych i nieuchwalania budżetu przez Radę państwa, nie trudno przewidzieć jej bezskuteczność.

Trzeba szukać na innej drodze zbawiennego źródła taniego kredytu melioracyjnego. Mam na myśli wielkie zasoby pocztowej kasy oszczędności, które tworzą pewnego rodzaju pożyczkę przymusową, zaciągniętą przez państwo u społeczeństwa. Skarb państwa płaci $3^0/_0$ od wkładek, za które wyłącznie kupuje własne listy rentowe.

Kapitały zebrane w Galicyi małymi wkładkami ludzi biednych, w najlepszym razie średnio-zamożnych powinny być w kraju zużywane na cele wytwórcze. Wyłączne zakupywanie renty nie leży ani w interesie państwa, ani w interesie tych, co złożyli pieniądze do pocztowej kasy oszczędności. W razie wybuchu wojny lub zachwiania kredytu państwowego, choćby tylko chwilowego, z innych powodów, wyłączność lokowania wkładek wywoła nagłe żądania zwrotu, którym niewiadomo, czy pocztowa kasa oszczędności podoła. Zaufanie byłoby znacznie większem, gdyby wiedziano, że kasa oprocentowuje wkładki,

pożyczając je nietylko państwu, ale innym wypłacalnym dłużnikom. Sądzę, że pocztowa kasa oszczędności dałaby się skłonić przy pewnym nacisku także i we własnym interesie do pożyczenia krajowi na cele melioracyjne. Kraj mógłby wziąć na siebie koszta administracyi i $^1/_2$ lub $^1/_4\%$, któreby trzeba zapłacić kasie ponad 3%, w ten sposób rolnicy otrzymywaliby trzech-procentowe pożyczki na drenowanie gruntów.

Sposób zabezpieczenia kraju, jako wierzyciela wobec pożyczających rolników nie nastręcza nieprzezwyciężonych trudności. Ziemie chłopskie są rozrzucone w małych kawałkach, to też zazwyczaj drenowanie jest technicznie możliwem tylko w wypadkach zawiązywania spółek, celem równoczesnego poddania drenowaniu całego obszaru gruntów, stanowiących własność wspólników. Tego rodzaju spółki lub ich uczestnicy mogliby uzyskać pożyczkę od miejscowych spółek dla oszczędności i pożyczek, których nieograniczona odpowiedzialność daje dostateczną rękojmię krajowi. Właściciele obszarów dworskich musieliby dać hypoteczne zabezpieczenie lub poręke.

Użycie kapitałów pocztowej kasy oszczędności na cele wytwórcze jest obecnie na porządku dziennym w centralnym związku stowarzyszeń rolniczych, obejmującym niemal wszystkie austryackie kasy Raiffeisena i spółki rolnicze z wyjątkiem galicyjskich. Kierownicy związku wnoszą petycye, czynią usilne starania celem wyjednania w tej instytucyi pożyczki na swoje cele. W razie zwlekania zachodzi obawa, że kapitały galicyjskie, skupione w pocztowej kasie oszczędności, będą zużyte na cele wytwórcze w innych krajach koronnych.

Dr Adam Krzyżanowski.

Errata w zeszycie grudniowym, w części konkursowej:

Str. 44	wiersz	9	od dołu:	wstrząsając	zamiast:	wstrzymując
Str. 47	»	7	»	zbawy	»	zabawy
Str. 51	»	11	»	podobną	»	padolną
Str. 52	»	12	od góry:	przytułku	»	przybytku
Str. 52	»	26	»	lutni	»	lutń

Druk ukończono 31 grudnia 1904 r.

REFLEKSYE Z POWODU WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

Wojna rosyjsko-japońska wychodzi daleko poza ramy zwykłych walk, do których przyzwyczaiła nas historya ostatnich lat kilkudziesięciu. Dwie rasy, dwie cywilizacye, dwa zupełnie odmienne ustroje państwowe walczą o najżywotniejsze swe interesy; Japonia o swój byt i swą przyszłość, Rosya o swą kilkuwiekową politykę i całą organizacyę prawno-publiczną. A przytem tyle najrozmaitszych wchodzi tu w grę czynników, związanych ze wszystkiemi niemal stronami społecznego życia, że wojna na dalekim wschodzie, przy całej swej doniosłości politycznej, jeszcze więcej budzi interesu ze stanowiska naukowego i ogólno-społecznego. Z tego też, ogólniejszego punktu widzenia zamierzam w dalszym ciągu omówić jej znaczenie.

I.

My gotowi! wyrzekł dumnie Kuropatkin po przeglądzie wojsk azyatyckich, wojny nie będzie, bo cesarz jej nie chce, twierdził z całym spokojem hr. Lamsdorff. W ślad za nimi szła cała Europa przez lat dziesiątki. Olbrzymia, niezwalczona Rosya, posiadająca miliony żołnierzy, wypróbowanych już wodzów, doskonałą organizacyę wojskową i najpierwszą w świecie dyplomacyę, o ludności przejętej na wskroś patryotyzmem i niewzruszalnem przywiązaniem do dynastyi, zmierzająca zawsze z przedziwną wytrwałością do raz wytkniętego celu, na wszystko jest gotowa, nikogo nie potrzebuje się obawiać, każdemu jest straszną. Wielkie to szczęście dla świata, że wszechwładny monarcha rosyjski tak bar-

dzo ukochał pokój, inaczej bowiem ciężka, beznadziejna prawie przyszłaby na Europę chwila.

Wtem ozwał się huk dział pod Port-Arthurem, a z dymem strzałów rozwiewały się kolejno, jedno po drugiem, wszystkie te złudzenia.

Dzisiaj po roku, nic już, zupełnie nic z nich nie pozostało. Każde zwycięstwo japońskie torowało drogę nowej prawdzie, a jakkolwiek Europa, nie chcąc przyznać się do błędu, z wielkim uporem trzymała się od dawna zakorzenionych wyobrażeń, to jednak rzeczywistość wzięła przecież górę nad iluzyą. To też komiczne pozostawia wrażenie retrospektywny przegląd artykułów poważnych organów o wojnie japońskiej. Ta część prasy kontynentalnej, która szczyciła się swą trzeźwością sądu, wytrawnością polityczną i zimnem a trafnem ocenianiem realnych stosunków, przepowiadała bardzo stanowczo zwycięstwo rosyjskie. Przestrzegano Japonię, nie wierzono w rozpoczęcie przez nią wojny, później zaś dziwiono się jej szaleństwu i jedyną dla niej nadzieję upatrywano w sojuszu z Anglią, która nie pozwoli Rosyi na bezwzględne wyzyskanie zwycięstwa. Japonia jednak, niebaczna na przyszłość, szła naprzód, więc i ton prasy zaczął się powoli zmieniać. Nie przepowiadano już szybkiego, zupełnego pogromu, tylko wskazując na różnicę zasobów finansowych i wojskowych, dowodzono jak na dłoni, że szczęśliwe bitwy w początkach kampanii nie mogą wzbudzać nadziei korzystnego rezultatu, bo są wynikiem niedostatecznego przygotowania po stronie rosyjskiej, spowodowanego pokojowem usposobieniem cesarza. Po zajęciu Liaojanu, artykuły, wychodzące z pod pióra pierwszorzędnych fachowców, odmawiają już tylko Japonii dostatecznych sił i zdolności do zadania stanowczej klęski armii rosyjskiej, po bitwie pod Mukdenem rozpoczynają się roztrząsania na temat, czy Rosya może jeszcze liczyć na zwycięstwo. Tymczasem kapituluje Port-Arthur i ci sami, którzy przed rokiem uważali każdego, kto wierzył w zwycięstwo Japonii, choćby tylko połowiczne, za utopistę, radzą Rosyi zawarcie pokoju.

Można się uśmiechnąć, czytając to wszystko, nie należy jednak dziwić się tym zmianom. W polityce podobnie jak w życiu codziennem, obok obliczeń i rozstrzygań, odczucie, instynktowne niejako wrażenie, potężnym jest czynnikiem. Są nazwiska,

z którymi zawsze łączy się w naszym umyśle posiadanie znacznego majątku, są państwa, w których potęgę wierzymy z równą siłą. W tem szczęśliwem położeniu znajdowała się Rosya. W chwili, gdy Piotr Wielki wprowadził ją na wielką arenę świata, sąsiednie państwa chyliły się już do upadku. Polska, Szwecya i Turcya przedstawiały przeciwników tak słabych, że z łatwością, orężem lub jeszcze prędzej intrygami, można je było pokonać. W samych więc początkach mogła Rosya poszczycić się zwycięstwami i powiększać trwale swe dziedziny. W ślad zatem poszedł jej udział w siedmioletniej wojnie. Fryderyk Wielki, otoczony zewsząd wrogami, przewyższającymi znacznie jego siły i zasoby, był dla Rosyi również niezbyt niebezpiecznym. Mógł bowiem pobić jej armię raz i drugi, lecz nie mógł jej stanowczo złamać, gdyż musiał myśleć także o innych. Wojna z Prusami przeto zakończyła się bez rezultatu, a słowa króla pruskiego wypowiedziane pod Zorndorf: »rosyjskiego żołnierza nie wystarcza zabić, należy go jeszcze obalić«, nie przeszły bez wrażenia w zachodniej Europie.

Zupełnie już inaczej wychodzi Rosya z walk przeciw Francyi, za rewolucyi i cesarstwa. Jednozgodne sprawozdania ówczesne stwierdzają, że Aleksander I nie był w stanie wystawić znaczniejszej armii, że tak Austrya jak i Prusy musiały dodawać jego wojskom oficerów sztabowych, bo nie było u Rosyan wykształceńszych wodzów, że wreszcie wskutek swej dzikości, ten sprzymierzeniec był cięższym od nieprzyjaciela. Lecz wojny z początku ubiegłego stulecia tworzą dla późniejszych generacyi jednolitą całość, stanowią jeden wielki dramat, zakończony pod Waterloo którego przełomową chwilą jest wyprawa do Rosyi. Szczęśliwy zbieg okoliczności zakończył ją dla Rosyi korzystnie, a jakkolwiek w dwóch następnych latach główny ciężar wojny ponosiły wojska austro-pruskie, to jednak przeświadczenie o potędze Rosyi utrwaliło się na długie lata we wszystkich umysłach, bo przecież nikt prócz Rosyi nie oparł się Napoleonowi. A fakt ten stał się tak silną podwaliną jej mocarstwowego stanowiska, że sam Napoleon rzucił słowa: Europa będzie albo republikańską, albo kozacką.

Nic przeto dziwnego, że już na kongresie wiedeńskim Aleksander stał się arbitrem Europy, że stanowisko to odziedziczył

po nim Mikołaj i władzę swą dzierżył w silnej ręce, aż do wojny krymskiej.

Walka pod Sebastopolem okazała dowodnie, ile było przesady w owej rzekomej potędze Rosyi. Na własnej już ziemi, w obronnej tylko wojnie, kolos północy nie mógł oprzeć się atakom niezbyt licznej, odległej od swego kraju, niejednolitej i, dzięki sześciu niezależnym od siebie wodzom, nieszczególnie prowadzonej armii sprzymierzonych. Już nie wyższością geniuszu, lecz samą liczbą i organizacyą wojsk sojusznicy zapewnili sobie zwycięstwo, więc też świat cały patrzył ze zdumieniem, jak Rosyi, pomimo jej ogromu, brak po prostu żołnierzy. Lecz czego nie było w rzeczywistości, to zastąpiła iluzya, oparta na dawnych wyobrażeniach, niezgoda zachodnich mocarstw i bezmyślna chwiejność Austryi. Rosya przegrała wprawdzie wojnę, lecz klęska jej nie była tak wielką, ażeby wyrwać z korzeniem panujące o niej mniemanie. Zachwiało się ono, lecz reformy wewnętrzne Aleksandra II, przeprowadzona reorganizacya armii, niewątpliwa waleczność obrońców Sebastopola, wreszcie późniejsze klęski Austryi i Francyi przeważyły szalę ponownie na korzyść caratu. Prawda, mówiono, że w końcu panowania Mikołaja I, Rosya była bezsilną, lecz zawiniono tu zaniedbaniem. Doświadczenia wojny krymskiej usunęły te braki, znowu więc państwo północy stoi silniej od innych.

Na to przyszła wojna turecka z Plewną, z koniecznością pomocy Rumunów, początkowo wzgardliwie odrzuconej, z upokarzającem cofnięciem się wobec angielskiej groźby, popartej flotą i kilku indyjskimi pułkami. Więc też kongres berliński był niewątpliwym i ciężkim ciosem, ale wystarczyć nie mógł. Bo po nim przyszły reformy wojskowe, trzydzieści lat pokoju, uznanych za okres przygotowania się i skupienia, więc gdy minister wojny ogłosił światu swą gotowość — Europa uwierzyła w nią bez wahania.

Lecz tylko Europa, której sąd trzeźwy przyćmiły historyczne reminiscencye. Inaczej było w Japonii. Tam dawne dzieje Polski i Turcyi, Szwecyi czy Napoleona, nie wywierały takiego wpływu, bo nazbyt odległe, słabszem odbiły się echem. Tam liczono się z rzeczywistością, z tem co jest i co być może w najbliższej przyszłości, i nie oddając się złudzeniom, pokazano zdumionej

Europie, że tak jak zawsze tak i teraz, Rosya nie może się mierzyć z silnym przeciwnikiem, bo społecznie, politycznie i militarnie jest od niego słabszą.

Nic więc dziwnego, że wojną na dalekim wschodzie tak żywo zajmują się wszyscy w każdym kraju. Zadała ona cios stanowczy powszechnie panującym od wieku poglądom, a niszcząc podstawy wszystkich prawie rachub politycznych, otworzyła nowe horyzonty, tak dla przeobrażeń wewnętrznych tego olbrzymiego państwa, jak i dla ukształtowania międzynarodowych stosunków. Dla nas jedno i drugie jest najwyższej wagi i dlatego należy się nad skutkami wojny dokładnie zastanowić. Przedtem jednak wypada zająć się oceną tych wszystkich czynników przemożnej potęgi rosyjskiej, których rezultaty i przymioty przejawiły się w ciągu wojny. Mam tu na myśli dyplomatyczne i polityczne przygotowanie wojny, stanowisko, jakie zajęło społeczeństwo, wreszcie rzeczywistą działalność sił wojennych morskich i lądowych.

Dyplomacya rosyjska, jak to już na pierwszy rzut oka widać, nie okazała się bynajmniej godną swych przysłowiowych zalet. Ten tylko może uchodzić za zręcznego męża stanu, kto idąc do pewnego celu, umie wybierać po temu najodpowiedniejsze środki. Jest ich bardzo wiele, tymczasem dyplomaci rosyjscy znają, zdaje się, tylko trzy, które w Japonii nie dały się zastosować. Jednym jest groźba, wyraźna wobec Turcyi, w delikatniejszą ubrana formę wobec innych mocarstw Europy; drugim przewlekanie i przyrzeczenia, których nie myśli się dotrzymać, trzecim wreszcie intrygi wewnątrz kraju. Jasną jest rzeczą, że każdy z nich prowadzi do celu tylko w pewnych, ściśle określonych warunkach. Groźba skutkuje, jeżeli po stronie przeciwnej wierzą, że w danym razie chce i może się ją wykonać; zwłoką i niespełnianem zapewnieniem zadowoli się drugie państwo, jeżeli jedynie dla formy domaga się pewnych rzeczy; intrygi w końcu możliwe są tam tylko, gdzie wśród ludności znajduje się dla nich grunt odpowiedni. Cała polityka zewnętrzna Rosyi koncentrowała się w ciągu XIX wieku około półwyspu bałkańskiego i środkowej Azyi. O ile rozchodziło się o państewka miejscowe, intrygi rosyjskie miały tam doskonałe pole; o ile wchodziły w grę mocarstwa większe, były to albo organizmy tak słabe jak Turcya, które już wskutek

pewnej gnuśności nie mogły porwać się do czynu, albo państwa europejskie stosunkowo niewiele w tem interesowane, czy Rosya przeprowadzi, czy nie swoje zamiary. Tu wszędzie groźba była na miejscu, gdyż z jednej strony popierało ją przesadne wyobrażenie o potędze caratu, z drugiej zaś przeciwnikowi nie zależało na danej rzeczy tak wiele, ażeby ewentualnie godził się na ciężką wojnę. Zwyczajnie więc zadowalał się jakiemś ustępstwem drobnem, formalnem lub przyrzeczeniem, o którem wiedziały obie strony, że nigdy nie będzie spełnionem. Były jednak wypadki, w których metoda ta nie skutkowała i albo doprowadzała Rosyę do nieszczęśliwej wojny — jak np. krymska — albo też zmuszała do cofnięcia się, jak po pokoju w San Stefano. Zachodziło to zawsze wtedy, gdy druga strona żądała czegoś na seryo, gdy krok Rosyi uważała za sprzeczny z ważnymi swymi interesami i stąd gotową była dojść do ostateczności.

Zręczna więc dyplomacya, nie chcąc poczynić żadnych rzeczywistych ustępstw, winna przedewszystkiem zastanowić się nad pytaniem, czy przeciwnik zamyśla swe żądania poprzeć całą siłą, czy też ograniczy się do dyplomatycznych układów. Jeżeli ma się do czynienia z państwem, które rzeczy spornej przyznaje wielką doniosłość, jeżeli równocześnie, zdaniem tego państwa, różnica sił materyalnych obu stron nie jest tak wielką, ażeby z góry już wykluczała wszelką nadzieję zwycięstwa, natenczas dyplomacya, nie chcąc poczynić realnych ustępstw, musi liczyć się z ewentualnością wojny — musi więc sobie postawić pytanie, o ile jej kraj jest na taki wynik przygotowany.

Wobec tego zadania dyplomacyi rosyjskiej w układach z Japonią wytknięte były ściśle. Rosya w formie dzierżawy zawłaszczyła Port-Arthur wraz z całym półwyspem, drogą gwałtownej okupacyi, upozorowanej walką z rozbójniczemi bandami, zajęła Mandżuryę a w ten sposób zetknąwszy się z Koreą na całej jej granicy, dążyła systematycznie do zmienienia jej w drugą Chiwę lub Bucharę. Jedynym celem wojny chińsko-japońskiej było wzięcie Port-Arthura i zastąpienie wpływu chińskiego w Korei japońskim, dyplomaci przeto rosyjscy musieli wiedzieć, że dla kraju, który uważał za niebezpieczne dla siebie w tych stronach słabe państwo chińskie, silna, ciagle rozszerzająca swe granice

Rosya będzie nie do zniesienia. Od wojny chińskiej było rzeczą dokładnie wiadomą, że Japonia uważa co najmniej protektorat nad Koreą — mniej lub więcej sprecyzowany — za niezbędny warunek swego bytu i rozwoju, że więc w układach nie będzie jej można byle czem zadowolić.

Nie chcąc poczynić żadnych ustępstw, a cały tok rokowań poprzedzających wojnę na to wskazuje, musiała Rosya, wiedząc jakie znaczenie do tych spraw przywiązują politycy japońscy, liczyć tylko na brak sił u przeciwnika, który albo uniemożliwi wybuch wojny, albo zapewni zwycięstwo rosyjskie. Sądzić jednak, że Japonia jest państwem militarnie tak słabem, że wojny się przerazi, było w każdym razie trudno. Zaludnieniem dorównywując wielkim mocarstwom europejskim, miała ona dostateczny materyał ludzki; wyszedłszy zaledwie z epoki rycerskiego feudalizmu, a przejąwszy wszystkie zdobycze techniki europejskiej, mogła odpowiednio uzbroić i wykształcić dzielnego żołnierza. Zresztą wojna chińska, potem rozruchy w Chinach, w których Japończycy walczyli obok Europejczyków, w końcu, co najważniejsza, zaczepno-odporne przymierze anglo-japońskie, powinny były w tym względzie ochronić od wszelkich złudzeń. To też dwa tylko nasuwały się wyjścia z trudności, jeżeli się nie uwzględniało żądań Japonii. Można było próbować ją zastraszyć, a w takim razie należało od razu skoncentrować na dalekim wschodzie bardzo znaczne siły, albo też dopuścić do wojny i zakończyć ją szybkiem zwycięstwem, do czego również była konieczną gotowa a potężna armia. Bo przecież trudno było przypuścić, że Japonia, gotując się po raz pierwszy do wojny z europejskiem państwem, zdając niejako swój mocarstwowy egzamin dojrzałości, poprzestanie na dziennikarskich informacyach i przechwałkach Aleksiejewa o siłach i gotowości wroga.

Tymczasem dyplomacya rosyjska, przyzwyczajona do zwyciężania groźbą, traktowała Japonię jak Turcyę lub Chiny. Bez liczenia się z rzeczywistością, bez żadnej znajomości stosunków, nie próbując poznać przeciwnika, lekceważonego systematycznie, doprowadziła do tego, że w chwili gdy przystąpił on do czynu, od razu tak bardzo Rosyę wyprzedził swą siłą i przygotowaniem, że jedenaście następnych miesięcy wytężonej pracy nie dało in-

nych rezultatów prócz ciągłych klęsk, straty całej floty i kapitulacyi Port-Arthura. A im niżej taksowano siły Japonii, tem większe oczywiście zebrano upokorzenie, bo klęski zadała Rosyi nie koalicya wielkich mocarstw, ani królowa oceanów, ale mała, na wpół barbarzyńska, azyatycka Japonia. Wszystko to zawdzięcza carat w pierwszej linii swojej »niezrównanej« dyplomacyi, trudno więc przyznawać jej nadal ową sławioną doskonałość.

Od chwili rozpoczęcia budowy kolei syberyjskiej, a jeszcze wyraźniej od wydzierżawienia Port-Arthura, polityka rosyjska dążyła do zapanowania nad północno-wschodniemi wybrzeżami oceanu Spokojnego. Objaw to zupełnie naturalny i zrozumiały wobec tego, że Rosya, panująca nad piątą częścią świata, jest odciętą prawie zupełnie od obu wielkich wszechświatowych arteryi od Atlantyku i Pacyfiku. Porty bałtyckie i czarnomorskie nie mogą w żadnym razie rywalizować z centrami handlowemi Europy środkowej i zachodniej, Władywostok, zamarzający przez znaczną część roku, niema również warunków na światowe emporyum. Port Arthur, Dalny, Inkau, a przedewszystkiem porty koreańskie były dla Rosyi niezbędne, jeżeli wschodnio-azyatyckie jej dziedziny miały się rozwijać i zyskiwać na wartości.

Budowa kolei syberyjskiej nie do Władywostoku lecz na Charbin do zatoki Peczili, zmienienie Port Arthura w potężną fortecę, stworzenie Dalnego — wszystko to są etapy powyższej polityki. Z Petersburga do Port-Arthura prowadzi droga lądowa, nie myślano więc o tem, że jednolitość granic geograficznych nie dowodzi bynajmniej jedności militarno-politycznej. Tych dziesięć tysięcy kilometrów, które dzielą Newę od oceanu Wschodniego tworzy z Mandżuryi i nadamurskiego kraju dla Rosyi prawie taką samą kolonię jak Australia dla Anglii czy Senegal dla Francyi. Kolonię bowiem stanowi ta część państwa, która obok silniejszych lub słabszych węzłów, łączących ją z główną ojczyzną, ma jeszcze swoje własne życie, bo warunkami naturalnymi jest od macierzystego kraju odciętą. Obojętną przytem jest rzeczą, czy granicę tę stanowi ląd czy woda, gdyż chodzi nie o sposób, w jaki nawiązują się stosunki, tylko o możność i szybkość ich nawiązania.

Wojna może zaskoczyć niejedno państwo, lecz kraj, któryby

się do niej przygotować nie mógł, posiada ustrój bardzo wadliwy. Dbałość o możność obrony granic, a więc o utrzymanie swego bytu i swych dziedzin, stanowi niewątpliwie pierwszą troskę każdego rządu, każdego narodu. Albo więc siły obronne są stale zgromadzone w miejscach, które mogą być zagrożone, albo urządza się organizacyę wojskową w ten sposób, że w krótkim czasie można skoncentrować przy granicy dostateczną armię. Jasną jest rzeczą, że o ile nie wybrało się pierwszego, nader uciążliwego sposobu, niezbędną jest dobra komunikacya, ażeby konieczne transporty odbyły się szybko i w odpowiednich rozmiarach.

Odległość tysięcy kilometrów i jedna tylko, niezupełnie skończona linia kolejowa nie odpowiada oczywiście najskromniejszym nawet pod tym względem wymogom. Wiadomą jest rzeczą, jak znacznego taboru kolejowego wymaga przewiezienie niewielkiego nawet stosunkowo oddziału na małą odległość, cóż dopiero mówić o transporcie całej armii na olbrzymich obszarach! W tych wypadkach komunikacya lądowa musi ustąpić miejsca przewozowi morskiemu, który równocześnie, w tej samej chwili, może rzucić tam dziesiątki tysięcy, gdzie pociąg dowiezie z trudnością tylko setki. Jeżeli więc znaczna odległość politycznie i gospodarczo zmienia już pewne części państwa zbyt wielkiego w kolonie, to w wyższym jeszcze stopniu należy to stwierdzić z wojskowego punktu widzenia.

W takim położeniu jest do Rosyi Mandżurya i o tem właśnie zapomniano w Petersburgu. Bo aby bronić skutecznie nieprzygotowanej do wojny kolonii, musi się być panem morza, rozporządzać więc flotą, któraby, ubezwładniwszy na morzu wroga, umożliwiła przysyłkę drogą wodną wielkich mas żołnierzy. Tymczasem Rosya tej floty nie miała — i to ani na terenie walki, ani u siebie, w europejskich portach. Gdyby nawet można się było łudzić co do armii japońskiej, niepodobna było nie dostrzedz wysiłków, które czyniono z tamtej strony dla wzmocnienia floty. Od dziesięciu już lat, wszystkie fachowe pisma i publikacye zamieszczały Japonię w szeregu wielkich mocarstw morskich, Rosya przeto, jeżeli nie miała na Wschodzie armii, tem więcej powinna była dbać o zapewnienie sobie drogi wodnej, jedynej, którą mogła przesłać szybko znaczniejsze posiłki.

Należy przyznać, że robiono w tym kierunku znaczne wysiłki. Późniejsza historya eskadry bałtyckiej, która potrzebowała dziesięciu miesięcy, ażeby w stanie, zresztą bardzo nieszczególnym, wypłynąć na Wschód, dowodzi, że na Oceanie Spokojnym zgromadzono wszystko, co było rzeczywiście gotowem do boju. Lecz właśnie fakt ten okazuje, jak bardzo brakowało Rosyi rozsądnych, polityczno-militarnych rządów. Pomijając bowiem nieudolność naczelnej komendy, która rozdzielila flotę na Pacyfiku na przestrzeni od Władywostoku do Port-Arthura, należy podnieść, że wszystkie te siły, choćby były skoncentrowane, byłyby jeszcze słabsze od floty japońskiej. Z Europy nie można im było przysłać posiłków, bo ich nie było, a gdy się uwzględni, że dzisiejsze okręty wojenne wymagają lat całych dla swego zbudowania, nie podobna nie przyznać, że Rosya nietylko w Mandżuryi, ale wogóle nigdzie do wojny o nią nie była zdolną.

I podobnie jak w dyplomacyi, tak i w zarządzie polityczno-wojskowym występuje jaskrawo brak zastanowienia i organizacyjnego zmysłu. Bo znaleźć się nieprzygotowanym, gdzie błąd już naprawić się nie da, to nie zwykła lekkomyślność czy zarozumiałość, lecz zupełne niezrozumienie swych zadań i obowiązków, które w skutkach swych nie opłaca się jednorazową tylko stratą, lecz niepowetowaną i nieuchronną klęską.

Narodowi rosyjskiemu nikt nigdy nie odmawiał patryotyzmu. Podnoszono brak kultury i cywilizacyi, potępiano nadużycia i ustrój państwowy, w szeregu wielkich ludów naznaczono Rosyanom ostatnie miejsce, lecz przywiązanie ich do ojczyzny, powszechną gotowość do poświęceń dla kraju i dynastyi, stawiano zawsze za wzór innym. Szlachetny ten przymiot tworzył zarazem jednę z najważniejszych podstaw potęgi rosyjskiej. Wszystkie walki wewnętrzne, wszelkie prześladowania, wszystkie braki absolutyzmu nie mają, mówiono, żadnego znaczenia, o ile rozchodzi się o zewnętrznego wroga. Wobec niego cała Rosya jest jednej myśli, rewolucyonista staje obok najzagorzalszego autokraty, żandarm obok zesłanego, prześladowany obok swego ciemiężcy. Więc rozterki domowe osłabiają Europę, a nie szkodzą Rosyi; nie znajdzie się tam nigdy ani zdrajców, ani sojuszników.

Tak było, a przynajmniej zdawało się, że tak było, aż do

wybuchu ostatniej wojny. Jakże odmienny obraz przedstawiają stosunki obecne. Od samego początku zarysowało się wyraźnie rozdwojenie w narodzie; mimo wszystko, co głosiła prasa, całe społeczeństwo podzieliło się na t. zw. patryotów, idących z rządem, i na opozycyę, która potępiając wojnę, pragnęła wyzyskać trudne położenie dla reform wewnętrznych. A rozłam ten, zwiększając się coraz bardziej, doszedł już do tego, że szerokie sfery inteligencyi bojkotują formalnie członków patryotycznych klubów, że uważają ich za karyerowiczów, których nie wpuszcza się do domu, którym nie podaje się ręki.

Stanowisko zajęte przez klasy liberalne można było zrozumieć i do pewnego stopnia uznawać w pierwszych miesiącach walki. Ostatecznie wojnę z Japonią wywołała niezręczna polityka, typowa w Rosyi zachłanność obcych dziedzin, które się *per fas et nefas* zagarnia, czysto wschodnia nielojalność przy układach, w końcu interes materyalny pewnej liczby wpływowych jednostek, które rozpoczęły spekulacye na wielką skalę w Korei. Była to więc awantura, w którą zamieszała się biurokracya rządowa; naród mógł na to patrzeć obojętnie i krytycznie. Dopóki panowało powszechnie przekonanie, że Rosya jest bezporównania silniejszą od Japonii, można było domagać się zaprzestania bezcelowej wojny i oświadczać się za ustępstwami, choćby idącemi daleko, bo zrobiłoby je państwo potężne w imię rozsądku i sprawiedliwości, a nie pod naciskiem żądań groźnego przeciwnika. Było to nie tylko zgodne z godnością wielkiego mocarstwa, lecz mogło nawet wzmocnić jego światowe stanowisko, bo tylko prawdziwie silny nie boi się ustąpić, jeżeli nakazuje mu to rozum i interes.

Szereg zwycięstw japońskich zmienił jednak radykalnie stosunki. Już w połowie ubiegłego roku okazali Japończycy tyle siły, Rosya tyle niemocy, braków i nieudolności, że niktby już nie uwierzył w dobrowolne koncesye. Przyjęcia żądań japońskich, choćby niezbyt wygórowanych, nie można już było tłumaczyć ani poczuciem sprawiedliwości, ani wspaniałomyślną miłością pokoju monarchy; wszelkie ustępstwo przedstawiało się jako naturalny rezultat niemocy, z której zdarło błyszczącą zasłonę, kryjącą ją dotąd przed oczyma świata. To też i ludność, owiana prawdziwym patryotyzmem, powinna była zająć zupełnie już inne

stanowisko. Jak we Francyi po Sedanie wszystkie stronnictwa zszeregowały się około rządu republikańskiego, jakkolwiek w owej chwili zwolennicy monarchii byli w stanowczej większości, tak teraz oczekiwano zjednoczenia całego narodu rosyjskiego dla utrzymania swego miejsca w wszechświatowym koncercie. Było to tem bardziej niezbędnem, że nieszczęśliwa wojna toczy się w Azyi, gdzie panowanie państw europejskich opiera się nie na istotnych militarnych siłach, lecz na wierze krajowców w wyższość zastępów europejskich, których niepodobna pokonać. Zwycięstwa japońskie co najmniej zachwiały tę wiarę, a tem samem wstrząsnęły podwalinami panowania rosyjskiego w Azyi. Wojna w Mandżuryi z szkodliwej lecz niezbyt ważnej awantury, zmieniła się w obronę ogólnych interesów pierwszorzędnej doniosłości, w obronę rezultatów przeszło dwu wiekowej usilnej a wytrwałej pracy, którą cały naród uważał za główną swoją misyę, dla której nie żałował potoków krwi i tysięcy milionów. Po pierwszych klęskach nad Tugelą nie było już w Anglii imperyalistów i boerofilów, ani nie szukano winowajców: opozycya, która stanowczo sprzeciwiała się rozpoczęciu wojny, szła ręka w rękę z rządem, bo nie walczono już o Transvaal, lecz o honor, potęgę i posiadłości wspólnej ojczyzny. A przecież była to wojna dwóch białych narodów, podjęta przez mocarstwo, którego potęga nie opiera się na armii. Tymczasem tutaj ponosi się ciągłe klęski od narodu azyatyckiego, zaledwo co wpuszczonego pomiędzy ludy cywilizowane, u siebie, na polach bitwy z góry przygotowanych i ufortyfikowanych. Wysyła się najnowsze swe statki, najlepsze wojska, najznakomitszych wodzów — wszystko napróżno. A gdy na to patrzą ludy obce, ujarzmione, lecz może jeszcze nie pogodzone ze swym losem, nie można być pewnym, czy i w nich nie wzbudzi się nadzieja wolności, czy i one nie zechcą prędzej czy później popróbować szczęścia.

Bezwątpienia, gdyby w środkowej Azyi, Armenii lub Kaukazie przyszło do rewolucyi, Rosyanie stanęliby zgodnie do obrony swych posiadłości. Prawdziwy patryotyzm jednak nie budzi się dopiero w rozpaczliwej sytuacyi; pierwsze oznaki niebezpieczeństwa powinny już wystarczyć. Tymczasem w Rosyi widzimy coś wręcz przeciwnego. Pewnie, że ludność nauczona doświadczeniem,

wiedząc, że tylko nieszczęśliwa wojna przynosi jej ulgi i reformy postępuje z punktu widzenia politycznego rozumnie i taktycznie, domagając się coraz głośniej i groźniej swobód i ustępstw. Tylko należy się porozumieć. Jest to zręczne, rozsądne, zupełnie naturalne i zrozumiałe — lecz w żadnym razie nie jest patryotyczne.

Najbardziej jednak ucierpiała na wojnie rosyjska marynarka, nie tyle wskutek utraty najlepszych swoich statków, ile przedewszystkiem przez odkrycie wprost niesłychanych braków wewnętrznych. Już samym rozdziałem sił na placu boju, wystawił sobie zarząd marynarki jak najgorsze świadectwo. Flotę rosyjską dalekiego wschodu, zaledwie w swej całości równą siłom japońskim, rozbito na cztery części tak, że nieprzyjaciel, zajmując pozycyę centralną, usuwał odrazu możność koncentracyi. Jeden pancernik, wraz z kilku torpedowcami, zepsuwszy się po drodze, odbywał przejazdki pomiędzy Europą a Afryką, trapiąc od czasu do czasu neutralne statki handlowe; dwa mniejsze okręty pozostały jakby przez zapomnienie w Czemulpo; cztery krążowniki I klasy znajdowały się we Władywostoku; najznaczniejsza część eskadry, pozbawiona wielkich krążowników, stała na kotwicy w zewnętrznej przystani Port-Arthura. Jasną chyba musiało być rzeczą, że Japonia postara się przedewszystkiem odciąć mniejsze oddziały od sił głównych, że użyje swej przewagi liczebnej do ubezwładnienia, a przynajmniej znacznego osłabienia floty Port-Arthurskiej, ażeby potem kolejno wygnieść dywizye słabsze.

Admirał Stark ułatwił jej niezmiernie to zadanie, jego to bowiem niepojęte niedbalstwo pozwoliło na ciężkie uszkodzenie torpedami pięciu dużych okrętów, zaraz w pierwszym ataku. Odtąd Japonia zapanowała nad wodami dalekiego wschodu, Rosya zaś, pomijając nieszczęśliwą wycieczkę Makarowa z 13 kwietnia, przez siedm miesięcy patrzyła bezczynnie, a raczej bezradnie na transport do Mandżuryi setek tysięcy ludzi i olbrzymiego materyału wojennego. W tym okresie wojny można się było przynajmniej powołać na konieczność naprawienia uszkodzonych okrętów; nie stanowiło to wprawdzie usprawiedliwienia, lecz w każdym razie wymówkę. Dalsze jednak postępowanie da się wyjaśnić tylko tchórzostwem lub najzupełniejszą nieudolnością naczelnej komendy. W dniu 10 sierpnia wyrusza cała eskadra z Port-Arthura, ażeby

przełamać blokadę japońską i połączyć się z flotą władywostocką. W bitwie ginie głównodowodzący, cztery większe okręty i kilka torpedowców przedostają się rzeczywiście przez linię nieprzyjacielską, reszta zaś na rozkaz ks. Uchtomskiego, który objął dowództwo, powraca do portu. Jeżeli się uwzględni, że część floty rosyjskiej potrafiła przedrzeć się do portów neutralnych, że straty rosyjskie wynosiły zaledwie 400, japońskie 200 ludzi, należy stwierdzić, że zakreślone zadanie nie okazało się niemożliwem. Widocznie więc nie dążono do celu z dostateczną energią, tak że powrót do Port-Arthura był raczej ucieczką przed prawdziwym bojem, aniżeli odwrotem po klęsce. Otóż Rosya posiadała jeszcze w Europie okręty, które miały niebawem udać się na plac boju, natomiast Japonia wystawiła odrazu ogół swych sił morskich i nie miała czem swych strat zastępować. Flota rosyjska, wracając do swej dawniejszej przystani, musiała uledz prędzej czy później kapitulacyi, lub zniszczeniu przez pociski bateryi oblężniczych, tymczasem staczając uporczywą bitwę, osłabiała w każdym razie przeciwnika, tworząc tem samem korzystniejsze warunki na przyszłość, a na wypadek przebicia się, choćby z wielkiemi stratami, wzmacniała eskadrę władywostocką, albo przynajmniej, dostawszy się do neutralnego portu, ratowała kosztowny materyał okrętowy dla swej ojczyzny. Wszystko to nakazywało bój, aż do ostateczności, ks. Uchtomski jednak wolał wybrać bezpieczniejszy powrót pod osłonę dział Port-Arthura.

Po raz drugi narzucała się rozpaczliwa choćby walka w chwili, gdy w Port-Arthurze musiało być wiadomem, że flota bałtycka już wypłynęła, lecz twierdza upadnie przed jej przybyciem. Nie było już wtedy żadnych szans zwycięstwa, lecz można było Japonię przyprawić o stratę może paru okrętów, dla niej niepowetowaną. Znowu jednak roztropna piecza o bezpieczeństwo zdrowia i życia wzięła zdaje się górę nad zapałem wojennym, tak że w dniu 2 stycznia wraz z fortecą wpadły w ręce Japończyków wszystkie okręty, więcej lub mniej uszkodzone, znajdujące się w tamtejszej przystani. Tego rodzaju prowadzenie wojny nie może w żadnym razie zaimponować.

Eskadra władywostocka poczęła się ruszać od czasu objęcia komendy przez admirała Skrydłowa. Tylko że pierwsze, a udałe

ataki były skierowane przeciw bezbronnym handlowym i transportowym okrętom, a co ważniejsza, głównodowodzący kierował ruchami swych sił ze zbyt wielkiej odległości, bo z wygodnie urządzonej głównej kwatery na stałym lądzie. Nawet w jedynej prawdziwej bitwie morskiej pod Fuzanem, w bitwie, w której rozchodziło się o rzecz pierwszorzędnej wagi, bo o osiągnięcie koncentracyi, naczelnego dowódcy nie było, wolał bowiem zastąpić się swym podwładnym kontr-admirałem. Zupełnie przeto zrozumiałą jest rzeczą, że Petersburg, oceniając pragnienia spokoju admirała Skrydłowa, odwołał go w chwili, gdy po wzięciu Port-Arthura budziło się niebezpieczeństwo, że i Władywostok może być narażony na niedogodności oblężenia.

Natychmiast po zamknięciu Port-Arthura przez flotę japońską, rozpoczęto w arsenałach nadbałtyckich gorączkowo pracować nad stworzeniem i uzbrojeniem nowych sił morskich, t. zw. floty bałtyckiej, oficyalnie nazwanej drugą eskadrą oceanu Spokojnego. Upłynęło dziewięć miesięcy, zanim flota ta, złożona z okrętów najrozmaitszych typów i najrozmaitszego wieku, nieposiadająca wcale nowszych krążowników, po wielu nieudałych próbach, mogła wypłynąć na pełne morze. Pierwsze jej kroki zaraz okazały, czego można się spodziewać po jej załodze i komendzie. Tragikomedya bitwy stoczonej z rybakami angielskimi koło Doggersbank, zakończona wielkiem upokorzeniem Rosyi, skłoniła Anglię do konwojowania floty przez własne okręty, do dodania jej niejako straży, któraby przeszkodziła powtórzeniu się podobnych wypadków. Maluje to dostatecznie stosunki rosyjskie, brak spokoju, zastanowienia i równowagi umysłowej tamtejszych wodzów. A przytem niepodobna zrozumieć celu wysłania tych okrętów w tak spóźnionej porze. Albo więc zarząd marynarki nie liczył się z prawdopodobieństwem upadku Port Arthura, a w takim razie okazał niesłychaną lekkomyślność, albo też biorąc ten wypadek w rachubę, narażał ostatnie swoje rezerwy morskie na nieuniknioną zgubę, lub na powrót do Europy przed przybyciem na plac boju, co jako namacalny dowód zupełnej niemocy, jest może jeszcze gorszem. W istocie bowiem siły admirała Rozdiestwienskiego są prawie dwa razy słabsze od sił japońskich, a uwzględniając stan załogi, gorzej niż mierny, różnica na niekorzyść

Rosyi jest jeszcze większą. Nie można więc, rozumowo rzecz biorąc, nawet marzyć o zwycięstwie, wzmocnić zaś floty niema czem. Lecz gdyby nawet znalazły się okręty, eskadra bałtycka nie może na nie czekać, gdyż po drodze niema portów rosyjskich, a dłuższy pobyt w neutralnych naraża na rozbrojenie.

W końcu należy tu jeszcze wspomnieć o epizodzie floty ochotniczej, wskazuje on bowiem, jak Rosya próbuje czasami zastąpić prawdziwą siłę zuchwałością. Tak zwana flota ochotnicza, przeznaczona na wzmocnienie floty czarnomorskiej, stanowiąc w czasie wojny część sił zbrojnych, jest internowaną na morzu Czarnem i nie może, według postanowień traktatu paryskiego z r. 1856, przepływać Dardaneli. W czasach pokojowych jednak, służąc handlowi i przewozowi osób, nie podlega naturalnie żadnym ograniczeniom. Otóż w lecie dwa parowce ochotnicze przepłynęły Dardanele pod flagą handlową, a przyjąwszy już na morzu Śródziemnem charakter krążowników wojennych, rozpoczęły pogoń za okrętami handlowymi, szukając kontrabandy. Rosyi zdawało się, że Europa, obawiając się, jak zwykle, jej potęgi, przymknie oczy na to pogwałcenie międzynarodowych układów, a ponieważ do Anglii żywiono największą niechęć za jej przymierze z Japonią, przeto urządzono polowanie na statki angielskie. Zawiedziono się jednak w rachubach w bardzo przykry sposób. Gabinet angielski zmusił Rosyę do wydania wszystkich zajętych okrętów, do odwołania tych przemyconych krążowników i do złożenia przyrzeczenia, że okręty handlowe nie będą już nadal szykanowane. Lecz rzecz charakteryzująca całą politykę rosyjską: urząd spraw zagranicznych, ustępując wobec gróźb Wielkiej Brytanii godził się na wszystko, a tymczasem kapitanowie floty ochotniczej zatrzymywali w dalszym ciągu statki handlowe, gdyż, jak tłumaczyła się Rosya, niepodobna im było doręczyć zmienionych rozkazów. Wtedy Anglia wysłała swoje krążowniki i te przychwyciwszy okręty rosyjskie u wybrzeży Zanzibaru, wręczyły im wreszcie rozkazy i zmusiły do powrotu do Rosyi. Rzecz cała była zrobiona może bardzo chytrze, zakończyła się jednak w sposób, nie przynoszący wcale zaszczytu wielkiemu mocarstwu.

Tak więc podobnie jak w przygotowaniu wojny, tak i w jej prowadzeniu na morzu przejawił się szereg bardzo poważnych

braków. Zarząd marynarki nie zdołał zadowolić najskromniejszych nawet wymagań, flota rosyjska, jakkolwiek załogi niektórych okrętów, jak np. w bitwach pod Czemulpo i Fuzanem, okazały niewątpliwą waleczność, nie mogła się mierzyć nigdzie z japońską, w końcu naczelna komenda odznaczyła się — powiedzmy — zbyt wielką jak na dzielnych żołnierzy ostrożnością, z którą nie szły bynajmniej w parze zdolności, mimo że na wschód wysłano najlepszych swych admirałów. Zupełnie przeto zrozumiałą jest rzeczą, że pierwszą trwałą zdobycz wojny stanowi wykreślenie Rosyi z szeregu mocarstw morskich na długie lata.

Prowadzenie armii lądowej pozostawia również wiele do życzenia. Nie tu jest miejsce wdawać się w strategiczną ocenę postępowania obu stron walczących, nie można jednak pominąć rzeczy, która każdego, choćby pozbawionego wiadomości fachowych, uderzyć musi, mianowicie nadzwyczajnej chwiejności postanowień naczelnego kierownictwa. Czy winien temu wódz naczelny, czy jego podkomendni, czy Petersburg, nie wiadomo, zdaje się jednak, że plan kampanii kilkakrotnej ulegał zmianie. Z bitew nad Jalu i pod Kinczu można wnosić, że sztab rosyjski nie chciał dopuścić przeprawy Japończyków z Korei, ani też zajęcia przez nich najwęższego pasa półwyspu kwantungskiego. Straty rosyjskie w obu bitwach były bardzo znaczne, szczególniej w działach, co dowodzi, że nie rozchodziło się, jak to pisano później, jedynie o utrudnianie zadania nieprzyjacielowi, lecz o istotną obronę. Tymczasem w obu walkach siły rosyjskie były stosunkowo tak małe, że o zwycięstwie trudno było myśleć. Nad Jalu brały udział w bitwie trzy, pod Kinczu cztery pułki, tu i tam po stronie japońskiej było po kilka dywizyj. Albo więc sztab rosyjski nie umiał przystosować środków do zamierzonego celu, albo też komendanci nie zrozumieli swego zadania, bo jasną jest rzeczą, że uporna walka, przy wielkiej różnicy sił, przynosi zaszczyt żołnierzowi, ale, pomijając wyjątkowe, najczęściej rozpaczliwe sytuacye, bardzo źle świadczy o zdolnościach generała.

Przez zajęcie cytadeli w Kinczu Japończycy odcinają Port Arthur od głównych sił rosyjskich dwoma swojemi armiami. Wtedy Kuropatkin wysyła generała Stackelberga w 35.000 ludzi na odsiecz, zakończoną klęską pod Wafanku, łamiąc w ten

sposób plan koncentracyi przy Liaojanie dla zupełnie bezcelowej ofenzywy. Gdyby nawet Rosyanom udało się zwyciężyć w tej bitwie, koncentracya sił japońskich postąpiła już tak daleko, że jeden korpus, pozostawiony sam sobie, musiałby być prędzej czy później pobity, albo wparty do Port Arthuru, którego załoga i tak już była dostateczną. Wszak flota japońska panowała już wówczas nad całą zatoką Peczili, Kinczu było w ręku japońskiem, cóż więc mogły zrobić trzy dywizye? Szanse pogarszały się naturalnie tem więcej, im łatwiej szłoby w początkach wyprawy, bo im znaczniejszy byłby przedział od głównych sił rosyjskich, tem bardziej wzrosłoby niebezpieczeństwo otoczenia lub zgniecenia.

W walkach z końcem sierpnia i w początkach września armia rosyjska wyparta z Liaojanu cofa się pod Mukden. Pozycye liaojańskie przygotowywano od miesięcy, tam, jak pisano, miało przyjść do pierwszej bitwy na seryo, tam skoncentrowano wszystko, co tylko można było zgromadzić. Pomimo tego Kuropatkin nie mógł się ostać naporowi wroga, musiał się cofnąć tracąc, według oficyalnego raportu, 22.000 ludzi, podczas gdy straty japońskie zbliżały się do 18.000. Zdawałoby się przeto, że w sztabie rosyjskim powinno się było zrozumieć, iż z istniejącymi siłami niepodobna przełamać przeciwnika, posiada on bowiem tak znaczną przewagę, — wszystko jedno, czy mas, czy dzielności, czy organizacyi, czy kierownictwa — że na razie przynajmniej walka jest beznadziejna. Tymczasem w miesiąc później wychodzi słynny rozkaz dzienny Kuropatkina, zapowiadający ofenzywę... i zwycięstwo. Cała prasa cywilizowanego świata oceniła tę proklamacyę bardzo surowo — i słusznie, gdyż wystawiała ona bardzo mierne świadectwo rozwadze swego autora. Jakkolwiekby się sądziło walki około Liaojanu, w każdym razie zakończyły się one zwycięstwem japońskiem. bo armia rosyjska musiała się cofnąć. Psychiczny przeto stan żołnierzy nie mógł pod żadnym warunkiem zmienić się na niekorzyść Japonii. Zdobyte przez nią silnie ufortyfikowane pozycye, dawały armii lepsze warunki terenu, od tych, z których właśnie te forty musiała szturmować, taktycznie więc armia Ojamy znalazła się niewątpliwie w położeniu lepszem, niż poprzednio. Straty pod Liaojanem były po stronie rosyjskiej o blizko 5.000 wyższe od japońskich, w ciągu miesiąca, podług

najkorzystniejszych dla Rosyi sprawozdań, przewozi kolej syberyjska 23.000 ludzi. Doliczając do tego połowę tej cyfry, na rachunek oddziałów, które już w czasie bitwy pod Liaojanem znajdowały się w Mukdenie, dochodzimy do rezultatu, że Kuropatkin mógł otrzymać około 50.000 ludzi, czyli że, po odliczeniu strat, mógł być o jakie 30.000 silniejszy. Należało chyba przypuścić, że i Japończycy nie pozostaną bezczynni, a mając komunikacye znacznie lepsze, co najmniej równą siłą wzmocnią swe szeregi. Tak więc warunki taktyczne były dla Rosyan z wszelką pewnością gorsze, moralne najprawdopodobniej mniej korzystne, stosunek liczebny co najwyżej niezmieniony — gdy więc poprzednio już okazało się, że obrona jest bezskuteczną, walka zaczepna nie miała najmniejszych szans powodzenia. Nic więc dziwnego, że bitwa nad Szaho kończy się nową przegraną rosyjską, z tą jednak różnicą, że straty Kuropatkina są prawie trzy razy wyższe od japońskich, gdy bowiem Japończyków pada nie całe 16.000 ludzi, straty rosyjskie wynoszą przeszło 44.000 i kilkadziesiąt dział.

Lecz co najważniejsza, ogólny obraz kampanii dowodzi, że Rosya albo nie miała żadnego strategicznego planu, albo nie umiała go racyonalnie przeprowadzić. Od pierwszej bitwy lądowej, aż do walk pod Mukdenem, a więc przez całych pięć miesięcy— z wyjątkiem epizodu pod Wafanku — armia rosyjska w szeregu potyczek i bitew ustępuje pod naciskiem sił japońskich, koncentrując się na linii kolejowej od Haiczengu do Mukdenu. Po obronie wytrwalszej lub słabszej poszczególnych przełęczy i punktów strategicznych Rosyanie cofają się, Japończycy idą naprzód. Zdawałoby się więc — i w ten sposób przedstawia się to ze strony rosyjskiej — że sztab rosyjski wybrał z góry już właściwe pole walki, że ma ona nastąpić dopiero po pewnym czasie, tymczasem zaś, obrona terytoryum, które ma się opuścić, służy jedynie do osłabienia przeciwnika. Sprzedaje mu się drogo to, co i tak nie zamierza się na razie utrzymać, licząc na to, że w swym pochodzie naprzód tyle on strat poniesie, że do decydującej bitwy przyjdzie osłabiony i ulegnie przewadze liczebnej. Pomijając już moralne i polityczne niebezpieczeństwo podobnego planu, należy zaznaczyć, że zasadniczym warunkiem jego powodzenia jest pewność posiadania w odpowiedniej chwili tej przewagi, o którą tu

jedynie chodzi. Otóż można stanowczo stwierdzić, że komenda rosyjska nie tylko tej pewności mieć nie mogła, lecz owszem powinna była wiedzieć, że jej postępowanie zmienia stosunek sił na jej niekorzyść. We wszystkich bitwach — na południu w okolicach Dalina i Tasziczao i na wschód koło Janzelinu, straty rosyjskie były zawsze znacznie większe od japońskich. Prawda, że Japończycy oddalali się coraz bardziej od swej podstawy działania, że musieli pozostawiać na tyłach załogi i tworzyć etapy, lecz przewaga komunikacyi morskich nad odległością lądową dziesięciu tysięcy kilometrów jest tak olbrzymia, że mogli oni łatwiej zapełnić swe luki w ciągu jednego tygodnia, aniżeli Rosyanie w ciągu całych miesięcy. Na przewiezienie jednego korpusu potrzebuje Rosya co najmniej sześciu tygodni, Japonia może go wysadzić na ląd w ciągu kilku dni — niemożliwość więc osłabienia jej walkami jest bijącą w oczy. Jeżeli już, może pod wpływem roku 1812, przyjęło się plan tego rodzaju, należało się od razu wyrzec myśli wpływania bitwami ua siły przeciwnika, a liczyć tylko na zyskanie na czasie. W tym wypadku można było bez wdawania się w znaczniejsze walki, utrudniać i przeciągać marsz przeciwnika, niszcząc drogi i niepokojąc go swą liczną kawaleryą, a tymczasem koncentrować i wzmacniać transportami z Europy swoje własne wojska.

Sztab rosyjski postąpił inaczej, to też osiągnął ten tylko rezultat, że zanim przyszło do walnej bitwy pod Liaojanem stracił wraz z chorymi kilkadziesiąt tysięcy ludzi, tak że wszystkie posiłki zaledwie zapełniły szczerby, wytworzone przez poprzedzające bitwę blizko czteromiesięczne starcia i pochody. I na swe usprawiedliwienie nie może nic przytoczyć, bo twierdzenie, że Japonii, z jej pięćdziesięciu milionową ludnością, braknie ludzi lub pieniędzy do dalszego prowadzenia wojny, jest wprost naiwne.

(C. d. n).

Dr. Wł. Czerkawski.

KONSTANTYN I METODYUSZ.

I.

Żył w mieście Tessalonice za czasów greckiego cesarza Michała II Leon, człowiek bogaty i dostojnego rodu, który sprawował wysoki urząd pod miejscowym strategiem, wielkorządcą miasta i prowincyi. Ów Leon liczną miał rodzinę, bo aż siedmioro dzieci — najmłodsze z nich przyszło na świat 826 lub 827 roku. Był to właśnie Konstantyn, przyszły apostoł Moraw i wynalazca słowiańskiego pisma. Miał on być urodziwy, ale od maleńkości słabego zdrowia. Prędko po pierwszych dziecinnych zawodach życiowych, — po utracie ulubionego sokoła, który mu na polowaniu gdzieś odleciał i zginął, przyszedł do przedwczesnego przekonania, jak mówi jego żywot, o znikomości rzeczy i spraw, ludzkich. W dzieciństwie też powziął już postanowienie zerwania z tym światem i oddania się tylko nauce — a ta nauka nawet w ówczesnej Grecyi była tak blizko z kościołem związaną, że kto ją wybierał, wybierał prawie zawsze i stan duchowny zarazem. Miał też raz młodziutki Konstantyn sen czy widzenie: zdało mu się, że mu dano do wyboru najpiękniejsze dziewice z Tessaloniki, między któremi miał wybrać sobie oblubienicę, nie wybrał wszelako żadnej doczesnej, lecz najpiękniejszą, choć nie bogato przybraną — była to Mądrość Boża, owa grecka *Sofia*, której też do końca życia wiernym pozostał. Tessalonika, słowiański Soluń, była podówczas drugiem po stolicy miastem, ale przecież nie łatwo było młodemu chłopcu znaleźć w niem nauczyciela. Napróżno też

błagał i prosił, jakiegoś uczonego, obejmując go za kolana napróżno obiecywał mu całą część majątku, która po rodzicach na niego miała przypaść, byle mu chciał swej wiedzy udzielić. Nic to wszakże nie pomogło — ów człowiek nieużyty, słyszeć o niczem nie chciał i chłopiec został sam z pismami św. Grzegorza, które czytał, nad któremi się męczył, bo ich zrozumieć nie był w stanie. Na domiar złego odumarł go ojciec. Aliści w tem dusznem swojem strapieniu znalazł nadspodziewaną pociechę — spotkał go los, o jakim nawet nie marzył. Żywot prawi, że wielki dostojnik, logotet, który jest zresztą znanym logotetem Teoktistem, jednym z regentów, podczas małoletności cesarza Michała III-go, zasłyszawszy o urodzie i rozumie chłopca, wziął go do stolicy i przeznaczył na współucznia samego cesarza [1]. Osiągnął on tedy to, czego pragnął od tak dawna i tak bardzo gorąco. Uczył się Konstantyn pod znakomitym mistrzem Focyuszem i Leonem i bardzo szybko posiadł prócz znajomości Homera i geometryi, także: retorykę, arytmetykę, astronomię, muzykę i inne helleńskie sztuki a jak mówi żywot: posiadł je do tego stopnia doskonałości, jakby każdej z nich jedynie i całkowicie się był poświęcał [2]. Widząc te jego zdolności logotet Teoktist, chciał mu oddać w małżeństwo swoją przybraną córkę i ukazywał wielkie zaszczyty i godności, które go później mogą spotkać. Konstantyn pozostał wszakże wierny owej pierwszej oblubienicy swego dzieciństwa, Mądrości — i nie przyjął innej, ziemskiej; obietnicą przyszłych zaszczytów nie dał się on odwieść od swych dawnych zamysłów i pragnień; oświadczył, że się chce tylko nauce i filozofii poświęcić. Wówczas logotet powiedział cesarzowej-regentce: młodzieniec ten nie rozmiłuje się

[1] Teoktist może był jakimś dalekim krewnym Leona? Wiadomość jednak żywotu jakoby wziął Konstantyna na współucznia cesarza Michała, który miał wówczas lat parę, nie jest dokładną.

[2] »Żywot Konstantyna« § 4. Istnieje kilka wydań obu żywotów. Dümmler wydawał je w tomie XIX 1871 r. »Denkschriften« wiedeńskiej Akademii. Żywot Metodyusza oddzielnie wydał Miklosich z tłumaczeniem łacińskiem w 1870 r. Profesor Pastrnek, autor cennej pracy p. t. Dějiny slovanských Apoštolů Cyrilla a Methoda 1902, przysłużył się wielce, wydając wszystkie źródła odnoszące się do obu apostołów Słowian. Według jego też wydania cytuję źródła.

nigdy w życiu, które prowadzi, niechaj będzie księdzem i zostanie przy nas. Tak się i stało. Konstantyn wyświęcony, został bibliotekarzem przy kościele świętej Sofii [1]. Nie długo jednak pozostał na tem stanowisku. Opuścił je i przez pół roku żył w ukryciu w jakimś klasztorze. Znaleźli go wszakże i wywiedli stamtąd — wrócił Konstantyn do stolicy, ale nie do owej dawniejszej godności, której jakoby przyjąć więcej nie chciał, tym razem został nauczycielem filozofii. Ale i teraz znowu nie oddał się stale i wyłącznie swemu zawodowi. Uczył on i prowadził czas jakiś dysputy teologiczne w Konstantynopolu z obrazobórcami, ale nie tylko w samej stolicy! Razem z przyszłym patryarchą Focyuszem przyłączył się Konstantyn do poselstwa wysłanego do Arabów 855 roku, i z nimi wiódł także teologiczne spory i dysputy. Wróciwszy rzucił znowu swoje zajęcie, żył czas jakiś na uboczu, oddany miłosierdziu i dobrym uczynkom; wreszcie, chcąc zerwać zupełnie ze światem, udał się do słynnego podówczas klasztoru na górze Olimpie. Zastał on tam już swego starszego brata Metodyusza, o którym teraz dopiero pierwszy raz słyszymy.

Żywot Metodyusza nie wiele mówi o jego młodzieńczych latach, wiemy tylko, że cesarz dał mu przełożeństwo *(knjaženije)* nad Słowianami, oczywiście soluńskimi [2]. Sprawował on je dość długo, aż wreszcie i on zniechęcony mnogiemi przeciwnościami, przełożył nad ciemne sprawy ziemskie, staranie o żywot przyszły — porzucił więc urząd, udał się do klasztoru na Olimpie i postrzygł na mnicha. Obaj bracia nie długo mogli razem pędzić żywot odsunięci od świata i jego spraw — to się im nie udawało! Roku 860 przybyło poselstwo do cesarza Michała III od zaprzyjaźnionych z nim Chazarów, z prośbą i o misyonarzy, mówili bowiem, że mają już takich, którzy ich nawracają na wiarę żydowską lub mahometańską. Cesarz wraz z patryarchą powołali Konstantyna i jemu

[1] Ibidem: § 4, Vita cum translatione t. z. »Legenda rzymska«, która się zresztą zajmuje głównie odnalezieniem i przeniesieniem zwłok św. Klemensa papieża, potwierdza wyświęcenie (§ 1). Nie wspomina tylko o logotecie. Według niej rodzice sami wysłali Konstantyna do stolicy. Legenda zresztą bardzo pobieżnie i summarycznie o tem wspomina.

[2] »Żywot Metodyusza« §§ 2 i 3.

powierzyli tę misyę. Według żywotu chciał on iść i głosić słowo Boże jak zwykły misyonarz, następca apostołów, a więc ubogi i bosy; cesarz jednak na to nie zezwolił mówiąc: nie idziesz sam od siebie, lecz ode mnie i w mojem imieniu, musisz więc iść ze czcią i z moją pomocą. Udał się tedy do Chazarów Konstanty, posłuszny cesarzowi, a z nim brat Metodyusz, którego wziął z klasztoru. Obaj bracia przepłynęli morze Czarne i znaleźli się w Chersonie, w dzisiejszym Krymie; po różnych przygodach odnalazł Konstanty, jak twierdzi jego żywot i relacya biliotekarza Anastazego, w jednym z opuszczonych miast tamecznych zwłoki papieża Klemensa, który tam w II stuleciu umarł na wygnaniu. Z tą cenną zdobyczą przeprawili się oni przez meotyńskie bagna, t. j. morze Azowskie do kraju Chazarów, których mieli nauczać. Podobnie jak i z Arabami, tak i teraz Konstantyn począł dysputy z rabinami żydowskimi i uczonymi wyznawcami Koranu. Skutek tej misyi i tych nieskończonych sporów teologicznych, którym się Chakan (Chan) przysłuchiwał, a które żywot Konstantyna opisuje i podaje, był prawie żaden. Około dwustu ludzi tylko dało się ochrzcić. Ponieważ zaś ani Konstantyn ani Metodyusz odjeżdżając nie chcieli przyjąć żadnych darów, więc na ich prośby wypuszczono także około dwustu greckich jeńców z niewoli.

Po tej misyi wrócili bracia do Konstantynopola. Metodyuszowi cesarz i ówczesny patryarcha Focyusz napróżno jak chce jego żywot obiecywali arcybiskupstwo. Nie przyjął on święceń i został igumenem w klasztorze Polychronos na wybrzeżu azyatyckiem, w okolicach Cyzyku. Konstantyn zaś osiadł w stolicy przy kościele ŚŚ. Apostołów i tam pędził żywot w odosobnieniu, ale i tym razem nie długo.

Snać takie już było przeznaczenie obu soluńskich braci, że nigdzie dłużej spocząć nie mogli! Książe morawski Rościsław wysłał do cesarza Michała poselstwo, z prośbą o misyonarzy. Cesarz Konstantynowi tę misyę powierzył, Konstantyn zaś przybrał Metodyusza, którego skłonił do opuszczenia klasztoru, i na Morawy z nim razem 863 roku podążył. Obaj bracia nie zdawali sobie sprawy, że jest to przełomowa chwila w ich życiu i losach. A jednak tak było! Misya morawska, to nie misya chazarska!

To nie dysputy teologiczne i nieudane próby nawracania, to nie oderwana od życia filozofia lub życie kontemplacyjne w klasztorze, lecz spełniony czyn i spełnione dzieło, wielkiej doniosłości dziejowej. Przeprowadzenie tego dzieła, jak zwykle bywa, pochłonęło wszystkie siły jego twórców. Z walki długiej i zaciętej, która się o nie wywiązała, Metodyusz, pozostały z obu braci, nie mógł wyjść nawet zwycięsko; nie poszło ono jednak z nim razem na dno — wypłynęło niebawem, do dziś dnia istnieje i zajmować umysłów ludzkich nie przestaje. Obaj nasi bracia stali się też rzeczywiście apostołami Słowian i na to miano w całej pełni sobie zasłużyli.

Z misyą morawską zaczyna się dla Konstantyna i Metodyusza okres życia ciężki, obfity w walki i zawody, ale i w plon obfity, dla historyków zaś, szczególniej dla historyków Słowiańszczyzny, a więc i dla nas zaczyna się właściwe badanie, gdyż działalność obu braci wśród Słowian jest, jak przed chwilą powiedziałem, naprawdę jedynie trwałem dziełem, którego dokonali, i słusznie skupia na sobie całą uwagę badacza. Poprzednią epokę w ich życiu można traktować jako wstęp jedynie do tej drugiej, którąby nazwać można słowiańską, nim jednak się nią zajmiemy, należy się bliżej rozejrzeć w stosunkach, wśród których obaj bracia żyli, bo to musi rzucić pewne światło na nich samych i na późniejszą ich działalność.

Obaj bracia wybrali jedną i tę samą drogę, i obaj znaleźli się w jednym klasztorze, ale przecież zachodzą między nimi znaczne indywidualne różnice. Każdy z nich odnalazł tę drogę kiedy indziej i kroczył po niej inaczej, zdążając do jednego celu, którego zresztą całkowicie osiągnąć nie mogli. Celem tym zaś było: zerwanie ze światem i oddanie się kontemplacyjnemu życiu. Konstantyn, wątły i delikatny od urodzenia, nadmiernie wrażliwy, a przy tem umysłowo bardzo rozwinięty, bardzo wcześnie, bo już w dzieciństwie wybrał ową Mądrość Bożą i jej się chciał poświęcić [1].

[1] Wielce charakterystyczne są szczegóły o owym utraconym sokole i owym śnie czy widzeniu, zresztą bardzo naiwnym. Mogą one pochodzić z osobistych wspomnień samego Konstantyna. Widzenie może być w związku z ową córką przybraną Teoktista, ofiarowywaną mu jakoby później w małżeństwo.

Gorąco oddany nauce, jej tylko żądny, wahać się długo nie potrzebował, ani długo namyślać, wyboru łatwo dokonał, nic też dziwnego, że odrzucił świetne propozycye Teoktista, i wyświęcił się na księdza. Ale przecież może uderzyć niejednego jakiś wewnętrzny niepokój Konstantyna, jakaś niestałość i zmienność jego dalszych kolei. Widzimy, że raz pełni on urząd bibliotekarza przy św. Sofii i należy do kancelaryi patryarchy — to znowu naucza filozofji, ale i ten zawód również porzuca, udaje się do Saracenów i Chazarów, a wreszcie do Morawian, przytem jakby się ciągle wahał i nie mógł ostatecznie zdecydować, czy zerwać zupełnie ze światem, czy w nim pozostać jako misyonarz i świecki duchowny? Spokojne życie zakonne zawsze go pociąga, podobnie jak pociągało niegdyś uwielbianego mistrza Konstantyna, Grzegorza z Nazyanzy. Parę razy chroni się on i zamyka w klasztorze, to znowu go opuszcza, być może ulegając namowom postronnym, aż wreszcie dopiero przed samą prawie śmiercią wstępuje w Rzymie do klasztoru i tam już w spokoju i z wielką pogodą ducha umiera. Częste to są przejścia natury bogatej, podniosłej a wrażliwej, w rozterce z sobą i ze światem. — Kto wie, czy owego pragnienia spokoju, którego tak Konstantyn pożądał, nie podsycało właśnie to życie, na które się dobrowolnie sam skazywał, i czy się długi czas nie łudził? Raz znalazłszy się w klasztorze byłby tęsknił może znowu za światem? Takie życie to nieraz ciężka wewnętrzna walka, ale Konstantyn był od wielu szczęśliwszym. Mimo walk i wahania trwałe dzieło przecież po sobie zostawił.

Koleje, przez które przechodził Metodyusz i cały jego rozwój duchowy jest, o ile go sobie odtworzyć możemy, zgoła odmienny. Mniejszych niż brat zdolności, mniej abstrakcyom oddany, umysłu mniej żywego, lotnego i ruchliwego, miał on może jedną przecież wyższość nad bratem: był twardszy, musiał też zawsze wiedzieć, czego chce; mniejsze zdolności swoje umiał lepiej zużytkować, między jego pragnieniami i zamiłowaniem, a tem co robił, nie było może takiego rozdźwięku jak u Konstantyna. Był on więcej człowiekiem czynu, niż myśli, ale umiał myśl, choćby nie własną, z całą energią i wytrwałością w życie wprowadzić — i co ważniejsza, umiał się dla niej poświęcać i nieść

siebie samego w ofierze. Stykając się z ludźmi długo i blizko, poznawszy lepiej świat i przeszedłszy może jakieś zawody, wstępuje odrazu do klasztoru i tylko brat go z ukrycia dwa razy wywodzi. Bierze on udział jako towarzysz Konstantyna w owej misyi chazarskiej, po której miał mu cesarz i patryarcha Focyusz napróżno ofiarowywać godność biskupią. Ma ta wiadomość za sobą pewne wewnętrzne prawdopodobieństwo, dlatego też nie odrzucałbym jej tak łatwo[1]. Wolał on widocznie do klasztoru powrócić. Wydobył go stamtąd dopiero po raz drugi znowu Konstantyn i na nową misyę namówił, z której obydwaj już nie mieli wrócić do ojczyzny.

Żaden człowiek nie może być niezależnym od społeczeństwa, wśród którego żyć mu dano, choćby sam żył, nie wiem jak intensywnem, wewnętrznem życiem i w niewiem jak samotnej celi się zamknął. Nie mógł też nie ulegać wpływom otoczenia, ani Konstantyn, ani Metodyusz — trudno tylko ten udział bliżej ująć i jego rolę oznaczyć, źródła bowiem oświetlają jaskrawo osoby obu soluńskich braci, wszystko inne zostawiają w półcieniu, nie darmo są przecież oni świętymi!

Konstantyn odznaczał się wśród współczesnych głęboką i rozległą wiedzą, ale oczywiście nie mogła ona być inną, jak ta, którą ówcześni ludzie znali i cenili. Był on przedewszystkiem późno-greckim teologiem, i on więc dyskutował, subtelizował, i on musiał być wielkim erudytem i prowadzić ze wszystkimi nieskończone spory teologiczne,

[1] Prawie wszystkie zdarzenia, które podaje żywot Metodego (lepiej sprawdzony dzięki dokumentom), okazały się prawdziwemi, nawet takie któreby każdy historyk, bez wahania, odrzucił, np.: wiadomość o śmierci wszystkich czterech biskupów niemieckich, którzy skazywali Metodyusza. Inne wiadomości stwierdzają też pisma papieskie. Inna rzecz tylko, że oba żywoty, zdaje się przez jednego autora pisane, oświetlają inaczej fakty, że ich nie podają w całej rozciągłości, ale dosyć pobieżnie i ogólnikowo (np.: kwestya pisma Jana VIII usprawiedliwiającego Metodyusza!), dotychczas wszakże zmyślenia ważniejszych faktów nie wykryła i nie udowodniła im historyczna krytyka. Słusznie też historycy tak poważni jak Hauck w swojej Kirchengeschichte Deutschlands, Dümmler i inni uznają za źródła wiarogodne je. Trzeba rozróżniać między zewnętrzną ich szatą a wewnętrzną treścią. Ton legendowy i łatwa do poznania i do odrzucenia tendencya nie powinny jedynie decydować o ich wartości.

w których nikt nikogo zazwyczaj nie przekonywał, a po których często obie strony rozchodziły się bardziej nieprzejednane. Jeśli się to wszystko zważy, cóż dziwnego, że skoro był Konstantyn filozofem i teologiem i on także dyskutował i polemizował! I owe misye Konstantyna, jeżeli nawet wogóle misyą nazwać można ową podróż do Saracenów [1], noszą taki polemiczny charakter, są też one rzec można oficyalnemi. Z poselstwem, do którego się z Focyuszem Konstantyn przyłączył, wszędzie jechać było można, nawet do wyznawców proroka, którzy znowu tak groźnymi nie byli! I oni mieli swoich uczonych i teologów i odpierać zarzuty umieli, sami nawet przysyłali Grekom traktaty przeciw Trójcy świętej! Naukę zaś zawsze cenili, przecież nawet jeden z kalifów prosił cesarza o przysłanie mistrza Konstantyna, Leona Filozofa, tak był ciekawy jego, (co prawda naiwnych,) odkryć matematycznych [2]. Z pewnością też, choć to opowiada żywot, truć nikogo nie chcieli, ani nie zamierzali! Więcej już misyjnego charakteru ma chazarska wyprawa, choć i ona także jest oficyalną, cesarz i patryarcha wysyłają na nią Konstantyna [3], i w tych odległych krajach wiedzie on znowu spory i prowadzi dysputy z rabinami hebrajskimi, a nawet i duchownymi muzułmańskimi, większość bowiem Chazarów wyznawała judaizm, a część islam, wraca wszakże bez rezultatu jak wiemy. I owe misye tak organizowane noszą charakter epoki. Nie zapominajmy, że ówcześni Grecy żyli wśród

[1] Łamanskij. Żitje Kirilła. Ż. M. N. Pr. 1903. Kwiecień str. 348.

[2] Zonaras ed. Bonn 1897, str. 396.

[3] Vita cum translatione § 1 oraz list Anastazego bibliotekarza do Gauderyka biskupa Velletri, str. 247.3. Uważam tę wiadomość żywotu i innych źródeł za zupełnie pewną. Z Chazarami łączyły cesarstwo dawne i bliskie stosunki. Byli oni bowiem sprzymierzeńcami cesarstwa w jego wojnach z różnymi koczownikami, tak dalece, że na kilkadziesiąt lat przed podróżą Konstantyna posyłał cesarz budowniczych, którzy im stawiali fortece. Mogli też i sami prosić o misyonarzy chrześcijańskich, którzy tam już zresztą w VIII wieku bywali; byli oni bowiem ciekawi rzeczy teologicznych, które ich zajmowały, i co ważniejsza, byli tolerantami, byli nimi tak dalece nawet, że słuchali i dysputowali z Konstantynem, ale się nie nawrócili! Mniej jest prawdopodobnem, że to Focyuszowi przyszła myśl skorzystania z poselstwa Chazarów do Konstantynopola i, że to on prosił cesarza o wysłanie misyonarzy. Posłowie wysłani dla spraw innych mogli także sami o nich prosić.

uporządkowanych zupełnie stosunków, w kraju, o bardzo dawnej starzejącej się już, przekwitłej kulturze, a w takich krajach trudno jest zerwać ze wszystkiem i pójść nawracać dalekich pogan, dla których się ma zawsze trochę pogardy. Tyle rzeczy, spraw, pojęć i nawyknień trzymają na miejscu! Nie porywał też greckich mnichów mistyczny zapał, jak mnichów irlandzkich, i nie kazał im iść przed siebie w cudze kraje zjednywać wierze chrześcijańskiej wyznawców. W greckich klasztorach oddawano się bardziej wewnętrznemu doskonaleniu, teologii i pobożnym rozmyślaniom, niż misyom. Wobec tego owe oficyalne, misyjne wyprawy, podjęte na życzenie cesarza i patryarchy, pod jego osłoną i opieką zyskują na znaczeniu i większe się im należy uznanie, niżby się początkowo zdawać mogło.

Współcześni ludzie i wypadki nie mogły nie wpływać i nie oddziaływać na zamiary, postanowienia i czyny przyszłych apostołów Słowian; nikt się z pod ich panowania wybić nie jest w stanie, cięży ono na wszystkich i oni też znosić je musieli. Szkoda tylko, że tak mało wiemy o tem wszystkiem i do samych domysłów i kombinacyi musimy się ograniczyć. A tych domysłów i kombinacyi można robić aż nazbyt wiele i to utrudnia jeszcze zadanie, tyle ich bowiem jest, lecz niestety wszystkie są niepewne! Pałac cesarski w Konstantynopolu i pałac patryarchy przy świętej Sofii był zawsze ogniskiem wszelkiego rodzaju dworskich, pałacowych intryg, rywalizacyi, ambicyi, knowań i podstępów. Sieć ich misternie a silnie spleciona, otaczała wszystkich, wszyscy musieli w nią wpadać i w niej się plątać, to nawet często nie musiało być zależnem od woli pojedyńczych ludzi. Sądzę, że te wszystkie intrygi wielce skomplikowane, nie zawsze były zrozumiałemi dla współczesnych, a cóż dopiero dziś dla nas! Obaj nasi bracia dosyć długo mogli się cieszyć protekcyą cesarzowej regentki i Teoktista. Ale Teoktist został zamordowany w 855 r., a w rok później upadła i cesarzowa [1]. To mogło zaważyć bądź co bądź na losach soluńskich braci, może nawet bardziej na losach Metodyu-

[1] Finlay: History of Greece t. v, str. 142. — Gelzer: Gr. Kaisergesch. str. 968. W Krumbachera: Geschichte der byzant. Literatur 1897.

sza niż Konstantyna, ale to tylko domysł i to daleki! Bardzo dla nas ważnym jest stosunek Konstantyna do patryarchów, ze względów nawet ogólnych i głębszych, bo podówczas ten stosunek decydował o przekonaniach. Były to wszak czasy zaciętej walki i sporów Focyusza z patryachą Ignacym i z Rzymem. W jakich był stosunkach Konstantyn z Ignacym, to zależało od jego stosunku z Focyuszem. Niestety, tylko dorywcze i wielce ułamkowe mamy o tem wiadomości. Wiemy tylko tyle, że Konstantyn był wielkim przyjacielem Focyusza, i że następnie, z powodu jego błędnej nauki o dwoistości ludzkiej duszy, przeciw niemu występował i naukę ową potępiał, jak również powody, dla których Focyusz ją szerzył. Niebacząc bowiem na niebezpieczeństwo, na które narażał wiernych, szerzył ją, aby się przekonać, czy z nią sobie da radę patryarcha Ignacy [1]. To przecież musiało wywołać w każdym razie pewne oziębienie stosunków. Nastąpiło to po owej podróży do Saracenów w 855 roku, a przed depozycyą Ignacego, która nastąpiła w 858 roku. Można też przypuszczać, że dopiero w miarę jak się stosunek Konstantyna z Focyuszem psuł, poprawiał się z Ignacym, być nawet może, iż w pierwszych latach patryarchatu Ignacego nie był on najlepszy [2]. Focyusz przecież jeszcze jako świecki ciągle przeciwko niemu wichrzył i intrygował. Jak się stosunki później ułożyły między Konstantynem a Focyuszem, gdy ten ostatni został patryarchą? Od tego zawisło drugie pytanie: jakie stanowisko zajął Konstantyn w sporze z Rzymem, który wówczas wybuchnął? Otóż powiedzieć trzeba, że Konstantyn zajął stanowisko, którebym nazwał pośredniem, choć

[1] Op. cit. str. 245 Przedmowa Anastazego bibliotekarza do Synodu rzymskiego z 869 r. »Qui (Photius) cum a Constantino philosopho magnae sanctitatis viro, fortissimo eius amico, increpatus fuisset« etc. — Zwracam też uwagę, że o Konstantynie zachował bardzo dobre wspomnienie wygnany przez Focyusza do Krymu Metrofanes arcybiskup Smyrny. Por. List Anastazego do Gauderyka biskupa Velletri str. 246.

[2] Wielka szkoda, że chronologia tych zdarzeń nie jest ustalona. Zdaje się, Konstantyn mógł zostać bibliotekarzem za ostatnich lat patryarchy Jana Gramatyka, który jako sprzyjający obrazobórcom 843 r. został z tej godności złożony. Być bardzo może różnice dogmatyczne, które zachodziły między Konstantynem a patryarchą (z którym potem dysputował Konstantyn), przyczyniły się do ustąpienia Konstantyna.

nie stanowisko niezdecydowane i chwiejne, o zbyt bowiem ważne rzeczy chodziło, aby sobie nie miał zdania wyrobić. Do zupełnego i trwałego zerwania z Focyuszem nie doszło, widzimy, że Focyusz zaleca Konstantyna dwukrotnie na misyę chazarską i morawską. Nie były to wprawdzie wielkie zaszczyty, i nie były to zbyt ważne przedsięwzięcia; dowodzą one wszakże, iż obaj z sobą ostatecznie nie zerwali. Konstantyn nie poszedł też na wygnanie, jako stronnik Ignacego, ale i to trzeba podnieść, nie zjawia się on na żadnem kościelnem dostojeństwie, jako stronnik Focyusza, co podówczas częstem bywało, więc do jego otoczenia, do zauszników i popleczników nie należał w żadnym razie. Widocznie trzymał się na uboczu. Trudno coś więcej stanowczego powiedzieć tam, gdzie brakuje faktów, tych jedynie pewnych i uchwytnych przewodników; o ile wszakże domyślać się można i wnioskować z tego, co wogóle wiemy o Konstantynie, powiedzieć wolno, iż musiał on w duszy pragnąć zawsze kościelnej jedności, o zachowanie której modlił się przecież tak gorąco przed śmiercią[1]: ideałem dla takich ludzi jak on, skłonnych do mistycyzmu[2], żyjących w świecie idei musiał mimo wszystkiego pozostać zawsze jeden kościół powszechny; bez Rzymu zaś ideał ten nawet dla najbardziej zaciętego Greka nie był do osiągnięcia. Dlaczego wszakże nic nie wiemy, czy i czynnie działał w kierunku zgody i pojednania? Nie było to tak łatwem. Można być zwolennikiem, a nawet wyznawcą jakiejś idei, a przecież nie godzić się na wszystkie środki, któremi ludzie o nią walczą i starają się jej zapewnić zwycięstwo. Był on zawsze Grekiem, wiernym greckiej teologii, i aż do śmierci nim pozostał; mógł się też nie na wszystko godzić, co się działo wówczas na Zachodzie. Papież Mikołaj I mógł mu się wydać zbyt nieugiętym i twardym i zbyt pragnącym poniżenia greckiego kościoła, a na to żadną miarą Konstantyn nie mógł się godzić. Obie strony walczyły ostatecznie o prymat. Prawo do niego miał jedynie Mikołaj I-szy,

[1] »Żywot« § 18.

[2] Tę skłonność Konstantyna wskazuje jego zamiłowanie w pismach t. z. Dyonizego Areopagity. Por. List Anastazego Bibliotekarza do cesarza Karola 875 r., str. 274.

dzierżył go faktycznie i wyciągał najdalsze konsekwencye. Złudzenia, że mu go wydrze, mógł mieć Focyusz — lecz na bardzo krótko! Sądzę wszelako, iż wśród greckiego duchowieństwa znajdowali się i tacy, którzy pragnęli dawnej jedności i byli wyznawcami zwykle uznawanej w Bizancyum zasady, że papież starego Rzymu (nowym był Carogród) jest pierwszym wśród pięciu patryarchów. Do nich mógł właśnie należeć Konstantyn i dlatego może trudno mu się było przechylić stanowczo na jednę stronę; według niego bowiem za daleko szły obie! Mógł nawet to myśleć i o Focyuszu, choć był mu i on sam i sprawa, której bronił, bliższą. Kwestya pochodzenia Ducha świętego mogła go także niepokoić i do Rzymu zrażać; wątpię zaś, aby go tak dalece zrażała odrębność niektórych zwyczajów liturgicznych [1]. Przecież on sam wprowadzał język barbarzyński, słowiański, wbrew zwyczajom zarówno greckiego i rzymskiego kościoła!

Udział i wpływ zewnętrznych wypadków w życiu każdego człowieka nie jest łatwym do oznaczenia szczególniej tam, gdzie wciąż brakuje nam pewniejszych danych, za którymi napróżno się oglądamy. Wszelako jeśli chodzi o obu soluńskich braci, to jedno w każdym razie o nich powiedzieć wolno: byli to ludzie szukający i pragnący wyższych celów w życiu, a nie intryganci, karyerowicze i oportuniści chcący wybić się na wierzch kosztem innych. Żaden z nich nie stanął w szeregu z innymi jako współzawodnik, nie pchał się naprzód i nie spychał innych. Nawet i po upadku Teoktista i cesarzowej mogli starać się o względy i łaski wczorajszych morderców, a dzisiejszych wszechwładnych dygnitarzy i ulubieńców, i byliby z pewnością wraz z tylu innymi te łaski i te względy zyskali. Wszyscy przecież naokół nich to robili! Dla takich wszakże ludzi jak Konstantyn i Metodyusz wyższe moralne pobudki mają głos przeważny. Inni godzili się na to, co się na świecie podówczas działo, i na co patrzyli, co było chlebem powszednim: moralny upadek dworu i cesarza Michała, szalona rozpusta, zmieniający się faworyci i oblubieńcy, krwawe spiski i mordy, ludzka wielkość i powodzenie, graniczące

[1] Co najwyżej może kwestya sobotniego postu?

o drzwi z upadkiem i śmiercią, zwycięstwa wrogów Chrystusa, Saracenów, upadek Sycylii i cała ta znikomość rzeczy, spraw i zabiegów ludzkich, większości ani dziwiła ani oburzała. Lepsi i podnioślejsi tylko nad tem cierpieli. Ale nie trzeba znać ówczesnego stanu greckiego społeczeństwa, aby chcieć jawnej i otwartej opozycyi w imię zasad; zdobyć się na nią było bardzo ciężko, spotykamy się też z nią nader rzadko. Natomiast częstszem było pragnienie usunięcia się od wszystkiego i pogrążenie w religijnej kontemplacyi. Tego właśnie pragnęli obaj bracia i do tego zdążali. To było dla ich usposobień, zapatrywań i życiowych poglądów, bardziej odpowiednie — nie przerabiać też, ale przyjąć ich takimi, jakimi są, winniśmy.

II.

Początki misyi morawskiej, jak wszelkie początki, zawiłe i nie zawsze i nie we wszystkich szczegółach dostatecznie jasne, dawno już skupiały na siebie całą uwagę uczonych i dziś jeszcze toczy się spór — i to zacięty o zamiary i cele tych, którzy się jej podjęli. Znane nam już żywoty słowiańskie Konstantyna i Metodyusza oraz rzymska legenda opowiadają o niej, co następuje: książę Moraw Rościsław wraz ze Świętopełkiem zwołał wiec i po naradzie z Morawianami i ze swymi książęty postanowił wysłać poselstwo do cesarza Michała z prośbą o misyonarzy. Posłowie stanęli w Carogrodzie przed cesarzem i mieli się do niego odezwać w te słowa: Nie mamy nikogo, któryby we własnym naszym języku wiary nas uczył, prosimy przeto o takiego biskupa i nauczyciela [1], któryby to zdolen był uczynić. Albowiem przychodzą do nas różni księża z Włoch, Grecyi i Niemiec, my zaś, ludzie prości, nie wiemy za kim iść i kogo się trzymać [2]. Legenda zaś rzymska jeszcze dodaje, że Rościsław prosił o Konstantyna, bo się był dowiedział o jego misyi chazarskiej [3], Cesarz Michał zwołał senat, zawezwał przed siebie Konstantyna i jemu

[1] »Żywot Konstantyna« § 14,

[2] »Żywot Metodyusza« § 5.

[3] »Legenda rzymska« § 7. Widoczną jest w tem chęć nadania misyi chazarskiej jak największego znaczenia, podczas niej bowiem Konstantyn,

powierzył nauczanie Morawian. Wywiązała się między nimi z tego powodu długa rozmowa, którą żywoty rzekomo znają i powtarzają. Miał mu cesarz powiedzieć mianowicie: Wy wszyscy z Tessaloniki czysto po słowiańsku mówicie a zatem bardziej, niż kto inny, możecie Słowian nauczać, weź przeto brata swego Metodyusza i, chociażeś utrudzon wielce, idź na Morawy, gdyż wiem, że nikt inny temu nie podoła. Na to odpowiedział Konstantyn: Chociażem utrudzony bardzo i słaby na ciele, pójdę z radością do nich, jeśli mają pismo w języku swym. Cesarz zaś odrzekł: Dziad mój i ojciec mój i różni inni przemyśliwali nad tem a znaleźć słowiańskiego pisma zgoła nie mogli, jakże więc ja mam je odnaleźć? Na co Konstantyn: A któż może na wodzie pisać wyrazy i narażać się, że w herezyę popadnie? [1]. Wtedy cesarz i wuj jego Bardas odpowiedzieli Konstantynowi: Jeśli ty zechcesz, to Bóg sprawi, że znajdziesz słowiańskie pismo. Konstantyn istotnie odszedł, oddał się wraz z pomocnikami modlitwie i niebawem wymyśliwszy alfabet, zaczął pisać po słowiańsku »na początku było słowo a słowo było u Boga«. Cesarz skoro się o tem dowiedział, uradował się wielce i wyprawił Konstantyna z bogatymi dary, dał mu też pismo do Rościsława: Bóg, mówił cesarz, objawił pismo słowiańskie, abyś mógł chwalić Boga w swoim języku, przeto wysłaliśmy tego, który je wynalazł; jest to mąż uczony, pobożny i prawowierny, przyjmij tedy dar ów droższy, niż złoto, srebro i drogie kamienie [2]. Obaj bracia, ciągnie dalej żywot, posłuszni Bogu i cesarskiemu wezwaniu, bo, jak mówi św.

według legendy, dokonał czynu najbardziej obchodzącego jej autora, odnalazł mianowicie relikwie św. Klemensa papieża.

[1] Znaczenie tego ustępu jest takie, że bez pisma nie można mieć poprawnego tekstu Biblii, nie można więc nauczać, bo uczniowie mogą tekst przekręcić, można im też niedość ściśle objaśniać i Pismo święte i zasady wiary. Istotnie przyznać trzeba, że brak pisma utrudniał katechizowanie; tam, gdzie nie było ani pisma ani przekładu Ksiąg świętych, księża musieli je sami tłumaczyć i objaśniać albo z greckiego albo z łaciny.

[2] »Żywot Konstantyna« § 14. List ten jeśli wogóle opiera się na autentycznej podstawie, co jest możliwe, musi być interpolowany, a raczej »wolno tłumaczony«. Ustęp o oddawaniu chwały Bożej we własnym języku a osobliwie porównanie Słowian do Greków i Rzymian pod tym względem, uważam za dodatek autora żywotu.

Piotr, »Boga się bójcie, króla czcijcie«, podążyli na Morawy, gdzie ich Rościsław i Świętopełk wraz z całym ludem z wielką czcią przyjęli.

Taki jest przekaz źródeł. Że nie wszystko, co nam one podają na równie pewnej opiera się podstawie — ocenić łatwo. Ton legendowy żywotów jest aż nadto i teraz wyraźny, tak nawet, że historykowi ułatwia to poniekąd zadanie, należy więc koniecznie przebrać między temi wszystkiemi wiadomościami. Nie idzie wszakże za tem, aby same źródła uznać za niewiarogodne. Takiemi one nie są, jak wiemy, powiedzieć też można śmiało, iż w głównym zrębie są one prawdziwe, choć ta prawda jest ubrana w uroczyste kościelne szaty. Przedewszystkiem zupełnie pewnym faktem jest to, że Konstantyn wraz z bratem istotnie udali się na Morawy, oraz że Konstantyn istotnie wymyślił pismo słowiańskie! Temu już nikt nie będzie nigdy przeczył! Do niedawna prawie tak samo pewnym faktem było i wysłanie poselstwa do cesarza Michała przez Rościsława, dopiero niedawno zakwestyonował jego wiarogodność profesor Brückner[1]; nie powiem wszakże aby mnie przekonał, dodam więc jeszcze: wysłanie posłów Rościsława jako trzeci fakt wiarogodny. Są to dane najważniejsze, pozytywne — to nie koniec wszakże! Czeka nas mianowicie zbadanie, czy w istocie p r z y c z y n y, które źródła podają tak dla poselstwa Rościsława jak i dla przyjęcia misyi przez Konstantyna są wystarczające? Przyznać trzeba, że w każdym razie, jeśli chodzi o punkt pierwszy, to przyczyny niezbyt nas przekonywują. Każdy prawie mógł zauważyć, że źródła (a są niemi żywoty świętych!) mogły tutaj odbiedz dosyć daleko od rzeczywistości, na przyczyny więc należy zwrócić baczniejszą uwagę i dobrze je sprawdzić, nikomu bowiem sam nagi fakt wystarczyć nie może.

Dla uproszczenia sobie zadania odrzućmy od razu *a limine* taką np. wiadomość legendy rzymskiej, że to sława chazarskiej misyi (zresztą nieudanej) spowodowała Rościsława do wysłania posłów do Carogrodu i do szukania Konstantyna — wiemy, że tak

[1] »Legendy o Cyryllu i Metodym wobec prawdy dziejowej«, Rocznik Tow. Nauk Pozn. t. XXX, 1903, str. 21 oraz Przegląd Polski t. CXLIX, 1903, str. 473.

być nie mogło. Zostaje tedy powód, który źródła podają. Rościsław i Morawianie chcieli nauczyciela, któryby ich nauczał w ich własnym języku, i dlatego udali się do cesarza wschodniego prosząc o biskupa i nauczyciela, jak mówi żywot. I ta wiadomość wydać się może nieco »naciągnięta». Rościsław bardzo takich nauczycieli pragnie, jakimi są właśnie obaj nasi bracia. Oni też tylko jedni są w stanie zaspokoić jego życzenia. To może wzbudzać podejrzenie, że to wszystko z góry ułożone, aby jaskrawiej oświetlić mądrość, naukę i znaczenie obu przyszłych apostołów Moraw. Rodzi się więc kwestya, czy Rościsław pragnął tylko tego jedynie, aby nauczyciel duchowny, biegły w języku słowiańskim, nawracał jego poddanych? Otóż nie da się zaprzeczyć, że w pewnej mierze — tak! Rościsławowi i nawet Morawianom mogło zależeć na tem, aby księża, którzy do nich przychodzą, znali język miejscowy — to nie ulega kwestyi. Nie chcę twierdzić, że nie było wśród księży niemieckich takich, którzyby słowiańskim językiem nie władali, ale w każdym razie powiedzieć bez przesady można i należy, że takich misyonarzy było bardzo niewielu. Większość nie umiała po słowiańsku i albo posługiwała się tłumaczami [1], co nie było pożądanem i dogodnem, albo nie posługiwała się nimi wcale i ograniczała się wówczas z konieczności do odprawiania tylko łacińskiego nabożeństwa; o nauczaniu zaś mowy być nie mogło. Trzeba tedy powiedzieć, że taki wzgląd istniał naprawdę Inna rzecz tylko, czy istotnie Rościsław mógł szukać na to rady w Carogrodzie u Greków? To dwie rzeczy różne, wątpić też należy, czy greccy misyonarze mogli byli złemu zaradzić [2]. Bez wątpienia wśród nich znajdowali się i tacy, którzy po słowiańsku umieli, przedewszystkiem ci, którzy nawracali Bułgarów, ale trudno bardzo orzec, czy Rościsław był pod tym względem tak znowu dobrze poinformowany i czy na te szczegóły mógł zwracać uwagę? Z tego wszystkiego pokazuje się, że w istocie ten powód wysłania poselstwa do Greków jest bardzo mało prawdopodobnym. Zleby też stała kwestya owego poselstwa, gdybyśmy się musieli

[1] Często misyonarze posługiwali się tłumaczami; np. św. Emeram w Bawaryi, św. Bruno na Rusi i t. d.

[2] Słusznie zwraca na to uwagę prof. Brückner.

ograniczyć do tej jednej przyczyny, którą źródła podają. Na szczęście jest inna, rzeczywista, choć pokrewna, o której źródła milczą, z powodów łatwych zresztą do odgadnięcia. Oto oba żywoty i legenda rzymska, przedewszystkiem, a nawet powiedzmy jedynie, miały na celu podniesienie zasług, zalet, sławy i mądrości obu braci. Wszystko inne, co temu celowi nie służyło, mogło być pominiętem, i pominiętem zostało — w naszym wypadku pominiętym został wzgląd polityczny, jedynie ważny i pierwszorzędnej doniosłości dla młodego morawskiego państwa.

Poselstwo Rościsława przypadać musi mniej więcej na r. 863, w żadnym razie nie później [1]. Wówczas Morawy były faktycznie niezawisłe od wschodnio-frankońskiego państwa. Jest to fakt stwierdzony źródłowo i zupełnie pewny. Trzeba było dopiero zwycięskiej wyprawy Ludwika Niemieckiego w roku następnym, aby Rościsława zmusić do uległości — i to nominalnej, bo choć pokonany ze wszystkimi wielmożami wierność królowi ślubował, przecież jej bynajmniej nie dotrzymał. To mówią Roczniki Fuldajskie [2]. Potrafił też on dalej z synami Ludwika przeciw niemu wichrzyć i z waśni domowej korzystać. Rościsław tedy, mimo uroszczeń frankońskich, jeszcze zupełnie niezawisły, zapragnął i niezależnego od niemieckiej hierarhii kościoła, zdawał sobie bowiem sprawę doskonale, jak mówi jeden z niemieckich historyków, że dla zupełnej niezawisłości Moraw, podobnie jak wielu innych w jego położeniu, musiał Rościsław starać się o hierarchię

[1] Daty nie podają jak zazwyczaj żywoty, należy ją też wydedukować pośrednio. Wiemy tylko, że w listopadzie 867 byli już obaj bracia w Rzymie, a ponieważ żywot Konstantyna mówi, że obaj bracia spędzili na misyi lat trzy, miesięcy cztery, żywot Metodego lat trzy a wreszcie legenda rzymska lat cztery i pół; wybierając tę ostatnią cyfrę jako najpewniejszą wypadnie rok 863 na rozpoczęcie misyi, ten rok też przyjmują prawie wszyscy uczeni. Różnice między źródłami pochodzą z tego powodu, że żywot Metodyusza zdaje się liczy lata tylko misyi morawskiej, pozostałe źródła zaś wliczają i pobyt w Pannonii, aż do chwili przybycia do Rzymu obu braci.

[2] Mon. Germ. Hist. ad usum scholarum ed. Fr. Kurze, str. 62: »insuper cum universis optimatibus suis fidem se cunctis diebus regi servaturum esse iuramento firmavit, licet illud minime servavit«.

kościelną, którąby nie była w ręku jego politycznych przeciwników [1].

Wiemy już czem był ten Kościół dla Morawian i wogóle dla słowiańskich ludów, co on znaczył i co on z sobą niósł: prócz krzyża niósł miecz! Władca Moraw zdawał sobie zupełnie jasno sprawę z położenia, bo jakże można było tego się nie dopatrzeć! Nie można Rościsławowi poddawać jakichś zbyt daleko idących planów i zamysłów, np. co do słowiańskiej liturgii. O tem i myśleć nie mógł, nie tego nawet szukał i na razie nie tego zgoła pragnął. Ale za to mógł chcieć i szukać owej kościelnej niezawisłości i wyzwolenia się od wpływów niemieckich, nie tylko ze względu na język, bo to były w gruncie rzeczy bardziej kościelne, teoretyczne kwestye, ale ze względów głębszych i bardziej zasadniczych. Tę zaś niezawisłość mógł mu dać na razie jedynie Carogród i Kościół grecki — to czuł Rościsław doskonale. Do Rzymu zagradzali Niemcy drogę bardzo często. Episkopat bawarski i wpływy niemieckie mogły były nader łatwo pokrzyżować wszelkie projekty niezawisłości; podówczas nawet właśnie lepsze, bliższe stosunki zapanowały między państwem wschodniofrankońskiem a stolicą apostolską, pozostawał więc jedynie Konstantynopol. Zresztą nie zapominajmy, antagonizmy polityczne, i — nie lękajmy się anachronizmu — narodowe zrobiły tutaj swoje. Niemcy mogli nawet nawracać Słowian morawskich w ich języku, nikt temu przeczyć nie będzie, ale także nikt temu przeczyć nie może, iż dokąd sięgała ich misyjna działalność, dotąd sięgały i wpływy polityczne niemieckie. Za przykład niechaj posłużą Słowianie karantańscy zupełnie już nawróceni ale politycznie zupełnie także pokonani [2]. Jedno szło z drugiem zawsze w parze i jedno od drugiego było nieodłączne i oderwać się nawet i nie dało. To mówią pośrednio same źródła niemieckie i to mówią jednozgodnie wszyscy historycy niemieccy. Każdy z nich też wie, że

[1] Dümmler: Geschichte d. Ostfränkischen Reiches. 2 wyd., t. II, str. 179. Ten sam powód przyjmuje Jagić w swojem dziele p. t.: Zur Entstehungsgeschichte der kirchenslavischen Sprache, Denkschriften der Akademie der Wissenschaften in Wien. Tom XLVII, 1902, str. 7, oraz wszyscy historycy.

[2] Hauck: Kirchengeschichte Deutschlands. 2 wyd., tom II. str. 688.

misyonarze niemieccy nie chodzili do Słowian tak, jak np. irlandcy lub później anglosascy do Germanii. Kolumban lub Bonifacius byli dalecy i obcy wszelkiej państwowej polityce i nie działali pod ochroną i opieką państw, do których sami należeli; mogli być też zupełnie wyzwoleni od wszelkich świeckich wpływów. Przecież Irlandyi lub Anglii nie powiększali materyalnie swojemi misyami! Tak było wówczas i tak było zawsze. Wszakże ci sami mnisi irlandcy, tak pełni zapału i ducha chrześcijańskiego z początku nie mogli i nie chcieli nawracać swych wrogów politycznych a tak blizkich Anglosasów!

Rościsław był prawie w ciągłej, zaciętej, ciężkiej walce z Niemcami i z państwem wschodnio-frankońskiem. Był też dla niego poważnym przeciwnikiem i na przyszłość groźbą. Czyż niezbyt liczni niemieccy misyonarze, którzy się nawet znaleźli w granicach jego państwa, mogli zawsze liczyć na jego poparcie i dobre przyjęcie u miejscowej ludności i znaleźć u niej chętny posłuch? Przecież każdy musi przyznać, że nie! To też niemieccy duchowni działali głównie w państwie hołdowniczego już i zupełnie im uległego księcia Słowian pannońskich, Priwiny. Nie przeszkadzało to im wszakże podnosić prawa i do Moraw a nawet je wykonywać, o ile się tylko dało. Arcybiskup salcburski i biskup passawski mogli z sobą współzawodniczyć o zwierzchność nad Morawami, w razie ustalenia się kościelnych stosunków, ale w każdym razie byłaby to dla Rościsława kwestya przejścia pod tę lub inną dyecezyę niemiecką, (zresztą, jak się zdaje, salcburską), tego zaś nie mógł on zgoła pragnąć! A kto wie nawet czy i w razie kreowania nowej dyecezyi biskup morawski, oczywiście Niemiec, u jego boku nie był mniej jeszcze pożądanym? Podobnie Borys, król bułgarski, zwrócił się najpierw z prośbą o misyonarzy, lecz nie do Greków, swoich zwierzchników kościelnych a zarazem przeciwników politycznych, ale do króla Ludwika Niemieckiego, później zaś zwrócił się wprost do papieża. I jemu także chodziło o niezależność kościelną, o metropolję, ale nawet nie od razu, bo nie po to zwracał się do Niemców, ci przecież dać mu jej nie mogli, co najwyżej mogli wysłać misyjnego bi-

skupa, co też i uczynili [1]. Kwestya metropolii wyłoniła się dopiero później, wówczas kiedy się Borys zwrócił do Rzymu, bo wiedział i on doskonale, że ani patryarcha carogrodzki ani cesarz nie zgodzą się tak łatwo na niezależną bułgarską kościelną hierarchię. Rościsław tak daleko idących zamiarów nie miał i nie sięgał tak wysoko; wysyłając poselstwo do Konstantynopola chciał on poczynić na razie pierwsze kroki ku temu, a takim pierwszym krokiem było zwrócenie się do Greków. Borys wolał się zwrócić do wszystkich, byle nie do Greków, podobnie Rościsław zwracał się znowu do Greków, bo miał Niemców i króla Ludwika na karku! Ten wzgląd i ten powód zdaje się być jasnym i prostym, zawsze go też wskazywali historycy niemieccy i inni, przy nim też pozostać wypada i powiedzieć ostatecznie: fakt poselstwa Rościsława do cesarza Michała jest faktem pewnym i zupełnie dobrze uzasadnić go można [2].

Łatwo również odpowiedzieć, dlaczego cesarz Michał zadosyć

---

[1] Annales Bertiniani 866 i An. Fuldenses 867. ed. Kurze. Ścisła data nawrócenia Bułgarów nie jest pewną. Por. Dümmler: Op. cit, t. II, str. 188.

[2] Prof. Brückner utrzymuje, że Rościsław nie mógł myśleć o niezależności kościelnej Moraw od Niemców. Według niego Rościsław był »pisklęciem w żelaznej garści niemieckiej«, był »dannikiem i sługą niemieckim«, nie mógł więc »i marzyć o odrębnym kościele morawskim«, jak to czynił bułgarski Borys. Otóż, dosyć uważnie przeczytać źródła współczesne, aby się przekonać, że tak nie jest, ani też Dümmler, ani żaden inny historyk niemiecki za takiego nigdy go nie mieli i mieć nie mogli. Rościsław bronił zwykle z powodzeniem niezawisłości Moraw; gdyby inaczej było skądżeby król Ludwik niemiecki przedsiębrał wyprawę 864 r. przeciw niemu? A nawet i wówczas, kiedy pokonany ale nie zniszczony wiarę zaprzysiągł, wcale jej nie dochował. Rozterki w rodzinie króla Ludwika dostarczały mu nieraz powodu, iż w mętnej wodzie łowił ryby dla siebie. Potrafił się przerzucać, jak później Świętopełk, to na tę to na inną stronę, a zawsze aby niezależność utrzymać i króla Ludwika osłabić. Panowanie jego przecież to ciągła walka z państwem wschodnio-frankońskiem i dla Niemców nawet ciężka i uporczywa — a ze »sługą«, »poddanym«, »pisklęciem w żelaznej garści« walczyć przecież nie potrzeba! — Że uległ nie dziwota, bo wewnętrzne rozterki i zdrada dopiero pozbawiły go tronu i wolności i wzroku. Ale przecież i więksi i potężniejsi od niego upadali i upadają! Co do Bułgarów wreszcie i Borysa, to nie był on tak groźnym już wówczas dla cesarstwa wschodniego jak później Symeon. Sam nawet przecież zdaje się po przegranej wojnie chrzest przyjął z rąk Greków!

uczynił prośbie Rościsława i Morawian? Nie odmawia się wogóle takim prośbom, bo było to bądź co bądź rozszerzeniem nie tylko tak pożądanych wpływów kościelnych lecz zarazem i politycznych co zawsze ręka w rękę idzie, jak już wiemy. Polityka i tu więc przeważała. Cesarz Michał zajął się tą sprawą bynajmniej nie przez pobożność. On sceptyk, przedrzeźniający religijne ceremonie, a pobożność: to dwie rzeczy, które się nigdy nie zeszły; ale i jemu chodziło o zjednanie sobie władcy Moraw Rościsława — i tu weszła w grę także polityka! Nawiązanie stosunków z wzrastającem państwem morawskiem, które już nieraz dawało się we znaki Frankom i które z powodzeniem broniło swej niepodległości, miało pewne znaczenie i nie było do odrzucenia. Granice Moraw podchodziły mianowicie do północnych granic państwa bułgarskiego, mogły więc Morawy być kiedyś w przyszłości pożądanym nawet sprzymierzeńcem. Nie można sobie jednak wyobrazić, że cesarz i dwór przywiązywał do tej misyi wyjątkową jakąś wagę. Przesada żywotów w tym względzie okazuje się jak na dłoni! Musiały one podnieść całe wydarzenie i oczywiście nadały mu ton pobożnej średniowiecznej legendy. Inaczej przecież być nie mogło. Właściwie nawet możnaby powiedzieć, że Rościsław dostał mniej, niż to, o co prosił, — przynajmniej pozornie; — prosił bowiem o biskupa i o biskupa musiało mu przedewszystkiem chodzić. Wiemy już z jakich względów Rościsław musiał się liczyć z tem, że Niemcy nigdy się nie zgodzą na kościelną niezawisłość Moraw, a niezawisłość owa stawała się coraz bardziej konieczną i naglącą — prędzej czy później należało ją przeprowadzić a przeprowadzić bez pomocy i współudziału Niemców było walną wygraną dla nowo powstałego słowiańskiego państwa. W tych warunkach misyjny biskup był nader pożądanym gościem, w przyszłości mógł on stworzyć hierarchię kościelną, na początek zależną od Carogrodu, ale nie od Salcburga. Tymczasem dostał Rościsław tylko księdza z kilku towarzyszami i pomocnikami, ale i z nich musiał być rad, przyszłość zaś niedaleka miała okazać, jaka była moralna wartość tych ludzi, którzy zawitali na Morawy.

Wszystkie źródła, które posiadamy, a więc przypominam: oba żywoty i rzymska legenda, opowiadają zgodnie, że cesarz

powierzył Konstantynowi misyę morawską, ten ją zaś przyjął i z bratem na Morawy podążył. Że tak było w istocie, zdaje się wskazywać pośrednio okoliczność, że ze znanych już nam powodów Rościsław z własnej inicyatywy wysłał posłów do Carogrodu. Sądzę, że przy tem należy zostać, mimo przeciwnego zdania prof. Brücknera. Wyznaję, nie mogę się zgodzić żadną miarą na to twierdzenie czcigodnego profesora, że całe poselstwo Rościsława, to jedynie prosty i gruby wymysł źródeł[1]. Wiemy już, że Rościsław mógł posłać do Carogrodu po misyonarzy, skoro miał do tego aż nadto wystarczające powody. Zródła zaś nasze często objaśniają fakty inaczej, często je w odmiennem przedstawiają świetle, ale, jak to sprawdzić można, nigdzie ich nie wymyślają; pod tym względem badania najświeższe wielokrotnie stwierdziły ich wiarogodność, w tym zaś nawet wypadku podnieść jeszcze należy, że powodów do kłamstwa nie było: żywoty mogły bardzo dobrze powiedzieć, że obaj bracia wybrali się sami z własnej inicyatywy na Morawy — fakt ten nadawał się zupełnie dobrze do odpowiedniego wyzyskania i do pokazania cnót i poświęcenia i misyjnego zapału obu braci.

Wśród jakich okoliczności i warunków przyszło do powierzenia Konstantynowi misyi morawskiej, to wiedzą źródła a przedewszystkiem Żywot Konstantyna. Niektóre z tych wiadomości wydają się być zupełnie wiarogodne: np. wzmianka o wuju cesarza Michała, wszechwładnym Bardasie, który bierze udział w naradach. jest bardzo ciekawa, również i wzgląd, że Konstantyn może się udać na Morawy, bo umie po słowiańsku, także musi być prawdziwy, bo choć Rościsław nie wysyłał posłów po misyonarzy mówiących po słowiańsku, przecież skoro ich raz z Konstantynopola dostarczano, musiało chodzić o takich, którzy tym językiem biegle władają — a właśnie obaj bracia ów warunek spełniali. Szkoda tylko, że nic nie wiemy, jak się zachowywał patryarcha Focyusz wobec wyboru Konstantyna, żywoty bowiem nic o tem nie wspominają.

Z tego, co już wiemy o stosunku obu braci do patryar-

[1] Op. cit. str. 21.

chy, powiedzieć można jedynie, że się on nie sprzeciwiał wyborowi Konstantyna i że mimo owego oziębienia stosunków mógł sam nawet cesarzowi go polecić, w każdym razie za jego zgodą oczywiście Konstantyn z bratem wyruszyli na Morawy. Daleko prostsze i łatwiejsze do objaśnienia są powody, dla których Konstantyn misyę i tym razem przyjął. Powód też, który przedewszystkiem wpłynął na niego i który był rozstrzygający, jest bardzo prostym i nie potrzeba go zbyt daleko szukać. Oto Konstantyn uważał dzieło nawracania pogan zawsze za doniosłe i chwalebne, nawracanie zaś Słowian, których znał i wśród których wyrósł, za bliższe i pożądańsze, niż każde inne, dlatego więc skoro się otwierało pole dla działalności i pracy misyjnej na Morawach i skoro jego wybrano, mimo nawet istotnie słabego zdrowia, wezwanie przyjął i jak wiemy, na Morawy podążył. Czy myślał już dawniej o nawracaniu Słowian i w tym celu zajmował się kwestyą alfabetu słowiańskiego, jak chce np. profesor Brückner, czy dopiero go wynalazł po przyjęciu misyi morawskiej, jak mówią żywoty? Trudna to do rozstrzygnięcia kwestya.

Istotnie wynalezienie wielce zresztą skomplikowanego głagolickiego alfabetu (bo zdaje się, że ten alfabet wynalazł a nie kirylicę)[1] wymaga dłuższego czasu i w kilka dni, jak chcą niektórzy uczeni, uskutecznić się nie da, — możliwem jest już jednak dokonać tego samego, przypuśćmy, w dwa lub trzy miesiące. Nie jesteśmy zaś zmuszeni przyjmować koniecznie ów tak krótki termin, od chwili bowiem powzięcia ostatecznej decyzyi przez cesarza i Konstantyna do wyjazdu na Morawy mogło upłynąć i parę a nawet kilka miesięcy. To wcale a wcale nie jest niemożliwem, przez ten czas więc mógł Konstantyn wynaleść i alfabet słowiański

[1] Kwestya ta ostatecznie nie jest zupełnie rozstrzygniętą. Są jednak ważne względy, które przemawiają za głagolicą. Argumenty, które prof. Brückner podaje dla poparcia tego ostatniego twierdzenia są bardzo ważne, tylko, według mnie, wskazują one wielkie zdolności lingwistyczne Konstantyna, skoro alfabet jest rzeczywiście tak doskonały a nie chęć popisania się zupełnie odrębnem pismem słowiańskiem. Zresztą i głagolicę z kursywą grecką zbliżyć można i wypada. O zdolnościach lingwistycznych Konstantyna zresztą wiemy, nauczył się on bowiem u Chazarów, według żywotu, bardzo szybko po hebrajsku.

a nawet z owymi pomocnikami, o których żywot wspomina, mógł przetłumaczyć i ewangelie[1]. Zależy to zresztą w bardzo wielkiej mierze od zdolności i temperamentu. Jednemu »pali się robota w rękach i w mózgu«, drugiemu idzie wolniej, choć i ten drugi tego samego, wolniej tylko, dokona. Zdaje się nawet, że Konstantyn właśnie miał to łatwe i co ważniejsza, szybkie objęcie, mógł więc i przed swym wyjazdem na Morawy dzieła dokonać; w każdym razie, jak powiadam, niemożliwe to nie jest — nie jest tylko zupełnie pewnem. I druga hipoteza jest wszelako możliwą, temu przeczyć nie chcę, tylko z niej nie wynika, aby Konstantyn myślał jedynie o Morawach myśląc o alfabecie. Alfabet słowiański mógł być Konstantynowi bardzo przydatnym przy nawracaniu Słowian wogóle, a nie tylko jednych Morawian; jeżeli więc dawniej myślał on istotnie o nim, to niekoniecznie przyjmować należy, że już snuł bardzo zresztą daleko idące a chytre i kunsztownie obmyślane plany swej przyszłej misyi morawskiej. Przekład Ewangelii, modlitw i Pisma świętego był bardzo potrzebny i temu wierzę, dawał się nawet jego brak odczuwać. Lud wprawdzie nie czytywał ksiąg świętych i wogóle żadnych, ale musieli je znać duchowni różnych stopni bądź Grecy, bądź Słowianie, którzy wśród Słowian pracowali nad krzewieniem wiary, musieli bowiem uczyć modlitw, czytać i objaśniać Ewangelię po słowiańsku. To były potrzeby »bieżące«, i im mógł chcieć Konstantyn zaradzić, jeśli się Słowianami wogóle zajmował od dłuższego czasu. Tych Słowian było wszędzie wówczas dosyć — i byli oni bardzo blizko, »pod ręką« niejako i nie potrzeba było iść daleko w obce, nieznane kraje, aby ich odszukiwać. Byli to Słowianie podlegli berłu cesarskiemu, mieszkający w granicach cesarstwa, a jeśli nawet o niepodległych chodzi, to byli znani dobrze Bułgarzy od dawna poddani wpływom greckim kościelnym i kulturalnym. O potrzebach ich wszystkich mógł myśleć Konstantyn, niekoniecznie nawet myśląc o osobistem katechizowaniu i nauczaniu, bo to mógł innym pozostawić. Słowianie zaś z okolic Tessaloniki, rodzinnego miasta

[1] »Legenda rzymska« § 7 mówi, że Morawianie się ucieszyli wielce: »quia — et Evangelium in eorum linguam a philosopho praedicto translatum«, przywiózł z sobą.

obu braci oraz niezbyt dawno ostatecznie ujarzmieni, Słowianie z Peloponezu mogli przedewszystkiem zwracać jego uwagę, o ich też potrzebach myśląc, mógł Konstantyn pracować nad wynalezieniem słowiańskiego alfabetu. Jeżeli więc mamy już odsuwać na bok świadectwo źródeł (a koniecznej potrzeby do tego nie mamy) i przyjmować, że Konstantyn istotnie pracował od dawna nad wynalezieniem słowiańskiego alfabetu, to należy ostatecznie powiedzieć, że go zużytkował niespodziewanie na Morawach, wcale o tem nie myśląc i nie to mając na oku. To jest najprostsze przypuszczenie, które, sądzę, przyjąć bezpieczniej, jeśli wogóle mamy przyjmować, że się zajmował tą sprawą na długo przed misyą morawską. Jest to zresztą kwestya bardzo ciemna, bo się odnosi do genezy i rozwoju jakiejś myśli, który to rozwój i geneza są zawsze do ujęcia i przeprowadzenia trudne, a cóż dopiero, jeśli z braku źródeł wszystko trzeba samemu odtwarzać i zgadywać. W gruncie zaś rzeczy, jeśli się raz stanie na naszem stanowisku, jest to pytanie nie tak doniosłe i ważne. Jeśli bowiem przyjmiemy, idąc za żywotem, że Konstantyn wymyślił alfabet po przyjęciu misyi morawskiej, to powiedzieć musimy, że do pracy misyjnej, którą przedsiębrał, potrafił się przygotować i obmyśleć od razu wszelkie środki tak, jak to czynią ludzie bardzo wybitni i o wielkich zdolnościach, a takim był Konstantyn bez zaprzeczenia — i ja też wolę tę hipotezę wybrać. Jeśli zaś pracował dłużej nad odkryciem słowiańskiego pisma i zużytkował je dopiero nadspodziewanie, udając się na Morawy, zyskujemy jeden powód więcej, dla którego mógł się misyi podjąć z nadzieją, że ją ku dusznemu pożytkowi Morawian zdoła wypełnić, na samo wszakże podjęcie pracy misyjnej nie miało to decydującego znaczenia, gdyż w każdym razie przez dłuższy lub krótszy czas pracując zdołał Konstantyn słowiańskie pismo wymyślić i z niem udał się dopiero na misyę.

Obaj bracia, przybywszy 863 roku do państwa Rościsława, zaraz się zabrali do dzieła. Konstantyn nawracał, uczniów sposobił, których mu był Rościsław powierzył, i różne błędne nauki i pogańskie zabobony wykorzeniał[1], słowem zajął się gorliwie

[1] »Żywot« § 15. Niektóre z tych zabobonów, np. tyczące się wężów i ludzi żyjących pod ziemią, możnaby zbliżyć do podobnych celtyckich lub ma-

zwykłą pracą misyjną, w której mu brat gorliwie pomagał. Prócz tego wszystkiego wszakże stworzył on i przeprowadził rzecz niezmiernie ważną i brzemienną w następstwa, które i po dziś dzień jeszcze dają się odczuwać. Oto co mówi żywot. Niezadługo po przybyciu na Morawy przełożył Konstantyn całą liturgię i nauczył swych uczni nabożeństwa rannego t. z. jutrzni, godzinek, nieszporów i wieczornego nabożeństwa (t. z. *completorium*) oraz »tajnej służby« t. j. mszy [1]. Prócz tego zaś przełożył jeszcze Konstantyn i obrzęd chrztu, jak to dodaje Żywot Metodego, i oczywiście obrzędy innych sakramentów, bo to się już samo przez się rozumie [2]. Jest to fakt opowiedziany szczegółowo, dokładnie i zupełnie jasno, źródło historyczne, które go podaje, jak to mia-

---

nichejskich wschodniego pochodzenia. Przy tego rodzaju porównaniach zawsze jednak powstaje ta trudność, że przesądy i wierzenia nie stanowią wyłącznej własności tylko jednego szczepu, lecz przeciwnie są własnością rozlicznych narodów. Działa tutaj recepcya, ale nie można i o tem zapominać: powstają one i tworzą się niezależnie.

[1] »Żywot Konstantyna« § 15 a także »Metodyusza« § 7. Był to t. zw. Brewiarz i Graduał, podręcznik, jeśli tak powiedzieć wolno, duchownych praktyk i nabożeństwa. Tajnaja służba jest mszą. W liście Hadryana II, pomieszczonym w żywocie Metodego oraz w § 11 tegoż żywotu, msza zwie się z łacińska »mša« wyraz słowiański zaś, który objaśnia niejako mszę, jest służba, t. j. nabożeństwo, ministeryum, liturgia. W § 17 msza jest nazwaną tajną świętą ofiarą. Por. Jagić: Op. cit. str. 13.

[2] Idę tutaj w zupełności za »Żywotem Konstantyna«, który daje najbardziej szczegółowe i ścisłe wiadomości. I »Żywot Metodyusza« oraz »Legenda rzymska« zresztą nie zostają z nim w sprzeczności. Mówią one, że przekład ksiąg liturgicznych już był dokonany przed podróżą obu apostołów do Rzymu. Wzmianka w liście Hadryana II, że Konstantyn filozof z pomocą Bożą i świętego Klemensa zaczął tłumaczyć Księgi liturgiczne, znaczy, jak się z następnego zdania dowiadujemy, że podobnie jak on dokonał tego, tak każdy inny, któryby także zechciał księgi owe tłumaczyć, może to uczynić. Ten sam żywot zresztą wspomina (§ 15), że Metodyusz przekładał tylko Pismo święte. Ewangelie bowiem, Lekcye apostolskie oraz wybrane nabożeństwo kościelne przełożył już był razem z Konstantynem. »Legenda rzymska« nakoniec mówi, że Konstantyn i Metodyusz przed udaniem się do Rzymu zostawili na Morawach wszystkie księgi potrzebne do nabożeństwa (ad Ecclesiae ministerium) a tylko przekład Ewangelii z sobą na Morawy przynieśli. Słusznie zauważył Jagić i Pastrnek, że może się to tylko odnosić do ich słowiańskiego tłumaczenia, które papież w Rzymie poświęcał. Por. Jagić: Op. cit. str. 19 i Pastrnek: Op. cit. str. 75.

łem już sposobność nadmienić kilkakrotnie, jest wiarogodne. To też jest on ogólnie przyjęty, zbyt bowiem jest pewny i silnie ugruntowany. Możemy go zresztą sprawdzić. Wiemy przecież skądinąd, że msza i całe nabożeństwo było w istocie przełożone na język słowiański przez Konstantyna, mówią o tem wyraźnie, jak się wkrótce dowiemy, oficyalne i niepodejrzane pisma papieskie. Ale i tutaj podobnie, jak przy rozważaniu początków całej misyi morawskiej, inna rzecz sam fakt — a inne jego przyczyny i pobudki. O tych znowu wprost nie mówią źródła, tu więc historyk ma wolne pole do domysłów, byle od źródeł zbytnio nie odbiegał — bo, jak to raz jeszcze powtarzam, są one zbyt pewne, aby je można bez powodów lekceważyć i choćby w szczegółach zbyt pohopnie odrzucać, zmieniać i przeistaczać [1].

Msza i całe nabożeństwo słowiańskie było niepraktykowaną nowością nie tylko już w łacińskim, ale i w greckim Kościele. Musi więc zdziwić każdego, skąd wpadł Konstantyn na tę myśl i z jakich powodów zaprowadził tę innowacyę, która mogła być nawet źle widzianą w jego własnym wschodnim Kościele?

Chcemy czy nie, ciemna kwestya genezy czyjegoś pomysłu — w naszym wypadku, kwestya zrodzenia się pomysłu liturgii słowiańskiej znowu zachodzi nam w drogę! Wyminąć jej nie możemy, bo istotnie chodzi o rzecz zasadniczą i ważną. Jakie i kiedy nieujawnione zamysły i myśli przechodziły przez głowę Konstantyna jej twórcy — tego, powiedzmy to sobie z góry, nie dowiemy się nigdy, bo za wiele się chcemy dowiedzieć. Myśli nasze są tajemnicą dla każdego drugiego człowieka, a często ich pochodzenie jest i dla nas samych ciemne i zawiłe — czyny tylko są jawne i konkretne, musimy się więc przedewszystkiem o nie pytać i uważać je za drogowskazy naszego badania. Wiemy wszelako iż, aby czyn lepiej poznać i uzasadnić, musimy sobie zdać sprawę z jego pobudek, musimy odnaleźć i »dopasować«, jeśli tak powiedzieć wolno, dla każdego z nich motywy zgodne z logiką i psychologią, któreby mogły wytłumaczyć i objaśnić, czy w danej

[1] Prace Götza i Friedricha nad Konstantynem i Metodyuszem są takiego postępowania przykładem.

chwili takie lub inne postępowanie odpowiada ogólnie znanym prawom ludzkiego myślenia i czucia. Dopiero, jeśliby się okazało, że tak nie jest, wówczas dopiero możemy sam fakt podać w wątpliwość. Źródła, jak wiemy, mówią zgodnie i wyraźnie, że Konstantyn na Morawach przełożył Mszę i całe nabożeństwo, — to jest fakt, logiczne pobudki jego zaraz postaramy się odnaleźć.

Postępowanie Konstantyna, aczkolwiek, jak to zaznaczyłem, dosyć niezwykłe i odbiegające od przyjętych ogólnie wówczas poglądów, nie jest przecież znowu tak szczególnem, abyśmy go nie zdołali połączyć z jego własną, osobistą psychologią i z warunkami, w których się on znalazł. Były one tego rodzaju, że dostatecznie mogą umotywować pomysł zaprowadzenia słowiańskiej liturgii taki, jak go znamy. Konstantyn wraz z bratem znaleźli się na Morawach, gdzie mieli nauczać i nawracać Słowian. Nie byli w tym kraju pierwszymi. Przed nimi już, jak mówią źródła, nauczali tam różni duchowni, włoscy, greccy, ale przedewszystkiem niemieccy, to jest łacinnicy, i z nimi musieli się obaj bracia spotkać. I nie tylko spotkać, ale i rywalizować. Księża włoscy, jeśli byli istotnie, i jeśli to nie amplifikacya autora żywotu, w każdym razie byli bardzo nieliczni, ale znacznie liczniejsi musieli być niemieccy, liczniejsi i śmielsi, bo za nimi stało państwo wschodnio-frankońskie, z nimi też musiał się rachować nawet i sam Rościsław. Można im wiele robić zarzutów, wiemy nawet jakich, ale w każdym razie to im należy przyznać, że byli to ludzie twardo stojący przy dogmacie i z pewnością zbyt twardo przy wszystkich szczegółach rytuału. Tam gdzie dotarli, dotarł też z nimi oczywiście nienaruszony i niezmieniony obrządek łaciński, taki jaki panował w całem ówczesnem państwie frankońskiem. Msza łacińska, całe nabożeństwo łacińskie, aż do najdrobniejszych szczegółów, nie dopuszczało języka innego jak łacina. Jedynie nauka niedzielna, o ile była, mogła się odbywać w języku słowiańskim, choć to musiało być rzadkiem, wyjątkowo bowiem tylko księża niemieccy władali językiem Słowian morawskich. Z czemże teraz przychodził Konstanty, on jeden, który mógł mszę odprawiać? Ze mszą według obrządku greckiego, nieco odmienną od łacińskiej: różnice te wszakże najzupełniej były

dozwolone i język grecki, w którym czas jakiś Konstantyn musiał odprawiać nabożeństwo, był tak dobrze uprawnionym, jak łacina. Mogli o to wszystko księża łacińscy patrzyć na niego krzywo, ale go zaczepiać nie mogli, jedno pochodzenie Ducha świętego dawało tylko powód do teologicznych sporów. Jeżeli więc chodziło o stosunek Konstantyna do duchowieństwa łacińskiego, to mógł on długo takim pozostać. Obie strony z niechęcią i tajoną nawet zawiścią na siebie patrzyły, ale znosić się i tolerować musiały, do wybuchu też ostatecznego nie przyszło. Konstantyn był najzupełniej w swojem prawie i mógł zawsze i wszędzie odprawiać grecką mszę i nabożeństwo, a kwestya »filioque« nie była wówczas dogmatem dla zachodniego Kościoła. Położenie więc jego wobec duchownych łacińskich było naprężone ale poprawne. W takich jednakże sytuacyach, jak jego, najgorszą jest rzeczą dawać »broń w ręce« przeciwnikowi, bo ten skwapliwie ją pochwyci i zużytkuje: a właśnie Konstantyn to uczynił! Msza słowiańska była czemś zupełnie nowem, nieznanem i niepraktykowanem w obu Kościołach, a szczególnie w zachodnim, łacińskim. Wprowadzając ją, dostarczył Konstantyn słusznych powodów do wszelkiego rodzaju zarzutów wypowiedziało mu też o to duchowieństwo łacińskie wojnę długą i zaciekłą. Jeśli więc idzie o stosunek ze swym i współzawodnikami, to go pogorszył, a przez to pogorszył i tak już trudne swoje położenie. Błędem jednak tego kroku Konstantyna nazwać nie możemy, bo nie był on nim wcale! Inaczej bowiem się on nam przedstawi, jeśli weźmiemy pod uwagę stosunek nie do niemieckich księży, ale do słowiańskiego ludu, uczniów i wiernych, których miał Konstantyn nauczać. Co stracił w jednym kierunku, zyskał w drugim, zysk był nawet większym, donioślejszym i prawdziwszym. Cóż bowiem temu ludowi przynosił, gdyby nie był wprowadził mszy słowiańskiej? Mszę odprawianą w innym, tak samo obcym i tak samo niezrozumiałym języku! Zamiast nabożeństwa po łacinie, które było już znanem i częstszem, byliby Morawianie słuchali nabożeństwa po grecku, do którego byli mniej nawykli, i które, powiedzmy to bez ogródek, wobec braku greckich misyonarzy, a bądź co bądź przewagi politycznej i liczebnej łacińskich, miało bardzo małe widoki po-

wodzenia i rozwoju, ba, nawet nie miało widoków istnienia, byłoby też przeszło, nie pozostawiszy głębszego śladu.

Niezadługo po przybyciu na Morawy, sądzę, że już w pierwszym roku swego pobytu Konstantyn spostrzegł, i bardzo dobitnie się o tem przekonał, że uzyska przewagę nad niemieckimi księżmi, jeśli zaprowadzi słowiańską liturgię, i że tem sobie zjedna tych, których miał nauczać i nawracać. Zjedna ale i oświeci, bo nie wątpię o tem, że Konstantyn nie użył tego środka jako przynęty, że nie wprowadzał mszy słowiańskiej jedynie ze względów zwykłej konkurencyi i z nienawiści do Rzymu, której nie żywił. Użył tego środka, ale wierzył mocno, że to był środek godziwy, który wyjdzie jemu na dobre, Kościołowi wschodniemu może zapewnić zwycięstwo, ale nie mniej wyjdzie Morawianom na pożytek. I w tem się nawet nie omylił. Prędkie rozpowszechnienie się liturgii słowiańskiej, wyraźnie to wskazuje.

Znaleźliśmy przeto jak sądzę dostateczne powody, które zupełnie dobrze objaśniają wprowadzenie na Morawach liturgii słowiańskiej przez Konstantyna. Z tych samych powodów, ważnych i zasadniczych dokonał on przekładu mszy i nabożeństwa, najbliższą zaś konsekwencyą tych dwóch założeń będzie wniosek, że na Morawach, nie gdzieindziej pod wpływem tych właśnie okoliczności i warunków, które poznaliśmy, Konstantyn tę myśl brzemienną w następstwa powziął i przeprowadził. Nie łączę sprawy wynalezienia pisma słowiańskiego z kwestyą liturgii, alfabet słowiański, jak każdy inny służy do wszystkiego, w naszym zaś wypadku, jak wiemy potrzebował alfabetu Konstantyn w każdym razie do przekładu pacierza, ewangelii, homilii, a nawet Pisma świętego. Wszystko to było pilniejszem i przedewszystkiem nie wychodziło ze zwykłych stosunków greckiego Kościoła, kiedy przekład i zaprowadzenie mszy słowiańskiej były przeciwnie czemś zupełnie nowem i bardzo śmiałem. Oczywiście pismo słowiańskie umożliwiło ten przekład, jak każdy inny, ale nie sądzę, aby mogło w bliższy i bezpośredni sposób wpłynąć na sam przekład liturgii; Konstantyn dla jej przekładu z pewnością nie wynajdywał głagolicy czy kirylicy! Oczywiście nie byłby on wpadł na tę myśl i nie byłby zdecydował się na ten krok tak

śmiały, gdyby nie dawniejsze jego, bardzo szerokie teoretyczne poglądy na kwestyę języków liturgicznych: był to ten kompleks opinii i zapatrywań, z których w danej chwili można było tę konsekwencyę wyciągnąć, i z których się ona wyłoniła, ale dopiero wówczas, kiedy wyjątkowo trudne warunki w jakich się nasz apostoł znalazł na Morawach doprowadziły go do tego. Nie zmniejsza to bynajmniej 'oryginalności' i śmiałości pomysłu, bo umieć zaradzić grożącemu niebezpieczeństwu, krokiem tak śmiałym a zarazem tak skutecznym może tylko umysł niepospolity.

Zapewne, tak mało wiemy, co się dzieje w duszy każdego człowieka, że i to, co powiedziałem, nie może być pewnikiem. W gruncie rzeczy jak wspomniałem, przymierzamy tylko i próbujemy, czy się pewien podkład psychologiczny z konkretnemi faktami nie zgodzi. Każdy zresztą czyn bez mała możemy wprowadzić w związek nie koniecznie z jednym jedynie kompleksem zjawisk psychicznych, lecz z wieloma, bo ich zawsze więcej odnaleźć można. Sądzę jednak, iż przeważna i decydująca rola, którą przyznaję warunkom zewnętrznym i sposób, w jaki objaśniam powstanie liturgii słowiańskiej, choć nie jest może jedynie możliwym, jest w każdym razie bardziej prostym od innych i bardziej ze źródłami w zgodzie.

(Dok. nast.).

Karol Potkański.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

POMOC PRAWNA.

Położenie naszej ludności włościańskiej i robotniczej, przeważnie ze sfer włościańskich się rekrutującej, mimo powolnego wzrostu ekonomicznego Galicyi, jest tego rodzaju, że kwestya bezpłatnej opieki prawnej, zwłaszcza wobec szeregu ubocznych czynników, utrudniających i pogarszających to położenie, jest jedną z najbardziej naglących w naszym kraju.

Niejednokrotnie już w literaturze i w praktycznem życiu społecznem podnoszono potrzebę obznajamiania wszelkich warstw ludności bodaj z zasadniczemi podstawami przepisów prawnych. Przypominam tu głośne w swoim czasie artykuły prof. Zolla starszego. Do tego samego celu zmierzają wzorowe publikacye o księgach gruntowych, o prawie spadkowem i inne starszego radcy Szybalskiego, sekretarza Szufnary i t. d. Atoli tego rodzaju informacye nie są w stanie zastąpić pomocy prawnej w konkretnym wypadku; prawo bowiem to las przepisów, w których człowiek niefachowy zoryentować się nie może i dobrze, jeżeli wie, do kogo o poradę się zwrócić i jaką drogą pójść, aby niczego nie zaniedbać i przepisom formalnym nie uchybić. Nawet to życie na roli, zdawałoby się szare i jednostajne, nastręcza ogromne bogactwo i rozmaitość wypadków, w których do głosu przychodzi

prawnik, i w których nieznajomość ustawy naraża jednych na największe szkody, a jednocześnie przebiegłość przysparza drugim niepomierne zyski.

Mamy tu zaraz pierwsze z brzegu sprawy o zniesienie współwłasności. Wedle naszego prawa, wzorowanego na prawie rzymskiem z chwilą wydania dekretu dziedzictwa kończy się czynność sędziego spadkowego. Sędzia w najlepszym razie zarządzi jeszcze intabulacyę prawa własności na rzecz spadkobierców. Jeżeli ich jest więcej, intabuluje ich po równych częściach w stosunku do całości i w ten sposób wpisuje do hipoteki. Tak więc Jan, Józef i Michał są właścicielami po $^1/_3$ części realności w Koziej Wólce pod nrem 34. W samej rzeczy jest inaczej. Janowi ojciec przeznaczył kawał pola pod lasem, Józefowi parę zagonów między gruntami sąsiada a rzeką a Michałowi resztę. Kodycyl znajduje się w aktach, ale o to sędzia się nie troszczy, chyba, że między spadkobiercami znajdują się małoletni. Rzeczą spadkobierców jest zrobić dział majątkowy, sprowadzić geometrę, kazać wymierzyć parcele, tak jak rodzic każdemu przeznaczył i wydawszy na pogrzeb i notaryusza za spisanie aktów spadkowych dużo pieniędzy, zapożyczyć się jeszcze na geometrę i sporządzenie działu majątkowego u adwokata lub u notaryusza. Do tego zresztą potrzeba zgodnej woli wszystkich spadkobierców. W braku tejże pokrzywdzony w swem mniemaniu syn lub córka czując się w hipotece równo uprawnionymi, wbrew woli ojca albo sprzedają swoją część innej osobie zgoła obcej, często propinatorowi lub bankierowi wioskowemu alho sami wdrażają kroki sądowe o zniesienie współwłasności.

Ustawa cywilna postanawia, że w razie współwłasności każdy ze wspólników może żądać jej rozwiązania przez licytacyę, jeżeli przedmiot współwłasności fizycznie podzielić się nie da. Ponieważ w spadku pozostaje prawie zawsze obok gruntu i dom, którego z natury rzeczy podzielić fizycznie nie można i co do którego zresztą wyraźnie ustawa orzeka, że domy są niepodzielne, więc też na życzenie samego spadkobiercy lub tego, który od niego jego część spadkową nabył, odbyć się musi licytacya, a w takich razach grunt sprzeda się publicznie, często za bezcen, i wówczas

ów licytujący sam nieraz całą realność nabywa, resztę zaś współwłaścicieli spłaca, w odpowiednim stosunku rozumie się do licytacyjnej ceny kupna, nie do rzeczywistej wartości odziedziczonego gruntu.

Oto pierwsza kategorya procesów, które w ustawie przewidziane tylko w wyjątkowych wypadkach, rozmnożyły się w Galicyi tak bardzo, iż są prawie nieodłączne od wszelkich pertraktacyi spadkowych włościańskich, jeżeli spadkodawca nie sporządził testamentu, lecz zwyczajny kodycyl, tj. nie ustanowił uniwersalnego spadkobiercy a pozostawił więcej dzieci. Z tego jednego przepisu ustawy korzystają całe gromady przebiegłych spekulantów ze szkodą i uszczerbkiem ogółu.

W ostatnich czasach zarządziło ministerstwo sprawiedliwości, by sędziowie, przeprowadzający spadek w podobnych wypadkach, dokonywali także działu majątkowego. W razie zgody wszystkich znaczna to ulga w kosztach, ale w ilu to wypadkach zgody niema i wciśnie się nieproszony trzeci, który na niezgodzie korzysta. Proces o zniesienie współwłasności jest więc w tych wypadkach nieuniknionym i, bez względu na wyniki, pochłania ogromne koszta.

Drugą kategoryę procesów bardzo rozpowszechnionych w Galicyi, stanowią t. zw. procesy prowizoryalne. Wprowadzone równie za wzorem prawa rzymskiego, przemieniły się w ironię wszelkiego prawa, a jakkolwiek przyświecała tej instytucyi przy jej ustanowieniu zdrowa myśl utrzymania stanu posiadania tam, gdzie dopiero trudny i zawiły proces o własność musiałby rozstrzygnąć o prawie między stronami, w praktyce stały się prawdziwą plagą ludności włościańskiej. Tu już winno w pierwszym rzędzie pieniactwo naszego ludu, który dla drobnostki: pasania bydła na granicy między dwoma zagonami lub dla innego podobnego zdarzenia przedstawiającego wartość kilkunastu halerzy, wydaje na adwokatów i komisye sądowe po kilkadziesiąt i więcej koron.

Sądy galicyjskie zasypywane są nadto sprawami o obrazę czci, t. zw. »pyskówkami«. Że, przez zbytek temperamentu, parobek jeden drugiego pobije, to niewielkie nieszczęście; ale zdarza się to i ludziom dojrzałym, nadto zaś nawet w razie najlżejszego

dotknięcia, każdy, stary czy młody, uważa sobie za obowiązek honoru oddać obronę czci swojej sądowi.

Znany to epizod o góralu, który, uderzony przez drugiego, powiedział: »Odebrałeś mi honor, więc zabierz mi życie«.

Ale to powiedzenie, na szczęście, wyjątkowe, dowodziło jedynie zbytniego przejęcia się fałszywem pojęciem o honorze, jakie panuje w klasach bogatszych, w klasach posiadających; mówię fałszywem, bo czci faktycznie nikt nas pozbawić nie może, tylko my sami i nasze własne postępki.

Zauważyć też można niesłychaną wrażliwość na punkcie honoru w całym naszym ludzie. Objaw to w zasadzie dodatni, ale kończący się często smutnem rozczarowaniem. Sędzia, który mógłby życzliwem i przyjaznem słowem pogodzić często największych przeciwników — bo w oczach chłopa otoczony jest jeszcze zawsze tą aureolą godności i powagi, jakiej w klasach innych w tym stopniu już nie zażywa — lekceważy sobie niejednokrotnie sprawy honorowe chłopskie, nie rozumiejąc jak wielką społeczną krzywdę takiem lekceważeniem wyrządza.

O stosunkach we wschodniej Galicyi kursuje anegdota tej treści, że pewien sędzia karny przywoławszy wszystkie strony do sali rozpraw, zawezwał je do pogodzenia się. Obrażeni byli temu przeciwni, krzywdziciele wszyscy oświadczyli się oczywiście za zaniechaniem sprawy a to samo świadkowie, którzy przeciw żadnej stronie świadczyć nie mieli ochoty. Sędzia więc zarządził głosowanie, a gdy za zaniechaniem sprawy więcej rąk się podniosło, bo i oskarżonych i świadków, kazał po prostu oskarżycielom pójść do domu i orzekł, że sprawy głosowaniem powszechnem zostały umorzone.

Takie niezwykłe zastosowanie socyalistycznego *panaceum* byłoby może i niezłe, gdyby przemawiało do poczucia prawa i słuszności społeczeństwa. Niestety tak nie jest.

I w pewnej stolicy zdarzały się dawniej wypadki, że sędziowie karni wyznaczywszy sobie termin np. na godzinę 8 rano, bocznemi schodami wchodzili do kancelaryi, tak, że ich żadna ze stron czekających na korytarzu nie widziała i wywoływali sprawy w kancelaryi; gdy zaś, rozumie się, nikt się nie zgłaszał,

sprawy uznawali za przepadłe. Nie będę mnożył tych przyczynków do historyi naszego sądownictwa, należących zresztą już do przeszłości, ale i obecnie wymiar sprawiedliwości karnej w sprawach o obrazę czci dla ludności włościańskiej i robotniczej nie stoi na wysokości zadania. Sprawę taką się lekceważy, sędziowie od obu stron domagają się gwałtem zgody, a gdy strony pragnące przed sędzią się wyżalić i krzywdy swoje wypowiedzieć, nie od razu na to przystają, sędzia gniewa się i za »karę« każe czekać robotnikowi lub chłopu przez kilka godzin na kurytarzu. Winne temu i prezydya sądów, niedość staranne w doborze sędziów dla spraw karnych. Jeżeli sprawy honorowe powinny być wogóle uchylane dla swej subtelności i potrzeby znajomości stosunków miejscowych, oraz sposobu życia całej sfery ludności, w której obie strony się obracają, z pod orzecznictwa sądów zwyczajnych i przekazane osobnym sądom honorowym, obejmującym po kilka gmin lub gminę zbiorową przyszłości, a tylko ważniejsze wypadki krzywdy wypadałoby pozostawić sądom państwowym, to w o wiele wyższej mierze ma to zastosowanie do włościan, którzy nie uzyskawszy sprawiedliwości, jakiej w prostocie ducha się spodziewali, niejednokrotnie sami gwałtowną sobie wymierzają sprawiedliwość, w każdym zaś razie uczą się marnować czas i pieniądze na chody do miasta, stacye po szynkach przydrożnych i honorarya dla adwokatów.

Póki atoli dotychczasowe przepisy o zniesieniu współwłasności, o sporach prowizoryalnych i o orzecznictwie sądów w sprawach o obrazę czci pozostaną w swej mocy i spory tych kategoryj będą nieuniknione, pożądanem jest, by zastępstwa stron w tych sprawach dostawały się we właściwe ręce i niezamożnych stron nie narażały na niestosunkowe wydatki.

Jest jeszcze dalsza specyalność Galicyi, a są nią pokątni pisarze i naganiacze adwokaccy. Ostatni stają przed bramami domów, zamieszkiwanych przez bardziej znanych adwokatów, wyłapując im klientów włościan i ściągając do tych rzeczników, którzy im za to płacą; inni stają na rogatkach, najczęściej w dni targowe, przesiadują w szynkach, myszkują za sprawami, a dowiedziawszy się o sprawie jakiej, śpieszą ofiarować usługi swych

chlebodawców klientom. Nadto każde miasteczko powiatowe, niemal każda wieś posiada swoich pokątnych pisarzy, którzy potrafią ułożyć podania do starostwa lub sądu, a rekrutują się bądź z pisarzy gminnych lub byłych gospodarzy, bądź też z propinatorów i bankierów wiejskich. O ile ludzie ci potrafią ułożyć dane podania za cenę niższą, niż adwokat ułożyć jest w stanie, czasem za 20 lub 30 ct., pisarze ci są nawet pożyteczni, a obławy na nich urządzane zupełnie nieusprawiedliwione; atoli o wiele częściej zdarza się, że pisarz pokątny napisze podanie w sprawie, wymagającej znajomości rzeczy i przepisów ustawy, że napisze je źle, że uczyni przyznania dla strony szkodliwe, że nie o to poprosi, o co prosić powinien, a tymczasem mija termin bezpowrotnie i strona nie dla braku słuszności swej sprawy, ale dlatego, że oddała się w ręce niefachowego doradcy, przegrywa czasem sprawę najsłuszniejszą. Tu należy w interesie ogółu nieświadomego prawa umożliwić mu korzystanie z porady rzeczników fachowych.

Emigracya stała do Ameryki, obejmująca corocznie kilkudziesięciu tysięcy ludzi, pociąga za sobą innego rodzaju interesa: sprzedaż gruntów i to sprzedaż pospieszną, albo też w razie zamiaru powrotu, wydzierżawienie tych gruntów. I w tych interesach włościanin zdany jest często na pomoc ludzi niesumiennych, dbających tylko o zysk własny, a nie troszczących się ani o interes klienta, ani tem mniej o interes całego społeczeństwa, którego często wcale nie rozumieją.

Mnożące się w naszym kraju parcelacye, prowadzone często przez ludzi niefachowych lub spekulantów, mających na celu tylko własne wzbogacenie się, wymagają również sumiennych i życzliwych ludowi naszemu doradców, bo parcelujący jedni przez nieopatrzność, a drudzy przez chęć zysku, myślą tylko o wzięciu zadatków, ale im ani w głowie z tych zadatków spłacać długi bankowe i oddać włościanom grunta czyste od długu, tak jak je oni w dobrej wierze kupili. I tu włościanin potrzebuje sumiennego adwokata, któryby miał odwagę cywilną nie pozwolić na jego krzywdę, i tak sprawę poprowadzić, by włościanin gruntu nie przepłacił i otrzymał to, co kupił, hipotecznie wydzielone i czyste od długów. Wreszcie i w sprawach ściśle robotniczych,

pomoc sumiennego rzecznika w II-ej instancyi, wskutek odwołań od wyroków sądów przemysłowych ma niepoślednie, socyalne znaczenie, w pierwszej bowiem instancyi adwokaci od zastępstwa w sądach przemysłowych prawem są wykluczeni.

Moralna i ekonomiczna doniosłość uczciwego zastępstwa prawnego jest ogromna. Na każdym kroku adwokat uczciwy może okazać się przyjacielem, doradcą, opiekunem, a nieuczciwy stać się przyczyną ruiny. Więcej jeszcze, należyta organizacya zastępstwa prawnego dla klas uboższych jest kwestyą pierwszorzędną dla naszego kraju i jakkolwiek dziś ludność zachodnio-galicyjska, więcej jest oświeconą niż dawniej, kwestya ta nie przestała być dotąd najbardziej piekącą. Jeżeli mimo to w tej formie dotąd poruszaną nie była, to stało się to dla uniknienia pewnych, nieuzasadnionych zresztą drażliwości, lub w mylnem rozumieniu, że stworzenie idealnego stanu rzeczników, dbającego tylko o korzyść publiczną, a nie o własną, a zarazem wzbudzenie w ludności takiego stopnia zaufania do zastępców prawnych, by żadnego kroku bez nich nie czyniła, należy do tych bajek społecznych, które może w Utopii Morusa, lub państwie Słońca Campanelli, ale nie na naszym szarym globie mogą się urzeczywistnić. Tymczasem rzecz nie przedstawia się wcale ani tak trudną do zrealizowania, ani tak daleką.

Jeżeli chodzi o to, by adwokat prowadził tylko sprawy słuszne, dążył do pogodzenia stron, stronom wyperswadował prowadzenie spraw wątpliwych, wreszcie zaś podejmował się zastępstwa możliwie bez zaliczek, to musi mieć takich klientów dużo, musi wiedzieć, że zaufanie jednych zależy od przeprowadzenia sprawy drugim, że wszyscy razem stanowią jego klientelę, wówczas zaś jego interes będzie się pokrywał z interesem publicznym.

Póki adwokat ma nielicznych klientów włościan, a znajduje się sam w przykrem położeniu materyalnem, powstaje kolizya między interesem własnym, a poczuciem obowiązków publicznych, kolizya nieunikniona, której ofiarą pada chłop przynajmniej o tyle, że prowadzi proces niepotrzebny, lub co do rezultatu nie zostający w żadnym stosunku z wydatkami, jakie za sobą pociąga. Adwokat ma formalnie racyę, bo prowadzi proces, na żądanie

i z polecenia klienta — nie odradza mu procesu, bo i z czegoby żył — ale chłop marnuje szczupłe swe zasoby na nieproduktywne cele, a z nim razem ubożeje i traci całe społeczeństwo.

Usunięcie tego smutnego stanu rzeczy, nastąpić może tylko w drodze organizacyi zastępstwa prawnego na wielką skalę.

Takie gromadne zastępstwa istniały już w Krakowie przedewszystkiem w Towarzystwach katolickich kobiecych, a mianowicie przy stowarzyszeniu robotnic z fabryki cygar pod wezwaniem św. Józefa, stowarzyszeniu szwaczek pod wezwaniem św. Antoniego i przy stowarzyszeniu sług imienia św. Zyty, później przy »Przyjaźniach krakowskich«, a niemniej przy związku stowarzyszeń robotniczych socyalistycznych. W związku tym słuszna zasada wynagrodzenia adwokata została konsekwentnie przeprowadzona. O ile mi wiadomo, tu wynagradza się adwokata z funduszów publicznych i pozostawia mu się nadto koszta sądowe. Tego przy stowarzyszeniach katolickich nie było; czynność adwokatów była tu wyłącznie filantropijną: być może, dlatego mniej się rozwinęła. W każdym razie ograniczyła się ona tylko do członków pewnych towarzystw, podczas gdy zastępstwo prawne, zorganizowane przez partyę socyalistyczną, odnosi się do wszystkich kół zawodowych, tak, że obejmuje szersze kręgi społeczeństwa.

Pragnąc kres położyć dotychczasowym stosunkom, nadużyciom i obojętności, a dostarczyć uboższej ludności włościańskiej, robotniczej, rzemieślniczej, wszędzie gdzie ona się znajduje, wydatną pomoc i opiekę prawną, należałoby utworzyć wielkie towarzystwo, obejmujące cały kraj, a z wkładek, do tego towarzystwa wpływających, utrzymywać w każdej miejscowości za ryczałtowem wynagrodzeniem adwokatów. Jeżeli doniosłość społeczna takiego stowarzyszenia będzie powszechnie uznana, zyskać ono może kilkudziesięciu tysięcy członków w całym kraju i z wkładek znaczne fundusze. Członkowie składać się mogą ze wspierających, płacących chociażby 1 K rocznie, założycieli, ofiarujących na cele towarzystwa pewne, wyższe kwoty i czynnych, niezamożnych włościan, robotników, lub rzemieślników, korzystających z usług i opieki towarzystwa.

Towarzystwo tego rodzaju, jako nie polityczne, mogłoby

mieć w całym kraju filie, adwokaci przez stowarzyszenie ustanawiani, musieliby mieć prawo odmówienia zastępstwa, w razie, gdyby sprawy sobie powierzone uważali za niesłuszne, stronie wszakże służyłoby prawo odwołania się w tym względzie do zarządu. Stemple i gotowe wydatki ponosiłby z własnych funduszów członek, prowadzący proces; w razie wygrania sprawy oraz przyznania i ściągnięcia kosztów sądowych od przeciwnika, odzyskałby, rozumie się ten wydatek.

W razie założenia takiego towarzystwa, skorzystałaby nie tylko ludność, ale i adwokaci. Dziś znajdują się oni bezsprzecznie w ciężkiem położeniu materyalnem, wówczas otrzymają pewny i stały zarobek, bez częstego dziś niestety w stosunku do ludności włościańskiej ryzyka, że im honoraryum przepadnie.

Przez utworzenie wielkiego, cały kraj obejmującego towarzystwa, zyskałoby się zarazem fundusze dostateczne do odpowiedniego wynagrodzenia adwokatów. Z chwilą, gdyby towarzystwo mogło dysponować dochodem rocznym z wkładek w wysokości 50.000 kor., mogłoby ono we wszystkich miastach galicyjskich rozpocząć funkcyonowanie. Z każdym z licznych adwokatów stowarzyszenia zawarłoby się umowę, wedle której tenże za ryczałtowem rocznem wynagrodzeniem w kwocie minimalnej n. p. 500 kor. i pozostawieniem kosztów sądowych w sprawach wygranych, miałby obowiązek wszystkich klientów, przysłanych mu przez stowarzyszenie, a należących do sfer włościańskich, robotniczych lub rzemieślniczych przyjąć, wysłuchać, a w razie uznania sprawy za słuszną, spór przeprowadzić. Możnaby przytem ustanowić pewne sprawiedliwe maximum spraw rocznie, aby adwokata tego nie przeciążać, a nadwyżkę spraw przydzielić drugiemu adwokatowi; należałoby dalej liczyć się z tą ewentualnością, że znajdą się i adwokaci, którzy będąc sami w ciężkiem położeniu materyalnem nie będą mogli poprzestać na nizkim ryczałcie, lub inni, którzy w małem miasteczku powiatowem będą mieli faktyczny monopol, lub wreszcie przeciążeni zastępstwem ubogich włościan, i którym z tego powodu trzeba będzie obok pozostawienia kosztów sądowych, przyznać wyższy ryczałt od normalnego.

Z drugiej strony zwłaszcza w miastach większych znajdą

się zawsze majętni i ofiarni zastępcy prawni, którzy poprzestając na ryczałcie, zrzekną się w pierwszych zwłaszcza latach całych lub połowy kosztów sądowych lub ryczałtu na rzecz stowarzyszenia, a z tak zyskanych funduszów stworzy się specyalny fundusz rezerwowy, przeznaczony do wyższego wynagrodzenia adwokatów pierwszej kategoryi.

Koszta przez sąd przyznane stanowią same przez się dostateczne wynagrodzenie pracy adwokata, rozumie się przypadałyby mu one tylko w tych wypadkach, w którychby sprawę wygrał, w przegranych ryczałt płacony przez stowarzyszenie stanowićby musiał wynagrodzenie łożonych trudów. Taki stan rzeczy sam przez się byłby najlepszą tamą wątpliwych a kosztownych procesów, interes bowiem adwokata w tym wypadku polegałby na doprowadzeniu do ugody i ominięciu sporu, zarówno dla niego jak i dla klienta uciążliwego i przykrego. Właśnie zaś taka zgodność interesów odpowiadałaby potrzebom całego społeczeństwa.

Za granicą istnieją instytucye podobne, jakkolwiek przy wyższym stopniu inteligencyi i zamożności mieszkańców mniej są one potrzebne. U nas stworzenie tego rodzaju towarzystwa na wielką skalę byłoby czynem społecznym pierwszorzędnej doniosłości, który wykształcona i dbała o dobro publiczne część społeczeństwa co rychlej przedsięwziąć może i powinna.

Statut takiego stowarzyszenia od lat kilku wypracowany czeka tylko na chętnych, którzyby go uchwalili i myśl tę na szerszą skalę w czyn wprowadzić zechcieli.

Dr. Leopold Caro.

Z DZISIEJSZYCH BADAŃ NAD RADIUM.

Jestto już faktem, na który zgadza się ogół ludzi kompetentnych, że w fizyce stoimy obecnie na przełomie, przed naszemi oczyma zaczyna się nowa zupełnie w tej nauce epoka. Badania, do których setki uczonych rzuciły się pod wpływem odkryć Röntgena, doprowadziły w ciągu lat kilku do rezultatów wprost nieoczekiwanych. Rad, aktyn, polon i zjawiska z temi substancyami połączone, dalej tajemnicze promieniowanie, wychodzące już nie z jednego lub drugiego, lecz ze wszystkich ciał w przyrodzie, wskazują nowe, nieznane dotychczas dla nauki drogi, a równocześnie zapowiadają, że te nowe promienie poglądy nasze o przyrodzie nowem rozjaśnią światłem, w blasku którego znane już i uznane teorye i prawa zupełnie inaczej, niż dotychczas, przedstawić się nam muszą. Prawdziwie ten rad, bo on głównie sprawił ów przewrot w nauce, nazwać można kamieniem filozoficznym, nie w owem znaczeniu naiwnem, jakie dawniej w tem pojęciu się mieściło, że mianowicie na wszystkie kwestye i wątpliwości daje rozwiązanie i pewną odpowiedź, lecz w tem naszem nowożytnem, sceptycznem znaczeniu, że z jednej strony zachwiał najpewniejszemi naszemi teoryami naukowemi, z drugiej zaś postawił przed umysłami naszymi mnóstwo nowych pytań, na które może nigdy ludzkość odpowiedzieć nie zdoła.

O różnych własnościach radu, w miarę jak je wykrywano, już niejednokrotnie na tem miejscu czytelnik mógł się informować. Obecnie wypada zwrócić uwagę na parę dalszych faktów

które same w sobie interesujące, mają nadto pewne głębsze, teoretyczne znaczenie. Przedewszystkiem trzeba więc podnieść to, że przypuszczenie, iż z radu wychodzą promienie nie jednego, lecz kilku rodzajów, znalazło zupełne potwierdzenie. Do odróżnienia ich od siebie służą dwa kryterya. Pierwsze, magnetyczne, bada, czy promienie dane zbaczają z prostej drogi, gdy do nich zbliżymy silny magnes, czyli, jak się w fizyce wyraża, czy doznają wychylenia w polu magnetycznem. Drugie zaś rozróżnia promienie na łatwiej i trudniej przenikliwe. Stawiamy mianowicie w drodze tych promieni rozmaite ciała, jak kawałki drzewa, szkła, blaszki metalu, gaz i badamy, czy i przez jak grubą warstwę takiej przeszkody promienie przenikają. Według tych dwóch kryteryów podzielił angielski fizyk Rutherford [1], a za nim inni, promienie wychodzące z radu na następujące trzy grupy.

Pierwszą z nich nazwał promieniami α. Są to promienie bardzo słabo przenikliwe, bo już dziesięciocentymetrowa warstwa powietrza, lub bardzo cienka, niespełna setną część milimetra grubości mająca płytka metalu, pochłania je w zupełności. Magnes zaś wywiera na nie pewne działanie, lecz bardzo słabe. Z licznych, przez rozmaitych fizyków dokonanych badań, pokazuje się, że te promienie α, zupełnie jednorodne, są to poprostu bardzo małe cząstki materyi o masie równej mniej więcej masie atomu wodoru, a biegnące z prędkością niezmiernie wielką, bo tylko dziesięć razy mniejszą, niż prędkość światła. Przebywają więc one około 30 tysięcy kilometrów na sekundę. Cząstki niosą na sobie ładunki dodatniej elektryczności. Tem się tłumaczy, że pod wpływem magnesu kierunek ich drogi się zmienia. Wiadomo bowiem jak ścisły związek istnieje między elektrycznością i magnetyzmem.

Promienie te α mają dla nas z pewnego powodu szczególne znaczenie. Oto pokazało się, że odkryty przez panią Curie-Skłodowską polon *(polonium)*, który jest ciałem wybitnie promieniotwórczym, wydaje ze siebie wyłącznie właśnie te promienie.

Drugą grupę promieni nazwano promieniami β. Nie są one

[1] E. Rutherford F. R. S.: *Radio-Activity.* Cambridge 1904, str. 90 sq.

jednorodne, to znaczy nie mają wszystkie tych samych własności. Jednak są o wiele więcej przenikliwe, niż promienie α, tak, że niektóre zdołają się przebić przez kilkumilimetrową warstwę takiego metalu, jak ołów, który nawet dla promieni Röntgena stanowi silną zaporę. Magnes działa na promienie tej grupy bardzo silnie, lecz odchyla je w kierunku przeciwnym, niż promienie α. Co do swej natury, to są to prawdopodobnie także również pociski, lecz o bardzo małych masach, bo tysiąc razy mniejszych, niż masa atomu wodoru, lecz biegnących z szybkością 300 tysięcy kilometrów na sekundę, to znaczy z tą samą szybkością co światło. Dodać jeszcze trzeba, że promienie te są zupełnie identyczne z tak zwanymi promieniami katodowymi, to jest tymi, które wychodzą z bieguna ujemnego, gdy prąd elektryczny przepływa przez rurkę wypełnioną silnie rozrzedzonem powietrzem.

Trzecią grupę promieni radu tworzą promienie γ. Przez ciała materyalne przenikają one niezmiernie łatwo, jednak magnes nie wywiera na nie żadnego wpływu, tak, że w najsilniejszem polu magnetycznem żadnego nie okazują zboczenia. O ich wewnętrznej naturze tylko tyle powiedzieć można, że są one promieniami Röntgena, to też podobnie jak te ostatnie, są dla nas najgłębszą otoczone tajemnicą. I jestto rzeczą charakterystyczną, że chociaż promienie Röntgena są stosunkowo dosyć już długo znane i najwięcej je badano, mimo to o ich wewnętrznym mechanizmie żadnego nawet nie umiemy sobie jeszcze wytworzyć pojęcia. Może być, że są te promienie świetlne o bardzo krótkiej fali, a może powstają podobnie jak światło, przez drganie cząstek, lecz drganie nieregularne. Dotychczas są to przypuszczenia fizyków, niepoparte jeszcze żadnymi pozytywnymi dowodami. W każdym razie rad promienie te obficie wydaje, stąd też używać by go można jako źródła promieni X i uniknąć w ten sposób kłopotliwych urządzeń, jakich do otrzymania promieni Röntgena są niezbędne. Oczywiście na razie nie ma jeszcze o tem mowy, głównie z powodu ceny i trudności utrzymywania go w większych ilościach.

Wogóle pozyskiwanie substancyi promieniotwórczych jak radu, polonu i t. p. nastręcza ogromnie wiele trudności i wymaga bardzo licznych działań chemicznych. Od ciała mniej czynnego

dochodzi się przez kolejne oddziaływania i strącania do coraz energiczniejszego, przyczem jednak bardzo wiele materyału odpada[1]. Tak np. rad otrzymuje się z odpadków blendy smołowcowej, minerału, z którego uzyskuje się uran. Lecz zawartość radu w tych odpadkach jest niezmiernie małą, jedna tona (1000 kilogramów) zawiera 2 do 3 dziesiąte części grama radu, a więc dwie milionowe części masy całej blendy. To też nic dziwnego, że np. fabryka Amnet de Lisle w Nogent-sur-Marne żąda za gram bardzo czynnej soli radu (bromku), 400 tysięcy franków. Czystego zaś radu, a tem mniej polonu, nikt dotychczas otrzymać nie zdołał.

Wymienione wyżej trzy typy promieni, wychodzące z radu, nie zamykają wcale listy zagadkowych właściwości tej substancyi. Jak powszechnie wiadomo, dwa lata temu odkryto fakt niezmiernie interesujący, że bromek radu wydaje ze siebie ustawicznie promienie cieplne, jak gdyby jaki żywy organizm, tak, że termometr będący z nim w zetknięciu pokazuje temperaturę stale o 3^0 wyższą, niż temperatura otoczenia, przyczem nie można dostrzedz ubytku masy samej soli radu. Obudziło to nowe dociekania, gdyż zarówno owe trzy rodzaje promieni, jak i promieniowanie cieplne przedstawiają zapasy energii i to stosunkowo bardzo znaczne; trzeba więc było znaleźć wyjaśnienie, skąd ta energia pochodzi, albo zmodyfikować najważniejsze prawo, na którym opiera się cała fizyka nowożytna, prawo zachowania energii.

Kiedy kwestye te żywo uczeni roztrząsali, twierdzenie Rutherforda, że z radu wychodzi nie samo tylko promienowanie, przedstawiające energię cieplną i elektryczną, lecz że prócz tego wypływa z niego jakaś substancya materyalna, zaczęło coraz więcej zwracać na siebie uwagę. Byłoby to zjawiskiem dotychczas w chemii nieznanem, by z jednego tylko pierwiastka powstawało jakieś inne, obce ciało. Nową tę zagadkę rozwiązać starał się przedewszystkiem znany chemik angielski, Ramsay, i jak się zdaje, ze sku-

[1] Curie-Skłodowska: *Recherches sur les Substances Radioactives.* Paris 1904.

tkiem pomyślnym. Wraz z Soddym i Colliem wykonał on cały szereg niezmiernie mozolnych i dokładnych badań, których rezultat i znaczenie najlepiej ocenić można, zapoznając się choć w krótkości z samemi temi pracami. Oto główne momenty jednego z najświeższych takich doświadczeń [1].

Niespełna setną część grama (70 miligramów) bromku radu rozpuszczono w wodzie i postawiono w naczyniu szklanem, połączonem z pompą powietrzną rtęciową. Pokazało się, że bromek radu wywołuje rozkład chemiczny wody, w której jest rozpuszczony i to stosunkowo do swej ilości dosyć szybko, gdyż można było w ten sposób otrzymywać 8 do 10 centymetrów sześciennych tygodniowo gazu, zawierającego produkty rozkładu. Gdy gaz ten zebrano w tak zwanym eudyometrze, to jest rurce szklanej, opatrzonej podziałką, z jednego końca zamkniętej, a drugim zanurzonej w rtęci i przepuszczono przezeń iskrę elektryczną, nastąpiła lekka eksplozya. W gazie tym bowiem, powstałym z rozkładu wody na tlen i wodór, zawierał się gaz piorunujący, to jest mięszanina wodoru i tlenu. Lecz gdyby w eudyometrze znajdował się sam tylko gaz piorunujący, wtedy przy eksplozyi tlen i wodór łączac się chemicznie, powinien wytworzyć kropelkę wody, całą zaś próżną część rurki powinna wypełnić rtęć, która eudyometr z jednego końca zamykała. Tu jednak stało się inaczej. Eudyometr nie został cały wypełniony rtęcią, lecz pozostało w nim jeszcze nieco gazu. Dalsze badania wykazały, że gaz ten składa się z wodoru, wydzielonego, nie wiadomo z jakiego powodu, w nadmiarze z wody pod wpływem bromku radu, nadto z substancyi lotnej, o bardzo charakterystycznych, jak zaraz zobaczymy, własnościach.

By bliżej z nią się zapoznać, przepuszczono ją do małego, zupełnie próżnego naczynia szklanego, które otoczono z zewnątrz płynnem powietrzem, przez co część gazu w naczyńku tem się zagęściła, część zaś lotną, głównie wodór, wypompowano. Wtedy substancya pozostała w naczyńku zajaśniała żywem światłem, tak,

[1] Sir William Ramsay: *L'émanation du Radium ses propriétés et ses changements. Revue générale des Sciences* 30. Juni 1904, p. 581; W. Ramsay u. F. Soddy: *Weitere Versuche über die Entwickelung von Helium aus Radium. Physikalische Zeitschrift* 1904, str. 349 i nast.

że można było przy niem w zupełnie ciemnym pokoju widzieć godzinę na zegarku. Zjawisko to świecenia trwało już ciągle. Gdy po odsunięciu z zewnątrz płynnego powietrza i ogrzaniu się tej emanacyi do temperatury pokojowej, poddano ją dokładnym badaniom, pokazało się, że w temperaturze zwykłej jestto gaz, stosujący się do zasadniczego prawa wszystkich gazów, to jest do prawa Boyla-Mariotta. Mianowicie jakkolwiek zmieniano jego objętość i ciśnienie, zawsze iloczyn objętości przez ciśnienie był dla tej samej masy gazu przy tej samej temperaturze liczbą stałą. Jak jednak subtelne to były pomiary można sobie uprzytomnić z tego, że ilość gazu, z którą czyniono badania, miała pod ciśnieniem atmosferycznem i w temperaturze pokojowej objętość dwusetnej części centymetra sześciennego. Oczywiście gaz ten poddano następnie analizie spektralnej i otrzymano widmo, podobne do widm gazów, jakie w ostatnich latach odkryto w atmosferze [1], a mające 18 linii, odpowiadających promieniom o długości fali od 635 do 463 mikromilimetrów [2], z tych dwa najsilniejsze, o długości fali 510 i 498. Widmo to było bardzo piękne i wyraźne, trzeba jednak było sześć miesięcy nieudałych prób i mozolnej pracy, aby je otrzymać! A więc emanacya powstała z bromku radu jest gazem, mającym swoiste widmo, posłusznym zasadniczemu prawu gazów, t. j. prawu Boyla-Mariotta i jak badania dalsze pokazały, chemicznie nieczynnym, to jest nietworzącym z innymi ciałami chemicznych związków. Emanacyę tę nazwał Ramsay: *exradio*, bo powstaje z radu. Dodać można, że według Ramsaya exradio jestto gaz jednoatomowy, to znaczy jego drobina składa się z jednego tylko atomu. Jego ciężar atomowy wynosi około 160.

Lecz to dopiero pierwsza część tych niezmiernie interesujących prac uczonego angielskiego. Kiedy bowiem dwie setne centymetra owej emanacyi, zamknięto zapomocą słupka rtęci w rurce pod stałem ciśnieniem, pokazało się, że jej objętość zwolna się zmiejsza, przyczem jednak gaz wydawał ze siebie bez przerwy owo

---

[1] *Przegląd Powszechny*, tom LXIII, str. 166.

[2] Mikromilimetr jest milionową częścią milimetra.

tajemnicze światło, zaś ściany rurki powlekały się barwą czerwonawą. To zanikanie objętości gazu odbywało się zupełnie regularnie tak, że po upływie trzech tygodni pozostał w rurce już tylko punkt świecący, aż wreszcie po miesiącu i ten zagasł, rtęć zaś wypełniła rurkę całkowicie. Gdy jednak rtęć z części rurki usunięto, i rurkę z zewnątrz lekko podgrzano, otrzymano w rurce znowu gaz i to objętości cztery razy większej, niż objętość pierwotnej emanacyi. Gaz ten nowy poddano badaniu spektralnemu i przekonano się, że ma się przed sobą pierwiastek znany już zkądinąd w chemii, lecz którego obecności od początku tych doświadczeń nie odkryto i pierwotnie nie przeczuwano. Otrzymano mianowicie widmo gazu zwanego helium.

Nasuwa się naturalnie pytanie, jak powstało owe exradio, i skąd się tu bierze helium, skoro od początku z niem nie mieliśmy do czynienia, skąd wreszcie pochodzi owa energia, którą ustawicznie rad wydaje w postaci tych trzech rodzajów promieni α, β, γ i promieni ciepła. Na to nauka jeszcze nie wiele może odpowiedzieć i różne czyniono przypuszczenia, dziś jednak coraz więcej między fizykami przyjmuje się pogląd, że wszystkie te emanacye tak energii, jak materyi pochodzą z tego, że atom radu ustawicznie się rozkłada. Wyobraźmy sobie mianowicie, mówią zwolennicy tej hypotezy, że atom radu złożony jest z bardzo wielu niezmiernie małych cząstek, które chociaż są w ustawicznym ruchu i krążą koło siebie, na zewnątrz jednak występują jako całość i trzymają się razem dosyć stale. A więc atom względem nas byłby niejako tem, czem układ słoneczny, t. j. słońce z ziemią i planetami, względem wszechświata. Ciała niebieskie, wchodzące w skład jego, w ciągłym są ruchu, tak wirowym, jak i postępowym, a jednak stanowią całość, trzymają się razem od milionów może lat i nadto razem wraz z słońcem biegną gdzieś w przestrzeń. Oczywiście układ ten słoneczny wysyła ciągle wielkie zapasy energii, zwłaszcza świetlnej, cieplnej i elektrycznej, na zewnątrz, do innych ciał niebieskich, a mimo to ruch jego cząstek, t. j. planet, wziętych jako całość, chyba wprost nie-

dostrzegalnej ulega zmianie. Gdyby system słoneczny energię tę tracił nadmiernie szybko, tak, że ruch jego planet składowych znacznej uległby zmianie, nastąpiłoby w nim zaburzenie, planety uderzyłyby o siebie, a układ cały, prócz nadmiernej ilości energii, wydałby może na zewnątrz, ku innym ciałom, całe masy materyi. Takim właśnie, rozpadającym się niezmiernie jednak wolno układem, jest według tej teoryi atom radu. Stąd pochodzą owe promienie elektryczne i cieplne, stąd też, jako emanacya maryalna, powstaje exradio; z niego zaś w ten sam sposób powstaje helium. A prawo to rozkładu nie ograniczałoby się tylko do radu i innych wybitnie promieniotwórczych substancyi, lecz byłoby to prawo ogólne, dla wszystkich ciał i pierwiastków — słowem, ewolucya martwej materyi.

Lecz zdawałoby się, że w takim razie masa radu musi ulegać zmianie, którą wykryć winniśmy zapomocą wagi, jako ubytek ciężaru, tymczasem, jak dotąd, nic podobnego na pewno nie zdołano wykazać. Na tę trudność odpowiada Ramsay prostym rachunkiem, z którego wynika, że przez to wywiązywanie się exradio traci rad przez cały rok niespełna jedną milionową część swej masy, a życie, czy raczej trwanie atomu jego podaje na 1150 lat. Jeżeli zważymy, jak małe mamy dotychczas do rozporządzenia ilości radu, nie trudno zrozumieć, dlaczego i najczulsze wagi straty takiej nie wykazują.

Pozostałaby jeszcze do rozstrzygnięcia kwestya, czem są owe najmniejsze cząstki, z których atom jest złożony, a których drobność przechodzi siły naszej wyobraźni. Jakkolwiek ta sprawa zajmuje ogół od lat siedmiu, to jednak umysłom naszym, przyzwyczajonym uważać atom za symbol małości, za coś niemożliwego prawie do rozbicia, tak jakoś nieswojsko obracać się w tym nowym, luźnym atomie, tak trudno przyzwyczaić się do owej masy, tysiąc, czy dwa tysiące razy mniejszej od najlżejszego z atomów, to jest atomu wodoru. Mimo to trzeba iść myślą z biegiem nauki dalej, trzeba zresztą pamiętać, że i ten ułamek atomu, ten, jak go dziś nazywają, elektron, może być czemś bardzo wielkiem, w porównaniu z owym atomem filozoficznym, na które filozofowie-atomiści chcą rozbić wszechświat. Otóż najtęższi fizycy dzi-

siejsi, idąc za genialnym J. J. Thomsonem [1], uważają te elektrony za cząstki naładowane elektrycznością ujemną. Spór jednak pozostaje co do natury samych tych elektronów — czy mianowicie są to cząstki materyalne, to jest podlegające powszechnemu prawu grawitacyi, a niosące tylko na sobie ładunki elektryczne, czy też może są to wprost najmniejsze cząstki elektryczne, lub jakieś punkty, z których rozchodzą się działania elektryczne.

Jak widzimy, potrącono tu o kwestye filozoficzne niemałej wagi. Bo najpierw wprowadzając pojęcie najmniejszego, a stałego ładunku elektryczności, tak zwanego elektronu, przystosowano teoryę atomistyczną do elektryczności. Dalej zaś podano w wątpliwość, czy może cała ta gruba, grawitacyjna materya, która nas otacza i która tworzy nasze ciało, nie jest tylko pewnym stanem skupienia, utworem elektryczności. Bo jeżeli atom składa się z cząstek, z których każda ma już naturę czysto elektryczną, wtedy i atom cały, a więc i wszystko, co z tego atomu zlepione, byłoby tylko pewną formą elektryczności. W takim zaś razie nie ma już prawa zachowania masy w tem znaczeniu, w jakiem go dotychczas pojmowaliśmy, chwieje się więc jeden z filarów chemii, z którego wiek dziewiętnasty tak był dumny. A nadto całą fizykę, a może i chemię objęłaby elektryczność i zamiast licznych działów i poddziałów, dotychczas nieraz luźnie jedną nazwą fizyki objętych, będziemy mieli jednę tylko naukę o elektryczności. Wtem właśnie znaczeniu w nauce stoimy obecnie na przełomie. «Otrzymane rezultaty», mówi sławny fizyk Curie, który odkryciami, dokonanemi wspólnie ze swą małżonką, panią Curie-Skłodowską, niezmiernie przyczynił się do rozwoju tych teoryj «mogą zmienić nasze poglądy, któreby można mieć o niezmienności atomów, o zachowaniu materyi i zachowaniu energii, o naturze mas ciał i o energii rozlanej w przestrzeni. Najbardziej fundamentalne pytania wiedzy podano więc znowu do dyskusyi« [2].

[1] *The Conduction of Electricity through Gases.* Cambridge 1903.
[2] *Physikalische Zeitschrift* 1904, str. 348.

Jak daleko i dokąd zajdziemy, tego oczywiście ani przeczuć nie można. To tylko zauważyć trzeba, że powtarza się tu znowu zjawisko tak zwykłe w dziejach nauki: odkrycia nowe, epokowe, posuwając wiedzę naprzód, odsłaniają całe szeregi nowych kwestyi, a z niemi nowych pytań i nowych wątpliwości.

Ks. Feliks Hortyński.

„TOWARZYSTWA ETYCZNE".

(Ciąg dalszy)

Czy z imieniem i wyznaniem pewnej religii dostały się do Towarzystw, lub są w planie jakieś rodzaje kultu, zewnętrznej czci religijnej? Podobnie jak zasady Ruchu, według wyznania samychże przygotowujących zawiązanie pierwszego niem. Towarzystwa zwolenników kultury etycznej, pokrewne są celom wolnomularstwa, tak też myśl o kulcie wzorowała się na urządzeniach masońskich. O pierwszem pouczają nas słowa berlińskiego komitetu w *Vorbereitende Mittheilungen*[1], dowodzące, że do »Ruchu etycznego« najbardziej zbliżone jest to »odżycie i rozszerzenie dążności etycznych w postaci wolnomularstwa«... »Zasady wolnomularstwa są bezwątpienia wielce pokrewne usiłowaniom, za pomocą których obecnie ludzkość stara się znaleźć nowe i szerokie pole spokojnego porozumienia się wśród tej ogólnej (waśni i) nieprzyjaźni. Chodzi teraz tylko o głębsze podniesienie tego, co łączy ludzkość, a o odpowiednie wycofanie tego, co ją dzieli...«

Na kongresie zaś w Eisenach myśl kultu poruszył Gustaw Maier w swem przemówieniu z 7 sierpnia 1893 r., w ten sposób:

»To jest poprostu z wolnomularskich doświadczeń zaczerpniętem zapatrywaniem, gdy taką wartość pokładam w konieczności i etycznej użyteczności jakiegoś rodzaju kultu. W czasach

[1] *Die ethische Bewegung in Deutschland. Vorbereitende Mittheilungen eines Kreises gleichgesinnter Männer und Frauen in Berlin.* Berlin 1892. Str. 28.

minionych gromadzili się wielcy i mali, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety raz na tydzień dla wspólnej, pełnej namaszczenia, idealnej czynności w poważnych przybytkach i w podniosłym nastroju, który... karmił umysł. W tym kierunku najidealniejsze, najskuteczniejsze usługi oddawał w każdym razie katolicki Kościół«. Ale więcej, niż to wszystko, sprawiało »mistrzowskie wpływanie na zmysły i wywołane przez nie uczucie wspólności, dzielny moment etyczny, w naszych czasach niemal zupełnie zatracony«. W miejsce kultu dla Niepojętego ma wstąpić »kult tego, co przyrodzone, prawdziwe i piękne«. Więc kreśli swój »kościół przyszłości«, wzorowany na lożach. Tam wszystkie sztuki mają służyć etycznej kulturze. W dniu wolnym od pracy gromadzi się lud »pobożny« i »starannie ubrany«. W ramach »poetycznego rytuału« »spełnia się poważna czynność, którą poprzedza i kończy podniosła, zrozumiała dla wszystkich muzyka lub wspólny śpiew. Środowiskiem będzie stosowny, naukowy czy literacki utwór, wykład, deklamacya, dramatyczne przedstawienie na przemiany« [1].

Pewnem urzeczywistnieniem tego programu było, w trzy dni potem w Eisenach przez członków kongresu odbyte, »nabożeństwo leśne«. Zgromadzeni o 8 rano na miejscu, zwanem *zur Theebuche* wysłuchali odmówionego przez proboszcza z Davos (w Szwajcaryi) K. Zieglera »nabożeństwa« o nędzy życiowej, walce i spoczynku. Dziwnie brzmiało zakończenie tego przemówienia: »Miejsce, na którem zgromadzeni jesteśmy, nazywa się *zur Theebuche.* A gdzież ten buk? On był! — On się znajduje w krainie, do której tyle ukochanych przez nas ludzi odeszło, w której i my wkrótce staniemy, w przeszłości. Czyż to nie jest najprzykrzejszą życia skargą, że ono mija? Czyż nie mają słuszności bluźniercy przeciw światu, gdy mówią, że najlepszym dowodem nędzy tego bytu jest to, że niktby nie chciał drugi raz tak żyć? Jaka to przewrotność i fałsz! Czyż róża jest mniej piękną, dlatego że więdnie, pieśń mniej wzruszającą, bo przebrzmiewa?« [2].

---

[1] *Die Eisenacher Zusammenkunft zur Förderung und Ausbreitung der ethischen Bewegung,* abgehalten vom 5—15 August 1893, herausgegeben von G. Maier (Berlin 1894), str. 34, 35 i nast.

[2] Tamże str. 135 i nast.

Pokrewną temu projektowi osobnego kultu etycznego, czy też etyzowania szerokich sfer zapomocą kultu jest myśl etyzowania samychże kościołów. «Czyż kościoły są własnością duchownych tylko?« — wołał nieżyjący już prezes Towarzystwa niem., prof. Förster. »Nie, one należą do obywateli, do nas«... Trzeba się starać skłonić władze kościelne do tego, aby kościoły i w dnie powszednie były otwarte, i aby w nich odbywały się bezpłatne koncerty muzyczne. »My chcemy zetyzować kościoły. Ale to tak prędko się nie uda, bo my jesteśmy chwilowo w liczebnej mniejszości, a oni (prawowierni) mają przewagę większą niż kiedykolwiek«... [1]

W tej myśli też nie powinni członkowie Towarzystw, jak zauważa rektor Maass, występować z Kościołów, do których należą, bo w ten sposób popierałoby się interesy prawowiernych, którzy sami będą wówczas bezsprzecznie ster władzy w rękach dzierżyli [2].

Ale nie tylko instytucye religijne, — wszystkie bez wyjątku należy etyzować na zasadach ogólno-ludzkiej, »świeckiej« moralności, więc urządzenia państwowe, polityczne, dobroczynne, miłosierne, socyalne, etyzowanie literatury, teatru i t. d., słowem: całego społeczeństwa [3].

Rozwińmy dwa najważniejsze plany i wyłaniające się z nich zasady: etyzowanie stanów i zawodów rozlicznych i etyczne wychowywanie młodzieży.

Obraz pierwszego podał Adler w jednem z swych przemówień berlińskich, posługując się projektowanym podziałem członków Towarzystwa na cztery oddzielne grupy, według rozmaitego zakresu obowiązków:

P i e r w s z a — to młodzież szkolna [4], (o której poniżej).

D r u g ą składają podrostki obojej płci; celem przygotowania ich do przyszłego życia w obranym zawodzie, wykłada się im obowiązki rozmaitego rodzaju zawodów, zwłaszcza zaś poucza

[1] *Vorbereitende Mittheilungen*, jak w. str. 22. [2] Tamże str. 29.

[3] Tamże str. 22, 29. i *Ethische Cultur* 1893, str. 61.

[4] *Die ethischen Gesellschaften*. Ein Vortrag, gehalten am 3 Juli 1892, str. 9.

się ich o etycznym stosunku przyjaźni, ponieważ w tym wieku »najczęściej powstają sojusze serc, w skutkach swoich nadające kierunek całemu życiu przyszłemu«. Tu należy wreszcie przygotować młodzież do stanu małżeńskiego przez jasne wykłady o przywiązanych doń obowiązkach i odpowiedzialności [1].

W trzeciej grupie znajdują się dojrzali wiekiem mężczyźni i kobiety. Ci poznać powinni obowiązki rodziców względem dzieci, obywatela względem państwa i obowiązki wzajemne rozlicznych klas społecznych i zawodów. »Tu właśnie trzeba z punktu widzenia ogólno-etycznego poddać krytyce te rozmaite socyalno-reformatorskie dążenia, i ze stanowczą śmiałością i otwartością zająć stanowisko po prawicy lub po lewicy«. I w samym obrębie Towarzystwa ma reforma społeczna znaleźć praktyczne poparcie. »Prawdziwie etyczny związek musi obejmować wszystkie klasy ludzi«. Przyjmować więc robotników conajmniej w równej liczbie, jak przedsiębiorców i pracodawców. Po obu stronach, już przez to właśnie zbliżenie jako członków jednego Towarzystwa, musi się wzbudzić głębsze zrozumienie swych wzajemnych obowiązków [2].

Czwarta grupa »starców, którzy skończyli już pracę dzienną« (życia) służyć ma swą radą tym, którzy jeszcze są na polu walki, powagą swego zachowywania się pozyskać sobie cześć młodszych i przygotowywać się na zakończenie tego życia przez stosowne rozważania.

W niedzielę wszystkie te sekcye razem słuchać mają wykładu wspólnych obowiązków wszystkich ludzi i przemówień moralnych, »które w najszlachetniejszy sposób zadowalniają potrzebę zbudowania [3]« wzajemnego. W ważniejszych chwilach życia ma całe Towarzystwo dzielić radość i smutek jednego.

»A oto zadajemy sobie pytanie: czy mamy porzucić drogą nam osobę tak bez śpiewu i odgłosu dzwonów? Bez ostatniego słowa pożegnania? I gdy ma być wypowiedziane słowo żałości, maż ono zakłócić harmonię naszej wspólnej boleści, mamyż usłyszeć słowa, które nie odpowiadają ani naszym najwnętrzniejszym

[1] Tamże str. 11. [2] Tamże str. 11 i nast.
[3] Tamże str. 12 i nast.

potrzebom, ani przekonaniom zmarłego? Czyżby to nie było obłudą nad otwartym grobem? Jeżeli jednak odczuwamy taką potrzebę... zadowolnić ją wtedy może tylko przyłączenie się do stowarzyszenia pokrewnych sobie duchem członków. I coś podobnego się dzieje w chwili wstąpienia w stan małżeński. I tu bardzo wielu nie zadowolni chłodna, zimna ceremonia w urzędzie cywilnym... pragnie się jakiegoś wyrazu namaszczenia. Małżeństwo przecież nie jest samym tylko kontraktem... Ale również nie jakaś święta formuła, której treść dawno już straciła dla nas wartość, powinna być podniesiona, tylko ten święto-ludzki *(Heilig-Menschliche)* charakter małżeństwa« [1].

Najbaczniejszą wszakże uwagę zwracają »Towarzystwa etyczne« na reformę szkolnictwa. Rozumieją to dobrze, że etyzowanie stanów o tyle może mieć widoki powodzenia, o ile w wczesnych latach jest rozpoczęte. Pozyskanie też nowych zwolenników, nowych, młodych, energicznych sił byłoby im zapewnione, gdyby raz udało im się ująć w ręce ster wychowania szkolnego. Dotyczące ich plany zarysowywują się w Niemczech wyraźniej, niż gdzieindziej, może właśnie dlatego, że mowy berlińskie Adlera, zawiązanie pierwszego niemieckiego Towarzystwa nastąpiły bezpośrednio po owym głośnym, Zedlitzowskim, projekcie prawnym, dotyczącym szkół ludowych w Niemczech. Najjaśniej jeszcze, najobszerniej i wielostronnie rozjaśnił tę kwestyę z punktu zapatrywania »Ruchu etycznego«, sam F. Adler jużto w wspomnianej już tylokrotnie mowie berlińskiej z 3 lipca 1892, już też w wydanej tego samego roku książce: *The moral instruction of children.*

»Podstawą z w i ą z k u jest moralne wykształcenie młodzieży... Mogę tu tylko ogólnie zaznaczyć, że w tym kierunku właśnie wielka jest potrzeba ruchu dążącego do reformy, i że istotą tej reformy jest zastosowanie zasad nowoczesnej pedagogii, która na wszystkich polach, z wyjątkiem zakresu nauki moralności, tak niezaprzeczonem wykazać się może powodzeniem, także do

[1] Tamże str. 16. — Z drugiej strony jednak pojawiło się w *Vorbereitende Mittheilungen* (str. 29) hasło unikania »wszelkiej mistyki i przesady«: Z zakresu wspólnej etycznej pracy mają być wykluczone wszelkie ceremonie, symbole, kulty«.

tej gałęzi nauki. Więc przedewszystkiem stosować się należy w tem nauczaniu do psychologicznego rozwoju: naprzód w sposób poglądowy uczyć moralności, zanim się postąpi do rozwijania etycznych pojęć, — zrobić przegląd i uporządkowanie bogatego zasobu bajek, mytologii, powiastek biblijnych i indyjskich, a to celem zaostrzenia wyobraźni na polu moralnem, — nie przeciążać umysłu dziecinnego formułami naukowemi, których dziecię zrozumieć nie jest w stanie, ale rozpocząć od takich obrazów moralnych, które leżą w zakresie własnego doświadczenia dziecięcia, — rozwijając zaś już same pojęcia etyczne usiłowaniem jakiegoś metafizycznego uzasadnienia nie schodzić na manowce, a natomiast, według systemu Sokratesa, przy pomocy konkretnych zdarzeń rozwijać niektóre zasady ogólne, w których się niejako wcieliło ludzkie doświadczenie. Dalej radziłbym posługiwać się przysłowiami, by wrazić w pamięć niektóre najgłówniejsze zasady moralności, — przedkładać młodzieży wybór z życiorysów szlachetnych mężczyzn i kobiet, celem zaostrzenia sądu moralnego i zapalenia do naśladowania tak wzniosłych wzorów, — nakoniec polecać wyuczenie się na pamięć niektórych przemówień moralnych, jak mowy Sokratesa przed sądem, wyjątków z kazania na Górze (Chrystusa Pana), z mów Izajasza, mowy Gettysburskiej Abrahama Linkolna, ostatnich słów Tomasza Morusa, aby w ten sposób za pośrednictwem słów utkwiła w umysłach młodzieńczych treść tych wspaniałych przemówień [1]«.

»Dawna szkoła poczytywała za jedynie konieczny warunek posłuszeństwo względem władzy; nowy ideał upatruje główny cel moralnego wykształcenia w zgłębieniu rozumowego uzasadnienia przykazania moralnego... Stawia on wewnętrzną powagę sumienia na miejsce zewnętrznej, nauczycielskiej [2]«. We wszystkich szkołach publicznych należy udzielać nauki bezwyznaniowej moralności *(unsectarian moral instruction)*, ponieważ niesłuszną jest rzeczą, by w utrzymywanych z publicznego grosza szkołach wykładano wyznaniową naukę religii, której wielu z płacących

[1] *Die ethischen Gesellschaften,* ein Vortrag... str. 9.
[2] *The moral instruction of children,* wstęp str. 6.

podatki nic życzy sobie wcale [1]. Zadaniem szkół publicznych jest też pielęgnowanie jedności narodowej, a wobec tego oparcie nauki na wspólnym wszystkim obywatelom, obyczajowym gruncie [2]. Więc »zadaniem szkół publicznych jest dostarczyć uczęszczającym do nich dzieciom wspólnych zasobów moralnej prawdy«, »przyjętych przez wszystkich dobrych ludzi, bez względu na różnicę ich wierzeń religijnych i przekonań«. Nauczyciel moralności »nie ma wyjaśniać, d l a c z e g o mamy postępować sprawiedliwie, ale poleconej swej pieczy młodzieży pomódz tylko do jasnego poglądu na to, c o jest słusznem i wpoić jej miłość i cześć wobec sprawiedliwości, którą sam jest ożywiony [3]«.

Decydującym m o t y w e m moralnego postępowania jest »kategoryczny imperatyw« »τὸ ‚powinienem' w całym swym cześć nakazującym majestacie [4]«. Mogą jednak do tego służyć i inne pobudki pomocnicze. »Moralny motyw, to pobudka najwznioślejsza i jedynie decydująca. Ale należy tu dobrze zrozumieć moje wypowiedzenie. Powiedziałbym dziecięciu: niesłuszną rzeczą jest kłamać. To samo w sobie już jest wystarczającem. To niesłuszne, to niedozwolone; samo musisz uznać, że prawdę mówię, ponieważ samem sobą pogardzasz, gdy skłamiesz. By cię jednak umocnić w twych słabych postanowieniach, pokrzepić twe siły w dobrem, dowiodę ci także, że kłamstwo jest przeciwne nawet własnym twoim interesom, że nieczystość wzbudza odrazę, i że krzywda wyświadczona innym, tobie samemu gotuje boleść. — W ten sposób powołuje się na pomoc władze estetyczne, intellektualne i uczuciowe, by świadectwem swem poparły moralne prawdy; wzywa się je, by chórem swym wszystkie razem dopowiedziały Amen do moralnych przykazań [5]. Ale »prawo samoistnego badania takich rzeczy daje się dopiero umysłowi, do pewnego stopnia już dojrzałemu [6]«. W wczesnych, dziecinnych latach stosować należy głównie metodę moralnego przyzwyczajania i autorytatywnego wpływu wychowawczego, opartego na uczuciu czci i poważania [7].

Są dwa rodzaje obowiązków: względem siebie i względem

[1] Tamże str. 9. [2] Tamże str. 11. [3] Tamże str. 15.
[4] Tamże str. 13. [5] Tamże str. 26. [6] Tamże str. 13.
[7] Tamże str. 13, 27 i nast., 48 i nast.

innych. Te ostatnie dzielą się znowu na ogólno-socyalne (względem wszystkich ludzi) i szczegółowe, względem pewnych osób, jak rodziców, rodzeństwa i t. d., oparte na szczególnych, wzajemnych stosunkach socyalnych [1]. Obowiązki względem siebie samego są fizyczne (nie odbieranie sobie życia, pielęgnowanie ciała, umiarkowanie i czystość), intellektualne (pozyskanie sobie wiadomości, szczerość i prawdomowność), i dotyczące uczuć (panowanie i uśmierzanie gniewu, zarozumiałości, bojaźni). Obowiązki względem bliźniego wogóle wymagają sprawiedliwości i miłości w stosunkach wzajemnych, obowiązki zaś szczególne, socyalne obejmują obowiązki małżonków, rodziców, dzieci, rodzeństwa, obowiązki urzędu i zawodu, socyalno-ekonomiczne, polityczne, związków przyjaźni i religijne [2].

W praktycznej nauce moralności należy dokonać wyboru i uporządkowania materyału naukowego stosownie do wieku i stosunków osobistych uczącego się [3]. Moralne wychowywanie musi się zacząć już w kołysce przyzwyczajaniem dziecka naprzód do regularności, a potem do dawania się powodować sobą. Później trzeba w niem rozwijać uczucie poważania rodziców, tej podstawy uszanowania względem wszelkiej powagi, poczucie własnej swej godności, głównie w związku ze zmysłem czystości moralnej, dalej zmysł sprawiedliwości i uczucia względem rodzeństwa. W epoce wykształcenia szkolnego na pierwszy plan wysuwa się obowiązek zdobycia sobie odpowiedniego zasobu wiadomości i okiełznania namiętnostek, i t. d. [4].

Przy wykładzie innych także gałęzi nauk nie zaniedbywać należy żadnej sposobności do moralnego wychowywania [5]. Właściwa zaś nauka moralności dzieli się na część poglądową i bardziej teoretyczną wykładów o obowiązkach.

Przedmiotem nauki poglądowej, od której się zaczyna nauka moralności, mogłyby być zmyślone opowiadania, pobudzające wyobraźnię, zwłaszcza bajki; potem podania, wybrane powiastki biblijne, wreszcie Odyssea i Iliada. Z tych jednak opowiadań należy

[1] Tamże str. 37 i nast.
[2] Tamże str. 39 i nast.
[3] Tamże str. 42 i nast.
[4] Tamże str. 45 i nast.
[5] Tamże str. 27 i nast.

usuwać wszystko, co »zabobonne«. Tak n. p. przedstawić można Adama i Ewę, jako dwoje dziwnie pięknych dziatek, braciszka i siostrzyczkę o prześlicznej postaci w bogatym ubiorze, przebywających w czarującej krainie. W miejsce Boga w obrazie biblijnym wstępuje tutaj rodzony ich ojciec. Zawiniły te dziatki, więc usłyszały z ust ojca następujący wyrok: »Jutro, gdy dzionek szarzeć zacznie, macie opuścić to miejsce. W tym prześlicznym raju nie może przebywać ten, kto choć raz był nieposłusznym. Ty, Adamie, musisz się nauczyć pracować; a ty, Ewo, musisz być cierpliwą i dla dobra innych ćwiczyć się w zaparciu samej siebie. Wtedy może po długim, długim czasie pewnego dnia znowu ze mną powrócicie do raju [1]«. — Odyssea i Iliada nadają się bardzo dobrze do tego celu, by w dziatwie rozwinąć sympatyę dla tych przymiotów i cnót, które w późniejszem życiu szczęście zapewnić jej mogą. Odysseusz to wzór przebiegłości, przemyślności, śmiałej przedsiębiorczości, zuchowatości, szybkiego decydowania się, wytrwałości w niebezpieczeństwach, stanowczości wobec pokus; Achilles, bohater Iliady, to wzór męstwa w boju. W postaciach drugorzędnych: Penelopy, Telemaka, Agamemnona Klytemnestry, Patrokla i t. d., widzi dziecko niejako uosobienie cnót życia domowego, uczy się cenić węzły przyjaźni i pogardy względem występków im przeciwnych [2].

Zadaniem wyższej, teoretycznej już bardziej nauki moralności jest wytworzenie pojęć etycznych i ustalenie zasad w postępowaniu. I tu wykluczyć należy wyjaśnianie pierwszych principiów filozoficznych czy teologicznych [3]. Wyłożone być mają tylko wysnute zasady moralne, co do których w »rzeczywistości nie ma różnicy zdań między rozmaitemi szkołami i sektami«, »formuły, które są wyrazem uogólnionego doświadczenia moralnego ucywilizowanej ludzkości« [4]. W teoretycznej tej nauce znaleźć musi miejsce omówienie główniejszych wyjątków od zasad ogólnych, celem wprowadzenia dzieci w należyte zastosowywanie moralnych zasad w trudniejszych okolicznościach życia [5].

Nie należy iść drogą, wytkniętą przez »moralnych rygorystów

[1] Tamże str. 111 i nast. [2] Tamże str. 147 i nast.
[3] Tamże str. 170. [4] Tamże str. 171.
[5] Tamże str. 171 i nast.

wszystkich czasów«, którzy »potępiali wzajemny ku sobie popęd obu płci« i »napróżno usiłowali go uciemiężyć«. Na słusznem względem niego stanowisku staje się przez definicyę etyki, jako nauki sprawiedliwego wymiaru granic. Prawo moralne zakreśla granice, w obrębie których ta namiętność *(emotional force)* ma wolne pole, i nadaje jej święte imię »miłości«, dopóki ona zna i trzyma się przepisanego zakresu. »Oto, co się ma rozumieć o uduchownieniu uczuć[1]«. Samobójstwo może być w niektórych wypadkach wyjątkowych dozwolone[2]. Trzema argumentami poprzeć można obowiązek umiarkowania i czystości: ponieważ występek przeciwny podkopuje zdrowie, wzbudza przesyt i niszczy szacunek samego siebie[3]. Wśród obowiązków sprawiedliwości względem bliźniego podnieść należy »poszanowanie duchowej wolności innych«, z niego się wywodzi wolność słowa, prasy, sumienia. Granicą tychże jest tylko równe prawo wszystkich innych[4].

Koroną nauki moralności w szkołach powinien być wykład obowiązków obywatelskich. Przedewszystkiem należy tu, nawiązując rzecz do gminy szkolnej, która w miniaturze przedstawia zarazem i państwo i społeczeństwo, rozwinąć trzy idee polityczne: idee majestatu prawa, kary i narodowości. Celem poparcia tej ostatniej trzeba nawet w szkole ludowej skreślić w głównych zarysach dzieje kraju i całego świata. Tak n. p. historya Ameryki ma być rozpatrywana z trzech punktów widzenia: walki z naturą w epoce kolonizacyi, walki o wolność polityczną w okresie rewolucyi, i walki o ogólną ideę moralną w epoce wojny domowej. W wykładzie dziejów powszechnych trzeba na pierwszym planie postawić obraz udziału poszczególnych narodów w rozwoju cywilizacyjnym całego świata[5].

Jeżeli wogóle w czemkolwiek innem, to zwłaszcza na tem polu, punkt zapatrywania Adlera uważany jest za decydujący w łonie Towarzystw etycznych; dlatego też tak szeroko rozwinęliśmy myśli pierwszego twórcy i najwybitniejszego przedstawiciela »Ruchu etycznego«. Zapatrywania te Adlera na kwestyę

---

[1] Tamże str. 21. [2] Tamże str. 190. [3] Tamże str. 192.
[4] Tamże str. 223. [5] Tamże str. 236 i nast.

i sposób wychowywania młodzieży tem większe musiały znaleźć uznanie w zwolennikach »Ruchu« w Niemczech, gdy już parę miesięcy przedtem posiedzenia przedwstępne do założenia Towarzystwa w Berlinie — wielce pokrewne tymże wykazały uchwały[1].

W duchu tych zasad pojęte wychowanie szkolne wymaga oczywiście równomiernego, w tymże samym kierunku zmierzającego wychowania domowego; inaczej zasady zaszczepione w szkole a wykorzenione w rodzinie, nie mogłyby wydać upragnionych plonów. Wobec tego nasuwa się bardzo ważne pytanie, jak się zapatrują przedstawiciele »Ruchu« na kwestyę wychowania domowego, jak pokierować pragną życiem rodziny i tą ściśle z nią związaną, podstawę życia rodzinnego stanowiącą, instytucyą małżeństwa. Zaznaczyć też wyraźniej tu należy stosunek obywatela do prawa i rządu, o którym już w kwestyi wychowania szkolnego napomknęliśmy cokolwiek, a który również, według zapatrywań »Towarzystw«, powinien być głównym przedmiotem wychowania jak w szkole, tak też oczywiście i w rodzinie. Czy i jak na tych polach zarysowywuje się ta główna idea przewodnia uniezależnienia etyki? Sposób wychowywania domowego podał już wspomniany dr. A. Döring w podręczniku swym »dla rodziców i wychowawców«, napisanym na konkurs niem. Towarzystwa etycznego. Obszernie na wwyż postawione pytania odpowiada znany nam już W. L. Sheldon w swoim »Ruchu etycznym«. W kwestyi zapatrywania się na małżeństwo podaje wprzód przyczyny tak częstego zawodu dotkliwie się mszczącego na wzajemnym stosunku małżonków i na całem życiu rodziny. »Małżeństwo oznacza poddanie siebie«. Wchodzi się w ten związek pod »wpływem pobudek sercowych«. Ale już przez samo uroczyste zobowiązanie się, wyrzeczenie się »przywileju myślenia tylko o naszych własnych sprawach« dokonuje się zmiana w nas nawet wbrew nam samym, zmiana w stosunku wzajemnym małżonków, »względem wszechświata i Potęgi, która nim kieruje«. To wyrzeczenie się i zmiana są już nieodwołalnym aktem, to poddanie się »na całe życie«. Niezrozumienie, nieurzeczywistnienie tej zasady jest przy-

[1] *„Die ethische Bewegung in Deutschland. Vorb. Mittheilungen etc.“*

czyną zawodu w małżeństwie, zawartem pod wpływem kaprysu lub przemijającej namiętności. Samolub, nieumiejący się poddać, poświęcić się, nie powinien zawierać tego związku. »Rodzaj ludzki dziś częściowo tylko dorósł do tej idealnej instytucyi«. Autor »wierzący, że prawa moralne nie potrzebują żadnej sankcyi nadprzyrodzonej«, staje przecież »po stronie Kościoła katolickiego«, broniąc bezwzględnej świętości małżeństwa. Instytucya ta »na własnych podstawach spoczywa«, nie zależąc ani »od samowolnej woli Boga« ani od powagi pisma ani od społeczeństwa: »jego sankcya tkwi w samej przyrodzie i jej prawach«. Od ścisłości wreszcie stosunku małżeńskiego zależy »cała cywilizacya przyszłości« [1]. Ale jakiem ma być to »poddanie się« w małżeństwie? Nie »faktycznem zniesieniem osobowości«. »Mężczyzna i kobieta w swem ukształtowaniu moralnem i duchowem«, pod względem »charakteru i instynktów« — to dwa »zasadniczo« odmienne typy istnień; dlatego też kwestya »równości kobiety z mężczyzną« jest »pozbawioną sensu«. Stąd »małżeństwo jest połączeniem sprzeczności«. Nie przyswajając więc sobie koniecznie gustów i interesów drugiej strony, należy tylko dla nich »otworzyć serce swoje z sympatyą«, «dopomódz« w usiłowaniach. Rozdzielenie się zaś małżonków, w niektórych warunkach dopuszczalne, »nie unieważnia« przecież »faktu, że istniał między nimi związek małżeński [2]«.

Powstała z małżeństwa rodzina przez swój »stosunek między słabym a mocnym«, budzący »poczucie prawdziwie duchowego prawa«, ucywilizowała jednostkę i cały rodzaj ludzki, podnosząc je z pierwotnego zwierzęcego stanu nieokiełznanej siły. Jest ona instytucyą zbawienną nie tylko dla dziecka ale i dla dorosłego, który bez niej »rychłoby powrócił do pierwotnego typu zwierzęcia«. A nadto »w obrębie rodziny powstaje kult bohaterów i bohaterek«. Pragnienie pozostania na tym samym poziomie czci i szacunku wobec swoich powstrzymuje człowieka od niejednego złego a do dobrego czynu pobudza, czegoby nie sprawiło »poczucie honoru«, gdy wobec świata zewnętrznego można

[1] W przetłum. na język polski przez I. K. Potockiego i W. M. Kozłowskiego wydaniu z r. 1900, str. 306 i nast.

[2] Tamże str. 312 i nast.

»przybierać pozę«. »Dom« zaś »uniemożliwia wszelkie udawanie. Jesteśmy w nim tem, czem jesteśmy...« »Doniosłość... czci dla bohaterów w rodzinie polega na tem, iż rozwija ona indywidualność charakteru w dzieciach«. »Cześć nie może« oddziaływać »na odległość«, a musi wpływać lata całe. stąd w tym względzie nikt »nie może... zastąpić miejsca ojca lub matki dla dzieci« w rozwoju indywidualności ich charakteru« [1]. Rodzice głęboko przejęci być powinni tą prawdą, że »przyszłość« dziecka w ich »rękach spoczywa«. Do niej stosować mają swe postępowanie. »Zobowiązanie to już istnieje«. Rodzice nie mają prawa odrzucić go. »Złożyliście przysięgę. Zapisana jest nieodwołalnie. Jeśli ją złamiecie, Przyroda pociągnie was do odpowiedzialności...« [2].

A »co uświęca prawo i państwo: dlaczego powinienem ulegać im... Jakie prawo ma rząd rozkazywać mi lub zabraniać?... Mogę ulegać albo dlatego, że czuję się obowiązanym do tego, albo wskutek obawy«. »Pojęcia... o boskiem pochodzeniu państwa... uległy zmianie pod wpływem oświaty nowożytnej«... [3] »Państwo nie jest istnością oddzielną od nas samych,... powstaje ono samo przez się, jako wynik natury ludzkiej... Ludzie łączą się... i wywierają pewną władzę nad sobą samymi...« [4] »Człowiek rozpoczyna wyższe życie od posłuszeństwa prawu sumienia. Przez posłuszeństwo prawu cywilnemu państwo rozpoczyna swoje życie wyższe«. Jak człowiek, który panuje nad sobą, wykonywa powzięte postanowienie, zaczyna zarazem szanować siebie, tak samo rzecz się ma z prawami, temi »niejako dobremi postanowieniami państwa«. Stąd »niekiedy lepiej bywa uledz złemu prawu, niż sprzeciwiać mu się«, bo nie traci się wtedy zdolności do ulegania dobremu prawu [5]. Widząc złe we mnie. »czuję jednocześnie potrzebę doskonalenia« się. To samo stosuje się do naszego zapatrywania na państwo. Ma też ono »wartość samo przez się, nie przestaje być użytecznem dla rozwoju« innych instytucyj, będąc »istotnym stopniem ku uorganizowanemu powszechnemu braterstwu ludów« [6].

[1] Tamże str. 328 i nast. [2] Tamże str. 335 i nast.
[3] Tamże str. 343. [4] Tamże str. 348, 9.
[5] Tamże str. 352 i 3. [6] Tamże str. 357—60 i 366.

W odpowiedziach tych na postawione liczne zagadnienia, mogliśmy śledzić niejako stopniowe rozszerzenie i pogłębienie programu przedstawicieli Ruchu etycznego, tak niejasno określonego przez brzmienie celu ogólnego. Zwłaszcza ten punkt zawiły a istotny, niezależność moralności praktycznej od przekonań teologiczno-filozoficznych zarysował się już dość jasno przed naszemi oczyma. Jakto i z natury rzeczy wynikało, odpowiedzi na zagadnienia etyczne musiały dotknąć także tych istotnych części składowych teoryi moralności, jak pobudki do sprawiedliwego działania i jego miara, w niektórych przynajmniej wypadkach, prawo, obowiązek i t. d. Dopełnijmy jeszcze naszej części sprawozdawczej kilku z tego samego źródła zaczerpniętemi zdaniami i myślami, by więcej jeszcze wyświetlić ten najważniejszy, najistotniejszy punkt w każdej teoryi etyki, a więc i w zasadach nowego »Ruchu etycznego«.

Na religijnem, filozoficznem, politycznem polu spory i waśnie nie ustają, wciąż się powiększają. Więc na tym gruncie niemożliwem jest zjednoczenie ludzkości. »Musimy szukać głębiej. I w głębi naszej świadomości znajdujemy punkt zaczepny... dla wszystkich, według których życie nie jest samą tylko przemianą materyi.., tę samą pewną podstawę: f a k t istnienia s u m i e n i a. On jest tym gruntem, na którym stoimy, mocnym punktem, na którym oparci cały świat materyi z zawiasów poruszyć możemy. On nas wszystkich ludzi na tym samym stawia gruncie; przeciwstawia nas jako inaczej ukształcone istoty reszcie świata organicznego. To najgłębsza podstawa wszelkiej wiedzy filozoficznej i socyalnej i wszelkiej religii; bo uznało go naiwne, żadnem udawaniem niezakłócone uczucie ludu za Boski moment w człowieku, głos Boży. Dlatego we wszystkich religiach ludów cywilizowanych rozbrzmiewa ten sam potężny zasadniczy głos: Bądźcie dobrymi! Głębia pojęcia tego przykazania daje nam poznać miarę jego znaczenia... I na odwrót moralne uczucie w swem najdoskonalszem przeprowadzeniu przyjmuje na się często religijne znamię, owiane przeczuciem, że moralne ideały... muszą tworzyć istotę rozwoju świata wógóle... Słowo: Bądźcie dobrymi! rozumiemy wszyscy, bez względu na nasz pogląd na

świat. Nikt nie powątpiewa o tem, że ono obowiązuje po wszystkie czasy, niezależnie od... mniemań« [1].

Wspomniana już, berlińska mowa F. Adlera (z 3 lipca 1892) kończy się zachętą do »strzeżenia i pielęgnowania święto-ludzkiego charakteru etycznej czynności *(das Heilig-Menschliche)*. Zasady dawnej religii zachwiały się u wielu i oto rozszerzyło się zapatrywanie mylne, że już także wszystko, co święte, narażone jest na niebezpieczeństwo zniknięcia z widowni świata. Mamy (więc) w nas samych i w innych wpoić to przeświadczenie, że prawdziwe, istotne skarby świętości ludzkości nie dadzą się zniszczyć lub utracić, że w dążeniu twórczo-moralnem posiadamy źródło, z którego płynie nam wieczna moc i pociecha, że, gdy wszystkie umilkną wyrocznie, bóstwo przebywające w łonie samegoż człowieka, nigdy nam nie odmówi swego głosu«.

Prawodawca w nas samych się znajduje, bo najgłębszą podstawą prawa moralnego jest to nasze »powinieneś w swym nakazującym cześć majestacie«. Dawny ideał kładzie wagę na pierwiastek wieczny, poza nami przebywający; nowy natomiast na pierwiastek wieczny w nas samych«. Stąd i gruntem Towarzystw etycznych jest ta »skała sumienia«, są te »wieczne prawa objawiające się w moralnej naturze ludzkiej« [2].

»Największą i najbardziej uroczystą ze wszystkich jest tajemnica sumienia, czyli poczucia obowiązku. Czem jest owo coś wewnątrz mnie tkwiące, co mi dyktuje, wydaje rozkazy mówiąc: Tyś powinien albo ty musisz«? [3].

»Dlaczego... ludzie uznają powagę obowiązku?... Dlaczego nie postępują, jak im się podoba? Jak się to dzieje, że nam idzie o to, abyśmy tego głosu słuchali? W samym tym fakcie, że przyroda ludzka skłonna jest uznawać taką powagę, istnieje już tajemnica« [4].

»Pośród wszystkich tworów świata, my tylko musimy dręczyć się, powściągać siebie i poskramiać, albo też popychani je-

[1] Wyjątki z mowy mianej w Berlinie 7 maja 1892 r., wydrukowanej w *Vorbereitende Mittheilungen*.

[2] Salter: »Religia moralności«, str. 309.

[3] Sheldon l. c. str. 71. [4] Tamże str. 74.

steśmy po innej drodze, wbrew skłonnościom naszym, a to dzięki owej niedającej nam spokoju powadze... Coś oto chwyta nas, mówiąc: M u s i c i e! Świadomość nasza zdaje się rozłamywać na wiele jaźni, z których każda walczy o zwierzchnictwo... Częstokroć pragnęlibyśmy, aby jej (walki) nie było. A jednak ona to właśnie najczęściej zespala się z ideą obowiązku... Ale spojrzmy teraz na odwrotną stronę tego doświadczenia, a zauważymy przeciwieństwo. Stajemy oto w największej czci wobec i n n y c h ludzi, gdy o n i słuchają poczucia obowiązku. W t e d y nie unikamy już widoku walki, lecz podziwiamy w nich zasadę, jakkolwiek nie lubilibyśmy jej, gdyby nam przeszkadzała. Dlaczego szanujemy pewne osobistości, przedzierające się bodaj przez ogień dla spełnienia pewnego czynu? Dlaczego nie spoglądamy na nich, jak na ślepych, bezmyślnych lub obłąkanych? .... Właśnie te względy, wyświadczane postępowaniu innych ludzi, wskazują, co jest pierwotnego w świadomości naszej. Człowiek może nie pochylić głowy przed istotą wyższą, ale nie może nie pokłonić się jej sercem... Wbrew nam samym ideę obowiązku kojarzymy z czemś b e z w z g l ę d n e m, absolutnem. Nie możemy uznawać wyjątkowych okoliczności, upoważniających do niesłuchania owej powagi... Przemawia ona zawsze w sposób rozkazujący — ‚w i n i e n e ś' albo ‚m u s i s z'« [1].

»W świadomości naszej tkwi mocno uczucie, że stać oto mamy na danym posterunku i wykonywać daną pracę. Może być ona przykra, my zaś możemy jej nie lubić. Gdyby wybór całkiem od nas zależał, nie bylibyśmy tam stali, ale właśnie dlatego, że jest coś obcego dla nas, do czego należymy, obowiązek wymaga od nas tego, wbrew nam samym. W tem właśnie miejscu jakiś pierwiastek tajemniczy wkracza do dziedziny etyki. Głos rozlega się w nas samych. Ale skądże pochodzi? Miara wartości jest w jaźni naszej. Ale kto lub co jest poza nią? Sama świadomość nie daje nam odpowiedzi dokładnej. Mamy tu tylko jakby napomknienie czegoś istniejącego poza nami, jakiegoś porządku zewnętrznego w stosunku do nas, a jednak nas zawierającego.

[1] Tamże str. 76, 7, 8.

Istnieje tu jak gdyby przebłysk nieskończoności i wieczności. Narazilibyśmy się na wielkie niebezpieczeństwo, zapuszczając się zbyt daleko w tem roztrząsaniu, gdy stajemy tu na granicy, *gdzie etyka zlewa się z religią*... Można byłoby powiedzieć w tym razie: strzeż się; krok fałszywy może udaremnić skuteczność zasady, przenosząc nas w mglistą krainę przesądu. Tento właśnie drugi pierwiastek (pierwszym jest jego przykrość) nadaje obowiązkowi jego pozory posępności... Ale oto przychodzi ta myśl inna: nie działamy wyłącznie sami przez się, coś zewnątrz nas szepcze nam do ucha: »jestem większy od ciebie«. To właśnie napomknienie podnieca serce, każąc nam uznawać, że należymy do jakiejś innej dziedziny. Zespala nas ono z bliźnimi, nawet ze wszystkiem, co żyje, z przyrodą nieożywioną, z całym ogromem wszechświata. Obowiązek nie przeraża już nas..., godzi nas z życiem powszechnem«...[1] »Obowiązek dla obowiązku, — mowa taka w ścisłem rozumieniu mogłaby się wydać bardzo niedorzeczną. Ale orzeczenia podobne nie powstają bez jakiegoś znaczenia wewnętrznego; są one jakby odgłosem albo świadectwem pewnych doświadczeń, zaś istota rzeczy polega na tem, aby doznać takich właśnie zapamiętanych doświadczeń. Można rozebrać orzeczenie i wykazać jego niedorzeczność, ale nie zdołamy uczynić tego samego z podmiotową stroną sprawy, z której orzeczenie owo kształt swój wzięło.

Obowiązek dla obowiązku napomyka o przekonaniu powszechnem, że słowo to dotyczy prawa, nie zaś po prostu stosunku między ludźmi. Ulegamy zasadzie, poddajemy się prawu, nie zaś człowiekowi albo władzy osobowej, gdy posłuszni bywamy temu świętemu głosowi. To przenosi znowu całą sprawę do wnętrza nas samych. Obowiązek nie wydaje się już nam czemś, dotyczącem jedynie szeregu stosunków, przestaje być stosunkiem pomiędzy nami a bliźnimi, ale staje się stosunkiem pomiędzy nami a prawem... Poczucie obowiązku budzi się w początkach za sprawą stosunku naszego do innych. Gdy-

[1] Tamże str. 81, 2, 3.

byśmy się nie znajdowali w takiej postawie względem bliźnich naszych, nigdybyśmy nie doszli do jasnej świadomości owego głosu wewnętrznego. Ciągle pozostałby on utajonym. Miara wartości pozostawałaby zawsze jednaką. Ale oto naprzód staje on przed świadomością naszą, dzięki pożyciu z innymi. Pod tym względem możemy powiedzieć, że jest wytworem rozwoju, doświadczenie ludzkie powołało go i rozwinęło. Niemniej jednak przez cały ten czas mielibyśmy przebłyski jakiejś najwyższej miary wartości... Po raz pierwszy ludzie zwrócili uwagę na ten przedmiot dzięki stosunkom społecznym. Odrębna świadomość jednostkowa, jak również odrębne poczucie obowiązku, ukazały się później. Ale kiedy już się wyłoniło w tej postaci wśród rodzaju ludzkiego, nie może już osłabnąć, podobnie, jak nie ustępuje w życiu jednostki, gdy ta znajdzie się w samotności, poza granicami wzroku innych... Gwiazdy zdążają wytrwale po drogach swoich, spełniają one swój obowiązek. Czyśmy równie wytrwali na naszych drogach?«...[1] Głos obowiązku »nie jest to głos, nakazujący nam posłuszeństwo Jemu (Bogu), ale raczej posłuszeństwo prawu... Ogromna jest doniosłość tego zastrzeżenia. Gdybyśmy się trzymali tylko tłumaczenia pierwszego, nakazy moralne byłyby podobne jedynie do wielu innych wyroków dowolnych. Nie byłoby wówczas żadnych ‚niezmiennych praw niepisanych'. Niweczyłoby to nawet dostojeństwo samej Boskości... Pragnąłem zgromadzić razem wszystkie te wiązanki mniemań upowszechnionych, tak, aby każdy mógł je niejako przesiać dla siebie. Gdybym z tego stanowiska miał dać określenie, brzmiałoby ono jak następuje: Obowiązek jest nakazem naszej Jaźni Najwyższej, zniewalającym nas wbrew chwilowym skutkom do działania w taki sposób, jak gdybyśmy nie należeli do siebie samych, ale do powszechnego układu czyli porządku, zniewalającym nas do bezwarunkowego posłuszeństwa najwyższemu prawu, albo najwyższej mierze wartości, jakich jesteśmy świadomi. Zdaje się, że tak

[1] Tamże str. 86, 7, 8, 9.

lub inaczej rozpoznajemy wszystkie te znamiona w zwykłem użyciu wyrazu — o b o w i ą z e k« ...[1] »Istnieje jeden czynnik, którego ani filozofia, ani nauka nie może usunąć, a czynnikiem tym jest świadomość ludzka. Tego, co w niej widzimy, dotykamy się istotnie; jest to rzeczywistość najpierwsza. Nie jest to coś takiego, w co dopiero wierzyć musimy przez wnioskowanie. Nie potrzebujemy tego dowodzić sobie samym. Istnieje to przed nami i w nas. Obowiązek uznaję za jeden z bezpośrednich faktów mojej świadomości. Dlatego też lgnę do niego, albo raczej on lgnie do mnie, bez żadnego z mojej strony wysiłku przytrzymania go. Nigdy nie wątpię o nim, nigdy nie czuję nieufności. W całym tym świecie złudzeń i pozorów jest on dla mnie rzeczywistością jedynie pewną. Gotów jestem słuchać go niezachwianie i bez wyraźnych nakazów. Tem jednem się zadowalniam. Na tej zasadzie mam zamiar oprzeć dalszy pochód... Co nam pozostało do wierzenia, odpowiem: obowiązek trwa jeszcze w niezaćmionej swej chwale, w nieuszczuplonej powadze. To jedno już wystarcza. Niech mię bodaj zabije, nie przestanę mu ufać«[2]. — Lecz nie tylko obowiązek sam przez się może i powinien być, w myśl przedstawicieli Ruchu etycznego, użytym, jako pobudka do postępowania sprawiedliwego. Za typowy niejako w tym względzie przykład, ujmujący zarazem w jedną pewną całość wszystkie te pobudki, posłużyć mogą słowa tegoż samego Sheldon'a w naszkicowanej przezeń osnowie przysięgi przy zawierających się związkach małżeńskich:

»Przyjmujecie przysięgę. Lecz wołamy innych na świadków. Żądamy od was przyrzeczenia obowiązującego i trwałego na całe życie. Przez wiarę religijną, do której należycie, przez pamięć drogich, których kochaliście i odprowadziliście na miejsce spoczynku, przez przyjaciół, o których pamiętacie i troszczycie się, przez ukochanych, którzy was otaczają w tej chwili, przez tych, którzy dali wam życie, przez tych, którzy kochali was w dzieciństwie i w młodości, przez wszystko, co wam drogie jest na ziemi, przez to, co najwyżej cenicie w sobie samych, przez naj-

[1] Tamże str. 90, 91.
[2] Tamże str. 99, 100.

wyższe poczucie Obowiązku, żądającego posłuszeństwa bez wahania, przez wszystkie te święte związki i braterstwo zaklinam was, abyście spełnili to przyrzeczenie, biorąc jedno drugie za męża i żonę« [1].

Tak się przedstawia w krótkich rysach teorya przedstawicieli »Towarzystw etycznych«.

(Dok. nast.).

Ks. K. Krokoszyński.

---

[1] Tamże str. 320, 1.

W OJCZYŹNIE SPINOZY.

Podług najstarszych biografów rodzina Spinozy pochodzi z Portugalii.[1] Sam Spinoza w jedynem dziele, którego nie wydał bezimiennie *(Renati des Cartes principiorum Philosophiae P. I. et II, more geometrico demonstratae)* podpisał pod własnem nazwiskiem wyraz »*Amstelodamensis*« — »Amsterdamczyk«. W jednym zaś z listów, pisanym po holendersku do jednego z filozoficznych przeciwników żali się, że nie może w rodzinnej mowie odpowiedzieć[2] Mową tą była widocznie hiszpańska. W niej to napisał zaginioną dziś apologię z okazyi wyłączenia go ze społeczności żydowskiej. Biblioteka też jego obejmowała szereg cały dzieł hiszpańskich[3], podczas gdy portugalskich zupełnie w niej brakowało. Prócz biblii hiszpańskiej znajdujemy w niej *Tesoroed la lengua Castella* — słowniki, gramatyki hiszpańskie, dzieła Gongora, Queveda, *Novellas exemplares* Cervantesa, *Comedia famoza* Perez de Montelvana, pisma Antoniego Pereza, *El criticon* Jezuity Gracijana, nadto niektóre pisma Żydów hiszpańskich. Także dyalogi o miłości Leona Abravaneľa i Calviusa Instytucye miał Spinoza jedynie w hiszpańskiem tłumaczeniu. Słusznie zwrócono uwagę na

[1] Lucas, Ed. Freudenthal p. 3. w. 27, Colerus, W. Freudenthal p. 36.

[2] Ep XIX (an Wilh. von Blyenbergh) W. Vloten-Land[2] II. p. 256 lg. vgl. p. 260: »Ik wenschte wel dat in de taal, waar mee ik op gebrocht ben, mocht schryven«.

[3] Por. Freudenthal die Lebensgeschichte Spinoza's (1899) S. 160—154.

szczegół, że w Amsterdamie Żydów półwyspu pirenejskiego, choć byli przeważnie z Hiszpanii i w szkołach swoich uczyli się po hiszpańsku, zwano Portugalczykami, dla uniknięcia mniej sympatycznego miana Hiszpan [1]. Tak tłumaczy się pomyłka co do tego szczegółu napotykana u najstarszych biografów [2]. Tuszymy, że w pracy, którą w przyszłości ogłosimy, uda nam się zresztą lepiej uzasadnić hiszpańskie pochodzenie filozofa.

Tymczasem to da się powiedzieć, że Holandya była miejscem rodzinnem i drugą ojczyzną Spinozy. Wszak w Amsterdamie 24 listopada 1632 ujrzał światło dzienne życie, całe w Holandyi przepędził i umarł w Hadze 21 lutego 1677 r. Po holendersku też pisał w stylu znośnym, acz dziwną ortografią

Czy Holandya była też ojczyzną Spinozie w idealnem znaczeniu? Prawda — rodzice i krewni znaleźli przytułek i tu się skromnego mienia dorobili. Spinoza też odtrącony przez współwyznawców i własną rodzinę, tu znalazł poparcie — jak u wielkiego statysty Jana de Witt, uczonego burmistrza Amsterdamu Jana Hudde, dyplomaty Coenraada von Bennigen i znalazł wiernych przyjaciół, którzy mu nawet w potrzebie pomagali i o utrzymanie się troszczyli. Prawda, że w drugiej ojczyźnie niejedno go też nieszczęście spotkało. W Amsterdamie dotknęła go klątwa Synagogi, od 1670 protestanckie synody jeden po drugim występowały przeciw jego polityczno-teologicznemu traktatowi [3], tu i w przyjaźni niejednej się zawiódł. Ale cóżby go było dopiero spotkało w jego dawnej ojczyźnie! Spinoza mógł cieszyć się wolnością Niderlandów. Jakoż odrzucił zaszczytne wezwanie na profesora do Heidelbergu [4], ani też nie kusił się o względy Ludwika XIV, do których mogło mu drogę utorować pośrednictwo ks. Kondeusza [5].

---

[1] W. Meijer w «Erläuterungen zu den facsimilierten Briefen Bened Despinoza's« S. 6.

[2] Początkowo nazwisko brzmiało: d'Espinoza.

[3] Dokumenty u Freudenthala l. (. S. 121 fl.

[4] Ben. de Spinoza Opera omnia (20. v. Vloten- Land) II. p. 357 ss. XLVII (ol. LIII) uXLVIII (ol. LIV).

[5] Por. Frendeuthal Spinoza I (1904) S. 247 nst.

A dziś! Dziś w Holandyi kult Spinozy, jego dzieł, pamiątek po nim, wielki. Bez zwrócenia uwagi na prace holenderskie ostatnich lat nie może nikt zajmować się dziś Spinozą. Tu należą dzieła takie jak Antoniego van der Linde: Biografia Spinozy, jak Meinsmy »Spinoza en zijn Kring« tu w holenderskich czasopismach należą studya W. Meijer'a, Byvancka, O. Vogelsa jezuity i innych. Mimochodem dodajemy, że w r. 1905 upływa właśnie lat 200 jak, z pod pióra niemca Jana Köhlera (Colerus), po holendersku wyszła biografia, która o ile surowo krytykuje system filozoficzny Spinozy, o tyle życiu jego chlubne świadectwo oddaje.

Bogaci Holendrzy jak w Amsterdamie baron v. Rosenthal, niderlandzcy uczeni i bibliomani zapełniają biblioteki książkami o Spinozie. Skoro tylko ukaże się coś o nim w antykwarskich katalogach z Hagi, czy Amsterdamu, wnet zgłaszają się wielbiciele zewsząd a stare dzieła o Spinozie rosną bardzo w cenie.

Stan ten nie był wszelako i dawniej. Po śmierci filozofa i książki jego i szczupła spuścizna znalazła wprawdzie dobrych odbiorców [1], — Leibnitz prowadził ożywioną korespondencyę o pozostałe dzieła [2] z wykonawcą testamentu — potajemnie czytano «ateistę« i grupowano się około niego [3], w ogóle jednak opinia publiczna była mu wroga a uczeni ostrzyli pióra na zwalczanie systemu. Zachwyt kryjących się i wstydzących uczni topniał coraz bardziej a robota nieprzyjaciół utwierdzała pogardę. Tu i ówdzie tylko jakiś odosobniony uczony niderlandzki zwraca uwagę na pół zatarte ślady ważnego szczegółu do literatury Spinozyańskiej. [4]

Gdy pod koniec wieku XVIII niestrudzony de Murr przybył do Holandyi, w pyle bibliotecznym porobił mniejsze odkrycia — ale zajęcia nie obudził. Dopiero w czterdziestych latach minionego

[1] Chr. Kortholt, De tribus Impostoribus (ed. 1700) Praefatio.

[2] L. Stein, Leibnitz u. Spinoza (1890), S. 248-296.

[3] Głównem dziełem do wyjaśnienia tego faktu jest rzadka książka Vervolg van't Leven van Philopater (1697) Wichligauch Jenichen: Historia Spinozismi Leenhofiani (1706); Anton von der Linde: Spinoza's Lehre u. deren erste Nachwirkungen in Holland (1862)

[4] Tak n. p. Joh. Monnikhoff, chirurg miejski w Amsterd.,† 1787

stulecia wzbudził ku Spinozie zapał księgarzy i niektórych uczonych prof. Ev. Böehmer[1] z Halli odbywający po Holandyi naukową podróż. Rozpoczęła się żywa gonitwa za poszukiwaniem śladów spinozyańskich. Poszczęściło się szczególnie księgarzowi F. Müllerowi wraz z zapalonym spinozistą Van Vloten, że znaleźli niektóre listy filozofa i jedno z dzieł jego — mianowicie najsławniejszy zarys etyki, o którym tylko głuche chodziły posłuchy między miłośnikami książek.

Ev. Bochmer ledwo co wtedy znalazł w największych bibliotekach państwowych z dzieł Spinozy, albo o Spinozie. Dziś rzeczy się zmieniły. Królewska biblioteka w Hadze ma wcale poważny zbiór dzieł Spinozy a uniwersytecka biblioteka w Amsterdamie obfituje w publikacye bardzo dla Spinozistów ciekawe. Ważnych dokumentów dostarczyło archiwum portugalskiej synagogi w Amsterdamie. Archiwum państwowe i notaryaty otworzyły swe półki, na grobowych kamieniach cmentarnych udało się z trudem odcyfrować na pół zatarte miano rodziny filozofa, znaleziono oryginały niektórych jego listów[2]. Holenderscy uczeni sporządzili krytyczne wydanie dzieł filozofa[3] a w zbiorze p. t. »Klassicke Schrisvers« obok Salustyusza i Ksenofonta, obok Cezara i Platona, obok Lucyana, Tacyta i Herodota wychodzi tłomaczenie wszystkich pism Spinozy na język dzisiejszy holenderski.[4]

Holandya dla miłośnika Spinozy stała się Eldoradem — dziś prawda już w większej części przeszukanem.

Kiedym latem 1904 roku udał się do Holandyi dla badań nad Spinozą, przyjęli mnie uprzedzająco grzecznie uczeni — ale zdziwili się, żem żywił nadzieję znalezienia czegoś nowego. Istotnie nic ważniejszego nie odkryłem. Kupcy mnie ubiegli.

---

[1] Christ. Theopli de Murr: Benedicti de Spin. Adnotationes ad tract-Theologico — Politicum (1802)

[2] Źródła i dokumenty zebrane w dziele Freudenthala: Die Lebensgeschichte Spinoza's in Quellenschriften, Urkunden und nichtamtlichen Urkunden. Freudenthal, Prof. w Wrocławiu, sam wiele odkrył.

[3] Ed. von Vloten u. Land Ed. I-a 1882 u. 1883 (2 Bände); Ed. II-a 1895 (3 Kleinere Bände).

[4] Staraniem W. Meijer'a.

Charakterystycznem jest to w każdym razie, że niektórych starych holandzkich pism, odnoszących się do Spinozy, już nie można w kraju napotkać. I tak w całej Holandyi nie znajdziesz najstarszej biografii Spinozy napisanej już 1678 r. przez Jana Maxymiljana Lukase a wydanej dopiero anonimowo w Amsterdamie r 1719. Jedyny znany egzemplarz jest w Halli n. S; drugi przedruk 1719 pomieszczony został w X. tomie *Nouvelles littéraires* i tylko jeden egzemplarz tego tomu ma biblioteka w Leyden. Innego wydania biografii z 1735 zdaje się też nie ma w księgozbiorach w Holandyi. Oba manuskrypty biografii w Hadze nie mają żadnej wartości wobec odpowiednich MM. w Wiedniu (B. cesarska) w Paryżu (arsenał) i w Dreźnie (B. królewska)[1]. Inne rzeczy, tyczące się Spinozy są lepiej reprezentowane. Nadto wiele przypomina filozofa w Amsterdamie, Hadze i koło Leyden.

W Amsterdamie nie ma już wprawdzie domu, w którym on przyszedł na świat, natomiast tablica na domu 41 na Waterlooplein oznacza późniejsze mieszkanie ojca Spinozy. W Hadze oznacza napis domu 32 na Paviljoensgracht miejsce, w którem umarł Spinoza. Dom ten jest własnością katolika Teppego. — Opodal od tego domu wznosi się pomnik, jaki postawili filozofowi wielbiciele wszystkich narodów. Stanął on dopiero 1880 r. w lat trzy po dwuchsetnej rocznicy śmierci Spinozy. Na granitowym cokule jedno tylko słowo wyryte: — Spinoza. — Pomnik jest nieco za niski w stosunku do otoczenia. Filozof przedstawiony w postawie siedzącej o rysach pięknych, zdradzających myśliciela — jedno tylko wybrane nieszczęśliwie — to sama siedząca poza Spinozy. Wygląda jak chory. Samotnie jak w życiu tak i tu zdala od gwaru świata przebywa na zacisznym placu — prawie na przedmieściu. Tłum przeciągający codziennie obok niego, nie czuje dlań szacunku. Przekupki i ulicznicy rzucają nań odpadkami jarzyn i kamieniami a rzadko przejdziesz tamtędy, nie spostrzegszy podobnej zniewagi. Widziałem, że pomnik już był uszkodzony.

---

[1] Krytyczną ocenę manuskryptu podałem w Archiv für Geschichte der Philosophie XVIII (1904). Str. 1—34.

W domu jednego z uczonych zwolenników Spinozy p. W. Meijera spotkałem niewielki model innego projektowanego pomnika. Sąd odrzucił go — ale wyznam, że mnie się lepiej podobał. Spinoza tam stoi, gotów do podjęcia walki w imię i w obronie swych myśli.

Wyjątkowe zajęcie budzi dom Spinozy w Rijnsburg. Wioska ta rybacka leży na drodze z Leuden do Katwijk i łączy się z Leyden kolejką parową. Idąc więc wioską w górę przez główną ulicę a z niej zboczywszy w małą uboczną, dochodzi się do niskiego samotnego domku, w którym filozof wiele lat przebył i wielką część dzieł obmyślił i spisał. Tablica przypomina dawnego sławnego mieszkańca. Wielbiciele filozofa kupili niedawno ten domek i urządzili dwa pokoje tak jak mogły wyglądać za czasów Spinozy. Holenderska chłopka, stróżka przybytku filozofa, przyjęła mnie z dzieckiem na ręku bez zdziwienia. Snadź, przywykła do ludzi wścibskich z różnych stron świata, żądnych obejrzenia ubogiego domku żydowskiego myśliciela. Skorom jednak wydrapał się po karkołomnej drabinie na poddasze, by w jednym z pokoików obejrzeć rzadkie a jeszcze zapakowane książki — musieli mnie chyba dwaj holenderscy chłopi, zajęci tam właśnie przebieraniem cebuli wziąć za nie bardzo normalnego człowieka. W pierwszym pokoju pomieszkania, niegdyś miejscu studyów Spinozy, jest szczegółem najbardziej interesującym biblioteka. Jak wiadomo znaleziono r. 1889 [1] spis dzieł, jakie Spinoza, umierając zostawił. Otóż wszystkie te książki, o ile da się, w tem samem wydaniu mają być umieszczone w jego domku. Nadto są tutaj najlepsze i najrzadsze wydania dzieł filozofa, oraz niektóre prace z odnośnej literatury. I tu brak oczywiście niektórych białych kruków. Drugi pokój ma przedstawiać pracownię filozofa. Ciężka maszyna przypominać ma pierwotne przyrządy do szlifowania optycznych szkieł. W kącie piewszego pokoju leży obecnie kamień, wpierw umieszczony na szczycie z wierszem Kamphuijsensa:

---

[1] Wydane najpierw przez A. I. Iervaas'a von Rooisen: Inventaire des livres formant la bibliothèque de Bénédict Spinoza. Freudenthal podaje w swojem dziele str. 160 i d. lepszy tekst.

Ach waaren alle menschen wijs,
En wilden daar bij wel,
De Aard waar haar un Paradijs:
Nu'is ze meest un Hel.

(O wären alle Menschen weis',
Und handelten recht u. gut,
Die Erde ware ein Paradeis,
Nun gleicht's der Höllenglut).

Descartes mieszkał również czas jakiś w tej odległej kalwińskiej wiosce rybackiej. Pamięć po nim zaginęła — ludzie jednak długo jeszcze mówili o cichym, kochającym ludzi Spinozie. O nieszczęsnem zamieszaniu, jakie jego nauka sprawiła, nie wiedzieli — opowiadali sobie tylko o bladym, dobrym człowieku z fajką.

Stajemy teraz przy trzeciem pytaniu: czy druga ojczyzna Spinozy uczyniła tyle dla krytycznej oceny jego filozofii, co dla wyświetlenia życia i odnowienia jego pamięci wśród ludzi? I tu odpowiedź nie może wypaść pomyślnie dla Holendrów. Gdyby się chciało stanąć na stanowisku samego Spinozy, to nie trzebaby ani go podziwiać, ani ganić — tylko rozumieć. Tymczasem wśród holenderskich badaczów nad Spinozą dwa się objawiają kierunki. Jedni jak Van Vloten są całkiem filozofowi oddani, nie oceniają go krytycznie, ale ślepo ubóstwiają, wobec inaczej myślących są niesprawiedliwi i w wysokiej mierze nietolerantni. Inni zdeklarowani przeciwnicy filozofa jak n. p. Antoni van der Linde sądzą go zbyt surowo i nie rozumieją ani charakteru, ani rozwoju Spinozy. W czasopismach holenderskich mało się pojawiło artykułów o filozoficznym systemie Spinozy, któreby miały głębszą wartość. Być może, że jeszcze zaskoczy nas objektywną monografią wielki znawca, a zarazem zwolennik filozofa, W. Meijer.

Po r. 1730 byli w Holandyi bardzo uczeni krytycy wrodzy Spinozie. Między poplecznikami nie było nikogo znaczniejszego. Największem zaś nieszczęściem spinozyzmu było to, że go do celów ateistycznych lub antichrześcijańskiej propagandy wyzyskiwało wielu dyletantów i szarlatanów bez filozoficznej kultury i bez charakteru. To go kompromitowało. Inni przyswoili sobie

tylko ułomki — siebie podając w podejrzenie — Spinozę w pośmiewisko. Tymczasem przeciwnicy liczyli między sobą myślicieli głębokich. Zapewne i między nimi było wiele krótkowidztwa, nieuctwa i niesprawiedliwości. Wszelako pisarze jak Bredenburg[1], Wittsch[2], Nieuwentijt[3] wystąpili przeciw Spinozie z godnością, nauką i powodzeniem i odkryli słabe strony jego systemu. Od nich i dziś jeszcze uczyć się można.

Krytyka nauki Spinozy od odrodzenia się spinozizmu z końcem XVIII w., uprawiana pilnie i bystro przez przedstawicieli najróżniejszych kierunków, dostarczyła rezultatu naukowo wykończonego i pewnego. W nim zeszli się badacze różnej narodowości i różnych kierunków.

Rezultatem tym jest to, że Spinoza nie rozwiązał problemu, który sobie założył — nakreślić należyty stosunek Boga do świata. Rozwiązanie jego jeży się od sprzeczności, których się nie da usunąć. Wreszcie, że on na podstawie swego pojęcia Boga zgoła nie jest w stanie wyjaśnić skończonych, poszczególnych jestestw.

Przyznali to po Trendelenburgu, Ueberwegu i Kuno-Fischerze najwięksi zwolennicy Spinozy. W Anglii zgadza się na to Pollvek i Caird, we Francyi Saitset i Worms. Do tego dochodzą w nowszych czasach przeważnie naukowe monografie.

Życzyćby należało, by i w Holandyi zwolennicy Spinozy nie uchylali się przed tym niezbitym rezultatem, a przeciwnicy by w badaniu objektywnem i naukowem rozwoju filozofa lepiej te rezultaty wyświetlili, oraz oparli na podstawach jego systemu.

Ks. Stanisław Dunin Borkowski.

---

[1] Enervatio Tractatus theologico-Politici, una cum demonstratione, geometrico ordine disposita, Naturam non esse Deum (1765).

[2] Anti-Spinoza, seu Examen Ethices B. de Spinoza et commentarius de Deo et eius attributis (1690); hol. wyd. (1695).

[3] Gronden van Zekerheyd... ter wederlegging van Spinosas denkbeeldig samenstel (1720).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z czasopism polskich za rok 1904 [1].

Chimera. — Ateneum. — Krytyka. — Ognisko. — Sztuka. — Muzeum. — Reforma szkolna. — Poradnik językowy. — Eos. — Kwartalnik historyczny. — Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne. — Lud. — Wisła. — Przegląd prawa i administracyi. — Ekonomista. — Przegląd hygieniczny. — Zdrowie. — Krytyka lekarska. — Architekt. — Przewodnik bibliograficzny.

Czasopiśmiennictwo nasze nie uległo w ubiegłym roku prawie żadnym poważniejszym zmianom. Stan jego zarówno pod względem ilościowym, jak też jakościowym, pozostał na tej samej stopie, na jakiej był w roku 1903. Wprawdzie z czasopism naukowych, literackich czy fachowych ubyło parę, ale ta drobna zniżka nie zaważyła nic wobec świeżego nabytku, z którego najważniejszym jest powstanie dwu miesięczników: *Sztuki* paryskiej oraz *Reformy szkolnej*. Wobec tego nie uważamy za stosowne powtarzać ogólnej charakterystyki całego naszego czasopiśmiennictwa, zwłaszcza że nie mogłaby być inną — od tej, jaką w roku zeszłym z tego miejsca mieliśmy zaszczyt wypowiedzieć. Do uwag, tam wypowiedzianych (zeszyt lutowy, str. 255—276) odsyłamy ciekawego czytelnika. Teraz zaś pomówimy tylko o tych pismach, które bądź to ogólnym swoim charakterem, bądź też niektórymi artykułami i pracami, mogą obudzić szerszy interes. Zresztą są to pisma najważniejsze. Reszty bez szkody możemy nie rozpatry-

[1] Przegląd reszty czasopism zostawiamy do przyszłych zeszytów.

wać wcale. Nie chcemy bynajmniej przez to powiedzieć, ażeby pozostałe pisma nie zasługiwały na pochwałę mniejszą lub większą. Są one jednakże zbyt specyalne, iżby była jaka korzyść na oku dla ogółu z ich omówienia, które nie mogłoby być — z natury rzeczy samej — ani wyczerpujące, ani sumienne.

* * *

Chimera, wydawana z niemałym nakładem trudu, czasu i pieniędzy przez Miriama, wychodziła i w roku minionym, jak w dawniejszych latach, chimerycznie, jakkolwiek trzeba zaznaczyć pewien zwrot ku lepszemu, gdyż poszczególne zeszyty pojawiały się o wiele regularniej i było ich znacznie więcej. Zewnętrzna strona stała na takiej wyżynie, do jakiej nie doprowadziło jeszcze nigdy żadne pismo polskie, a nawet najlepszym w tej mierze zagranicznym, nie ustępuje ani na krok, a może nawet je przewyższa. Ozdób i inicyałów, posiadających prawdziwie artystyczną wartość nie poskąpiono wcale. Myliłby się, ktoby sądził z części illustracyjnej tego pisma, iż jest ono organem najnowszej literatury, że hołduje wyłącznie najmłodszemu pokoleniu pisarzy. Tak bowiem nie jest, jak o tem mylnie głoszono po dziennikach. Miriam bowiem, jak nie trudno przekonać się z treści pisma, nie hołduje żadnym specyalnym kierunkom, a uznaje jedynie i wyłącznie sztukę prawdziwą, bez względu na jej barwę i przynależność. To też obok wierszy: Micińskiego, J. Lemańskiego, Wolskiego, Lewandowskiego i Komornickiej spotykamy prześliczne przekłady ludowych ballad szkockich, skandynawskich i niemieckich, dokonane z wielkiem poczuciem artystycznem przez zasłużonego na tem polu prof. E. Porębowicza. Obok oryginalnych »Legend tęsknoty« B. Leśmiana — przekład »Dytyrambów Dyonizyjskich« Nietschego. Co jednakowoż zaleciło do druku wiersze K. Wroczyńskiego z cyklu »Circenses«? Istotnie tytuł odpowiada zupełnie stronie formalnej tych utworów, pisanych w najkunsztowniejszy sposób, jakby istotnie jedynem zadaniem poety było wyszukiwanie najbardziej karkołomnych form, rymów i rytmów. Część myślowa natomiast ileż pozostawia do życzenia? Tak samo zupełnie niepotrzebnem było ogłoszenie pracy C. Norwida o »Bogurodzicy«, która jest śmieszną jakąś fantasmagoryą, nie przynoszącą ani listka do wieńca chwały poety. Jest to stek po prostu rozmaitych widzeń Norwida, które powinno się było zachować w papierach pośmiertnych, nie zaś dawać jako karmę duchową czytelnikom. Nikt nie byłby na tem stracił, tylko zyskał. Wydrukowanie »Bogurodzicy« można wy-

tłumaczyć chyba tylko niesłychanem umiłowaniem, z jakiem odnosi się Miriam do wszystkich rzeczy Norwida, których przygotował zupełne wydanie. Całości każdego zeszytu dopełniały przeglądy literacko-artystyczne, z pomiędzy których na szczególniejsze odznaczenie zasługują oceny powieści i poezyi, pisane z niemałą werwą, oraz odznaczające się wielkiem znawstwem i zwięzłem sformułowaniem zawsze lapidarnych sądów.

Ateneum nie odbiegło bardzo daleko od *Chimery* pod względem nieregularności w wychodzeniu. Odbiegło natomiast bardzo daleko od dawnego, zawieszonego przed kilku laty, pisma tej samej nazwy. Było ono przytułkiem dla najnowszej naszej i obcej literatury i konsekwentnie trzymało się swego programu, który w pierwszym roku, jak to zauważyliśmy już, chwiał się na wszystkie strony. Główny nacisk położono tu na belletrystykę, której drukowano jak najwięcej. Mieliśmy tedy z rzeczy oryginalnych wiersze: Sterlinga, M. Zbrowskiego, Micińskiego, Gwiżdża i Wolskiego, a nadto powieść Jana Zarycza p. t. »Linie Hofera«, o której mówiliśmy w roku zeszłym. Z rzeczy tłumaczonych dano: Maeterlincka »Jozellę«, Strindberga »Kwarantannę« oraz bardzo wiele urywków z pism Nietschego (czy nie za wiele?). Również i prace literackie traktowały przeważnie o autorach zagranicznych. Z pomiędzy nich na uwagę zasługują studya Jana Lorentowicza o Oktawiuszu Mirbeaux, oraz K. Gromana o »Francuskiej powieści historycznej«, w których najlepsze sylwety Wiktora Hugo, Gustawa Flauberta i Anatola France'a. Praca Jellenty p. t. »Krytyka, ekstaza i bizantynizm« pisana jest bardzo mglisto, w sposób tak niejasny i zawiły, jak gdyby autorowi zależało na tem, żeby go nie można zrozumieć. Inne stałe miesięczne rubryki były bardzo słabe, najniedołężniej zaś przedstawia się dział recenzyjny, wołający o pomstę do nieba.

Krakowska *Krytyka* była nad wyraz wszelki niekrytyczna. Pod płaszczykiem bowiem literatury przemycała w każdym zeszycie rzeczy socyalistyczno-judofilskie. Z takiego to stronniczego stanowiska były w niej omawiane ważniejsze sprawy polityczno-społeczne, którym autor a zarazem redaktor *Krytyki,* p. Feldman, nie skąpił miejsca, dając je na czele każdego zeszytu. Nie chodzi już wcale o to, że nieraz robiono z muchy wołu, ale chodzi o iście wykrętny charakter tych artykułów wstępnych, w których wszystko ponakręcane zostało tak, jak autorowi było najdogodniej. A już owa taktyka dochodzi do zenitu w artykule p. t. »A tyś zląkł się — syn szlachecki...« Wogóle z tych uwag p. Feldmana bije na każdym kroku w oczy nienawiść do wszyst-

kiego, co nie zostaje w zgodzie z socyalizmem lub żydowstwem, oraz sympatya do tych, którzy radziby nam wydrzeć to, co mamy najświętszego, najdroższego: wiarę, narodowość, miłość bratnią! Nie dziw, że wobec takich zasad *Krytyka* piała peany na cześć uniwersytetu wakacyjnego w Zakopanem, który był co prawda wszystkiem, tylko nie uniwersytetem, ale przedewszystkiem dawał sposobność do *rendez-vous* młodzieży obojga płci, przyznającej się do zasad socyalistycznych, a dziennikarzom żydowskim do ferowania wyroków o literaturze czy ekonomii. Otóż »uniwersytet« ten, którego słuchacze i słuchaczki uprzyjemniali sobie rozmaicie wolne od wykładów godziny, został ogłoszony *urbi et orbi* jako instytucya niesłychanie dodatniego znaczenia — aż w dwu artykułach. W ogólności — rzeczy podstawowe, zasadnicze były rozstrzygane w *Krytyce* jednym zamachem ze stanowiska semicko-socyalistycznego. Ażeby nie powiedziano, że chodzi tu o zasady polityczne, weźmy pod uwagę artykuł p. Feldmana o Stanisławie Tarnowskim, jako o krytyku literackim. Ton artykułu tego, który zapewne wejdzie w skład czwartego tomu »Piśmiennictwa polskiego«, drukującego się właśnie, jest nad wyraz wszelki arogancki. Tarnowski jest, podług pana Feldmana, zerem w każdym kierunku, pan Feldman zaś mistrzem, od którego wiele można się nauczyć. Prof. Tarnowski nie potrzebuje mojej obrony, bo silniejszą tarczą, która go chroni od wszelkich pocisków, choćby najzłośliwszych, jest jego wydatna praca, niedoceniona dotąd przez nikogo należycie. I w tem właśnie miotaniu błotem na rzetelną zasługę, na owocne trudy z górą ćwierćwiekowe, w tej pogardzie dla bogatych rezultatów badań, leży szczyt arogancyi, która musi każdego oburzyć. Nie tędy droga do rozgłosu, panie redaktorze! Żeby sądzić człowieka nauki i jego pracę, trzeba najprzód być samemu uczonym. A p. F. jest tylko dziennikarzem!

Rzeczy dobrych lub znośnych tylko jest w *Krytyce* nadzwyczaj niewiele. Do nich zaliczyłbym artykuły p. J. Tennera »O twórczości aktorskiej«, oraz szkic powieściowy Wł. Orkana p. t. »Kostka Napierski« i niektóre wiersze: Zbierzchowskiego, Jedlicza, Żuławskiego, Tetmajera i Daniłowskiego. — Bo co się tyczy kończącego każdy zeszyt przeglądu miesięcznego prasy polskiej i zagranicznej oraz działu recenzyjnego, to jest on prowadzony niesłychanie dorywczo i stronnie. Przedewszystkiem znajdują tu ocenę rzeczy socyalistyczno-żydowskie, powtóre wszystkie oceny i przeglądy nie wykraczają poza ramy zwyczajnych dziennikarskich notatek. Przeważa tu wreszcie literatura niemiecka. Czyżby z polskiej nie było nic godnego rozpatrzenia?

Popularyzacya wiedzy, w jak najszerszem tego wyrazu znaczeniu, była zadaniem warszawskiego miesięcznika *Ognisko*. Redakcya tego pisma może sobie z zupełną pewnością, bez przechwałki, powiedzieć, że drugi rok jej pracy nie spłynął bezowocnie. Uprzystępnieniem najrozmaitszych zdobyczy nauki szerokim masom inteligentnego ogółu zajmuje się bardzo słabo nasze piśmiennictwo peryodyczne. To też w zapełnieniu tej luki, czem się zajmuje gorliwie *Ognisko*, widzimy niemałą zasługę. Za bardzo tanie pieniądze otrzymują czytelnicy tego pisma przedewszystkiem bardzo starannie ułożone artykuły, roztrząsające przeróżne ogólne kwestye. Zarówno dobór prac, jak niemniej kompetencya ich autorów, zasługuje na wyróżnienie. Z pośród tej kategoryi artykułów na uwagę zasługują: d-ra Stanisława Trzebińskiego »Kilka myśli o pracy społecznej« i Ludwika Straszewicza, redaktora pisma, »Gdzie prawda?« Współczesne badania naukowe zostały żywo poruszone w wielu artykułach, jak: d-ra Czerkawskiego »Ilu jest Żydów na świecie, a ilu u nas?« (obszerniejszą o tem pracę pomieścił ten sam autor w *Przeglądzie Powszechnym*), d-ra K. Wolskiego »Hygiena wzroku«, prof. d-ra St. Domańskiego »Oko i wzrok«, St. Kramsztyka »Nowe promienie i ciała promieniotwórcze«, d-ra F. Konecznego »Księstwo Cieszyńskie«, Grzegorza Smólskiego »Z kresów galicyjskich, zagrożonych germanizacyą«, L. Rydla »Epopeje homeryckie w świetle współczesnej krytyki«, J. Ohra »Polszczyzna w żargonie żydowskim«. Bardzo przystępnie napisany został artykuł, objaśniający »Deszcz, jego powstanie naturalne i wytwarzanie sztuczne« oraz streszczenie ustępów z słynnego dzieła Jana Blocha o »Środkach pomocniczych na wojnie«. Tego rodzaju popularnie napisanych prac możnaby jeszcze wiele w *Ognisku* przytoczyć. W żadnym wreszcie zeszycie nie żałowano drobnych artykulików w dziale »Rozmaitości«; p. Eugenia Żmijewska opracowywała dział, zajmujący się »Sprawami kobiecemi«. Illustracyi było także dosyć, wykonanie ich tylko pozostawia nadal niejedno do życzenia. Słowem — *Ognisko*, stosownie do swego charakteru, przedstawia się bardzo dodatnio pod każdym względem. Oby tylko tak dalej rozwijało się, a praca nie pójdzie z pewnością na marne.

W połowie ub. r. rozpoczął zdala od kraju wychodzić miesięcznik, jakiego dotąd nie mieliśmy nigdy jeszcze. Dzięki energii p. Antoniego Potockiego otrzymaliśmy w Paryżu nadzwyczaj wytworne pismo, którego napis *Sztuka* mówi wystarczająco o celu i programie, jaki to pismo sobie zamierzyło. Już z dotąd wyszłych kilku pierwszych

zeszytów można z całą śmiałością stwierdzić, iż nowy ten organ służy swoim hasłom wiernie i pożytecznie. Przedewszystkiem w dziale illustracyjnym reprodukowano tylko to, co zasłużyło sobie godnie na rozpowszechnienie i poznanie. Zasługa to niewątpliwa artystycznego kierownika *Sztuki* p. Granzowa. Że pierwsze te poszyty *Sztuki* zaznajamiały nas przeważnie z dziełami artystów zagranicznych, to wynikło nie tylko stąd, że pismo wychodziło w Paryżu, ale też z dobrze odczutej potrzeby otworzenia oczu naszemu społeczeństwu na nowe kierunki artystyczne, na nowych mistrzów i ich dzieła, o których nic albo bardzo mało dotąd wiedziano u nas. Nie wątpimy, że na przyszłość pojawiać się będą w *Sztuce* specyalne numery, poświęcone dziełom polskim, choć z tem nie należałoby się zbytnio śpieszyć z uwagi na wydawaną pięknie przez księgarnię H. Altenberga *Sztukę polską*, która najzupełniej wystarczy na obznajomienie publiczności z twórczością swojską, jakkolwiek i jej daleko do wyczerpania materyału. Oprócz działu reprodukcyjnego mamy w *Sztuce* bogaty dział literacki z takiemi pracami, jak: A. Potockiego »Sztuka polska na wystawie powszechnej w Düsseldorfie«, K. Broniewskiego »Zbiór rysunków i akwarel Jana Blocha«, J. Maszyńskiego »Zbiory rysunkowe w Warszawie«, informującemi doskonale o rzeczach swojskich, ale bardzo mało znanych. Z pomiędzy innych prac, odnoszących się do sztuki, wymienię: K. Drzewieckiego »Słownictwo artystyczne« i J. Pankiewicza »Wczesne malarstwo niederlandzkie na wystawie r. 1902«. O wiele więcej do życzenia pozostawia inna część działu literackiego, ta mianowicie, która daje beletrystykę. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że przekład »Księgi Hioba«, dokonany przez niedawno zmarłego poetę Karola Brzozowskiego, stoi na wysokości oryginału, nie można zaprzeczyć, ażeby niektóre utwory (B. Adamowicza lub W. Brzozowskiego) nie były piękne. Zdałby się też większy dobór i większa rozmaitość. Nie należy wątpić, że skoro pierwsze lody zostały przełamane, skoro warunki bytu pisma, wydawanego za granicą zostały uregulowane, skoro wreszcie stosunki redakcyi z krajem zostały ściślej nawiązane, — przyszłość okaże brak wspomnianego niedostatku. Wszak każdy początek jest trudny, początki zaś *Sztuki* wypadły tak świetnie, jak tylko sobie to można pomyśleć. I to właśnie daje rękojmię dalszych postępów i ulepszeń, jakie niezawodnie zajdą w tem piśmie.

* * *

Lwowskie *Muzeum* rozwijało się tak świetnie, jak żadne pokrewne pismo pedagogiczne słowiańskie, a to dzięki zapobiegliwości redaktora d-ra Bol. Mańkowskiego, którego niespożyta energia postawiła je na tak wysokiej stopie, na jakiej dotąd nigdy nie stało. Świadczy też ono wymownie o ruchu naukowym, jaki panował na polu pedagogiki pośród nauczycielstwa galicyjskich szkół średnich, z którego rekrutował się, z nielicznemi tylko wyjątkami zastęp współpracowników. Różnorodność kwestyi, poruszonych w ostatnim roczniku *Muzeum*, była wielka. Że poruszono tu przedewszystkiem, czasem nawet kilkakrotnie, jedne i te same sprawy, z tego nie można kuć zarzutu jednostajności, jeśli się zważy doniosłość owych spraw, żeby tylko wymienić artykuły o utrakwiźmie w szkołach naszych lub też trzy artykuły, poświęcone wyłącznie nauce języka niemieckiego. Wagę tych kwestyi odczuje każdy, komu wiadome są usiłowania niedawne około utrakwizacyi galicyjskich szkół średnich, lub kto wie, jak mało nasi uczniowie wynoszą ze szkół znajomości języka niemieckiego. Bardzo ważnej materyi — wychowaniu moralnemu młodzieży — poświęcił pracę dr. E. Piasecki, a łączącej się z powyższą ściśle — zapobieganiu zboczeniom płciowym wśród młodzieży, poświęcił dr. Wł. Witwicki szereg uwag, bynajmniej jednak nie trafnych wszechstronnie. Nie mniej ważny jest artykuł p. M. Mazanowskiego »O godności i moralnej powadze stanu nauczycielskiego w naszej szkole średniej«, któremu z całego serca cieszyć się należy. I jakkolwiek prace te tyczyły się specyalnie pedagogiki, mimo to mogą, a nawet powinnyby zainteresować szersze koła, a zwłaszcza rodziców, których poglądy na sprawy wychowania oraz szkolne są częstokroć bardzo niejasne i spaczone. Skutkiem nawału materyałów, odnoszących się do kwestyi teoretycznych, dział inny, tak pięknie uprawiany dotąd w *Muzeum*, a równie ważny, pozostał trochę w zaniedbaniu. Mam na myśli prace z zakresu historyi szkolnictwa polskiego, których w omawianym roczniku było tylko trzy, a mianowicie St. Schneidra »Godfryd Ernest Groddek«, Wołyniaka »Statystyka szkół parafialnych na Litwie w pierwszej ćwierci XIX wieku«, oraz d-ra A. Karbowiaka »Okruchy historyczno-pedagogiczne«. Okruchy te mówią o konwikcie szlacheckim z czasów Komisyi edukacyi narodowej, o kobiecie na uniwersytecie Jagiellońskim w XV wieku, oraz o działalności Stanisława Staszica jako członka Dyrekcyi edukacyi narodowej. W przyszłości należałaby się temu działowi większa pieczołowitość. Dział recenzyjny był nad wyraz wszelki bogaty: oceniono w nim nie tylko podręczniki szkolne, lecz także mnóstwo prac pedagogicznych, ksią-

żek dla młodzieży, programów szkolnych, polskich i obcych. Przegląd ten uzupełniała doskonale bibliografia bardzo obszerna, ułożona przez d-ra Barwińskiego. W rubrykach »Sprawy bieżące« i »Kronika szkolna i pedagogiczna« były omawiane ważniejsze rozporządzenia i nowości w szkolnictwie zagranicznem.

Z inicyatywy krakowskiego Towarzystwa »Zreformowanie nauczania i wychowania« powstało w r. ub. nowe pismo pedagogiczne, mające być objawem pracy Tow.; *Reforma szkolna* była niewątpliwie potrzebna, mogłaby stać się bardzo dodatnim czynnikiem, gdyby pewne plamy, jakie znaleźliśmy w pierwszych dwu zeszytach tego kwartalnika, nie powtórzyły się w przyszłości. Mam na myśli artykuł Centnerszwerowej i drugi wstępny artykuł p. Stanisława Witkiewicza p. t. »Chrześcijaństwo i katechizm: o nauce religii w szkołach galicyjskich«, w którym porobiono duchowieństwu najdziwaczniejsze zarzuty, począwszy od tego, że naucza ono katechizmu bezmyślnie, kończąc zaś tym, iż sprzeniewierzyło się ideałowi religijnemu. Gdzie Kościół jest na usługach państwa, powiada p. Witkiewicz, a państwo na usługach Kościoła, tam nie ma miejsca dla ideałów religijnych. Wobec takich poglądów nie można dziwić się, jeśli dalej usłyszymy, że duchowieństwo jest pewną odmianą policyi, działającą niewojskowemi metodami, że idealna miłość chrześcijańska nie była nigdy jego właściwością, i t. d. i t. d. Ile w tych zarzutach jest słuszności, każdy snadnie pozna, jeśli tylko trochę krytycznie je rozważy. Postawienie tego artykułu na czele tego zeszytu, traktowanie czytelników takiemi nonsensami, jest grzechem nie do darowania. Tem przykrzejsze wywiera on wrażenie, jeśli się zważy ogrom szkody, jaki może sprawić lekkomyślnością zawartych w nim zarzutów, jeśli się zważy, że oprócz niego inne artykuły zasługują ze wszechmiar na uwagę. Jakżeż bardzo odbija od niego praca ś. p. Chmielowskiego p. n. »Reformy wychowania za czasów Wielopolskiego« lub J. Ciembroniewicza »Jak zreformować naukę pedagogiki w seminaryach nauczycielskich«? Artykuły redaktora *Reformy* p. Adama Szymańskiego podnoszą słusznie i zalecają »Najlepszy elementarz świata, elementarz Polski Konrada Prószyńskiego« (Promyka), oraz w rzeczy o »Domach ludowych« nawołują do zajęcia się pogłębieniem oświaty wśród ludu, wykazując na przykładzie, zaczerpniętym z życia Danii, jak dzięki wszechnicom ludowym zdołano przejść z gospodarstwa rolnego do mlecznego, a tem samem uratować się od ekonomicznej katastrofy. Innym błędem jest posługiwanie się przez redakcyę przekładami prac obcych. Mamy tutaj: Pawła Lacom-

be'a »Zarys nauczania, opartego na psychologii dziecka«, Kanta »O pedagogice« i Wiktora Henri'ego »Stan współczesny pedagogii doświadczalnej: jej metody i zadania«. Wszystkie one są pożyteczne, ale ujmują zbyt wiele miejsca ze szkodą dla prac oryginalnych.

* * *

Poradnik językowy odznaczał się ogromną rozmaitością treści, co świadczy zarówno o ruchliwości redaktora p. R. Zawilińskiego, jak nie mniej o żywem zainteresowaniu się pismem, któremu czytelnicy nadsyłali liczne »pokłosia błędów językowych«, zebrane ze współczesnych książek, oraz roztrząsali przeróżne kwestye językowe w rubryce »Zapytania i odpowiedzi«. Prac ogólniejszej natury było w r. ub. znacznie więcej, niż w latach dawniejszych. Z pomiędzy nich na uwagę zasługują: prof. d-ra St. Dobrzyckiego »Zdobycze językoznawstwa polskiego« i Zawilińskiego »Logika a psychologia w języku«, oraz tegoż autora »Modernizm w języku«. Inne, choć nie mniej cenne, zajmowały się kwestyami szczegółowemi.

Jedyne nasze czasopismo filologiczne *Eos* wychodziło w r. ub. raźniej, aniżeli dawniej. Więcej też było w niem prac, mogących zainteresować szersze koła czytelników, żebyśmy wymienili: d-ra M. Jezienickiego »Najnowsze wykopaliska na Krecie, ze szczególnem uwzględnieniem ruin pałacu Minosa w Knosos«, czy St. Schneidra »Lukrecyusz i Horacy, a »Treny« Kochanowskiego«. W zakres pedagogiki wkraczały dwie piękne prace d-ra A. Danysza: »W sprawie podręczników do tłumaczenia z języka polskiego na łaciński dla wyższego gimnazyum«, oraz »Pedagogika Arystotelesa«. Reszta prac roztrząsała rzeczy specyalnie zajmujące ludzi, pracujących we filologii klasycznej.

* * *

Nieraz zdarzyło się usłyszeć zarówno od swoich, jak też od obcych, wyrazy zdziwienia, jaka jest przyczyna wielce anormalnego faktu, iż jedyne w swoim polskie pismo peryodyczne *Kwartalnik historyczny* prosperuje nad wyraz słabo? Wszak powiadano — Niemcy utrzymują kilkanaście czasopism historycznych, kilka mają Czesi, a my, przewyższający ostatnio wymienionych liczebnie, nie możemy zdobyć się na to, ażeby zapewnić *Kwartalnikowi* znośniejszy żywot, iżby bodaj trochę rozszerzył swoje ramy, choćby do tej objętości, w jakiej wychodził przed rokiem 1898. Czybyśmy tak mało cenili i kochali wła-

sne dzieje? Otóż sprawiedliwość każe wyznać, mimo przykrości niemałej i wstydu, że tak jest, że lekceważenie społeczeństwa dla badań historycznych jest ogromne. Dość porównać liczbę abonentów *Kwartalnika*, wynoszącą około 500, z liczbą abonentów niemieckiego, prowincyalnego pisma *Zeitschrift für die Provinz Posen*, ażeby przyjść do bardzo smutnego wyniku. Otóż tych Niemców, interesujących się dziejami rdzennie polskiej dzielnicy, jest 1200 z górą! A cóż dopiero powiedzieć mamy o nas samych, jeśli zważymy, że każda inna prowincya niemiecka utrzymuje swój własny organ historyczny? Miejsce naszego zdziwienia powinno zająć upokorzenie i chęć poprawy, zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę, że mimo tak ciężkich warunków finansowych *Kwartalnik* nie ustępował wcale pod względem objętości i bogactwa materyału czasopismu poznańskiemu. Nie mniejszą zaporę dla rozwoju *Kwartalnika* stanowi obojętność uczonych naszych dla niego. Wiem o tem dobrzę z wielu stron kompetentnych, ile to trudu zadawał sobie czcigodny redaktor dr. Aleksander Semkowicz z wynalezieniem recenzentów dla tej czy innej książki. Brak czasu — oto nudna choroba naszych historyków! Nie dziw tedy, że zniechęcony tem niepowodzeniem długoletni redaktor, ustąpił z posterunku w połowie ub. r., a miejsce jego zajął znany historyk dr. Fryderyk Papée. Oby mu w tym kierunku szczęście służyło!

Nawet najwybredniejszy czytelnik nie mógłby się uskarżać na jednostajność kwestyi, poruszanych w *Kwartalniku*. Było ich wiele — najróżnorodniejszych, z rozmaitych czasów i epok, a nawet gałęzi pobocznych wiedzy historycznej. Metodyki badania naukowego dotyczy praca prof. d-ra Bronisława Dembińskiego p. t. »W sprawie krytyki korespondencyi dyplomatycznej«, napisana z wielkim zasobem ciętości, ale i zimnej krwi zarazem. Zamyka ona niejakoś od r. 1903 ciągnący się spór pomiędzy autorem a prof. d-rem Sz. Askenazym. Numizmatyki tyczy się rozwiązanie napisu i znaków, oraz pochodzenia i przeznaczenia »Zagadkowego pierścienia średniowiecznego« przez d-ra Władysława Semkowicza, znanego z ciętych recenzyi, poumieszczanych gęsto w *Kwartalniku*. Jak powiedziałem rozprawy wchodzą w zakres różnych wieków i okresów naszych dziejów. Z pomiędzy nich wymienimy: czcigodnego nestora historyków nowych prof. A. Małeckiego »W kwestyi fałszerstwa dokumentów« (klasztoru Cystersów w Jędrzejowie), prof. d-ra Stanisława Krzyżanowskiego »Przywileje szczyrzyckie« (zawierające oprócz krytyki takiejże pracy d-ra St. Zakrzewskiego także samodzielne wyniki badań autora nad dokumentami szczyrzyckimi), d-ra

Antoniego Prochaski »Urywki z dziejów wieku XIV« i »O rzekomej unii z r. 1446«, d-ra L. Kubali »Przysięga w Perejasławiu i »stati« Bohdana Chmielnickiego«, lub T. Korzona »Przyczynek do emigrackiej działalności Kościuszki z r. 1793«. *Miscelanea* nie odznaczały się obfitością; zważyć jednak należy, iż znalazły w nich pomieszczenie rzeczy dłuższe, n. p. Wł. Studnickiego »Memoryał gubernatora Urmenyi z r. 1804» lub zasłużonego historyka polskiego szkolnictwa d-ra Józefa Bielińskiego nadzwyczaj ciekawy materyał, odnoszący się do »Związków akademików we Lwowie« z tych samych lat, w których toczyły się procesy młodzieży wileńskiej.

Recenzyi i sprawozdań było mało, mniej niż zawsze. Ale to tłumaczy się nie tylko wspomnianemi wyżej trudnościami, ale też obszernemi wywodami recenzentów, które zabierały wiele miejsca. Ponadto każdy zeszyt przynosił »Przegląd literatury historyi powszechnej«, zestawiony bardzo przejrzysto i pracowicie, oraz »Kronikę«, mieszczącą krótki przegląd działalności towarzystw historycznych europejskich, ruch muzealny i t. p. wiadomości bieżące, układaną mozolnie z dzienników i niedostępnych przeważnie dla szerszego ogółu publikacyi przez d-ra Eugieniusza Barwińskiego. »Bibliografia historyi polskiej«, oraz nauk jej pomocniczych, zestawiona przez tegoż autora, dawała dokładne wyobrażenie o bieżącym ruchu wydawniczym, a nadto zaznajamiała z pracami drobniejszemi, jakie mieściły się w czasopismach peryodycznych polskich i obcych.

Z końcem r. ub. pojawił się też prospekt na pismo historyczne, z tym samym, co *Kwartalnik* programem, mające wychodzić w Warszawie. Oby tylko ono nie odbiło się ujemnie pod względem finansowym na *Kwartalniku!* Bo chyba powodzenia nie myślimy zazdrościć nowemu organowi naukowemu.

Nadzwyczaj pocieszającym objawem było wskrzeszenie przez rok zaumarłych *Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych*. Zmartwychwstały one w odświeżonej, wykwitnej szacie zewnętrznej. Nie poskąpiono im też koniecznych w takiem wydawnictwie ilustracyi, wykonywanych pod każdym względem bez zarzutu. Główną zasługę należy przyznać niestrudzonemu d-rowi F. Koperze i p. Gumowskiemu, dzięki którym pismo wzbiło się na takie wyżyny, na jakich nigdy nie stało dotąd. A zasługa to niemała, jeśli weźmiemy pod uwagę, że numizmatyka nie ma własnego przytułku, a i archeologia nie posiada, oprócz *Światowita*, osobnego wydawnictwa peryodycznego. Nie czując się powołanymi do oceny zbyt specyalnej treści tego pisma, nie możemy

jej szczegółowo przechodzić. Oby *Wiadomościom* tylko tak dalej szedł rozwój, a niewątpliwy stąd będzie dla nauki pożytek.

* * *

Z chwilą przejścia pod redakcyę niezmordowanego uczonego, który pierwszy u nas etnografią posługiwał się w rozwiązaniu historycznych sfinksów, prof. d-ra Karola Potkańskiego i zasłużonego etnografa p. S. Udzieli uległ kwartalnik ludoznawczy *Lud* zadziwiającej metamorfozie. Nowi redaktorowie, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że żaden, choćby najdokładniejszy, opis stroju i budynku chłopskiego nie jest żadną miarą wystarczający, bo nie może odtworzyć przedmiotu opisywanego należycie, wprowadzili przewszystkiem liczne ilustracye, bez których nie można sobie wyobrazić pisma etnograficznego, prowadzonego na modłę europejską. Nie żałowano rycin, wszystkie zaś one zostały doskonale wykonane. To jedna zasługa. Drugą, nie mniejszą od poprzedniej, jest widoczne z każdej karty staranie o rozmaitość materyału oraz o prace syntetyczne. Jest ich w omawianym roczniku tak znaczna ilość, niejednokrotnie bardzo cennych, że nie powstydziłoby się żadne zagraniczne czasopismo. Niejedna z nich budzi ogólniejszy interes, jako że wkracza w zakres badania porównawczego, nie ograniczając się wyłącznie materyałem polskim, choć z drugiej strony stawia go na pierwszym planie. Również nie ograniczono się samym tylko folklorem w ścisłem tego wyrazu znaczeniu. Mamy więc tu prace z zakresu historyi, prawa, literatury i t. d. Przejdźmy niektóre z nich pokrótce, ażeby wykazać, że pochwały nasze nie są bezpodstawne. Prawdziwą ozdobę tego rocznika stanowi cenna rozprawa prof. d-ra Stanisława Estreichera p. t. »Wypraszanie od kary śmierci w obyczaju naszego ludu«, w której autor na podstawie dokumentów historycznych zbadał i wyjaśnił wprowadzoną przez Sienkiewicza do »Krzyżaków« scenę ocalenia Zbyszka przez Danusię. Obyczaj ten polega na tem, że w chwili egzekucyi wolno było dziewczynie zażądać skazańca za męża, a w takim razie uwalniano go od kary i prowadzono zamiast na śmierć, przed ołtarz małżeński. Życie »Flisaków« odtworzył w pięknym szkicu dr. Michał Janik. Znakomitą jest też praca p. Szymona Matusiaka p. t. »Lech czy Lęch«?, wkraczająca w zakres historyi, językoznawstwa i etnologii. Zdobnictwem ludowem zajął się p. S. Udziela w rozprawie skromnej, nazwanej »Kilka słów o strojach, budowlach, sprzętach i naczyniach w Sądeczyźnie«. Historyi literatury tyczy się gruntowny szkic prof. d-ra Stanisława Windakiewicza p. t.

»Pieśni i erotyki popularne XVII wieku«, bardzo pouczający i bogaty w rezultaty, oraz szereg przyczynków do »Ludowości w poezyi polskiej XIX wieku«, obejmujący ośmnastu poetów pióra podpisanego referenta. »O korzeniach czarodziejskich w lecznictwie ludowem u nas i indziej« mówi obszernie p. Bronisław Hustawicz, zdawna stały przyjaciel i współpracownik *Ludu*. Nie można się też uskarżać na brak surowego materyału ludoznawczego, przyczem godzi się podnieść, że z małym wyjątkiem tyczył się on folkloru polskiego. Najwięcej jego odnosiło się do świąt Bożego Narodzenia. Trzy prace: d-ra Wł. Semkowicza »Boże Narodzenie w Radłowie«, J. Cieplika »Boże Narodzenie w Rabce i okolicy«, oraz Sz. Goneta »Widowiska w czasie świąt Bożego Narodzenia« pomnażają pożytecznie skąpy nasz materyał »szopek« i »herodów« wiejskich. Dr. K. Matyas podawał w dalszym ciągu »Ludowe nazwy miejscowe w powiecie brzeskim w Galicyi«. Szkoda tylko, że praca ta, tylekroć ważna dla etnografii samej, wlecze się tak długo. Z prac, dotyczących się rzeczy ruskich, wymienię A. Siewińskiego »Opis wesela w Liskach«, rojący się, niestety w tekstach od błędów korektorskich. Bardzo pożądaną nowością było wprowadzenie rubryki stałej, obejmującej materyały ludoznawcze »Z aktów i rozpraw sądowych«, oraz »Materyały historyczne«. Rubryki tej nie godziłoby się w przyszłości zaniedbać. Dział »Rozmaitości« był bardzo obfity i zamieszczał drobiazgi z przeróżnych dziedzin ludoznawstwa. Z pomiędzy notatek, tu włączonych, na uwagę zasługuje artykulik p. Matusiaka p. t. »Popiel, Piast i Krak«, oraz podpisanego pierwszy zapisany dotąd »Ludowy waryant komedyi Bazyki, »Z chłopa król«. Recenzyi i sprawozdań było dosyć. Szkoda tylko, że pochodziły stale od jednych i tych samych recenzentów, co nie może być uważane żadną miarą za wskazane ani pożyteczne.

Warszawski dwumiesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu *Wisła*, przechodził iście pożałowania godne koleje. Pismo, wymagające ogromnych wkładów pieniężnych, nie zyskawszy sobie sympatyi w komitecie Kasy im. Mianowskiego, który snać tę gałąź nauki uważa za niepotrzebną, zostało na barkach p. Erazma Majewskiego, którego zaparciu się, gorliwej pracy i — najważniejszemu czynnikowi — pieniądzom, zawdzięcza swoje istnienie. Że p. Majewskiemu chce się po tylu przykrościach i zawodach wydawać nadal *Wisłę*, to jest już jego rzeczą, w każdym razie co najmniej chwalebną. Ale że komitet Kasy miał tyle cywilnej odwagi obejść się tak po drákońsku z pismem pożytecznem, krzewiącem to, co mamy najdroższego, znajo-

mość rodzinnego kraju, — to zasługuje istotnie na napiętnowanie! — Przedewszystkiem — uczczoną została w omawianym roczniku pamięć nigdy nieodżałowanego założyciela *Wisły* w ten sposób, że do każdego zeszytu dodawano sporą wiązankę arkuszy z osobną paginacyą, na których kilkudziesięciu autorów naszych i obcych, żeby tylko wymienić: Kryńskiego, Korzona, Kallenbacha, K. Gaidera, Ad. Černego, J. Polivkę, F. S. Kraussa, T. Sumcowa, Čenka Zibrta, Szepielewicza, Faderowskiego, Głogiera, Brücknera omówiło »Życie i prace Jana Karłowicza«. Książka ta, o której osobno jeszcze pomówimy, to pomnik *aere perennius*. Skutkiem tego dodatku sama treść właściwa *Wisły* uległa pewnej redukcyi, koniecznej ze względu na objętość pisma. Z prawdziwą przyjemnością witamy szereg rozpraw syntetycznych, jakich w ostatnich rocznikach *Wisły* dawał się odczuwać dotkliwy brak. A z pomiędzy nich na czele postawić trzeba bardzo krytycznie napisany artykuł p. Witolda Klingera p. t. »Do sporu o folklor«, jaki toczył się dwa lata temu między prof. Porębowiczem a prof. Kawczyńskim. Artykuł p. Klingera przyczynia się znakomicie do rozjaśnienia całej sprawy, która, jako zasadnicza, ma wielkie znaczenie. Krótka ale jędrna praca p. P. Sterlinga zajmuje się rozstrzygnięciem pytania, co było pierwszym stanem społecznym »Koczownictwo czy osiadłość«? Redaktor *Wisły* dał też od siebie piękną rozprawę p. t. »Polska w wyobraźni geografów średniowiecznych i wartość podań średniowiecznych dla nauki dzisiejszej«. Pracę p. B. Malewskiego p. t. »Próba charakterystyki ubiorów ludowych« uważać należy, mimo jej niewątpliwych zalet i licznych trafnych spostrzeżeń, za przedwczesną. — Materyałów etnograficznych jest też dosyć. A więc najprzód wymienię dwa, mniej lub więcej dokładne zarysy, ogarniające pewną zaokrągloną całość, a to: W. J. Jaskłowskiego »Wieś Mnichów w powiecie Jędrzejowskim« i p. St. Dąbrowskiej »Wieś Żabno i jej mieszkańcy«. Z celniejszych prac są tu »Istoty mityczne na Żmujdzi J. Kilorta (co do której trzebaby uczynić parę zastrzeżeń), J. F. Magiery »Wielkanoc w Sądeczyźnie« i M. Parczewskiej »Gry dziecięce w Kaliszu«. — Rubryka »Poszukiwań« nie była bogata. Szczupłość jej jednakże została sowicie wynagrodzona piękną a wyczerpującą, kilkuarkuszową odpowiedzią na kwestyonaryusz o »Pojęciach prawnych ludu«, nadesłaną przez prostego chłopa p. J. Nakoniecznego, dla którego brak nam dość wymownych słów pochwały i zachęty do dalszej pracy w tym kierunku. Niejeden z zawodowych etnografów mógłby się śmiało uczyć od p. Nakoniecznego jasności w formułowaniu spo-

strzeżeń i gruntowności w badaniach ludoznawczych. — Dział recenzyjny nie okazał wytkniętych przez nas dawniej braków i niedomagań, owszem począł bardzo pięknie rozwijać się. Oby tylko tak dalej! Ilustracyjna wreszcie część *Wisły* była bogata i nie pozostawiała niczego do życzenia. Tylko czy nie za wiele było typów ludowych, ze szkodą innych rzeczy, godnych reprodukcyi?

* * *

Z wieku i urzędu należy się pomiędzy czasopismami, poświęconemi prawnym i ekonomicznym naukom, pierwsza wzmianka lwowskiemu miesięcznikowi — *Przeglądowi prawa i administracyi*. Jako pismo ściśle fachowe może ono zająć koła zawodowców. Większość prac w niem poruszonych, jest dla szerszych warstw zupełnie nieprzystępna, choćbyśmy wymienili zresztą bardzo interesującą rozprawę d-ra Jana Paygerta p. t. »Zbrodnicze zaniechanie«. Zdarzają się jednak gęsto pomiędzy szeregiem tego rodzaju fachowych rozpraw także prace, mogące ze względu na ich aktualny charakter obudzić szerszy interes. Do nich zaliczamy: prof. d-ra Władysława Pilata »Najnowsze poglądy socyalizmu na rozwój przemysłu«, prof. d-ra Wł. L. Jaworskiego »Parcelacya ze stanowiska prawnego«. d-ra Jerzego Michalskiego »Galicyjskie spółki akcyjne i projekty reformy opodatkowania tych asocyacyi w Austryi«, lub d-ra Henryka Jaworskiego »Stosunki ekonomiczne Galicyi pod panowaniem Austryi«. Bardzo interesującą jest rozprawa d-ra Fr. Bujaka p. t. »Wieś zachodnio-galicyjska u schyłku XIX wieku«. W zakres historyi wkracza praca Stefana Zembrzewskiego p. n. »Rosya i Królestwo Polskie«: stosunek prawno-państwowy od r. 1815—1832. W każdym zeszycie *Przeglądu* mieliśmy ponadto obfity dział recenzyjny oraz stałe rubryki, zajmujące się ciekawemi orzeczeniami najwyższych trybunałów w »Praktyce cywilnej i karno-sądowej«.

Warszawski *Ekonomista* zalecał się nadzwyczajnym doborem treści. Z pomiędzy prac, mogących obudzić szerszy interes, wymienimy: St. A. Kempnera: »Egoizm w ekonomii«, d-ra J. Michalskiego »Budżet Galicyi za rok 1904«, Michała Sokolnickiego »Statystyka ludności polskiej«, d-ra C. Rydlewskiego »Walka ekonomiczna żywiołu polskiego pod rządem pruskim«, Witolda Załęskiego »Wartość produkcyi rolniczej Królestwa Polskiego«, Józefa Lutosławskiego »Ruch współdzielczy w Anglii«. Mieliśmy tu też prace źródłowe w rodzaju takim, jak: d-ra Adama Szelągowskiego »Próby reform skarbowych w Polsce za Zygmunta III«. M. Handelsmana i Zygm. Nagórskiego »Wieś Bocho-

tnica kościelna pod względem ludnościowym«. Zeszyt drugi poświęcony był w znaczniejszej części pamięci St. Szczepanowskiego. Zawierał on oprócz życiorysu następujące prace autora »Nędzy Galicyi«: »W sprawie nafty«, »O wpływie tanich komunikacyi na rozwój kraju« i »Doniosłość dróg morskich«. Każdy zeszyt podawał ponadto »Kronikę ekonomiczną« i bardzo bogaty dział recenzyjny.

* * *

Czasopisma *lekarskie* zajmowały się przeważnie fachową analizą badań mózgowych. Były jednakże dwa pisma o zakroju popularnym, dające czytelnikowi wykształconemu materyał, przydatny do praktycznego zastosowania, oraz nastręczający sposobność do wyciągania z niego ogólnych wniosków. Obydwa te czasopisma były poświęcone wyłącznie hygienie, przedmiotowi tylekroć dla wszystkich ważnemu, a przecież nader mało rozpowszechnionemu i znanemu. Ze względu tedy na tę okoliczność, iż oba te wydawnictwa szerzą znajomość umiejętności użytecznej, znaczenie ich jest niepoślednie, a zasługa wielka. Lwowski *Przegląd hygieniczny* pomieszczał często prace o znaczeniu ogólnem, jak np.: M. Maślanki »Kanalizacya miasta Lwowa«, d-ra W. Legeżyckiego »Zdrowotność Lwowa w r. 1903«, A. Bergera »Statystyka mieszkań w średnich miastach galicyjskich i we Lwowie«. Ponadto bardzo na czasie było podniesienie w szeregu artykułów hygieny szkolnej, tak u nas zaniedbanej i upośledzonej w stosunku do innych krajów i społeczeństw. »O naglącej potrzebie zorganizowania służby zdrowia w szkołach publicznych« pisał tu dr. W. Serbeński, »Instytucyę lekarzy szkolnych dla szkół miejskich m. Krakowa« przedstawił dr. L. Bier, a prof. B. Duchowicz zamieścił »Przyczynek do znajomości stosunków hygienicznych w gimnazyach i szkole realnej w Tarnopolu«.

Organ warszawskiego towarzystwa hygienicznego *Zdrowie* drukował artykuły treści więcej praktycznej, jak np.: M. Dominikiewicza »O rozprzestrzenianu zarazy przez nabiał«, E. Goldberga »Sposoby usuwania wilgoci«, K. Reutta »Hygieniczne znaczenie emalii naczyń«. Hygiena szkolna znalazła także i tu uwzględnienie w pracy d-ra L. Wernica »Stan zdrowotny dzieci szkół miejskich Kalisza oraz stan hygieniczny samych szkół«.

Krytyka lekarska kultywowała, obok artykułów treści ogólnej, przeważnie prace z historyi medycyny w Polsce. Do tego działu należą rozprawy d-ra J. Bielińskiego »Założenie wydziału lekarskiego w Warszawie«, d-ra Fr. Gedroycia »Z dziejów szpitalnictwa w dawnej

Polsce«, d-ra Fr. Bujaka »Wielka fundacya szpitalna z pierwszej połowy XVII wieku«, oraz wydane z rękopisu i wiadomością o rękopisie poprzedzone przez d-ra Adama Wrzaska »Lekarstpha o osobływych niemoczach d-ra Szymona z Łowicza«. Charakter szerszy mają artykuły: d-ra O. Hewelkego »W kwestyi uświadamiania«, oraz Z. Kramsztyka »Głos na puszczy« i »Organizacya prasy lekarskiej polskiej«.

* * *

Najwspanialej wydawanem czasopismem *technicznem* był krakowski *Architekt*. Każdy jego zeszyt zdobiły przepyszne illustracye nowych budowli, wykonanych u nas, opatrzone fachowemi objaśnieniami i pracami, żeby tylko z nich wymienić: Wł. Sadłowskiego »Dworzec kolei państwowej we Lwowie« lub St. Szyllera »Politechnikę warszawską«. Na uwagę też zasługuje piękny artykuł d-ra Józefa Muczkowskiego »Jak konserwować zabytki przeszłości?«, bardzo ważny i cenny, wobec wandalizmu, jaki u nas się rozprzestrzenił.

* * *

Ściśle podług najnowszych wymagań nauki był redagowany krakowski *Przewodnik bibliograficzny*, którego byt spoczywa wyłącznie i całkowicie na barkach niestrudzonego d-ra Kornelego Hecka, a którego widocznemu rozwojowi z całego serca cieszymy się. Reforma, zapowiadana przez d-ra Hecka, dała dotąd nadzwyczaj pomyślne rezultaty, o których dawniej już mieliśmy sposobność mówić. W ubiegłym roku na wyróżnienie zasługuje kompletny spis polskich czasopism, wychodzących w Ameryce, o których dotąd wiedzieliśmy mało i niedokładnie, a także dalszy ciąg spisu manuskryptów Biblioteki Jagiellońskiej, prowadzony dalej za przykładem ś. p. Wisłockiego. Starania redaktora o jak największą dokładność spisu bieżących książek zasługują ze wszech miar na pełne uznanie i pomoc chętnych jednostek, jako że *Przewodnik* daje właściwy przegląd naszej umysłowej wytwórczości i mierzy siłę jej produkcyi. Jako taki powinien się bezwarunkowo znajdować na biurku każdego pracującego naukowo i interesującego się drukowanym naszym dorobkiem umysłowym.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Przegląd Polski. Rok XXXVIII—XXXIX. Ogólnego zbioru tomy 151—154. W Krakowie 1904. — Biblioteka Warszawska. Pismo miesięczne poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym. Rok LXIV. Ogólnego zbioru tomy 253—256. Warszawa 1904. — Przewodnik naukowy i literacki. Rok XXXI. Tom 31. We Lwowie 1904.

Rubryka »Sprawy krajowe«, której zaprowadzenie podnieśliśmy z uznaniem w roku zeszłym, była w dalszych numerach *Przeglądu Polskiego* prowadzona konsekwentnie i fachowo, poruszała też wiele spraw pierwszorzędnego znaczenia dla naszego społeczeństwa. »Liczne niedomagania i wady administracyi (krajowej), tamując należyty rozwój kulturny i społeczny, trwają dalej«[1], dlatego poświęca *Przegląd* kilka artykułów tej tak potrzebnej reformie. Stanisław Jędrzejowicz omawiając w tym względzie »Rady powiatowe i ich działalność« dochodzi do przekonania, że chociaż w ramach obecnej ustawy wiele, tak pod względem ekonomicznym jak i administracyjnym zdziałać można, to jednak administracya majątkiem gminnym, jedno z najważniejszych zadań Rady powiatowej, wiele pozostawia do życzenia. Kasy pożyczkowe gminne, które powstały bądźto z zrealizowanych dawnych spichlerzy gromadzkich, bądź też z tak zwanych funduszów ubogich, na które składały się kary i grzywny, lub wreszcie z wspólnej ziemi, żadnego, z powodu niedołężnej lub niesumiennej administracyi, wpływu i znaczenia nie mają. Tu może działać Rada powiatowa tylko przez naczelnika gminy; ten zaś musi posiadać więcej kwalifikacyi moralnych i intelektualnych i musi być lepiej dotowanym, jak dotychczas; jeżeli zaś jeszcze w sprawie administracyi funduszami gminnymi będzie zależał od Rady powiatowej, łatwiej będzie można zapobiedz ewentualnym nadużyciom. Reformą naszych Rad powiatowych zajmuje się artykuł Wł. Gniewosza »Najpilniejsze zmiany ustawodawstwa o reprezentacyi powiatowej«, który da się streścić w tych słowach, że reforma wymaga, aby »Wydział krajowy mógł silniej i skuteczniej wpływać na działalność Rad i Wydziałów, aby mógł oznaczać prace, które wypełnionemi być muszą, aby mógł ściśle kontrolować, jak są wypełnianemi obowiązki, nareszcie, aby miał możność w razie potrzeby... przeprowadzić swą wolę, nawet wbrew zdaniu całego powiatowego urzędu autonomicznego«. Wyżej jeszcze, bo do reformy samego Sejmu sięga M. Bobrzyńskiego »Z naszego sejmowania«. Jeżeli Sejm nasz, który »powagą i porządkiem swych obrad,

[1] Tom 151, str. 119.

poziomem i wykwintną formą swoich dyskusyi góruje nad wieloma sejmami i parlamentami«, nie osiąga jednak zamierzonych celów, to źródło złego leży w samej formie sejmowania. Sejm pracuje niedość gruntownie a winą tego jest krótkość sesyi. Posłowie skarżą się na pośpiech w obradowaniu, na przeciąganie posiedzeń, na przeładowanie porządku dziennego; nie mogą przygotować i przeczytać nawet sprawozdań pod dyskusyę; druki sejmowe jednej tylko kilkotygodniowej sesyi wynoszą około 7.000 stron folio. Ten pośpiech odbija się ujemnie przedewszystkiem na czynności ustawodawczej Sejmu i na rezolucyach, któremi Sejm jest przeładowany a szczególniej na rezolucyach odnoszących się do Rządu i Rady szkolnej. Przedłużenie Sejmu, uzasadnia autor, nie rozwiąże trudności, chyba że się ustali ograniczony termin, np. dwa tygodnie na stawianie wniosków, które nie powinny znowu mnożyć się w nieskończoność i wobec których jest często uzasadniona oporność Sejmu. Posiedzenia, przeplatane dniami wolnymi, powinny trwać 5—6 godzin, porządek dzienny nie powinien obejmować zbyt wiele spraw. Te i inne, bardziej już szczegółowe postulaty uczyniłyby z pewnością pracę Sejmu wydatniejszą. Zainteresować potrafią ogół artykuły dr. Szajnochy »Nasze górnictwo«, wykazujące, że górnictwo w Galicyi wzrasta tak, że w pewnych kierunkach Galicya przewyższa pod tym względem inne kraje koronne Wartość pieniężna górnictwa węglowego i kruszcowego i hutnictwo przedstawia w r. 1902 sumę 7,445.506 K, podczas gdy w roku 1893 wynosiła 4,218.008 K; sól dała 16,459.661 K; ozokeryt 2,922.362 K; olej skalny 14,676.651 K. Chociaż ta suma w porównaniu z r. 1901 jest o przeszło 10 milionów mniejsza (autor wyłuszcza powody, dla których to się stało) wykazuje jednak, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat ogólna wartość wzrosła o $11^1/_2$ miliona czyli o przeszło 37%. Trudno wspominać o innych artykułach z tej samej dziedziny, jak np. o »Ustawie parcelacyjnej« prof. Milewskiego, »W kwestyi parcelacyi« d-ra Grabskiego, »Z Galicyi Wschodniej« W. Gniewosza lub »O galicyjskich kolejach lokalnych w przyszłości« nader zaciekawiającej pracy W. Kolosvary'ego; chcąc się z niemi zapoznać, nie wystarczy je streścić.

Sporo miejsca poświęcił *Przegląd* sprawom kościelnym. Wyróżnia się tu między innymi niedokończony jeszcze artykuł d-ra P. Popiela »Leon XIII i papiestwo w objawach zewnętrznych«; nie streszczamy go, gdyż chcielibyśmy, aby każdy go czytał. Jest to artykuł w całem słowa znaczeniu apologetyczny, pisany z gorącą wiarą i miłością dla Kościoła a wielkim pietyzmem dla zmarłego papieża, objawiający przy-

tem tak głębokie wyszkolenie teologiczne, tak ściśle i rzeczowo rozróżniający np. urząd od osoby tę godność piastującej, że i pod tym względem na uznanie zasługuje. Ten sam autor omawia w artykule o Grzegorzu Wielkim jego znaczenie dla Kościoła i wpływ na otaczające Rzym narody. Ks. prałat Starowieyski w pracy »Z dziejów Stolicy św. za Piusa VII« opisuje obszernie stosunek papieża do Napoleona, przyczem na pierwszy plan wybija się figura sekretarza stanu, kardynała Consalviego; artykuł ma i tę zaletę, że wobec dzisiejszej walki Francyi z Kościołem zajmuje się dość obszernie kwestyą konkordatu. W rzewnem wreszcie sprawozdaniu opisuje hr. St. Tarnowski »Pielgrzymkę polską u Piusa X«. — Jest reprezentowany i dział historyczny. Znajdujemy tu dalszy ciąg ciekawych pamiętników Andrzeja hr. Zamojskiego z 30-go roku, artykuły A. Darowskiego o Bonie Sforzy, A. Prochaski o Unii Kalmarskiej i Jagiellońskiej, sprawozdanie T. hr. Wodzickiej z pamiętników Heykinga o ostatnich dniach Polski i Kurlandyi, drobną lecz wdzięczną rozprawę p. Heleny d'Abancourt o Dubrowniku-Raguzie, z tej szczególnej racyi na uwzględnienie zasługującą, że wybitne dzieło raguskiego poety, »Dubrownicka trylogia« Vojnovića, której polskie tłumaczenie się przygotowuje, nadaje artykułowi aktualność. — Interesująco przedstawia się część literacka. Hoesick kończy rozpoczęte w zeszłym roku studyum o najwybitniejszym polskim estecie i dyplomacie J. Klaczce i ma tę zasługę, że pierwszy powiązał w całość dzieje tego nadzwyczajnego żywota; dr. Grabowski daje wcale ciekawą sylwetkę francuskiego krytyka, poety i powieściopisarza Anatola France'a; dr. Flach omawia kilkanaście nowych dramatów niemieckich i dochodzi do wniosku, że choć w nich pojawia się od czasu do czasu człowiek-zwierzę, to jednak »twórcy dramatów, poczętych w imię realistycznej ‚sztuki rodzimej' i autorowie dramatów, opartych o bieżące polityczne i społeczne problemy« cechują dzisiejszy dramat w Niemczech; ten sam autor w »Beyerlein, Bilse i Spółka« zajmuje się senzacyjnemi powieściami z życia żołnierza pruskiego nie tak pod względem ich wartości literackiej, jak raczej badając ich realną prawdę; uzasadnia też, że »coś się psuje w państwie duńskiem a ślady zgnilizny stają się coraz wyraźniejszymi«. Prześliczny pastel sceniczny Łady »Jak liście z drzewa strącone« nie potrzebuje polecenia a wytworne pióro prof. Morawskiego już naprzód upewnia, że jego tłumaczenie »Edypa Króla« jest klasycznem.

Dział recenzyjny ocenia mnóstwo dzieł tak krajowych jak

zagranicznych: piśmiennictwo zagraniczne jest na ogół jednak lepiej od krajowego prowadzone. Rubryka »Teatr krakowski«, pisywana stale przez d-ra Konecznego, daje nie szablonowe sprawozdania teatralne, ale prawdziwą estetykę dramatu.

Dużo poważnych, różne aktualne sprawy poruszających artykułów pominęliśmy — w krótkiem sprawozdaniu nie można pomieścić wszystkiego. Szczerze i otwarcie za to życzymy *Przeglądowi Polskiemu* dalszego w tym samym kierunku rozwoju i rozszerzenia się w społeczeństwie.

W *Bibliotece Warszawskiej* wyróżnia się z wszystkich innych dział literacki o bardzo szerokim zakroju. G. Zapolska kończy swoją modną, dość mglistną i w tendencyi niewyraźną powieść »A gdy w głąb duszy wnikniemy«; Konopnicka umieszcza ustęp z cyklu »Życie«; J. Przysiecki drukuje mysteryum »Kara szatana«, w którem można znaleźć sporo głębszych myśli, nie zawsze jednak i nie ze wszystkiem odpowiadających tradycyi katolickiej. W pracach krytycznych i estetycznych na pierwszy plan występuje W. Dzieduszyckiego »Gdzie Arno płynie«, serya artykułów potrącających w formie lekkiego dyalogu o ważne kwestye życiowe, o sztukę religijną, o religijność renesansu, o religijność narodów i wpływ religii w życiu, o niemieckiej nauce i tej nauki »ostatnich wynikach«: dyskretna ironia dodaje temu artykułowi sporo powabu. Bogusławski w »Dramat i opera«, rozbiera, jak w roku zeszłym, głośniejsze utwory dramatyczne polskie i zagraniczne. Popowski pisze o stosunku społeczeństwa do sztuki, prof. Tretiak zajmuje się Słowackiego »Listem apostolskim« (tytuł ten dał dziełu prof. Tretiak) w formie biblijnej do Krasińskiego wydrukowanym a rozjaśniającym trochę stosunek panujący między dwoma poetami. »Popioły« Żeromskiego omawia Galle w »Epoka Napoleońska w powieści Żeromskiego«; pisze on również o »Pracy i dniach ludu polskiego w ‚Chłopach' Reymonta«. Mamy nadto jeszcze ciekawe studyum o »Alfierim« S. Askenazego, o »Wagnerze« Gostomskiego, o »Maksie Nordau« Jabłonowskiego; to ostatnie zwłaszcza z tego względu ważne, że autor zdziera nimb, roztaczający się u nas zbyt często nad Nordauem, wykazując, że Nordau uchybia bardzo często powadze nauki, wszczepia skłonność do sądów tanich i ogólnikowych a nadto rozprawia się z najtrudniejszemi zagadnieniami twórczemi w sposób gruby, jednostronny i płytki. Dr. Flach ocenia w »Literatura niemiecka w r. 1903« kilka nowszych powieści i dramatów niemieckich, wspominając paru słowami o literaturze polskiej w Niemczech. Adam Kra-

siński zapoznaje nas wreszcie z francuskim poetą, myślicielem, estetą Jean Lahore (dr. Henryk Cazalis); sympatya dla poety ze strony autora każe mu jednak wydać o nim sąd trochę za jednostronny.

W dziale filozoficznym rozbiera H. Struve z okazyi śmierci Spencera jego prace i systemy filozoficzne, ich znaczenie, ich stosunek do innych systemów a wszystko to w sposób jasny, przystępny — z okazyi znowu stuletniej rocznicy zgonu filozofa królewieckiego, daje treściwy obraz o filozofii Kanta, jej rozwoju i wpływie na zewnątrz. K. Kaszewski stara się odkryć »Genezę uczuć religijnych«, (czyż r e l i g i a to tylko u c z u c i e?) przyczem dochodzi wprawdzie do wniosku, że zwrot do religii powinien szukać źródła swego »w Ewangelii, bez ustępstw i zastrzeżeń«, równocześnie jednak mglisto, bałamutnie i niejasno całą rzecz traktuje, a już twierdzenie, że »zwierzęta myślą, czują, kombinują, porozumiewają się z sobą w jednym gatunku, zupełnie tak samo jak ludzie, lubo w niższym zupełnie stopniu«, lub że dzielą one »z człowiekiem wszystkie właściwości żyjącego organizmu: instynkt zachowawczy, rozrodczy, towarzyski, rozum, mowę« i t. d., że więc nie ma istotnej róznicy między człowiekiem i zwierzęciem, nie wszyscy chyba przyjmą i to nie powodowani bynajmniej względami religijnymi, które w tej kwestyi nie decydują, ale względami czysto rozumowymi i empirycznymi.

Biblioteka zajmuje się ponadto dość obszernie naukami przyrodniczemi. St. Kramsztyk opisuje »Okres lodowy« ziemi, stara się wniknąć w jego przyczyny lecz dodaje, że »teoryi stanowczej i bezspornej dotąd nie posiadamy«; niemało zaciekawia studyum St. Janiszewskiego »Meteoryty«, podające mniej więcej wszystko, co o meteorytach obecnie wiemy, i K. Rosenfelda »Sen« i »Marzenie senne«; w pierwszym artykule rozwija autor najważniejsze teorye snu i bezsenności, sądząc, że »sen jest wynikiem jakiejś zmiany, powstającej w korze mózgowej«; w drugim stara się wykazać, co nasze marzenie senne wywołuje i przypisuje to zadanie wyobraźni, chociaż nie odrzuca bezwzględnie wpływu wrażeń zmysłowych i organicznych na kształtowanie się snów.

Bieżący rocznik nie pomija, rozumie się, historyi, spraw społecznych, ekonomicznych i politycznych, jak również i spraw bieżących; między tymi ostatnimi zwracają na siebie uwagę Quaestora »Rządzcy nie rząd«, A. Limprechtównej »Armia zbawienia w Szwajcaryi« i szczególniej Filipowicza »Religijne życie Londynu«, przyczynek i do historyi zboczeń człowieka i do jego dążności do szuka-

nia prawdy i wiary. Bogata kronika miesięczna i dość urozmaicony dział krytyczny kończy każdy numer poważnego i dobrze redagowanego miesięcznika.

Przewodnik naukowy i literacki ma w tym roku charakter bardziej jeszcze historyczny, jak w ubiegłym, tak że słuszniej mógłby się nazywać historycznym, jak np. literackim; z prac literackich znajdujemy tu tylko jednę a mianowicie St. Grabowskiego »Młoda Chorwacya, kilka sylwet współczesnych pisarzy chorwackich«, omawiająca przez dwanaście zeszytów rocznika dzieła Ksawerego Szandora Gjalskiego a dotykająca innych tylko dodatkowo i wyjątkowo. Artykuł jest na prawdę zajmujący, choćby tylko z tego względu, że przedstawia nam kartkę z literatury pobratymczego a tak z tego właśnie punktu u nas nieznanego narodu, jest jednak stanowczo za obszerny a przez to czasami może trochę nużący. Wszystkie inne prace albo są ściśle historyczne, albo dadzą się prawie bez wyjątku pod rubrykę historyi podciągnąć. Są między tymi artykułami rzeczy i ważne i ciekawe i aktualne, jak np. d-ra Krotoskiego »Św. Stanisław biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Śmiałym«, wykazujący, że św. Stanisław »ani nie jest zdrajcą przeniewierczym, ani niezwykłym cudotwórcą«, lecz »gorącym i energicznym zwolennikiem wielkiej idei, idei postępu, wolności i moralności chrześcijańskiej«, słusznie zasługującym sobie na miano »męczennika i świętego w Kościele«; w dziejach ludzkości zasługuje on »na podziw i cześć«. Fr. Rawita Gawroński przedstawia epizod z życia Chmielnickiego, obejmujący czas od wyprawy cecorskiej do awantur czechryńskich; dr. Truskolański daje nam część I-ą drugiego tomu swego dzieła o biskupie krakowskim, Andrzeju Zebrzydowskim; znany badacz słowiańskich monasterów, Wołyniak, pisze o klasztorach Bazylianek na Litwie i Rusi, powszechnie ceniony znawca Sandeczczyzny, ks. Sygański o arendach klasztoru starosądeckiego, T. Mańkowski o prawie łowieckiem polskiem w wiekach średnich. Te i inne prace ostatniego rocznika zawierają dużo rzeczy interesujących, są jednak na prawdę za długie; wszak cały rocznik obejmuje na 1168 stronicach tylko piętnaście artykułów; ta okoliczność zniechęci żądnych lżejszej strawy czytelników do zagłębiania się w zbyt obszerne prace, a to zawsze wyjść musi na szkodę i pismu i publiczności i pismu rzeczywiście na szkodę wychodzi. W interesie miesięcznika musimy też żałować, że nie znajdujemy tu żadnych ocen, żadnych sprawozdań a tytuł *Przewodnik literacki* zdaje się przecie mówić coś więcej.

Ks. Wiktor Wiecki.

Pamiętnik literacki. — Czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej, r. 1904. Rocznik III, zeszyty: 1—3 w 8-ce, str. 504.

Dla naszej dzisiejszej literatury pięknej rzeczą wielkiej wagi jest tradycya. »W literaturze — pisał w 1828 roku Grabowski Michał, widzimy wyraz moralnej fizyonomii narodu, wiekowe zwierciadło uczuć, skład myśli i wyobrażeń, których dostępujemy ze stopniującą się kulturą. Chcemy, żeby nasi nowi poeci mówili nam o duchu narodowym, o dziejach domowych, o uczuciach jeszcze żywych w sercach« [1]. Podzielam w całej rozciągłości domaganie się Grabowskiego i myślę, że powinnoby się ono stać gwiazdą przewodnią dzisiejszej literatury, którą obłędnie wiedzie się na manowce obcych kultur. Jeżeli tak, to książki, usiłujące stać się »arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty«, usiłujące wznieść most między dążeniami dzisiejszego piśmiennictwa a dawną literaturą, pełnią szacowną rolę przewodników nie tylko dla specyalistów zawodowych, lecz wogóle dla inteligencyi, o ile nie są jej obce aspiracye do znajomości własnej kultury. Taką rolę pośrednika wybornie od lat trzech pełni cenny kwartalnik Mickiewiczowskiego Towarzystwa we Lwowie. Z pewnością każdy szczery miłośnik ojczystej cywilizacyi z upragnieniem oczekuje tych tomów ceglastej barwy, każdy uśmiechem radości je wita i otwiera z nadzieją miłego przepędzenia kilkunastu godzin nad ich studyowaniem. Bo też każdy tom bywa nową cegłą, dokładaną do wzniesienia pięknego gmachu, każdy podaje czytelnikowi treść bogatą, rozmaitą i pouczającą. Działy treści są też same, co w dawnych rocznikach: rozprawy, notatki, materyały, recenzye, polemika. W rozprawach znajduję na czele: Chmielowskiego: »Jeszcze o celu w sztuce«, Gostomskiego: »Tragiczność w życiu i poezyi«. Są to utwory, nieco przekraczające program kwartalnika, należą bowiem do estetyki, podczas gdy nagłówek pisma mówi o historyi i krytyce literatury polskiej. Ale z uznaniem dla redakcyi przyjąć trzeba to cenne przekroczenie programu, bo go wymaga duch czasu. W drobnym, polemicznym artykule zbija Chmielowski dosyć rozpowszechnione dziś hasło, że sztuka sobie sama jest celem, sztuka istnieje dla sztuki, godząc się w końcowym wywodzie na tezę Matuszewskiego, który wprawdzie żąda, aby sztuka była celem sama sobie, ale pozwala artyście obrabiać tematy społeczne, o ile to odpowiada jego usposobieniu i zdolnościom. W drugim zaś artykule zastanawia się p. Gostomski nad tragicznością w poezyi, przypominając czytelnikom

[1] »Myśli o liter. polskiej«. *Dzien. Warsz.* 1828, str. 111.

motywa tragedyi Danta, Goetego, Byrona i Mickiewicza, i dochodzi do wniosku, że czasy obecne wielce zmaterya1izowane i skarlałe nie wydały, zapewne nie prędko wydadzą tragedyę w poezyi. Dowodzenie to uważam za nieudatne i nieprzekonywujące. Teza, jakoby pomiędzy życiem a poezyą musiał zachodzić stosunek przyczyny do skutku, nie da się obronić: samo apriorystyczne wymyślenie jakiejś tezy, dociąganie do niej kilku kreacyi i snucie smętnych horoskopów na przyszłość wydaje się mi kręceniem, mniej lub więcej pięknego bicza z piasku. W tym razie i bicz niezbyt piękny i piasek nieosobliwy. Pan Gostomski nie gardzi frazesem, niekiedy nawet lubuje się nim, w słownictwie swem nad miarę abstrakcyjny, za mało konkretny, w stylu zawiły i niejasny; w dowodach temat wymagałby więcej materyału naukowego, ażeby zdołał zająć i przekonać.

Są to zresztą dwie tylko rozprawki estetyczne. Reszta prac należy do działu historyi literatury lub krytyki. Idą więc: Przemysława Mączewskiego: »Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki«. Rzecz niewątpliwie młodego autora, przypuszczam, że studyum seminaryjne. Domyślam się w głos nie dlatego wcale, abym miał stąd czynić zarzuty autorowi. Owszem: żartki temperament, igranie konceptem i dowcipem, swada pisarska i zacięcie literackie czynią studyum zajmującem i poczytnem. Tylko w stosowaniu metody badania naukowego mało wprawy, tylko odsyłacze na »później«, które to później pozostaje do końca teoryą (str. 39, 53), tylko dwustopniowość wywodów — zrazu w słowach ogólnych, potem w szczegółach — to ujawnia młode pióro. Są to skazy drobne, formalne. Treść wzbogaca nasz krytyczny dorobek. Wyróżniam w niej dwa świadome zamiary: jeden — wykazać, w jakim stosunku do naszego obyczajowego życia w XVIII wieku pozostaje dzieło Krasickiego, drugi — odkryć analogie pomiędzy powieścią naszą a podobnymi utworami literatury francuskiej, zwłaszcza zaś romansem filozoficznym Woltera. Pierwszy zamiar napełnił szkic pana Mączewskiego obrazkami naszego życia, czerpanymi z satyr, Monitora i pamiętników — i to uważam za najlepszą część studyum. Wykonanie zamiaru drugiego nie uchroniło autora od wyszukiwania zbyt drobnych i nieznamiennych analogii, od wysuwania z brzękiem i szczękiem wielkiego aparatu erudycyi dla udokumentowania rzeczy znanych, jak owo pochodzenie od Roussea'a obrazu utopijnego społeczeństwa. Natomiast mniemam, że choć p. Mączewski na ostatniej karcie i wspomniał półgębkiem o myśli d-ra Karbowiaka, dotyczącej związku »Przypadków Doświadczyńskiego« z pracami komisyi edukacyjnej, to jed-

nakże tej myśli należało się więcej uwagi, zarówno jak i pedagogicznym intencyom samego Krasickiego.

W dziale rozpraw do najgruntowniejszych badań należy rozległe studyum prof. Bruchnalskiego p. t. Mickiewicz — Niemcewicz. Rocznik obecny przyniósł dalszy ciąg jego, poświęcony wykryciu zależności ballad i Grażyny Mickiewicza od utworów Niemcewicza. Myśl nowa, broniona mocno, argumenty rzeczowe, obfite i silne, chociaż się może Szan. prof. niekiedy zaopatruje w zbyt drobne motywy, aby zależność oświetlić w pełni. Nie wątpię, że studyum d-ra Bruchnalskiego ukaże się w książkowem odbiciu i wtedy będzie właściwa pora do oceny jego; dziś wobec braku dokończenia wypada jeno stwierdzić, że przynosi ono mnóstwo nowych rysów do rozwoju początkowego naszej poezyi romantycznej i czyta się równie z pożytkiem jak i zajęciem.

W drugim i trzecim poszycie znajduje się studyum p. Edwarda Dubanowicza p. t. »Słowackiego ksiądz Marek«. Autor studyum zna odnośną literaturę, a na podstawie pilnego przewertowania korespondencyi Słowackiego i dzieła, którem się zajmuje, stara się dociec, co mogło być zasadniczą ideą »Księdza Marka«. »Walka ciała i ducha jest kamieniem węgielnym, zasadniczą myślą Księdza Marka« — mówi p. Dubanowicz (str. 237). O ile motywuje tezę, już zresztą nie nową, o tyle ma słuszność; o ile korespondencyą poety tłomaczy postaci i rolę bohatera i Judyty, o tyle się z nim godzę; ale p. Dubanowicz pragnie wystawić dramat ten, jako jeden z największych utworów Słowackiego, pragnie nawet czytelnika przekonać, jakoby ks. Marek był »ideałem« Słowackiego, człowiekiem »Chrystusowej mocy«. Należało jednak zaznaczyć, że poeta sam w liście do Krasińskiego potępił utwór. Dlaczego p. Dubanowicz, znając list ten, podał zeń tylko urywki obojętne? »Wpadłem b e z m y ś l n i e na jedyną figurę historyczną. Obrałem księdza, a sama n ę d z a z e w n ę t r z n a w wykonaniu świadczy, żem w s z a l e ń s t w i e pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi w c z o r a j s z e j g ł u p o c i e, podobnie ja, już po napisaniu dramatu, obaczyłem w a r t o ś ć dzieła i boleśniejsze jeszcze, różne zeń wylatujące strzały, które wszakże — Bóg mi świadkiem — n i e w t w ó r c z o ś c i g o d z i n i e, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły«. Krytyka dzisiejsza wszelkich wysiłków używa, aby dzieła Słowackiego z okresu mistycyzmu otoczyć nimbem wielkości. Ale zadaniem naukowej krytyki nie jest chwalić lub ganić, lecz wyja-

śniać. Studyum p. Dubanowicza dokładniej wyjaśnia dramat — i to jego zasługa.

Nie przynosi prawie nic nowego rozprawa p. Władysława Jankowskiego p. t. »Fr. Dyon. Kniaźnin«. Opiera się na znanym biograficznym materyale, nie uwzględnia nawet znanej pracy Suryna i nie wie o materyałach, dotąd nie wyzyskanych, w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Jeżeli do tego dodamy zajmujące studyum p. K. Wojciechowskiego p. t. »Bernatowicza Nierozsądne śluby, jako pierwszy objaw werteryzmu w Polsce«, oraz prof. Windakiewicza »Pieśni i dumy rycerskie XVI w.« — to otrzymamy wcale piękny dorobek w zakresie rozpraw. Prawdę mówiąc, zaliczyłbym chętnie ostatnią rzecz do działu notat, a tam dopiero i prof. Windakiewicz znajdzie się w godnem siebie towarzystwie i praca jego wyda się właściwie.

Dział notat w bieżącym roczniku *Pamiętnika* przedstawia się świetnie. Prof. Windakiewicz omawia siedmnaście pieśni rycerskich, wśród nich dwie o Grunwaldzie, Ł. Górnickiego: O pruskiej porażce, o zwycięstwie pod Obertynem, parę Kochanowskiego (Na zdobycie Połocka i Na spustoszenie Podola), parę Szarzyńskiego (o Fridruszu i Strusie) i inne. Wielce ciekawą jest wzmianka o pieśni: »Niech włoskie kraje siła nad nas mają« Joachima Bielskiego, ogłoszonej w broszurce, odnalezionej przez prof. Czubka, która jest unikatem. W dziale notat zaszczytne miejsce należy się prof. Brücknerowi. W każdym zeszycie umie on miłośnika przeszłej literatury polskiej uraczyć jakąś nową wiadomością z jej skarbca, zawsze wielce zajmującą i cenną. W notatce »Z teki bibiograficznej (VII) omawia *Volumina miscellanea*, szczegółowo zaś *volumen* ze zbiorów jakichś prywatnych, dostarczony mu przez Ign. Chrzanowskiego. Zaleca usilnie z tego *volumina* do wydania: »Wyprawę plebańską« i »Albertusa z wojny«, zachwala satyrę Widawskiego, jako jedną z najlepszych satyr XVII w., dopomina się przedruku dzieł Jana Jurkowskiego, uważa Solikowskiego »Do obywatelów inflanckich oycowskie napomnienie« za najpiękniejszy utwór autora »Apokalipsy«, podnosi wartość utworu Piotra Czyżewskiego p. t. »Alfurkan Tatarski« i drobiazgowo opisuje szereg innych pism w tym tomie zawartych, kończąc życzeniem, aby posiadacze podobnych *miscellaneów* w takiż sposób do wiadomości ogółu podawali ich opisy. W poszycie trzecim *Pamiętnika* w dalszym ciągu wiadomości »z teki« (VIII) dowodzi uczony profesor, że przypisywany powszechnie Klonowicowi pamflet *In Jesuitas actio prima* napisał bakałarz Kaliszczyk, który nie był wcale *equesem;* że natomiast podniety, materyałów i my-

śli dostarczył mu Klonowic. Druga *actio* zgoła nie istniała. W rozdziałku nareszcie IX tejże »Teki« wyjaśnia prof. Brückner, że autorem »Napomnienia ku Zgodzie z r. 1545« nie jest Walenty poddany, jak się pod dedykacyą Stanisławowi Łaskiemu podpisał, lecz sam Stanisław Łaski, którego »Sprawę rycerską« i »Zgodę« na nowo do wydania zaleca, gdyż odznaczają się one tak świetnym stylem — (jak utrzymuje szan. profesor ze zwykłą sobie żartkością wbrew Wierzbowskiemu, który osądził styl ten jako »ciężki i niewygładzony«), że Rey i Kochanowski mogliby się u tego »Walentego« uczyć pisać prozą polską. Oprócz tych rewelacyi nader interesujących z »Teki« toczy prof. Brückner »polemikę z prof. Wierzbowskim o Kochanowskiego: »Czego chcesz od nas Panie« i o »Szachy«. Drwi on sobie z »wybornie« wymyślonej anekdoty, jakoby pieśń tę Kochanowski z Francyi przysłał, a Rey wywróżył z niej Kochanowskiemu wielką przyszłość. Prof. Wierzbowski atoli obstaje przy twierdzeniu, że napisał ją nasz poeta pod wpływem Hieronima Ossolińskiego w Paryżu. A co do osób w »Szachach» nie godzą się szanowni antagoniści, spory to są wszakże mniejszego znaczenia.

Notatki zawierają w każdym zeszycie wiele wyjaśnień, sprostowań, drobiazgów, wiadomostek, zgoła dla historyka literatury nieobojętnych. Tak n. p. prof. Czubek stwierdza, że autorem »Proteusa albo Odmieńca« jest Piotr Statorius, inaczej Stojeńskim u nas zwany; tenże ogłasza nadzwyczaj ciekawą nowinę, że biblioteka małej szwedzkiej mieściny Strengräss nad jeziorem Melar posiada do 24 druków polskich i do 50 utworów łacińskich, w Polsce drukowanych; tenże przytacza wiadomość o dyalogu z tego zbioru p. t. »Sołtys z Klechą z r. 1598«, podczas gdy prof. Wierzbowski wydał go z r. 1616. Ignacy Chrzanowski rozwodzi się nad autorstwem Krasickiego w Monitorze z r. 1772, Bron. Czarnik omawia nieznany druk Hozyusza, Hahn wskazuje źródło tragedyi Felińskiego »Kora i Alonzo«, Grzegorzewski udawadnia, że Mickiewicz z rozmysłem przesunął akcyę swego »Konrada Wallenroda« wstecz o lat kilkanaście, każąc umierać bohaterowi w 1382 r., nie zaś jak w historyi 1393 r.; tenże wzbogaca paru drobnymi rysami genezę »Alpuhary« i postaci »Halbana«, prof. M. Reiter za pomocą analizy stylu dochodzi do wniosku, że powieść »Małgorzata z Zembocina« w *Pamiętniku* dla płci pięknej z r. 1830 jest pióra Zygm. Krasińskiego, Kaz. Jarecki wyświetla związek między ideami historyozoficznemi Woronicza a mesyanizmem polskim, Drogoszewski mówi o stosunku *Przedświtu* do nauki Towiańskiego, Dobrzycki

jeszcze raz wraca do pomysłu trylogii Krasińskiego, której jedną częścią jest »Niedokończony poemat«, drugą »Nieboska«, a trzeciej brak. Krček, Jankowski, Méyet, Ar. Górski dodają drobiazgi małej wagi do twórczości Słowackiego, Mickiewicza...

Notatom przeto w bieżącym roku przynajmniej należy się bezwzględne uznanie. Dział materyałów zawiera jednak także parę zajmujących wzbogaceń wiedzy historyczno-literackiej.

Pan Stanisław Kossowski ogłasza listy Dmochowskiego do Śniadeckiego w sprawie dzieł tego astronoma o Koperniku i o Geografii fizycznej, redaktor Gubrynowicz umieszcza listy Brodzińskiego, p. Dobrzycki układa bardzo starannie bibliografię artykułów Maurycego Mochnackiego z lat 1820—30, prof. Kurpiel dodaje kilka szczegółów do życia i twórczości Krasickiego, prof. Hahn drukuje list Korzeniowskiego, dr. Czarnik zdaje sprawę z pierwszej recenzyi »Żydów« na scenie lwowskiej, kończy bogatą zawartość rocznika dział recenzyi, a w nich znowu najobfitsze współpracownictwo d-ra Brücknera, który sam prawie całą dawną literaturę w wydawnictwach i wszystko, co o niej się pisze, czyta i omawia. Nowszą oceniają Chmielowski, Drogoszewski, Dziama, Pini, Jabłonowski, Hahn, Gubrynowicz.

Taki jest w suchem i pobieżnem ujęciu zasób z trzech zeszytów rocznika. Kto wie, ile mozołu i zabiegliwości wymaga zgrupowanie około ściśle naukowego zamiaru grona ludzi, fachowo pracujących, ile trudu i sztuki trzeba, aby utrzymać pismo na poziomie nieobniżonym przez lat trzy, ten uzna za najwyższą pochwałę to, że oto we wszystkich tych trzech tomach nie masz ani jednej rozprawy, notatki, recenzyi bezwarunkowo słabej i bezwartościowej. Ton przedmiotowy, ton rzeczowego i spokojnego znawstwa góruje tak dalece, że nadaje kwartalnikowi charakter organu prawdziwie naukowego, wyznaczając mu miejsce pomiędzy zbyt ciężkimi tomami akademii a obliczonymi na najszersze koła czytelników miesięcznikami. Życzyć wypada *Pamiętnikowi*, aby przez lat dziesiątki utrzymał się na tejże wysokości zadania, aby skupił koło siebie wszystkie, jakie są na ziemiach polskich, wybitne siły literackie, aby jak dotąd energicznie krzątał się około dobywania z archiwów i bibliotek skarbów, bogacących dzisiejszą wiedzę.

Antoni Muzanowski.

Z naszych wydawnictw teologiczno-religijnych.

Zgodnie z zeszłorocznem przyrzeczeniem, pragniemy i w tym roku przez krótkie *resumé* ułatwić czytelnikom naszym zapoznanie się z tem, co się zrobiło w ubiegłym w kierunku literatury peryodycznej, teologiczno-kościelnej.

Pokaźny poczet pism tu należących pozostał i tym razem prawie nie zmieniony. Mamy więc naprzód czasopisma o charakterze ściśle naukowym, jak warszawski *Kwartalnik teologiczny* (redagowany niezmiennie w epokach czasu niewymiernych), poznański *Przegląd kościelny* i szacowną prawdziwie *Bibliotekę dzieł chrześcijańskich*. W najbliższym związku z niemi stoi *Homiletyka* włocławska i przemyska *Kazalnica*, uwzględniające przedewszystkiem potrzeby parafialnego duchowieństwa w dziale wymowy kościelnej, której praktycznych wzorów dostarczać mają *Kazania i Szkice* (Kraków). Więcej aktualnym kwestyom poświęcają się jak zawsze: *Przegląd katolicki* (Warszawa), *Gazeta kościelna* (Lwów), *Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski* (Tarnów) i *Kronika rodzinna* (Warszawa); *Sodalis Marianus* (Kraków) i *Kronika dyecezyi przemyskiej* — na obręb zaznaczony tytułami. *Misye katolickie, Głosy katolickie* i mnogie wydawnictwa *Apostolstwa Modlitwy*, nie przekraczają wskazanych z założenia granic interesującej lektury dla osób wszystkich stanów, pragnących zajmować się sprawami ogólno-ludzkiemi, religijnemi.

Dla ułatwienia sobie i czytelnikom naszym pracy w przeglądzie tych tak cennych dla idei chrześcijańskiej wysiłków dobrej woli i zdolności umysłowych, pozwalamy sobie ograniczyć się tylko do wytknięcia najcelniejszych szczegółów, którymi rok miniony zaznaczył się w ich duchowym budżecie.

Pomijam tu sprawozdania kronikarskie i wiadomości bieżące, których wartość niezaprzeczoną, jako dodatku do artykułów zasadniczych, podnosi niejednokrotnie znana powaga ich autorów. Z natury rzeczy nie mogą one nam dać wiele więcej, niż codzienna literatura dziennikarska, o ile przeciętna inteligencya, złączona z życzliwym interesem dla spraw kościelnych, pozwala z niej wysnuć każdemu materyał przynajmniej równoznaczny z oceną wypadków podaną schematycznie przez fachowo-kościelnego pisarza. Główny nacisk pada tutaj na ten dział prac, które zasadniczo domagają się gruntownej znajomości nauk teologicznych, a tem samem tylko sporadycznie znaleść mogą oddźwięk, choćby w najuczciwszem piśmiennictwie świeckiem.

I pod tym względem mamy przedewszystkiem do zanotowania

in plus znamienny i obiecujący zwrot naszego piśmiennictwa ku dogmatowi. Zmuszająco niejako podziałał tu w pierwszej linii zeszłoroczny jubileusz Niepokalanego Poczęcia, który umiał w ruch wprawić na nowo niejedno spoczywające lub innemi, ważniejszemi sprawami ubezwładnione, a cenione pióro, przypominając czytelnikom podstawy ich nabożeństwa do Najśw. Panny w takich artykułach, jak X. Arcyb. Bilczewskiego »Posłannictwo i godność Bogarodzicy« (*Homiletyka* Z. I.), nieznajomego autora »Najświętsza Dziewica według encyklik Leona XIII« (tamże Z. 3)., ks. Dr. Siemieńskiego »O fałszywem nabożeństwie do Najśw. Maryi Panny« *(Przegl. kat.)*, ks. Dr. Kopycińskiego odczyt z dnia 7 marca z. r. wygłoszony w »Gwieździe tarnowskiej« *(Gaz. Kroś.)*, albo w całym szeregu kazań i przemówień mniej lub więcej dogmatycznych. Oczywiście nie jest to wszystko, ani nawet część większa tego, co właściwie rok maryański mógłby ogarnąć z prawd złączonych z imieniem Maryi. Cząstka zaledwie, której tła i uzupełnienia dopatrywać się musimy w całej onej plejadzie samoistnych utworów, z jakimi wystąpiła u nas i zagranicą literatura katolicka. Dlatego oszczędność niektórych redakcyi pozostawiamy w tej mierze zresztą bez zarzutu; tembardziej, że żadna z nich nie zaniedbała odpowiednią ilością zapisków historycznych lub referatów zaznaczyć swą łączność z jubileuszem.

Wracając jednak do naszej tęsknoty za jaknajwydatniejszym rozwojem pracy w kierunku dogmatycznym, z prawdziwem zadowoleniem zauważamy, że kwestye z dziedziny Maryologii nie były jedynem polem głębszych, filozoficznych refleksyi. Obok tamtych spotykaliśmy się kilkakrotnie z elaboratami, które wprost trafiają w sedno powszechnie-naukowych dążeń i aspiracyi. Mam na myśli, pomiędzy innymi, artykuły: »O istocie człowieka«, »O istocie Bożej«, »O obcowaniu człowieka z Bogiem«, »O spotkaniu i wielkiem zjednoczeniu się Boga z człowiekiem» *(Gaz. Kość)*, »Bóg w świątyni a w przyrodzie« *(Przegl. kat)*, »Teleologia czy ateleologia« *(Przegl. kość.)*, »Znaczenie teologii wobec nauk świeckich« *(Kwart. teol.)*. Wymieniłem tylko kilka, nie wszystkie, ale najcharakterystyczniejsze, najdowodniej przekonywujące nas o tem, że są i u nas siły, uprawniające nas do czynnego współudziału w wysiłkach umysłowych dzisiejszej doby, nie tylko ze zrozumieniem rzeczy samej, ale i z celnym pożytkiem dla dobrej sprawy. Przekonywują nas, powtarzam, te prace, że i u nas idea świadomej swego celu ewolucyi duchowej, idea godziwego postępu, który nie burzy i nie niszczy, ale wyjaśnia, utwierdza i doskonali, coraz to

szersze zataczać poczyna kręgi. Nawet tak głęboko sięgające rozprawy, jak one »Pogadanki o Bogu«, któremi raczył nas przez kilka miesięcy z rzędu *Posłaniec Apostolstwa*, zdołały w krótkim czasie spotkać się z uznaniem, a co ważniejsza, ze zrozumieniem, u prostego ludu. Czyżby wyższa inteligencya, miała być w tym względzie przeszkodą? Sądzimy, że przeciwnie, a pragniemy tego tem bardziej, że wówczas inny dział naszej religijno-społecznej literatury trochę idealniejsze zapewne przybierze kształty.

Nikt nie przeczy, że krytyka i polemika są czynnikami niezmiernej doniosłości we wszelkiem badaniu naukowem. Doświadczenie samo poucza nas w pewnej mierze, że nic nie wpływa bardziej oczyszczająco na atmosferę jak burze. Aleć mamy też takie burze, które żadnej korzyści nie przynoszą i owszem szkodzą. Nie myślimy śrubować dalej analogii, aby nie dawać okazyi do, nie wiem już jak, czarnych przypuszczeń lub podejrzeń. Zwłaszcza, że właśnie w piśmiennictwie zeszłorocznem napotkaliśmy wcale wzorowe przykłady trzeźwej, rozumnej dysputy, względnie oceny cudzych dzieł, które, jak recenzye ks. Kolskiego *(w Kwartalniku)*. obok sumiennej analizy, wykazują szczerą gorliwość o rzecz samą. Ale tak nie jest wszędzie i zawsze. Szczęściem, że i na tem polu wiek pisarza, doświadczenie, a zwłaszcza temperament zatrzymuje swe prawa do ekskuzy, przynajmniej u odpowiednich redakcyi.

O ileż chętniej, zamiast wycieczek zgryźliwej satyry, widzielibyśmy, choćby treściwe zapiski bibliograficzne, na wzór *Kwartalnika*, choćby proste tłómaczenia dzieł Ojców św., jak św. Cypryana »O jedności Kościoła katolickiego« *(Homiletyka)*, a już nadewszystko liczniejsze studya tego rodzaju, jak »św. Augustyn jako pedagog nowoczesny« *(Homitetyka)*. Istotnie pod tym względem pismo ks. Nassalskiego przedstawia obraz działalności najbardziej po kapłańsku pojętej i najbardziej konsekwentnej w swych hasłach i dążeniach. Że wspomnę mimochodem o nieocenionym przekładzie nauk katechetycznych A. Mechlera, lub o nader interesującem studyum z dziedziny historyi apologetyki p. t. »Zarzuty pogańskie przeciw chrystyanizmowi, czyli apologia wiary św. w pierwszych wiekach«. Zagranicą poznano się już dawno na niespożytej i dla naszych czasów wartości materyału zgromadzonego w pismach starych Ojców i pisarzy kościelnych. Nawet piśmiennictwo wrogie Kościołowi interesuje się niemi i czerpie z nich pełnemi rękoma.

Wyszczególnijmy jeszcze ważniejsze rozprawy.

I tak w *Kwartalniku teologicznym* pierwszorzędne miejsce zajmuje praca ks. d-ra Gabryla p. t. »Realizm i nominalizm w dziejach filozofii« studyum poważne, bardzo na czasie ze względu na wzmagający się ruch najrozmaitszych teozoficznych poglądów, a przytem prowadzone w stylu spokojnego, najobjektywniejszego sprawozdania. Wyświetliwszy poprzednio stan zapatrywań w kwestyi pojęć ogólnych w epoce przedchrześcijańskiej, autor rozwija w rozdziale III dzieje tego problemu w piśmiennictwie chrześcijańskiem aż do IX wieku, wykazując na tle dzieł Boecyusza, św. Augustyna, Marcyana Capelli i późniejszych komentatorów (Alfana, Eryka z Auxerre i t. d.) przyczyny, dla których kwestya ta nie mogła w tym czasie zająć wybitniejszego stanowiska w szeregu innych omawianych problemów i w całości niemal ogranicza się do przygodnych uwag, nasuwających się przy rozbiorze »Isagogi« Porfiryusza. Za Cousin'em i Ueberweg'em upatruje je głównie w ówczesnej nieznajomości metafizycznych dzieł Arystotelesa. W następnym rozdziale IV rzecz kształtuje się więcej monograficznie. Obejmuje ona dzieje tego odłamu zapatrywań, który pod egidą słynnego Szkota Erigeny wniknął głęboko w sferę późniejszych dysput scholastycznych, a utrwaliwszy się w dziełach Wilhelma z Champeaux, Teodora i Bernarda z Chartres jako osobny system, zwalczany zawzięcie przez głośnego Abelarda, a w wieku XIII przez całą prawie »szkołę«, przetrwał aż do naszych czasów jako podkład skotystycznego formalizmu, ontologizmu i niemieckiego idealizmu. Autor oznacza ten kierunek mianem »przesadnego realizmu«, mając zapewne na względzie jego zasadniczy punkt wyjścia w tłumaczeniu natury bytu, który przyznaje samym ideom ogólnym byt absolutny, pozaumysłowy. Rzeczowo da się ta nazwa najzupełniej usprawiedliwić i bynajmniej nie bierzemy jej za złe nikomu, zwłaszcza że autor w samem przeprowadzeniu pojedynczych poglądów tłumaczy dostatecznie swój sposób pojmowania rzeczy. Ze względów jednak praktycznych, metodycznych, bardziejby nam może przypadała do gustu ustalona już poniekąd w podręcznikach nazwa »Idealizmu« dla wszystkich wogóle kierunków jednoczących się w przeczeniu realnego bytu indywiduów. W tym wypadku jaśniej wystąpiłby też związek, zachodzący pomiędzy marzeniami Platoników, a mrzonkami Fichtego, Szellinga *et consortium*.

W zajmującem, dla nas Polaków przedewszystkiem, studyum »O tłumaczeniu N. Testamentu ks. Jakóba Wujka« zastanawia się w dalszym ciągu ks. Julian Gołąb nad różnicami zachodzącemi pomię-

dzy wydaniem tegoż z r. 1593—4 i 1599 (§ 4) i nad jego wartością filologiczną (§ 5). Ten ostatni paragraf nie jest tyle samoistną oceną, przed którą autor skromnie się uchyla, ile raczej zestawieniem poglądów spółczesnych na dzieło nieśmiertelnego naszego teologa i umiejętnem zbiciem fanatycznych zarzutów pastora Ringeltaube (r. 1744), powtórzonych na ślepo przez Wiszniewskiego. Z samych cytatów i porównań tekstów najdowodniej można się przekonać, jak bezpodstawnie przypisywano naszemu tłumaczowi nieznajomość języka greckiego, lub plagiaturyczne posługiwanie się materyałem nagromadzonym przez heterodoxów. — Co prawda, wobec »Najnowszych odkryć w budowie psalmów«, udzielanych nam dalej przez ks. A. Szaniawskiego, na podstawie badań ks. Zennera i innych, Wujkowe tłumaczenie ksiąg Starego Testamentu będzie musiało kiedyś uledz gruntowniejszej przeróbce, jeżeli ustrój chórowy psalmów, (a zapewne później i innych ksiąg poetycznych), da się przeprowadzić tak konsekwentnie, jak to uczynił wspomniany autor z psalmem 38, który w jego wykładzie niezaprzeczenie zyskał na przejrzystości i wartości wewnętrznej. Pocieszyć się jednak możemy, że ten los podzielać będą z nami wszystkie wogóle wersye, jako oparte na źródłach drugiej ręki. — W summarycznych notatkach A. Deboli »O Kardynałach Polakach«, z całem uznaniem witamy nowy dział «illustrowany« (portretami), świadczący o niezmordowanej troskliwości redakcyi *Kwartalnika* nie tylko o pomnożenie naszych wiadomości, ale i o uprzyjemnienie lektury. — Nowością także zasługującą na wszelkie względy jest rozpoczęty przez ks. Szaniawskiego przekład pism św. Jana od Krzyża. Po krótkiej przedmowie, zapoznającej nas z piśmienną spuścizną tego świętego mistyka, podaje ostatni numer *Kwartalnika* pierwszy śpiew ze »Wstępu na górę Karmelu« oraz wykład mistycznej ilustracyi tytułowej. Najsłuszniej rokuje sobie szanowny tłumacz, iż podjęta przezeń praca będzie godnem uzupełnieniem »Pism św. Teresy«, których dalszego ciągu wyczekujemy z upragnieniem.

Z prac zamieszczonych na łamach *Przeglądu kościelnego*, wymieniłem już mimochodem jędrną rozprawkę zasłużonego i znanego na niwie badań filozoficznych ks. d-ra Weissa p. t. »Teleologia czy ateleologia?« Nawet kto sumiennie przestudyował cenne dziełko o »Celowości w naturze« ś. p. ks. Morawskiego, znajdzie tu mnogo światła ku zgłębieniu tej zasadniczej prawdy wszelkiej metafizyki chrześcijańskiej, mnóstwo nowych szczegółów z życia roślinnego i zwierzęcego, nagromadzonych z wielką skrzętnością na podstawie najśwież-

szych badań przyrodników, oraz bijących w oczy swą jasnością dowodów na potwierdzenie związku pomiędzy celowością zjawisk przyrody a koniecznością Boga osobowego, pozaświatowego. Zaś ilustracyą poprzedniej pracy jest tegoż autora analiza Flammaryonowskiego pytania: »Czy inne ciała niebieskie są zamieszkałe?« Nie chodzi tu już tylko o stwierdzenie możliwości, którą, przynajmniej w stosunku do niektórych planet, uważa za stwierdzoną przez samo zestawienie warunków, w jakich ustrój atmosferyczny i klimatyczny naszej ziemi współdziałał w najrozmaitszych epokach jej istnienia z rozwojem życia organicznego, dokonane przez geologów i kosmologów ostatniej doby. Autorowi chodzi o sam fakt rzeczywistego istnienia. W argumentacyi nie opiera się oczywiście na słynnem prawie »wyższości natury nad wyobraźnią« (Flammarion), ani tem mniej na ewolucyjnych wywodach Du Prela; nawet z »kanałami Marsa« nie bardzo się liczy, oceniając hypoteczną wartość tego odkrycia. Główną racyę *za* upatruje właśnie w zasadzie celowości, która dla samej harmonii dzieł Bożych, tak pięknie sławionej niegdyś przez Secchiego, i dla samego ogromu i mnogości tych tworów, zdaje się domagać większego zasobu życia i myśli, aniżeli ten, którego widownią jest nasza mizerna ziemia. W tej myśli zwalcza też wątpliwości nasuwające się na pierwszy rzut oka z punktu widzenia dogmatu odkupienia. Ostatecznie jednak przyklasnąć możemy tylko konkluzyi wysnutej z tych wszystkich dociekań: »Hypoteza zaludnienia ciał niebieskich nie jest czczym domysłem, lecz usprawiedliwionem przypuszczeniem. Można się na nią nie pisać, można przeciwne zdanie uważać za prawdopodobniejsze, ale nie wolno jej lekceważyć i liczyć między mrzonki«. — Analogiczne studyum ks. d-ra Trzeciaka »O dniach stworzenia«, czyli o sposobie naukowego wytłumaczenia opowiadań księgi Rodzaju, daje nam obraz dzisiejszej umysłowej zawieruchy, wywołanej przedewszystkiem przez najnowsze wykopaliska wschodnie. Przedstawiwszy pokrótce niedogodności dotychczasowych teoryi, od tłumaczenia literalnego począwszy, a skończywszy na mitologicznem Delitscha i innych, mniej lub więcej zdeklarowanych zwolenników Babylonizmu, (pomiędzy niemi znajduje się także broniona dawniej przez samego autora teorya wizyonistów, — Hummelauera), oświadcza się w końcu autor za zdaniem fryburskiego profesora Zapletala, które rozróżnia w opowiadaniu biblijnem dwojaki pierwiastek: »Boskiego objawienia« i »ludzkiego przedstawienia rzeczy«. Pierwsze, zdaniem tego autora ogranicza się tylko do strony dogmatycznej, liturgicznej i apologetycznej podania, tj. do objawienia wiary monoteistycznej,

odrębnej od kultów pogańskich, a złączonej z rytualnem święceniem dnia siódmego (szabatu). Drugie tj. pierwiastek ludzki gra rolę w samem ugrupowaniu i doborze obrazów, zapożyczonych z ówczesnych wyobrażeń przyrodniczych Wschodu o naturze świata, których Bóg przez specyalne objawienie bynajmniej prostować nie zamierzał. Nie godzi się tylko ks. Trzeciak na tłumaczenie strategiczne trzech ostatnich dni stworzenia, w których prof. Zapletal upatruje również oddźwięk osobistych upodobań pisarza biblijnego. Przyszłość niedaleka wykaże zapewne, o ile te wywody dadzą się pogodzić z zasadami dogmatyki, a przedewszystkiem tradycyi chrześcijańskiej, która bądź co bądź trochę zamało wciąganą bywa w rachubę przy tych wszystkich próbach dzisiejszego krytycyzmu.

Oto znaczniejsze refleksye, jakie nasunęły nam zeszłoroczne czasopisma teologiczno-religijne.

Ks. G. Fihauser

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z niezwykłej statystyki.

W ostatnich czasach przynoszą dzienniki dosyć często wiadomości o kanonizacyach Świętych, nie od rzeczy więc będzie zwrócić uwagę naszych czytelników na obecny stan procesów kanonizacyjnych i beatyfikacyjnych; można to uczynić tem łatwiej, że przed trzema laty wydała kongregacya obrzędów oficyalne sprawozdanie, odnoszące się do tej kwestyi. Przygotowuje się obecnie 287 procesów kanonizacyjnych lub beatyfikacyjnych. W tej liczbie znajduje się 23 Błogosławionych, którzy mają być wyniesieni na ołtarze, jako Święci; proces 112 osób przeszedł w tak zwany »stan przygotowawczy«, polegający na tem, że odpowiednia osobistość otrzymuje nazwę »Sługi Bożego«, proces zaś 152 osób jest rozpoczęty. »Słudzy Boży« otrzymują nazwę W i e l e b n y c h *(Venerabilis)*.

Z tych 287 przyszłych Świętych lub Błogosławionych umarło 130 w wieku XIX, 64 w XVIII, 70 w XVII, 18 w XVI, 3 w XV, 2 nawet w XIV. Takie długie przeciąganie się sprawy może zadziwić, lecz jest tylko dowodem, jak ostrożnie Kościół w tych rzeczach postępuje, jak uwzględnia różne, drobne nawet trudności, które jakkolwiek sprawę zaciemniają. W pięć lat n. p. po śmierci kardynała Bellarmina, a więc w r. 1626 rozpoczęto jego proces; 127 lat później, czyli r. 1753 miała kongregacya pod

przewodnictwem papieża Benedykta XIV orzec, czy jego cnoty są heroiczne; zgromadzenie nie wydało jednak jednozgodnego sądu. Sprawa spoczywała dalszych 74 lat, nim ją na nowo podjęto, lecz znowu nie dokończono — dzisiaj jeszcze czeka na załatwienie.

13 osób, których procesy rozpoczęto, lub które się przygotowują, należy do stanu świeckiego, 35 do kleru świeckiego, 239 do stanu zakonnego.

Na czele świeckich stoi Dziewica Orleańska; proces jej rozpoczęto w 1894 r., zaszedł on już dość daleko. Między świeckimi znajdują się także dwie królowe: Marya Stuart, której proces od trzech lat jest przygotowywany i Krystyna Sabaudzka, królowa neapolitańska; proces jej rozpoczęto w 1859 r. Należą tu jeszcze trzy Rzymianki, zmarłe między 1823 a 1857 r., trzej Neapolitanie, między nimi jeden młodziutki robotnik, Nunzio Sulprizio, i patrycyusz z Brescii, Aleksander Luzago.

Zakon św. Franciszka liczy z przyszłych Świętych i Błogosławionych 75, a mianowicie: Bracia Mniejsi 31, Kapucyni 25, Klaryski 10, Kapucynki 5, Trzeci zakon 3, Konwentuali 1. Jezuici mają 42, Dominikanie z Dominikankami i trzecim zakonem 14, Redemptorzyści 12, Augustyanie 7, Maryści 6, Karmelici i Pasyoniści po 5, Trynitarze, Serwici, Barnabici, Lazarzyści i Towarzystwo misyi zamorskich po 4, Piarzy 3, Klerycy regularni N. P., Oratoryanie, Sulpicyanie, Najmniejsi św. Franciszka à Paulo po 2, rozmaite nowsze kongregacye i stowarzyszenia 39.

Kler świecki liczy świeckich biskupów 9, między nimi zmarłego w 1884 r. biskupa z Lincu, Franciszka Józefa Rudigiera, 10 biskupów, których do tej godności z cel zakonnych powołano i 7 wreszcie biskupów męczenników. Inni księża świeccy pochodzą prawie wszyscy z przeszłego wieku i są, z wyjątkiem jednego Hiszpana, Włochami lub Francuzami. Najbardziej znanymi między nimi: Rzymianin Pallotti, Jan Chrzciciel Vianney, proboszcz z Ars, Romano i Guarino, proboszczowie z pod Neapolu, Cottolengo, założyciel tak zwanego *Piccola Casa* w Turynie i Robert de la Mennais, brat francuskiego odstępcy.

Na tych 287 osób, których proces się przygotowuje lub

jest już rozpoczęty, przypada około 80 niewiast, podczas gdy na 416 kanonizowanych lub błogosławionych od 1500—1880 przypadło niewiast tylko 58: dzisiaj więc stosunek na lepsze się zmienił.

Według narodowości rozdzielają się ci Święci następująco:

Włochy mają 141, między nimi 118 zakonników, należących przeważnie do zakonów czynnych, (wśród tych ostatnich znajduje się 9 założycieli i 12 założycielek), 5 biskupów, 10 księży świeckich, (między nimi 3 proboszczów) i 8 świeckich; wielka część z pośród nich należy do starych, szlacheckich rodów.

Francya ma 87, między nimi 18 założycieli i 15 założycielek zakonnych.

Hiszpania i Portugalia mają 34, Anglia ma Maryę Stuart i 5 męczenników z 255 towarzyszami (ci ostatni nie są wciągnięci w ogólną liczbę 287), Ameryka Południowa i Kanada 9, Belgia 4, katolickie Niemcy 3, między nimi Katarzynę Emmerich, Szwajcarya 2, Hollandya 1.

Nas specyalnie mogą zainteresować Austro-Węgry, które dają trzynastu przyszłych Swiętych, wśród nich czterech Słowian a mianowicie: jednego Polaka z Śląska, Melchiora Grodeckiego, Chorwatę Marka Križa, bł. Dworzaka (Hofbauera) i biskupa z Spoleto, Biankowicza.

Z Błogosławionych włoskich należy około 50 do wieku XIX, z francuskich 36, z hiszpańskich i portugalskich 7, z austryackich 3, z szwajcarskich 2.

Niektóre z tych procesów napotykają na wielkie trudności i nie prędko doczekają się załatwienia, inne w niedalekiej przyszłości będą ukończone; do tych ostatnich należą: Klemens Hofbauer, Małgorzata Alacoque, neapolitański robotnik Sulprizio, kardynał Bellarmin, Klaudyusz Colombière, Ludwik da Ponte, Józef Pignatelli, Jan Anchieta (wszyscy pięciu z Towarzystwa Jezusowego). W tych dniach beatyfikowano: Marka Križa, M. Grodeckiego, Stefana Pongracza i J. Vianney'a [1].

[1] *Stimmen aus Maria-Laach*, tom 68, str. 1 sq.

Z dziejów nowego obłędu dzisiejszej epoki.

Ponieważ dzisiaj wszelkie wogóle niespodzianki są już prawie niemożliwe, nikogo nie zadziwi fakt, że jak z jednej strony dużo ludzi odwraca się od wszelkiej objawionej religii, tak znowu więcej jeszcze poznając, że bez jakiejś wiary jednak żyć nie można, wpada w sidła różnych zabobonów, guseł i tym podobnych umysłowych błędów. Fakt ten nie świadczy wprawdzie pochlebnie o ludzkości, ale jest w każdym razie znamiennym.

W r. 1875 pojawiła się w Ameryce nowa apokalipsa p. t. *Science and Health with Key to the Scriptures,* »Wiedza i odzyskiwanie zdrowia wraz z kluczem do Pisma świętego«. Autorką dzieła, które do r. 1894 doczekało się 91 wydań a w następnych dziewięciu latach rozeszło się nadto w liczbie 200.000 egzemplarzy, była pani Mary Backer G. Eddy, nazywana przez sceptyków po prostu panią Eddy, przez zwolenników zaś *Mother Mary* lub *our leader*, »nasza głowa«. *Mother Mary,* w czasie dłuższej choroby wykryła cudowną, tajemniczą siłę, mocą której Chrystus uzdrawiał chorych i doszła do przekonania, że jest powołaną prowadzić dalej dzieło Jezusa i dokonać go. Jej nauka, która cała jest »życiem, prawdą i miłością«, uwalnia świat od grzechu, błędu, choroby i śmierci, z serca wypędza smutek, leczy najbardziej nieuleczalne choroby, nawraca nałogowych, bezsilnych wobec namiętności grzeszników. Wprawdzie w 1902 r. zachorowała sama prorokini na ból zębów; siła cudowna zawiodła i świętokradzka ręka dentysty musiała chory ząb wyjąć — prasa Stanów Zjednoczonych zainteresowała się tym wypadkiem bodaj więcej, jak my losami Portu Arthura, omawiała go, komentowała, rozwinęła się nawet namiętna polemika, ale *Mother Mary* nic na znaczeniu nie utraciła. Owszem, wyświęcona już przedtem na kapłana, rozpoczęła na większą skalę uprawiać swój zawód i powołała do życia zakład *the Trusts Metaphysical College* w Bostonie, przeznaczony do wtajemniczania innych w jej cudowną naukę. Kurs trwa trzy lata; pod koniec uzupełniała go *Mother Mary* dwunastoma, obecnie zaś uzupełnia go tylko siedmioma wykładami, za które żądny wiedzy i tajemnicy *Christian Science* płaci 300 dolarów (1488 koron). Wpływ rósł i niezadługo stanęła w Bostonie własna

świątynia *The first Church of Christ, Scientist,* »Pierwszy kościół Chrystusa, Scientysty«. Dzisiaj liczy nowa sekta 800 kościołów i gmin, ma swoją własną drukarnię, w tym celu założoną, by do dzieł p. Eddy kontrabandą jakieś fałszywe ustępy się nie dostały, zewsząd wpływają składki powiększając majątek założycielki tak, że, zdaniem wielbicieli, rok rocznie wydaje przeszło po 100.000 dolarów »na dobre cele«: niezwykłe objawienie rozszerza się coraz więcej a na znaczeniu zyskuje dziwnie wiele w Szwajcaryi i Niemczech, które zdają się być szczególnie podatnemi do przyjmowania podobnych nowinek.

Nie mamy wprawdzie zamiaru zagłębiać się w szczegóły tej nauki, dla uzupełnienia tego szkicu chcielibyśmy jednak podać choć ogólne jej zarysy. Sekta opiera się na zasadach tak skrajnego dualizmu, że aż graniczy on z manicheizmem. Bóg jest samem życiem, prawdą i miłością. Grzech, błąd, choroba nie pochodzą od Niego i w żadnym z Nim związku nie stoją — wypływają one przeciwnie ze złego pierwiastka, ze »śmiertelnego zmysłu«, ze życia w materyi. Wielki scientysta, Chrystus, pierwszy pojął i nauczał, jak zwalczać złe przez dobre, choroby ciała, błędy rozumu i grzechy duszy. *Christian Science* jest tą na nowo odkrytą sztuką Chrystusa, a *Christian Scientist* jest uczniem Chrystusa w stosowaniu tej sztuki. Dlatego też stoją adepci tej nauki na stanowisku Pisma św., ale w równej przynajmniej mierze przyjmują i *Text Book,* wspomniane powyżej dzieło swej *Mother Mary;* i w niem znajduje się wyłącznie czyste, nieomylne, boskie objawienie, sama zaś autorka książki i sekty, p. Eddy jest, przynajmniej zdaniem jej oficyalnego organu *Christian Science Journal,* »Chrystusowi równa«.

Znany amerykański pisarz, Marek Twain, twierdzi, że cześć oddawana p. Eddy, jeżeli jeszcze nie jest zupełnem bałwochwalstwem, jak w każdym razie do niego bardzo podobna i podaje kilka zajmujących szczegółów z organizacyi sekty tak obecnej, jak i mającej się w przyszłości więcej jeszcze ukształtować. Najwyższy kościół pozostanie w Bostonie, filialne będą rozrzucone po całym świecie: na czele tych kościołów stoi jako głowa i *Pastor emeritus* p. Eddy. Zródłem religijnego wykształcenia dla

wszystkich i na zawsze, jest książka *Science and Health;* każda inna jest wykluczona. Kościoły nie mają mowców ani kaznodziei, lecz tylko po dwóch prelegentów: męskiego i żeńskiego. Przedmiotem prelekcyi może być tylko Pismo św. i dzieła p. Eddy, żadne inne; dzieł tych komentować nie wolno. Porządek nabożeństw jest raz na zawsze od założycielki dla wszystkich kościołów ustalony i to tak dalece, że wybrała ona nawet ustępy do czytania, modlitwy i hymny, i przepisała porządek, od którego odstąpić nie można. Wyznanie wiary p. Eddy sama ułożyła, jemu muszą się wszyscy poddać; jakiekolwiek inne nie jest tolerowane. Sekta ma w Bostonie kasę, od której klucz znajduje się w rękach założycielki, ma również księgarnię nakładową dla tych wyłącznie dzieł, które przejdą cenzurę *Mother Mary.* Pisma i dzienniki są jej organami, od niej zależą, nad niemi roztacza swe argusowe oko. Potrzebuje wprawdzie ten, a raczej ta *Pastor emeritus* pomocników, ale żaden z tych pomocników nie może piastować urzędu swego ponad rok; żadnemu nie wolno być wpływowym, lubianym, niezbędnym — to wszystko zarezerwowała *Mother Mary* dla siebie [1].

Zdawałoby się, że w wieku tak trzeźwym, praktycznym i materyalnym jak nasz, podobny objaw będzie traktowany przez ogół humorystycznie, jako humbug lub jako wybryk histerycznej fantazyi, tymczasem sekta rozszerza się coraz więcej, nie tylko w Ameryce, ale i w Europie, a w swych zwolennikach obudza entuzyazm, fanatyzm nawet. Coby tak powiedzieli dzisiejsi ludzie, gdyby Kościół katolicki podobne głosił rzeczy i dla nich takiego bezkrytycznego, niewolniczego poddania się żądał od swych członków.

z protestanckich rozmyślań noworocznych.

W pismach wyłącznie protestanckich można było w pierwszych dniach Nowego Roku zauważyć szczególniejszy objaw: poznają smutny stan własnego kościoła i dochodzą powoli do przekonania, że wroga protenstantyzmu trzeba szukać nie w Watykanie, lecz gdzieindziej.

---

[1] Cfr. *Stimmen aus Maria Laach,* t. 67, str. 355 sq.

W lipskiej *Alter Glaube* rozwodzi się pastor Gussmann nad rozkładem ewangelickiego kościoła i maluje prawdziwie przerażającemi barwami czarny obraz stosunków. »Olbrzymie winy ciążą na protestantyzmie. Przez zohydzanie słowa Bożego, przez wyparcie się Wcielonego Bożego Syna, przez brak siły i wiary, przez swoją bezczynność i ospałość, przez swoje kokietowanie ze światem i wewnętrzne rozdwojenie, stał się przedmiotem szyderstwa i lekceważenia dla ogółu. Ogół nie myśli go zwalczać lub prześladować, lecz omija po prostu z pogardą, jak coś, z czem się już dawno załatwiło«. Ujadanie, wywodzi Gussmann dalej, »na rzymską niewolę ducha« nic tu nie pomoże, ratunku gdzieindziej szukać potrzeba. »W pokucie, w zaparciu i wglądaniu w samego siebie zabłyśnie światło nowego, pięknego dnia. Dopiero, gdy przed Bogiem w proch padniemy, poznając pełni pokory dlaczegośmy tak upadli, podźwignie nas jego łaskawa ręka z prochu i wróci na nowo dawną moc i chwałę«. I dlatego protestanci nie potrzebują ani dyplomatów, ani polityków kościelnych, ani agitatorów, lecz wzywających do pokuty kaznodziei, ludzi sumiennych i poważnie na świat patrzących, którzyby każde odstępstwo od ewangelii napiętnowali jako grzech ciężki i zbrodnię.

Dobitniej jeszcze może wyraża się *Evangelische Kirchenzeitung*. Pisze i ona wprawdzie o »błędnych naukach Rzymu«, o »rzymskim kwasie«, co ostatecznie u protestantów jest zrozumiałe, ale nie widzi przynajmniej istoty protestantyzmu w walce z katolicyzmem i wyklucza z tej walki, o ile ona jeszcze jest konieczną, przemoc i siłę. »Nie walczymy przeciwko niewierze, ponieważ uważamy Rzym za najniebezpieczniejszego wroga, wzywamy do jednostki cały ogół protestancki, aby prowadzić wspólną walkę przeciwko temu nieprzyjacielowi. Za jedyne znamię ewangelika uchodzi w pewnych kołach walka przeciwko Rzymowi i pewne, ściśle określone stanowisko względem § 2 ustawy jezuickiej. Więcej od protestanta nie żądamy. O słowie Bożem, o wyznaniach nic nie słychać... główną rzeczą jest walka o polityczną władzę... protestantyzm cenimy tylko jako czynnik kultury. Tak stoimy znowu w środku nowej walki kulturnej... Czyż naprawdę zadaniem ewangelickiego kościoła jest prowadzić walkę

kulturną... Czy w starej walce kulturnej zwyciężono Kościół rzymski? Czyż tak mało nauczyliśmy się z historyi, iż sądzimy, że Rzym lęka się tej walki«? Dalej wykazuje *Evangelische Kirchenzeitung,* że głośnym wrogiem protestantyzmu jest nie Rzym, lecz niewiara we własnym obozie, że więc hasło powinno brzmieć: »z powrotem do wiary«.

Że protestanci, a przynajmniej rozumniejsze wśród nich żywioły mają już dosyć tych wszystkich walk i zapasów, wykazuje także artykuł protestanta Nordhausena ogłoszony w *Tag.* Żydowski *Berliner Tageblatt* stał się bowiem od pewnego czasu gorącym obrońcą protestantyzmu, a obrona ta na tem polegała, że rozsiewał on ziarno niezgody między dwoma obozami i szczuł je wzajem na siebie. *Tag* stwierdza więc, że »całkiem gdzieindziej, nie w Watykanie, kryje się śmiertelny wróg«, że tendencya i ton polemik przeciwko katolicyzmowi obrażają wykształconego człowieka. Możnaby je wyrozumieć w piśmie, służącem wyłącznie sprawom protestanckim. »Na miły Bóg jednak, jak przychodzi *Berliner Tageblatt* do tego, by rozsiewać ziarno niezgody między dwoma wyznaniami chrześcijańskiemi? Jakiem prawem i w czyjem imieniu bierze ta gazeta, która przecież zapatrywań chrześcijańskich przedstawiać nie chce i nie może nawet, w obronę protestantyzm przeciw stronnictwu katolickiemu?... Kiedy mieszała się *Germania* lub *Reichsbote* w sprawy tej kościelnej gminy, która p. Mosse (żyda) z chlubą do swoich członków zalicza? Nie wiedzą widocznie w tym obozie, ile nienawiści i wściekłości wywołuje się takiem natręctwem«. Te słowa tem większe mają znaczenie, że są pisane także przez protestanta, a naczelny redaktor jest ponadto żydem.

Czy można z tych wynurzeń wyciągnąć jakieś wnioski? Pewna zmiana na lepsze daje się spostrzegać, to nie ulega wątpliwości; nie można się jednak łudzić, że Kościół na tem coś zyska — zapanuje co najwięcej może czasowa zgoda między dwiema stronami. I dzisiaj nawet wierzący protestanci stoją również daleko od Rzymu, jak przed laty; od wieków żywiona nienawiść tak prędko nie zamrze. Jeżeli nawołują do zgody, to dlatego tylko, że z jednej strony widzą, jak się gmach ich wiary rysuje,

trzeba się więc zabrać do jego naprawy, a nie troszczyć o innych, z drugiej znów strony widzą w Rzymie groźnego przeciwnika i sami to przyznali, zwyciężyć go nie potrafią, ani się Rzym ich napaści lęka. Rozumniejsi między nimi czują pewnie i to, że założony w celu zwalczania katolicyzmu Związek ewangelicki, nie tylko żadnej poważniejszej szkody dotychczas Kościołowi w Niemczech nie wyrządził, przeciwnie naraził protestantów, rozsiewając i podtrzymując niezgodę i waśń, rozszerzając zbyt liberalne zasady wiary, i prowadząc hufce protestanckie do walki bezcelowej i daremnej. Nie zamiłowaniu więc pokoju przypisywać trzeba ten zwrot, ale raczej własnemu interesowi i politycznemu wyrachowaniu.

Kilka uwag o Francyi. We Francyi gabinet Combesa już nie istnieje. Nie pomogło mu nic, że powoływał się na tysiące zamkniętych jego staraniem szkół, na jeszcze liczniejsze tysiące wypędzonych zakonników i zakonnic, którym własna ojczyzna odmówiła miejsca, na zerwanie konkordatu, na przygotowujący się wreszcie zupełny rozdział państwa od Kościoła. Wybór nieprzejednanego wroga Combesa, dawnego gubernatora Indo-Chin, Doumera, na przezydenta Izby, wykazał, że Combes może liczyć na większość tylko przy głosowaniu publicznem, gdzie można i teroryzować i siecią szpiegów otoczyć. W własnym jego obozie znaleźli się ludzie, posiadający na tyle jeszcze praktycznego rozumu, że poznali, iż dalej tak iść nie może. (Ostatecznie to postępowanie członków *blocu* dziwnie oświetla moralną ich wartość; gdzie tu konsekwencya, gdzie szczerość i otwartość przekonania!) Słusznie też deputowany L'Hopiteau podniósł, że Combes nie doprowadził żadnej dla kraju zbawiennej reformy do końca — umiał tylko walczyć z niemogącemi się bronić kongregacyami i Kościołem. System szpiegostwa, zaprowadzony przez obecny rząd, do reszty otworzył oczy i wywołał ogólne oburzenie. Członkowie Legii honorowej wykreślają tych, którzy wstęgą Legii odznaczeni, na tyle jednak nie mieli honoru, że nie poznali całej ohydy zawartej w ich denuncyacyach; młodzież urządza gorące demonstracye, wojsko i policya strzegą niektórych prefektów

i profesorów, którym oburzony tłum pragnie dać namacalną lekcyę o honorze i godności własnej, a nacyonaliści wyciągają coraz to nowe dokumenta, rzucające coraz to jaskrawsze światło na całą aferę. Takim bardzo pewnie niemiłym dla całej sprawy przyczynkiem jest ogłoszony przez nacyonalistyczne pisma list generała Peigné, komendanta dziewiątego kurpusu, wystosowany w sierpniu 1904 r. do generalnego sekretarza Wielkiego Wschodu, Vadecarda. W liście tym donosi Peigné, że poprzenosił rozmaitych oficerów dla ich klerykalnego usposobienia, i dziękuje loży, że go wspomagała w demokratyzowaniu oficerów i usunięciu z pośród nich wpływów klerykalnych. To wszystko wraz z sprawą Syvetona, i fakt, że jak utrzymuje dep. Clémenceau, Combes otoczył szpiegami samych nawet deputowanych, przebrało miarę cierpliwości i przechyliło szalę na niekorzyść obecnego gabinetu. Wielkich, stanowczych zmian i zwrotu ku lepszemu nie spodziewamy się bynajmniej; prawdopodobnie ustąpią tylko osoby, pozostaną zasady — ale i to coś znaczy. Rząd jednak i tego wszystkiego jeszcze nie rozumie, przynajmniej zdaje się o tem świadczyć okólnik ministra wojny, ułatwiający oficerom przystępowanie do tej samej loży, która tyle złego armii i ciału oficerskiemu wyrządziła.

Walka o szkoły w Rumunii.

Kilka tygodni temu rozeszła się wiadomość, że w Bukareszcie upadł liberalny gabinet Sturdzy, a jego miejsce zajął gabinet konserwatywny Kantakuzena. Polityczna strona tej sprawy nas tu nie zajmuje; zasługi Sturdzy na polu finansowem są bardzo wielkie, a jego dążność, by atmosferę rumuńską trochę oczyścić i w administracyi kraju nie kierować się względami partyjnymi i osobistymi, lecz uwzględniać jedynie interesy narodowe, została uwieńczona dość pomyślnym skutkiem. Jeżeli jednak o tem zajściu piszemy, to czynimy to dlatego, ponieważ gabinet liberalny obalili sami liberali, a jedna z przyczyn tego zajścia łączy się, pośrednio przynajmniej, z Kościołem katolickim w Rumunii.

W jednym z ostatnich numerów ubiegłego roku przyniósł warszawski *Przegląd katolicki* artykuł o stosunkach kościelnych

w królestwie naddunajskiem. Ten artykuł, zdradzający w drobnych nawet szczegółach dokładne informacye, chcielibyśmy w jednym względzie uzupełnić, ponieważ rzucimy w ten sposób trochę światła na odegrany w Bukareszcie dramat. W całej Rumunii znajdują się trzy francuskie pensyonaty żeńskie, kierowane przez kongregacyę *N. D. de Sion:* w Jassach, Galacu i Bukareszcie — i cztery pensyonaty niemieckie, kierowane przez kongregacyę *Englische Fräulein:* w Bukareszcie, Krajowie, i portowych miastach Braili i Turnu-Sewerin. Wyższych lub średnich zakładów naukowych dla męskiej młodzieży katolickiej Rumunia nie posiada, chyba że uwzględnimy seminarya duchowne w Jassach i Bukareszcie i nowicyat wraz ze scholastykatem OO. Franciszkanów w Mołdawii; jest tylko w całym kraju kilka szkół elementarnych męskich dla dzieci katolickich. O ile Rumuni byli zadowoleni z wychowania, jakie pobierały dziewczęta w zakładach niemieckich, o tyle wywoływały od pewnego czasu pensyonaty francuskie pewną, może nawet częściowo uzasadnioną niechęć. Doszło do tego, że szkołom francuskim dla rzekomej propagandy katolickiej, który to zarzut był z gruntu fałszywy, wytoczono proces, w którym rolę obrońców Zgromadzenia przyjęli na siebie najwybitniejsi adwokaci, między nimi znany powszechnie historyk, Xenopol. Wynikiem procesu był dekret nieprzychylnego dla katolicyzmu ministra wyznań, Spiru Hareta, zapowiadający zamknięcie zakładów, jeżeli do 10 (23) grudnia ubiegłego roku nie postarają się zakonnice o wypełnienie bardzo ciężkich, lecz przynajmniej w części znowu uzasadnionych, postulatów rządowych. Burzę ostatecznie zażegnano, a wtenczas minister Haret wystąpił z nowem prawem »o prywatnem nauczaniu« i to prawo, skierowane głównie przeciwko katolikom, przechyliło ostatecznie szalę na niekorzyść liberalnego gabinetu. Prawo to, obok przepisów, których zachowania państwo słusznie domagać się może, nakładało równocześnie zbyt ciężkie obowiązki, krępujące nielegalnie wolność osobistą, było też sprzeczne z zasadami konstytucyi, a wszystko to robiło w imię ubezwładnienia groźnej rzekomo propagandy katolickiej. Żądano np., aby profesorzy i dyrektorzy zakładów prywatnych przebywali przy-

najmniej pięć lat w kraju przed objęciem urzędu; zakazano przyjmować do cudzoziemskich szkół wyznaniowych poddanych rumuńskich, jakiegokolwiek wyznaniaby byli, jak również i dzieci cudzoziemskie, których religia różniłaby się od religii panującej w odpowiedniej szkole wyznaniowej; jeżeli w szkole normalnej znajdą się dzieci rumuńskie, profesorem może być tylko Rumun, w tym też wypadku wolno używać jedynie książek rumuńskich, na wyższych zaś kursach dla pewnych przedmiotów podręczników wyłącznie rumuńskich, dla innych także zagranicznych, lecz przez ministeryum zatwierdzonych; pensya profesorów prywatnych ma wynosić przynajmniej połowę pensyi profesorów rządowych, a od każdego ucznia będzie ponadto płaciła szkoła prywatna roczną taksę od jednego do czterdziestu franków. Na przekonania religijne dzieci rumuńskich nie wolno wywierać żadnego wpływu, nie wolno ich prowadzić na obce ich obrządkowi nabożeństwa i to pod grozą zamknięcia zakładu. Nie dorośli tylko Rumuni jeszcze do tego, aby zaprowadzili język rumuński jako wykładowy, żądają jedynie kilku godzin tygodniowo.

To prawo, wymierzone w pierwszej linii przeciwko cudzoziemcom i katolikom (cóż np. łatwiejszego, jak udowodnić wpływanie na religijne przekonania powierzonej sobie dziatwy!), dokonało rozpoczętego już rozłamu w stronnictwie liberalnem i wywołało ogólne oburzenie; było też bardzo na rękę żądnym dawnej władzy i potęgi konserwatystom. Jeden z wybitniejszych mowców w izbie, dawny minister wyznań, Tache Jonescu, nazwał ustawę przeciwną konstytucyi i nowoczesnemu duchowi państwa a na to chyba do życia powołaną, by pokryć błąd polityczny: proces przeciwko zakonnicom katolickim; mowca niebezpieczeństwa ze strony katolicyzmu nie uznaje i ze zdumieniem dochodzi do przekonania, że konserwatyści muszą bronić postępu przeciw zacofanym dążnościom liberalnego stronnictwa. Inny, niemniej wybitny, Carp, nazywa ustawę drakońską, przeciwną wolności myśli i wolności sumienia, któremi Rumunia dotąd się szczyciła — projekt nie zrobił wogóle dobrego wrażenia. Minister kultu Spiru Haret, starał się zbić te trudności i zapatrywania, choć nie bardzo to się udawało, wylał swą żółć na katolików, ale było

to już po raz ostatni. Kilka dni później gabinet podał się do dymisyi, a do niej przyczyniła się w pewnej mierze także i sprawa szkół.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata nauk i wynalazków.

Promienie N.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, jak wielkie zainteresowanie wywołało rozgłoszone rok przeszło temu przez pisma odkrycie, że ciało ludzkie wydaje z siebie promienie, wprawdzie dla oka niewidzialne, które jednak łatwo dostrzedz można zapomocą bardzo prostego urządzenia. Szczęśliwym odkrywcą był Charpentier, profesor fizyologii na uniwersytecie w Nancy. Jeśli zbliżymy — mówił on — do ciała ludzkiego ekran, czyli karton powleczony cienką warstwą fosforyzującego, świecącego w ciemności, siarkanu wapna, to blask jego znacznie się zwiększy. Zjawisko to występuje wybitnie zwłaszcza za zbliżeniem ekranu do muszkułów lub nerwów, które w chwili danej wykonują fizyologiczne czynności. Tak np. zarysowują się wyraźnie kontury serca, a nawet ośrodki nerwów.

Osobliwe to odkrycie nabrało natychmiast wiele rozgłosu tem bardziej, że przypominało ono, a może i miało tłumaczyć, tak zawsze dla umysłów ponętne zjawiska spirytystyczne. To też nic dziwnego, że wielu spirytystów wystąpiło z pretensyami pierwszeństwa do paryskiej Akademii Umiejętności, której Charpentier doniósł o swem odkryciu.

Wkrótce jednak sprawa promieni ciała ludzkiego zaczęła przycichać, a natomiast w kołach i czasopismach naukowych wyłoniła się kwestya niezmiernie interesująca, jedyna może w historyi nauk. Oto jej przebieg:

Badania i odkrycia Charpentiera były właściwie dalszym ciągiem doświadczeń, jakie czynił Blondlot, profesor fizyki na tym samym uniwersytecie w Nancy, nad odkrytymi przez siebie, a głośnymi dziś wszędzie promieniami »N«. Profesor Blondlot jest znanym i uznanym w dziedzinie fizyki pracownikiem. W ostatnich latach zajmował się on

jak tylu innych, promieniami Röntgena i w lutym roku 1903 doniósł Akademii paryskiej, że udało mu się te promienie spolaryzować, co dotąd uważane było za niemożliwe. Jednak już w dwa miesiące później zmienia, lecz zarazem rozszerza swoje spostrzeżenia. Promienie owe spolaryzowane były, według niego, nowymi, dotychczas nieznanymi promieniami. Badaniami tychże zajmuje się odtąd pilnie, a wyniki ich ogłasza w całym szeregu prac, przedłożonych Akademii, a drukowanych następnie w *Comptes rendus*. Na cześć zaś miasta Nancy, w którem te badania się odbywały, nadał tajemniczemu temu światłu nazwę »promienie N«.

Nie potrzeba było skomplikowanych przyrządów, ażeby promienie te otrzymać. Zwykły palnik gazowy Auera lub lampa elektryczna Nernsta, kawałek hartowanej stali, jak nóż, płyta, a nawet promienie słońca lub znana zabawka szklana, łza batawska, stanowić miały obfite ich źródło. Wykryć zaś można było te promienie w dwojaki głównie sposób: albo zapomocą wyżej opisanego ekranu, tak, jak to czynił Charpentier przy badaniach promieniowania ciała ludzkiego, lub też przez to, że jeżeli między dwiema płytkami przepuszczano bardzo słabą iskrę elektryczną, to ile razy obrzucono ją promieniami »N«, iskra świeciła daleko żywszym blaskiem.

Badane w ten sposób promienie wyjawiały bez trudności różne swe ciekawe przymioty. Przedewszystkiem, jak to na nowomodne promienie przystało, są one bardzo przenikliwe, tak, że z łatwością przechodzą nawet przez takie ciała jak srebro, cynk i ołów, nie mówiąc już o szkle i kwarcu. Jednak ta ich przenikliwość miała także swe szczególne właściwości: powierzchnia ciał metalowych musiała być starannie polerowaną, woda czysta była dla nich zupełnie nieprzeźroczysta, natomiast przez wodę zaprawioną solą przenikały z łatwością. Na pryzmacie np. z glinu promienie te doznawały załamania, przyczem rozszczepiały się na kilka, przynajmniej ośm, wiązek, o różnej łamliwości. Używając siatki refrakcyjnej o 200 kreskach na 1 mm, obliczył Blondlot ich długość fali na 8·15 do 17·6 $\mu\mu$ (mikromilimetrów). Byłyby to więc promienie o 10 razy krótszej fali, niż najkrótsze z dotychczas znanych (100 $\mu\mu$).

Prócz tych własności fizycznych, promienie N mają także i inne, fizyologiczne, w ścisłym będące związku z organizmami żywymi. Gdy znajdujemy się w silnie zaciemnionym pokoju tak, że zaledwie rozróżnić zdołamy zarysy sprzętów, wystarczy zbliżyć do oka jakiekolwiek źródło promieni N,

choćby np. nóż stalowy, by wszystko widzieć jaśniej i wyraźnie. W ten sposób odczytać można z łatwością godziny na zegarku, który bez użycia promieni N przedstawiał się oczom widza jako szara plama. A także ten sam skutek się osiągnie, gdy promieniami tymi obrzucimy nie oko, lecz przedmiot jakiś słabo świecący. Za ich wpływem przedmiot ten np. drut rozpalony, świeci daleko jaśniej. Zjawisko to ostatnie jest o tyle jeszcze ważne, że badając je prof. Blondlot odkrył znowu nowe promienie, które nie zwiększały, lecz zmniejszały blask przedmiotów świecących. Nazwał je promieniami N_1. Między dalszemi własnościami fizyologicznemi promieni N, należy podnieść i tę, że nie tylko ciało człowieka, lecz także ciała zwierząt, jak psa, żaby, królika, a nawet, jak odkrył E. Meyer, również w Nancy, rośliny wysyłają je energicznie.

Jednej tylko, lecz niestety ze względów kontrolnych, najważniejszej własności brakło temu nansejskiemu światłu: oto nie działa ono wcale na płytę fotograficzną. To też we wszystkich badaniach posługiwano się czysto subjektywną metodą zmienności wrażeń światła. Jedynym objektywnym dowodem istnienia tych promieni były zdjęcia fotograficzne owych drobnych iskier, które miały udowadniać, że iskry te bez promieni N daleko słabszy pozostawiały na płycie obraz, niż wtedy, gdy powstawały przy udziale tychże promieni.

Nic dziwnego, że kiedy relacye o tak pięknych, prostych, a przytem dziwnych doświadczeniach dostały się do wiadomości fizyków, w licznych laboratorych nie tylko Francyi lecz świata całego, zwłaszcza zaś Anglii i Niemiec, rzucono się do ich powtarzania. Żaden głos wątpliwości nie odezwał się w samym początku, bo powaga profesora Blondlota w świecie naukowym była powszechnie cenioną. To też chociaż, jak się później pokazało, wielu fizyków doświadczenia te robiło bez skutku, to jednak przypisywali to swej niezręczności i skromnie pokrywali wszystko milczeniem. Gdy jednak prof. Blondlot i jego towarzysze coraz dziwniejsze rzeczy o nowych promieniach głosili, a zdobywali je prawie natychmiast, bez trudu, ze strony mniej szczęśliwych badaczy zaczęto tu i owdzie donosić o nieudałych próbach. Zwrócono się przeto do eksperymentarów w Nancy z prośbą o dokładniejsze opisanie swych doświadczeń a nawet, gdy i te wskazówki przez prof. Blondlota udzielone nic nie pomogły, wielu udawało się osobiście do Nancy, by dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć. I dziwna rzecz: niektórzy widzieli tam promienie N, a niektórzy nic nie widzieli. Lecz nawet wielu z tych, którym się w laboratoryum profesora Blondlota zdawało, że coś widzą, wróciwszy do domu i naj-

dokładniej powtarzając wszystko, nie doszli znowu do żadnych rezultatów. Dostrzeżono tylko, że zwykłe promienie cieplne sprawiają silniejsze świecenie ekranu fosforyzującego, i jak jeden z angielskich fizyków, lakonicznie donosi, garnek napełniony gorącą wodą wywołuje na ekranie to samo zjawisko, jakie Charpentier chciał przypisać tajemniczemu promieniowaniu ciała ludzkiego.

Sprawa zaczęła stawać się głośną i niemiłą. Poruszano ją nie tylko w pismach fachowych, ale i na kongresach naukowych. Tak np. w sławnem zgromadzeniu *British Association,* owem, jak je nazwano, parlamencie naukowym, w którym brało udział z górą 2 tysiące uczonych całego świata, wystąpili z bardzo ostrą i niszczącą krytyką tacy fizycy jak Lummer, Wood, Burke, a na zapytanie, zwrócone do licznego obecnego tam grona fizyków, pokazało się, że wielu robiło próby, lecz nikt nie doszedł do pomyślnych rezultatów. To samo mniej więcej powtórzyło się na międzynarodowym kongresie fizyologicznym, odbytym w Brukseli we wrześniu ubiegłego roku, a jeszcze dobitniej; na 76-ym zgromadzeniu przyrodników niemieckich w Wrocławiu. Rozdrażnienie było tu tem większe, że zaszedł przedtem fakt, który wywołał prawdziwą senzacyę w świecie naukowym. Oto Akademia Umiejętności w Paryżu, owa najpoważniejsza korporacya naukowa na świecie, po zbadaniu odkryć profesora Blondlota przez dwóch swych członków, przyznała mu olbrzymią nagrodę 50 tysięcy franków.

Obecnie chodzi już więc nie tylko o prof. Blondlota, lecz o naukę francuską wogóle i o powagę Akademii, która tym czynem zaaprobowała zasadnicze przynajmniej rezultaty badań profesora z Nancy. Żeby raz stanąć na pewnym gruncie, rozpisała redakcya wychodzącego w Paryżu czasopisma *Revue Scientifique* ankietę pomiędzy uczonymi francuskimi, w której zapytywano o zdanie pięćdziesięciu przeszło najznakomitszych fizyków, chemików i fizyologów francuskich, takich jak Berthelot, Moissan, Curie, Sagnac, Poincaré, Becquerel. Niepodobna przytaczać ich niezmiernie charakterystycznych zdań i uwag, ale zaznaczyć trzeba, że wogóle przebijał duch bardzo sceptyczny a wszyscy prawie, zarówno zwolennicy, których zresztą było niewielu, jak niezdecydowani i przeciwnicy, uznając, że Blondlot nie zachował wymaganych przez ścisłą naukę ostrożności, któreby go przy badaniach uchroniły od błędów i złudzeń, żądali, by Blondlot i jego współpracownicy powtórzyli swe doświadczenia przed gronem bezstronnych i biegłych fachowców. Szczególnie jednak uderza tu oświadczenie Mascarta, tego samego, który

z ramienia Akademii badał promienie N w Nancy, i który swym przychylnym werdyktem spowodował udzielenie Blondlotowi owej wielkiej nagrody. Oto oświadcza krótko, że obecnie niema on o promieniach N żadnego zdania...

Obecnie w Anglii i Niemczech nikt w objektywne istnienie promieni N nie wierzy, a zjawiska,opisane przez Blondlota, uważają tam za czysto fizyologiczne, subjektywne, jakie każdy z łatwością wywołać w swem oku może. Dla Francuzów sprawa jest oczywiście »nieco delikatną«, ale i tu sceptycyzm, ogólnie mówiąc, wziął górę. Wobec tego, wrażenie robi ogłoszone w ostatnich czasach oświadczenie Blondlota, Charpentiera i Meyera, że z publikowanych przez siebie prac nic nie cofają i wszystko gotowi pokazać każdemu, kto do ich pracowni się zgłosi.

A więc ankieta, jak zwykle, nie doprowadziła do rozstrzygających wyników, a epilog tego jedynego chyba w dziejach nauki wydarzenia, jeszcze może daleko.

Ks. F. Hortyński.

Z ruchu kobiecego.

Wiec niemieckich kobiet katolickich. — Akademia kobiet fryburska. — Wiec kobiet w Poznaniu. — Akcya antypojedynkowa kobiet polskich.

Ostatnie miesiące przyniosły kilka objawów ruchu kobiecego, zdolnych wpłynąć na zmianę poglądów zarówno u zwolenników tego ruchu, jak u jego przeciwników. Ci ostatni opierają swój pogląd na zasadzie, którą mniej więcej streszczają słowa często słyszane: kobieta powinna wśród społeczeństwa stać na straży ogniska domowego, a nie opuszczać tego stanowiska dla walk na szerokiej widowni, gdzie trzeba męskiej dłoni do miecza. Słowa te, jak większa część ogólnikowych zasad, nie ściśle wyrażają prawdę stanowczą: słabą ich stronę właśnie odkrywa widok katoliczek, które niedawno po za ognisko domowe wychodziły i wyjeżdżały, bądź na wiec niemiecki do Frankfurtu nad Menem, bądź na wykłady wszechnicy fryburskiej, bądź na polski wiec w Poznaniu, bądź na walkę przeciw pojedynkom, wszczętą na nowo pod wodzą księżnej Jerzowej Czartoryskiej. Występy te na szer-

szej widowni nie uwłaczały niczem obowiązkom kobiety i matki, odpowiadały bardzo stosownie obowiązkom chrześcijanki.

Frankfurcki zjazd zgromadził po raz pierwszy w listopadzie katoliczki ze związku kobiet, który powstał przed rokiem w Kolonii i doszedł już do liczby półtora tysiąca członków. Myśl tego związku wyprowadza kobietę poza skryte zacisze domowe, ale prowadzi je na pole, gdzie nie miecza trzeba w męskiej prawicy, tylko chrześcijańskiego serca: więc na tem polu walki, zwycięstwo najwięcej odpowiada posłannictwu kobiety. Wszak na to pole Kościół przed wiekiem wzywał chrześcijanki; wszak nasze prababki nie słyszały jeszcze o wyzwoleniu kobiet i ich prawach, a już przykładały ręku do dzieł społeczno-miłosiernych na polach, gdzie widziały przed sobą chorągiew wiary czynnej w ręku Wincentego a Paulo, Franciszka Serafickiego i innych. Chrześcijańskie serce i chrześcijańska świadomość potrzeb społecznych podnosiła te kobiety nad poziom obowiązków najbliższych i najpilniejszych: dodawała im sił, aby pozostawać na straży szczęścia domowego, a zarazem wyciągnąć rękę do rozbitków społecznych po za domem.

Tak też nadreńskie katoliczki nie zbiegły ze stanowiska kobiecego, kiedy wyciągnęły rękę do tego mnóstwa wykolejonych społecznie, którzy na niesprawiedliwe stosunki utyskują, zwłaszcza w zawodzie robotniczym, służebniczym, kolejarskim, albo po więzieniach, po niestosownych szkołach i t. d. Stosunki te, niesprawiedliwie ułożone w obecnym ustroju społeczeństwa, odkąd nad Renem powstawały, zaraz zwróciły na siebie uwagę serc dobroczynnych i wywołały zapobiegliwy ruch katolicki, aby ulżyć nieszczęśliwym. Ale te zabiegi nie ogarnęły odrazu każdego odłamu pracy i pozbawione myśli przewodniej, na niejedną stronę potrzeb społecznych zbyt hojnie niosły pomoc, na inne zbyt skąpo. Uczuły tedy katoliczki nadreńskie potrzebę środowiska, któreby po wzajemnych naradach zwróciło rozstrzeloną pracę na jeden tór: tak połączyły się w »Związek katolicki«, aby, (jak orzekły w paragrafie wtórym swoich ustaw,) wzajemnie udzielać sobie światła co do spraw, które obecnie poruszają świat kobiecy, i nieść sobie wspólną zachętę do pracy, zdolnej zaspokoić dzisiejsze potrzeby po katolicku na polu dobroczynnem i społecznem. Ta wzmianka o pracy społecznej stanowi postęp w pojęciach katoliczek nadreńskich. O dobroczynnej pracy wiedziała chrześcijanka, odkąd Chrystus założył Kościół; dopiero dziś poznała, że spotyka w nowoczesnej nędzy nie tylko dzieło nie-

szczęśliwych przypadków, które wymaga jałmużny, ale znajduje także skutek niesprawiedliwie ułożonych stosunków, który wymaga obrony chrześcijańskiej przed krzywdą.

W tej tedy myśli, zarówno dobroczynnej jak społecznej, odbyły katoliczki ze Związku nadreńskiego swój wiec, o którym dzienniki niemieckie mówią z wielkim zapałem; znajdują w rozprawach i naradach wiecu »wybuch siły długo krępowanej w dziedzinie umysłowej i czynnej«, widzą we wnioskach wiecu duszę kobiety »wyzwolonej« nie od cichych obowiązków chrześcijanki, ale od tych pętów zewnętrznych, które cnotę pokładają na pewnych ruchach i zwrotach mowy, a nie rozszerzają serca współczuciem z potrzebą społeczeństwa.

Z chlubą dla katoliczek wielkopolskich podnieść tu trzeba, że ich wiec poznański w niejednym szczególe ważniejszym stanął na równi z wiecem katoliczek nadreńskich, chociaż pracę wielkopolanek i wnioski ich rozdzierały między siebie dwojakie potrzeby miejscowe: jedne społeczno-dobroczynne, wspólne im z Niemkami, drugie narodowe, które jako bardziej polityczne nie mogą tu znaleźć wzmianki obszerniejszej nad opisy znane z dzienników.

Równem, a nawet większem jeszcze prawem możemy z chlubą dla naszych kursów Baranieckiego w Krakowie zauważyć, że przewodnia myśl tych kursów , powzięta u nas przed dziesiątkami lat, we Fryburgu natchnęła przed kilku miesiącami profesorów wszechnicy, żeby założyli podobne wykłady wyższych nauk dla kobiet pod nazwą Akademii. Ci, którzy znaliśmy ś. p. Baranieckiego, słyszymy teraz jakby z jego ust wziętą zasadę, którą głoszą dziś fryburscy uczeni, że nie ma nikt prawa zaprzeczać kobietom dróg do poglądu na świat umiejętnie wyrobionego, że jednak trudno wogóle kobietom czerpać naukę na wszechnicy razem ze słuchaczami, a to z wielu powodów: najprzód wogóle panny po ukończonej nauce w swoich szkołach średnich nie nabyły jeszcze dostatecznych pojęć przygotowawczych do wykładów na wszechnicy; nadto — uchwytne i rzeczywiste potrzeby wiedzy, umiejętnie nabytej, do innego kresu dążą u kobiet, niż u mężczyzn; nakoniec różnice między męskim a kobiecym nastrojem umysłowym wymagają odrębnego wykładu i nawet nieco odmiennej treści nauk, słowem osobnego rozkładu poszczególnej wiedzy na uczelniach obu rodzajów. Gdybyż tylko weszła w wykonanie całkowite myśl Baranieckiego!

Na tej podstawie wiele umysłów w Niemczech doszło do wnio-

sku, z którym wystąpił w tamtejszej Radzie państwa jej członek von Herling w marcu 1900 roku, mianowicie żądał osobnych wszechnic dla kobiet. Myśl ta nie mogła tak prędko dojść do skutku. Katolicy jednak najpierwsi umyślili przeprowadzić ten wniosek przynajmniej o tyle w czyn, że przy wszechnicy swojej we Fryburgu otwierają wyższą uczelnię osobną z wykładami dla kobiet.

Rozkład tych nauk i imiona profesorów wszechnicy, którzy objęli wykłady, dowodzą, że słuchaczka fryburskiej uczelni zdoła pomyślnie sięgnąć po poziom wiedzy, jakiej może wymagać od kobiety stulecie dwudzieste.

Przegląd całego ustroju uczelni fryburskiej mówi to samo, co widok pracy dobroczynno-społecznej katoliczek nadreńskich: wybitne te dwa objawy ruchu kobiecego w ostatnich tygodniach dają rękojmię, że nie wykoleją kobiety z tego jej posłannictwa właściwego, w którem mężczyzna jej nie zastąpi na straży szczęścia domowego. Przeciwnik »kobiety wyzwolonej« może dostrzedz, że trochę jednostronnie pragnął widzieć wychowaną przyszłą matkę rodziny, jeżeli nie chciał jej puścić na krok od kądzieli, igły i książki z obrazkami.

Z drugiej strony zwolennik »nadkobiety« może wobec katoliczek niemieckich i szwajcarskich uznać, że ich ruch społeczny i naukowy, choć wybuchł jakby żywioł długo pętany, przecie nie potrzebował wcale zacierać w nich postaci kobiecej, ani pozbawiać je chrześcijańskiego pojęcia o ich posłannictwie. Dobitnie widać to było podczas narad we Frankfurcie nad wnioskami wiecu: nie uczestniczki jego same ułożyły własnemi słowami i wyraziły te wnioski; powierzyły tę pracę pióru swojego poradnika duchownego; ale w toku obrad nad wnioskami zabierały głos swobodnie, a zarówno przez rzecz, którą niejedna z nich powiedziała, jak przez sposób, jak mówiły, dowiodły, że nie występują jak lalki z piosnką, którą gra nakręcona sprężyna, tylko rozumieją swoje stanowisko w świecie i pragną wypełnić posłannictwo. A najświetniej okazywały ducha samodzielnego w sprawie właśnie czysto kobiecej: kiedy raz pojęły i przyjęły jakąś zasadę, wtedy zaraz obmyśliwały drogi uchwytne, aby dojść do wyznaczonego kresu; tu wobec nich każdy mężczyzna musiałby ustąpić, bo nie wpadłby na mnóstwo szczegółików i drobiazgów, na które te panie i młode panny natychmiast zwróciły baczny wzrok: odgadły przeszkodę, przeczuły prawdę i — w chwili nastroju dobrej woli — umiały utrzymać rozprawę w sposób daleki od sprzeczki, aż doszły do zgodnej uchwały.

zwanego ugodowym lub umiarkowanym. Lecz zarówno zwolennik jego jak i przeciwnik musi przyznać, że był on politycznie i taktycznie zupełnie chybiony, nie dowodził więc bynajmniej wytrawności sądu swych autorów. Objęto nim dwie strony: polską, która miała otrzymać zmianę dotychczasowego systemu, i rosyjską, któraby przeprowadziła spodziewane ulgi. Korzyści, myślano, byłyby obustronne. Polacy, dając dowody lojalności i uznając państwowość rosyjską, uzyskaliby znośniejsze warunki bytu; Rosya, zaprzestając dalszych prześladowań, zmieniłaby niechętnych i niezadowolnych w przywiązanych i życzliwych. A cała przemiana odbyłaby się bez najmniejszych kosztów, Polacy bowiem stwierdziliby jedynie rzeczywisty stan rzeczy, Rosya zaś usunęłaby tylko zbyteczne już zarządzenia, gdy odpadły powody, które je wywołały.

Wszystko to, tak proste i piękne na oko, zbudowano jednak na zupełnie mylnych przesłankach, bo twórcy tej idei nie umieli ująć i zrozumieć wszystkich czynników, które tu w grę wchodzą. Nie stanęli oni wewnątrz społeczeństwa, polskiego czy rosyjskiego, lecz ponad niemi; nie uważali się za stronę, lecz objęli rolę sędziego, który bezstronnie ma na spór patrzeć i sprawiedliwość wymierzyć. Polacy z pochodzenia, a znający doskonale stosunki rosyjskie i złączeni wieloma węzłami z tamtejszem społeczeństwem, trzeźwi i zimni, pozbawieni złudzeń i uczuciowości, rozumieli, jak się im zdawało, oba zwaśnione obozy. Zapomnieli tylko, że kto w takich sprawach rozumie wszystkich, ten właściwie nie rozumie nikogo, bo patrząc z góry czy z boku na dwa narody, nie należy już w całości do żadnego. Sędzia wymierza tylko formalną sprawiedliwość, lecz nie przekonywa, ani nie jednoczy. Wierzy się może w jego bezstronność, lecz słucha sią rady swego rzecznika, bo ufa się bezwzględnie tym tylko, którzy solidaryzują się z nami zupełnie.

Tymczasem tutaj starano się równocześnie spełniać funkcye sędziów i zastępców stron obu, nic przeto dziwnego, że na całej linii przejawiło się ogólne nieporozumienie. Kierownicy ruchu i najbliżsi ich stronnicy stanęli już od dawna na gruncie trwałego uznania głównych podstaw istniejącego porządku. Nie ofia-

rowywali więc niczego, czegoby nie oddali już przedtem; związani mniej lub więcej z oboma narodami, nie odczuwali jednostronnych ideałów. Nie mogli zrozumieć, że między przymusowem poddaniem się pewnym faktom, a dobrowolnem ich uznaniem, leży cała przepaść i uczuć i sądów i nadziei, których nie każdy wyrzecze się w zamian za realne korzyści, bo nie każda korzyść wynagradza dostatecznie moralne straty. Nie każdy nędzarz głosi o swej biedzie, uznaje jej uprawnienie i wyciąga rękę — kto wie bowiem czy cena, którą ma okupić dostatek, nie wyda mu się zbyt wysoką. Być może, że tak być nie powinno, lecz z pewnością tak jest i z tem liczyć się musimy. Chcąc kogoś prowadzić, należy go przedewszystkiem zrozumieć, a nie osiągnie się tego nigdy, jeżeli nie umie się porówno z nim czuć i myśleć. Bezstronność, ten odwieczny nieprzyjaciel wszystkich uczuć, wyklucza to zupełnie.

Wejdźcie na nową drogę a będzie lepiej, zawołali ci przywódcy, a posłuszne tłumy poszły za nimi. Stan ich psychiczny jednak był całkiem odmienny. Nie przeszły one jeszcze całego tego procesu myślenia, któryby ich doprowadził do stanowczego pogodzenia się z obecnym losem narodu; stawali po raz pierwszy na tem stanowisku, ponosili bardzo wielką ofiarę... dla dobra kraju. Mieli nią okupić owo przyobiecane lepiej, a im cięższym był dla nich rozbrat z dotychczasowem przeświadczeniem, im trudniejszą walkę stoczyli ze swemi uczuciami, tem więcej spodziewali się w zamian otrzymać, w tem żywszych barwach wystawiali sobie przyszłe polepszenie. Na tem tle musiał wkrótce wystąpić wyraźnie rozdźwięk między pierwszą a drugą grupą. Tamta, nie płacąc właściwie nic, uważała każdy, choćby najskromniejszy drobiazg za zdobycz; ta, czyniąc prawdziwe poświęcenie, mogła usprawiedliwić krok swój tylko o tyle, o ile korzyści byłyby tak wysokie, że przygłuszyłyby odzywające się ciągle wątpliwości z powodu tej abnegacyi, graniczącej bądź co bądź z odstępstwem od narodowych ideałów.

Przywódców ożywiały jak najlepsze nadzieje. Tak mały zakreślali rozmiar temu, co naród miał pragnąć i powinien był otrzymać, że nie spodziewali się zawodu. Później, gdy *ex professo*

przedstawiali swój program, żądali polskiej szkoły ludowej, dopuszczenia dla stron języka polskiego w sądzie, gminnego i lokalnego samorządu gospodarczego na wzór rosyjski i zniesienia osobistych ograniczeń z tytułu narodowości. To wszystko, a drobna część tego byłaby ich zaspokoiła na razie. Mówili więc: stańmy lojalnie na gruncie państwowości rosyjskiej, uznajmy otwarcie nierozerwalne połączenie z cesarstwem i w poczuciu własnej słabości wobec olbrzymiej potęgi Rosyi, zwróćmy się do łaski monarszej, a ta nas nie minie.

Poszli więc i otrzymali odpowiedź biurokracyi, lecz inną, niż przypuszczali. Po co wprowadzać reformy, odpowiedziano im czynem, jeżeli obecny system doprowadził do tak zgodnych z dążeniami rządu uczuć i poglądów; po co oglądać się na tych, którzy sami przyznają, że nie stać ich na nic więcej, prócz błagania o łaskę i litość.

Zawód był bardzo przykry, jednakże musi się przyznać, że wina leżała przedewszystkiem po stronie twórców ugody, którzy, choć pozbawieni romantyzmu narodowego, wierzyli jednak w sentymentalizm polityki rosyjskiej. Wszak powinni byli wiedzieć, że w polityce mierzy się siły i działa dla korzyści, że czyni się ustępstwa jedynie pod naciskiem własnego interesu, a nie dla idei lub cudzego dobra. Powinni byli wiedzieć, że samodzierżawie jednostki jest tylko frazesem bez treści, że w gruncie rzeczy rządzi system reprezentowany przez biurokracyę, której każda reforma odbierze część władzy i chleba. Jakżeż można było przypuszczać, że sfery urzędnicze, mogąc się pochwalić tak świetnym dla państwa rezultatem dotychczasowej swej działalności, zechcą zaproponować zmiany dla siebie niedogodne, dlatego tylko, że byłoby to użyteczne dla drugiej strony. A opieranie się na indywidualnych uczuciach i osobistych zaletach monarchy, czyż nie stawiało całej budowy na piasku, tem bardziej lotnym, że jak okazała przyszłość, są one zupełnie inne, aniżeli sobie wyobrażano. I mimowolnie nasuwa się pytanie, kto też rozumował trzeźwiej, czy te generacye poprzednie, które wyczekiwały pomocy Europy, czy nowi ludzie, apelujący do szlachetności i wielkoduszności cara.

Zresztą można powiedzieć bez ogródek, że żaden prawdziwy

mąż stanu, stojąc na stanowisku rosyjskiem, nie byłby się liczył z takim kierunkiem. Może on widzieć korzyść w częściowem choćby zaspokojeniu ludności polskiej, lecz wtedy postawi sobie pytanie, z czego ma się składać ogół reform, wystarczających przynajmniej na dłuższy okres czasu. Ustępstwa muszą obejmować zawsze to wszystko, co społeczeństwo uważa za *minimum* egzystencyi, inaczej bowiem są szkodliwe dla państwowości ogólnej, gdyż nie usuwają uczuć wrogich, a wyposażają przeciwnika w nowe siły. Można je wprawdzie rozłożyć na raty, lecz należy zdać sobie sprawę już w samych początkach, jak daleko sięga ta droga i czy potrafi się przebyć ją całą. W tym celu musi się poznać na prawdę poglądy i życzenia drugiej strony, a któryż realny polityk będzie się o tem informował u ludzi, w tym kierunku najmniej wymagających, kto uwierzy, że za nimi stoi na seryo większość społeczeństwa. Niema większego politycznego błędu, jak zawarcie układu z grupą, która nie jest w stanie dotrzymać jego warunków, niczem nie dowodzi się tak wyraźnie swej nieudolności politycznej, jak przecenianiem znaczenia i wpływów drugiego kontrahenta.

To też gdzie tylko chodziło o prawdziwe pojednanie, żaden ze skrajnych obozów nie odgrywał roli rzeczywiście wybitnej. Liczyło się wprawdzie na nie, lecz tylko jako na ciężar martwy, który dodany przeważa szalę na jedną lub drugą stronę. Skrajna lewica, obejmująca nieprzejednanych, wzmacniała stanowisko rzeczników interesu narodowego, bo w oświetleniu jej aspiracyi, żadne żądanie nie było zbyt wygórowane; skrajna prawica, złożona z osób z góry ze wszystkiem pogodzonych, ułatwiała ustępstwa swoim, a odmowę przeciwnikom. Biorąc to wszystko w rachubę, układano się jednak z tymi tylko, którzy dość rozsądni, ażeby nie hołdować hasłu: wszystko lub nic, zarazem porówno oddalali się od obu tych ostateczności.

Mimo więc wszystkich objawów zewnętrznych sfery rosyjskie wiedziały z góry, że pomiędzy społeczeństwem a poglądami promotorów istnieją tak wielkie różnice, że uwzględnienie ich postulatów nie wydałoby żadnych innych owoców, jak tylko wzmocnienie żywiołu polskiego. A chyba potrzeba wielkiej dozy

dobroduszności, ażeby przypuszczać, że rząd rosyjski pokusi się o osiągnięcie podobnego celu. I na tem polega właśnie cały taktyczny błąd t. zw. umiarkowania twórców nowej szkoły. Własnego społeczeństwa nie mogli utrzymać przy sobie, gdy minęło chwilowe oszołomienie, bo inne były ich pragnienia, inne życzenia narodu; drugiej strony nie zdołali skłonić do liczenia się z nimi, bo jasnem dla niej było, że w gruncie rzeczy reprezentują tylko siebie samych, a to jest zawsze cokolwiek za mało.

Wypadki więc następowały z logiczną konsekwencyą. Z owych wielkich mas, które wzięły udział w przyjęciu cara w Warszawie, pozostała wkrótce nieznaczna tylko garstka, coraz bardziej malejąca, w miarę jak przywódcy konkretny nakreślali program, za szczupły nawet dla bardzo skromnych.

Lecz epizod ten nie pozostał bez wpływu wysoce szkodliwego. Przeważna część dawniejszych zwolenników odwróciła się od swych kierowników rozczarowana, lecz jeszcze bardziej zgnębiona, tem mniej zdolna i chętna do samoistnej myśli, tem więcej przekonana o własnej bezsilności a wszechpotędze wroga. Czego nie dokończyła czterdziestoletnia represya, to uzupełniła propaganda, operująca antytezą naszej słabości wobec olbrzyma i przyjęcie, którego doznały wiernopoddańcze prośby. Wzmocniły się przeto szeregi zrozpaczonych pesymistów.

Po drugiej stronie stanęli dowódcy ze swym nielicznym sztabem. Zawiedzeni na całej linii, zamiast przyznać się do błędu, przypisali winę narodowi i z energią już fanatyczną upierali się przy swojem, pragnąc za każdą cenę pognębić przeciwników, choćby się do nich zaliczał cały naród. Nic w tem zresztą dziwnego. Zwykle jednostki, przyznające sobie wyższość nad innymi, raczej w prawach fizyki lub w konfiguracyi geograficznej znajdą przyczynę nieudania się ich planu, aniżeli we własnych omyłkach. W normalnych stosunkach, przy dostatecznej kulturze politycznej i wolności słowa, stanowi to nieszkodliwą przyjemność indywidualną, którą można tolerować z całą pobłażliwością, w położeniu jednak Polaków za kordonem stawało się to niebezpiecznem.

Licząc właśnie na zrozpaczonych i mało samodzielnych, rozwinięto gorączkową działalność publicystyczną, popartą przez

pewną część prasy innych dzielnic. Apoteoza potęgi rosyjskiej, zupełna zależność naszego dobrobytu od losów Rosyi, szlachetność monarchy i życzliwość dla nas narodu rosyjskiego — oto struny, w które uderzano bezustannie, tłumacząc równocześnie brak realnych skutków tych pięknych uczuć wpływem Niemiec i postępowaniem naszych nieprzejednanych, którzy choć mimowolnie, niemniej jednak skutecznie pracują na rzecz interesów pruskich. Wszystko więc, pisano, nawet międzynarodowy socyalizm i ucisk rządu, jest mniej szkodliwe od szowinizmu, to też zwalczanie tego szalonego prądu stanowi najświętszy obowiązek każdego rozsądnego patryoty. A można go złamać, jeżeli nie oglądając się na krzyki niedojrzałych, będzie się kroczyć odważnie i wytrwale po drodze, wskazanej przez prawdziwych miłośników ojczyzny, t. zn. przez autorów ugody.

Nawoływania te nie zelektryzowały wprawdzie mas, oddziałały jednak na pewną liczbę ludzi, którzy uważając się za naturalnych reprezentantów narodu, wyrastających z prawa ponad szary tłum ogółu, dali się ująć dla tezy, stawiającej ich tak wysoko w porównaniu zresztą. Takie to rozumne, płynąć przeciw ogólnemu prądowi, który przecież rozsądny być nie może; takie szczytne, bohaterską kapitulacyą z własnej narodowej godności okupić winy innych, a przytem także łatwe, gdy dzięki temu poświęceniu znajdzie się wraz z potężniejszymi naprzeciw słabszych. W ten sposób stanęło sześćdziesięciu pod pomnikiem Katarzyny II, w ten sposób dwadzieścia trzy nazwisk znalazło się pod memoryałem, który orzekł, że dzięki skuteczności panującego systemu, jesteśmy już narodowo zmęczeni i zrównał wpływ rosyjskiej biurokracyi z działalnością narodowych demokratów.

O obu tych przejawach polityki »dojrzałych« sąd opinii był jednomyślny a niewątpliwy. Nie było nawet wybuchów oburzenia, tylko potępienie tak ogólne i stanowcze, że od razu ludzie, którzy tam wystąpili, utracili prawo i możność zabierania głosu w sprawach publicznych. A siła tego sądu była tak potężna i przekonywująca, że zrozumieli ją sami; zamilkli, bo odczuli, że nikt ich nawet wysłuchać nie zechce.

Niema złego, któreby nie miało stron lepszych i tu więc

jest do zanotowania jedna korzyść. Dziesięcioletnie panowanie w pewnych kołach kilku ludzi zginęło bezpowrotnie. Okazali tak ogromną nieznajomość sił i dążeń społecznych, tak fałszywie oceniali wszystkie zjawiska, na takie manowce poprowadzili swych najwierniejszych, że rola ich już skończona. Korzyść to wielka, gdyż już i tak rozbitych, dzielili nas dalej i jątrzyli bezustannie, a systematycznie wpajając przeświadczenie własnej niemocy, demoralizowali społeczeństwo, zacierając coraz bardziej granicę pomiędzy tem, co ze stanowiska godności i etyki narodowej jest dozwolonem, a co niedopuszczalnem.

Lecz i szkód, które wyrządzili, powetować nie łatwo. O ile kompromitacya przywódców, odbierając im możność dalszego działania jest faktem dodatnim, o tyle szkoda tych kilkunastu czy kilkudziesięciu jednostek, które w dobrej wierze szły z nimi do końca. Byli to przedewszystkiem ludzie, którzy sami pozbawieni zdolności politycznych, ufali ślepo rozumowi kierowników, którzy nie zdając sobie sprawy z istotnej jego wartości, solidaryzowali się ze wszystkiem, co tamci postanowili i przedsiębrali. Wina ich wielka, bo ich dopiero nazwiska nadawały pomysłom ugodowym charakter prądu, który i w społeczeństwie znachodzi pewien oddźwięk, lecz na usprawiedliwienie swe mogą przynajmniej przytoczyć swą polityczną naiwność. I gdyby pod tym względem były jakieś wątpliwości przedtem, rozwiałyby je z pewnością zdarzenia ostatnich miesięcy. Przecież zaszli oni najdalej w początkach jesieni, a więc w chwili, gdy pod naciskiem wypadków rozpadała się w gruzy cała argumentacya przywódców, gdy jasno już występowały rozmiary tak potęgi rosyjskiej, jak i osobistych przymiotów panującego. Kto tego nie widział, nie umie wogóle patrzeć własnemi oczyma, może więc popełnić przestępstwo, nie ponosi jednak za nie nigdy intellektualnej odpowiedzialności.

Naród nie patrzy jednak na zamiary, tylko na ich skutki, nie może oceniać chęci, tylko czyny. Tak też stało się i w tym wypadku. Wszyscy, którzy znaleźli się w dyametralnej sprzeczności z resztę społeczeństwa, utracili odrazu wszelkie znaczenie dla dalszego rozwoju, przynajmniej na najbliższą chwilę. A ta ich część, która bezmyślnie tylko uległa podszeptom, właśnie dopiero

teraz stawała się potrzebną. Wojna japońska wraz ze swoimi skutkami, otwierała przed nimi rzeczywiście użyteczne pole działania, które niestety sami sobie zamknęli.

Zgnębione, zrozpaczone społeczeństwo było pozbawione wszelkiej przewodniej myśli. Naturalny egoizm, wyglądający ulżenia ucisku i wywody ugodowców z jednej strony, hasła narodowego orzeźwienia z drugiej, wstrząsały niem bezustannie, nie doprowadziły jednak do żadnej stanowczej decyzyi. W tem wybucha wojna, a im liczniejsze były przepowiednie zwycięstwa rosyjskiego, tem silniej działa wiadomość o każdej klęsce. Z wzrastającem zdumieniem widzi się, jak bardzo przeceniało się siły wroga, jak słabym jest on wobec poważnego przeciwnika. Wlewa to nowego ducha w naród; zaczynamy się prostować, zaczynamy rozumieć, że możemy być potrzebni, że już nie z łaski, lecz z konieczności możemy się czegoś spodziewać. Budzi się przeświadczenie, że stajemy się czynnikiem, z którym osłabiony przeciwnik powinien liczyć się we własnym interesie, nabieramy jednem słowem odwagi, nadziei, wiary w lepszą przyszłość.

Takie są skutki dla nas wojny japońskiej, skutki, które mogłyby przynieść ogromne korzyści. Po raz pierwszy od dawna naród przejrzał i otrzeźwiał, zyskał realne podstawy do odważenia sił własnych i cudzych. Niestety, dzięki całemu kierunkowi, powyżej skreślonemu, który przezwawszy się niesłusznie zresztą, umiarkowanym, przerzucił na umiarkowanie odpowiedzialność za wszystkie swe błędy i winy, istnieje i odwrotna strona medalu. Najpowierzchowniejsza nawet znajomość psychologii społecznej uczy, że bezczynna rozpacz wyrosła na gruncie wiary w bezwarunkową przemoc ucisku, zmienia się niemal natychmiast w przecenienie sił własnych i szalony optymizm, skoro ta wiara zachwieje się i upadnie. Wtedy społeczeństwo, licząc równie nierozsądnie na zwycięstwo, jak przedtem niekrytycznie wierzyło w konieczność upadku, popełnia nieraz nieobliczalne w swych skutkach błędy, które nie tylko nie pozwalają na wyzyskanie sposobnej chwili, lecz niekiedy przynoszą w rezultacie stosunki, gorsze od poprzednich. W takich czasach koniecznem jest dla utrzymania równowagi odpowiednie obciążenie społeczne. Stanowią je żywioły

umiarkowane, które nie pozwalają, ażeby naród dał się porwać wichrom wypadków, tak jak radykalniejsi nie dopuszczają do bezczynności i bezwładności. Wtedy społeczeństwo idzie po drodze właściwej, nakreślonej przez wypadkową obu tych kierunków; trzyma się programu, wolnego od przesady czy w prawo, czy w lewo.

Taką jest najważniejsza, najużyteczniejsza rola żywiołów konserwatywnych. Trudna jest niewątpliwie, szczególniej w czasach przełomowych, w których hasła gorące muszą być popularniejsze. Ułatwia ją jednak osobiste stanowisko warstw umiarkowanych, stosunki, wpływy i indywidualne zalety osób, zaliczających się do tego kierunku. Zasadniczym jednak, nieodzownym warunkiem skuteczności ich działania jest bezwarunkowe zaufanie w solidaryzowanie się ich z dążeniami całego narodu. Różnice mogą się odnosić do taktyki, do środków lub do szybkości działania, ostateczny cel u wszystkich musi być identyczny.

I właśnie w zachwianiu wiary w tę wspólność celów należy szukać głównej winy, największej szkody, którą wyrządzili twórcy ugody. Wojna japońska, ukazując we właściwych rozmiarach stosunek sił naszych i rosyjskich, oddała nam tem samem nieocenioną narodową przysługę. Poważne jednak zachodzi niebezpieczeństwo, że pod wpływem wewnętrznych zaburzeń rosyjskich, przechodząc w drugą ostateczność i przeceniwszy własne siły, damy się unieść nierozważnemu optymizmowi. Cokolwiek przyniesie przyszłość, potrzeba miarkowania zbyt gorących zapędów jest niewątpliwa. Tymczasem pokrywanie pomysłów autorów ugody mianem umiarkowania, odebrało temu kierunkowi wszelką popularność; stawanie w coraz większej sprzeczności z dążeniami narodu, zabiło wpływ tych nawet jednostek, które w istocie temi samemi, co reszta narodu, ożywieni są uczuciami, tylko dzięki nieszczęsnemu zaślepieniu, poszły za tamtymi. Dziś ich stosunki i umiarkowanie mogłyby przydać się na coś więcej, aniżeli na podpisywanie niegodnych memoryałów i wyczekiwanie zmiłowania rosyjskiego rządu — i w chwili, gdy wszyscy pracują, oni muszą patrzeć na to z założonemi rękoma, bo nikt już do nich niema zaufania, a gdyby je miał nawet, nikt im go okazać nie

może. Kraj potrzebuje ich po raz pierwszy może, a ich niema bo dali się wyprowadzić poza społeczeństwo. I w stwierdzeniu tego faktu mieści się tak najcięższa kara uwiedzionych, jak i najostrzejsza ocena całego tego prądu. Uniemożliwił wytworzenie grupy umiarkowanej — i to jest jego charakterystyką intellektualną; utrudnił utrzymanie równowagi społecznej — i to jest jego skutkiem narodowym. Dla nas więc wojna japońska przyniosła jeszcze jedną korzyść usuwając ostatecznie kierunek, rozumowo chybiony, narodowo ujemny.

(C. d. n.)

Dr. Wł. Czerkawski.

MANIFEST POLSKIEJ PRASY.

Smutne wypadki, o których codziennie nadchodzą nowe wieści z Królestwa Polskiego, nie mogą pozostać bez silnego echa po tej stronie kordonu. Cały ogół polski śledzi bacznie te przewlekłe strejki, którym wielokrotnie towarzyszą krwawe starcia z policyą i wojskiem. Pamiętając przedewszystkiem, że to polska krew się leje, bolejąc nad tem i podnosząc głos oburzenia przeciw dzikiemu okrucieństwu, jakiego się dopuszczają władze rosyjskie nawet na najspokojniejszych mieszkańcach kraju — tem głębszym jesteśmy dotknięci smutkiem, że rozumiemy wszyscy całą bezcelowość tego ruchu, zupełny w nim brak myśli kierowniczej.

Wszystkie żywioły społeczeństwa współczują głęboko niedoli ludu robotniczego, postawionego przez rząd rosyjski w takie warunki życia, że nawet zdobywanie elementarnej oświaty i postęp kultury obyczajowej w głównej jego masie jest zatamowany, odciętego zupełnie przez władze od innych warstw społeczeństwa, któreby mogły współdziałać z nim nad poprawą jego doli i wszechstronnem podniesieniem poziomu jego życia — ale tem surowsze potępienie spada na agitujące wśród robotników partye socyalistyczne, wskazujące im drogi działania, które samym robotnikom przynoszą szkodę, cały zaś naród wystawiają na niebezpieczeństwo.

W kołach socyalistycznych oraz w odbierających od socyalistów natchnienia, do których wieści o wypadkach w Królestwie dochodzą w fałszywem oświetleniu, zaczęło się rodzić błędne pojęcie, jakoby zajścia te były tylko wstępem do ruchu szerszego,

zują podobnej obrony. Stoessel jest bohaterem i godną siebie dowodzi załogą, lecz i Kuropatkin jest wodzem niezwyczajnej miary. Prawda, że strategiczne jego plany nie były świetne, lecz trudno o równego mu taktyka. Bitwa pod Liaojanem nie zmieniła się w drugi Sedan, jedynie dzięki jego zdolnościom. Jeżeli Rosya uszła tam ostatecznej zguby, jeżeli armii nie wparto do Chin, lub nie zmuszono do kapitulacyi, jeżeli wojska nie poszły w rozsypkę, to zawdzięcza się to mistrzowskiemu odwrotowi, równemu najświetniejszym czynom wojennym, jak powrót Xenofonta z Mezopotamii lub Moreau z Bawaryi.

O obronie Port Arthura słyszy się wprawdzie dzisiaj zdania zupełnie inne, jednakże i dawniejszym należy poświęcić słów kilka, ażeby wykazać, że właściwie nigdy nie było powodu do owych ogromnych pochwał, któremi darzono jego obrońców. Jeżeli chodzi o wytrwałość obrony, to nie tylko Sebastopol, lecz i cały szereg twierdz, a nawet polowo tylko ufortyfikowanych pozycyi, trzymał się dłużej. Port Arthura oblęgano przez pięć miesięcy, a licząc nawet od jego odcięcia, t. zn. od wzięcia Kinczu, siedem miesięcy. Tymczasem Plewna, która nie była twierdzą, lecz jedynie już w czasie wojny oszańcowanym obozem, broniła się pięć miesięcy, Kolberg w r. 1807 pięć, Gdańsk 1813 przeszło dziewięć, Hamburg, aż do zawarcia pokoju w r. 1814 osiem i t. d. Wszędzie poddanie twierdzy nastąpiło dla braku żywności, dla niedostatecznej załogi, albo wskutek wzięcia szturmem pewnej grupy fortów, stanowiących klucz całej pozycyi. Tymczasem dane, ogłoszone przez Japończyków dowodzą, że żywności i amunicyi było podostatkiem, załoga wynosiła w chwili kapitulacyi 32.000 ludzi, prócz chorych i rannych, z czego było 22.000 kombatantów. Przytem od chwili zajęcia przez armię oblężniczą Wysokiej Góry, właściwie obrony jej nie było i wkrótce twierdzę poddano. Lecz według oficyalnych relacyi Wysoka Góra należała do fortów zewnętrznych, polowych, tak że pierścień wewnętrzny nie był jeszcze naruszony. Nawet w dniu poddania się Japończycy byli panami zaledwie jednej grupy fortów, a Port Arthura był w ten sposób budowany, że każda grupa mogła się bronić oddzielnie. Trudno więc mówić o nadzwyczajnym bohaterstwie, jeżeli nie

próbowano nawet skorzystać z tej dogodności, z którą przecież liczono się przez całe lato, dowodząc, że Stoessel w najgorszym razie będzie się dalej bronił na przylądku tygrysim. Gdyby nawet oddaniem twierdzy uratował całą załogę dla armii Kuropatkina, wartość wojskowa takiego postępku byłaby bardzo wątpliwa; godząc się na warunki kapitulacyi nader twarde, tem więcej zasługuje na ostrą krytykę, chociażby otrzymał najwyższe ordery, nie tylko niemieckie. Napoleon I twierdził, że komendanta, który uzyska łagodne warunki kapitulacyi, powinno się rozstrzelać, gdyż względność nieprzyjaciela jest najlepszym dowodem, że twierdza mogła bronić się dłużej. Nie można jednak rozumować tu *a contrario* i uważać obronę za świetną, dlatego, że cała załoga dostała się do niewoli. Prawda, że Stoessel, jak przedtem był niesmaczny w swych górnolotnych relacyach, tak teraz jest nadzwyczaj przystępny dla wszystkich korespondentów, przekładając im bardzo szczegółowo powody natury humanitarnej swego kroku. Mianowicie wolał on poddać twierdzę i zrzec się, jak mówi, sławy wojennej, aniżeli mieć na sumieniu śmierć całej załogi, która w dalszej obronie musiałaby zginąć marnie. Tylko, czy jest ktoś tak prostoduszny, ktoby w coś podobnego uwierzył. Minęły już czasy, w których mordowano obrońców. W najgorszym razie Japończycy mogli wziąć Port Arthura szturmem, a w tym wypadku załogę, którąby nie poległa w bitwie, nie spotkałoby nic więcej, jak skutki kapitulacyi, t. zw. niewola. To też o wiele prawdopodobniejszym jest inny powód poddania, podany przez niektórych pisarzy wojskowych, nie przemawiający jednak na korzyść załogi. Była ona, jak Stoessel pisał, ożywiona bohaterskim duchem tak długo, dopóki patrzała na Japończyków, wysadzanych minami w powietrze. Gdy jednak i pod nią zaczęły wybuchać miny japońskie, duch bohaterski zmienił się w zdenerwowanie i niechęć do dalszej walki. Przemawiałyby zatem i ostatnie relacye urzędowe, które z szczególniejszym naciskiem podnoszą siłę niszczącą jedynastocalowych bomb japońskich.

Wszystko to nie dowodzi bynajmniej, ażeby żołnierz rosyjski był zły lub tchórzliwy. I owszem, wiadomą jest rzeczą, że Rosyanie biją się dzielnie, lecz nie można na dowód tego przy-

taczać Port Arthura. A jeżeli jest mowa o psychicznych i fizycznych kwalifikacyach wojska walczącego w Mandżuryi, to nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na jeden drobny, lecz charakterystyczny szczegół. Według oficyalnych wykazów, armia polna, z wyłączeniem załogi Portu Arthura, straciła po koniec ubiegłego roku 2.297 oficerów w zabitych i rannych. Z tego na takich, którzy noszą nazwiska historycznie znane, czysto rosyjskie, przypada 36, na pochodzących z rodzin arystokratycznych dziewięciu. Jeżeli spojrzymy na imiona oficerów poległych i rannych — którejkolwiek armii, w jakiejkowiek wojnie, widzimy zawsze procent znanych nazwisk znacznie wyższy. Dla porównania przytaczam, że w wojnie z r. 1866, armia austryacka w Czechach, której korpus oficerski nie jest wcale zbyt arystokratyczny, na 673 zabitych oficerów straciła 72 pochodzących z historycznych rodzin niemieckich lub węgierskich. Wynosi to 11%, podczas gdy w Mandżuryi widzimy tylku $1^1/_2$%. Prawda, że nie walczą tam pułki »eleganckie«. lecz wszędzie oficerowie, chociażby nie służyli w oddziałach, wysłanych na plac boju, starają się o przydzielenie do armii czynnej, jak to widzieliśmy u Anglików w wojnie transvaalskiej. Cokolwiekby przeto można mówić o duchu wojsk rosyjskich. nie należy mieszać żołnierzy z oficerami. O ile bowiem można sądzić z tego przykładu, w korpusie oficerskim nie widać ochoczości, przechodzącej ramy koniecznego obowiązku.

Nie mniej zimno należy się zachować wobec opisów nadzwyczajnych zdolności taktycznych Kuropatkina, które odkryto najpierw w Niemczech. Opierają się one na ocenie bitwy liaojańskiej, a wywołały ją częścią reminiscencye wojny francusko-niemieckiej, częścią naturalna zresztą chęć obrony własnego zdania. Treścią ich jest twierdzenie: Rosya nie poniosła, dzięki swemu wodzowi. klęski pod Liaojanem, bo jakkolwiek wyparto ją z placu boju. to jednak armia cofnęła się w porządku, a tylko zupełne rozbicie nieprzyjaciela stanowi prawdziwą klęskę.

Rzeczywiście trudno o tezę mniej uzasadnioną, bardziej sprzeczną z rzeczywistością. Wielka armia może przegrać kilka nawet wielkich bitew. a pomimo tego nie ma nawet mowy o kom-

pletnem jej złamaniu lub rozprószeniu. Zdarza się to jedynie w bardzo rzadkich wypadkach i to, o ile nie zachodzą wyjątkowo niekorzystne warunki terenu, nigdy pod naciskiem samej fizycznej walki, lecz przedewszystkiem wskutek czynników moralnych, psychicznych lub organizacyjnych. W nowszych czasach zmuszono do kapitulacyi znaczniejsze wojska polne tylko w ostatniej wojnie francuskiej, prócz tego o wiele mniejsze już siły saskie wziął do niewoli Fryderyk II w Pirnie, a Napoleon I austryackie w Ulmie We wszystkich tych wypadkach wparto i zamknięto pobite armie w nieprzygotowanych na nie fortecach, o ile zaś w innych bitwach zwyciężona armia nie mogła już stawiać oporu, działały zawsze czynniki, nie mające właściwie nic wspólnego z samą walką, jeżeli pominiemy tylko zupełną nieudolność wodza, jak ks. Soubise pod Rossbach, ks. Lotaryńskiego pod Leuthen, albo ks. Cumberland pod Hastenbeck.

Przechodząc historyę wojen ostatnich lat stusześćdziesięciu, można sprowadzić ogół przyczyn, wywołujących w wojsku trwałą niezdolność do dalszej obrony do kilku zasadniczych typów, przyczem wypada zaznaczyć, że rozpoczynają one działać najczęściej w dalszych okresach wojny, prawie nigdy w samych jej początkach.

Przedewszystkiem małą wytrwałością odznaczają się armie wytworzone nagle n. p. przez powstania i rewolucye. Wielkie wstrząśnienia polityczno-społeczne, które zwyczajnie poprzedzają wybuch wojny, jakoteż powszechnie znana nierówność sił, sprawiają, że nadzieja zwycięstwa opiera się raczej na czynnikach uczuciowych, aniżeli na zimnem wyrachowaniu. Idzie się do boju dla odzyskania wolności czy niepodległości, z wiarą w słuszność sprawy, zapominając dobrowolnie o realnych warunkach. Przegrana bitwa jest w takich stosunkach strasznym ciosem; stan podniecenia, trwający dotąd, ustępuje zniechęceniu ogólnemu, armia więc staje się niezdolną do dalszej walki. Maciejowice i wzięcie Warszawy dla nas, Temesvar dla Węgrów, Novara dla Włochów, Culloden dla Szkotów, stanowiły takie punkty zwrotne dla psychicznego stanu armii i społeczeństwa. W żadnej z tych bitew, militarnie rzecz biorąc, nie było nic straconego; wszędzie, w po-

równaniu z ogółem sił, straty były tak nieznaczne, że właściwie nie powinnoby się mówić o decydującej klęsce. A jednak ani Polacy w r. 1794 i 1831, ani Węgrzy, Szkoci czy Piemontczycy nie prowadzą właściwie dalej już wojny — bo stracili wszelką nadzieję.

Zupełnie takie same objawy dostrzegamy, gdy ustrój państwa lub byt dynastyi jest chwiejny i niepewny. Typowym przykładem są tu bitwy pod Vittorią i Waterloo. Ani w jednej ani w drugiej straty francuskie nie były większe od nieprzyjacielskich, po jednej i drugiej pobita armia zreorganizowała się szybko, w nieznacznej od pola bitwy odległości, pomimo tego w pierwszej stracił Józef tron hiszpański, druga obaliła we Francyi pierwsze cesarstwo. Zajęcie Wiednia, Berlina i Moskwy nie podcięło bytu państw środkowo-europejskich, państwo Fryderyka II redukowało się nieraz do jego własnego tylko obozu, Hiszpanie, po utracie całego kraju, bronili się w Kadyksie, tymczasem wszystkie wysiłki Napoleona nie mogły wzbudzić Francuzów po utracie Paryża lub klęsce pod Waterloo. Brakowało tu tej potężnej dźwigni psychicznej, jaką bądź co bądź stanowi tradycya i idea uprawnionego legitymizmu.

Z podobną depresyą spotykamy się tam wszędzie, gdzie wszystkie wysiłki skupiały się około jednego tylko przedmiotu i to napróżno. Za dowód może posłużyć obrona Plewny. Po upadku Plewny całą armię turecką ogarnęło takie zniechęcenie, że jakkolwiek na europejskim terenie wojny stało przeszło dwieście tysięcy pod bronią, marsz rosyjski — gdyby nie zima — byłby zwykłą promenadą wojskową, w ciągu której od czasu do czasu brano do niewoli całe korpusy tureckie. A przecież Plewna z początku wojny nie była nawet obwarowaną, nie stanowiła żadnego ważniejszego punktu; Rosya mogłaby ją zająć bez wystrzału, gdyby Osman basza nie zaszedł tam z Widdynia. I wojna trwałaby dalej, Plewna nie odegrałaby żadnej roli, tak jak nie miało znaczenia zajęcie Sistowy lub Tirnowy. Przypadek zrządził, że dzięki dzielności Osmana, dzięki trzykrotnemu odparciu ataków rosyjskich, cały interes wojny zjednoczył się około posiadania tej mieściny. Wzięcie Plewny znaczyło dla obu stron ujęcie zwy-

cięstwa w swe ręce, to też Turcy poddawali się potem z iście wschodnim fatalizmem.

Czasami brak organizacyi wywołuje w pobitej armii panikę, której nic już przeciwdziałać nie może. Najczęściej występuje to w armiach złożonych z milicyi, jak w dawniejszych wojskach tureckich, naszem pospolitem ruszeniu, albo u Amerykanów pod Bull-Run; niekiedy nawet i w armiach pozornie zorganizowanych trwale, jak przedewszyskiem u Prusaków po bitwach pod Jena i Auerstädt. Wtedy żołnierz myśli tylko o uratowaniu życia, pękają wszystkie więzy dyscypliny, armia zmienia się w tłum oszalały. Nie idzie to bynajmniej w parze z rzeczywistymi rozmiarami klęski, poniesionej na placu boju; bardzo często, najczęściej nawet wywołuje panikę okoliczność drugorzędna, n. p. śmierć wodza, ukazanie się choćby małego oddziału na tyłach, fałszywe wieści, jak pod Piławcami i Cecorą i t. d. Wybitnym tego przykładem jest bitwa pod Auerstädt. Armia pruska dwa razy silniejsza od korpusu francuskiego, nie poniosła właściwie stanowczej klęski, gdyż odparto zaledwie jej ataki; straty francuskie były równe, a uwzględniając szczupłość, sił znacznie cięższe od pruskich, dla braku jazdy o pościgu nie mogło być mowy, a jednak cała część armii, która brała udział w tej bitwie, poszła w najzupełniejszą rozsypkę.

Wielka odległość od własnego kraju, słuszne czy niesłuszne przeświadczenie o niemożliwości odwrotu lub uzyskania posiłków niszczy również najlepsze wojska. Bitwa pod Połtawą zaważyła tak na losach Europy nie wskutek klęski Karola XII, lecz dzięki poddaniu się całej nienaruszonej części armii szwedzkiej pod dowództwem Löwenhaupta, który stracił nadzieję powrotu do ojczyzny. Jeden z najdzielniejszych jenerałów napoleońskich poddał się ruchawce hiszpańskiej pod Baylen, gdy otoczyła go ona w Sierra Morena, o setki kilometrów od granic Francyi; w wojnach kolonialnych zdarzało się bardzo często, że drobna utarczka pociągała kapitulacyę całej armii i oddanie nieprzyjacielowi całych prowincyi, bo kraj macierzysty był tak daleko, jakżeż więc liczyć na pomoc.

Takie są główne powody zupełnego złamania przeciwnika,

powody natury psychicznej, jeżeli nie zachodzą wyjątkowe warunki terenu. Tam, gdzie niema tych przyczyn, a strona zwycięska niema na ich powstanie żadnego wpływu, nie może być mowy o ostatecznej klęsce, którąby zmuszała bezwarunkowo do złożenia broni. Po Königgrätzu i po Solferino, po Sebastopolu i bitwie pod Friedland, nawet po wzięciu Paryża lub po bitwach pod Wagram czy Austerlitz pokonani mogli dalej prowadzić wojnę, armia została i była zdolną do boju — nie pozwalał na to jedynie interes polityczny, bo wojna zmieniłaby się w bezcelowe mordowanie się wzajemne, bez nadziei zwycięstwa. Były to z pewnością ogromne klęski, jakkolwiek zwyciężony nie był bynajmniej złamany. A obok tego takie bitwy, jak prawie wszystkie starcia wojny siedmioletniej, jak Lipsk czy Eckmühl, Marengo czy Kunnersdorf, Torgawa czy Kolin, Magenta czy Inkerman, Gettysburg czy Chancellorville, przecież to niewątpliwe zwycięstwa jednej, klęski drugiej strony, a nie doprowadziły nawet do zakończenia wojny, nie mówiąc już o zupełnem zniszczeniu wroga.

Nie można więc oceniać zręczności Kuropatkina, a błędów japońskich z tak ciasnego i mylnego punktu widzenia. Chcąc poczytać wodzowi armii mandżurskiej za tak wielką zasługę wycofanie armii z Liaojanu czy z pod Jantaj, należy przedewszystkiem zbadać, czy istniały warunki, moralne czy fizyczne, któreby narażały armię rosyjską na niebezpieczeństwo zupełnego rozbicia. Jeżeli tak było, wyprowadzenie swych wojsk z tak trudnego położenia bez znaczniejszych strat, wskazywałoby istotnie na wyjątkowe zdolności; jeżeli ich nie znajdziemy, zarządzenie i przeprowadzenie odwrotu wchodzi w ramy zwykłej, choć skomplikowanej techniki wojskowej, nic więcej.

Otóż przedewszystkiem zapomina się o tem, że Rosyanie walczyli pod Liaojanem w pozycyach od dawna przygotowanych. Kuropatkin głosił od miesięcy, że prawdziwe starcie z nieprzyjacielem nastąpi dopiero w tem miejscu, a cofając się stale, mógł narzucić Japończykom swój wybór, zastanawiając w danej chwili dalszy odwrót. Cóżby więc wypadało powiedzieć o wodzu, który w takich stosunkach kazałby walczyć swym wojskom na terenie, grożącym w razie klęski odcięciem, i który bez najmniejszego przy-

musu skoncentrowałby swą armię do bitwy pod nowym Sedanem. To też hymny pochwalne po Liaojanie mieszczą w sobie zarazem najwyraźniejsze potępienie całej poprzedzającej akcyi. Po prostu czyta się w nich między wierszami, że na podstawie kilkumiesięcznej kampanii, nie spodziewano się po Kuropatkinie już niczego, gdy więc bitwa pod Liaojanem nie zakończyła się utratą całej armii, zdumienie ogarnęło wszystkich i mimowolnie pomyślano, przecież wart on więcej, niż przypuszczano. Na tym dopiero gruncie zbudowano wszystkie zachwyty, czy jednak są one istotnie pochlebne dla rosyjskiego wodza, to rzecz inna.

Więcej już pozorów słuszności przemawia za tymi, którzy nie dopuszczając myśli odcięcia czy kapitulacyi, uważają odwrót uskuteczniony w porządku, za dowód nadzwyczajnego uzdolnienia. Wobec tego nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że przedewszystkiem nia znamy dokładnie stanu, w jakim znalazła się armia rosyjska po bitwie. Japońskiego pościgu nie było, wszystkie więc wiadomości pochodzą z głównej kwatery rosyjskiej, a chyba jasną jest rzeczą, że nie wypuszczonoby stamtąd opisów zbyt drastycznych. Lecz, gdyby nawet cofnięto się rzeczywiście w zupełnym porządku, nie dowodziłoby to jeszcze niczego. Od czasów napoleońskich nie było wielkiej walki, po której armia poszłaby w rozsypkę. Jeśli jakiś oddział walcząc długo przeciw siłom kilkakrotnie większym, musiał się cofać, odwrót zmieniał nieraz się w ucieczkę, bo sama uporność boju wyczerpała żołnierzy. Tam jednak, gdzie nie było takiej różnicy, armia cofała się zawsze w porządku przynajmniej o tyle, że nieprzyjaciel nie widział rozsypki. Nikomu nie przyjdzie na myśl podziwiać Benedeka za Königgrätz, Hessa za Solferino, Wiktora Emanuela za Custozzę, Menżykowa za Almę lub Inkerman. A przecież we wszystkich tych bitwach cofnięto się w porządku, bez strat w czasie odwrotu; w żadnej zwycięzca nie był tak pewnym siebie, ażeby rozpocząć pościg, któryby dokończył rozbicia. Nie można więc przykładać innej miary do Kuropatkina dlatego tylko, że koniecznie chce się w nim znaleźć coś bardzo wybitnego. Tem bardziej, że miał on przeciw sobie armię, prawie zupełnie pozbawioną kawaleryi, która brała szereg oszańcowanych pozycyi. Rosyanie cofali się codziennie

z jednej pozycyi w drugą, podobnie jak Francuzi nad Loirą w początkach grudnia. A znaną przecież jest rzeczą, że jakkolwiek generał Chanzy dowodził raczej zbieraniną wobec weteranów niemieckich, to jednak zdołał wyprowadzić swe wojska z bardzo trudnego położenia, bez poniesienia strat znaczniejszych, nie mówiąc już o rozsypce.

Ponieważ nie było żadnych innych czynników, któreby mogły złamać odporność armii rosyjskiej, a niepodobna przypuszczać, że regularny żołnierz straci zwykłą swą wytrwałość i dzielność wskutek jednej bitwy, przeto odwrót z pod Liaojanu nie uderza niczem. Natomiast kilka innych objawów nasuwa, właśnie ze stanowiska taktyki, poważne wątpliwości.

Zawsze mówiono, że Rosya zaleje kraj nieprzyjacielski swą niezrównaną a niezliczoną kawaleryą. Rzeczywiście jest jej w Mandżuryi bardzo dużo, cztery lub pięć razy więcej niż w armii japońskiej. Mimo to jednak cała ta jazda należy raczej do wojsk konsumujących, aniżeli czynnych. Pomijając nieznaczne zapędy partyzantki na Korei w początkach wojny i nieszczęśliwą wyprawę Miszczenki na Niuczwang, przedsięwziętą zdaje się na własną rękę, nic nie słychać o owych groźnych kozakach. Ani w bitwach, ani w samoistnych przedsięwzięciach na tyłach i po bokach nieprzyjaciela, ani nawet w służbie wywiadowczej nie oddali oni ważniejszych usług. Przyjmując nawet, że pułki wysłane na Wschód nie należą do najlepszych, nie podobna przypuścić, aby tych trzysta sotni i szwadronów na nic nie mogło się przydać. W każdej bitwie przejawia się po stronie rosyjskiej zupełna nieznajomość rozłożenia sił nieprzyjacielskich, wszystkie marsze Japończyków odbywają się w największej tajemnicy i spokoju, nigdzie nie dał im się odczuć własny brak kawaleryi. Mimowolnie więc nasuwa się przypuszczenie, że sztab rosyjski nie umie wyzyskać sił konnych, które ma pod ręką.

W znanem swem dziele o walkach pod Plewną, krytykuje Kuropatkin ostro od dawna zakorzeniony w Rosyi zwyczaj rozrywania taktycznych związków, dla tworzenia chwilowych oddziałów. Z całą słusznością zwraca on uwagę na trudności i szkody, stąd płynące, gdy ani żołnierz nie zna swych dowódców, ani

komendant sił, któremi ma kierować. Takie rozdzielanie brygad, dywizyi i korpusów, a nawet i pułków, polega tylko — jak mówi autor — na nieumiejętności odpowiedniego rozłożenia wojsk w czasie pochodu lub na polu bitwy. Teoretyk widział dobrze te błędy, gdy przyszło jednak do praktyki, sam w nie wpada. We wszystkich bitwach większych i mniejszych wojska rosyjskie nie walczą w grupach, odpowiadających organizacyi, lecz oddziałami przypadkowymi czy chwilowymi, przy których nie liczy się zupełnie z podziałem na wyższe jednostki taktyczne. Tak n. p. pod Kangualinem i w przesmyku Dalińskim walczyło pięć pułków, należących do dwóch korpusów, pod Wafanku 11 z trzech różnych korpusów, pod Janzelinem 17, wchodzących w skład siedmiu dywizyi z czterech rozmaitych korpusów. Ponieważ jedna dywizya liczy cztery, jeden korpus osiem pułków piechoty, przeto wszędzie widać oddziały, złożone dowolnie.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga, którą nasuwa bitwa pod Hakontajem. Stać nieruchomo przez trzy miesiące, patrzeć bezczynnie na szturmy Japończyków na Port Arthura, a ruszyć się w chwili, gdy upłynęło trzy tygodnie od kapitulacyi, jest co najmniej dziwne. Prawda, że armia wzmocniła się posiłkami z Europy, lecz w żadnym razie nie mogło ich przybyć w pierwszych trzech tygodniach stycznia tyle, ile ich mógł przyprowadzić Nogi z południa. Jeżeli w głównej kwaterze rosyjskiej uważano za korzystny stosunek sił z końcem stycznia, to musiał on być jeszcze lepszy w początkach roku, przed skoncentrowaniem wszystkich armii japońskich. Temperatura również nie może wyjaśnić tego nagłego postanowienia. Na stałą odwilż w tym czasie trudno było liczyć i istotnie podczas odwrotu rosyjskiego wzięły silne mrozy, chwilowe zaś ocieplenie jedno, a nawet parodniowe zdarzało się i poprzednio. W samem przeto ocenieniu warunków popełniono błąd wielki, nic przeto dziwnego, że generałowie obwiniają się nawzajem, że zdaniem Grippenberga wina klęski spada na Kaulbarsa i Kuropatkina, według tamtych znowu na Grippenberga. Wszystko razem wzięte rzuca bardzo ciekawe światło na stosunki, panujące w naczelnych sztabach.

III [1].

Bankructwo przeto było powszechne — systemu i ludzi stojących u steru. Nieliczne tylko jednostki przewidywały podobne rezultaty, ogromną większość zaskoczyły wypadki najzupełniej. To też wrażenie musiało być tem większe, im mniej się ich spodziewano. Nic więc dziwnego, że wszędzie, wewnątrz państwa i zagranicą, w ludności rdzennie rosyjskiej i u narodów podbitych, wpływ wojny japońskiej był bardzo potężny. Aby go należycie ująć i ocenić, należy oddzielić skutki, które wywołała czy wywoła wojna sama przez się od tych, które będą wynikiem dwóch sił obecnie w Rosyi współdziałających, t. zn. klęsk wojskowych i rozruchów wewnętrznych. Na razie zatrzymajmy się przy pierwszych tylko, rozpoczynając od spraw własnych, od bezpośredniego wpływu wojny na stosunki polskie.

Po klęskach styczniowego powstania następuje czterdziestoletni okres bardzo smutny. Rosya prowadzi z całą zaciętością politykę rusyfikacyjną, społeczeństwo polskie pod jej zaborem, traci jeden po drugim z czynników swej siły. Najpierw występuje naturalne zupełnie uczucie niemocy i beznadziejności. Każdy poryw kończy się coraz większą klęską, powszechniejszą żałobą, coraz cięższą niewolą; po każdym my stajemy się słabsi, wróg potężniejszy. Więc powoli, gdy otrząśnięte z romantyzmu społeczeństwo dostrzegło, że dotychczasowa droga była źle obrana, zaczęto szukać innych, odpowiedniejszych. Nastąpiło to w czasach najgorszego, bo codziennego ucisku. Łatwiej było przetrwać okres walk i masowych egzekucyi, aniżeli lata pokoju, w których jednak nikt nie był pewnym o jutro, a losy kraju i jednostek zależały od samowoli i kaprysu większych i mniejszych satrapów. W tej codziennej niepewności i ubijatyce z losem ścierały się najlepsze nawet siły i prędzej czy później dochodziło się do kresu, w którym nie pragnęło się już niczego, prócz chwili spokoju.

Jeżeli cały system biurokratyczno-rządowy popychał z że-

[1] O ile autor w niniejszej pracy ocenia pewne szczegóły ze stanowiska czysto politycznego, czyni to we własnem imieniu, a nie w imieniu redakcyi, która wogóle politykę wyłącza poza swój zakres. *Redakcya.*

lazną konsekwencyą w tym kierunku, to nie zapominano także o środkach pośrednich, popierających w łonie samego społeczeństwa prądy i objawy, przyspieszające ten rozwój. Ludność odsunięta od życia politycznego, musiała w ciągu kilkudziesięcioletniego okresu utracić właściwy sąd na sprawy publiczne; niesłychane utrudnienia, stawiane szerzeniu oświaty, nie dopuściły do zastąpienia generacyi poprzedniej, równie wykształconą nową. Z konieczności wytworzył się autodydaktyzm i dyletantyzm, przeważnie doktrynerski, bo zamknięto wszystkim doświadczenie praktyczne. A prasa, przez którą przemawiała tylko cenzura, nie była w stanie spełnić swej cywilizacyjnej misyi. Pozostawiono jej wolność jedynie w dziedzinach obojętnych, lub takich, w których wyzyskanie tej swobody przynosiło społeczeństwu nieobliczalne szkody, popierając mimowolnie zamiary nieprzyjaciela. Do rzędu tych z wielką perfidyą pozostawionych wolności, należy przedewszystkiem uboczne popieranie pozytywistycznych idei. Nie z punktu widzenia religijnego, filozoficznego czy etycznego, lecz ze względu na dobrze pojęty interes narodowy należy stwierdzić, że wszelkie sprowadzenie ogółu aspiracyi indywidualnych do materyalnych wyłącznie celów, wydaje w rezultacie bardzo szkodliwe owoce, szczególniej u narodów uciskanych, w których patryotyzm i miłość ojczyzny muszą się opierać na idealnych czynnikach, bo najczęściej są sprzeczne z interesem egoistycznym.

Dobrobyt jest niewątpliwie niezbędnym dla jednostek i dla całego narodu, o ile stanowi środek do osiągnięcia ogólniejszych, wyższych celów. Stając się celem dla siebie, oderwany od tego ideału, któremu miał służyć, zmienia się zbyt często w zasadę, że gdzie jest dobrze, tam znachodzi się ojczyznę. A pozytywizm i materyalizm prowadzi właśnie do zerwania tej nici między gospodarczym środkiem i narodowym celem i dlategoto w tej dziedzinie Rosya jest tak liberalną, niedopuszczając nigdzie zresztą wolności słowa.

Wszystkie te czynniki przygotowały społeczeństwo do przejścia w nową fazą. Mierząc siły wroga własną niemocą i intenzywnością ucisku, uważano go za wszechpotężnego; straciwszy możność kształcenia się w życiu publicznem, nie umiano dość kry-

tycznie patrzeć na ludzi i wypadki: nie mogąc na żadnem polu rozwinąć szerszej działalności, zwrócono wszystkie siły ku materyalnej pracy. Warunki jej i potrzeby nabrały decydującego znaczenia, rezultaty jej stały się narodową dumą, wypełniano nią całą treść życia.

Naturalnie nie wszyscy poszli w tym kierunku, lecz dosyć było takich w narodzie. Obok nich zjawiły się inne czynniki, na których koła obce silne wycisnęły piętno. Niektóre jednostki, dzięki osobistym swym stosunkom, zżyły się ze społeczeństwem rosyjskiem. Jak to zwykle bywa, rozpoczęło się najpierw od odróżniania wrogiego rządu od niewinnego lub obojętnego narodu. W ślad za tem poszło rozpatrywanie wzajemnych krzywd i zarzutów, szkód, wywołanych walką, korzyści, które zapewniłaby zgoda. Mimowolnie może pod naciskiem otoczenia zaczęło się coraz »bezstronniej« oceniać dawniejsze wypadki, a objektywizm ten doprowadzał zawsze do coraz ostrzejszej krytyki własnych błędów, coraz wyrozumialszego spoglądania na czyny przeciwnika. Zmniejszał się z dniem każdym przedmiot sporu, coraz bliżej było się zgody, bo coraz więcej przejmowało się rozumowaniem strony drugiej. A gdy wreszcie popatrzyli ci politycy na słabość własnego narodu, na olbrzymie materyalne korzyści, płynące z połączenia z wielkiem mocarstwem, na błędy, popełnione przez Polaków, na niewielkie zmiany, któreby, ich zdaniem, powinny zupełnie nas zadowolić, wtedy orzekli: Zbłądziliśmy i cierpimy, naszą więc jest rzeczą uczynić krok pierwszy. Zróbmy co do nas należy, oddajmy co mamy, a zostaną z pewnością uwzględnione nasze sprawiedliwe żądania.

W ten sposób powstała myśl t. zw. ugody, a raczej dobrowolnej zgody na system państwowy rosyjski i los, który on nam zechce zgotować. Doktryna ta, znalazła w kraju u wielu grunt podatny, a wprowadzona w czyn w chwili wstąpienia na tron Mikołaja II, pociągnęła i takich, którzy nie wyleczeni z romantyzmu sądzili, że w polityce można liczyć na sprawiedliwość czy nagrodę, a w państwie absolutnem rządzi na prawdę cesarz nie system.

Nie tu jest miejsce dla merytorycznej oceny tego programu,

Obowiązkiem przewodnika było tylko wyłożyć w duchu Kościoła zasadę, a potem zostawić wszystko temu prądowi, którym porwana kobieta umie sprawę ułożyć świetnie na dowód, że dzielnych niewiast i mądrych panien nie brak w Kościele. Nie trzeba kobiety od Kościoła odrywać, aby ją mieć wyzwoloną z przesądów.

Ks. K. Ozaykowski.

Druk ukończono 31 stycznia 1905 r.

tycznie patrzeć na ludzi i wypadki: nie mogąc na żadnem polu rozwinąć szerszej działalności, zwrócono wszystkie siły ku materyalnej pracy. Warunki jej i potrzeby nabrały decydującego znaczenia, rezultaty jej stały się narodową dumą, wypełniano nią całą treść życia.

Naturalnie nie wszyscy poszli w tym kierunku, lecz dosyć było takich w narodzie. Obok nich zjawiły się inne czynniki, na których koła obce silne wycisnęły piętno. Niektóre jednostki, dzięki osobistym swym stosunkom, zżyły się ze społeczeństwem rosyjskiem. Jak to zwykle bywa, rozpoczęło się najpierw od odróżniania wrogiego rządu od niewinnego lub obojętnego narodu. W ślad za tem poszło rozpatrywanie wzajemnych krzywd i zarzutów, szkód, wywołanych walką, korzyści, które zapewniłaby zgoda. Mimowolnie może pod naciskiem otoczenia zaczęło się coraz »bezstronniej« oceniać dawniejsze wypadki, a objektywizm ten doprowadzał zawsze do coraz ostrzejszej krytyki własnych błędów, coraz wyrozumialszego spoglądania na czyny przeciwnika. Zmniejszał się z dniem każdym przedmiot sporu, coraz bliżej było się zgody, bo coraz więcej przejmowało się rozumowaniem strony drugiej. A gdy wreszcie popatrzyli ci politycy na słabość własnego narodu, na olbrzymie materyalne korzyści, płynące z połączenia z wielkiem mocarstwem, na błędy, popełnione przez Polaków, na niewielkie zmiany, któreby, ich zdaniem, powinny zupełnie nas zadowolić, wtedy orzekli: Zbłądziliśmy i cierpimy, naszą więc jest rzeczą uczynić krok pierwszy. Zróbmy co do nas należy, oddajmy co mamy, a zostaną z pewnością uwzględnione nasze sprawiedliwe żądania.

W ten sposób powstała myśl t. zw. ugody, a raczej dobrowolnej zgody na system państwowy rosyjski i los, który on nam zechce zgotować. Doktryna ta, znalazła w kraju u wielu grunt podatny, a wprowadzona w czyn w chwili wstąpienia na tron Mikołaja II, pociągnęła i takich, którzy nie wyleczeni z romantyzmu sądzili, że w polityce można liczyć na sprawiedliwość czy nagrodę, a w państwie absolutnem rządzi na prawdę cesarz nie system.

Nie tu jest miejsce dla merytorycznej oceny tego programu,

przyrodzonego porządku. Zagadki bytu tłumaczy jedno wielkie słowo: ewolucya, — pozytywizm w samą porę zabronił pytać o jej kres i początek. Stąd dwa obozy stojące jakby na innych półkulach świata myśli, stąd walka. Wypowiadał ją z jednej strony cały szereg allokucyi i listów Piusa IX, syllabus, sobór Watykański, spokojniej ale stanowczo Leon XIII we wszystkich prawie encyklikach, z drugiej strony brzmiały i brzmią do tej chwili książki, czasopisma, gazety, kongresy »wolnomyślnych« nawoływaniem do duchowego »kulturkampfu«. Kto pilnie śledzi przebieg tej walki umysłowej, niewątpliwie dojdzie do przekonania, że spory w kwestyach, temu lat 20 głównie przyrodniczych, dziś głównie historycznych, są tylko zewnętrznym, powierzchownym głębokich przeciwieństw wyrazem. Jakiekolwiek trochę głębsze zagadnienie dzieli uczonych obu obozów bezpośrednio i niejako na powierzchni, zawsze ścierają się w głębi, zawsze przeświecają przez obustronne zdania te zasadnicze różnice, które naszkicowaliśmy wyżej, tkwiące w samych podstawach odrębnych światowych poglądów. Że po obu stronach są różne mniej i więcej krańcowe stanowiska, rzecz zupełnie prosta; że w obozie nauki współczesnej brak pozytywnej jednolitości filozoficznych podstaw różne wywołał kierunki, którym tylko negacya jest wspólną, rzecz wiadoma. Lecz oba te czynniki nadają walce z katolicyzmem tylko szersze rozmiary.

Tak się przedstawiał stan rzeczy w świecie myśli, gdy, zwłaszcza pod koniec ubiegłego wieku, w samem łonie katolickiego obozu, coraz częściej podnosić zaczęto pytanie: czy może i powinien trwać nadal ten naprężony stan wojny z »myślą współczesną«. Czyż celem Kościoła jest walka tylko? Czy Kościół odpowie swemu zadaniu, jeśli, jak dotąd, zamknie się i zasklepi w ciasnym horyzoncie swej własnej nauki, strzegąc się jak ognia kontaktu z »duchem wieku«? Czy nie trzeba koniecznie w jakikolwiek sposób zarównać przepaści dzielącej myśl katolicką od myśli współczesnej? Do tych głosów wznoszących się w samym katolickim obozie, przyłączył się niebawem cały chór głosów innych, liczny i coraz liczniejszy obóz, między dwoma skrajnymi, wyżej przedstawionymi, pośredni, obóz ludzi sercem Kościołowi

przychylnych, umysłowo stojących pod wpływem atmosfery wieku. Gruntownych zasad filozofii chrześcijańskiej nie daje ani uniwersytet ani szkoła średnia, dzieła chrześcijańskie rozchodzą się mało, *catholica sunt — non leguntur*, natomiast przelewa się w umysły strumieniami książek, czasopism, gazet, katedr uniwersyteckich, chaotyczne zlewisko niechrześcijańskiej współczesnej myśli filozoficznej, przesyca umysłową atmosferę świata jakby ciężkim oparem i miazmatami, jeśli nie skrajnego błędu, to mętnych, niejasnych pojęć, okruchami najrozmaitszych błędnych systemów. Pod wpływem tej atmosfery zaciera się w wielu głowach granica między filozofią a historyą filozofii, przychodzi jakiś nie całkiem świadomy sceptycyzm, rezygnujący z własnej, jednolitej budowy intelektualnej, opartej na pewnych rozumowych podstawach, owszem brak zrozumienia i uprzedzenie względem jednolitych filozoficznych gmachów. Że zaś wielu z tych ludzi serce ciągnie ku etyce i ideałom katolickim, z ich obozu znów wznoszą się głosy, barwą tylko różne od poprzednich: Złóżcie już raz wreszcie ekskluzywizm naukowy i nieprzyjaźń do ducha wieku! Poza nauką kościelną jest też niemało prawdy i dobrej woli! Waszym aparatem rozumowym odstraszacie tylko od Kościoła myśl współczesną. Przemówcie do świata jego językiem, do serca mu przemówcie nie do rozumu, moralną stronę nauki katolickiej wysuńcie naprzód, a wnet zarówna się przepaść rozrywająca świat myśli i sam Kościół otrząśnie się z zimna intelektualnego tylko chrześcijaństwa!

Wszczął się silny ruch umysłowy tak w ściśle wziętym katolickim obozie, jak i w niejasnej sferze otaczającej jego jądro, »katolizującej«, jeśli wolno tak się wyrazić. Posypały się książki, pisma, broszury, tu i ówdzie ognistą polemiką tchnące; jedna za drugiemi pojawiały się myśli, postulaty, plany reformy dzisiejszego stanu rzeczy, a zawsze na tle wielkiego zagadnienia: jak pojednać Kościół z myślą współczesną.

»Powiew z dziedziny tych kierunków myśli katolickiej wpuszcza do życia naszego i literatury« Prof. Zdziechowski.

„*Pestis perniciosissima*“ przeprowadza myśl następującą:

»Właściwą i jedynie skuteczną apologią Kościoła powinna być świętość jego sług, kapłanów, któraby urzeczywistniała w ży-

ciu. głoszone w teoryi ideały. Dziś świeci ta świętość blaskiem zbyt słabym, owszem wielu ludzi o idealistycznym, potrochu husyckim nastroju, odciąga od wiary straszny fakt przeciwieństwa między ideałem społeczności kościelnej, a rzeczywistością. Złemu zaradzićby mogła i choć w pewnej mierze świętość zastąpić jedynie miłość w traktowaniu przeciwników i ich myśli, miłość, którąby się starała łagodzić przeciwieństwa, szukać w duszy przeciwnika lepszych pierwiastków, dostosowywać się do jego pojęć, liczyć się z różnorodnością nastrojów i sumień, aby w ten sposób pozyskać zbłąkanych i doprowadzić do zupełnej prawdy. Tymczasem apologetyka katolicka obrała w znacznej większości drogę przeciwną. Olśniła apologetów ta perspektywa, by żar miłości i świętości porywający serca zastąpić surową prawdą podbijającą rozumy. Apologetyka przybrała formę jakiejś zimnej, matematycznej demonstracyi. Ku temu skierowano wszystkie wysiłki, aby tak jasno i niezbicie prawdę katolicką udowodnić, żeby siłą dowodów nad umysłami zapanować i przygnieść opornych zarzutem albo złej woli albo upośledzenia. Ta przewaga intelektualnego pierwiastka wyrobiła nieubłagany a jednostronny absolutyzm w sądach, zimny ekskluzywizm, ścigający błąd każdy, bez względu na dobrą wiarę autora, na ziarna prawdy nieraz i w błędzie zawarte, wysuszyła serce, pozbawiła zdolności oryentowania się w dziedzinie moralnej. Stąd, gdy przeciw temu kierunkowi, który wcielił się i szerzy w odrodzonym scholastycyzmie, powstał od pierwszej połowy zeszłego wieku szereg ludzi wybitnych, którzy, bez ujmy dla zasad katolickich, poczęli szukać zbliżenia do ducha wieku, zaczęto ich ścigać nienawiścią. Nadano im miano liberalnych katolików, nazwano ich tendencye zgubną zarazą, *pestis perniciosissima,* zaczęto ich zwalczać namiętnie i głośno, jako zwolenników buntu przeciw Kościołowi i przymierza z fałszem. Tymczasem rzecz ma się wprost przeciwnie. Mniemany liberalny katolicyzm to prąd miłości i zgody, *pestis perniciosissima* to raczej ów zimny i dumny ekskluzywizm scholastyczny wielu apologetów, który chce za prawowierny katolicyzm uchodzić, który pogrąża w nienawistnej podejrzliwości względem reszty świata, a tem samem świat od Kościoła odpycha. Trzeba więc złożyć pyszny racyonalizm, a przyo-

blec się w miłość. Zimna apologetyka rozumowa nigdy nie osiągnie swego celu, owszem same pojęcia o Bogu i Kościele wypacza. Teologia to nie matematyka i nie da się doprowadzić do oczywistości matematycznej. Teologia niema do czynienia z abstrakcyami, jakiemi są liczby, ale w sferze jakości się obraca, gdzie są możliwe różne kierunki, odpowiadające różnym nastrojom umysłów, gdzie więc ścisłe stosowanie praw logiki nie jest możebnem, gdzie się ma do czynienia z sumieniem ludzkiem, które najróżniejszych odcieni jest zdolne. A więc obok starania o świętość, do której bez tego Kościół nawoływa, przedewszystkiem miłość. Porzucić pyszny ekskluzywizm, na drugi plan cofnąć racyonalistyczne spekulacye, wyzyskać ku potwierdzeniu wiary moralne czynniki, moralne aspiracye duszy, i liczne te zdrowe i silne pierwiastki tkwiące w filozoficznej myśli współczesnej, które zimna scholastyka w czambuł potępia. Tą drogą dojść można nie tylko do pojednania Kościoła z duchem wieku, ale nawet obudzić żywszy ruch w Kościele, osiągnąć uwewnętrznienie jego kultu i pełniejsze oświetlenie prawd wiary, prowadzące do zwycięstwa ducha nad literą i uwielbienia Boga w duchu i prawdzie«.

Tak się przedstawia myśl prof. Zdziechowskiego w ogólnych zarysach [1]. Szlachetny zamiar, w szlachetnej duszy zrodzony, wypowiedział się w tej formie.

Samo to suche streszczenie dostatecznie pokazuje, że autor prowadzi nas w sferę zagadnień bardzo doniosłych a nader skomplikowanych. Myśli te zagranicą, w Ameryce, Francyi, Niemczech, nawet Austryi bynajmniej nie nowe, doczekały się już licznych i wyczerpujących omówień. Że jednak w naszem społeczeństwie,

[1] W tem przedstawieniu pominęliśmy z umysłu nazwiska, około których myśl ta jest osnuta, bo ani ks. biskup Bonomelli, ani ks. Weiss, ani zwłaszcza ks. Hormann (choć ten ostatni ma przemawiać w imieniu jakichś »bardzo licznych«) nie mają tyle znaczenia, aby z ich nazwiskami wiązać kwestye tak daleko idące i poruszające tak szerokie koła. Ażeby więc od razu skończyć z osobami, które w *Pestis perniciosissima* grają rolę, do których nie powrócimy już niżej, jedna jeszcze uwaga. Czy godziło się przedstawiwszy ks. Bonomellego tak, jak go autor przedstawia, częścią insynuować, częścią wyraźnie mówić, że go nienawidzi, że go zwalcza przeważna część uczonych katolickich za to, że ma miłość dla błądzących? Czy autor

przynajmniej w jednolitem przeprowadzeniu, pojawiają się po raz pierwszy, warto przypatrzeć im się nieco dokładniej.

Już wyżej zwróciliśmy uwagę, że cały ruch umysłowy, którego te i podobne myśli są owocem, obraca się koło jednego rozległej natury pytania: jak pojednać Kościół z duchem współczesnej wiedzy. Już dlatego samego, że to pytanie istotnie jest palące, że do żywego obchodzić musi duszę każdego myślącego człowieka, zwłaszcza katolika, wszystkie wysiłki ku jego rozwiązaniu skierowane powitać trzeba z uznaniem i radością. Są one jednym z wielu objawów tej prawdy, że wbrew przepowiedniom grubego materyalizmu z przed lat jeszcze 40, potrzeba religii i to wprost religii katolickiej coraz silniej budzi się w sercu świata, przynajmniej w sercu głębiej patrzących jednostek. Dziś jest Kościół duszy świata daleko mniej obojętnym, niż był temu lat kilkadziesiąt. Coraz gwałtowniej daje się uczuć potrzeba Kościoła tak w życiu jednostek jak społeczeństwa całego, stąd rodzi się pytanie, jak Kościół wprowadzić w świat myśli współczesnej, stąd plany i postulaty jakiejś zmiany, jakiejś reformy dzisiejszego stanu rzeczy. A wszystkie te dążenia, same przez się już piękne i niezawodnie płodne w zbawienne owoce, mają nadto jednę jeszcze wspólną cechę charakterystyczną a pocieszającą. Wszystkim bez wyjątku przedstawicielom nowych kierunków myśli katolickiej chodzi o jakieś ożywienie, używotnienie, uwewnętrznienie religii, o przepojenie duchem i uczuciem tak teoretycznej nauki Kościoła, jak kultu, jak całej praktycznej strony chrześcijańskiego życia. Stąd nacisk na moralne pierwiastki wiary, stąd głębsze wniknięcie w moralne aspiracye duszy, stąd to ogólne dążenie, nie całkiem jasne, nie całkiem świadome dróg i celu: wyjść z zimnych formuł, z rutyny martwych obrzędów, ze skostniałej litery,

nie byłby w kłopocie gdybym poprosił nie więcej jak o 10 dowodów tej nienawiści, pochodzących od teologów prawdziwie znaczących i wpływowych? Czy tu nie nasuwa się samo pytanie, które autor formułuje na str. 56? O ks. Bonomellim przedewszystkiem mało kto wie na świecie, a jeśli kto wie i uważa go za liberalnego katolika, nie mając do tego innych danych niż te, które autor przytoczył, to błądzi. Czyż zaś można błąd jednego, choćby »kapłana zajmującego wysokie stanowisko w hierarchii« w tej formie zarzucać całej prawie nauce katolickiej?

ze skamieniałych form dawnej nauki, z połowicznego katolicyzmu tkwiącego w umyśle i na powierzchni serca, a iść w sferę ducha, życia, porywów, zapału, miłości. Oto drugi symptom niezawodnie piękny, bo religia subjektywnie uważana jest i musi być życiem, nie martwym kapitałem prawd i zwyczajów.

Lecz nie zapoznając bynajmniej tego, co w nowych prądach jest piękne i wielkie, nie można się obronić jednemu pytaniu. Jeśli chodzi o ożywienie, uwewnętrznienie religii, czemu przypuszczać, że czynników po temu niema w łonie Kościoła i jego nauki, tak jak one są dzisiaj, bez żadnej reformy? Może tkwi w Kościele wszystko, co do intenzywnego życia religijnego jest potrzebne, może tylko potrzeba lepiej, głębiej w to wniknąć. Jeśli przedstawicielami nowych prądów rządzi piękna myśl pojednania Kościoła z myślą współczesną, dlaczego w tym celu, prawie bez wyjątku chcą Kościół lub jego naukę nie myśl współczesną, naginać, modyfikować, przykrawać, przemieniać? Czyż bowiem kto zwraca się ku stronie przeciwnej, czy dyktuje warunki pokoju myśli współczesnej, żądając kapitulacyi w tem a tem filozoficznem przekonaniu, w tej a tej rzekomej zdobyczy krytyki historycznej czy nauk przyrodniczych, w tej a tej uzurpacyi praw rozumu i woli? Nie! Wszyscy prawie kapitulacyi żądają od Kościoła. Jedni selekcyonują istotne i przypadłościowe jego składniki, aby te ostatnie poświęcić; drudzy chcą zmiany w kulcie, instytucyach, zwyczajach; inni znowu wołają by rzucić na ofiarę duchowi wieku scholastykę, na której Kościół myśl swoją wykształcił, którą się zawsze posługiwał w walce z błędem; inni chcą zerwać z podstawami apologetyki tradycyjnej; inni rozumową stronę nauki kościelnej w cieniu zostawić pragną, by stronę moralną naprzód wysunąć i t. d. i t. d.

Niejednemu już dawał do myślenia ten charakter nowych kierunków. Wielu krytyków pytało o prawo do tych zmian czy reform. Zwracano uwagę, że gospodarować po domu, burzyć, przebudowywać, przemieniać, nie tylko nie należy do obcych, ale nawet nie do dzieci domu, że to jest prawem tylko głowy. Na odpowiedź, że tu idzie o plany i propozycye tylko, przypominali inni, że nawet myśli o reformach w kościele, choć w zasadzie

każdemu dozwolone, wymagają od swych autorów bardzo jasnych pojęć i wprost fachowego wykształcenia w tej wiedzy, która o naturze i nauce Kościoła traktuje, zwłaszcza, gdy te myśli mają być puszczane w tłum.

My jednak te wszystkie uwagi pomińmy. Zapytajmy po prostu d l a c z e g o? Dlaczego coś zmieniać, czy w Kościele samym, czy choćby w filozoficznych podstawach apologetyki kościelnej? Że tu nie wystarcza odpowiedź: aby Kościół pojednać z duchem wieku — rzecz najoczywistsza. W kwestyi bowiem tak doniosłej, nie mogą rozstrzygać żadne opportunistyczne względy, tylko i jedynie p r a w d a i d o b r o. P r a w d a i d o b r o, bo jak »w pojęciu Boga«, tak nigdy i nigdzie »tych dwóch pojęć odłączyć nie można«. Pokazać trzeba jasno i dobitnie w czem się rozmija z prawdą i dobrem Kościół dzisiejszy, jego nauka, jego apologetyka, jego stanowisko całe, a potem dopiero podnieść sztandar reformy na jakiemkolwiek polu.

Otóż *Pestis perniciosissima* kilka przynosi odpowiedzi na pytanie, w czem prawda i dobro wymagają zmiany po stronie Kościoła.

Przedewszystkiem »nie jest dość święty Kościół dzisiejszy w osobie sług swoich i tem zraża do siebie wiele ludzi o idealistycznym, potrochu husyckim nastroju. Niech rzeczywistość odpowie ideałom, a nie będzie potrzeba innej apologii«.

Nie wchodząc w to, czy dzisiaj istotnie tak »strasznie« razi dysproporcya Boskich i ludzkich pierwiastków w Kościele, niewątpliwie przyznać należy, że gorliwszego starania o świętość każdemu żądać wolno od sług Kościoła. Reforma, która ma za cel uświęcenie, zawsze jest możebną i zawsze konieczną, zawsze, choć może z różnym skutkiem głoszoną była przez władzę kościelną, jak to sam autor kilkakrotnie przyznaje. Ale czy jest równie uzasadnionem związanie świętości Kościoła z jego apologetyką? Czy jest całkiem prawdziwe zdanie, że właściwą, że najsilniejszą bronią apologetyki, dowodem, wobec którego bledną wszystkie inne, jest świętość?

Zaczynamy wchodzić na wązki, nieraz bardzo subtelny pa-

sek graniczny, który moralne i rozumowe pierwiastki tak w religii samej, jak w duszy religijnej oddziela.

Co to jest apologetyka? Aby nie wyprzedzać rozumowania, i nie nazwać jej nauką w sensie ścisłym, coby ją całkiem przerzuciło w sferę rozumu, powiedzieć trzeba, że apologetyka jest sumą wszystkich czynników, które mogą wpłynąć na przyprowadzenie człowieka do wiary prawdziwej na łonie katolickiego Kościoła. Czy wśród tych czynników może świętość Kościoła grać główną rolę? Przypuśćmy na chwilę, że Chrystus tak ustanowił Kościół, żeby, mógł bez ujmy dóbr i sił nadprzyrodzonych, złożonych w sobie, ulec na czas jakiś skażeniu, aby mogło w Kościele zdarzyć się rzeczywiste i bardzo straszne przeciwieństwo rzeczywistości i ideału. Przypuśćmy, że Chrystus władzę, nieomylność, moc sakramentalną i wszystkie dary nadprzyrodzone złożył w Kościele niezależnie od świętości hierarchii, tak, aby one i wtedy nawet skuteczne były ku zbawieniu świata, gdy »Kościół w osobie swych kierowników stanie się *scandalum mundi*«, nie światłem. Cóż wtedy? Rzecz oczywista, że »husycki nastrój umysłu«, któryby głównie na świętości opierał przynależność do Kościoła, musiałby z braku świętości wyciągnąć husyckie konsekwencye, a jednak Chrystus nie do żydów tylko mówił: »Na stolicy Mojżeszowej usiedli doktorowie i faryzeusze; wszystko tedy cokolwiek wam rozkażą, zachowajcie i czyńcie« i nie kazał pytać czy sami święci wydają wyrok, którego jeśliby kto nie słuchał, »niech mu będzie jako poganin i celnik«. Nadto, jeśli świętość ma być główną bronią apologetyki kościelnej, gdzież norma stała do zmierzenia jej stopnia i rodzaju? Czy w indywidualnym każdego, mniej lub więcej »husyckim nastroju«? Ale wszakże nie brakło najróżniejszych pod tym względem zapatrywań od Tertuliana i Nowata do średniowiecznych Katarów lub Jansenistów! Kościół absolutnie nigdy nie będzie całkiem idealny, bo ludzki pierwiastek, który weń wszczepił Chrystus absolutnego ideału nie jest zdolny i zawsze »muszą przyjść zgorszenia« wedle słów Chrystusowych, a póki tak będzie, nigdy nie zabraknie wymówki różnym na pozór idealistycznie nastrojonym umysłom dla pokrycia czyto odstępstwa, czy nie przystąpienia do Kościoła.

Więc nie jest i nigdy nie będzie głównym czynnikiem w apologetyce świętość. Chrystus, częścią, by wiarę naszą wypróbować, częścią, by wspanialej moc własną okazać, rzeczywiście tak Kościół ustanowił, jak mówiliśmy wyżej, że cała jego moc zbawienna nie zależy od osobistej świętości hierarchii. Że Bóg więcej łask daje Kościołowi, gdy więcej świętych żyje w jego łonie, że słowo kapłana świętego, choć mniej uczonego, silniej działa na serca, że świętość prawdziwa jakąś dziwną, magnetyczną siłą ku sobie ciągnie i niejednego mogła skuteczniej popchnąć w progi Kościoła, niż setki argumentów, to wszystko prawda, ale to wszystko inna kwestya. Jak Chrystus, mimo że sprawdzał w sobie ideał świętości, nie do niej apelował, gdy kazał sobie wierzyć, ale do cudów, do spełnionych na sobie proroctw, tak Kościół nawet w chwilach, gdy cudownym świecił blaskiem świętości, powoływał się zawsze na d o w o d y, na rozumowe d o w o d y swego Boskiego posłannictwa. Jak Chrystus mówił: »nie wierzcie mi, jeśli nie czynię spraw Ojca mego«, »nie mieliby grzechu (niewierni żydzi), gdybym był między nimi uczynków nie czynił, których żaden inny nie czynił«, tak Kościół nigdy nie żądał wiary, póki rozumowych dowodów swej Boskości nie pokazał. Suma tych dowodów składała się zawsze i składa na apologetykę kościelną, na to, co już św. Justyn nazywał ἀπόδειξις, *demonstratio christiana*, która od mniejszej lub większej świętości tak mało zależy, jak mało zależy prawdziwość Chrystusowego Kościoła od osoby siedzącego na stolicy Piotrowej, czy Leona Wielkiego, czy Roderiga Borgii[1]. Tę sumę rozumowych dowodów chcieć zastą-

[1] Prawda, że »świętość« w tradycyi kościelnej zawsze uchodziła za nieodzowny p r z y m i o t Kościoła. Prawda i to, że ten p r z y m i o t wraz z trzema innymi »jeden, katolicki, apostolski« zaczęli teologowie XVI w. pojmować jako c e c h ę, wyróżniającą Kościół prawdziwy od innych, przez co »świętości« zdawali się wartość dowodową w apologetyce przypisywać. Lecz 1) to miało miejsce w kontrowersyi z protestantyzmem, który przyjmował na i n n y c h d o w o d a c h opartą prawdę, że Chrystus założył jakiś swój Kościół, 2) poszczególnym cechom n. p. świętości nie przypisywano absolutnej wartości dowodowej, 3) zadawalniano się tą świętością, jaka zawsze w Kościele była i dziś istnieje, że żyje w Kościele wiele jednostek wysoce świątobliwych, że dzieją się od czasu do czasu cuda i t. d., co oczywiście

pić świętością życia sług Kościoła, znaczyłoby tyle, co zburzyć w jednej chwili rzeczywiste i jedynie silne podwaliny wiary, by zdać ją na łaskę takich lub innych »nastrojów« indywidualnych, niejasnych i zmiennych moralnych aspiracyi, które nie tylko w różnych podmiotach są różne, ale w jednym i tym samym zdolne są różnych odcieni, pod wpływem wychowania, otoczenia, namiętności, całego tła duchowego.

Lecz tu pada na nas cały grad zarzutów. »W tem właśnie polega brak dotychczasowej nauki kościelnej, że na korzyść intelektualnego pierwiastka i rozumowych podstaw wiary, moralną stronę lekceważy i pomija, usiłując zrobić z teologii jakąś matematykę, absolutną, nieugiętą, któraby mocą oczywistości i żelaznej logiki doprowadziła do wiary. Teologia tymczasem to nie matematyka. Ona nie ma do czynienia z abstrakcyą, jaką jest liczba, ale z jednej strony obraca się w sferze jakości, gdzie ścisłe stosowanie praw logiki nie jest możebnem, z drugiej ma do czynienia z sumieniem ludzkiem i umysłem zdolnym różnych nastrojów i odcieni myśli i czucia. Porzucić raz trzeba zimny, bezwzględny, antropomorficzny racyonalizm, który z Boga robi zegarmistrza, a z Kościoła Bożą policyę czy kancelaryę, bo to do dzisiejszych ludzi nie trafi, a pomostu do nich szukać w moralnych aspiracyach, które budzą się coraz silniej w duszy współczesnej« [1]. Tego rodzaju zarzuty mogłyby niejednemu prawdziwą

---

w zestawieniu z protestantyzmem, gdyż o prawosławiu mało wówczas myślano, mogło być dowodem, 4) wreszcie, dowód na świętości oparty był dowodem czysto rozumowym, »scholastycznym«, nikt rzeczy tak nie pojmował, aby świętość miała serce, moralne aspiracye, nie rozum o prawdziwości Kościoła katolickiego przekonywać.

[1] Na wszystkie bardzo liczne niedokładności nie możemy w toku zwracać uwagi. Jedna próbka niech wystarczy w rzeczy ważnej. Absolutnie nikt z poważnych teologów katolickich nie twierdzi, że c a ł e m u procesowi rozumowań apologetycznych można nadać matematyczną oczywistość. Absolutną pewność, ale nie matematyczną mają dowody na istnienie osobowego Boga. Fakt objawienia, jako fakt historyczny da się *ad summum* z moralną, historyczną pewnością udowodnić, stąd odpowiednią oczywistość osiągnąć może. Autor, który nas naucza, że matematyczną ścisłość nauki kościelnej tak często opiewają apologeci, jak często zwrotki powracają w balladzie, mógł przedtem sprawdzić, że po dziś istnieje cała poważna szkoła teolo-

przynieść niespodziankę. Jakto! Tak niedawno jeszcze, owszem i dziś w szerokich kołach uczonych brzmiały wykrzykniki, że Kościół wolną myśl tyranizuje, że krępuje rozum, że żąda ślepej, nieracyonalnej wiary i t. d. i t. d., a tu ni stąd ni zowąd pada oskarżenie, że nauka Kościoła jest grubym racyonalizmem, że tyranizuje serce na korzyść rozumu, że moralne pierwiastki intelektualnym poświęca! Gdy jednak dokładniej w rzecz wnikniemy, przestanie dziwić ten nowy rodzaj zarzutów, na pozór dawnym wręcz przeciwnych. Kościół zawsze jak oka w głowie strzegł ludzkiego rozumu, jego praw i normalnych dróg myśli, bo w nim widział narzędzie i podstawę wiary. Racyonalizm akatolicki pod płaszczykiem obrońcy rozumu występując, w rzeczy samej i Kościół i rozum odrzucił, wprowadzając, jak dowcipnie powiedziano, nie *die Denkfreiheit,* ale *die Freiheit nicht zu denken.* Otóż dzisiaj, opisawszy wielki łuk od punktu wyjścia, nie całkowicie jeszcze, ale w wielu poszczególnych umysłach wraca do Kościoła ciągniony sercem, ale prosi się jeszcze, by mu *die Freiheit nicht zu denken*

---

giczna, która twierdzi, że fakt objawienia nie tylko nie jest, ale n i e m o ż e być oczywistym, bo inaczej wiara przestałaby być aktem dobrej woli. Inni to odrzucają, mówiąc, że wiara może być wolną, choćby fakt objawienia był oczywistym, ale nieśmiało mówią, że czasem, na krótko może nam się stać oczywistem objawienie Boże. Por. Wilmers. *De fide* 1902, str. 91 i nast. Chr. Pesch. *Praelect. dogm.* t. 8, ed. 2, 1900, n. 421. Hettinger *Fundamentaltheologie* 2-ie wyd. 1888, str. 871. Hurter. *Compendium* ed. 11, t. 1 1903, n. 95 sqq. Franzelin. *De trad. et script.* ed. 4a 1896, str. 628 i nast. i mnóstwo innych.

Nadto przebieg rzeczywistego rozumowania apologetyki katolickiej jest zgoła niepodobny do tego, który autor na str. 6 podaje i nie się nie dziwię, że w tej formie nie trafia do umysłów. »Bóg jest i człowieka stworzył, a więc musiał mu swoją wolę objawić«, nie tylko nie jest l o g i c z n y m wywodem, ale wprost błędem, bo objawienie należy do nadprzyrodzonego porządku, który z faktu stworzenia zgoła nie wypływa logicznie, ale jest całkiem dobrowolną ł a s k ą, daną ludzkości. Tu więc ma Tołstoj kompletną rację, że z n a t u r y rzeczy należy się ludzkości r o z u m tylko, nie objawienie. Objawienie, jak każdy fakt w o l n y można t y l k o historycznie nie l o g i c z n i e udowodnić. A więc nie »dodaje się« do logicznych wywodów »historycznych racyi«, ale cały dowód j e d y n i e polega na historycznych świadectwach. Równie nielogicznym i nieprawdziwym byłby dowód l o g i c z n y z istnienia objawienia na istnienie Kościoła, bo to nowy fakt w o l n y Chrystusa, tylko historycznemu dowodowi podległy i t. d. i t. d.

nie odbierać. »Rozumowy aparat na bok! Niech moralne pierwiastki wystarczą«.

Zobaczmy czy to możebne.

Jak religia przedmiotowo pojęta jest sumą prawd, wyrażających stosunek człowieka do Boga i sumą obowiązków, które z tych prawd wypływają, tak religia podmiotowo czyli w życiu podmiotu jest sumą aktów rozumu, woli, uczucia, nawet aktów zewnętrznych, o ile są poprzednich objawem, którymi człowiek stosunek swój do Boga stwierdza, by przez to ku Bogu dążyć. Religia w tem drugiem znaczeniu, czyli religijność wtedy dopiero jest zupełną, gdy wszystkie wymienione akty posiada. Jakaż jest wzajemna ich zależność i naturalny porządek? Od czasu, gdy Kant rozerwał ścisłą spójnię, która jednością władzy poznawczej łączyła w jednę całość spekulatywne i religijne poznanie, o ile nie przeniesiono religii w dziedzinę czysto psychologicznych objawów, główny nacisk, nawet przy mniejwięcej teistycznych zapatrywaniach, kłaść zaczęto na religijne uczucie, na mniej lub więcej określoną aspiracyę duszy do nieskończoności, do absolutu [1]. Inni pod bardziej bezpośrednim wpływem Kanta stojący, zakładali religię głównie na aktach woli, na etycznem czyli moralnem życiu [2]. Nie wdając się w długie i żmudne filozoficzne rozumowanie, którem z pojęcia religii wogóle naturalny stosunek jej aktów wyprowadzić można, konstatujemy rzecz teologicznie niewątpliwą, że w tej formie religii, którą jest objawiona religia katolicka, wszystkie religijne dążenia, czyny, uczucia, aspiracye muszą koniecznie się wspierać na rozumowem poznaniu. Podstawą całej religii katolickiej w subjektywnem znaczeniu tego słowa jest ten nadprzyrodzony akt rozumu, wolny wprawdzie, to znaczy wymagający wpływu dobrej woli, wspomożonej łaską, ale akt

[1] Z pewnymi odmiennymi odcieniami: Jakobi, Schleiermacher, Ulrici, Paulsen i wielu innych.

[2] Kant twierdzi: »Alles was ausser dem guten Lebenswandel der Mensch noch thun zu können vermeint, um Gott wohlgefällig zu werden, ist blosser Religionswahn und Afterdienst Gottes«. Die Religion innerhalb der Grenzen der Vernunft.

rozumu, nie serca, nie uczucia, który nazywamy wiarą. Wiara w myśl trydenckiego soboru jest korzeniem całego chrześcijańskiego życia, wiara zadzierzga nadprzyrodzony węzeł między człowiekiem a Bogiem, wiara dostarcza pobudek i przedmiotu wszystkim uczuciom i czynom, zapomocą których posuwa się człowiek po drodze zbawienia. Wiara zaś, jak jest aktem rozumu, uznaniem za prawdę wszystkiego, co Bóg objawił, tak musi być koniecznie aktem rozumnym, czyli opartym na rozumowych podstawach. Dowodów na tę prawdę bynajmniej szukać nie potrzeba w zgodnej nauce kościelnej tradycyi wszystkich wieków, zupełnie wystarcza prosta uwaga, że człowiek ma konieczne i niezatracalne prawo, owszem w rzeczach religijnych ścisły obowiązek do pytania: dlaczego? Jak jest nierozsądnem i z naturą ludzką niezgodnem cokolwiek bądź poczynać, nie wiedząc czemu, tak byłoby szczytem nierozsądku, którego Bóg nie żąda i żądać nie może, nie wiedząc czemu, brać na siebie jarzmo jakiejkolwiek religii. A już przyjmować religię katolicką, która żąda całkowitej zmiany życia, długiej a mozolnej walki z namiętnościami, poddania rozumu pod tajemnice nie tylko niepojęte, ale często zakrawające na sprzeczność, i nie umieć sobie zdać sprawy dlaczego, znaczyłoby tyle, co sprawdzać na sobie słowo św. Pawła »jeśli Chrystus nie powstał (to znaczy: jeśli szwankuje ten główny dowód wiary naszej) jesteśmy nędzniejsi, niż wszyscy ludzie«. 1. Kor. 15, 14 i nast. Jeśli mam wierzyć Bogu i pochylić głowę pod jarzmo praw i prawd przezeń objawionych, muszę przedtem wiedzieć, nie czuć czy przeczuwać, że Bóg osobowy istnieje i to a to objawił. *Sapientia praecedit, religio sequitur* mówił stary Laktancyusz. Dodawał z mnóstwem innych św. Augustyn: *fidem antecedit ratio, quae persuadeat esse credendum.* I nie mieszajmy tu pojęć. Jeśli komuś o istnieniu Boga »więcej mówi sumienie, niż gwiaździste niebo«, jeśli o rzeczywistości chrześcijańskiego objawienia, przekonywa go zgodność etyki ewangelicznej z moralnemi aspiracyami duszy — to bardzo dobrze; i jedno i drugie zwłaszcza dla czystej, głęboko etycznej duszy, może mieć znaczenie rozumowego dowodu, skłaniającego

do przyjęcia wiary [1]. Ale trzeba koniecznie obie te przesłanki doprowadzić rozumowaniem do ścisłej konkluzyi, nie poprzestawać na mglistych i nieuchwytnych przeczuciach czy porywach serca, bo na nich się nie wzniesie gmach silnej i świadomej siebie wiary. Istotą katolicyzmu w przeciwieństwie do subjektywizmu protestanckiego jest ścisła objektywność podstaw, prawd i instytucyi nadprzyrodzonego porządku. Bez tej ścisłej objektywności może istnieć jakiś pietyzm, jakiś eklektycyzm katolicki, nie wiara, jak ją Kościół pojmuje. Bo jeśli tu wprowadzimy w grę subjektywne, indywidualne nastroje, uczucia, przeczucia, aspiracye nie wciśnięte w formy jakiegoś rozumowego wniosku, opartego na objektywnej prawdzie — czy nieunikniona zmienność i niepochwytność nastrojów nie musi się udzielić aktowi wiary, jeśli on wyłącznie z tych subjektywnych czynników wypływa? Czy w nauce katolickiej, w prawodawstwie kościelnem wszystko i wszystkim aspiracyom duszy odpowiada? Czy jednakowo do serc przemawia Bóstwo Chrystusowe lub Niepokalane Poczęcie, jak nieomylność papieża, jak syllabus lub post piątkowy? Nie trzeba się łudzić. Prawdziwa, silna, świadoma wiara, całkowite poddanie się Bogu i Kościołowi czyli rzeczywista religijność w sensie katolickim musi się wspierać na objektywnej, rozumowo poznanej prawdzie. Rozmaite kierunki umysłów, rozmaite moralne odcienia sumień, rozmaite aspiracye duszy, mogą dopomóc do tego, by tę lub ową stronę objektywnych dowodów na prawdziwość wiary katolickiej, głębiej pojąć, silniej wpoić w duszę i dlatego liczyć się z nimi trzeba — nigdy nie mogą w apologetyce wyłącznej, lub choćby głównej odgrywać roli [2]. Poważną część rzeczywistego

---

[1] Mówimy: »może mieć znaczenie rozumowego dowodu«, przynajmniej w połączeniu z innymi. To się zwłaszcza odnosi do dowodu na fakt objawienia ze zgodności ewangelii z moralnemi aspiracyami duszy. Tutaj trzeba całkiem nieodzownie zejść do historycznych argumentów, jak nadmieniliśmy wyżej.

[2] Tu chwila po temu, by zwrócić uwagę na grube nieporozumienie, które się snuje ustawicznie przez wszystkie prawie kartki broszury prof. Zdziechowskiego. »Twierdzenia, że prawda jest tylko jedną, nie wolno stosować w teologii z tą samą bezwzględnością, co w matematyce, bo się ma do czynienia z sumieniem ludzkiem«. Zupełne pomieszanie pojęć objektywnej

czy mniemanego zastoju i upadku religijnego życia, który tak razi przedstawicieli nowych kierunków, przypisać trzeba niedostatecznej, lub u wielu katolików żadnej znajomości rozumowych podstaw wiary. Jeśli człowiek wie, czemu i w co wierzy, jeśli zdaje sobie sprawę, że rozum wiary wymaga i każe traktować ją poważnie — nie podobna, by w wierze nie znalazł pobudek i przedmiotów do najintenzywniejszych uczuć religijnych, do najsilniej-

---

i subjektywnej religii jest tu całkiem widoczne. »Teologia«, jeśli pod tym wyrazem rozumiemy system nauki objawionej, nie więcej ma do czynienia »ze sumieniem ludzkiem«, jak dzieło matematyczne, lub historyczne z umysłem ludzkim, bo jedno i drugie dzieło jakąś o b j e k t y w n ą prawdę udowadnia lub rozprowadza. Jak matematyk lub historyk stawiając tezę i przytaczając dowody, nie liczy się z »świadomą lub nieświadomą negacyą«, bo po prostu ta rzecz z o b j e k t y w n ą prawdą nie ma nic wspólnego, tak teolog apologeta, pisząc naukowe dzieło, ani może ani powinien brać w rachubę dobrej lub złej wiary przeciwnika, bo to znów absolutnie poza sferą objektywnej prawdy jest położone. Teolog więc apologeta starając się rzecz swoją udowodnić jaknajsilniej, bynajmniej nie robi z przeciwnika ani »błazna, ani idyoty, ani szubrawca«, ani żadnego mu nie daje epitetu tej kategoryi, bo to wszystko leży poza sferą jego zadania. Dopiero, gdy chodzi o wydanie sądu, o jakimś wyraźnie zdeterminowanym umyśle, który wywody z b a d a ł, r o z t r z ą s n ą ł, p r z e t r a w i ł, co dziś w świecie jest odnośnie do apologetyki katolickiej niezmiernie rzadkiem, wtedy m o ż n a b y mówić o jakiejś kwalifikacyi umysłowych lub moralnych stron danego indywiduum, bo wtedy dopiero weszłyby w grę umysł lub sumienie. Lecz i w takim razie bezpieczniej jest sąd zostawić Bogu, który jedynie potrafi zważyć skomplikowane stany świadomości ludzkiej i moralnej determinacyi. Czyż więc teologia katolicka istotnie robi z przeciwników »błaznów, idyotów« i t. d.? P r z e z t o, że się stara jasno udowadniać prawdziwość wiary, p r z e z t o, że może czasem z fikcyjnym przeciwnikiem dysputując, wspomina o absurdzie zdania przeciwnego p r z e z t o, że objektywnie błąd zwalcza, a nawet ściga drobne jego nasiona — absolutnie nie. Nikt tu nie twierdzi, że temu a temu indywiduum, ani tem mniej ogółowi uczonych czegoś brakuje, z moralnej czy intelektualnej strony, bo do tego znówby trzeba udowodnić, że ten lub ów albo i ogół, dowody teologii zna, zbadał, rozstrząsnął, a mimo to je odrzuca. O tem, ani się nie śniło katolickim teologom. Czy zaś jest prawdą, że nauka katolicka nie zna błędu, popełnionego w dobrej wierze, może zdać sobie sprawę każdy, kto choć powierzchownie pozna podręczniki tak dogmatycznej, jak moralnej teologii. Poznawszy je, choć trochę, osądzić można, że istotnie niepotrzebnie (a bałamutnie) wspomniał autor, jako o rzeczy puszczanej w niepamięć o teoryi chrztu pragnienia (str. 15) i rozmaitych sposobach przynależności do Kościoła i posiadania prawdy (str. 31, 82). O miłości w traktowaniu osoby przeciwnika mowa będzie niżej.

szych i heroicznych nawet aktów woli, niepodobna, aby na martwej, urzędowej religii rutyny poprzestał. Od żądzy męczeństwa św. Ignacego z Antyochii, do porywów miłości św. Teresy, od przerobienia życia jednostki do zmiany społecznych i państwowych stosunków świata, wiara może i powinna dać wszystko; ale wtedy tylko korzeń wiary zakwitnie kwiatami uczuć, a uczuć jasnych i silnych, nie mglistych i »nastrojowych«, wtedy wyda ze siebie obfity owoc uczynków, gdy mocno tkwić będzie w rozumie, i przez rozum, siłą objektywnej prawdy, całego człowieka czy społeczeństwo obejmie, przesyci, przetworzy.

Już tutaj mimowoli nasuwałoby się nam pod pióro, że środkiem do ożywienia wiary niezawodnym byłby zwrot, jak mówił Leon XIII *ad solidam Patrum et scholasticorum doctrinam, qui firmissima fidei fundamenta, divinam illius originem, certam veritatem... commonstrant;* powiedzielibyśmy już tutaj, że nie odrzucenie ale zgłębienie intelektualnych pierwiastków wiary, najniezawodniej doprowadzi do pogłębienia moralnej strony nadprzyrodzonego życia, gdyby sama ta nazwa »scholastycznej« filozofii nie nasuwała nam na myśl całego szeregu nieuwzględnionych jeszcze zarzutów.

»Zimno, formalizm, skostniałość, antropomorfizm« — o absolutyzmie i ekskluzywności niżej pomówić nam przyjdzie — oto pojęcia, czy raczej »wrażenia«, które przy pewnym nastroju umysłu, samo słowo »scholastyka« wywołuje. Skąd to pochodzi? Gdyby jakiemuś obrońcy scholastycznej filozofii dopisał dowcip nie całkiem wysuszony skostniałą formalistyką, mógłby tu łatwo ulec pokusie, by nie gorszą balladą z tej obrony się wywiązać, niż ta, którą niegdyś Odyniec przeciwników romantyki chłostał. Lecz to byłby może zbyt łatwy a niedość skuteczny sposób wyjścia. Suponując, że dla kogoś scholastyka nie jest »nie wiadomo co«, że zna ją głębiej, niż z deklamacyi Blondel'a i tylu innych jemu podobnych, przyznać trzeba, że zarzut wyżej przytoczony ma coś prawdy za sobą. Filozofia i teologia scholastyczna, zwłaszcza póki kto głębiej nie wniknie w jej wnętrze, musi się wydać zimną, suchą, skostniałą, z tego prostego powodu, że wyłącznie niemal przebywa w dziedzinie abstrakcyi. Wbrew dzisiejszemu po-

zytywnemu kierunkowi, scholastyka, choć empiryi bynajmniej nie wyklucza, w zasadzie jednak najchętniej wzbija się myślą w sferę oderwanych pojęć ogólnych, aby je określać, badać ich treść i wzajemny stosunek, wyciągać z nich nowe prawdy. Już zaś abstrakcya z natury swojej chwyta nagą istotę rzeczy, zdejmuje z przedmiotu tę pewną barwną i ciepłą, życiową konkretność, której dzisiejszy, pozytywnie nastrojony umysł, a w religii i serce wymaga. Rozumie się np., że Bóg pojęty jako pierwsza przyczyna, jako istota sama ze siebie, jako akt czysty [1] i t. d., lubo metafizykowi daje pod tym właśnie kątem widzenia rzeczywiste, a mówię bez przesady, zachwyty i rozkosze umysłowe, bezpośrednio nie pociąga serca, nie zaspokaja moralnych aspiracyi. Dopiero gdy szereg innych wniosków wykaże, że ta pierwsza przyczyna jest zarazem pierwszą pięknością, pierwszem dobrem, miłością, słodyczą, gdy objawienie więcej jeszcze powie, że pierwsza przyczyna jest naszym ojcem niebieskim i kiedyś w niebie przedmiotem widzenia i niewymownego szczęścia, zacznie się zaokrąglać i wypuklać idea Boga tak, że już i do serca przemówić potrafi. Przyznajemy chętnie, że abstrakcyjne, scholastyczne pojęcia wymagają często pewnego korrektywu, pewnego uzupełnienia, które nowsza teologia katolicka częścią z pozytywnej nauki Ojców Kościoła, jeszcze nie tak metafizycznie myślących, częścią przez wciągnięcie mistycznego pierwiastka (Scheeben, Lingens, trochę inaczej Schell i t. d.) z wielkiem powodzeniem adoptuje. Jest jednak rzeczą najprostszą i doświadczeniem najdobitniej stwierdzoną, że jak w malarstwie nie można na rzecz barw lekceważyć konturów rysunku, tak nie można bezkarnie w dziedzinie myśli suchego szkieletu istotnych pojęć, czyli metafizyki scholastycznej, chcieć zastąpić

[1] Pojęcia, w któremby Bóg wyglądał na zegarmistrza, świat na zegar, Kościół na Bożą kancelaryę i t. d. nie zdarzyło mi się spotkać w teologii. Mówię: pojęcia, bo choćby rzecz podobnym przykładem objaśniano w jakiejś popularnej apologii, co znów nie dzieje się »stale«, sądzę, że pojęcie trzeba od przykładu odróżnić. Ale to już tak bywa, że z przykładu nie bierze się pojęcia, które on ma uzmysławiać, bierze się wrażenie, jakie przykład robi, a potem się mówi, że teologia scholastyczna »wtrąca Boga w świat fenomenów«.

pojęciami (często słowami tylko) na pozór pełnymi treści żywej, barwnej a ciepłej, w gruncie nieuchwytnymi i nieokreślonymi. Ileż to razy żałować przyszło, że przeciwnicy scholastyki nie władali myślą bardziej scholastycznie wyrobioną! Wszelki błąd wślizga się najłatwiej przy niedostatecznem określeniu, rozróżnieniu, sprecyzowaniu pojęć, i dlatego właśnie, by ustrzec wiarę, od błędu nie przestali nigdy papieże scholastyki bronić jako *fidei propugnaculum fortissimum* (Sykstus V, Pius IX, Leon XIII), nie przestały polecać jej sobory; gdy z drugiej strony patroni błędu nie szczędzili jej nigdy nienawiści i pogardy[1].

Lecz na cóż to wszystko, kiedy jest faktem, że scholastyka nie trafia do współczesnych umysłów? Choćby była dobrą sama w sobie, na cóż się przyda, gdy nie potrafi pociągać do prawdy?

Do wyświecenia sprawy dopomóc może i tutaj niejedno rozróżnienie.

Przedewszystkiem, co z umysłu odkładaliśmy do tej chwili są to dwa pojęcia odmienne »apologetyka« i »apologia«[2]. Apologetyka czyli teologia fundamentalna jest propedeutyczną częścią teologicznego, ściśle naukowego systemu, której zadaniem jest oznaczyć, udowodnić, obronić podstawy teologicznej wiedzy. Celem podręcznika apologetyki nie jest bynajmniej nawracanie niedowiarków, ani uświadamianie wiary w umysłach ludzi, którzy fachowo w teologii kształcić się nie chcą. Apologetyka zmierza do tego tylko, by ścisłe specyalne studyum teologii systematycznie, od pewnych podstaw rozpocząć. Stąd metoda apologetyki sucha, ścisła, scholastyczna, metoda, której tu modyfikować absolutnie nie można. Ciekawym jakby wyglądała szkoła teologiczna, gdzieby profesor, choćby najwymowniej i wprost porywająco, rozwijał z katedry coś w rodzaju *Le génie du christianisme* albo *Le chri-*

[1] Ekspektoracye Lutra na rzecz szkół katolickich można znaleźć między innemi u Döllingera: *Die Reformation,* wyd. 2, t. I, str. 475 i nast.

[2] Por. *Przegląd Powszechny* t. LIX, str. 7 i Chr. Pesch: *Alte und neue Apologetik* str. 71. Freib. im Br. 1900. Rozumie się samo przez się, że idzie o różnicę rzeczy i pojęć, nie nazwiska. Jeśli ktoś rzeczom tym samym nazwę woli nadać inną, nic nie mamy przeciw temu.

stianisme et les temps présents, choć oboje w swoim zakresie i pięknie jest i dobre.

Co innego jest apologia. Apologia, czy to w formie kazań i konferencyi, czy to w formie dzieł, broszur, artykułów poza ciasny obrąb szkoły puszczanych, styka się bezpośrednio z umysłami ludzi, jużto niewierzących lub słabo wierzących, jużto całkiem wiernych, lecz wiary niedość świadomych. Stąd już wypływa różnica celu i środków. Celem apologii jest istotnie do wiary pociągać, wiarę umacniać, uświadamiać, rozbudzać, do umysłów oczywiście, ale także i do serc przemawiać, bo w konkretnym świecie wyjątkowo tylko nie stapia się w jedno umysł i serce. Z takiego zadania apologii wynika dalej, że suche rozumowanie scholastyczne nie może w niej wystąpić z właściwą sobie sztywnością i zimnem, bo niewątpliwie żadnego nie odniosłoby owocu. Czy całkiem popularna, jak wiele dziełek Hammersteina, czy dla wykształceńszych kół przeznaczona apologia jak »Wieczory nad Lemanem«, musi koniecznie ostre kanty syllogizmu przysłonić, przybrać ton ciepły i łagodny, przystroić się we wdzięk myśli i słowa pociągający serce. Że jednak i ten rodzaj apologii nie może się obyć bez silnych i jasno zarysowanych linii rozumowego wniosku, że tu nie można, jak czyni wielu francuskich pisarzy, z samych mgieł i efektów świetlnych tkać wstęgi tak długotrwałej, jak długo trwa wywołany »nastrój«, to pokazaliśmy już wyżej z samej natury chrześcijańskiego aktu wiary.

Tak więc pierwsze rozróżnienie doprowadziło nas do wniosku, że jeśli myśl współczesną razi f o r m a nauki katolickiej, można i trzeba, nie w ścisłej apologetyce lecz w popularnej apologii f o r m ę i sposób rozumowania zmienić, przystosować do stanu umysłów. Jeżeli w tem błądzili apologeci katoliccy, czego ogólnie twierdzićbym nie śmiał, zdrowy rozsądek nakazuje wprowadzić tu reformę.

To jednak bynajmniej nie wystarcza myśli współczesnej. Jej nie f o r m a tylko, ale r z e c z sama, sam rodzaj p r a w d, na których się wspiera katolicka nauka nie dogadza. Ponieważ się »pięknie wyraził Karol Secretan, że przyczynowość to coś, co nas wznosi ponad proch rzeczy ziemskich ale dowodem jeszcze

nie jest«, ponieważ »myślicielom, którzy największy wpływ na ubiegłe stulecie wywarli, przedstawiła się zasada przyczyny i skutku między pierwiastkiem twórczym wszechświata a jego dziełem, jako stosunek nasienia do owocu«, żąda prof. Zdziechowski, by co do samych tych zasadniczych p r a w d uznać rozmaite kierunki umysłów i w tym zakresie zrezygnować z absolutyzmu »matematyki teologicznej«. Gdzieindziej wspomina o »płaskim optymizmie«, który z piękności i harmonii świata wznosi się do Stwórcy opatrznie i miłościwie i przemądrze kierującego losami stworzeń. Innym autorom, których myśli nie znalazły gościny w progach broszury prof. Zdziechowskiego, nie dogadza dowód na fakt objawienia oparty na cudach lub zmartwychwstaniu Chrystusowem. Gdzież tu wspominać o cudzie człowiekowi współczesnemu! Cud nie tylko dowodem dlań nie będzie, ale go zrazi do wiary na samym wstępie! Inni znowu nie mogą pogodzić się z myślą, by w podstawy wiary wciągać historyczno-krytyczny dowód na autentyczność ewangelii. »Czy moja wiara, moje prawo do niezatracalnych przeznaczeń ma być zależnem od lekcyi jakiegoś rękopisu, od restytucyi tekstu lub domyślności interpretatora?«

Z głównych dowodów apologetyki tradycyjnej, nie ostał się ani jeden, któregoby nie zaczepili przedstawiciele apologetyki »współczesnej«. W ich miejsce wprowadzają różne psychologiczno-moralne, historyczno-religijne refleksye, których pod dostatkiem dostarcza porównawcza nauka religii. Na razie nam nie chodzi o wartość tych surogatów. Idzie o rzecz istotnie ważną, czy twierdzić wolno i trzeba, że dawne dowody nie utraciły dzisiaj objektywnej prawdy i siły. Lecz to nas już prowadzi na teren innego pytania: ekskluzywny absolutyzm scholastyczny — czy miłość i wyrozumienie, skąd znowu przejść będziemy mogli do oceny zapatrywań prof. Zdziechowskiego na tak zwany »liberalny katolicyzm«.

(Dok. nast.).

Ks. J. Rostworowski.

Z ETYKI NASZEGO DZIENNIKARSTWA.

Od kilkunastu lat w społeczeństwie naszem, a nie tylko naszem, występuje objaw w tej sile dawniej niewidziany. Zewsząd zalatują skargi na zepsucie, jakie panuje wśród młodzieży — uznają je ci nawet, którzy się do obozu katolickiego bynajmniej nie zaliczają, a więc dalecy są od wszelkiej przesady i pruderyi; niezadowolenie wzrasta w zwartych już lub formujących się dopiero szeregach robotników, niezadowolenie często wprawdzie anormalnymi stosunkami socyalnymi uzasadnione, niemniej jednak często przechodzące granice słuszności i sprawiedliwości; burzy się coraz więcej w łonie ludu i poraz pierwszy można się tam spotkać z tak niegdyś rzadkiem zjawiskiem zanikania wiary i otwartego buntu przeciwko władzy kościelnej czy też cywilnej. W bardziej zaś dojrzałych i inteligentnych sferach naszego społeczeństwa występują niektóre z tych objawów w wyższym jeszcze stopniu i zakażają ducha narodu. W czasach, w których jak nigdy, potrzeba nam jedności i zgody i tą jednością i zgodą zbawiennej dla kraju pracy, naród rozpada się na zwalczające siebie wzajem i nienawidzące się obozy, ubezwładniając tym sposobem wszelkie wysiłki w kierunku zmiany na lepsze.

Na wytworzenie tego stanu, który nieraz jeden naraził nas na drwiny i ataki najzagorzalszych, zewnętrznych wrogów a bronić się nie dopuścił, złożyło się wiele różnolitych przyczyn. Nie naszem tu zadaniem ani celem wchodzić w rozbiór wszystkich tych pierwiastków, które taki stan wywołały; zatrzymamy się

tylko nad jednym, który bardzo, bardzo wiele w tej sprawie zawinił i dużo ma na sumieniu — nad złą prasą. U nas ta prasa nie jest jeszcze taką potęgą, jak gdzieindziej, gdyż nie ma na swe usługi tyle organów, jak np. we Francyi lub w Niemczech — mimo to znajdują się i u nas rozsiewające truciznę pisma, którym nie można odmówić wielkiego wpływu i znaczenia, przynajmniej w sferach, dla których są przeznaczone a często i poza niemi.

Na pierwszem miejscu stoją tu poświęcone sprawom społecznym: krakowski *Naprzód* i lwowski *Monitor;* oba te pisma to mają wspólnego, że brak im wszelkich zdrowych etycznych zasad i jeżeli gdzie głośna, rzekomo jezuicka zasada c e l u ś w i ę c a ś r o d k i znajduje swe zastosowanie, to z pewnością na ich łamach. Rozumiemy to dobrze, że ciężki w tych słowach stawiamy zarzut, postaramy się go jednak uzasadnić.

Naprzód wziął sobie za zadanie rozszerzać i potęgować niechęć szerokich mas proletaryatu tak do klas posiadających, jak i do czynników, stawiających tamę jego zgubnym dążnościom. Właściciele i kapitaliści są w duchu twierdzeń *Naprzodu* skończonymi łotrami, pijawkami żyjącemi z krwi i ciężkiej pracy robotników, tak jak znowu ci ostatni są tylko wyzyskiwanemi ofiarami i wcieleniem wszelkiej ludzkiej doskonałości. Że b u r ż o a z y a — tego słowa z dziwną predylekcyą używają pisma socyalistyczne — liczy w swem gronie dużo szlachetnych, o tem albo się nie pisze, boby to nie pasowało do tezy, albo też insynuacyami i podsuwaniem najfałszywszych nieraz motywów umniejsza się zasługę; że znowu i w proletaryacie można znaleźć osobniki o bardzo podejrzanej wartości, to pomija się milczeniem, chyba że zewnętrzne okoliczności do przeciwnego kroku zmuszają. Jeżeli zaś w wyższych klasach trafią się jakieś osobistości na prawdę niegodne, to nadarza się wówczas świetna okazya do prania brudów, do górnolotnych hymnów o zgniliźnie toczącej burżoazyę i o zdrowiu moralnem, tryskającem z szeregów robotniczych, w których jeszcze jedyna spoczywa nadzieja — a takie niegodne indywiduum będzie z pewnością zawsze g a d z i n o w c e m k l e r y k a l n y m, w y b i t n y m k l e r y k a ł e m, g o r l i w y m k a t o l i k i e m, może nawet mężem zaufania biskupa lub stronnictwa

klerykalnego. O tem, co się między socyalistami dzieje, niewiele słychać, a jeżeli czegoś nie można milczeniem pominąć, zbywa się to dość krótką notatką, której większą część wypełniają wymyślania i frazesy zaczerpnięte z słownika ulicy; najczęściej taki towarzysz od dłuższego lub krótszego czasu nie należał już do partyi. Nic więc dziwnego, że robotnik, spotykając się dzień po dniu z takiemi zapatrywaniami, widzi w każdym, kto robotnikiem nie jest, swego śmiertelnego wroga, że żyje przeważnie uczuciem nienawiści i pragnieniem odwetu, że da się porywać do kroków, które prędzej czy później na nim strasznie się mszczą.

Niemniej dziwnem jest stanowisko *Naprzodu* wobec władzy. Pobłażanie i uznanie znajduje w jego oczach tylko ta, która mocno trąci zasadami czerwonej partyi; niech tylko jakiś starosta czy komisarz czy nawet rząd weźmie się energicznie do pracy i zechce ukrócić prawdziwe już, nie pozorne wybryki socyalistów, a słów nie staje na potępienie i na wyrażenie oburzenia. Dosadne frazesy, zaczerpnięte znowu ze słownika ulicy (ta okoliczność świadczy wprawdzie o wysokiej kulturze umysłowej redaktorów, jest jednak dobrym środkiem do działania na w wielkiej części nieoświecone tłumy) sypią się jak z rogu obfitości a może najniewinniejszą jest jeszcze obietnica, że *Naprzód* zaopiekuje się bliżej daną osobistością i częściej do niej powróci. To także szlachetny sposób działania!

Zupełnie za to naturalnym jest stosunek *Naprzodu* do religii i kleru. Na wędkę o religii, jako o rzeczy prywatnej, dziś się już nikt nie złapie, więc też odsłaniają dzisiaj pisma partyjne przyłbicę i otwarcie przyznają, do czego dążą. Każda zbrodnia przeciwko wierze, Kościołowi i nawet moralności, przynajmniej w jej szerszem znaczeniu, jest chwalona, uniewinniana, tłumaczona: co walczy za Boga, za Kościół, za wiarę to jest ganione, zohydzone, wydrwione. Człowiek, który broni prawa, Kościoła, cnoty jest karczemnemi nazwiskami napiętnowany; kto występuje przeciwko wszystkiemu, co święte, dobre i rozumne, jest bohaterem i uczciwym. Wystarczy czytać tylko sprawozdania z obecnej francuskiej walki, z Włoch lub Hiszpanii a łatwo się przekonać, że tak jest na prawdę. I żeby łatwiej trafić do naiwnego przekonania bez-

krytycznych mas, chwyta się *Naprzód* nie oryginalnej wprawdzie, w pewnych jednak sferach nigdy nie zawodzącej sztuczki, na którą łapią się i inne, poważniejsze, bynajmniej do powyższej kategoryi nie należące dzienniki. Ile razy chce się wystąpić czy przeciw jakiejś katolickiej instytucyi, czy też jakiemuś dla socyalistycznego stronnictwa niewygodnemu prądowi lub znaczniejszej osobistości, tyle razy odpowiednie notatki czy też artykuły nadsyłają ludzie uczciwi, nieraz wybitni katolicy lub przynajmniej wpływowi klerykali, zwykle też pochodzą takie artykuły ze sfer wybitnie katolickich. Ta, powiedziawszy oględnie, naiwność, dochodzi do tego stopnia, że *Naprzód* powołuje się czasami jak na powagę na jakiegoś odstępcę, którego Kościół już dawno z grona swego wykluczył — taki odstępca jest zawsze uczciwym, nieposzlakowanym, białym krukiem w czerni klerykalnej.

Niema na świecie gorszych potworów, jak księża w oświetleniu *Naprzodu* i to nie pojedyncze, może rzeczywiście niegodne jednostki, ale wszyscy bez wyjątku — przymiotów dodatnich, ludzkich w nich nie szukać. Wszystko, co mogła stworzyć obłuda, faryzeizm, ciemnota, fanatyzm, niemoralność znajduje się w nich w niemożliwie wysokim stopniu. Niech tylko jakaśkolwiek gazeta przyniesie gdzieś z końca świata jakąś ujemną notatkę o jakimś kapłanie, a z pewnością znajdzie się ona w rubryce *Naprzodu* »Z czarnego świata«. Że te fakta, jeżeli nawet prawdziwe, są tylko wyjątkami, które nie mogą być poczytane za winę całemu stanowi, jak np. defraudacya Żelaszkiewicza nie może być przypisana samemu socyalizmowi, o tem się nie pisze; że te fakta są najczęściej zmyślone, że tacy księża lub takie miejscowości, w których rzekoma zbrodnia została popełniona, na całej ziemi nie istnieją, że dochodzenia sądowe wykazały niewinność oskarżonych — to się również pomija milczeniem i nie ma na tyle cywilnej odwagi, aby niesprawiedliwie rzuconą potwarz odwołać; podaje się co najwięcej rozprawę sądową, ale przemilcza przezornie jej wynik tak, że wrażenie jest zawsze ujemne; resztę pozostawia się francuskiemu *il en restera toujours quelque chose.* Niech gdzie zbłądzi jakiś rabin, czy pastor, a *Naprzód* będzie pisał o zbrodni popełnionej przez duchownego; jaki to duchowny, to

mniejsza — czytelnicy, dla których pisze *Naprzód,* nie mają czasu, ani inteligencyi, ani dobrej woli, żeby rzecz zbadać, można więc swobodnie i spokojnie na kler ujadać, a ponieważ ci sami czytelnicy nie są zazwyczaj w stanie zrozumieć różnicy między osobą a godnością i urzędem, między jednostką a całym stanem, wszystkie te prawdziwe czy rzekome występki idą na karb całego kleru i samego Kościoła. Tym sposobem podkopuje się nie tylko zaufanie do Kościoła, ale i samą wiarę, która w szerokich masach zostanie wprawdzie gdzieś na dnie serca i objawi się przynajmniej w godzinę śmierci, jak to miało miejsce ze zmarłym Witołdem Regerem, ale nie wyryje swego piętna na życiu; owszem, to życie pozbawione wiary w przyszłość pozagrobową, w karzącą lub wynagradzającą sprawiedliwość, przemienia się i przemienić musi w życie nienawiści i ciągłego niezadowolenia, a te są złymi doradcami.

Nie idźmy jednak za daleko! Jedna kategorya księży znajduje w *Naprzodzie* wiernego obrońcę i sojusznika — to są ci, którzy niepomni przyjętych na siebie obowiązków, sprzeniewierzają się im, buntują się przeciwko biskupom i papieżowi, wstępują w związki małżeńskie lub wyrzekają się wiary; tu istotnie można podziwiać dzielność, hart, odwagę, szczerość odpowiedniego kapłana i rzucać pioruny na fanatyzm rzymski i średniowieczne, tamujące wszelką wolną myśl, zacofanie.

Wogóle jest religia, kler, Kościół dla *Naprzodu* tem, czem jest czerwone sukno dla pewnych stworzeń; ale już całkiem traci przytomność, kiedy musi wspomnieć o katolickiej działalności społecznej. Jeżeli chodzi o akcyę pojedynczych duchownych, jest widocznem, że dążą oni tylko do ogłupienia ludu, do własnego interesu — wyśmiewa się więc ich działalność, drwi z niej, podsuwa egoistyczne pobudki. Jeżeli znów chodzi o akcyę całego Kościoła, zarzuty jeszcze się potęgują; przypomina się wtenczas Kościołowi zakrystyę, odstępstwo od nauki Chrystusa, natrąca się o zagrażającem barbarzyństwie, przedstawia się Kościół jako wroga społeczeństwa — nigdy akcya Kościoła nie może być pożyteczną i zbawienną, to jest wyłącznym udziałem socyalistów. Proszę tylko przeczytać sprawozdania *Naprzodu* z *Motu proprio* Piusa X.

Jeżeli więc może być mowa o jakiejś etyce najwpływowszego u nas socyalistycznego organu, to chyba tylko o etyce fałszu, rozsiewania niezgody i nienawiści w społeczeństwie.

Podczas gdy *Naprzód* obrabiał i obrabia w ten sposób robotników, zwróciło się *Prawo ludu* do ludu wiejskiego. Tendencya była ta sama, środki mniej więcej te same, tylko nie tak jawne i bezwzględne, gdyż przed ludem trzeba się jeszcze było ukrywać i nie można było wystąpić ze zbyt otwartą przyłbicą do boju; mimo wszelką agitacyę lud nie dorósł jeszcze do tego, aby w każdym panu widział swego wroga, a w każdym kapłanie wyzyskiwacza i moralnego potwora. To też pismo nie wywarło chyba wielkiego wpływu na warstwy, dla których było przeznaczone, a dowodem najlepszym fakt, że już upadło — ta okoliczność zwalnia nas od szczegółowszego zajmowania się niem.

Tem większą za to pieczołowitością otoczyli socyaliści młodzież. Nie wspominając już nic o przeznaczonym dla dzieci *Promyku*, który dąży do zreformowania wychowania według najnowszych wymagań, w tym mianowicie duchu, aby dziecko nie usłyszało czasami słowa B ó g, n i e b o i t. d. lecz przejęło się moralnością niezależną, musimy jednak zatrzymać się przez chwilę przy przeznaczonym dla młodzieży szkół średnich *Promieniu*, należącym również do bagna dziennikarskiego. O *Promieniu* pisaliśmy obszernie na tem samem miejscu w roku zeszłym. Mimo wszystkich, stwierdzających wysokie umysłowe wykształcenie i dobre wychowanie epitetów, jakie nam się od *Promienia* w odpowiedzi dostały, podtrzymujemy nasze zeszłoroczne twierdzenia także i teraz i zaznaczamy raz jeszcze, że to pismo wnosi rozdwojenie w szeregi młodzieży, wywołuje w niej pogardę dla społeczeństwa, podburza przeciwko legalnej władzy szkolnej i wszelkiej władzy wogóle, walczy przeciwko Kościołowi, prowadzi wprost do niewiary, starając się równocześnie o wywołanie między młodymi ruchu rewolucyjnego i socyalistycznego — wszystko w słowach, które w tej obfitości i sile wyrażenia prawdopodobnie i w słowniku ulicy się nie znajdują. Jeżeli co w ubiegłym roczniku *Promienia* uderza, to chyba fakt, że częściej jak dawniej zabiera głos

w kwestyach, o których nie tylko jasnego, ale żadnego wogóle niema pojęcia — klasycznym jest w tym względzie artykuł grudniowy, omawiający poglądy Witkiewicza na naukę religii. A i to jeszcze zadziwi, że to pismo, nie liczące się nigdy z żadnem słowem, umiejące zastąpić rzeczowe dowodzenia jedynie i tylko starą receptą *hier wird geschimpft,* zarzuca innym, którzy do jego obozu nie należą, brak dobrego tonu, podając równocześnie takie dowody dobrego tonu, jak np. stylowe kwiatki: »nieudana szopka naszych klerykałów, zwana kongresem maryańskim«, »grafoman w sutannie«, którego cynicznych i wyuzdanych uwag ze względu na dobrą sławę pisma cytować nie można[1] i t. d.

Namiętnych ataków *Promienia* na Kościół i społeczeństwo, Kościół i społeczeństwo prawdopodobnie się nie ulękną; innych oni widzieli już wrogów i dali sobie z nimi radę. Miotania się świadczą tylko o bezsilności własnej sprawy i niepewności zwycięstwa, ale nam szczerze żal tej młodzieży, która z takiego zdroju czerpie mądrość i do takich mistrzów chodzi po naukę.

Kilka wreszcie słów musimy poświęcić tygodnikowi polityczno-społecznemu, wychodzącemu we Lwowie; jest nim *Monitor,* organ słynnego p. Breitera. *Monitor* prowadzi wprawdzie zaciętą walkę z *Naprzodem* — wynajduje przecież dla niego nazwę, która prawdopodobnie w redakcyi *Monitora* oznacza wcielenie i streszczenie wszelkiej obelgi a w *Naprzodzie* niemniej prawdopodobnie wywołuje uczucie grozy i oburzenia, nazwę »organu cywilnych Jezuitów« — poza tem jednak schodzą się te dwa pisma we wszystkiem, nawet w swych sympatyach dla Żydów; owszem *Monitor* stoi, zdaje się, wyżej od *Naprzodu* pod względem brutalności wyrażenia, robi też wrażenie, że jego wycieczki są nierzadko załatwianiem osobistych rachunków. Są tu więc gwałtownie atakowane stronnictwa, nie należące do obozu *Monitora,* na pierwszem miejscu Wszechpolacy ze *Słowem Polskiem;* wyrażenia jak »raifurzy«, »prostytuci prasy«, »wszechidyoci«, »wszechłajdacy« mają zająć miejsce rzeczowej polemiki; dostaje się niemało i prywatnym jednostkom i właścicielom fabryk i urzędnikom i rządowi

[1] *Promień* rok VI, grudzień 1904. Str. 416 i 417

a prawie połowa całego rocznika, może nawet i więcej, jest poświęcona walce przeciwko prezydentowi Lwowa. Prokuratorya konfiskuje, oskarzeni nadsyłają sprostowania, wykazujące całą nicość zarzutów, ale to gorących zapędów *Monitora* nie hamuje, owszem »monitorowski zwyczaj szafowania bezpodstawnymi zarzutami« (*Reformator* z 16 paźdz. 1904) wszedł już w przysłowie. Dobre rady dostaje ks. biskup Wałęga »czynny członek Kościoła wojującego« [1], lepsze jeszcze ks. arcybiskup Bilczewski, którego zapytuje »czy już nawet i w sferach duchownych popiera się nierząd«, może najlepsze ks. biskup Pelczar w seryi artykułów »Robak w skarbonie biskupiej«, gdzie »potentatom kościelnym«, między nimi i ks. Pelczarowi, jakiś uczony w piśmie wykłada bardzo przystępnie i głęboko naukę Chrystusa, gdzie dowiadujemy się, że »namiestnik Chrystusowy, dorwawszy się szczęśliwie infuły biskupiej, uważa za pierwszy swój obowiązek wyssanie dóbr do ostatnich granic i napełnienie groszem swojej własnej kieszeni...«, gdzie wreszcie na człowieka, cieszącego się takiem poważaniem, jak ks. biskup Pelczar, rzuca wprost ohydne podejrzenie; nie pomija i zmarłych dostojników Kościoła, drwi cynicznie z Piusa IX, Leona XIII, kardynała Ledóchowskiego, a pisząc o wydawnictwach religijnych, np. o dziełkach »Niebo« przez W. K., »Czyściec czyli cuda Boże w duszach czyścowych« przez ks. Kellera, »Piekło« i t. p., dodaje od siebie z głębokiem przekonaniem — Niemiec powiedziałby tu *im Brustton der Überzeugung* — że »na świecie wiele jest głupoty, ale na takie rzeczy klerykalizm nawet i głupiego nie złapie« i dziwi się władzy kościelnej, »iż daje swą aprobatę na takie cudactwa« [2], choć z drugiej strony niema się czemu dziwić, bo »gdzie strupieszała podstawa, tam musi zaniknąć wszelkie życie a szerzyć się zgnilizna« [3]. Największą jednak pieczołowitością otacza *Monitor* pojedynczych księży i zapatruje się na nich podobnie, jak *Naprzód, Promień, Liberum Veto* — w tym względzie dziwna panuje harmonia w tych wszystkich obozach. Z pamfletu, dajmy na to, »Zaloty księdza katechety« i sam Zola dużo mógłby się nauczyć

[1] *Monitor* nr. 2 z 1904; nr. 26.
[2] *Monitor* nr. 1 z 1904. [3] nr. 26.

i stworzyć arcydzieło pornografii; oburzeni parafianie nadesłali wprawdzie sprostowanie, na które nie można było nic odpowiedzieć, gdyż łatwo mogła się była wdać w sprawę prokuratorya, ale to sprostowanie umieszczono tak po cichu i tak skromnie, że większość czytelników pewnie go nie zauważyła i choć piękne apostrofy do ks. arcybiskupa lwowskiego spełzły tym sposobem na niczem, złe wrażenie jednak pozostało.

Wogóle artykułów bezstronnych, rzeczowych spokojnych w *Monitorze* nie widać; natomiast jest namiętna, wszelkie pojęcie słuszności i sprawiedliwości przechodząca polemika, a od frazeologii w tej polemice używanej, mógłby się dużo i *Naprzód* i nawet *Promień* nauczyć. Przyznajemy, że jeden, drugi z tam poruszonych zarzutów będzie prawdziwym, olbrzymia większość jest za to fałszywa, albo przynajmniej przekształca fakta; jestżeż to jednak etycznem, nawet i te prawdziwe fakta i brudy odrazu na światło dzienne wywłóczyć? Toby można zrobić, gdyby innego sposobu zapobieżenia złemu nie było, a zwykle takie postępowanie celu nie osiąga, gdyż ludziom stojącym na czele podobnych pism, brak moralnych kwalifikacyi, któreby im dawały prawo czuwać nad poprawą obyczajów społeczeństwa, społeczeństwo znów widząc raz po raz w szale walki popełniane kłamstwa, stykając się z fałszami, nie wierzy i prawdziwym nawet doniesieniom. Pożal się Boże! ale piąte i ósme przykazanie za mało jest znane naszym, nawet dobrym dziennikom, cóż dopiero skrajnym i radykalnym? Uczciwsze pisma odwołują wprawdzie i chętnie i szczerze, ale już to nie było moralnem, że zamieściło się jakąś senzacyjną notatkę czy artykuł, nie poinformowawszy się wpierw o prawdziwości zarzutu, a ile złego się przez to robi, jaką krzywdę wyrządza jednostce i nawet społeczeństwu! Ostrożniejsze postępowanie zmniejszyłoby może senzacyę, ale powiększyło moralną wartość pisma.

Nie wesoły więc obraz roztoczył się przed oczami naszemi i nie możemy tego ustępu zakończyć lepiej, jak surowem zdaniem, które o pismach podobnych do *Naprzodu*, *Promienia* i *Monitora* wydał z pewnością o klerykalizm nie podejrzany Ferdynand Lasalle: »ich kłamliwość, znikczemnienie i niemoralność przewyższa

chyba tylko ich ignoracya. Z sercem pełnem boleści nie waham się twierdzić: jeżeli prasa nasza z gruntu się nie zmieni, jeżeli jeszcze pięćdziesiąt lat w tym samym kierunku dalej pójdzie, zaginie nasz duch narodowy, zepsuje się w najgłębszej swej istocie. Najzdolniejszy naród świata, Grecy, nie przetrzymaliby takiej prasy. Że dla marnego zysku zatruwa się wszystkie źródła narodowego ducha, że codziennie tysiącem strzałów naraża się naród na duchową śmierć — to jest największa zbrodnia, jaką mogę pojąć« [1].

II.

W gorsze jeszcze bagno prasy prowadzi nas obecny ustęp, w tak zwaną prasę humorystyczną i satyryczną. Tu nastręcza się odrazu uwaga, że większość tego odłamu naszej prasy zasadza humor i dowcip na pornografii, na ogłaszaniu różnych brudów i na wyszydzaniu religii; do takich pism należą: *Bocian, Liberum veto*, nie wychodzące już *Karykatury* i wreszcie częściowo *Młody Dyabeł*. Łatwo wyrozumieć, że nie będziemy się długo nad temi pismami rozwodzić; są rzeczy, których można się dotknąć tylko przez rękawiczki, a kto zapuszcza się w bagno, musi dobrze uważać, żeby niebezpieczeństwa się ustrzegł.

W *Bocianie* występuje w całej swej dzikości *la bête humaine*, nie ma tam ludzi, są tylko samce i samice. Wszystko pojawia się tam widziane przez pryzmat samczych popędów. Żaden stan nie jest oszczędzony; młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, służące, studenci i studentki, aktorzy i aktorki, (te ostatnie z szczególniejszem zamiłowaniem)— wszystko jest odczute i przedstawione z punktu widzenia pornograficznego. Nawet zdarzenia Pisma św., jak historya Zuzanny, są w ten sposób traktowane; Zuzanna to ostatnia nierządnica. Jeżeli prawdziwym jest stary aksyomat *nemo dat, quod non habet*, możemy współpracownikom *Bociana* powinszować. Nikt tak nie potrafił wykazać, ile w nich jest tego *bête humaine* jak oni, nikt też tak nie umie wywołać brutalnych i najniższych instynktów. Czego zaś nie dokonają słowa, to uzupełniają obrzydliwe, w wy-

[1] Wetzel: *Die Lektüre* str. 283.

sokim stopniu lubieżne ilustracye; nie ma jednej między niemi, którąby ze spokojnem sercem można pokazać dziecku, a każda tak wykonana, że namiętności podrażnić musi; ostatecznie też o to głównie chodzi. Gdzie *Bocian* przestaje być rozpustnym i zwierzęcym, staje się podłym; stąd te pamflety i paszkwile, które miały wprawdzie redaktorowi wypełnić kieszeń, w zamian jednak zaprowadziły go w mury więzienia i zaliczyły w poczet zbrodniarzy.

Krakowskiemu *Bocianowi* pozazdrościł wawrzynów lwowski *Młody Dyabeł*. W pierwszych numerach trzymał się *Młody Dyabeł* w rezerwie, choć już wtenczas niektóre dowcipy i ilustracye były dość podejrzane; później odrzucił maskę i stał się godnym rywalem swego krakowskiego kolegi po pornografii. Są w nim numera wprost niemożliwe, a chociaż więcej się hamuje, jak *Bocian*, zasługuje mimo to na zupełne potępienie.

Godnie wreszcie stanęły obok swych dwóch kolegów lwowskie *Karykatury*. Nie było w nich wprawdzie żadnych tak zwanych dowcipów pornograficznych, ale za to niemoralne historyjki, wywłóczenie dawno już zapomnianych brudów — jednem słowem pismo stanęło na stanowisku pseudo-obrońcy publicznej moralności, przynajmniej samo do tego się przyznaje: że naczelny redaktor oskarżony o wymuszenie, ratował się ucieczką przed ścigającą go prokuratoryą, że drugi ze współredaktorów zapoznał się już przedtem z sądami, został dotkliwie obity przez męża obrażonej kobiety, na której wymuszenia się dopuszczał, że znowu zasiadł po raz nie wiedzieć który na ławie oskarżonych, powołany przed kratki już nie tylko za wymuszenie, ale za uplanowaną kradzież, i został skazany na trzynaście miesięcy ciężkiego więzienia, to istoty rzeczy nie zmienia i zdaje się takim ludziom dawać dopiero kwalifikacye na mentorów, gdyż z oburzeniem odpierają zarzuty o braniu łapówek: »może i w tym wypadku powiedzą, że redaktor chciał albo wziął tyle a tyle koron, ale mniejsza o to, wolno psu i na Pana Boga szczekać« [1].

Poważniej reprezentuje się *Liberum veto*, traci tylko równo-

[1] *Karykatury* r. III, w. 21.

wagę umysłową, kiedy schodzi na religię i wszystko, co z religią się łączy; wtenczas nie ustępuje w doborze wyrażeń i sile nienawiści nawet *Promieniowi*. Z każdego wiersza przebija też przekonanie o swej wyższości; ta wyższość każe gardzić wszystkiem, co nie należy do własnego obozu, drwić z wszystkiego, co nie jest nowożytnem, rozumie się w pojęciu *Liberum veto*. Dlatego »w Polsce od durniów zawdy się roiło«, dlatego też »na dziedzińcu wawelskim wszystkie staną osły, w kusych frakach, kontuszach, one polskie posły« [1], dlatego »nie oburzajmy się na swojską, sympatyczną ignoracyę katolicko-hellenistycznego pornografa wypowiadającą się w pysznej, złotej myśli: tyle systemów filozoficznych przeszło, a msza ciągle się odprawia«, dlatego tylko biedna starcza erudycya potrafi dowodzić na dwudziesto-arkuszowem wydawnictwie Akademii Umiejętności, że J. Słowacki był egoistą [2], dlatego w Polsce pełno chorych karaluchów, pełno łajdactwa panków, klechów, łyków, pełno mnichów plugawych, wielkobrzusznych popów [3] i t. d. Wogóle pisma dla młodzieży odznaczają się wielką krewkością, mniej jednak świadczą o dobrem wychowaniu swych współpracowników — przeważa w nich ton karczemny.

Liberum veto nazywa się samo »pisemkiem wesołem a dokuczliwem«. Dokuczliwem ono jest przez swój nietakt i zarozumiałość, z jaką wydaje sądy o rzeczach, leżących po za sferą jego rozumu, wesołem jest chyba tylko przypadkiem, jak wogóle rozwesela każdy, kto rozwodzi się nad rzeczami, których nie rozumie, i które do niego nie należą.

III.

Spustoszenie, jakie te pisma, a szczególnie pornograficzne i dla młodzieży przeznaczone, szerzą, jest wprost olbrzymie. Te młode serca o podkładzie nieraz bardzo dobrym, ale jeszcze nie wyrobionym, są podatną rolą, w którą kropla po kropli sączy się ta trucizna, napływająca do nich ze wszystkich stron. Gdzie

[1] *Liberum veto* n. 46, str. 3.
[2] l. c., str. 10. [3] l. c., r. III, z. 1, str. 2.

serce gorące, a wyobraźnia żywa, tam pod wpływem podobnych pism muszą się budzić, może nieraz uśpione, namiętności a skoro równocześnie dobrzy przyjaciele starają się o osłabienie, lub nawet wprost o wydarcie wiary, nic już tym namiętnościom tamy stawić nie potrafi, nic ich zgubnemu wpływowi zapobiec. Dlatego nie naprożno ci, którym prawdziwe dobro młodzieży leży na sercu, tak czarno na wśród niej grasujące błędy się zapatrują.

Jakie więc wobec tych, do bagna dziennikarskiego należących pism społecznych, pornograficznych i satyrycznych zająć stanowisko? Kiedy w grudniu zeszłego roku toczył się przed sądem przysięgłych obrzydliwy proces redaktora *Bociana,* oskarżonego o zbrodnię wymuszenia, rzucił obrońca Lipińskiego społeczeństwu w twarz zarzut: »społeczeństwo żąda pornografii«. Zarzut to ciężki, może za kategoryczny, ale niestety nie pozbawiony podstawy — można go nawet rozszerzyć: z pewną chorobliwą gorączkowością czyta społeczeństwo, które się nazywa katolickiem, takie pisma, które wyrabiają w niem fałszywe i stronnicze zapatrywania na moralność i życie, na prawo i obowiązki, które na miejsce zdrowych, moralnych zasad, stawiają zasady urągające wszelkiemu prawu i etyce, które rozbudzają nienawiść i niechęć do wszystkich stojących poza pewnym obozem, które wywłóczeniem brudów zaspokajają ciekawość, wywołują senzacyę, lecz stają w sprzeczności z prawem Bożem i przyrodzonem. Bo i jak naprawdę tłumaczyć sobie, że takie pisma nie tylko istnieją, ale i rozwijają się; jak sobie wytłumaczyć, że taki *Młody Dyabeł* w pierwszych zaraz numerach mógł, o ile nie przesadził, się pochwalić, że rozchodzi się w wprost nieproporcyonalnej na nasze stosunki liczbie czterech tysięcy egzemplarzy, że wydawanie *Bociana* ze względu na liczne ilustracye, dobry druk, papier i wielką objętość pisma, musi dużo kosztować, a jednak się rentuje, skoro redaktora nie można przecież obrazić podejrzeniem, że chodzi mu tylko o jakąś ideę, kiedy dwa procesy wykazały, że chodzi tu przedewszystkiem o kieszeń! Jak również pojąć, że pisma poważne i zdrowe nie mogą się utrzymać, a jeżeli nawet nie upadają, wiodą, o ile nie należą do pewnego stronnictwa, żywot anemiczny, muszą walczyć z finansowemi trudnościami, które para-

liżują wszelką bogatszą w skutki działalność, i nie pozwalają się pismu rozwinąć i stanąć na wysokości czasu i zadania? To wszystko udowadnia tylko, że za wiele interesujemy się prasą bagna, za mało sobie cenimy prasę uczciwą, ponieważ w tej ostatniej nie znajdujemy senzacyi, plotek, fałszu, drwin z religii i moralności, karczemnego tonu. Zle, że tak jest, ale tak jest rzeczywiście i bardzo źle świadczy o naszem wyrobieniu się moralnem.

Wnioski nasuwają się już same, a pierwszym jest, podobnych pism nie czytać, bo o ile one nawet nie są zakazane jakimś przepisem kościelnym lub biskupim, a Kościół i biskupi, piszemy to z całym naciskiem, mają do tego prawo, są jednak zakazane prawem przyrodzonem; nie potrzeba tego twierdzenia uzasadniać, jest ono aż zbyt jasne. I nie wystarczy utrzymywać, że te pisma nam nie szkodzą, nie wpływają na zmianę naszych przekonań i zasad; czytać dzień po dniu te oszczerstwa i potwarze rzucane na zasłużone nieraz w społeczeństwie osobistości, słyszeć te przekręcania nauki kościelnej i drwinki z wszystkiego, cośmy sobie cenić powinni, widzieć te brudy, często prawdziwe, częściej jeszcze zmyślone, patrzeć się na tę szerokim potokiem rozlewającą się niemoralność, śledzić te z prawdą mijające się fakta — i nie przejąć się powoli duchem takich pism, to zadanie przechodzące prawie siły człowieka; nie wystarczy takie wyrobienie się, jakie większość czytelników posiada, aby nie poddać się zgubnym wpływom, a trucizna zawsze trucizną zostaje, choćby była słodką i podaną w złotem naczyniu. I w rzeczy samej, poza ciasnem kołem tych, których obowiązki, prawdziwe nie urojone, zmuszają do zapuszczania się w to bagno, inni realnej podstawy do zajmowania się taką prasą nie mają, boć przecież ludzie, stojący na czele takich pism, nie są nawet w stanie informować nas poważnie i rzeczowo. Jak n. p. człowiek, żyjący nienawiścią wiary i Kościoła, może nam pisać bezstronnie i sprawiedliwie o Kościele lub klerze, kiedy on o tych rzeczach nie ma pojęcia i patrzy się na nie tylko ze swego ciasnego i stronniczego punktu widzenia? Jak namiętny agitator może pisać z pozorem słuszności o anomaliach społecznych, kiedy w jego oczach każdy kapitalista czy właściciel już jest tem samem potępiony? Jak pornograf z za-

wodu, moralne zero, może dążyć do zreformowania społeczeństwa, kiedy w nim żyje tylko człowiek-zwierzę?

Nie trzeba również tych pism prenumerować, bo każdy, kto je trzyma, wykazuje jasno, że nie chodzi mu o prawdę, o lekturę poważną, lecz o szkandał i senzacyę. To jest powszechnie wiadomem, dlatego też po pokątnych restauracyach i kawiarniach nie znaleźć pism poważnych, pierwsze za to miejsce trzymają tam *Naprzód*, *Bocian* i t. p. Prenumerowaniem nie tylko bierze się na siebie tę wielką odpowiedzialność przed Bogiem i społeczeństwem, że się pomaga do rozszerzania tych pism, ale ponadto wnosi się zarazę i zepsucie w własny dom; do tych pism mają dostęp sługi, nieletnie dzieci i młodzież dorastająca, a więc w najbardziej niebezpiecznej, bo przełomowej chwili. Nie solidaryzujemy się wprawdzie z *Młodym Dyabłem*, ale za lepszych jego czasów udało mu się takie zdanie, któremu z serca przyklasnąć możemy. »Wy — mówi tu o mężach i ojcach — przynosicie z sobą gorzej kału takiego *Bociana* i czytacie, ale że kultura doszła już do zenitu, więc tego *Bociana* czytacie głośno, swobodnie, nieraz przy dzieciach... Byłem raz świadkiem, jak zacny pan papa przyniósł *Bociana* do domu... Numer *Bociana* udał się w zupełności t. zw. redakcyi; chłopak (syn) aż bladł, aż zieleniał po przestudyowaniu *Bociana*, a na trzeci dzień zachorował... Dosyć rząd dał koncesyi na domy różnego gatunku, tam miejsce dla *Bociana* i jego prenumeratorów, a domy wasze uważajcie za świątynie« [1]. Ten ostry sąd można zastosować nie tylko do *Bociana*, w pewnej mierze odnosi on się i do innych tendencyą mu pokrewnych pism. Zresztą dziwnego naprawdę potrzeba zamiłowania do czytania pism, które na każdym kroku rzucają obelgę, w każdem zdaniu mijają się z prawdą, w każdem słowie bryzgają jadem i opluwają to, co nam powinno być drogiem — jeżeli takie postępowanie kogoś nie oburza, lecz do prenumerowania zachęca, a może nawet wprost pociąga, tego możemy tylko żałować, bo wystawia on smutne świadectwo dla swego poziomu umysłowego.

Toby były dwa, krótko narzucone, lecz w tej sprawie naj-

[1] *Młody Dyabeł* 1904, n. 5.

ważniejsze obowiązki tak jednostki, jak i społeczeństwa. Pozostaje jeszcze kilka słów o zadaniu prasy.

Prasa wogóle za mało zajmuje się podobnymi czasopismami, zdobyła się tylko skutkiem ostatniego procesu *Bociana* na bardzo stanowcze potępienie pornograficznego dwutygodnika; ale poza *Bocianem* jest jeszcze więcej pism uprawiających ten niezdrowy kierunek, a o tych prawie nigdy nic nie słychać. A przecież zwrócenie uwagi rodziców lub wychowawców i wogóle społeczeństwa na szkodliwą tendencyę tych pism, jest rzeczą wielkiej doniosłości, i nie trzeba się lękać, że tym sposobem przyczyni się takim tygodnikom czy dziennikom rozgłosu; w sferach, dla których one przeznaczone, są one aż za dobrze i bez tego znane, nieszczęściem tylko ci, którzy je znać powinni, często o nich nie wiedzą.

Stanowisko prasy wobec omawianych wyżej pism społecznych, nie jest również zupełnie poprawne. Z temi pismami prowadzi się polemiki przeważnie ze względów partyjnych; ton tych polemik jest rzadko cięty, najczęściej namiętny i gorączkowy, a tym sposobem mija się z celem, bo w gorączce walki łatwo się wyrwie jakieś twierdzenie w swej ogólności fałszywe, przytem tom namiętny zdaje się raczej mówić o niesłuszności sprawy. Spokojne, bezstronne przedstawienie rzeczy daleko większy wywoła skutek, boć przecież tłumy tych polemik nie czytają, a poważnemu człowiekowi łatwiej przemówi do rozumu i przekonania sprawozdanie objektywne. Polemiki te powinny mieć także zakres szerszy, nie uwzględniać tylko ataków wymierzonych na jakieś określone stronnictwo, ale objąć całokształt zarzutów i całość destrukcyjnej działalności. Na to nasza prasa nie zwracała uwagi, a jest to przecież rzeczą nie małego znaczenia. I nie zmienia to sprawy, że sobie musimy powiedzieć: my ich nie przekonamy — tu nie chodzi bynajmniej o przekonanie stałych czytelników takich gazet, bo im brak do tego i woli, a często i odpowiedniego wykształcenia, ale o ciągłe wykazywanie fałszów, prostowanie przekształconych faktów, jednem słowem o konsekwentne i wytrwałe oddziaływanie na lepszą część społeczeństwa.

Prasa wreszcie razem ze społeczeństwem będzie mogła

łatwiej zapobiec pewnej, znamiennej dla naszych stosunków anomalii. Nie należymy bynajmniej do zwolenników dzisiejszego systemu policyi w dziennikarstwie, to najczęściej nie wiele pomaga, ale słusznie możemy żądać sprawiedliwego obchodzenia się z nami. Jeżeli. ilekroć jakieś pismo zaatakuje żydów, jakąś instytucyę rządową, często nawet pojedyńczych urzędników, prokuratorya inkryminowane ustępy bez litości konfiskuje, czemuż tak samo nie stosuje ustawy względem pism pornograficznych? Czemuż nie konfiskuje pism, rozsiewających potwarze, wyszydzających religię. propagujących otwarty materyalizm i ateizm? Społeczeństwo i prasa mają i prawo domagać się, i obowiązek dążyć do tego, aby pod tym względem zapanowała zupełna równość, a wspólna akcya łatwiej doprowadzi do osiągnięcia celu.

Kraj, w którym takie pisma, jak powyżej wymienione, bezkarnie grasują i szczególnie na tłumy i na młodzież swój ujemny wpływ wywierają, musi naprawdę z lękiem patrzeć w przyszłość. Jeżeli jednak społeczeństwo i prasa wypełnią swe obowiązki, to nie wytępią wprawdzie tego chwastu, zanieczyszczającego naszą ziemię, ale osłabią jego siłę i znaczenie. i zmniejszą przynajmniej szkodliwe oddziaływanie bagna.

Ks. Wiktor Wiecki.

„TOWARZYSTWA ETYCZNE".

(Dokończenie).

III.

W rozpatrywanych dotąd teoryach »Towarzystw etycznych« niejedna prawdziwie piękna i głęboka myśl, cel szlachetny — umoralnienia jednostek i społeczeństw, energia i wiara w powodzenie, z jaką zabrały się do urzeczywistnienia szczytnego a bardzo trudnego do osiągnięcia, swego celu, bezwątpienia zjednały sobie naszą sympatyę. Prawda! to poglądy i cele nie nowe, te prawdziwie głębokie myśli i cel piękny, to idee i cel znany chrześcijańskiej etyki. Niemniej wszakże na uznanie wszelkie zasługuje pobudzenie uśpionej dziś w ludzkości energii przez nowy »Ruch etyczny«. Oto rys dodatni.

Te same jednak teorye są zarazem ujemnym objawem, dowodzącym dziwnej zaiste sprzeczności z pierwotnem założeniem swych autorów. Szermierze nowego »Ruchu« nie tylko zaznaczają indywidualne swe zapatrywanie na poszczególne kwestye, jak pierwotnie zamierzali, nie tylko popierają je dowodami rozumowymi, ale wytyczają środki do wspólnego celu, w wielu razach przyjęte w praktyce przez liczne »Towarzystwa«, wszyscy w tym samym kierunku uniezależnienia etyki od religii stwarzają teoryę, oprócz małoznaczących różnic zdań, jednolitą. A przecież głoszono poprzednio, że »Ruch etyczny« teoryi nie zna, na tem polu pozostawia swobodę zapatrywań, które tylko

indywidualną mają wartość i znaczenie, troszczy się wyłącznie o praktyczną działalność. Do celu wytkniętego zmierzać, — jaką drogą, — wszystko jedno, — to myśl główna, tylokrotnie powtarzana.

Każde jednak stowarzyszenie, zwłaszcza na polu praktycznem czynne, musi mieć, — jak zaznaczyliśmy wyżej, — wytknięty jasno nie tylko cel, ale i drogę, środki dobitnie i w szczegółach wytyczone. Konieczne to do jednolitego, wspólnego działania. A przytem, jeżeli sam cel stowarzyszenia w osnowie swej zawiera punkt niejasny, pewną teoryę, którą nie każdy ślepo i bez zastrzeżenia przyjmie, potrzeba wprzód usunąć zawiłość myśli, udowodnić słuszność postawionej zasady. Wszystko to ma właśnie miejsce w naszych »Towarzystwach etycznych«. Cel umoralnienia ludzkości, »bez względu na... przekonania teologiczne lub filozoficzne« (jednostek), sformułowany niejasno, zawiera oczywiście, jako założenie, tę prawdę zasadniczą, czy dogmat: niezależność etyki od religii, bo przecież niezależnie od tej ostatniej kieruje wysiłki ku umoralnieniu ludzkości. Kto jest przekonany o nieprawdziwości tego dogmatu, konsekwentnie nie może przyjąć celu »Towarzystw«, ani do nich przystąpić.

Z tych wszystkich powodów, chyba nie bez świadomości szermierzy »Ruchu etycznego«, powstała jego teorya, sprzeczna z uprzedniem zapewnieniem, a wykazująca właściwą wartość i znaczenie enuncyacyj, któreśmy podali w poprzedniej części naszej pracy.

Wróćmy teraz jeszcze raz do tego założenia celu »Towarzystw« [1], do kwestyi niezależności moralności od religii. Dla nich to »kwestya bytu«, grunt i fundament całego »Ruchu«. Jeżeli zasada ta jest wątpliwej wartości, jeżeli co gorsza jest błędnem przypuszczeniem, to i cały na niej oparty »Ruch etyczny« niema racyi bytu, nie mogąc osiągnąć swego celu. Związek tu jest ścisły. Podobnie jak człowiek, który nie wierzy w prawdziwość tej zasady, nie może przystąpić do »Towarzystw«, tak samo, gdy pod-

[1] Żywe poparcie zasady niezależności etyki od religii uznały za cel swój niemieckie »Towarzystwa etyczne«. Por. *Vorbereitende Mittheilungen* i t. d. miejsce poprzednio dosłownie podane.

stawowe to założenie jest fałszywem, i »Towarzystwa« na niem opierające swój cel istnienia, możliwość jego dopięcia, pozbawione są punktu oparcia, nie mają celu, (bo cel niemożliwy do dopięcia nie może być celem), owszem zamieniają się w szkodliwą, antyreligijną propagandę. By więc sobie sąd utworzyć o uzdolnieniu »Towarzystw« do, samego w sobie, bardzo wzniosłego celu umoralnienia społeczeństwa ludzkiego, jaki sobie założyły, choć na podstawach wymienionych, — nie wdając się już w szczegółową ocenę wielu ich z gruntu błędnych poglądów, — wystarczy nam tylko zbadać, czy i o ile to najbardziej zasadnicze ich założenie (niezależność moralności od religii) jest słusznem i prawdziwem?

Punktem zwrotnym i osią każdej etyki jest zapatrywanie na genezę i istotę »obowiązku«. Każdy twórca nowej teoryi etycznej dobrze to rozumie, i dlatego główny nacisk zawsze kładzie przedewszystkiem na ustalenie i jasne a konsekwentne przedstawienie swego poglądu w tej dziedzinie. Przewódcy »ruchu etycznego« wiele rozważań poświęcają w rozwijaniu swych teoryj właśnie temu przedmiotowi. A ponieważ ich poglądy w innych kwestyach etycznych zasadniczo słuszne, t u d o p i e r o zbaczają z drogi ścisłości logicznej, od tego więc stadyum rozumowań o obowiązku rozpoczniemy nasze dociekanie prawdy. Szeroko o tej kwestyi rozpisywać się nie mamy zamiaru już z tego chociażby względu, że jak cała teorya, od kilku już wieków stawiana, niezależności moralności od religii, od dawna już została należycie wyświetlona i odparta, tak też i ten szczegółowy traktat o obowiązku ma całą swoją literaturę i w naszym języku, i w tem naszem czasopiśmie obydwa przedmioty obszernie już omówiono[1]. Narzucimy więc tylko główny bieg myśli w roztrząsaniu zagadnienia o obowiązku, poruszymy z teoryj przeciwnych najwybitniejsze tylko w naszej materyi zarzuty i wysnujemy nakoniec wnioski odnośne do stosunku obowiązku do Boga, religii.

W poprzedzającej części naszej pracy[2] przytoczyliśmy bieg rozumowań jednego z najwybitniejszych teoretyków »Towarzystw

[1] Tom III, str. 329 i nast.; IV, str. 92 i nast.; L, str. 93 i n.; str. 352 i nast.

[2] *Przegląd Powszechny* zeszyt lutowy 1905, str. 243, 4.

etycznych« w kwestyi o obowiązku, W. L. Sheldon'a. Trudnoby chyba było znaleźć lepsze uchwycenie samego jądra naszego zagadnienia, jak to właśnie miejsce jego dociekań, które dla przypomnienia jeszcze raz powtarzamy: »Głos (obowiązku) rozlega się w nas samych. Ale skądże pochodzi? Miara wartości jest w jaźni naszej. Ale kto lub co jest poza nią? Sama świadomość nie daje nam odpowiedzi dokładnej. Mamy tu tylko jakby napomknienie czegoś istniejącego poza nami, jakiegoś porządku zewnętrznego w stosunku do nas, a jednak nas zawierającego. Istnieje tu jak gdyby przebłysk nieskończoności i wieczności. Narazilibyśmy się na wielkie niebezpieczeństwo, zapuszczając się zbyt daleko w tem roztrząsaniu, gdy stajemy tu na granicy, gdzie etyka zlewa się z religią« [1].

To najlepsze wprowadzenie naszej kwestyi i punkt główny naszego rozumowania. Zacznijmy teraz od najogólniejszego pojęcia o istocie tego faktu świadomości naszej, który nazywamy głosem obowiązku. Czem jest obowiązek w istocie swojej i jaki jest jego przedmiot? Wiemy doskonale z świadomości naszej, że głos obowiązku odzywa się tylko tam, gdzie chodzi o działanie na polu moralnem. Jest to szczególną właściwością zasad etycznych, odróżniającą je zasadniczo od wszelkich innych norm i reguł. Zupełnie od mego własnego upodobania zależy zachowanie reguł gramatyki czy krasomówstwa, przepisów mody lub zewnętrznych form towarzyskich. Pogwałcenie tych przepisów nie zmniejsza wcale szacunku, jaki żywię dla siebie samego, a od innych ludzi spotka mię za to co najwyżej zarzut niegrzeczności, niezgrabności i t. p. Jeżelim natomiast wykroczył przeciw przepisom moralnym, mam zawsze świadomość, żem postąpił wbrew temu głosowi wewnętrznemu, który mi dyktował wyraźnie: »powinieneś«; za to też własny sąd rozumu mię potępia i piętnuje ten czyn jako zły i niegodny. Głos ten odzywa się nawet w odosobnieniu, zdala od oka ludzkiego i na przekór wszelkim usiłowaniom mej własnej woli, niezależnie od zdania i mniemania innych ludzi domaga się bezwarunkowego posłuszeństwa. Nie tylko w cywilizowanem spo-

[1] »Ruch etyczny« str. 81 i 82.

łeczeństwie człowiek ten głos słyszy, słyszy go każdy i najdzikszy nawet. Nic też dziwnego, że ten fakt, z własnej naszej świadomości zaczerpnięty, nie spotkał się z zaprzeczeniem, choć źródło jego w rozmaity sposób rozmaici tłumaczą. »O wszystkiem zresztą mogę powątpiewać«... mówi sam, wspomniany wyżej, Wilhelm Salter, »ale o tem wątpić nie mogę, że istnieje sprawiedliwość i niesprawiedliwość, i że do czynienia sprawiedliwości jestem zobowiązany... Oczywistą jest rzeczą, że tego prawa ludzie nie stanowią, ale już je znajdują... prawo powszechne dla każdego rozumu...« [1] Więc co to jest to »powinieneś«, które staje często i bardzo nawet często w poprzek naszym zachciankom, gdy chodzi o działanie na polu moralnem, jak to wiemy z własnego doświadczenia? Czy to jest może zmuszenie gwałtem, przemocą fizyczną? Nie. Czujemy to dobrze, i wiemy z doświadczenia, że wbrew temu głosowi często postępujemy, a więc, że możemy mu się sprzeciwić. Mamy swobodę wyboru. Oto więc obowiązek, jak go tu pojmujemy, to jakiś jakby węzeł moralny krępujący nas, ale nie odbierający nam zupełnej możności postąpienia przeciwnie, i to w zasadach obyczajowych czyli na polu moralności. Mamy oto niezupełne jeszcze pojęcie i określenie obowiązku, ale, nie wchodząc w kwestyę jego pochodzenia i źródła, innego tymczasowo dać nie można.

Jak się mamy zapatrywać na ten głos obowiązku? Mamy świadomość jego istnienia, ale jeżeli ten odzywający się wewnątrz nas głos jest nieuzasadniony, nierozumny i niegodny człowieka, to zamiast go słuchać, należy nim wzgardzić, w sobie tłumić i zawsze go lekceważyć jako jakiś ślepy, zwierzęcy instynkt nas poniżający. Do tego rezultatu doprowadzić musi takie tłumaczenie pochodzenia obowiązku, jakiego nam np. dostarcza H. Spencer. Kreśli on najpierw na pół zwierzęcy stan człowieka, trzymanego w pewnych karbach przez bojaźń dzikich pobratymców. W następnym stopniu rozwoju zapanowała w człowieku obawa przed tym, któremu się udało uzyskać przewodnictwo nad hordą czy szczepem. Później wreszcie do dwóch poprzednich dołączył się hamulec

[1] »Religia moralności«, w niem. tłum. str. 12.

»religijny«, oparty, według Spencera, na wysnutem ze zjawisk snu, omdlenia i t. p. przypuszczeniu dwoistej jaźni ludzkiej, z której jedna we śnie opuszcza chwilowo ciało, a po śmierci jako upiór straszy i karze za złe. Tym hamulcem więc była bojaźń przed upiorami, a zwłaszcza przed tą drugą jaźnią zmarłego naczelnika szczepu, czuwającego rzekomo nad wykonywaniem wydanych przez siebie za życia rozporządzeń. Usiłowano ułagodzić gniew duchów przez ofiary i błagania. W ten sposób stopniowo z pewnemi czynnościami skojarzyło się na zawsze wrażenie przymusu. Stąd powstała bojaźń przed podobną czynnością. Z tym psychologicznym rozwojem ręka w rękę szło stworzenie hamulca wewnętrznego. Na podstawie doświadczenia osobistego utworzyło się przekonanie, że z natury już pewnych czynności wynika szkodliwy, z innych korzystny skutek i przyjemny. Przy stopniowym postępie rozwoju hamulec ten wewnętrzny spoił się w jedno z zewnętrznym w zbyt nieokrzesanym jeszcze umyśle dzikiego człowieka, i z nich to powstało to uczucie przymusu i powinności w stosunku do pewnych czynności, których się pierwotnie z samej tylko bojaźni unikało. Stąd poczucie obowiązku istotnie powstanie swoje zawdzięcza tylko zamieszaniu pojęć i nieuzasadnionemu uogólnianiu rzeczy, więc w wyższym stopniu rozwoju zniknąć musi, bo się zacznie działać już tylko z czystej miłości dobra. Przy nadzwyczajnych tylko okolicznościach, gdy ta ostatnia skłonność nie wystarczy, podniesie swój głos p o w i n n o ś ć [1].

Ta hipoteza, — bo Spencera tłumaczenie pochodzenia obowiązku jest tylko przypuszczeniem, — znalazła wielu zwolenników; wśród przedstawicieli nowego »Ruchu etycznego« hołduje jej i G. Giżycki.

Z systemów i zapatrywań na genezę i istotę obowiązku głoszone są z uznaniem w nowoczesnem społeczeństwie jeszcze teorye Kanta, Wundta, Utylitarystów angielskich i ich następców, jak Paulsena i t. d. Zestawiamy razem te wybitniejsze tylko kierunki nowszej doby, by już następnie jednym ciągiem snuć dalszy wątek rozumowania. — Według Kanta, przepisy obyczajowe czerpią swą

[1] »Zasady etyki«.

moc obowiązującą z samegoż rozumu ludzkiego, który wobec tego jest swym własnym prawodawcą, — oto autonomia rozumu na polu etycznem, która odtąd przewija się, choć w różnorodnej postaci, we wszystkich niemal następnych systemach filozofii moralności. Rozum, jako prawodawca, głosi kategoryczny imperatyw »powinieneś« w zupełnie bezwzględnej formie. Czynność nasza tylko wtedy zasługuje na nazwę czynności moralnej, jeżeli jej motywem jest cześć i miłość tego prawa rozumu.

Pragnienie przyjemności, obawa przykrości stanowi, według Benthama, istotę tego, co nazywamy obowiązkiem. *The utility* to tylko egoistyczna przyjemność, jedyny bodziec wszystkich czynności ludzkich. To pewnik nie potrzebujący dowodów. Obowiązek jest pojęciem niedorzecznem, cnota polega na wyrzeczeniu się przyjemności obecnej dla zwiększonej przyjemności przyszłej. Przypuszcza on przytem, że przyjemność jednostki jest zawsze w harmonii z dobrem ogółu. Nie tak się łudzi Stuart Mill. Wie dobrze, że często przyjemność jednostki jest dla ogółu szkodliwą, a naodwrót ofiara pierwszej jest korzystną, nieraz i konieczną dla dobra społecznego. To też nie mogąc, jako Utylitarysta, innego znaleźć punktu wyjścia, jak przyjemności, twierdzi, że postępki chwilowo przyjemne dla jednostki, choć dla ogółu szkodliwe, zawierają, — według nauki innych i naszego później własnego, rozumowego doświadczenia, — bardzo często, jako następstwo, przykrość i dla jednostki, a naodwrót czynności dla jednostki chwilowo przykre, spełnione dla dobra powszechnego, przynoszą w rezultacie i jednostce przyjemność i korzyść. Drogą skojarzenia pojęć wytworzył się w naszym ustroju psychicznym, — zdaniem Mill'a, — jakiś wstręt do czynności niemoralnej, a pociąg do moralności. Oto sposób wytworzenia się sumienia i głosu obowiązku.

Teoryę Benthama przyjmuje Giżycki, ale tylko w zastosowaniu do człowieka pierwotnego, na najniższym szczeblu kultury stojącego. »Moralna istota« jest swym własnym prawodawcą, a zapewnieniem czyli sankcyą zachowania posłuszeństwa temu prawu są uczucia moralne (zadowolenie, cześć, żal, pogarda samym sobą i t. d.). Te uczucia są, zdaniem samegoż Giżyckiego, podstawą

moralności, a etyk musi przyjąć ich istnienie, choć nie wie, skąd one pochodzą.

Wundt za Ewolucyonistami sądzi, że pierwotnie istotę obowiązku stanowiła obawa przed karą zewnętrzną. Wtedy jeszcze obyczaj i prawo nierozdzielne były od siebie. Z czasem obyczaj ujął w sobie same tylko wewnętrzne, moralne pobudki względu na sąd ogółu ludzkiego, gdy prawo pozostało przy swej sankcyi przymusu zewnętrznego. W następnym stopniu rozwoju do wymienionych już pobudek przystępują wyższe motywy, jak trwałe zadowolenie, wreszcie wytknięcie sobie moralnego celu życia. Początkowo ukazywały się te pobudki w religijnej szacie przykazań, posługując się w swym wpływie postacią religijnej gminy. Religia zaś sama w istocie swojej jest tylko konkretnem, zmysłowem wcieleniem ideałów moralnych. Co człowiek w swej moralnej świadomości odczuwa, to ubiera jego wyobraźnia w objektywne, przedmiotowe a realne kształty. Odrzuciwszy więc tę narzuconą formę, znajdzie się właściwą treść i istotę nakazów moralnych.

Pierwotną treścią obowiązku, — mówi Fr. Paulsen, — jest zwyczaj (pojmuje go on, jako uświadomiony instynkt), powołujący się na pewną powagę. Przemawia w nim do jednostki: wola rodziców, narodu, wreszcie wola bogów, stosownie do wyobrażeń dotyczących osób. Ta potrójna powaga składa się na uczucie powinności, uznaje ją bowiem nasza wola, jako powołaną do kierowania nami, a poczuwająca się nawzajem do bezwzględnego posłuszeństwa jej rozkazom, nawet w braku jakiejkolwiek sankcyi zewnętrznej.

W odpowiedzi na te i na tym podobne, liczne obecnie, sposoby tłumaczenia genezy i istoty obowiązku, pomijamy już nasuwający się mimowoli zarzut, że hipotezy na stwierdzonych podstawach nie oparte (takiemi bowiem są te wszystkie teorye) równem prawem lekceważyć można, jak lekkomyślnie zostały postawione *(quod gratis asseritur, gratis negatur).* Wszystkie te poglądy sprowadzić się dadzą do trzech kategoryj: *a)* Obowiązek — to jakieś, nie dające się wytłumaczyć uczucie, które przyjąć należy poprostuj ako fakt, o pochodzeniu i naturze niezbadanej.

b) Obowiązek — to nakaz kategoryczny od nas samych pochodzący. *c)* Obowiązek, — to konieczność oparta na następstwach przyjemnych względnie przykrych dotyczącego czynu, a wprowadzona w drodze ewolucyi coraz bardziej uszlachetniających się pobudek.

W tem ugrupowaniu systemów zawiera się prócz wymienionych wyżej, wiele innych współczesnych poglądów na genezę i istotę obowiązku.

Pierwsze teorye wprowadzają naprzód niejasność kwestyi fałszywem pomieszaniem pojęć »obowiązku« i »uczucia«, czy raczej »poczuwania się do zobowiązania«. A to dwa pojęcia zgoła odmienne. Każde uczucie, lub uświadomienie sobie czegoś, wymaga odrębnego od siebie przedmiotu, który musi b y ć wpierw, nim nastąpi czynność uświadamiająca. Stąd też i pojęcia np. »uczucia religijnego«, czy »uczucia zobowiązania« oznaczać mogą i oznaczają coś subjektywnego, podległego zmianom, różnego u różnych jednostek, różnego pod względem stopnia nawet u tej samej jednostki w różnych czasach i okolicznościach, — gdy tymczasem obowiązek pojmuje się jako coś jednolitego w sobie, objektywnego, niezmiennego, niezależnego od stopnia uświadomienia go sobie w jednostce. I jeżeli się mówi o obowiązku, o jego pochodzeniu i istocie, zwracać należy uwagę nie na samo uczucie, ale na jego przyczynę i źródło, i badać, czem ta przyczyna jest sama w sobie, skąd się wzięło to, co wywołuje w nas poczuwanie się do zobowiązania?

Postawiwszy w ten sposób jasno nasze zagadnienie, jasną też zaraz mamy odpowiedź na pierwszą grupę powyższych poglądów. Zwolennicy ich przyznają bez zastrzeżeń, że przyczyny tych »uczuć« nie znają. Ale jakiem prawem utrzymują, że przyczyny tej, t. j. według określeń zaznaczonych — samegoż obowiązku poznać n i e m o ż n a ani zbadać jego pochodzenie? I wobec tego na jakiej zasadzie oparci każą ślepo słuchać tego głosu, który może nie na posłuch ale na wzgardę zasługuje? Wszak nic o nim nie wiemy ani wiedzieć nie możemy. Nie na to przecież mamy rozum, byśmy ślepymi instynktami mieli się powodować. Te więc teorye kwestyi nie wyjaśniają, ale raczej gmatwają i to bezpodstawnie, bo bez oparcia na dowodzie rozumowym.

Więc »subjektywna, aprioryczna forma (Kanta) jest właściwem prawem moralnem! Chcesz postępować moralnie? działaj nie tylko p o d ł u g tej normy, ale też wyłącznie d l a tej normy. Gdy się powodujesz żądzą jakiegośkolwiek dobra, choćby miłością Bożą, działasz może legalnie, ale niemoralnie. Na tem właśnie zależy a u t o n o m i a człowieka, że i modłę i oraz pobudkę czynu z siebie wyłącznie bierze. Nie pytaj więc: skąd, dlaczego taki rozkaz wewnętrzny? rozum praktyczny tak każe, bo taka jego natura i basta.

Słaba zaiste pobudka moralności, skoro ten sam. niemniej praktyczny rozum wierci mię jeszcze pytaniem: cóż ci z tego, że prawa rozumu posłuchasz? Gdyby przynajmniej Kant chciał nam coś więcej powiedzieć o tym rozumie praktycznym; jaki cel, jaki pierwowzór tego wrodzonego prawa? czy ono od Boga, czy skądinąd pochodzi, możeby nas łatwiej do cenienia i słuchania jego rozkazów pobudził. Ale kiedy »Krytyka czystego rozumu« tym wszystkim teoretycznym kwestyom wrota zamknęła, orzekła, że to ignotum X, doprawdy jesteśmy w szkole Kanta w gorszem położeniu, niż u Zenona, gdzie przynajmniej męstwo człowieka cnotliwego było miłem widowiskiem bogów« [1].

Głos obowiązku to nakaz kategoryczny, od nas samych pochodzący. Mam mu więc być posłuszny? Dlaczego? Na jakiej podstawie domaga się on odemnie posłuszeństwa? Nie każdy przecież rozkaz, skądkolwiek pochodzący ma moc krępującą działanie przeciwne. Musi on się wykazać uprawnieniem i mocą dotyczącą. Dlatego wymaga się przedewszystkiem, żeby rozkazujący był wyższym od słuchającego, aby nad nim rzeczywiście mógł swą władzę rozpościerać, bo nikt przecież nie zaprzeczy, że rozkaz jest aktem władzy. Stąd trudno zrozumieć, jak rozum, a raczej wola (bo rozum poznaje tylko, a wola dopiero może nakazywać) może sobie samej wydawać rozkazy. A potem, jeżeli już wola samą siebie zobowiązuje, czyni to albo w sposób konieczny albo dowolny. Jeżeli konieczny, to przecież n i e o n a wydaje ten na-

[1] Ks. M. Morawski w art. »Czy jest możebna moralność sekularyzowana?« w *Przeglądzie Powszechnym* t. III, str. 334.

kaz, bo według wszelkich pojęć ludzkich ta sama władza, która nakazała, może znieść swe zarządzenie. Gdy zaś wola tylko u z n a j e nakaz skądinąd pochodzący, powraca znów początkowe zagadnienie o pochodzeniu obowiązku. Więc czyni to w sposób dowolny. Wtedy ustaje wszelkie ścisłe zobowiązanie, bo ten węzeł swobodnie można rozerwać. I niema obowiązku. W takim razie lepiej już za Kantem ostatecznie wyznać otwarcie, że się nie wie nic o genezie obowiązku, niż zaprzeczać wyraźnie lub domyślnie fakt oczywisty świadomości ludzkiej.

Pozostają więc względy konieczności, oparte na następstwach czynu dobrego, względnie złego. Oczywistą jest rzeczą, że w pojęciu obowiązku zawiera się konieczność (naturalnie nie fizyczny przymus) i pod tym względem zapatrywanie to słuszne. Chodzi tylko o zbadanie źródła tej konieczności. I tu rozchodzą się drogi rozlicznych systemów, które ten rodzaj konieczności utożsamiają z pojęciem obowiązku. Jedne przypisują ją sankcyi zewnętrznej, inne wewnętrznej. Niektórzy, jak H. Spencer w opisie genezy obowiązku, łączą z sobą obie. — Sama obawa przed karami ludzkiemi, wymierzonemi przez państwo lub opinię publiczną, ani też pragnienie nagrody czy pochwały z tychże samych źródeł pochodzącej nie może być przyczyną i źródłem głosu obowiązku, jest pobudką niewystarczającą i niegodną podniosłego jego charakteru. Naprzód bowiem głos obowiązku staje nieraz w wyraźnej sprzeczności z żądaniem państwa lub opinii, każe raczej narazić się na wszystkie przykrości, niż zboczyć z drogi, którą on nam wykreśla. Poucza nas o tem własna nasza świadomość. Głos obowiązku przemawia dobitnie i to najczęściej w takich okolicznościach, w których dosięgnąć nas nie może ani wyrok państwa ani sąd opinii publicznej. Wreszcie jasną jest rzeczą, że np. wstrzymujący się od występku kradzieży tylko z obawy przed karzącem ramieniem władzy lub karcącą opinią, nie zasługuje na uznanie za czyn moralny, bo do tego potrzebnem jest nieodzownie, by wola z m o r a l n y c h pobudek wstrzymywała od występku a do dobrego wiodła. Jeżeli obawa tylko przed karą ludzką i pragnienie nagrody ma być tu rozstrzygającym motywem, oczywiście »obowiązek« jest zupełnie zbyteczny. Niema go tedy wcale,

sam postrach utrzymać musi ludzi w karbach, podobnie jak człowiek sam panuje nad zwierzęciem.

Na te wnioski narazić się nie chcą zwolennicy sankcyi zewnętrznej i dlatego jak Spencer, uważając za niegodną człowieka — konieczność opartą li tylko na bojaźni, wprowadzają w wyższem stadyum rozwoju człowieka odpowiedzialność polityczną uzasadnioną motywem, że władzy należy się posłuszeństwo ze strony poddanych. Tu już jest pierwiastek moralny, — prawda. Ale skąd się wziął ten motyw? Skąd ma państwo czy rodzice p r a w o rozkazywać, a ja o b o w i ą z e k ich słuchać? Ilościowa czy fizyczna przewaga może wpłynąć na z m u s z e n i e mię do posłuszeństwa, ale nigdy na z o b o w i ą z a n i e mię do tego. Już przy pierwszym nakazie tych władz, musi być w ich posiadaniu u p r a w n i e n i e do tego, a u mnie o b o w i ą z e k do posłuszeństwa, inaczej nie może być mowy o jakiemkolwiek zobowiązaniu. Wprzód przecież muszę być p r z e k o n a n y, że rozkaz jest s ł u s z n y i że ja p o w i n i e n e m mu się poddać. I tu dziwny jest zaiste ten błąd logiczny, *petitio principii*, który popełnia Spencer, dowodząc genezy i stopniowego wytwarzania się obowiązku z tego stanu »odpowiedzialności politycznej«, opartej na posłuszeństwie względem uprawnionej do tego władzy, w której oczywiście już musi koniecznością logiczną tkwić ś c i s ł e z o b o w i ą z a n i e ze strony poddanego. Oto dowodzenie obowiązku przez obowiązek czyli przyjęcie w przesłankach za pewne tego, do czego się ma w rozumowaniu dojść dopiero we wniosku.

Jak z sankcyą zewnętrzną, podobnie też ma się rzecz z sankcyą wewnętrzną. Jeżeli z egoistycznych pobudek ewentualnego doznania uszczerbku na mych doczesnych, cielesnych czy duchowych dobrach, względnie nadziei ich pomnożenia, wstrzymuję się od złego a pełnię dobry czyn, postępowania mego nikt nie nazwie m o r a l n i e dobrem. Nikt też nie powie, że powoduję się tu głosem obowiązku. A nadto nie masz tu przecież i ścisłego z o b o w i ą z a n i a z mej strony, ponieważ nikt mi nie wykaże, że te dobra powinny być celem mych dążeń i wysiłków. Przytem ta sankcya w bardzo wielu wypadkach okaże się zupełnie niewystarczającą, podobnie jak zewnętrzna, bo głos obowiązku od-

zywa się często i w takich razach, gdzie żadnej straty lub nagrody w dobrach doczesnych spodziewać się nie można. Częściej jeszcze właśnie sprzeciwia się głos obowiązku moim własnym interesom i korzyściom.

W poprawionej przez Mill'a teoryi Utylitarystów razić musi »widoczna słabość tych ich instynktów moralnych« (wstrętu, pociągu, zastępujących czy utożsamionych z ideą obowiązku, sumienia), które również zaliczyć możemy do pewnego odcienia sankcyi wewnętrznej. »Przykrość i przyjemność, jakiej doznać można od assocyacyi pojęć, jest przecież niczem w porównaniu do przykrości, na jakie czasem obowiązek każe się narazić i do siły namiętności, którą cnota każe poskramiać. Cóż pomogą wyobrażenia doznanych złych skutków występku, kiedy w danej okazyi występku rozum się przekona, że żadne podobne niebezpieczeństwo nie grozi? W takim razie nie tylko fizycznie mógłbym, ale moralnie (podług moralności utylitarnej) powinienbym występnie działać. Zresztą na dłoni leży różnica między wskazówkami doświadczenia a głosem sumienia *(dictamen conscientiae)*. Z nawyknienia wiem, że pokrzywa piecze, róża pachnie, że zacieniona droga wśród upału przyjemniejsza od otwartej, wspomnienia te i wyobrażenia towarzyszą sobie stale w moim umyśle, kieruję się też niemi w potocznych rzeczach..., ale cóż podobnego w tych wskazówkach do uroczystego głosu obowiązku? cóż tu wspólnego z tą moralną głębią mojej istoty, którą sumieniem nazywam?« [1]

A jeżeli sankcyą wewnętrzną nazywa się zadowolnienie naszego sumienia względnie jego wyrzuty, to znów przypuszcza się to, co należało właśnie udowodnić, ponieważ to uznanie sumienia czy jego wyrzuty niczem innem nie są, jak tylko skutkiem posłuchu lub lekceważenia głosu obowiązku. Dlatego naturalnie sumienie milczy, jeżeli opuścimy jakąś czynność, do której zobowiązani nie jesteśmy.

Nie tłumaczy wreszcie idei obowiązku skłonność do naśladowania innych i zakreślenie sobie na tem tle etycznego ideału życia, bo przecież według samegoż Wundt'a, autora tego pomysłu,

[1] Ks. M. Morawski, jak wyżej str. 340.

to tylko wytwór wyobraźni, nieugruntowany na rzeczywistych, istotnych podstawach. Wtenczas ten odzywający się po wszystkie czasy i w całej ludzkości głos obowiązku, powstały tylko z zamieszania i nieuzasadnionego uogólniania pojęć niczem innem nie jest, jak tylko grą złudnej wyobraźni, i konsekwentnie musi się przyznać, co słusznie ze swej teoryi wysnuł H. Spencer, że wobec trzeźwo i realnie na rzeczy patrzącego umysłu »obowiązek« musi zniknąć, choć z zadziwiającą sprzecznością wyraźnie podnosi, że — w chwili, gdy samo umiłowanie dobra okaże się niewystarczającym hamulcem, powstrzymującym nas od złego, tenże sam obowiązek odezwie się z decydującem ostrzeżeniem.

Czemże więc jest ten »obowiązek« i skąd on się bierze? Pytanie to pozostaje jeszcze nie rozstrzygniętem. Widzieliśmy, że źródło ścisłego zobowiązania nie może tkwić ani w jednostce, w jej rozumie i woli lub korzyściach osobistych, ani w zbiorowości jakiejkolwiek, opartej na przewadze czy potrzebie organizacyi wewnętrznej w społeczeństwie spojonem obowiązującą mocą ustaw, — słowem w całym obrębie natury ludzkiej. Z drugiej zaś strony, obowiązek — to nie jest wytwór sztuczny wyobraźni lub fałszywie skombinowanych bojaźni. Cóż więc pozostaje? Fakt niezaprzeczony, że istnieje obowiązek, odzywający się we wszystkich czasach, miejscach, nakazujący człowiekowi spełnienie pewnych czynów, wstrzymanie się od innych, postępować dobrze, unikać złego. Wszystko zaś co istnieje, musi mieć swoją przyczynę. A jeżeli ten obowiązek istnieje we wszystkich ludziach, jeżeli wszystkim drogę dobra wykreśla, jeżeli tak ściśle jest zespolony z naturą ludzką, że gdziekolwiek znajduje się ta ostatnia i on się okazuje, jeżeli nadto nie znajduje swojej przyczyny w całym obrębie natury ludzkiej, widocznem jest, że źródło i przyczyna powstania tego obowiązku tkwi ponad naturą ludzką, bo zresztą ten, który moc obowiązującą nakłada, wyższym być musi, od tego, komu ją wpaja.

Postawić nam tu jednak może ktoś ten sam zarzut, któryśmy wytknęli H. Spencerowi. Jakto? Więc jakaś Istota każe nam się poddać głosowi obowiązku, i przezeń zakreśla nam drogę postępowania moralnego, — a skąd ma do tego uprawnienie? Więc lo-

gicznie pierwej istnieje nasze zobowiązanie do posłuszeństwa względem tej Istoty, zanim nastąpi nasze zobowiązanie do słuchania pośredniczącego między Nią a nami głosu obowiązku. Wtedy dowodzi się znów zobowiązania przez zobowiązanie. A skąd to pierwsze zobowiązanie?

Zarzut byłby słuszny, gdybyśmy przyczynę pierwszego zobowiązywania upatrywali w innej Istocie, jak Tej, która jest źródłem i przyczyną naszego bytu. Ta właśnie trudność i zarzut dowodzi najwyraźniej, że źródłem i przyczyną zobowiązania żadna inna Istota być nie może, jak tylko Twórca naszej natury, Źródło naszego istnienia — Bóg. W tym tylko wypadku jasno się tłumaczy geneza obowiązku. Zobowiązanie nasze względem Boga opiera się w ten sposób ostatecznie na naszym stosunku najściślejszej zależności od Niego, bo sam byt nasz i istotę Jemu zawdzięczamy. On ma do nas prawo, bośmy Jego stworzeniem, a jako takie mamy ścisłe do posłuszeństwa Jego rozkazom zobowiązanie, oparte na naszym bycie zależnym. Przykładu tak ścisłego poddania i zależności nigdzie nie znajdziemy, bo choć np. wytwór sztuki zależny jest od swego twórcy i mistrza, jednak nie jemu jednemu cały swój byt, tylko ten rodzaj bytowania zawdzięcza.

Znamy więc już pochodzenie obowiązku. Istotą zaś jego jest właśnie ta konieczność czynienia dobrze a unikania złego, której podstawą i motywem jest, okazująca się przez pośrednictwo głosu obowiązku, wola naszego Stwórcy. Mógł nas Bóg zmusić do posłuszeństwa swym nakazom, lecz, udzielając nam wolności wyboru, dał nam zarazem głos wewnętrzny, przypominający nasze zobowiązania, wyrażający Jego wolę i nakaz, choć nie odbierający nam absolutnej możności sprzeciwienia się im.

Niesłusznie zarzucają tu zwolennicy »Ruchu etycznego«, że posłuszeństwo tak pojętemu głosowi obowiązku jest niewolniczem, tylko na bojaźni kary opartem, i powtóre, że obowiązek oparty na woli Bożej ma podstawę niepewną, bo ta wola jest zmienną. Oczywiście, gdyby ktoś tylko dlatego unikał sprzeciwienia się głosowi obowiązku a pośrednio woli Bożej, że naraża się na kary, a przytem miał przywiązanie do czynności złej, lub nie miał

wstrętu do samego przewinienia, sprzeciwienia się głosowi obowiązku, — pewną jest rzeczą, że wtedy powodowałby się pobudką niemoralną, przeciwną swojemu stosunkowi zupełnego zobowiązania względem Boga. Jeżeli ktoś jednak powstrzymuje się od złego, i brzydzi się samem przewinieniem względem Boga dlatego, że ten Bóg za to przewinienie karze, to choć nie doskonałą kieruje się pobudką, jednak pobudką moralną, bo choć pośrednio, ma jednak wstręt do przestąpienia tego zobowiązania i do rzeczy zabronionej. Postępuje jako człowiek rozumny, bo choć nie z pobudek czystej miłości, ale z rozumowych motywów p o t ę p i a działanie przeciwne głosowi obowiązku i woli Bożej.

Tem bardziej słaby jest drugi zarzut. Ze strony Boga przepisy moralności i ich moc obowiązująca są zupełnie bezwarunkowe i bezwzględne. Stwórca nie warunkowo tylko żąda zachowania porządku moralnego, a z istoty swojej, jako byt niezmienny woli swojej zmienić nigdy nie może. Nie przemawia On do nas: »Uszczęśliwię cię na wieki, j e ż e l i tylko zachowasz przepisy moralne; zresztą obojętną mi jest rzeczą, czy to wykonasz, czy nie«. Bezwarunkowo żąda On zachowania praw przez siebie bezwarunkowo postanowionych; nie podoba Mu się i nigdy i nigdzie i w żadnych okolicznościach podobać się nie może przekroczenie tych praw dobrowolne. Prawa Boże nie są to prawa takie, jak nasze niektóre ludzkie przepisy, które tylko karę nakładają za przekroczenie ich, ale samego przekroczenia nie zabraniają i wskutek tego nie ma się w sumieniu obowiązku do ich zachowania, ale tylko obowiązek uiszczenia kary w razie przychwytania na gorącym uczynku. To prawa takie, jak te ludzkie, które przekroczenie bezwzględnie i z mocą obowiązującą sumienie zakazują, a tylko dla nadania sankcyi zewnętrznej naznaczają zarazem i karę. Tak samo i kary, któremi Bóg nam grozi za złe, i nagrody, które przyrzeka za dobre czyny, przystępują niejako akcesoryjnie, jako sankcya, do b e z w z g l ę d n y c h nakazów i zakazów [1].

[1] V. Cathrein: *Religion und Moral.* Freiburg im Br. 1900, str. 104 i nast. — Tenże: *Moralphilosophie.* Freiburg im Br. 1904, tom I, str. 367 i nast., 375 i nast.

Prawodawcą więc całego porządku moralnego, twórcą tego odzywającego się w naszej najwnętrzniejszej świadomości głosu obowiązku jest Bóg. Bez Niego, ani prawa żadne, a więc i prawa moralne żadnej mocy nie mają, bo nie mają mocy obowiązującej, bo też niema ścisłego obowiązku, ani porządek moralny, ani postęp w tej dziedzinie nie jest konsekwentnie możliwy. Przyjęliśmy na początku naszej pracy to określenie religii, na które wszyscy się godzą, t. j. jako wiary w osobowego, ponadświatowego Boga, uznającej wyższy przedmiotowy porządek moralny i zależność człowieka od niego. Oczywiście w tem określeniu nie jest dość uwydatniony charakterystyczny rys religii, t. j. cześć względem Boga a i wyraz »wiara« w zbyt ciasnych granicach zamyka sposób poznania istnienia Boga, ponieważ nie tylko na wiarogodnej powadze oparci, ale i przez ściśle rozumowe dowodzenie dojść możemy do tego rezultatu. Więc twierdzenie nasze początkowe: bez religii niema moralności, t. j. niema mocy obowiązującej praw wszelkich i moralnych przepisów, równoważy się z wynikiem dotychczasowych naszych roztrząsań: bez Boga niema moralności, bo osnową i istotą wyrazu »religia« jest Bóg i nasz stosunek zależności od Niego.

Wobec tego jasną już jest rzeczą, że wszelkie usiłowania dążące ku zbudowaniu systemu etycznego z wykluczeniem Boga i religii, wszelkie w tym samym kierunku zmierzające wysiłki na polu praktycznem, do żadnego pozytywnego rezultatu doprowadzić nie mogą, bo z »obowiązkiem« Bóg i religia ścisłym i nierozdzielnym złączone są węzłem. Więc i cała ta teorya bezreligijnej moralności, którą nam podają kierownicy »Towarzystw etycznych«, i sameż te »Towarzystwa«, usiłujące na polu praktycznem szerzyć umoralnienie (bezreligijne), n i e m a j ą racyi bytu, celu zamierzonego osiągnąć nie są w stanie.

Do czego za to doprowadzić musi burzenie tej jedynej, na trwałych podstawach opartej moralności, a stawianie natomiast całego porządku moralnego na kruchych podporach rozumu i wiedzy bez Boga, które wobec naporu rozkiełznanych namiętności nie ostoją się w walce życiowej, — wskazuje dobitnie nakreślony

przez Cathreina obraz, ujmujący w jedną całość wszystkie te motywy. Nim też, jakby krótkim przeglądem, pracę naszą kończymy:

»Wyobraźmy sobie człowieka, który właśnie zamyśla porzucić na zawsze żonę i dzieci bez żadnej pomocy ni opieki, i humanitarnego ateistę, który bierze tę żonę i dzieci w obronę. I oto następujący zawiązuje się między nimi dyalog:

Mój dobry człowieku, niesłusznie postępujesz, gdy chcesz teraz żonę i dzieci porzucić.

Dlaczego?

Wykraczasz przeciw swemu obowiązkowi.

Przeciw jakiemu obowiązkowi?

Twoim obowiązkiem jest przecież mieć pieczę nad żoną i dziećmi.

Skąd pochodzi ten obowiązek? Kto mi go nałożył?

Obowiązek ten wynika jasno z celu małżeństwa.

Wszedłem w związek małżeński dla własnej tylko przyjemności. Teraz mi już obrzydła żona i dzieci, i zamierzam poszukać szczęścia na drugiej półkuli.

Mój przyjacielu, ta przyjemność mogła być twoim subjektywnym, indywidualnym celem przy zawarciu tego związku, ale nie jest ona celem małżeństwa wogóle, lub ściślej mówiąc, nie jest celem k a ż d e g o małżeństwa, celem ustanowienia związku małżeńskiego.

Kto nadał małżeństwu ten drugi cel?

Natura.

Natura? Co przez to rozumiesz?

Hm! Każdy przecież w wnętrzu swojem słyszy głos natury.

Zdajesz się mieć słuch wrażliwszy, niż ja; ja go nie słyszę.

Głosem natury są skłonności naturalne. Masz przecież skłonności naturalne?

Skłonności? Tak, ale nie odczuwam żadnej skłonności do dłuższego pożycia z swarliwą babą i krzykliwemi dziećmi i do kłopotania się o nie dniem i nocą.

Powinieneś zważać nie na skłonności zmysłowe, ale na rozum i rozumowe skłonności.

Słusznie, ale uważam to za rzecz bardzo rozsądną, abym teraz, gdy już tutaj dłużej wytrzymać nie mogę i mam już do syta tego ustawicznego nękania się, gdzieindziej poszukał szczęścia i zadowolenia.

Ale coby się stało z całem społeczeństwem ludzkiem, gdyby wszyscy mężczyźni taką drogę postępowania obrali, jak ty? Byłaby to ruina społeczeństwa.

O, sądzę, że nie wszyscy tak, jak ja, postąpią. A ostatecznie chociażby nawet? Co mię obchodzi społeczeństwo ludzkie? Czy ono mi płaci za moją pracę? Zresztą zlecam mu moją żonę i dzieci, niech ono nad niemi rozwinie tę wielką miłość, którą mu się przypisuje, i której ono od nas wymaga.

Czy nie odczuwasz, że twoje postępowanie jest... przeciwnem naturze, że natura od ciebie innego żąda zachowania się?

Jaka natura? Myślisz może o Bogu, Stwórcy nieba i ziemi?

Ale gdzietam! Wiara w Boga, to niedorzeczność. Natura, to ta wspaniała istota, wszystko obejmująca, która nas otacza i pielęgnuje miłośnie. Wejrzyj na tę wszechpotężną naturę, której dziećmi jesteśmy.

Szlachetny przyjacielu ludzkości, to wszystko żadnego na mnie nie wywiera wrażenia. Natura jest jakąś istotą nieosobową, która o niczem nie wie, niczego nie pożąda, i wobec tego żadnego też celu wytkniętego nie ma. Ty jesteś ateistą, ja nim jestem również i dlatego myślę, że każdy może robić, co mu się podoba.

Wspomnij przecież na miłość, którą winien jesteś żonie i dzieciom.

Miłość ku żonie i dzieciom? Ona była, niema jej już teraz. Mówisz, że winienem im miłość? Kto mi tę powinność nakłada?

Przynajmniej prawo państwowe, a to musisz poważać.

A jakież prawo ma państwo, przykuwać mię raz na zawsze do tej samej kobiety i obarczać mię ciężarem ciągłych ofiar dla dobra mej rodziny? K p i ę s o b i e z takich ustaw państwowych. W najgorszym razie uciekam potajemnie i powierzam państwu troskę o moją żonę i dziatwę. Ktoś przecie zaopiekuje się niemi, a jeżeli nie, to co mię to obchodzi? Co na tem komu zależy, czy

one trochę prędzej lub później obrócą się w proch, z którego powstały? Cóż za różnica, czy troszkę więcej lub mniej mrówek roi się tu na tem ogromnem mrowisku?

Pomyśl o wyrzutach sumienia, na które się narażasz, opuszczając na zawsze żonę i dziatki. Robak sumienia prześladować cię będzie wszędzie, dokąd się zwrócisz, i zatruje ci największe rozkosze.

Wyrzuty sumienia? O, dawno już nauczyłem się na nie nie zwracać uwagi. Wyrzuty sumienia mają oczywiście pewne znaczenie u tych, którzy wierzą w wiekuistego, wszechwiedzącego i najsprawiedliwszego Sędziego wszechrzeczy i w wieczystą odpłatę. Ale odkąd nowoczesna wiedza wyzwoliła mię z tych przesądów, jasno już widzę, że obawa przed wyrzutami sumienia niczem innem nie jest, jak tylko dziecinną trwogą przed strachami; człowiek rozumny musi być nad to wszystko wyższym« [1].

Oto, co zdziałać mogą wskazania etyki niezależnej od religii.

Ks. K. Krokoszyński.

---

[1] V. Cathrein: *Religion und Moral,* str. 121, 2, 3.

KONSTANTYN I METODYUSZ.

(Ciąg dalszy)

III.

Lata, które Konstantyn i Metodyusz spędzili na Morawach i w Pannonii, były dla obu latami przełomu. Od nich miały zależeć dalsze ich losy, — ale jak często bywa, nie przewidzieli tego obaj bracia. Konstantyn, duchowy przewodnik misyi, mógł sądzić, udając się na Morawy, że znowu powróci do ojczyzny i może już na stałe wraz z bratem osiądzie w jakimś zaciszu klasztornem. To pewna, że wśród Słowian nie myśleli oni pozostać na zawsze, choć bliżsi im ci Słowianie byli od Saracenów i Chazarów i innych ludów pogańskich. Inna rzecz przysporzyć kościołowi wiernych i poszczycić się plonem obfitym — a inna poświęcić całe życie jakiejś sprawie niepodzielnie i nieodwołalnie. Stało się tymczasem inaczej. Dzieło, które stworzyli, pochwyciło ich w swe żelazne tryby, wyrwać się z nich i uwolnić, znaczyło to narazić całą sprawę na niechybną zgubę, znaczyło to porzucić ją i patrzeć, jak się w niwecz obróci! A jakiż twórca może na to spokojnem patrzeć okiem? Czyn dokonany i spełniony dopominał się z całą nieubłaganą, chłodną konsekwencyą ofiary z ich dalszego życia. Misya słowiańska i liturgia słowiańska bez nich nie byłaby się ostała, należeli też obaj bracia już do niej wyłącznie, musieli służyć jej, walczyć o nią, znosić prześladowania i borykać się z przeciwnościami — na to już rady nie było! Ten los przypadł w udziele, nie samemu już Konstan-

tynowi, twórcy słowiańskiego pisma i nabożeństwa. Metodyusz musiał podźwignąć teraz sam jeden cały ciężar, który spadał na niego. Umierający brat przekazał mu słowiański kościół w moralnej spuściznie, musiał się więc on starać o zapewnienie mu dalszego istnienia i rozwoju.

Lata owe tak ważne, niestety są nam bardzo mało znane. Żywoty, rzec można, jak na złość nie wychodzą z ogólników, ani faktów, ani dat nie dostarczają prawie żadnych. Wiemy już o dokonanym przekładzie na Morawach mszy i nabożeństwa i to jest fakt najdonioślejszy. Prócz tego przypominam, wspominają żywoty o dysputach i sporach z różnymi duchownymi, którzy na Morawach przebywali, i o tej zwykłej a ciężkiej i mozolnej pracy wszystkich misyonarzy, o walce z dawnem pogaństwem, z niestałością związków małżeńskich, a wreszcie z wszelkiego rodzaju przesądami, których niechcący dostarczało nieraz samo świeżo zaprowadzone chrześcijaństwo. Nie zaniedbują też jeszcze dodawać żywoty, iż z tej pracy mozolnej i trudnej cieszył się Bóg, a martwił i niepokoił czart, ten odwieczny wróg rodzaju ludzkiego. Możnaby powiedzieć: wszystko to dobrze, ale co robił Konstantyn, co robili obaj bracia w czasie swej całej długiej, bo kilkoletniej misyi na Morawach i w Pannonii? Były to przecież czasy bardzo obfite w zdarzenia, które musiały wpłynąć na losy samej misyi i na losy jej przewodników. Na to wszystko my sami już musimy sobie odpowiadać! Takiem doniosłem zdarzeniem była przedewszystkiem ciężka wojna Rościsława z Ludwikiem w 864 roku. Skończyła się ona przegraną Rościsława i owem przyrzeczeniem wierności, którego potem nie dotrzymał. W każdym razie przyjąć trzeba, iż czas jakiś pokonany książę Moraw musiał zachować choć pozory uległości wobec silniejszego króla Ludwika. Co się przez cały ten czas działo z naszymi misyonarzami z Carogrodu? Czy przebywali na Morawach, czy się gdzieindziej schronili, czy wreszcie duchowieństwo niemieckie, po zwycięskiej wojnie nie zaczęło im dopiero naprawdę bróździć i przeszkadzać? Nie wiele na te wszystkie pytania możemy odpowiedzieć.

Sądzę, że obaj bracia zostali na Morawach i że tam mimo

wojny cały 864 rok przebyli. Schronić się mogli gdziekolwiek i burzę przeczekać. I następstwa tej wojny nie były znowu dla nich zbyt straszne. Owi dwaj Grecy: jeden ksiądz i jeden mnich nie byli wcale tak groźni, aby król Ludwik i bawarskie duchowieństwo zwracało na nich uwagę i żądało ich wydalenia. Zdaje się też, że zostali oni na Morawach przez cały jeszcze rok następny 865[1] i dopiero w ciągu 866 r. wyruszyli po trzechletnim pobycie i trzechletniej pracy[2]. Powracać nie mieli zamiaru, wskazuje to wyraźnie fakt podany przez żywot Konstantyna. Oto przy rozstaniu Rościsław podobnie jak władca chazarski chciał ich obdarzyć srebrem i złotem. Odmówili oni wszakże obaj, bo nie chcieli żadnej zapłaty za głoszenie słowa bożego, prosili tylko (znowu tak jak u Chazarów) o jeńców, a skoro ich dostali, zaraz obdarzyli wolnością.

Konstantyn nie chciał wszakże opuszczać Moraw nie zostawiwszy nikogo, któryby dalej prowadził rozpoczęte dzieło nawracania, wziął tedy z sobą kilkudziesięciu uczni, aby ich wyświęcić, sam bowiem nie będąc biskupem nie mógł tego dokonać. Z Moraw, gdzie bawił, najkrótsza jeszcze dawna rzymska droga wiodła przez Pannonią, starożytne Sirmium i Bułgaryą do Carogrodu. Tą drogą przybył, jak się zdaje, tą obecnie mógł wracać, ale w powrocie zatrzymał się czas dłuższy w Błotnym Grodzie (Mosaburg), stolicy pannońskiego księcia Kocela, syna Priwiny[3]. Kocel przyjął go z czcią należną, ugościł na swoim dworze, a rozmiłowawszy się wielce w piśmie słowiańskiem, jak mówi żywot Konstantyna, prosił go, aby z sobą wziął i wyświęcił kilkudziesięciu uczniów, na co się Konstantyn chętnie zgodził, ale się znowu nie zgodził ani on ani brat jego Metodyusz na przyjęcie

---

[1] Jagić Op. lit. str. 14. W 865 roku arcybiskup salzburski święcił jeszcze kościoły w pannońskiem państwie Kocela.

[2] Tak mówi żywot Metodyusza § 5.

[3] Wyraźnie to zaznacza żywot Konstantyna, że wracającego po drodze przyjął i ugościł Kocel, nie potrzebował też Konstantyn wcale zbaczać ze swej drogi, wiodła ona bowiem przez Pannonią. Por.: Formae Orbis Antiqui Heinrici Kiepert Nr. XVII.

darów, i znowu obaj bracia prosili Kocela tylko o jeńców, których obdarzyli wolnością.

Zdziwić może niejednego ten długi, bo blizko rok trwający pobyt u Kocela. Był bowiem ten książę nietylko z imienia jak Rościsław niemieckim lennikiem, lecz rzeczywistym, istotnym i o nim to powiedzieć można, iż był »w garści niemieckiej«. Prócz tego gorliwy chrześcijanin krzewił nową wiarę, budował kościoły i żył w przyjaźni z arcybiskupem salzburskim Adalwina, który także bywał i na jego dworze w gościnie. Duchowieństwo bawarskie uważało też hołdownicze księstwo Kocela za część salzburskiej dyecezyi, gospodarowało w niem jak u siebie, stale przebywał w stolicy książęcej archiprezbiter, którego z Salzburga przysyłano. Rzeczywiście dziwnem jest, że Kocel był tak pewnym siebie i odważył się na ten krok bądźcobądź ryzykowny i śmiały. Tak niewiele było trzeba, aby go król Ludwik Niemiecki znowu wziął w karby i wybił z głowy te jakieś zachcianki kościelnej niezawisłości, a nawet i odstępstwa. Ale i to prawda, że król Ludwik podówczas był gdzieindziej i czem innem zajęty, mógł więc Kocel istotnie poczuć się bardziej panem u siebie. A wszystko zależało od tego jedynie! To bowiem, że przeszedł on tak łatwo do Konstantyna, że mu ci misyonarze nie greccy już tylko, ale i słowiańscy byli milsi i bliżsi, niż niemieccy, w tem nie masz nic dziwnego! Mimo też protestów i obrazy niemieckich duchownych odważył się Kocel na ów krok tak ważny i oddał uczniów Konstantynowi z prośbą o ich wyświęcenie. Ale gdzie i przez kogo? To było najważniejszem i to należało rozstrzygnąć, gdyż od tego miało zależeć do jakiego kościoła zachodniego czy wschodniego będą owi uczniowie należeć i który kościół uzna w nabożeństwie język słowiański?

Trudno w tem pytaniu nie uznać decydującej, brzemiennej w następstwa chwili: mieli bowiem wybierać i ci, którzy uczniów dali, i ci, którzy ich z sobą wiedli, między Rzymem a Carogrodem, w zaciętej, nieprzejednanej wówczas z sobą walce! Rościsław nie zaraz mógł myśleć o niezawisłym kościele w swojem państwie, a tem mniej o poddaniu tego kościoła pod zwierzchność Carogrodu, i on też z pewnością nie miał z góry powziętego zamiaru zry-

wania z Rzymem, gdyby się dało z nim stosunki nawiązać. Tem bardziej musiał to czuć teraz po owej nieszczęśliwej wojnie w 864 roku. Być też bardzo może i on wolał, aby Konstantyn prosił o wyświęcenie uczni nie przez patryarchę Focyusza, lub jakiegoś greckiego biskupa, ale przez któregoś z biskupów uznających Rzym i przez Rzym uznanych. Takiego oczywiście nie mógł znaleźć wśród niemieckiego kleru — o tem i mowy nawet być nie mogło! Nie pozostawało więc nic innego, jak szukać go gdzieindziej. Najprędzej jeszcze, jeżeli nie myślał żaden z obu braci o pielgrzymce do Rzymu, można było znaleźć takiego biskupa wśród nie niemieckiego np. włoskiego lub dalmatyńskiego duchowieństwa. Być wiec może i Rościsław i obaj bracia taki plan ułożyli. Czy tak było istotnie? Orzec trudno, gdyż i bez takiego planu Konstantyn wraz ze swym bratem i z uczniami mogli byli wracać przez Pannonię. Sam kierunek drogi nic stanowczego tutaj nie mówi, powiedzieć tedy ostatecznie należy: być tak mogło, lecz nie: tak było! bo tego jeszcze nie wiemy.

Położenie Kocela, do którego zawitali obaj bracia ze swą drużyną i który ich ugościł, wyraźniej się zarysowywało. Co myślał Rościsław dociec trudniej, ale wcale nie trudno odgadnąć, co mógł myśleć książę pannoński. Kocel mógł był mieć nawet bardzo daleko idące, trudne do ziszczenia zamiary i plany. Mógł on chcieć oderwania od Salzburga i zaprowadzenia u siebie słowiańskiej liturgii, słowem mógł był powziąć śmiały bardzo plan zerwania z kościołem bawarskim, ale o jednym myśleć żadną miarą nie mógł, jeśli nie był niepoczytalnym marzycielem, a wiemy, że nim wcale nie był. — A mianowicie nie mógł myśleć o zupełnem zerwaniu z Rzymem. To było wprost niemożliwem! Sam też książę Kocel z wszelką pewnością do tego nie dążył, gdyż to jego dążenie zostawałoby w sprzeczności z jego własnym zamiarem. Zerwanie z Salzburgiem było już bardzo trudnem i ryzykownem, ale było ono jedynie jeszcze możliwem i wykonalnem, jeśli się miało Rzym za sobą, a nie przeciw sobie. O poddaniu się więc Focyuszowi, o nawiązaniu stosunków z Carogrodem nie mógł zgoła i myśleć ani na chwilę na seryo. Wszystko, całe powodzenie sprawy właściwie od Rzymu było zawisłem, bo z Rzy-

mem nie z Carogrodem mógł się liczyć i Ludwik Niemiecki i arcybiskup salzburski! A właśnie nadspodziewanie nadarzyła się sposobność nawiązania z papieżem Mikołajem I bezpośrednich stosunków.

Oto żywoty Konstantyna i Metodyuszowy oraz Legenda rzymska zgodnie podają fakt następujący: papież dowiedziawszy się o działalności misyjnej obu braci zapragnął ich widzieć i do Rzymu zawezwał. Wiadomość ta na pierwszy rzut oka może się wydać dziwną, można się też nie bez słuszności zapytać, czy to znowu nie przesada, nie dodany szczegół dla podniesienia świętobliwości obu naszych braci? Żywoty przyzwyczaiły nas mieć się na baczności: wszakże i owa misya saraceńska i wspólna z cesarzem Michałem nauka w rzeczywistości wyglądają inaczej! Zapewne, papież Mikołaj I nie pragnął ich widzieć »jak aniołów bożych«, bo też nie o widzenie aniołów zgoła tu chodziło, lecz o zobaczenie ludzi — i tych chciał wielki papież mieć w Rzymie, aby się dowiedzieć, co są za jedni, i aby sprawdzić, czy są prawowierni? Legenda rzymska mówi nawet wyraźnie o wysłaniu do Konstantyna pisma papieskiego z wezwaniem, wiadomość ta jest zbyt konkretną, aby nie miała być prawdziwą. Fakt ów zaszedł w każdym razie już po misyi morawskiej i albo podczas pobytu obu braci w Pannonii, albo po dyspucie teologicznej o język słowiański na synodzie w Wenecyi, o której to dyspucie mówić niebawem będziemy[1]. Pismo papieskie mogło dojść Konstantyna wprawdzie i na dworze księcia Kocela i z jego stolicy mogli już obaj bracia pospieszyć wprost do Rzymu, z drugiej jednak strony żywot jest tak poważnem źródłem, iż trudno go nie uwzględnić, ostatecznie więc powiedzieć należy: dopiero z Wenecyi, wskutek głośnego sporu o język słowiański, papież zawezwał Konstantyna do siebie. Ale w takim razie musimy objaśnić, dla czego znalazł się Konstantyn z bratem w We-

[1] Żywot Konstantyna podaje zdarzenia w takim porządku: 1) Konstantyn opuszcza Morawy, 2) Zatrzymuje się u księcia Kocela, 3) Jest w Wenecyi, 4) Papież go wzywa do Rzymu. Żywot Metodyusza i Legenda rzymska nie wspominają o pobycie obu braci u Kocela, umieszczają wszakże zgodnie wezwanie papieża po skończonej misyi na Morawach.

necyi? Dla czego obaj zmienili kierunek drogi i dlaczego ze stolicy księcia Kocela owego Błotnego Grodu nie wracali przez Sirmium, jak im było najprościej i najdogodniej, lecz na Aquileę, a z Aquilei morzem lub wzdłuż dalmackiego pobrzeża? Wprawdzie i tamtędy szedł dawny rzymski gościniec aż do Dyrrachium, ale mniej uczęszczany, bo mniej pewny. I droga morska do bezpiecznych nie musiała się liczyć, jak wogóle tamte strony, w których jak niegdyś zagnieździło się znowu korsarstwo. To zboczenie z drogi zdradza już poniekąd zamiary obu braci. Musieli oni w każdym razie nosić się z zamiarem udania się na Zachód, jeśli nie do Rzymu, to do jakiejś biskupiej rezydencyi, najpewniej do samej Aquilei, aby tam nie niemiecki biskup wyświęcił im uczni, którychby następnie odesłali na Morawy i do Pannonii. Sądzę, że w ten tylko sposób da się wszystko objaśnić. Co prawda, i po wyświęceniu uczni, istnienie nabożeństwa słowiańskiego i tak wcale pewnem nie było, szczególniej w państwie pannońskiem Kocela, i horoskopy też na przyszłość dla całego dzieła Konstantyna bynajmniej świetnie się nie przedstawiały.

Wszystko jednak zmieniło się niebawem.

Wyświęcenie uczni mogło przedstawiać zawsze pewne trudności, a cóż dopiero, jeśli jak w naszym wypadku, wchodziła w grę innowacya, ów tak bardzo źle widziany język słowiański, w którym Konstantyn mszę odprawiał. Nic więc dziwnego, iż oczywiście nie którykolwiek z bawarskich biskupów, lecz każdy biskup z Istryi lub sami patryarchowie Aquilei lub Grado nie bardzo się chętnie godzili na wyświęcenie tych Słowian, których Konstantyn wiódł ze sobą. Musiało też przyjść wskutek tego do sporów i teologicznych dyskusyi na temat bezprawnego wprowadzenia barbarzyńskiego języka do nabożeństwa — niesłychanej i jak zwykle bywa, podejrzanej nowości. Należało przedewszystkiem tę ogólną i zasadniczą kwestyę załatwić, wszystkiem się ona sama musiała narzucać! W tej części Włoch synody bywały częste z powodu ciągłych sporów między oboma sąsiadującymi tak blizko patryarchami z Aquilei i Grado [1], musiał się więc w tym

[1] Hefele: »Conciliengeschichte« T. IV., str. 48.

samym czasie, kiedy Konstantyn przybył ze swoją gromadką i gdzieś w Istryi się zatrzymał, odbywać się jeden z takich synodów w Wenecyi. I na ten synod powołano Konstantyna, aby się tłumaczył i bronił słowiańskiej liturgii. Tak być musiało, bo inaczej skądżeby się w Wenecyi wówczas właśnie znaleźli nie tylko księża, ale i biskupi[1]? Obrady i dysputy musiały trwać dłużej, zlecieli się bowiem wszyscy i obsiedli Konstantyna, jak »kruki sokoła«, mówi żywot. Obronę jego znamy i będziemy mieli jeszcze sposobność bliżej się z nią zapoznać. Nie wątpię, obrona owa słowiańskiego i wogóle wszystkich języków mogła być istotnie przekonywującą, szkoda tylko, że nie przekonała nikogo. Przeciwnicy Konstantyna za pokonanych wcale się nie uznawali i musiał zapaść wyrok potępiający nową a niebezpieczną naukę trącącą bardzo herezyą.

Wieści o tym sporze i o całej sprawie musiały dojść do papieża Mikołaja I-go i mogły go ostatecznie skłonić do zawezwania Konstantyna przed siebie. Zresztą nie zapominajmy: słyszy się często raz jeden o kimś, o jego działalności, postępkach i to wystarcza, aby powziąć jakąś decyzyę, jeśli zachodzi tego potrzeba, ale mogą też i częściej dochodzić o kimś wieści i na ich podstawie przychodzi również do powzięcia ostatecznej jakiejś decyzyi. Mogło się coś podobnego zdarzyć i w naszym wypadku. Mikołaj I mógł już wiedzieć poprzednio o misyi morawskiej, mogły go jakieś słuchy dochodzić o greckich misyonarzach, którzy nauczali w tych krajach, o niezadowoleniu i żalach salzburskiego arcybiskupa, dosyć, że teraz pod wpływem tej ostatniej wiadomości postanowił zawezwać obu braci, przedewszystkiem Konstantyna, sprawę poznać i bądźcobądź wyjaśnić; nabierała ona bowiem prócz dogmatycznego także i politycznego znaczenia.

Wysłanie misyonarzy do jakiegoś kraju nie było podówczas samo przez się faktem zbyt doniosłym, tyle bowiem było pogan i tylu nawracających! Nie o wszystkich też misyach mógł

---

[1] Nie sądzę, aby to miało być jedynie amplifikacyą Żywotu Konstantyna. Że w Wenecyi był podówczas istotnie synod, przypuszcza także uczony rosyjski Gołubińskij.

Rzym wiedzieć i nie o wszystkich misyonarzy się troszczył. W tym wszakże wypadku było inaczej. Morawy były już na poły chrześcijańskie, a Pannonia podlegała już zupełnie salzburskiej dyecezyi. Każdy obcy przybysz, który na Morawy, a szczególniej do Pannonii przychodził, mógł być uważany za intruza, a cóż dopiero jeśli ten przybysz był Grekiem, cóż dopiero jeżeli odprawiał nabożeństwo w języku barbarzyńskim, słowiańskim! To komplikowało rzecz całą! Mimo to wszakże mogło się obyć bez Rzymu, spór bowiem między duchowieństwem bawarskiem, a takimi misyonarzami o nauczanie nieprawne, nie koniecznie podpadał pod kompetencyę stolicy apostolskiej — mogło go rozstrzygać samo duchowieństwo frankońskie, które nie zawsze się odnosiło do Rzymu chętnie i nie o wszystko zasięgało rady. Kwestya legalności misyi Konstantyna i naruszenia praw tej lub owej dyecezyi we wschodnio-frankońskiem państwie — mniej też Rzym obchodziła. Ale go obchodziło co innego w tem wszystkiem. Oto nieznani owi misyonarze, którzy sobie na te wszystkie innowacye pozwalali, byli to Grecy, ci sami Grecy, z którymi przecież ten sam Mikołaj I walczył. Nie z całym wprawdzie kościołem greckim, ale z jego oficyalną większością z patryarchą na czele, a w czasie takiej walki każdy niemal żołnierz, każde stanowisko zdobyte lub stracone jest częstokroć ważnem.

I ta strona działalności misyjnej obu soluńskich braci przedstawiała naprawdę ogólne znaczenie. Papież nie mógł żadną miarą dopuścić, aby kościół grecki zdobywał nowe obszary, i musiał się starać zapobiec niebezpieczeństwu, gdyby się tego okazała potrzeba. Tak więc oddalone i nieznane Morawy zyskały odrazu na znaczeniu i na nie zwróciły się oczy papieża, przejście ich do wroga było niewątpliwą i wielce niepożądaną stratą — ale za to pozyskanie było w każdym razie wygraną, której się znowu tak nie lekceważy, tembardziej że misya morawska pośrednio się łączyła z drugą o wiele ważniejszą, a mianowicie z misyą bułgarską.

Z końcem roku 866 przyjmował był papież poselstwo Bułgarów, którzy się zwrócili do niego z prośbą o przysłanie mi-

syonarzy [1]. Skwapliwie Mikołaj I tę sposobność pochwycił i wysłał do nich dwóch biskupów, niebawem też wydał słynny list pasterski, odpowiedź na różne pytania, które stawiał król Michał Bogorys. Nawrócenie, a raczej zwrócenie się Bułgarów do Rzymu było faktem wielkiego znaczenia. Stolica apostolska rościła dawno pretensye do części zachodniej Bałkańskiego półwyspu, jako do nieprawnie oderwanej części rzymskiego patryarchatu, była to wszakże tylko prawna podstawa, którą teraz można było podnieść i zużytkować, wcale bowiem nie o historyczne reminiscencye i archeologię chodziło! Toczyła się wówczas walka z Focyuszem i ze wschodem, była ona w całej pełni i zaostrzała się z dnia na dzień, oderwanie się więc w tej właśnie chwili Bułgaryi, wkroczenie Rzymu tam, gdzie kościół wschodni czuł się panem i był istotnie u siebie, było niezmiernie dotkliwym ciosem dla Carogrodu, a walnem zwycięstwem dla Rzymu. Wobec tego Mikołaj I musiał zwrócić uwagę i na całą znaną nam już misyę morawską. Chciał on zająć tę niezbyt do zajęcia trudną może placówkę, a w razie zajęcia związać bezpośrednio z Rzymem podobnie jak związał Bułgaryą, skąd przecie przed jego legatami ustąpiła cała misya niemiecka z biskupem pannońskim Ermonarykiem na czele! To były wszakże dalsze już plany i zamiary, na razie chodziło przedewszystkiem o sprawdzenie, co to są owi dwaj bracia, czego chcą i co przynoszą? Ten ksiądz grecki i ten mnich, samowolnie wprowadzający barbarzyński język do nabożeństwa, nie odprawujący mszy ani po łacinie, ani nawet po grecku, lecz po słowiańsku, mogli samego papieża oraz jego otoczenie niepomiernie zdziwić, a wobec zdań niekorzystnych i zaniepoić. I w tym

[1] Przypominam wszakże, iż Bułgarzy, podobnie jak Duńczycy, posyłali dawniej posłów do króla Ludwika z prośbą o misyonarzy. Wynika to najzupełniej wyraźnie z listu papieża z 863 r., który jest odpowiedzią na list królewski zawiadamiający o tem fakcie. Ludwik zwlekał widocznie. Powtórnie poselstwo Bułgarów w 866 roku prosiło go, aby dłużej się nie ociągał (ut praedicatores — ad eos mittere non differret). To jest zupełnie jasnem, dziwić się tylko należy, iż tak poważni uczeni jak Böhmer i Mühlbacher obu tych poselstw nie połączyli. Por. Jaffe-Wattenbach »Regesta Pontificum« n. 2758, oraz n. 2761, oraz »Regesta Imperii». T. I. n. 1411a i n. 1412a.

razie owa śmiała i niezwykła innowacya, której dokonał Konstantyn, zrobiła swoje: zwróciła na nich oczy współczesnych.

Widzimy, że ostatecznie dość łatwo można odnaleźć pobudki i przyczyny, dla których papież Mikołaj I powołał Konstantyna i Metodyusza do Rzymu. To jest wszakże łatwiejsza część zadania. Pozostaje najważniejsze jeszcze pytanie: dlaczego obaj soluńscy bracia zerwali z Carogrodem, a zwrócili się do Rzymu? Krok to był przecież dla nich stanowczy, naprawdę chwila przełomowa w całem ich życiu. Byłaż to hipokryzya czy przekonanie? Od tego zależy, co o Konstantynie i Metodyuszu mamy dalej myśleć. Jeśliby się udało istotnie dowieść, że w złej wierze, podstępnie działali, że się do Rzymu zwrócili, bo musieli, lecz z nienawiścią dobrze tylko tajoną i ukrywaną, to istotnie należałoby zwątpić o moralnej wartości obu apostołów Moraw, nawet bowiem za cenę wyratowania słowiańskiej liturgii, o co tak im bardzo chodziło, nie mogli oni przecież całe życie udawać i kłamać.

Kiedy Konstantyn i Metodyusz w 863 roku opuszczali Carogród, spór między kościołem wschodnim a zachodnim, tymi dwoma połowami jednego powszechnego kościoła, wchodził w okres walki jawnej i nieprzejednanej. Papież Mikołaj I na synodzie, który się w Rzymie w kwietniu zgromadził, wyklął był Focyusza i, co już było zresztą następstwem ekskomuniki, wzbronił wszystkim wiernym obcowania z wyklętym. Konstantyn i Metodyusz wyruszyli około połowy 863 roku i prawdopodobnie byli już gdzieś w drodze na Morawy lub w samych Morawach, a więc zdala od pola walki — ustąpili z niego faktycznie i w samej walce, gdyby nawet byli chcieli, nie mogli brać czynnego udziału. Tymczasem można sobie łatwo wyobrazić, jak zawrzało po owej papieskiej ekskomunice w pałacu cesarskim i patryarchy w Carogrodzie i wszędzie wśród jego stronników. Nieugięty jak granitowa opoka papież przechodził podówczas ciężkie chwile. Złe stosunki z cesarzem Ludwikiem II, sprawa cesarskiego brata Lotara II i jego nieprawej małżonki Waldrady, mogły budzić nadzieje jego wrogów na Wschodzie, że się go uda przecież nie ugiąć, lecz złamać i ostatecznie zniweczyć. Największe nadzieje mógł pokładać Fo-

cyusz w nieprzyjaznem a nawet wrogiem stanowisku znacznej części frankońskiego kleru przeciw papieżowi. Mogło się było patrzącemu zdaleka istotnie wydawać, że stanowisko i znaczenie papieża, a z nim i stolicy apostolskiej jest silnie zachwiane. Dwóch arcybiskupów: koloński i trewirski wyklęci i w otwartej z papieżem walce apelujący nawet do Focyusza — najwybitniejszy, istotnie niepospolitej miary, przedstawiciel frankońskiego kościoła — słynny Hinkmar, arcybiskup Reims, niechętny i oporny, duchowieństwo wreszcie na synodzie w Metz 863 roku dające tej niechęci wyraz. Wszystko to mogło być istotnie zapowiedzią wielkiej burzy. Tymczasem groźne te chmury rozeszły się! Zachód bez papiestwa, takiego jakie było podówczas, obyć się nie mógł, i dziś historyk pomyśleć go nawet nie może. Prędko też Focyusz i wschodni przeciwnicy Mikołaja I musieli patrzeć, jak się rozwiewają ich złudzenia. Papież i papiestwo okazało się silniejszem, niż się jego nieprzyjaciołom mogło zdawać, trzeba też było na razie zrzec się zamiaru szukania na Zachodzie sprzymierzeńców i walkę samym dalej prowadzić.

Tych wszystkich złudzeń ani na chwilę mieć nie mogli apostołowie Moraw, gdyby nawet byli należeli do najbardziej nieprzejednanych i zaciętych wrogów papiestwa i gdyby nawet byli je z Carogrodu wywieźli. Na Morawach bowiem, a później i w Pannonii zetknęli się z niemieckiem, łacińskiem duchowieństwem, w którem znaleźli niechętnych, a później jawnych przeciwników. Poznali wszakże przebywając na Zachodzie, przekonali się sami naocznie, czem jest papiestwo, jakie jest jego znaczenie i jaki ma wpływ przemożny. Z tych spostrzeżeń i doświadczeń musieli zaś wynieść jedno: oto, że to, co o patryarsze starego Rzymu słyszeli od jego przeciwników w Carogrodzie, nie zgadza się z tem, co jest w rzeczywistości. Misya bułgarska dopełniła miary. Każdy musiał się przekonać, że bez stolicy apostolskiej kroku zrobić nie można, że albo z nią można ocalić rozpoczęte dzieło, albo bez niej narazić je na niechybną zgubę. Wszystko to widzieli doskonale obaj bracia i nie mogli nie zdawać sobie z tego sprawy — na to stać było i ludzi mniej niż oni rozumnych! Zresztą i sam Rościsław, jak wspominałem, zdawał sobie także

sprawę ze zmienionego położenia po wojnie z 864 roku — a przedewszystkiem zdawał sobie sprawę Kocel, który lepiej znać musiał kościelne stosunki jako żarliwy krzewiciel i opiekun chrześcijaństwa. Położenie zresztą przedstawiało się dosyć jasno. Rzym i duchowieństwo frankońskie nie byli to sojusznicy! Głucha niechęć przeciw stolicy apostolskiej nurtowała nieraz wśród niego, zbyt słaba zazwyczaj, aby się w otwarty antagonizm zamienić, ale dosyć silna, aby się z nią liczyć. Liczył się z nią przedewszystkiem i wiedział o niej sam Rzym, który ze swej strony nie zawsze bywał w dobrych stosunkach z frankońskim episkopatem. Z tego rozdźwięku można było skorzystać, oprzeć się wprost o papieża i tam opieki szukać. A opieka ta mogła być wówczas skuteczną! Papież i papiestwo nie zostawało w rękach niczyich, lecz przeciwnie było samoistnym szerokim w poglądach i zawsze celu świadomym czynnikiem.

Mógłby ktoś wprawdzie nie bez słuszności powiedzieć: wszystko to tylko są zewnętrzne okoliczności, a nie wewnętrzna przemiana, tam zaś, gdzie warunki zewnętrzne są tak silne, iż mogą zaciężyć na każdym i każdego przytłoczyć, tam właśnie aż nazbyt łatwo o udawanie i obłudę — o »dyplomacyę«, jakbyśmy obecnie powiedzieli. Może więc obaj soluńscy bracia jedynie w dobrze zrozumianym własnym interesie przystosowali się do owych warunków i okoliczności, udali tylko, że się z Rzymem godzą, bo innego wyjścia i innej drogi przed sobą nie widzieli, słowem, może byli oni jedynie zwykłymi oportunistami? Wiemy zaś co znaczy ten wyraz giętki, elastyczny i jak gutaperka ciągliwy. Istotnie tak być mogło. To wszystko więc, cośmy dotąd powiedzieli, nie uwalnia nas bynajmniej od odpowiedzi na to dalsze pytanie: czy Konstantyn wraz z bratem działali tylko pod naciskiem zewnętrznych pobudek, czy też owemu przejściu na stronę Rzymu towarzyszył i zwrót wewnętrzny, słowem, czy byli szczerzy względem siebie i swego nowego sojusznika — papieża?

W wielkiej, dziejowej walce, która sie wówczas rozgrywała między zachodnim i wschodnim odłamem jednego jeszcze w teoryi kościoła, ścierały się z sobą dwa doniosłe historyczne prądy: stare, odwieczne odrębności i antagonizmy kulturalne i narodowe

wschodu i zachodu, oraz idea dawnej kościelnej jedności. Wiemy, który z nich odniósł ostatecznie zwycięstwo. Jeden powszechny kościół rozpadł się na dwa, wrogie sobie kościoły. Jesteśmy często niesprawiedliwymi w historyi dla pokonanych ludów i dla ustępujących idei, kiedy podnosimy jedynie ich słabość. I w naszym wypadku, sądzę, że zbyt wyłącznie i jednostronnie podnosimy tylko owe antagonizmy, które nie zaraz wieły górę, pomijamy zaś zbyt łatwo ideę, która zwycięską się nie stała: ideę jedności kościelnej. A przecież żywo ona kwiła w umysłach ludzi ówczesnych! Może nie o wiele mniej żywo, jak w IV wieku, kiedy występował w jej obronie ów mistrz umiłowany w dzieciństwie Konstantyna: Grzegorz z Nazyanzy[1]. W każdym razie pamiętać się godzi, że owa jedność była jeszcze tak silną w IX wieku, iż do ostatecznego zerwania nie doszło i że choć zachwiana, blizko dwieście lat ostać się ona jeszcze zdołała. Konstantyn, jak to próbowałem już wykazać, był tej jedności zwolennikiem i nigdy jej z oczu nie tracił, jak nie tracą ludzie, żyjący w sferze ogólnych pojęć i abstrakcyi. Nawet i jego nader śmiałe poglądy na kwestyę dopuszczenia języka słowiańskiego i wszystkich języków do chrześcijańskiego kultu wychodzą ostatecznie z pojęcia, że mimo wszystkich różnic obrządku kościół nie jest ani greckim ani łacińskim, lecz powszechnym i uniwersalnym. To poczucie jedności i powszechności kościoła, które filozof-teolog Konstantyn sam miał i które potrafił zaszczepić w umyśle swego brata, wskutek misyi morawskiej i wszystkiego na co patrzał po opuszczeniu Carogrodu — nie słabnęło, lecz przeciwnie rozwijało się i postępowało coraz bardziej.

Inaczej być nawet nie mogło!

Konstantyn i Metodyusz przedewszystkiem byli od kilku lat zdala od stolicy, gdzie się najgorętsza toczyła walka. Nie brali też oni czynnego udziału w całej akcyi przeciw stolicy apostolskiej, którą był właśnie Focyusz na szeroką skalę rozwinął.

[1] Hefele: Op. cit. T. II., str. 7, oraz Benoit: Saint Grégoire de Nazianze T. II. 1884, str. 145. Sądzę, mimo zdań przeciwnych, iż przy tem zostać należy i że istotnie Grzegorz z Nazianzy występował w obronie zgody i jedności, przemawia zresztą za tem sama jego mowa wypowiedziana na synodzie w 381 roku.

Nie redagował Konstantyn ani pomagał w redagowaniu listów oraz pism przeciw zachodniemu kościołowi. Te pisma zresztą i te listy stały w znacznej mierze w sprzeczności z własną działalnością Konstantyna na Morawach, gdzie wprowadzał przecież »różnice kultu«, przeciw którym Focyusz powstawał tak gwałtownie w słynnym swem przeciw łacinnikom piśmie. Ale nietylko owa nieobecność w Carogrodzie obu braci miała wpływ na zmianę wewnętrzną, która w nich zaszła — nie brać bowiem udziału, nie znaczy jeszcze wcale występować czynnie, a obaj bracia teraz właśnie czynnie wystąpili i oświadczyli się stanowczo za jedną ze stron walczących i to w najgorętszej chwili walki. Wiemy, że przeszli na stronę Rzymu, paląc za sobą mosty po rzuceniu ekskomuniki przez Focyusza na papieża Mikołaja! Dlaczego się tak stało? Wiemy już, jakie były zewnętrzne okoliczności, jaka konjunktura historyczna, która ich ku temu popychała, — ale czy to już wszystko? Nie sądzę! Sprzeczności też i wewnętrznego rozłamu między czynami a przekonaniem obu soluńskich braci wcale nie widzę! Pogodzić je można i to bez naciągania i bez wielkich trudności.

Człowiek żyjący zdala od świata i wypadków może pozostać łatwiej niezmiennym i jednolitym. Ale jeśli się żyje wśród ludzi, a co więcej działa, czyż można absolutnie z rozwoju i z ewolucyi psychicznej wykreślić wpływ zewnętrznych wypadków i okoliczności? Wszyscy dobrze wiemy, że nie! Podobnie się stało z Konstantynem i Metodyuszem. Na Olimpie w klasztorze, lub w Carogrodzie w jakiejś bibliotece obaj bracia mogli snuć dalej wątek tych samych myśli, zamknąć się każdy w swej sferze idealnej, którą sobie stworzyli. Wszystko to przeszło w krainę niedościgłych marzeń, skoro zeszli na świat i poczęli działać.

Konstantyn stworzył dzieło doniosłe na słuszności i sprawiedliwości oparte, dziełu temu oddał sam siebie, dla niego tak samo brata usposobił. Czyż się więc dziwić można, że dzieła tego, — słowiańskiej liturgii łatwo odbieżeć ani mogli ani chcieli? Byłoby dziwnem, gdyby było inaczej. Skoro zaś raz staniemy na tem stanowisku, musimy dopuścić i wpływ okoliczności i stosun-

ków zewnętrznych na wewnętrzną zmianę przekonań. W naszym wypadku pod ich wpływem dokonać się mógł jednocześnie nie przełom, ale zwrot duchowy u obu braci. Przeszli oni na stronę Rzymu, do którego i dawniej nienawiści wcale nie żywili, przeszli nietylko zmuszeni i nie jako hypokryci z nienawiścią w duszy, a maską obłudy na twarzy, ale dlatego, bo się przekonali, czem jest Rzym, czem papiestwo i jaka jest jego siła moralna! Nie przeczę, gdyby w tym samym Rzymie na stolicy apostolskiej nie był zasiadał Mikołaj I ale np. Jan XII, gdyby była wiecznem miastem i papiestwem rządziła Teodora lub Marozia, słowem, gdyby to był nie wiek IX ale X, nie byłby się był Konstantyn i Metodyusz ani do Rzymu zwracał, ani dla niego zrywał z większością swych duchownych współbraci. W epoce wszakże, w której żyli, nie zdawać sobie sprawy i nie widzieć, czem jest papiestwo, mógł tylko człowiek bardzo ograniczony lub bardzo zaciekły i ciasny. Takimi zaś obaj bracia nie byli, a już przedewszystkiem nie był Konstantyn! Był on więcej, niż wyłącznie i jedynie greckim teologiem, jego teologia sięgała zawsze dalej i zawsze obejmowała szersze horyzonty, nic też dziwnego, że poznawszy bliżej i lepiej, czem jest papiestwo i sam ówczesny papież, nietylko zwrócił się on do Rzymu z dobrze zrozumianej, mądrej a przebiegłej polityki, ale zwrócił się, bo mu na to pozwoliły jego religijne przekonania, słowem, — własne sumienie! To samo trzeba i o Metodyuszu powiedzieć. Wbrew przekonaniom trudno nawet pomyśleć, żeby to było dla obu możliwem! Nie zapominajmy przecież, że tacy ludzie, tak głęboko wierzący jak oni, ze swych przekonań religijnych polityki nie robią! Chodziło tu przecież dla nich o rzeczy tak ważne, tak konkretne i realne, jak grzech i narażenie na niebezpieczeństwo swego własnego zbawienia!

Przyjmowanie przez Metodyusza święceń kapłańskich, a później biskupich z rąk Hadryana II, tego samego, który wyklinał także Focyusza, wstąpienie do klasztoru w Rzymie, co uczynił znowu Konstantyn — to były postępki, na które bezkarnie nie mogli sobie oni obaj pozwolić — a co więcej: nie sądzę nawet aby to wszystko mógł sam Focyusz wówczas uznać i pochwalić

Okup na wywiedzenie w pole papieża był w każdym razie za wielki! »Fides graeca«, chytrość i przebiegłość grecka nie objaśniają tutaj wszystkiego! Zamalować jednym jednostajnym kolorem można tylko jakiś kraj w geograficznym atlasie, ale zamalować tak wszystkich »Greków« w żaden sposób nie można! Dla objaśnienia pobudek działania jednostki — to stanowczo nie wystarcza! Każdy przecież musi przyznać, że i w obrębie jednego narodu spotykają się bardzo różni ludzie i że jest miejsce dla nich wszystkich. A zresztą nie zapominajmy, że ówczesne cesarstwo wschodnie wcale nie było jednolitem narodowo i nie opierało się na rdzennych Grekach. Można też mówić jedynie o wspólnej greckiej kulturze i o idei państwowej, ale nie o rasie, krwi i pochodzeniu!

Tak się według mnie przedstawiają przyczyny zewnętrzne i wewnętrzne, dla których Konstantyn i Metodyusz zwrócili się do Rzymu o pomoc i opiekę. Pomoc tę i opiekę znaleźli, lecz już nie u Mikołaja I-go, który ich wzywał — lecz u jego następcy Hadryana II-go, który w połowie Listopada wstąpił na tron papieski. A że wieźli z sobą ciało świętego Klemensa, przeto lud rzymski wyszedł na ich spotkanie z jarzącem światłem, śpiewając pieśni pobożne. Częścią też w Rzymie a częścią gdzieś już w drodze, musieli się obaj bracia dowiedzieć o ważnych zmianach, zaszłych w ich ojczyźnie: o zamordowaniu cesarza Michała, o ogłoszeniu się cesarzem Bazylego i co najważniejsze o niełasce i ustąpieniu Focyusza [1].

Wielki, wstrząsający chrześcijaństwem zatarg Wschodu i Zachodu i burza, która wskutek niego powstała, mogły Konstan-

[1] Nie zapominajmy, że podówczas wiadomości z Konstantynopola szły często do Rzymu i cały miesiąc. Cesarz Michał został zamordowany 27 września 867 roku. Focyusz ustąpił w końcu października, być może dowiadywali się obaj bracia o tych wydarzeniach kolejno. W drodze o zmianie tronu, a w samym Rzymie o upadku Focyusza. W każdym razie dowiedzieli się już o zamordowaniu Michała po powziętem postanowieniu udania się do Rzymu!

tyna i Metodyusza daleko unieść i na zawsze od Rzymu oddalić. Wiemy już z jakich powodów stało się przeciwnie. Wiemy wszelako również, że istniała inna jeszcze trudność, którą należało rozwiązać, nim przyszło do ostatecznej zgody i uznania przez Rzym działalności obu braci. Misya Konstantyna i Metodyusza nie była podobną do zwykłej greckiej misyi — wiemy przecież, że wyróżniał ją ów język słowiański, który Konstantyn do nabożeństwa wprowadził. Była to śmiała innowacya nawet i dla wschodniego kościoła — jeszcze śmielszą zaś była dla zachodniego, jak się wkrótce dowiemy. Kościół zaś z natury swej zachowawczy podejrzliwem nieraz okiem się patrzy na tego rodzaju zmiany i dobrze musi się namyśleć i rozważyć, czy je ma przyjąć lub odrzucić?

Wiemy, że papież Hadryan II-gi tę zmianę i tę innowacyę uznał i przyjął, co do tego nie może być wątpliwości. Żywot Konstantyna mówi o tem najobszerniej i najdokładniej, te jego wiadomości noszą piętno bardzo wiarogodnego przekazu. Według nich Hadryan II-gi przyjął księgi słowiańskie, poświęcił je i złożył w kościele Maryi Panny, który się zwie Phatne, i kazał odśpiewać liturgię nad niemi. Polecił następnie papież dwom biskupom, którzy się zwali Formosus i Gauderych, wyświęcić uczniów słowiańskich. Nie dość na tem! Umyślnie polecił jednemu z biskupów, przeciwnych słowiańskiej liturgii, wyświęcić kilku uczni Konstantyna [1]. Skoro się to wszystko stało, odśpiewali nowo wyświęceni mszę po słowiańsku w bazylice Świętego Piotra, a trzeciego dnia odprawili ją u Świętej Petronilli, czwartego zaś w kościele Świętego Andrzeja apostoła, ostatniego wreszcie w bazylice wielkiego nauczyciela wszystkich ludów, apostoła Pawła, i przez całą noc, ciągnie dalej Żywot, śpiewali po słowiańsku, nazajutrz zaś odprawiali znowu mszę w asystencyi biskupa Arsena, jednego z siedmiu biskupów (t. j. kardynała), oraz Anastazego bibliotekarza, t. j. kanclerza rzymskiej kuryi [2]. Jest to wiadomość zupełnie pewna. Żywot tym razem podaje fakt konkretny, że

[1] Ten szczegół podaje »Żywot Metodyusza«, wogóle uboższy w szczegóły.
[2] »Żywot Konstantyna« § 17.

wszystkimi szczegółami, nie przeinacza go i nie omawia, według zwyczaju, ogólnikowo zdarzenia, nie prawi morałów i nie daje nauk ku zbudowaniu wiernych. Wszystkie szczegóły są zresztą sprawdzone. Kościoły te w Rzymie istniały [1], a co ważniejsza i dostojnicy duchowni, wymienieni przez Żywot, są wszyscy znani ze współczesnych źródeł. Udział np., który brał bibliotekarz Anastazy, znawca języka greckiego, tłumacz aktów synodu 869 roku, przyjaciel Konstantyna i Greków, choć wcale nie Focyusza, jest wielce ciekawy i ważny. Był on z góry wskazany, aby odegrać ważniejszą rolę w całej tej sprawie i z pewnością musiał ją odegrać [2]. Biskup Gauderyk z Velletri jest nam także znanym. Był on zapalonym wielbicielem Św. Klemensa, na jego też zlecenie spisano i naszą znaną »Rzymską Legendę« [3]. Formosus wreszcie, biskup Porto, którego znamy z poselstwa do Bułgarów, jest późniejszym papieżem tegoż imienia, nad którego trupem dokonano owego tragicznego sądu i wyroku. I Arseniusz jest także znanym — wszystkich więc ostatecznie można odszukać i sprawdzić. Wszyscy oni widocznie stanowili nie greckie stronnictwo, bo takiego nie było podówczas w Rzymie, ale grono ludzi bliżej związanych z liczną bardzo grecką rzymską kolonią, a kto wie, czy paru z nich przynajmniej nie było greckiego pochodzenia? Oni to, a przedewszystkiem, jak mniemam, bibliotekarz Anastazy, musieli być stronnikami słowiańskiego języka, który miał także licznych przeciwników.

Doniosłość potwierdzenia w Rzymie słowiańskiej liturgii każdy łatwo uzna — ale mniej już łatwo przychodzi objaśnić to

---

[1] Kościół Matki Boskiej, zwany »Phatne«, jest Santa Maria Maggiore.

[2] Anastazy bibliotekarz nie jest według mnie jedną i tą samą osobą z kardynałem Anastazym kolejno deponowanym, ekskomunikowanym i przywróconym do łask, a w części nawet do godności. Por. Langen »Geschichte der römischen Kirche« T. III., str. 271[1]. Przeciwnego zdania jest słynny uczony i wydawca »Liber Pontificalis», Mgr. Duchesne.

[3] Vondrak. Op. Cit., str. 240. Biskup Gauderyk mógł wówczas poznać Konstantyna, ale w bliższe stosunki z nim nie wchodził. Stylizacya listu Anastazego jest tego rodzaju, że przyjąć to należy. Formosus był w grudniu 867 r. z poselstwem u Bułgarów, w każdym więc razie dopiero w 868 r. przyszło do wytoczenia sprawy języka słowiańskiego w Rzymie.

uznanie, istotnie też może ono dziwić. Na pierwszy rzut oka uderza wyłom, który sam papież robi, wyłom, jakby się zdawało w powszechnie zachowanym i przestrzeganym zwyczaju używania jedynie i wyłącznie języka łacińskiego w całem nabożeństwie na Zachodzie, a kto sobie przypomni, jaką jest trwałość i zachowawczość kościelnych instytucyi, ten musi przyjść do przekonania, że względy, które skłoniły papieża do tego ustępstwa, musiały być ważne i doniosłe. — Są nam one już znane, wiemy, że są ważne istotnie, nic nie wiemy tylko dotychczas o doniosłości samego ustępstwa, które był papież uczynił. Polityka, chęć zjednania sobie tych apostołów Słowian, kwestya wreszcie bułgarska i wschodnia — to jeszcze nie objaśnia wszystkiego, bo Kościół nie może niczego ustępować ze swej nauki dla znacznych nawet politycznych korzyści. Widocznie więc, skoro Hadryan II zrobił to ustępstwo, mógł to uczynić bez uszczerbku dla Kościoła, poręcza nam to i osoba samego papieża. Tak było istotnie. Po bliższem zbadaniu całej kwestyi pokazuje się nawet, jak to sprawdzimy niebawem, że ustępstwo, które papież zrobił na rzecz słowiańskiego języka, nie było ani tak niezwykłem ani tak wielkiem ustępstwem ani tak wielką ofiarą.

Bardzo często wypadki zmuszają nas do rozwiązania a nawet przecięcia różnych kwestyi, które inaczej niepostrzeżenie rozwijałyby się same lub niknęły na uboczu. Stało się właśnie obecnie coś podobnego: wobec niespodziewanego i samowolnego wprowadzenia do nabożeństwa słowiańskiego języka, papież widział się zmuszonym zawyrokować o ważnej i doniosłej kwestyi dopuszczenia innych języków, prócz trzech: łaciny, greki i hebrajskiego do nabożeństwa, kwestyi nieporuszonej dotychczas i nieroztrząsanej z praktycznego stanowiska. Kwestya ta musiała być teraz przedewszystkiem rozstrzygniętą teoretycznie, musiał Hadryan II albo potępić ową trójjęzyczną herezyę Pontiusa Pilata, jak ją energicznie nazwał Konstantyn, albo uznać i światu ogłosić zasadę, że Pana Boga można jedynie chwalić w owych trzech językach. I my dzisiaj musimy się również zająć teoretyczną stroną tego zagadnienia, dosyć zawiłego, jak zresztą wszystkie kwestye teologiczne.

W pierwszych czasach chrześcijaństwa językiem Kościoła musiał być język jego wyznawców, — a więc przedewszystkiem hebrajski, grecki a także i łacina. Później zostały faktycznie w użyciu głównie dwa języki — grecki: język całego niemal Wschodu, język kultury i ten, w którym znaczna część Nowego Testamentu była spisaną, i łacina, język światowładnego rzymskiego imperyum [1]. Takie były stosunki w pierwszych czasach chrześcijaństwa: takie były i później.

Jednakże jak pod wielu innymi względami, tak i pod tym zaznaczyły się bardzo wcześnie różnice.

Zachód, t. j. cesarstwo zachodnie pod koniec swego istnienia dokonało największego, choć pokojowego, zwycięstwa, które zdecydowało o przyszłości południowej i zachodniej Europy: oto w Galii, Hiszpanii i Afryce ludność miejscowa przyjęła chrześcijaństwo a zarazem porzuciła swój stary rodzinny język i poczęła mówić językiem zdobywców — po łacinie. To przyjęcie rozstrzygnęło pośrednio kwestyę liturgicznego języka: ponieważ wszyscy mówili po łacinie, w jakimże więc języku miało się odprawiać nabożeństwo? Oczywiście w języku łacińskim. W innem położeniu znalazło się cesarstwo wschodnie i Kościół wschodni. Hellenizacya nie zaszła tam nigdy tak daleko. Język grecki, mimo całej swej niezaprzeczonej wyższości, nie zdołał przecież zupełnie wyprzeć dawnych języków miejscowych, także kulturalnych; nie przestano też mówić w Syryi po syryjsku a w Egipcie po koptyjsku. Językiem greckim posługiwały się po miastach wykształceńsze i zamożniejsze warstwy ludności, choć i tam znaczna część mieszkańców nie porzuciła swej mowy ojczystej. Tak było w bogatej, ludnej Antyochii, tej stolicy Wschodu, tak było w Aleksandryi, szeroko znanej i rozgłośnej ze swych szkół, akademii i uczonych, a cóż dopiero mówić o prowincyi, o zapadłej prowincyi! Z powodu tych językowych stosunków Kościół wschodni od samego początku musiał być nie tylko wyłącznie greckim, jak na jednolitym łacińskim Zachodzie. Prastare nabożeństwo i liturgia przede-

[1] W pierwszych czasach Kościoła język grecki wszelako przeważał i w samym Rzymie. Por. L. Duchesne: »Les églises séparées«. 2 ed. str. 183, 1905. (L'église grecque et le schisme grec.).

wszystkiem syryjska a prócz niej i koptyjska były rozpowszechnione i uznawane, mimo przewagi języka i liturgii greckiej.

Wczesne bardzo zdobycze chrześcijaństwa poza granicami cesarstwa w Persyi, Mezopotamii, dalekich nawet Indyach, utwierdziły pośrednio tę wielojęzyczność. Wprawdzie wybuchła herezya Nestoryusza, Kościół w Mezopotamii i Persyi zupełnie się oderwał, ale za to nawracały się i odpadały kolejno różne inne ludy. Goci, których Ulfilas nawrócił, i Etyopia nawracana za Justyniana, Armenia i różne ludy kaukazkie, które nie posługiwały się wcale językiem greckim w kościele, lecz każdy swem własnem narzeczem. Można tedy ostatecznie powiedzieć, że w owej epoce przejścia i wstrząśnień, która otwiera średnie wieki, Kościół wschodni zdołał utrzymać język grecki na stanowisku dominującem, do niego należała stanowczo przewaga, ale nie było to stanowisko tak dominujące i tak wyłączne, jak łaciny na Zachodzie, gdzie albo Kościół był łaciński, albo go nie było wcale.

W tym samym czasie Zachód, przechodził daleko silniejsze wstrząśnienia. Nowe, germańskie, ludy poczęły nie tylko napadać i niszczyć ziemie dawnego zachodniego cesarstwa, ale się w nich na stałe osiedlać. Był to jednak przełom polityczny, nie kościelny. Ludy owe nawracały się kolejno, ale przecież były one zbyt barbarzyńskie, zbyt też była liczną zlatynizowana ludność miejscowa, aby mogło było przyjść do jakichkolwiek zmian. Łacina została jak dawniej językiem kościelnym — drugi Ulfilas się nie pojawił i nie mógł się na Zachodzie pojawić. Zapanowała ona tak wyłącznie, że nikomu nie przychodziło do głowy, aby można było odprawiać mszę nie po grecku i nie po łacinie. Najlepszym tego dowodem jest Irlandya. Nawrócona w ciągu V wieku, owa daleka, na krańcach znanego świata położona wyspa, która nigdy nie należała do rzymskiego imperyum i której mieszkańcy obcym mówili językiem, przecież przyjęła język łaciński. Ale co więcej! Z powodu odosobnienia i wpływów miejscowych Kościół irlandzki celtycki oddalał się coraz bardziej od Rzymu, aż wreszcie oddalił się, niemal że oderwał zupełnie. Przyjął inną, wschodnią datę obchodzenia Wielkanocy, przyjął inną tonsurę, wytworzył nawet pewne różnice w rytuale, ale przecież łacina po daw-

nemu została jedynym kościelnym językiem [1]. Nikt odrzucić jej nie mógł — a co więcej wcale nie chciał i nie pragnął. Mnisi irlandcy doskonale (jak na owe czasy) znali łacinę i głównie po łacinie pisali? [2].

Takie były faktyczne stosunki na Wschodzie i Zachodzie, w pierwszym okresie wieków średnich.

Późniejsze wieki nie przyniosły już pod tym względem wielkich zmian. Jak często bywa, nie torowano sobie nowych dróg, nie walczono, nie opierano się o nowe kierunki i poglądy, ale tkwiono w dawniejszych stosunkach. Takie tkwienie przy stanie dawniejszym jest wszakże tylko pozornem. Żadnego zjawiska nie można bowiem utrzymać w zupełnem spokoju i zupełnej nieruchomości. Stało się coś podobnego i z kwestyą języków. Nieruchomość było tylko pozorną, w rzeczywiści bowiem na Zachodzie coraz bardziej i silniej utrwalała się zasada, że łacina jest tym językiem, w którym ma się odprawiać wszelkie nabożeństwo. Przyszło też do jej zupełnego i stałego skrystalizowania. Wschód w tej mierze nie zaszedł i teraz tak daleko jak Zachód, choć i tam silniej jeszcze ujawniała się coraz więcej dążność korzystna dla języka greckiego. Przedewszystkiem długi i powolniejszy niż na Zachodzie proces hellenizacyi już się dokonywał ostatecznie. Cesarstwo zachodnio-rzymskie zamieniło się w rzeczywistości na greckie, tytuł cesarza stał się tylko formułą dworu i kancelaryi w Bizancyum, cesarz rzymski, choć się o to obrażał, był tylko basileusem-cesarzem Greków. Mówi się zazwyczaj, że najazd muzułmański i upadek chrześcijaństwa na Wschodzie, który on spowodował, podniósł znaczenie Rzymu. Sądzę, że przedewszystkiem na razie patryarcha carogrodzki, a nie papież rzymski stracił rywali w osobach patryarchy Aleksandryi i Antyochii, że się jego znaczenie podniosło, a z tym się łączy podniesienie jeszcze już i tak wielkiego znaczenia patryarchy i Kościoła w Konstantynopolu.

---

[1] Warren: The Liturgy and Ritual of the Celtic Church. 1881, str. 157. Parę zdań w języku celtyckim, które kapłan podczas mszy wygłaszał, zwracając się do ludu, są zbyt małoznaczne, aby można je brać w rachubę.

[2] Znali także i język grecki. Por. Adamnani: Vita Columbae. Ed. J. T. Fowler. 1894. Str. LXXXVI.

Do tych wszystkich względów przybywa ostatni, może najważniejszy. Oto już w ciągu VI wieku przyszło do rozłamu między Kościołem prawowiernym a Kościołem syryjskim oraz koptyjskim, aleksandryjskim. Odszczepieństwo owe nie ogarnęło wszystkich wiernych, ale w każdym razie bardzo znaczna część owych Kościołów, używających nie greckiego języka, znalazła się poza obrębem ortodoksyi, — pośrednio więc musiało to wpłynąć na wyrównanie językowych różnic w obrębie wschodniego Kościoła, skoro nie-greckie części odpadły. Kościół natomiast używający łacińskiego języka, jak się podówczas mówiło, mógł już wówczas nawet zupełnie zatracić poczucie, że wolno mszę odprawiać w innym języku nie tylko po łacinie lub po grecku — a przedewszystkiem u siebie jedynie i wyłącznie po łacinie. Doszło pod tym względem do zupełnej przesady. Pełno mamy na to przykładów i tak np.: apostoł Germanii św. Bonifacy, pytał się 743 roku oddzielnem pismem papieża Grzegorza VII, czy chrzest udzielony w języku pogan jest ważny? Na co mu papież dał odpowiedź twierdzącą, choć nie bez zastrzeżeń [1]. Dochodziło też często, jak sądzę, do tego, że uczono Składu Apostolskiego tylko po łacinie, w każdym razie wiemy, że uczono lud tej modlitwy i po łacinie, której nie rozumiał, i w języku własnym [2]. Nic więc dziwnego, że jeden z pisarzy IX wieku, Walafrid Strabo, mówiąc o zwyczajach kościelnych, musiał się tłumaczyć na wstępie, że będzie się zajmował nazwami niemieckiemi, przyczem dodał: na łacinnikach może to zrobić takie wrażenie, jakby ktoś małpięta chciał podawać za królewskie syny [3]. Wszystko to ostatecznie dowodzi, jak już daleko zaszły rzeczy pod tym względem. Kościół używający greckiego języka natomiast pozostał bardziej oswojony z myślą i więcej o tem zawsze wiedział, że można i nie po grecku Pana Boga chwalić, choć za pożądane tego nie uznawał, w Bułgaryi nie wprowadzał miejscowego narzecza, a w Armenii później

[1] Mon. Germ. Historica Epistolarum Carolini Aevi. T. IV, nr. 45.

[2] Boretius: Capitularia regum Francorum. Mon. Germ. Hist. LL. T. I, Pars II. Hludouici II Imp. capitula ecclesiastica § 2.

[3] Mon. Germ. Hist. LL. Tomi II, Pars II. Walafridus: De exordiis et incrementis Rerum Ecclesiasticarum. Str. 481, § 7.

zaczął je nawet gwałtownie usuwać ze służby kościelnej. W obu odłamach Powszechnego Kościoła przeważała tedy dążność ujednostajnienia a przez to i konsolidacyi istniejących stosunków. Liturgia np. grecka uzyskała także na Wschodzie stanowcze pierwszeństwo [1], na Zachodzie zaś liturgia rzymska zdołała wyrugować prawie doszczętnie gallikańską [2], którą Pipin usunął z Galii, głównego jej siedliska [3].

Zwykłą jest tendencyą ludzkiego umysłu pytać się o przyczyny i szukać objaśnienia dla faktu, który się ma ciągle przed oczyma. Musiała się też pojawić teorya, która odpowiadała na pytanie dlaczego łacina, greka a teoretycznie i hebrajski są tymi językami właśnie, w których chrześcijanie chwalą Pana Boga? Od czegoż byliby ówcześni teologowie, gdyby nie byli mogli dać odpowiedzi na to pytanie?

Istotnie odpowiedź się znalazła, ale nie zaraz.

Długo nie odczuwano wcale potrzeby, jak wiemy, zastanawiania się nad kwestyą języków. Inne kwestye tyczące dogmatu: Bóstwo Chrystusa, dwoistość lub jedność Jego Boskiej i ludzkiej natury i t. d. pochłaniały wszystkich, o to się spierano, walczono i prześladowano wzajemnie. To też pisarze kościelni, ci nawet, którzy zwracają uwagę na miejscowe zwyczaje i różnice, i ci o różnorodności języków wcale nie wspominają! [4] Widocznie uszło to ich uwagi. Aż nareszcie pojawiła się teorya, która próbowała wyjaśnić i ten powszechnie znany fakt, iż tylko trzy języki mają w nabożeństwie pierwszeństwo a dwa z nich, łacina i greka, to pierwszeństwo wykonują. Teorya ta nie stawiała dogmatu lecz starała się dać podstawę teologiczną dla istniejących stosunków. Był to pierwszy dopiero krok do przekształcenia na

[1] L. Duchesne: Origines du culte chrétien. 3 ed. 1903, str. 86.

[2] Prócz liturgii mozarabskiej w Hiszpanii gallikańskiego pochodzenia, która ustąpiła miejsca rzymskiej dopiero za Grzegorza VII.

[3] L. Duchesne: Op. cit. str. 103 oraz Boretius: Capitularia Regum Francorum (str. 61. T. I. Pars I). Capitulare a. 789. A także: Statuta Salisburgensia a. 799 § 12.

[4] Migne: Pat. Gr. T. LXVII. Sozomenos: Historia Eccl. L. VII, § 19, str. 1471, oraz V. Socrates: Hist. Eccl. L. V, § 22, str. 626.

dogmat zwykłego faktu — do tego jednak wcale nie przyszło i przyjść oczywiście nie mogło.

Jest to znana nam już »herezya trójjęzyczna« albo Piłatowa, którą zwalczał Konstantyn na Morawie na owym synodzie w Wenecyi. Jako dowód, że tylko w tych trzech językach (a w praktyce we dwóch) można Pana Boga chwalić, posłużył trójjęzyczny napis na krzyżu Chrystusowym, który Pontius Pilatus rozkazał był umieścić. O tym napisie wspomniał już św. Hieronim, po nim zaś pisarz kościelny z IV wieku, św. Hilary, jak się zdaje, pierwszy połączył go z tym faktem, że w tych trzech językach odbywa się najczęściej (maxime) służba Boża [1]. Nie zapomniano o tej zasadzie i później, tem bardziej, że praktyka szczególniej na Zachodzie zdawała się ją potwierdzać. Święty Germanus biskup paryski z VI wieku bardzo ją wyraźnie podniósł, u niego też, o ile wiem, po raz pierwszy występuje ona wyraźnie i kategorycznie. Przy opisie mszy według rytuału gallikańskiego mówi on, że należy śpiewać litanię t. zw. trisagion czyli »Aius« (ἅγιος), jak ją także z grecka nazywano, bo w tym języku spisany jest Nowy Testament z wyjątkiem hebrajskiej ewangelii apostoła Mateusza. »Uczcijcie tedy«, mówi św. German, »język, który pierwszy przyjął ewangelię Chrystusa«. To jest powód, dla którego ów hymn miano po łacinie i po grecku śpiewać, dodawano zaś jak zawsze »amen« po hebrajsku, na pamiątkę, mówi znowu nasz święty, napisu, który w trójcy języków: *in trinitate linguarum* za zrządzeniem Bożem Piłat położył na krzyżu. Wraca się wreszcie św. German po raz ostatni do nabożeństwa w trzech językach, kiedy mówi, że trzech chłopców mają śpiewać Kyrie eleison w języku hebrajskim (Amen), greckim i łacińskim, co ma oznaczać czas »przed prawem, pod prawem i pod łaską« [2]. Jest więc już gotowa teorya. Nie można powiedzieć, żeby była ona prostą i łatwą — ale to już rzecz inna. Raz postawiona musiała ona liczyć i bardzo gorliwych zwolenników — zbyt nawet

[1] Migne: Pat. Lat. T. IX. str. 241. § 15. Pierwszy o ile wiem zwrócił uwagę na tekst św. Hilarego Fr. Snopek w rozprawie p. t. List papeże Hadriana II, 1888, str. 96.

[2] Migne: Pat. L. LXXII. str. 91.

gorliwych, skoro przy końcu VIII wieku przyszło do reakcyi przeciwko tej zasadzie! Na Synodzie Frankfurckim 794 roku musiano ogłosić postanowienie, aby nikt nie wierzył, iż należy się modlić do Pana Boga tylko w trzech językach, gdyż w każdym języku Pan Bóg jest chwalonym a człowiek wysłuchanym, jeśli prosił o rzeczy słuszne[1]. Były to ostateczne już konsekwencye owej nauki, bo nikt z wydających ten przepis nie miał na myśli oczywiście mszy innej, jak grecka lub łacińska — chodziło tu faktycznie o t. zw. nabożeństwo dodatkowe a może nawet i o zwykłe, jak wiemy, modlitwy, których kto wie czy nie uczono po łacinie zamiast w języku zrozumiałym? Rzeczy też były już tak daleko zaszły! Ale należy pamiętać zawsze o jednem, że było to zapatrywanie powszechnie przyjęte, z którem należało się liczyć, nie stało się ono jednak oczywiście dogmatem, bo stać się nie mogło. Kto wie nawet, czy i pod tym względem, podobnie jak pod względem pochodzenia Ducha świętego duchowieństwo frankońskie nie poszło dalej, niż sam Rzym? I to być mogło. Rzym musiał dbać o jedność i stałość nie tylko dogmatu ale i obrządku — to prawda, lecz i tu zachował pewną miarę konieczną — i szerszy horyzont!

Konstantynowi przypadło w udziale przełamanie owej teoryi i tego tak powszechnego i zakorzenionego już od wieków zwyczaju i tej wszechwładnej »praktyki«, jakbyśmy mogli powiedzieć. Zwyczaje takie nie tak łatwo zwykły ustępować i zawsze znajdują gorących zwolenników, którzy bronią istniejących, przyjętych i utartych poglądów i opinij. Przemógł wszakże ich wszystkich nasz Filozof, poparty, zdaje się przez Anastazego — i swoje przeprowadził. Udało mu się więc w Rzymie lepiej, niż w Wenecyi, gdzie, jak wiemy mszę słowiańską odrzucono. O ile sądzić można, jeśli o teoryę chodzi, zadanie jego nie było tak trudnem. Owo powoływanie się na Pontiusa Pilata, przyznać trzeba, nie było bardzo fortunne, Wprawdzie kazał on »za zrządzeniem Bożem« ów trójjęzyczny napis umieścić na krzyżu, ale całe to ru-

[1] Bortius: Capitularia, Regum Francorum. T. 1, 1. Synodus trancof. a. 794, § 52. Ut nullus credat quod non nisi in tribus linguis Deus orandus sit quia in omni lingua Deus adoratur et homo exauditur si iusta petierit.

sztowanie teologiczne pewnem nie było i łatwo było je zwalić. Argumenty stawiał Konstantyn zupełnie ogólnie i teoretycznie, bo i kwestya była ogólną i teoretyczną, tymi samymi się zaś musiał posługiwać co i w Wenecyi, a przyznać trzeba były one silne. Najpierw cytował Konstantyn różne ludy, które używają przy nabożeństwie swego własnego języka a więc: Armeńczyków, Persów, Iberów i inne kaukazkie plemiona, a dalej Gotów, z którymi oczywiście poznał się na Krymie, wreszcie Arabów, Syryjczyków i Egipcyan. Tu znać, że to członek wschodniego Kościoła, który sprawdził i wie, że to istnieje w praktyce. Potem przeszedł on do ogólnego uzasadnienia i podzielił dowody, rzec można, na dwie kategorye: z Pisma świętego, oraz na rozumowe, oparte na przyrodzonem prawie, które Pan Bóg dał ludziom. Z Pisma świętego Starego Zakonu oraz z Dziejów i Listów apostolskich mógł wiele ustępów na swą korzyść przytoczyć, najbardziej zaś przekonywującym był w tej mierze list pierwszy św. Pawła do Koryntyan[4], w którym jest »o językach« mowa. Zarzucał wreszcie Konstantyn przeciwnikom faryzeizm, bezduszną interpretacyę litery pisma, które nawet zgoła za nimi nie świadczyło i powoływał się na ten fakt oczywisty, że skoro Bóg zezwala, aby ludzie mówili różnymi językami, snać mu są one wszystkie blizkie i można w nich Pana Boga chwalić, a nietylko do trzech się ograniczać. Bardzo pomocną ze względów więcej praktycznych była owa uchwała synodu frankfurckiego i na nią też musieli się powoływać i on sam i jego stronnicy. Dość, że Konstantyn na miejscowym synodzie w Rzymie, bo taki synod musiał być zwołanym, przeciwników pokonał i walne odniósł zwycięstwo, oddał zaś przytem wielką Kościołowi usługę, bo go przed zbytniem zacieśnieniem skutecznie obronił. Hadryan II nie wahał się w imię bardzo szerokiej zasady uznać prawa innych

[2] Rozdział XIV Dziwić się należy, że Konstantyn nie zużytkował tutaj zesłania języków przez Ducha świętego, a to już przytaczał Grzegorz z Nazianzy w swojem kazaniu na Zielone Świątki, które zostaje pośrednio w związku z kwestyą języków liturgicznych. Jestem pewny, że Konstantyn je znał ,choć z niego nie korzystał. Zresztą zaznaczyć wypada: Żywot dość krótko się zbył z tą obroną. Por. Migne: P. Gr. T. XXXVI (II). Oratio XLI, § 15.

nietylko dwóch uznanych liturgicznych języków: łaciny i grecki, i to w tym samym czasie, kiedy Focyusz w swem piśmie przeciw «Kościołowi używającemu łacińskiego języka« podnosił jako zarzuty różne zwyczajowe odrębności kultu.

Zarówno Konstantyn jak i jego przeciwnicy stawiali sprawę mszy słowiańskiej na gruncie zasadniczym, ogólnym i teoretycznym i na tym gruncie rozstrzygnął ją papież — o tem pamiętać należy, bo to punkt bardzo ważny! Jeśli się to stanowisko zajmie (a innego zająć nie można), w zupełnie innem świetle przedstawi nam się i samo ustępstwo, które Hadryan II był zrobił i sama misya morawska. Zbyt wyłącznie mamy zwróconą uwagę w całej tej sprawie na jeden jedyny język łaciński i zazwyczaj mówimy: papież zezwolił na odprawianie mszy słowiańskiej zamiast łacińskiej — tymczasem powinniśmy mówić w myśl teoryi, papież mógł zezwolić na odprawianie zamiast mszy greckiej mszy słowiańskiej i tak było istotnie. Ustępstwo więc stało się kosztem języka liturgicznego greckiego a nie łaciny!

Stosunki kościelne w państwie Rościsława nie były jeszcze uregulowane, jak wiemy, Morawy były krajem misyjnym, nie tylko nie miały własnej hierarchii, ale nie weszły ostatecznie w skład żadnej niemieckiej dyecezyi. Mniej już luźne były stosunki w państwie Kocela, które należało do dyecezyi salcburskiej. Na Morawach misyonarze niemieccy odprawiali mszę po łacinie, tak samo w Pannonii liczniejsi już i stale osiedli duchowni. Liturgia więc łacińska była już znaną i uznawaną na Morawach a tem więcej w Pannonii, oba więc te kraje ostatecznie *de facto* należały do obszaru frankońskiego łacińskiego Kościoła, choć ta przynależność nie była tak ustaloną i dawną, jak np. Bawaryi, nic już nie mówiąc o Galii lub Włoszech. Były to w każdym razie albo świeże bardzo albo, niepewne jeszcze i chwiejne zdobycze. A teraz zapytajmy, co się stać mogło po przybyciu misyonarzy greckich? Przedewszystkiem, jak wiemy, mógł papież zarówno jak frankońskie duchowieństwo nie uznać ich działalności. Uznał wszakże, jak to wiemy również, uznając zaś stwarzał następującą sytuacyę: Kraje te a przedewszystkiem Morawy mogły przejść, biorąc rzecz

teoretycznie ta o to chodziło obecnie do odłamu Kościoła używającego języka greckiego«, bez zerwania z Rzymem. Poczucie, iż oba te Kościoły są częścią jednego Powszechnego Kościoła było bardzo żywem. msza grecka, liturgia grecka i wpływy kościelne greckie były bardzo silne. W samym Rzymie przecież były liczne greckie klasztory i msza grecka była bardzo często odprawiana [1]: nie dziwiło to a już bynajmniej nie gorszyło nikogo! Cóż więc prostszego jak to, że greccy misyonarze mogli byli i dalej na Morawach i w Pannonii odprawiać mszę po grecku według np. liturgii Bazylego Wielkiego lub Jana Chryzostoma? Podnosiłem to już i zaznaczałem, że nikt im tego nie mógł zabronić. To jest jasne i proste! Sam papież przecież podnosił, że różnica języków nic nie stanowi i że on sam wyświęcał duchownych greckich, ilekroć zachodziła tego potrzeba [2]. Że tak było istotnie, mamy na to bezpośredni dowód. Oto papież Jan VIII, w swoim liście zakazującym Metodyuszowi odprawiania mszy w barbarzyńskim t. j. słowiańskim języku, najwyraźniej zaznacza: że wolno mu mszę odprawiać p o g r e c k u l u b p o ł a c i n i e, jak się to dzieje w całem chrześcijaństwie i u wszystkich ludów [3] — co do tego więc żadnych wątpliwości mieć nie można! Nie dość wszakże na tem: mamy bowiem jeszcze dowód inny, pośredni, popierający to nasze twierdzenie. Papież Hadryan II w liście polecającym Metodyusza Rościsławowi, Świętopełkowi i Kocelowi mówi co następuje: Dozwoloną jest msza słowiańska, ale należy ten zwyczaj zachowywać, aby przy mszy kapłan czytał lekcyę apostolską i ewangelię najpierw po łacinie a potem dopiero po słowiańsku [4]. To samo zastrzeżenie robi i Jan VIII, dodając jeszcze przytem: że się to dzieje w niektórych Kościołach [5]. Otóż jak to zastrzeżenie należy rozumieć? Pozornie sprzeciwia się ono temu.

[1] L. Duchesne: Les églises séparées str. 205.

[2] Liber Pontificalis ed. Duchesne T. II. str. 183. Odnosiło się to do księży greckich w Bułgaryi.

[3] Vondrak: Op. cit. b. str. 254.

[4] G. Friedrich: Codex. dipl. Regni Bohemiae 1904, nr. 12, oraz w wydaniach »Żywotu Metodyusza. Listem tym przyjdzie nam się jeszcze później zająć.

[5] Op, cit. 8, str. 257

cośmy powiedzieli — ale, z góry uprzedzam, tylko pozornie! W pierwotnej i starszej liturgii wogóle czytanie proroctw, listów apostolskich i wybranych ustępów z dziejów apostolskich oraz czytanie ewangelii zajmowało daleko bardziej poczestne miejsce, niż później [1], ponieważ zaś chodziło o to, aby wszyscy wierni mogli odnieść należytą korzyść, przeto bardzo wcześnie objaśniano, jeśli zachodziła tego potrzeba i w innych językach odnośne ustępy. Działo się to przedewszystkiem tam, gdzie ludność była mieszana, więc za czasów rzymskich czytano np. w Antyochii ewangelię po łacinie i po syryjsku, prócz tego po grecku [2]. Podobnie później tłumaczono lekcyę i ewangelię z syryjskiego na arabski, tym bowiem językiem mówiła część wiernych [3]. Zwyczaj ten był oczywiście i w Konstantynopolu w użyciu, dopóki dwór mówił po łacinie i tradycye rzymskie były żywsze. Później został ten zwyczaj na znak łączności i jednolitości kościelnej. Pokazuje się to z następującego faktu: papież Mikołaj I w swym liście do cesarza Michała III, pisanym w 865 roku, broniąc łaciny, którą cesarz nazwał był rzekomo językiem barbarzyńskim, podnosił między innemi i to, że przecież dawniej w samym Konstantynopolu była ona w kościelnem użyciu. Lekcyę i ewangelię czytano po łacinie a następnie dopiero po grecku, teraz, mówi Mikołaj I, Kościół wasz zaniechał tego zwyczaju i aby się wszystka niegodziwość wypełniła, pozostaje wam tylko usunąć zupełnie język łaciński z kościołów [4]. Podobnie i na Zachodzie i w samym Rzymie i we Francyi w znaczniejszych klasztorach w IX wieku czytano lekcyę i ewangelię prócz po łacinie także i po grecku [5], oczywiście już

---

[1] L. Duchesne: Origines du Culte Chrétien str. 167 i 195.

[2] L. Duchesne: Églises séparées str. 30. (Les Schismes Orientaux).

[3] Dionysius Bar Salibi Expositio Liturgiae ed. Labour str. 6 i 46 1903. Parisiis Corpus St. Chr. Orientalium. Scriptores Syri.

[4] Mansi: Conciliorum Gen. Collectio. T. XV Venetiis 1770, str. 187 VIII. Istius enim dictione linguae Cpolitana ecclesia lectionem apostolicam evangelicam in stationibus fertur primitus recitare. Ten szczegół podnosił również Fr. Snopek w cytowanej już rozprawie, nie wyciągał z niego wszelako dalszych konsekwencyi.

[5] H. Omont: La messe grecque de Saint-Denys str. 178. (Etudes d'Histoire du Moyen-Age dédiées a Gabriel Monod. 1896).

tylko dla zaznaczenia łączności obu Kościołów i dla niczego więcej. Wszystkie te fakty doprowadzają do jednego wniosku: oto Konstantyn początkowo odprawiał mszę grecką, a następnie zamiast języka greckiego wprowadził, podstawił niejako język słowiański — a cóż się mogło zostać z dawnej mszy greckiej?

Oto owa lekcya i ewangelia łacińska! Wskutek zmiany, wprowadzającej język słowiański, łacina nie miała tracić nic ze swych dawnych praw, miał też Metodyusz zachować ten zwyczaj, podówczas w Rzymie powszechny, nie wątpię w tym razie jako symbol łączności z Rzymem. To więc zastrzeżenie obu papieży najlepiej właśnie potwierdza nie już domysł, ale fakt, że tak, a nie inaczej pojmowano w Rzymie sprawę mszy słowiańskiej i oczywiście związanej z nią tak blisko i bezpośrednio misyi słowiańskiej.

Tak się przedstawia sam ów fakt. Z kolei należy go wprowadzić w związek z ówczesnem bieżącem historycznem położeniem i na tem tle rozpatrzeć.

Papież Hadryan II, podczas kiedy rozstrzygał kwestyę dopuszczenia różnych języków do nabożeństwa, czuł się więcej niż kiedykolwiek nietylko w prawie (bo to czuł zawsze) ale i faktycznej możności wydawania wyroku w kwestyi obchodzącej nietylko zachód ale i wschód katolicki. Przecież podówczas właśnie święcił on nad Carogrodem zwycięstwo. Ten wyrok jego zresztą dotyczący bezpośrednio języka greckiego wydany został bez wątpienia za wiedzą i aprobatą tych licznych greckich duchownych, znanych z uczoności zakonników. Wyrok przychylny dla słowiańskiego języka w teoryi obchodził też obydwa liturgiczne dawne języki, wszystko było jedno bowiem (ale zawsze w teoryi), czy nowo uznany za liturgiczny język słowiański miał zastąpić łacinę lub grekę. Mógł jeden i drugi. W praktyce, w rzeczywistości wszakże przedstawiała się rzecz cała nieco odmiennie. Najpierw łatwiej było uzasadnić dopuszczenie innego języka, jeżeli się stanęło na stanowisku greckiego kościoła i mniejszą to było innowacyą, niż na Zachodzie, wobec znanej nam już zupełnej przewagi, którą sobie łacina zdobyła. Ta innowacya, teoretycznie tak śmiała, pozostała też zupełnie bez wpływu i znaczenia dla stosunków ko-

ścielnych zachodnich. Papież doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że nic łacinie nie grozi i że gdyby był sam zezwolił na wprowadzenie np. języka niemieckiego, irlandzkiego, lub jakiegokolwiek innego, niktby z tego pozwolenia nie był z wszelką pewnością skorzystał, tak dobrze były już ugruntowane i uznane odwieczne prawa tego jedynego języka w kościele. Jeśli jednak chodziło o misyę słowiańską, skoro raz uznał on działalność Konstantyna i Metodyusza, to do pewnego stopnia wybór języka słowiańskiego, a nie greki, był w tem położeniu drogą odpowiednią, bo drogą pośrednią. Wprawdzie, jak wiemy, poświęcał Hadryan II poniekąd obrządek łaciński, szczególniej w Pannonii, ale nie poświęcał, jeśli tak powiedzieć wolno, na darmo! Uznał był on i większość synodu, że prócz trzech języków liturgicznych mogą być inne dopuszczone do nabożeństwa. W pewnej mierze było to już zresztą tylko rozwinięciem i wyprowadzeniem istotnych konsekwencyi z owej uchwały synodu frankfurckiego, którą znamy. Miał zupełne do tego teologiczne podstawy, wiemy bowiem również, iż nie było tak trudnem odrzucić teoryę, która Pontiusa Piłata uznawała za natchnionego duchem bożym! Skoro więc można było tak tę całą kwestyę rozstrzygnąć, rzecz cała mogła wejść na bardziej praktyczne już tory. Kościół rzymski uznając misyą Konstantyna i język słowiański, osiągnął ważną korzyść: zapewnił sobie bezpośrednie poddanie, mimo różnicy języka, tych krajów pod swój wpływ bezpośredni. A nie było to bez wartości i znaczenia wobec pewnego ukrytego antagonizmu frankońskiego duchowieństwa, a co więcej wobec tego, że stolica apostolska poddała już Bułgaryę pod swój wpływ bezpośredni. Mogło więc Hadryanowi II bardzo na tem zależeć, aby z rąk nie wypuszczać tych świeżo nawróconych krajów słowiańskich, co byłoby się stało niechybnie, gdyby był Rzym nie uznał całej działalności misyjnej Konstantyna. Wówczas bowiem byłoby ze swymi pretensyami wystąpiło bawarskie duchowieństwo, a że miało ku temu dość siły, aby je poprzeć, niedaleka przyszłość miała niestety pokazać! Trzeba też było wybierać między *status quo*, t. j. utratą Pannonii i Moraw na rzecz kościoła frankońskiego, a misyą Konstantego, którego przecież na łacinnika papież

ani mógł, ani chciał przerobić teraz wobec zgody z Grekami! Wybór więc trudnym nie był. A i z tego stanowiska oświetlając rzecz całą przyznać trzeba, że owa innowacya, t. j. msza słowiańska zamiast greckiej miała swoje strony dodatnie — i to nie lada! Była ona czemś zupełnie nowem, innem, różnem od obu kościołów i pośredniem, a była jeszcze dziełem przyszłości, słabem, bo poczynającem, łatwiej też było to dzieło otoczyć opieką bronić i pod swoim wpływem zatrzymać. Na tem mogły tylko obie strony zyskiwać, t. j. Rzym i poczynający kościół słowiański.

Konstantyn dokonawszy iście doniosłego czynu, który do dziś trwa jeszcze, postanowił spełnić dawne swe, a nie opuszczające go nigdy pragnienie: usunięcia się od świata w zacisze i spokój klasztorny. Spełnił je wreszcie i odmieniwszy imię świeckie na zakonne Cyrylla wstąpił do jednego z licznych greckich klasztorów, aby resztę dni spędzić w wiecznem mieście. Te dni miały być już krótkie, i czekał nań nie spokój klasztorny, lecz wieczny spokój śmierci i powoli ogarniał. Zawsze wątłego zdrowia zachorował Konstantyn w Rzymie i zmarł po niespełna paromiesięcznym pobycie w klasztorze, w lutym 869 roku. Przed śmiercią modlił się gorąco o wygubienie trójjęzycznej piłatowej herezyi i o zachowanie kościoła w jedności i wierze. Były to snać dwa jego najgłębsze, najprawdziwsze i najszczersze pragnienia, o których się i w godzinie śmierci pamięta [1]. Pochowano go nie jak pragnął Metodyusz w Tessalonice, lecz na miejscu w Rzymie z wielką czcią i nabożeństwem w bazylice Świętego Klemensa, którego ciało sprowadził. Umierając Konstantyn zwrócił się był do brata Metodyusza i rzekł do niego: oraliśmy bracie jeden zagon, a teraz go opuszczam i odchodzę, albowiem skończyły się dni moje. Wiem jak klasztor na Olympie miłujesz, wszakże nie porzucaj dla niego pracy twojej i nauki

[1] Uważam wiadomości »Żywotu« w tej mierze za zupełnie konkretne i prawdziwe. Ostatnie chwile każdego człowieka są ważne i pamiętają je wszyscy otaczający — a cóż dopiero w średnich wiekach, jeżeli chodzi o śmierć tak wybitnego i świątobliwego człowieka, jak Konstantyn.

twojej, bo tak możesz być prędzej zbawiony [1]. Czy bez tej prośby i bez tej zachęty byłby Metodyusz, który dopiero teraz na pierwszy plan się wysuwa, porzucił rozpoczęte dzieło i do Pannonii i na Morawy nie wrócił? Nie sądzę, bo w takim razie na cóż się zdała cała ta walka o język słowiański, o wyświęcenie uczni w Rzymie? Porzucić misyjne dzieło zawsze było łatwo i wobec piętrzących się trudności nie starać się i wyjednywać uznanie papieża, lecz wprost udać się z powrotem do Carogrodu. Skoro zaś Konstantyn postanowił dokonać żywotu w rzymskim klasztorze, któż inny mógł dalej misyę prowadzić, jeśli nie Metodyusz? Wysłanie samych uczniów wystarczającem dla niego być nie mogło, świeża misya potrzebowała jeszcze opieki i dalszej pracy. I sam Hadryan II zresztą mógł także nalegać na jej podjęcie i ugruntowanie — stała się ona poniekąd i jego już dziełem! To też wyswięcił papież Metodyusza na księdza i odesłał nietylko na Morawy, ale i do Pannonii i do wszystkich krajów słowiańskich. Doręczył mu Hadryan II pismo, ów słynny list, o którym wspominałem, i w nim potwierdził mszę i nabożeństwo słowiańskie, świadczył, że obaj bracia nic przeciw kanonom nie uczynili i polecał Metodyusza trzem znanym nam już słowiańskim książętom [2]. Było to naturalnem, skoro papież raz uznał działalność misyjną obu braci, musiał teraz, kiedy Metodyusz wracał, polecić go i świadczyć za nim i za zmarłym bratem. Kto wie nawet, czy nie pisał w tym duchu również i do arcybiskupa salzburskiego? Być to bardzo mogło!

---

[1] »Żywot Metodyusza« § 7.

[2] List ów nie przestaje być przedmiotem sporu między uczonymi. Jaffe-Wattenbach, Dümmler, Jagić i wielu innych uznają go za autentyczny. Götz, Hauck, a w ostatnich czasach Brückner i G. Friedrich za falsyfikat, lub przynajmniej wątpliwej autentyczności. Sądzę, że główna jego osnowa jest autentyczną i przy tem silnie obstaję; list taki bowiem po uznaniu liturgii słowiańskiej i z powodu powrotu Metodyusza na Morawy i do Pannonii musiał być wydanym. Mógł on być jedynie przetłumaczonym nie dosłownie, jakby był dzisiaj — to jest oczywistem! Choć nie sądzę i tutaj, aby jakieś zmiany ważniejsze wprowadzono. Jedyna niejasność co do ekskomuniki na końcu da się także wyjaśnić, jak jeszcze zobaczymy. Wyjaśnił ją już zresztą Fr. Snopek w cytowanej wielokrotnie rozprawie, za nim poszli i inni.

Z pismem tedy papieskiem powracał Metodyusz napowrót i zatrzymał się oczywiście znowu w Pannonii u księcia Kocela, tam bowiem przeniósł się teraz punkt ciężkości całej misyi. Pokazało się wszakże jedno, co zresztą przewidzieć z góry było można: duchowieństwo bawarskie nie uznawało w dalszym ciągu słowiańskiej misyi, a samego Greka Metodyusza nie przestało uważać za intruza. Te walki i trudności zmusiły Metodyusza do powrotu do Rzymu, po kilkomiesięcznym zaledwie pobycie na dworze Kocela. Przedewszystkiem pragnął żarliwy obrońca i zwolennik mszy słowiańskiej, Kocel, aby się raz wyjaśniło położenie, pragnął tego ze względu na swój stosunek do króla Ludwika i do metropolii salzburskiej. Musiał się on teraz znowu na kimś oprzeć i powagą czyjąś zasłonić, oczywiście tylko Rzym mógł tutaj znowu pomóc i z trudności wybawić.

Istotnie sytuacya była trudna i skomplikowana wskutek uprawnionych w znacznej mierze pretensyi Salzbuzga; w takiem zaś położeniu zazwyczaj najlepszą rzeczą jest chwycenie się radykalnych środków, słowem, przecięcie kwestyi. Ten krok tak ważny i zasadniczy uczynił papież i Metodyusz. Należało koniecznie stworzyć z Pannonii niezależną od Bawaryi prowincyę kościelną z niezawisłą hierarchią. Metodyusz po złożeniu wyznania wiary według nicejskiego dawnego symbolu[1] został wyświęcony pod sam koniec 869 roku na arcybiskupa Pannonii i dyecezya jego została bezpośrednio Rzymowi poddaną.

Kurya rzymska, a i sam Metodyusz uciekli się do jedynie możliwego planu i pomysłu, który miał jeszcze tę dobrą stronę, że się łączył i popierał pośrednio sprawę zajęcia Bułgaryi przez stolicę apostolską. Rzym występował był już od dawna ze swemi słusznemi prawami do dawnych granic swego patryarchatu. Trzymały się one dawnego podziału cesarstwa i sięgały znacznie w głąb obecnego cesarstwa wschodniego, na zasadzie tych dawnych pretensyj opierał Rzym prawomocność swej misyi w Bułgaryi. I Tessalonika należała była dawniej do Rzymu —

[1] Były to t. z. litterae synodicae. Metodyusz dostał oczywiście paliusz jako arcybiskup, a przy doręczaniu paliusza składano je na piśmie.

skąd, jak wiemy, pochodzili, nasi obaj bracia. Prócz niej także niegdyś należało do Rzymu i Sirmium, które co prawda było zdaje się metropolią tylko zachodniego Illiricum [1]. Chodziło więc teraz o wznowienie tych dawnych praw Rzymu i o wznowienie tego biskupstwa, a że z nim można było połączyć i godność legata papieskiego, więc też i tym zaszczytnym tytułem obdarzył był jeszcze papież Metodyusza [2]. To zdawało się przecinać ostatecznie trudności. Już jako arcybiskup wrócił był Metodyusz do Kocela wraz z uczniami, których był z Rzymu z sobą przywiózł. Szerokie horyzonty i wielkie nadzieje otwierały się przed obydwoma, niedaleki czas miał okazać, czy można je było spełnić i czy wytrzymają one próbę ogniową — próbę walki o życie i istnienie.

(Dok. nast.)

Karol Potkański.

[1] Gluck: »Die Bisthümer Noricums« Sitzungsberichte der Phil.-Hist.-Cl. der k. Akademie in Wien. T. XVII., 1855, str. 128. Część zachodnia Illiricum obejmowała właśnie i Pannonię.

[2] Por. List Jana VIII z 873 roku. Vondrak str. 249 nr. 2, oraz L. Duchesnes »Les églises separèes« str. 242. (L'Illiricum Ecclésiastique). Legatem za czasów Justyniana był arcybiskup z Justiniana prima, do którego metropolii należało i Sirmium, obecnie mógł papież na arcybiskupa Sirmium przenieść tę godność. Pierwotnie stale tę godność piastował arcybiskup Tessaloniki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

Stanisław Nałęcz-Ostrowski: »Przed burzą«. — Autor Ireny: »Savonarola«. — Artur Gruszecki: »Pruski huzar«. — Wacław Sieroszewski: »Powrót« — Jan Łada: »Sweet Boy«. — Abgar-Sołtan: »Widziane i odczute«. — Tenże: »Rywale«. — Marya Konopnicka: »Na normandzkim brzegu«. — Bolesław Prus: »Ze wspomnień cyklisty«. — Marya z Fredrów Szembekowa: »Na jawie i we śnie«. — Sabina Mysłowska: »Żona paralityka«. — Władysławita: »Infamis«. — Ludwik Stasiak: »Humoreski«. — Tenże: »Nowe humoreski«.

Po przeczytaniu »Przed burzą« [1] mamy prawdziwy żal do autora, że nie ukończył utworu, lecz stanął przed publicznością z częścią, nie tworzącą w sobie żadnej całości. Materyał może przykuć uwagę czytelnika. Władysław, syn Jagiełły i królowej Zofii, przyjmuje tron węgierski i koronuje się w Białogrodzie koroną św. Stefana; jako król polski i węgierski, tak sądzi, łatwiej złamie potęgę półksiężyca i stanie się bohaterem chrześcijaństwa. Jest to więc piękna karta z naszej przeszłości. Powieść wykazuje dotychczas, niestety, dość wiele braków. Akcya w dwóch pierwszych częściach rozwija się zanadto powoli; za dużo tam rozpraw, uwag i refleksyi. Nie wiemy wprawdzie, jak autor dalej powieść swoją przeprowadzi, ale i technika jej się nam nie podoba. W pierwszej części wyróżnia się Władysław i Halszka,

[1] Stanisław Nałęcz-Ostrowski: »Przed burzą«. Powieść historyczna z XV wieku. Z cyklu: »Półksiężyc a krzyż«. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1905. Str. 342.

córka księcia mazowieckiego, Ziemowita; w drugiej części Halszka zupełnie ginie a na pierwszy plan występuje sam Władysław; w trzeciej znowu znika nawet Władysław, pojawia się natomiast Pretfic i Marya Czuryłłówna. Od powieści, która jest częścią cyklu, mamy przecie prawo wymagać pewnej całości; tej powieść nam nie daje. Ani sprawa węgierska nie jest zakończona, ani turecka nie jest rozwiązana. Jeżeli autor niektóre rysy walk z nie chcącymi uznać Władysława Węgrami, i z Turkami przedstawił tylko w opowiadaniu Reja, to świadczy to wprawdzie dobrze o jego przezorności i bystrości, która mu pozwala ocenić swoje zdolności tak, jak na to w rzeczywistości zasługują, i poznaje, jak daleko te zdolności sięgają, ale równocześnie obniża to wartość książki. Najsłabszą jednak stroną powieści, to zbyt liczne reminiscencye. Ta Halszka ze swoją złotostrunną harfą, odpowiada wprawdzie naszym dziecięcym marzeniom o dziewicach rycerskich z czasów *minnesänger*'ów, ale przypomina trochę za wiele Danusię. Rej to nieudany Zagłoba, trywialny w swej trosce o żołądek i wino; podróż po zimowym stepie z Maryą, to w sam raz szlichtada z »Potopu«; nagle rodząca się miłość Pretfica i Maryi przywodzi na pamięć odpowiednie sceny z »Ogniem i mieczem« a nawet z »Wołodyjowskiego«. Może autor o tem podobieństwie nie myślał, faktem jest, że ono istnieje. Największą zaletą powieści, to dobre opisy przyrody i w ogólnych zarysach wiernie narysowany obraz czasu i ludzi, obraz ich walk, cierpień, radości i dążności, życia i zwyczajów.

Najdodatniejszą za to stroną» Savonaroli« [1] to jego zacna i uczciwa tendencya, pietyzm autora dla swego bohatera, choć ten pietyzm nie przeszkadza wytknąć wielkiemu ascecie jego win i błędów, wreszcie niektóre dość udatne obrazki, malujące nam ówczesne życie humanistów. Powieścią, a tem bardziej historyczną, »Savonarola« nie jest; dzieło można nazwać biografią Savonaroli, dla odmiany i rozmaitości przybraną w szatę beletrystyczną. Na powieść brak utworowi i potrzebnej jedności i naturalności i odpowiedniej charakterystyki i życiowej prawdy; prawda historyczna nie daje sama patentu na powieść, potrzeba jeszcze czegoś więcej. Dzieło rozpoczyna się od podróży ślubnej rodziców Savonaroli, postępuje nadzwyczaj wolno i nużąco i obejmuje całe życie florenckiego ascety, sięga nawet poza nie. Wszystko, co ważniejszego istniało

[1] Autor Ireny: »Savonarola«. Powieść historyczna. Lwów. Nakład drukarni Ludowej. Tom I, str. VI, 324. Tom II, str. 232. Tom III, str. 258.

w ówczesnym świecie naukowym i artystycznym przewija się przed naszemi oczami: Brunelleschi, Fra Angelico, Rafael, Leonardo da Vinci, Fra Lippi, Macchiavelli, Michał Anioł, św. Filip Nereusz, Baroniusz, nawet Zbigniew Oleśnicki i Długosz, nawet, choć zupełnie nie rozumiemy dlaczego, Unia Florencka ze Wschodem; stąd też niektóre rozdziały możnaby nazwać rodzajem encyklopedyi historycznej lub artystycznej; robi to wrażenie, że autor chciał wykorzystać swą erudycyę, ale przez to nadał swemu utworowi cechę sztuczności i wymuszenia. Charakterom brak potrzebnej plastyki; nie odcinają się one od ogólnego tła, tak że trudno je zrozumieć i wyrobić sobie o nich zdanie; refleksye i medytacye przysłaniają te charaktery jeszcze więcej. W odtwarzaniu charakterów pojawia się też pewien brak zmysłu estetycznego. Weźmy scenę z II tomu str. 117. Incoronata kona i zaczyna śpiewać — głos jej, który tak niegdyś czarował, rozchodzi się daleko i zwraca powszechną uwagę; w majaczeniach plątają się jednak umierającej grzesznicy mniej odpowiednie piosenki, wtenczas Savonarola, wezwany do konającej, intonuje *Ave maris stella,* i przez otwarte okna płynie ten duet w godzinę śmierci — niebawem zastępuje Savonarolę swym kontraltem jego siostra; jest to bardzo czułe i sentymentalne i nadawałoby się może do opery. Takich usterek można wykazać więcej. Wogóle po odczytaniu tego utworu trzeba powiedzieć, że autor posiada duże wykształcenie, ale ma za mało znajomości życia — dlatego prawie wszystkie jego charaktery, to albo aniołowie albo szatani — i za mało znajomości dzisiejszej techniki powieściowej, stąd też operuje przeważnie obecnie już w literaturze nie popłacającymi środkami; Włochy np. występują u niego tak, jak w pewnych senzacyjnych powieściach z dawnych lat: morderstwa, zakapturzenia, uprowadzania, tajemnicze rzucania kwiatów przez okna i balkony, niezwykłe otrucia — gorzej jeszcze, jak w Kraszewskiego »Pod włoskiem niebem«. A szkoda! gdyż pierwsza powieść »Bogiem a prawdą« rokowała inne nadzieje.

Ostatnie znów utwory Gruszeckiego odznaczają się, nie tak wartością artystyczną, jak raczej aktualnością, z tego też powodu będą one kiedyś ciekawym przyczynkiem do historyi obłędu ducha ludzkiego; smutne to muszą być stosunki, które tak bezgranicznie smutny materyał podają powieściopisarzowi. »Pruski huzar« [1], to młody Ślązak,

[1] Gruszecki Artur: »Pruski huzar«. Powieść współczesna. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904. Str. 315.

który służąc w wojsku w Westfalii, przechodzi z powodu swej narodowości i wiary przez całe piekło prześladowań i moralnych tortur. Prześladowania te, prowadzone systematycznie, konsekwentnie i wytrwale, są tak brutalne, że żelaznej zaiste energii było potrzeba, aby ta biedna »świnia śląska« pod ich brzemieniem ostatecznie nie upadła. W tej nędznej egzystencyi żadnej prawie chwili jasnej — od czasu do czasu tylko godzina wypoczynku, okupiona sowitym poczęstunkiem i łapówkami dla wachmistrzów i podoficerów; jednak i te rzadkie godziny trwają jedynie tak długo, jak długo nie wyczerpują się zapasy pieniężne. Charaktery tak ujemne, że aż za czarne, boć przecie i między tymi ludźmi znajdzie się chyba jakiś umysł szlachetniejszy. Ogólne wrażenie to oburzenie, prawie nienawiść dla gnębicieli, choć przebrzmiewa i trochę nadziei, skoro kraj tak odpornych ma synów. Pewną wartość nadał autor swemu utworowi przez szerszy podkład. Wprowadza bowiem na widownię cały aparat prześladowań, skutkiem czego w powieści uwidocznia się jasno, że smutne życie młodego Polaka w koszarach przypisać trzeba przeważnie jego narodowości, nie zaś ogólnie stosunkom wojskowym, które w Niemczech nie najlepszej zażywają sławy. Od tych ponurych obrazów dziwnie pięknie odbijają, trochę może za sielankowe, sceny z wsi polskiej na Śląsku.

Historyą Polaka zajmuje się też Sieroszewski [1]. Wygnaniec, z dalekiej Syberyi po wielu latach wraca do kraju. Zdawałoby się więc, że w powieści, jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniej przeważnie brzmieć będzie nuta uczuciowa, że da ona tło dla całości. Tymczasem tak nie jest. Nuta ta dźwięczy tylko w pierwszych kartkach, w następnych powieść się zmienia — zajmuje się praktycznem rozwiązaniem kwestyi socyalnej. Karski spaźnia się na okręt, wsiada więc na galar. Widząc ciężką pracę holowników, rozmyśla nad nierównem rozdzieleniem dóbr i ciężarów w życiu, zaprzęga się do pracy i razem z orylami holuje galary. Skutek istotnie nieprzewidziany. Oryle patrzą na niego z podejrzeniem i nieufnością, mówią o pańskiej fantazyi; współpodróżnicy gniewają się, że buntuje ludzi, a gdy ich rad nie słucha, odsuwają się od niego i mszczą się brutalnie na jego żonie. Właściciel galaru sądzi, że obowiązkiem Karskiego jest holować razem z orylami, i gdy

[1] Sieroszewski Wacław: »Powrót«. Powieść z życia wschodniej Syberyi. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904. Str. 175.

ten na czas przy pracy się nie zjawia, bez ceremonii wzywa go do roboty, gdyż inaczej popsuje się rozkład sił. Ostatecznie to, co najmniej dziwne, postępowanie Karskiego odbija się najwięcej na biednej jego żonie, która choruje skutkiem ciągłych obaw i wpada w gorączkę. Doświadczenie więc nie dopisało. W całej tej drugiej części niema ani wzmianki o jakiemkolwiek uczuciu radości z powrotu do kraju lub tęsknoty za nim tak dalece, że gdy wreszcie wygnańcy dostali się na okręt, wzrok Karskiego nie pobłądził w dal na zachód, gdzie leży ziemia rodzinna, ale wpił się z zachwytem w stalowe koła, korby i tłoki maszyny, która zaklęła w sobie zbiorowego ducha i zbiorowe wysiłki.

Poza tem jest jednak druga część utworu, podróż galarem, nadzwyczaj interesującą. To świat nam o tyle tylko nie obcy, o ile już znany z dawnych, egzotycznych powieści Sieroszewskiego, ale świat dziki, pierwotny, na wskroś oryginalny.

Trzy w tomie Łady[1] zawarte nowele, wyróżniają się od innych licznych utworów literackich, tak treścią jak i przeprowadzeniem tejże. Myśl obejmuje tu zawsze jakieś głębsze zagadnienie życiowe. Z jednej strony matka, kobieta wysokiego rodu, wyszedłszy za mąż za protestanckiego księcia, zrywa, gdy tenże nie chce dochować obietnicy katolickiego wychowania dzieci, najpotężniejsze węzły miłości, opuszcza pokryjomu własny dom, a ścigana i poszukiwana przenosi się wraz z dziecięciem przez lat kilka z miejsca na miejsce, aż ta jej jedyna pociecha, jej »sweet boy«, przyprawiony tą tułaczką o chorobę, umiera, lecz dusza jego uratowana. Ktoś nazwie to może fanatyzmem, ale to jest heroizm. Z drugiej strony niemniej kochająca, szlachetna matka, zaślepiona miłością, źle kieruje wychowaniem jedynaka, widzi jak ten syn coraz głębiej się stacza, aż wreszcie, wylawszy całe morze łez, przeszedłszy cały czyściec cierpień, traci go zupełnie i wpada w obłąkanie, w którem jednak nie znajduje zapomnienia. »Moloch« wielkiego miasta pożarł jej dziecię. I wreszcie bogaty szlachcic lekkomyślnością wpędził do grobu miłującą go żonę, hulaszczem życiem stracił majątek: jego włościami zawładnął Żyd, który częścią z wyrachowania, częścią z litości przygarnął bezdomnego i jego córkę a zamożny niegdyś »Pan z Rychcic« stał się na starość pajacem żydowskim. To

[1] Jan Łada: »Sweet Boy«. Trzy nowele. Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. 1904. Str. 302.

krótkie streszczenie trzech nowel informuje nas dostatecznie o szlachetnych dążnościach autora. A i wykonanie nie wiele pozostawia do życzenia. Wieje z tych kart, jak i z innych dzieł autora, jakieś dziwnie głębokie, rzewne a prawdziwe uczucie, któremu trudno się oprzeć; znać, że autor ma serce i umie w serce patrzeć. Odnosi się wrażenie, że Łada nie opisuje tylko rzeczy zmyślonych, ale coś z czem się sam spotkał i czego był naocznym świadkiem. Życiowa prawda cechuje również występujące w nowelach osoby a ten ich charakter przeprowadzony konsekwentnie do końca. Po »Litce« nie mamy pewnie piękniejszej postaci dziecięcej w naszej literaturze, jak mały *sweet boy* Charlie. Sam wreszcie sposób przedstawienia rzeczy, to opowiadanie włożone w usta tego, który wszystkiego był świadkiem, dodaje nowelom niemało wdzięku; dla tej treści był ten sposób przedstawienia chyba najodpowiedniejszym. Jeżelibyśmy chcieli co zarzucić, to to, że tytuł trzeciej noweli »Moloch« niekoniecznie odpowiada treści. Tym molochem, w myśl autora, miało być, zdaje się nam, zepsucie wielkiego miasta, a tymczasem przyczyną zguby młodego Bolka było spaczone wychowanie, które nie uczyniło go dość odpornym na pokusy i niebezpieczeństwa. I w drugiej jeszcze noweli o »Panu z Rychcic« brak, naszem zdaniem, pewnej jednolitości; w tej tragicznej a tak bolesnej materyi nie podoba się nam ton na pół humorystyczny, nie odpowiadający smutkowi wiejącemu z całości i dlatego też nie wywołuje on wyłącznie dodatniego wrażenia.

I szkice Abgara-Sołtana [1] odbijają od beletrystycznych utworów innych pisarzy. Autor wszędzie sam opowiada; chętnie bawi w czasach swej młodości, wspomina o niej z tęsknotą i żalem, wyprowadza z niej obrazy słoneczne, czasem trochę ciemne, zabarwione pesymizmem — czytelnik ma przed sobą kilka kart z życia autora. Zarzucono tym szkicom, że atmosfera w nich jest ciężka, nie poruszana świeżymi powiewami, zapomniano jednak, że tych świeżych powiewów, tak jak je ów krytyk zrozumiał, w czasach, o których nam Sołtan opowiada, jeszcze chyba nie było tyle, żeby aż wszędzie się przedarły, że zresztą ta atmosfera jest swojska a uczucie, z każdej karty tryskające, zastępuje w zupełności te »świeże powiewy«. Świat tych szkiców, to świat żywy, nam blizki i znany, a mimo różnych swych

[1] Abgar-Sołtan: »Widziane i odczute«. Szkice i opowiadania. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 328.

słabości, jednak miły i drogi, bo swój; życie w nich realne, prawdziwe, a choć autor kreśli czasami tego życia ujemne strony, choć takie zapatrywanie budzi mimowolny do niego żal, trzeba jednak przyznać, że te ciemne barwy nie istnieją tylko w urojeniu i wyobraźni, ale w rzeczywistości, która tak wielu złudzeń pozbawia. Szczery humor, jaki znowu z niejednej karty wieje, podbija czytelnika. Na szczególniejszą uwagę zasługuje opowiadanie p. t. »Król polski«, nie tylko dla oryginalności tego świata, w który nas wprowadza, ale także i dlatego, że przedstawia nam ciekawy, a jeżeli prawdziwy, to bardzo wdzięczny rys z życia Matejki.

I znowu jeżeli kto chce kilka wolnych chwil swobodnie i mile przepędzić, niech weźmie do ręki »Rywalów«[1]. Powieść roztacza wdzięczny obraz z wiejskiego życia szlachty ormiańskiej i polskiej; jest w niej coś z humoreski, coś z sielanki, coś z archeologii i etnografii, coś nawet z tragizmu, jest i idylla klasztorna. Na pierwszym planie stoi młoda guwernantka, Wanda Ordonówna, tak idealnie piękne i dobre dziewczę, że aż nie chce się wierzyć, żeby taka na prawdę istniała. Jej dobroć i piękność jest jednak przyczyną rozmaitych zawikłań: kochają się w niej dwaj archeolodzy, którzy w dobrach pana Antoniego robią poszukiwania, kocha się w niej guwerner Łuczyk, gruba, nieokrzesana natura, kocha się Francuz Donné, »sławny maître od dansu i elegancyi«, a wreszcie syn p. Antoniego, Samuel. Sądząc, że pobytem swoim w rodzinie, w której odnalazła własny dom, wzbudzi tylko nieporozumienie, Wanda przenosi się na jakiś czas do klasztoru w Jazłowcu, skąd po duchowych walkach i wątpliwościach wychodzi wreszcie za Samuela. Autor potrafi istotnie zaciekawić: ten świat wiejski narysowany jest bardzo udatnie, charakterystyka jest wyrazista i naturalna. Takie obrazki, jak opis życia klasztornego w Jazłowcu, jak wesele »księdzówny«, jak sielankowe sceny z pożycia domowego, na długo pozostaną w pamięci.

Dwie rzeczy nie podobają się nam w powieści. Rozumiemy dlaczego Sołtan nie szczędził czarnych barw rysując ujemną postać Łuczyka. Jest on gburem, pijakiem, człowiekiem bez wychowania, o usposobieniu prostaczem — ma same ujemne strony. Ale co biedni archeologowie autorowi zawinili, tego już nie pojmujemy. Jeden z nich

[1] Abgar-Sołtan: »Rywale«. Powieść. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 248.

to profesor uniwersytetu, drugi doktor, obaj członkowie Akademii. Tymczasem to figury wprost wstrętne w swej małostkowej zazdrości, w swych kłótniach i swarach, w wzajemnem obniżaniu powagi i znaczenia drugiego, w braku wychowania — śmieszni w swych marzeniach o sławie, jaka ich czeka i w swych aspiracyach miłosnych. Mogą się między uczonymi znajdować i znajdują się maniacy i dziwacy, że jednak takie ujemne przedstawienie dwóch archeologów było bardzo nieszczęśliwym pomysłem, o tem nie wątpimy. Poważna nauka stoi za wysoko, aby ją w tak nic nieznaczących przedstawicielach poniżać. I za zakończenie nie jesteśmy autorowi wdzięczni. Dzika groźba Łuczyka psuje pogodne wrażenie, jakie ogólnie wywołuje całość, przygniata i przygnębia, chociaż z drugiej strony świadczy ta okoliczność o tem, że Sołtan rozumie dzisiejsze położenie socyalne i zdaje sobie sprawę z burzy, wyłaniającej się z szeregów socyalistycznych.

Wytworny tomik Konopnickiej [1] zawiera same drobiazgi, ale wykończone i doskonale przeprowadzone. Język w nich, to ten znany język poetki, skrzący cały od piękności i opanowany przez artystkę. Dwa tylko tematy wracają w szkicach: morze i zwyczaje ludzi nad morzem żyjących. Pierwsze są przedewszystkiem nastrojowe; opisują morze, jego czar i urok, który wywiera, nawet gdy grozi, wgłębiają się w jego tajnie, przysłuchują jego gwarom. Kto jakiś czas przebywał nad morzem, powie sobie, że i on to wszystko odczuwał, nie potrafił tylko tego tak wyrazić, jak to uczyniła poetka. Drugie znowu realistyczne, ale nie przygniatające, wprowadzają nas w świat nam całkiem obcy, w życie rybaków normandzkich; widać tam ich trudy i radości, ich wielką miłość morza, która w sercu nigdy nie wysycha, choć morze nie zawsze po przyjacielsku z nimi się obchodzi. Zapoznajemy się z ciekawymi zwyczajami tego zamkniętego w sobie świata, zagłębiamy się nawet w rozwiązanie głębokich, psychologicznych zagadnień duszy. Wiernie i żywo wyłania się z tych szkiców nowe dla nas życie. Wystarczy tylko przeczytać »Madame la Vièrge«, »A capella«, »Barki wracają« lub »Na wybrzeżu«, aby się przekonać, że niema przesady w naszem twierdzeniu. Trzy ostatnie obrazki nie łączą się swym tematem z tytułem zbiorku, ale za to pierwszy z nich

[1] Marya Konopnicka: »Na normandzkim brzegu«. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904. Str. 205.

»Szlendaki«, jest prześliczny czarem swego języka i szerszym zakresem myśli.

Po dłuższem milczeniu pojawił się i Prus przed publicznością. Prawda, że najnowsza jego powieść »Ze wspomnień cyklisty«[1] różni się swym tematem bardzo a bardzo od »Faraona« lub »Lalki«, prawda, że tytuł mimowoli inną nasuwa treść jak ta, którą książka w rzeczywistości zawiera, prawda, że jest to raczej zabawka, choć podkład nie jest bynajmniej szablonowym, mimo to powieść interesuje i czyta się ją jednym tchem. Urzędnik banku warszawskiego, Fitulski, wpada wskutek przepracowania, częściowo i nieszczęśliwej miłości w rozdrażnienie nerwowe a doktor każe mu na jakiś czas zaprzestać pracy i urządzać dalsze wycieczki na rowerze. Na tych wycieczkach doznaje różnych przygód, daje się opanowywać różnym uczuciom miłosnym i marzy o przyszłej wielkości, jaka go czeka, gdy tych lub owych czynów dokona. Treść więc niekoniecznie bogata a jednak całość urozmaicona i zajmująca. Powieść podchwytuje przeważnie strony słabe i śmieszne, ale nie złe występujących w niej ludzi; to też utwór zaliczyć można z tego względu do humorystycznych. Wprost doskonały jest obraz urzędników banku; tak np. kasyer, w którego oczach każdy człowiek, przychodzący do banku jest albo już gotowym złodziejem albo kandydatem na złodzieja; jakiż on jest wspaniały w scenie, gdy Fitulskiemu tłumaczy, jak w księdze jego życia zapisana jedynie rubryka: winien, a pusta rubryka: ma. A już najlepiej Fitulski! Jest on w wysokim stopniu sentymentalny; łatwo się zapala, ale niemniej łatwo przeboleje doznany zawód i gdzieindziej serce zwraca, aby i tu przeboleć i tak w nieskończoność. Jest przytem marzycielem; w samotnych wycieczkach marzy, że dokonał tego i owego dzieła, że cały świat zna jego nazwisko a w Szwajcarskiej Dolinie rodacy urządzają mu niewidziany jeszcze na świecie jubileusz. Z tych i podobnych marzeń budzi go zwykle trochę smutna chwilowo rzeczywistość, ale to go nie leczy. Humor, który tryska z tej postaci, leży w tem przedewszystkiem, że Fitulski, nie mając najmniejszego pojęcia o sprawach społecznych, najzawikłańsze zagadnienia jednym zamachem rozwiązuje, a będąc człowiekiem nieskończenie słabej woli i nie mogąc się nigdy na nic zdecydować, śni o wielkich czynach, z których ani jeden się

[1] Prus Bolesław: »Ze wspomnień cyklisty«. Powieść. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904. Str. 258.

nie spełnia i spełnić nie może. Wogóle humor jest największą zaletą tej powieści.

Nowele Szembekowej [1] płyną z serca i roztaczają jakąś cichą, swojską atmosferę. Pomijając ostatnią z nich »Znak«, która tajemniczością i nadzwyczajnością swej treści zaciekawia wprawdzie, ale nie daje zadowolenia, inne stoją nam bliżej swym tematem. Rozrzewnia historya zniemczonego Polaka, w którym po wielu latach budzi się napowrót tęsknota za krajem i uczucie patryotyczne a który w niebacznej chwili daje się porwać swej gwałtowności i ledwie że trupem nie kładzie barbarzyńskiego, Polaków lżącego Prusaka. W minione znów czasy wprowadza nas »Pod czarem«, w te ciche szlacheckie dworki, gdzie spokój przemieszkiwa, gdzie się roztacza cały urok przeszłości, aż i w tę przystań namiętność ludzka nieszczęście niesie. Nowele te, jednem słowem, nie są gorsze od wielu przeciętnych utworów beletrystycznych, przewyższają je zaś lekkością opisu, czystością treści i prawdą uczucia.

»Żona paralityka« [2] jest istotnie tylko zarysem, szkicem powieściowym i dlatego niełatwo wydać o niej sąd. Rozmaitość scen wielka, tak wielka, że aż utrudnia zoryentowanie się. Niektóre ustępy prawie zupełnie, w stosunku do całości może nawet za szeroko rozwinięte, inne tylko narysowane. Powieść cała odgrywa się w sferach arystokratycznych; głównym jej błędem nieludzka prawie doskonałość przeważnej części występujących osób, szczególniej kobiet. Celina, Marta, Justyna — to wszystko anioły i choć w tej swojej doskonałości podobają się, czujemy jednak, że są nam dość obce. Mimo to zarys wywołuje pewne wrażenie, gdyż chociaż charaktery są zanadto idealne i niekoniecznie prawdziwe, to jednak prawie wszystkie są czyste w najlepszem tego słowa znaczeniu; regułą życia jest dla nich sumienne pełnienie wziętego na się obowiązku.

O nowelce Władysławity [3] wspominamy nie dla jej wartości, ale dla jej zacnej tendencyi. Lekkomyślny i marnotrawny szlachcic sprze-

[1] Marya z Fredrów Szembekowa: »Na jawie i we śnie«. Nowele. Poznań. Druk i nakład J. Leitgebra. 1903. Str. 264.

[2] Sabina Mysłowska: »Żona paralityka«. Zarys powieściowy. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 114.

[3] Władysławita: »Infamis«. Poznań. Nakładem autora. 1904. Str. 18.

daje swój majątek komisyi kolonizacyjnej, używa w Paryżu i wraca wreszcie do kraju. Tu słyszy przekleństwa rzucane na siebie przez polskie kobiety, czuje podłość i ogrom popełnionej zbrodni i na stopniach świeżo wybudowanego w jego niegdyś ogrodzie protestanckiego kościoła kładzie kres swojemu życiu, więc: wszelka wina mści się już na ziemi. Rzecz opowiedziana płynnie i potoczyście, bez żadnego, rozumie się, pogłębienia, może jednak oddać pewne usługi sferom, dla których przeznaczona, choć zakończenie mogłoby także być inne.

Przy czytaniu humoresek Stasiaka[1] można się serdecznie uśmiać, więc właściwie cel ich byłby już osiągnięty. Autor jednak poszedł dalej: we wszystkie w tym tomiku zawarte prace włożył głębszą jakąś myśl i w tem tych humoresek wartość, choć tu właśnie leżało niebezpieczeństwo pewnego moralizowania; tego niebezpieczeństwa p. Stasiak ustrzegł się szczęśliwie a myśl i cel tłumaczą się same. Ale skutkiem właśnie tego głębszego podkładu są te humoreski w przeważnej części właściwie satyrami, ubranemi w szatę humorystyczną. W lekkiej, czasami nawet wykwintnej formie, smaga tu autor różne słabości i ujemne strony czy to pojedynczych ludzi, czy całych instytucyi. Wszelkie prawie ważniejsze objawy blagi ludzkiej są stawione pod pręgierz, wyśmiane nielitościwie, czasem, jak np. w »Barometr opada« może nawet za gorzko a może i niezupełnie słusznie. Prasa, dobroczynne bale, wychowanie po szkołach, nierozumne sporty, kasy oszczędności, humbug dzisiejszej reklamy, to wszystko spotyka się z ostrą, najczęściej niestety zasłużoną krytyką. Kto szczerze i wesoło zabawić się pragnie, niech czyta »Gałązkę mirtową«, »Dla ciebie«, »Odpoczynek letni«, »Listy z kraju« lub »Przejście przez rzekę«. Jak się za to między humoreski dostały wcale poważne, a bynajmniej niehumorystyczne aforyzmy, tego na prawdę nie rozumiemy.

Ks. Wiktor Wiecki.

[1] Ludwik Stasiak: »Humoreski«. Kraków. Nakładem autora. 1904. Str. 191. — Tenże: »Nowe humoreski«. Kraków. 1905. Str. 77.

Literatura agrarna w XX wieku.

III.

Edmund Lefébure: *La Réforme agraire en Prusse. La Législation des Rentengüter.* — Stumpfe: *Polenfrage und Ansiedelungskommission.* — Wittschier: *Das staatliche Besiedelungswesen in den preussischen Ostprovinzen.* — Dr. Henryk Sawczyński: »Zarys pruskiego ustawodawstwa o włościach rentowych i szkic urzędowania pruskich królewskich generalnych komisyi w sprawach tworzenia włości rentowych«. — Leo Wegener: *Der wirthschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen.* — Dr. Józef Milewski: »Ustawa parcelacyjna«. — Wł. L. Jaworski: »Parcelacya ze stanowiska prawnego«. — Prof. Dr. Juliusz Makarewicz: »Walka ze spekulacyą parcelacyjną«. — Dr. Stanisław Grabski: »W kwestyi parcelacyi«.

Ruch parcelacyjny w zaborze pruskim ze względu na swe rozmiary, obfitość dat statystycznych i ze względu na ściśle z nim złączone kwestye polityczno-narodowe, wywołał obszerną literaturę. Oprócz prac już wymienionych zapoznać się nam jeszcze wypada z poglądami p. Edmunda Lefébure[1]. Autor, adwokat w Paryżu, kładzie nacisk przedewszystkiem na prawniczą stronę problemu. W historycznym wywodzie, poświęconym zbadaniu początków ustawodawstwa rentowego, Lefébure dochodzi do wniosku, że mamy tu do czynienia ze zmodernizowaniem idei emphyteuzy. Działalność kolonizacyjna królów pruskich odbywa się w XVIII-ym wieku w formie dzierżawy wieczystej, która została ostatecznie zniesiona pod wpływem ustawodawczych prądów liberalnych w r. 1850, jako ostatni zabytek pańszczyzny. Odtąd nie wolno nikomu wymawiać sobie umową prawa do pobierania renty wieczystej, którejby dłużnik nie mógł spłacić w kapitale.

Zasadę tę porzucono w czterdzieści lat później pod wpływem pewnych momentów politycznych i ekonomicznych; autor streszcza zapatrywania niemieckich mężów stanu na *péril polonais,* nie wdając się w ich ocenę. Drugim czynnikiem, który działał w tym samym kierunku, był coraz większy brak robotników rolnych. Miquel zajął się urzeczywistnieniem idei Moesera i Rodbertusa, ażeby zapewnić większej własności robotnika rolnego, któryby mógł łatwo bez znacznego, jednorazowego nakładu nabyć kawałek ziemi, niewystarczający na utrzymanie jego i rodziny, któryby zatem musiał starać się zwiększyć swoje dochody pracą na sąsiednim obszarze dworskim. Uzupełnieniem ustawy

[1] *La Réforme agraire en Prusse. La Législation des Rentengüter.* Paris 1902. str. 208.

rentowej z roku 1890 jest dokonana w r. 1896 reforma prawa spadkowego, przyznająca dziedzicowi głównemu (Anerbe) uprzywilejowane stanowisko, a ograniczająca zarazem dowolną podzielność gruntów, podlegających tym zasadom prawnym, t. j. wszystkich gruntów, obciążonych rentą, przewidzianą w ustawie z r. 1890.

Daleko sięgające ograniczenia wolności osobistej zawarte w reformie prawa spadkowego umniejszyły chęć nabywania ziemi w zamian za obowiązek płacenia renty; Lefébure przedstawia statystyczne zestawienia, dowodzące, że po roku 1896 parcelacya za pośrednictwem rządowych jeneralnych komisyi, zajmujących się tworzeniem włości rentowych słabnie, natomiast powstają instytucye ułatwiające parcelacyę w formie zapłaty kapitałem za ziemię. Polskie spółki parcelacyjne, oparte na zasadzie dobrowolnej kooperacyi są autorowi sympatyczne, natomiast w ustawodawstwie pruskiem rentowem i spadkowem widzi powrót do czasów poddaństwa.

Do książki swej dołączył p. Lefébure plan parcelacyjny Sokolnik pod Gnieznem, nabytych przez Komisyę kolonizacyjną. Informacye autora o polityce narodowościowej rządu pruskiego są nieścisłe, mam tu na myśli twierdzenie, że po roku 1890 Komisya kolonizacyjna rozpoczęła sprzedawać osady także i Polakom (str. 167), zachodzi tu widoczne pomięszanie z komisyami jeneralnymi, które jednak później, o czem autor nie wie, ograniczyły swą działalność do udzielania pożyczek rentowych wyłącznie Niemcom, nie tylko zatem zmiana prawa spadkowego, ale także i ta okoliczność wpłynęła na znaczne zmniejszenie ich działalności.

Książka p. Lefébure pisana jest pod widocznym wpływem Brentana i jego szkoły, zwłaszcza o rok wcześniejsza rozprawa Artura Aala[1] dostarczyła dużo materyału autorowi francuskiemu i wpłynęła nader widocznie na jego poglądy. Uczeń monachijskiego profesora podnosi z naciskiem, że ustawodawstwo rentowe zawdzięcza swe zmartwychwstanie głównie dążeniom zapewnienia robotnika wielkiej własności. Aal obok prawnej i ekonomicznej oceny kontraktu rentowego przedstawia także statystycznie wyniki ruchu parcelacyjnego w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich.

Praca Stumpfego[2] zajmuje się wyłącznie działalnością ko-

[1] *Das preussische Rentengesetz.* Stuttgart 1901, str. 170.

[2] *Polenfrage und Ansiedelungs-Kommission.* Berlin 1902, str. 262.

misyi kolonizacyjnej z punktu widzenia narodowego, a mianowicie rozwiązaniem pytania, co należy zrobić, ażeby zwiększyć jej wpływ germanizacyjny. Nie tu miejsce wchodzić w szczegółowy rozbiór zapatrywań autora, zabarwionych silną dozą szowinizmu, chcę tylko zwrócić uwagę na żądanie zakładania osad jak najmniejszych i wydzierżawiania skupywanych obszarów. Jak trafnie zauważył p. Rozwadowski, komisya kolonizacyjna usuwa coraz to więcej na drugi plan cel socyalno-polityczny ustawy: wytworzenie silnego włościańskiego stanu średniego, poświęcając względy społecznego dobra interesom państwowym. Stumpfe domaga się przyśpieszenia tej ewolucyi, o nabywcę 20 lub 30 ha trudno, ponieważ mało kolonistów posiada potrzebny kapitał, zresztą zachodzi niebezpieczeństwo zatrudniania przez nich polskiej czeladzi lub polskich robotników; ażeby ułatwić kupno mniej zamożnym należy osady wydzierżawiać, co obecnie dzieje się tylko wyjątkowo, ażeby zmniejszyć zapotrzebowanie polskich robotników, trzeba zwiększyć liczbę osad niesamodzielnych, których właściciele szukaliby zajęcia ubocznego, jako rzemieślnicy lub robotnicy rolni. Praca zawiera szereg interesujących danych o technicznej działalności komisyi, ale jej zestawienia statystyczne są tendencyjne, nie można z nich korzystać bez sprawdzania. Pouczającą jest dołączona kolorowa karta geograficzna, przedstawiająca położenie majątków zakupionych przez komisyę kolonizacyjną po koniec roku 1900, oraz stosunki narodowościowe.

Broszura p. Wittschiera[1], geometry w służbie komisyi, zawiera plan parcelacyjny Dembowalonki(?) (Prusy Zachodnie) w czarnym kolorze, oraz niektóre szczegóły o pracach mierniczych, z innych źródeł nie znane. Prezydent generalnej komisyi we Frankfurcie nad Odrą, p. Metz zebrał w osobnej książce[2] owoc swych dziesięcioletnich doświadczeń w tworzeniu włości rentowych na Pomorzu i w Brandenburgii za pośrednictwem władzy, której jest naczelnikiem. Wspominam o cennej pracy p. Metza, ponieważ rzuca dużo światła na analogiczną działalność generalnych komisyi na ziemiach polskich. Autor zastanawia się nad założeniem osad, wymienia środki, które generalna komisya stosuje celem wzmocnienia gospodarczego bytu kolonistów, wreszcie podaje zestawienia statystyczne i krótki mono-

[1] *Das staatliche Besiedelungswesen in den preussichen Ostprovinzen* Stuttgart 1901, str. 36.

[2] *Innere Kolonisation in den Provinzen Brandenburg und Pommern 1891—1901.* Berlin 1902, str. 160.

graficzny opis parcelacyi pięciu obszarów dworskich. Zmniejszenie się popytu za osadami rentowemi tłumaczy brakiem nabywców zasobnych w kapitał. Mówiąc o powodzeniu gospodarczem kolonistów, Metz dochodzi do wniosku, że najlepiej się dzieje tym, którzy nie posługują się pracą najemną.

Wydział krajowy galicyjski, przygotowując znany projekt ustawy o włościach rentowych wysłał do Prus dr-a Henryka Sawczyńskiego, celem poznania praktyki parcelacyjnej generalnych komisyi. Referat p. Sawczyńskiego ogłoszono drukiem w allegatach sejmowych [1]. Najbardziej wyczerpująco zastanawia się autor nad finansową stroną prac przygotowawczych, złączonych z powstawaniem włości rentowych, nad szacowaniem osady, oczyszczeniem hipoteki, oznaczaniem ile kredytu rentowego i na jakich warunkach komisya przyznaje nabywcy. Całe postępowanie uważa p. Sawczyński za zbyt powolne, albowiem »od chwili wdrożenia akcyi o tworzenie włości rentowych, w jakimś majątku do chwili zawarcia kontraktu rentowego upływa lat 2 do 3« (str. 23), dalszy zarzut dotyczy dawania zbyt wysokich pożyczek, stanowiących nieraz 90 i 92% wartości osady. W zakończeniu przedstawia p. Sawczyński rozmiary działania komisyi generalnych.

Zastanawiając się nad stosunkiem polskich sił gospodarczych do niemieckich musiał p. Leo Wegener [2] z natury rzeczy znaczną część swych wywodów poświęcić badaniu stosunków rolniczych, ponieważ Poznańskie jest jeszcze w znacznej mierze krajem na wskroś rolniczym. O działalności komisyi kolonizacyjnej wspomina tylko mimochodem, ponieważ postawił sobie za zadanie badać przedewszystkiem usiłowania społeczeństwa, z wykluczeniem działalności państwowej. Autor pod wpływem prac swego nauczyciela, znanego polakożercy, Maksa Webera, przypisuje rozstrzygające znaczenie stosunkom zarobkowym w rolnictwie. Ruch parcelacyjny polski tłumaczy czasowem wychodźtwem miejscowych robotników rolnych do krajów zachodnich *(Sachsengängerei)*: z tego materyału rekrutują się polscy osadnicy,

[1] »Zarys pruskiego ustawodawstwa o włościach rentowych i szkic urzędowania pruskich, królewskich generalnych komisyi w sprawach tworzenia włości rentowych« (Alegat 1 do LW, 39061 za rok 1901, str. 26 8°).

[2] *Der wirthschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen.* Poznań 1903, str. XVI i 319.

którzy mogą kupować ziemię dzięki zasobom zaoszczędzonym na obczyźnie.

O parcelacyi w Galicyi pisali w ostatnich czasach pp. dr. Milewski[1] i Jaworski[2]. Pierwszy z nich rozbiera dodatnie i ujemne strony szybkiego przechodzenia obszarów dworskich w ręce włościańskie, domagając się wydania ustawy, regulującej ten ruch. Pan Jaworski wchodzi w szczegóły i stara się określić, jaką powinna być treść ustaw parcelacyjnych. Jak już sam tytuł wskazuje, autor zajmuje się przedewszystkiem szeregiem kwestyi bardziej prawniczej natury, a mianowicie bada zmiany w stosunkach administracyjnych i hypotecznych, wywołane przez dzielenie obszarów dworskich, stawiając szereg postulatów, zmierzających do uregulowania tych stosunków, obecnie nader zawikłanych i niewyjaśnionych, skutkiem tego, narażających interesowanych na szkody. Dzięki znanej, a wybitnej kompetencyi p. Jaworskiego w tych kwestyach, mamy do czynienia z cennym przyczynkiem wyświetlenia zjawisk parcelacyjnych z punktu widzenia dotychczas niesłusznie zaniedbanego; kończy rozprawę krótki rozdział o polityce parcelacyjnej, w którym autor omawia projekt zezwalania na cząstkową sprzedaż obszarów dworskich, tylko pod warunkiem zatwierdzenia planu parcelacyjnego, oraz wykonywanie ustawy budowniczej w razie zakładania nowych osad na obszarze dworskim w duchu przeciwdziałania parcelacyi dzikiej.

Zatwierdzanie planu parcelacyjnego przez władze ma być myślą przewodnią projektu ustawy parcelacyjnej, którą przygotowuje wydział krajowy. Przepis tej treści niewątpliwie utrudni parcelacyę formalnościami administracyjnemi. Czy przyczyni się do pchnięcia jej na racyonalne tory? wątpię. Jeżeli wykonanie ustawy będzie ścisłe, bardzo łatwo znaleźć sposób jej obejścia, rozłoży się parcelacyę na raty, najpierw rozdzieli się obszar dworski na części większe, przystępne i dobrze zaokrąglone, a tych części dalszą nieracyonalną parcelacyę nie będzie można niczem powstrzymać. Zresztą przepis tego rodzaju nie zapobiegnie nadto częstemu powstawaniu parcel zbyt małych lub o nieregularnym kształcie poza obrębem obszarów dworskich. To też w moich »Studyach agrarnych« (Kraków 1900) położyłem główny nacisk na ustawowe oznaczenie dla całego kraju

[1] »Ustawa parcelacyjna« *Przegląd Polski* z Marca 1904, str. 544—561, oraz warszawskie *Ognisko* Nr. 9, z r. 1903.

[2] »Parcelacya ze stanowiska prawnego«. Lwów 1904, str. 56.

minimalnego obszaru parceli katastralnej, wzorem państw południowo-niemieckich i Vorarlbergu.

Prof. Jaworski uważa za paliatywy projekt prof. Makarewicza[1] opodatkowania zarobku parcelacyjnego pośredników parcelacyjnych, którzy dla uzyskania wyższej ceny, odsprzedają grunt kawałkami jaknajmniejszymi, i projekt prof. Milewskiego ulg stemplowych w wypadkach racyonalnej parcelacyi. *Punctum saliens* racyonalności projektu prof. Makarewicza tkwi w pytaniu, czy pośrednikowi uda się przerzucić ciężar podatku na nabywcę parcelacyjnego, w którym to wypadku podatek byłby oczywiście szkodliwym. Przecząca odpowiedź autora wywołała pewne wątpliwości w kołach praktyków.

Dr. Stanisław Grabski[2] ujął problem parcelacyi bardzo zasadniczo wykazując, że nadmiernie wysoka cena ziemi, uzyskiwana przy parcelacyi jest z ekonomicznego punktu widzenia zjawiskiem podstawowem, chcąc wytłumaczyć przyczyny i skutki parcelacyi, trzeba przedewszystkiem wyjaśnić kształtowanie się cen ziemi. Autor próbuje określić prawa rządzące ceną ziemi i dochodzi do wyników bardzo ciekawych, aczkolwiek nie stanowiących jeszcze ostatecznego wyjaśnienia kwestyi, które w każdym razie powinny być uwzględnione przy dalszych badaniach. Jedyną praktyczną wskazówką, do której można dojść, wychodząc z tego założenia teoretycznego, jest żądanie przeciwdziałania nadmiernym cenom ziemi. Dr. Grabski domaga się udogodnień w zakresie kredytu parcelacyjnego i zakładania spółek parcelacyjnych, któreby kupując cały obszar na wspólny rachunek członków zarezerwowały dla nich różnicę między ceną za całość, a ceną odsprzedaży w drobnych kawałkach[3].

Dr. A. Krzyżanowski.

[1] »Walka ze spekulacyą parcelacyjną«. *Przegląd Powszechny,* wrzesień 1904, str. 321—334.

[2] »W kwestyi parcelacyi«. *Przegląd Polski,* październik 1904, str. 99—130.

[3] W zeszycie styczniowym zaznaczyłem w artykule »Literatura agrarna w XX w. II«, że »o ile mi wiadomo, wydawnictwo Encyklopedyi, nauk społecznych ma być zaniechanem« (str. 118). Redakcyan »Ecyklopedyi«, prostując tę wiadomość, donosi o wyjściu zeszytu IV i o zamiarze kontynuowania wydawnictwa.

Z piśmiennictw obcych.

Der Indeks der verbotenen Bücher in seiner neuen Fassung dargelegt und rechtlich-historisch gewürdigt. *Joseph Hilgers S. I.* Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1904. (W 8-ce, str. XXI, 638).

Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że dzieło powyższe jest pracą w znacznej przynajmniej części apologetyczną, a nawet polemiczną. Wymagał tego sam przedmiot, który nigdy i nigdzie nie był obojętnym, ale obudzał czasem przychylność lub przedmiotową, rzeczową ocenę, najczęściej zaś, nawet u katolików, surowe krytyki, wywoływał uprzedzenie, czasem — powiedzmy otwarcie — wzniecał nawet wściekłą, ślepą nienawiść. To też z natury rzeczy wynikało, że musiał swej rozprawie nadać charakter polemiczno-apologetyczny ten, kto (jak autor) nie obrał sobie stanowiska wyłącznie prawniczego, ale kto za cel postawił sobie »przyjaciół i wrogów Kościoła zaznajomić z kościelnymi przepisami« w tym przedmiocie, kto pragnął »usunąć panujące przesądy i umożliwić czytelnikowi sprawiedliwy sąd o rzeczy«.

Ten charakter apologetyczno-polemiczny poczytujemy za wielką zaletę, nadającą dziełu ks. Hilgersa niepospolitą wartość praktyczną, zwłaszcza w naszych czasach, kiedyto wskutek wpływu protestantyzmu często spotkać się może uczony katolik z licznymi zarzutami, na które w dziełach istniejących nie znajdował dotychczas wyczerpującej odpowiedzi, przynajmniej nie na wszystkie tego rodzaju zarzuty. Tej dążności apologetycznej przypisać należy, że książka ks. Hilgersa po raz pierwszy najdokładniej zestawia przepisy indeksowe Rzymu z orzeczeniami prasowemi i cenzuralnemi protestantyzmu. Aby odpowiedzieć wyczerpująco a dokładnie na wszelkie możliwe zarzuty przeciwników, autor nie zadowala się ogólnikami — jak to czynili dotychczas prawie wszyscy pisarze katoliccy — ale na 200 stronach (str. 206—401) swej książki przedstawia te straszne, często nawet wstrętne wyroki (*recte:* nadużycia), do których się posunęła tolerancya reformacyjna, nawet polityczna na polu zakazu i cenzury książek lub pism.

Z tem wszystkiem w książce ks. Hilgersa przeważa przedewszystkiem element historyczny. Nie jest to formalna historya rzymskiego Indeksu, przynajmniej nie jest to historya systematycznie zebrana i ugrupowana. To też Reuscha olbrzymie dzieło[1] pozostanie jeszcze

[1] Reusch F.: *Der Indeks der verbotenen Bücher.* 2 tomy. Bonn 1883—1885.

nadal unikatem w tym względzie, niestety zbyt często stronniczym i wrogim katolickiemu Kościołowi w jego rzymskiej Głowie. Mimoto książka ks. Hilgersa może oddać także historykowi a przedewszystkiem bibliografom znamienite usługi i posiada dlatego pierwszorzędną wartość, bo rzuca wiele światła na początki rzymskiego Indeksu, powstanie Kongregacyi Indeksu, na okres t. zw. w dziejach Kościoła »kwietyzmu« i t. p. Napisana nader źródłowo, z dokładnością niemieckiego uczonego, prostuje nawet tak drobne szczegóły, jak różnicę dnia wydania jakiegoś dekretu czy wyroku, a dość często uzupełnia i poprawia poglądy lub fakty podane przez Reuscha. Bo też autor kilka lat żmudnych wyłącznych badań poświęcił temu przedmiotowi, czynił długie poszukiwania w bibliotekach i archiwach rzymskich i odznalazł zupełnie nieznane dotychczas dokumenty, które w swojej książce na stu przeszło stronach (str. 478—585) po raz pierwszy w całości podaje.

Po tych ogólnych uwagach przypatrzmy się choćby pobieżnie układowi i osnowie dzieła.

Po krótkim opisie czysto zewnętrznym nowego Indeksu podaje autor krótko (bo na 12 stronicach) historyczny szkic kościelnego prawodawstwa prasowego, dzieląc go na dwie epoki. Pierwsza obejmuje czasy starożytne i całe średniowiecze; druga zajmuje się przepisami i »spisami« (indeksami) zakazanych książek po roku 1500. Tutaj na podstawie dokumentów wykazuje np., że t. zw. *moderatio* indeksu Pawła IV, wydał Pius IV, nie — jak twierdzi Reusch, a za nim wszyscy inni [1] — w r. 1561, ale już 1558 na 1559. Zasługują także na uwagę nowe szczegóły, jakie podaje o założeniu i początkach św. Kongregacyi Indeksu i o indeksie Sykstusa V.

Uporawszy się krótko z dziejami indeksu, przystępuje do uzasadnienia kościelnego prawodawstwa książkowego powołując się na fakt, że cenzura i zakazy książek miały miejsce we wszystkich czasach, u wszystkich ludów, na wszystkich szczeblach kultury, zwłaszcza zaś podczas francuskiej rewolucyi i »kulturkampfu«. Następnie krótko rozbiera znane w tej mierze dowody z rozumu i objawienia. Tutaj podaje tekst niemiecki konstytucyi: *Officiorum* Leona XIII (1897),

[1] Recenzent powyższego dzieła w swej książce p. t. »Nowy Indeks książek zakazanych, oraz jego uzasadnienie, dzieje i nowe prawo« (Kraków 1903) nie mając tych dokumentów pod ręką, które dopiero odnalazł ks. Hilgers, poszedł także (str. 28 n. 51) za powagą Reuscha i podał mylnie datę onej *moderatio* Piusa IV. Pragnę przeto przestrzedz mych czytelników przed przyjęciem błędu za prawdę.

dodając gdzieniegdzie króciutkie dopiski z objaśnieniami; — pomija zaś całkowicie stronę prawniczą nowych ustaw, nie daje żadnego do nich komentarza, bo, jak twierdzi, komentarz Hollwecka lub Schneidera wystarcza. To stanowi słabą stronę całego dzieła, sprawia, że książka nie przyniesie tego pożytku, jakiby przynieść mogła. Od obszernego i gruntownego dzieła, które nosi tytuł: *Der Index... in seiner neuen Fassung,* które chce być ... *eine rechtlich-historische Würdigung* nowego Indeksu, może się słusznie domagać czytelnik, aby go zaznajomiło choćby pobieżnie z ważniejszemi zagadnieniami prawniczemi nowych ustaw, aby mu nowe prawo objaśniło, uprzystępniło. Bez tego cała praca jest niezupełną, zmusza czytelnika, aby wydawszy 9 (względnie 11) marek, nabywał jeszcze inne książki uzupełniające, by jako tako zapoznać się z nowemi ustawami ogólnemi, których dokładna znajomość jest niezbędną każdemu, kto o indeksie chce mieć jakie takie pojęcie. Wszakże sam autor w innem miejscu (str. 68 sqq) słusznie podnosi, że wykaz książek i m i e n n i e zakazanych nie jest i nie może być wyczerpującym, że więc dopiero ustawy ogólne są podstawą i normą postępowania. Dotkliwy ten brak należy koniecznie w drugiem wydaniu usunąć.

Wskazawszy ogólnikowo na ulgi i zmiany w nowym indeksie, poświęca autor osobny rozdział (str. 47—59) kwestyi nader ważnej, mianowicie: jakie stanowisko zajmuje nowy indeks wobec uczonych i z wielką gruntownością na podstawie prawniczych źródeł wykazuje, że przepisy indeksu w o g ó l n o ś c i uważane obowiązują uczonych bez żadnego wyjątku, i że jedynie droga pozwolenia (którego uczonym Kościół chętnie udziela), może zwolnić c a ł k o w i c i e od obowiązku posłuszeństwa przepisom Indeksu. Rozdział ten będzie zapewne odpowiedzią na głosy, z jakimi niekiedy tu i owdzie spotkać się można, że Indeks nie powinien i nie może rozciągać się na uczonych.

Trzymając się czysto materyalnego porządku samego indeksu przeskakuje autor zupełnie niespodzianie, bez żadnego wewnętrznego związku do bulli Benedykta XIV: *Sollicita ac provida,* której ważniejsze ustępy podaje w niemieckim przekładzie. Następują rozdziały o istocie i celu imiennego spisu książek zakazanych (str. 68—79), o jego zewnętrznej formie (str. 79—92), o ilości i jakości dekretów szczegółowych w indeksie Leona XIII (str. 92—104), potem znowu o ulgach i złagodzeniu nowego wykazu (str. 104—114). Rozdział ten należało raczej połączyć z ustępem o złagodzeniu ustaw ogólnych, nie rozdzielać zaś i nie rozwadniać tego samego przedmiotu w dwóch odrębnych

miejscach: autorowi przecież nie tajno, że ulgi i zdziesiątkowanie imiennego wykazu ma swe źródło, swą przewodnią ideę i wytyczne granice w zasadach wygłaszanych przez ustawy ogólne. Przez złączenie dwóch tych pokrewnych kwestyi autor uniknąłby niemiłego powtarzania się.

W ugrupowaniu trzech następnych rozdziałów znowu pewne braki. Tak np. autor rozwodzi się szczegółowo: naprzód (str. 114—133) o zakazanych imiennie książkach w XIX wieku, potem (str. 133—145) cofając się w tył omawia wiek XVI—XVIII, w końcu (str. 145—165) osobno rozprawia się z autorkami, figurującemi na Indeksie od roku 1600—1900. Ostatni ten rozdział nie jest bez wartości i ma pewne uzasadnienie choćby z tego tytułu, że podaje całokształt myśli i zasad Indeksu jakby w miniaturze.

Jeśli wszystkie dotychczas streszczone ustępy — choć same w sobie nader cenne i pouczające — nie tworzą organicznej całości, zdradzają pewien chaos, robią wrażenie oddzielnie pisanych i samoistnych artykułów — to następne rozdziały (z wyjątkiem może jednego: *Der Index und die Jesuiten*) wiążą się z sobą w ścisłą jedność. I tak: trzy rozdziały (str. 166—194) dają świetną, ciętą odpowiedź na różne zarzuty, podnoszone przeciw indeksowi przez francuskich, włoskich, amerykańskich i niemieckich krytyków. Należą one do najlepszych ustępów całego dzieła, a powinien je przeczytać każdy katolik czy uczony czy mniej inteligentny.

Aby jasno stawić przed oczy zasady i umiarkowanie Kościoła przy cenzurowaniu i zakazywaniu książek, autor w ośmiu obszernych rozdziałach przechodzi po kolei cywilizowane kraje w wiekach nowożytnych a więc: Anglię (str. 206—221), Niderlandy (str. 221—226), Danię (str. 227—232), Szwecyę (str. 233—249), Francyę (str. 249—268), Szwajcaryę (str. 268—278), a zwłaszcza kraje i kraiki niemieckie (str. 278—389) i faktami, opartymi na dokumentach, jak na dłoni wykazuje, jak to w praktyce wyglądała i wygląda po dziś dzień okrzyczana i proklamowana wolność słowa, myśli i druku. Niezmiernie dużo światła rzucają te ustępy i wiele dostarczają materyału dla apologetyki indeksu rzymskiego. Czyta się je z wzrastającem ciągle zajęciem, prawie jak historyczną powieść, odsłaniającą tajniki nowożytnej wolności, stosowanej w praktyce. Tymi rozdziałami wyświadczył autor niezmierną przysługę katolicyzmowi a protestantom i wielbicielom nowożytnego państwa zamknął *de iure* usta raz na zawsze. Trzeba podnieść, że studyum to było dla autora mozolnem i żmudnem, wymagało wiele

badań i poszukiwań a opracował je autor w znacznej części samodzielnie.

Nie sposób podać choćby suche streszczenie tych dziejów nad wyraz smutnych; z drugiej strony jak pominąć milczeniem podłe lub barbarzyńskie postępowanie rządów i gmin ewangelickich z dziełami takich np. mężów jak John Milton (str. 215), Biddle (str. 215), Leti (str. 216), Daniel Defoe (str. 218), Tindal (str. 218), Swift (str. 219), Hugo Grotius (str. 187—190, 222), Thomasius (str. 230, 303), Pufendorf (str. 240), Jan Dawid Michaëlis (str. 242), Goethe (str. 231, 307—309, 344—345), Schiller (str. 144, 182, 266, 296), Tasso (str. 250), Chateaubriand (str. 264), Molière (str. 396), Joost van der Vondel (str. 396), Lavater (str. 276), Rousseau (str. 276), Keppler (str. 301), Osiander (str. 321), Wolff (str. 329—330), Mirabeau (str. 339—340), Kant (str. 342), Görres (str. 344, 349), Freiligrath (str. 350, 351) a nawet bł. Canisius (str. 351—352), św. Franciszek Salezy (str. 214), Pius IX (str. 369—370, 373—375) i t. d., i t. d.!!

Aby dać jakie takie pojęcie o gorliwości rządowych cenzorów np. pruskich, wystarczy wspomnieć, że od 28 marca 1888 aż do roku 1900 zakazano i potępiono w Prusiech około 1500—1600 samych tylko socyalistycznych pism, broszur lub książek! Zaiste liczba ta osiągnięta w 12 latach, w samych tylko Niemczech, i to w jednym tylko rodzaju książek czy pism przewyższa aż dziesięć (!) razy liczbę wszystkich książek zakazanych w Rzymie przez cały XIX wiek, ze wszystkich krajów i wszystkich gałęzi literatury i wiedzy! A co powiedzieć na to, że w połowie jednego roku (1888) zakazało państwo niemieckie więcej niemieckich pism wogóle, niż Rzym w całem ubiegłem stuleciu! Tych kilka szczegółów niech starczy za dowód, jak obfitym w treść a bogatym w zasób naukowego materyału historycznego jest cały ten dział książki ks. Hilgersa. Może on bez przesady służyć za podręcznik historyi zakazów i świeckiej cenzury książek lub pism w czasach nowożytnych.

Zestawiwszy w osobnym rozdziale (str. 390—401) praktykę Rzymu z samowolnem, często niesprawiedliwem postępowaniem rządów i innowierców, streszcza ks. Hilgers jeszcze raz krótko wytyczne punkta w historyi cenzury i indeksu kościelnego i zamyka swe dzieło chronologicznie ugrupowanym wykazem wszystkich książek lub pism, znajdujących się imiennie na zreformowanym indeksie Leona XIII. Tabelki te (str. 415—475) bardzo wielkie mogą oddać przysługi w praktyce, gdy chodzi o chronologię wypadków.

Około 150 stron poświęca autor dwudziestu dwom dodatkom, które zawierają przeróżne mniej lub więcej ważne dokumenty w kwestyi indeksu. Do ważniejszych należą np. *motu proprio* Piusa V (z dnia 19 listopadu 1570), bulla Grzegorza XIII *Ut pestiferarum* (z dnia 13 września 1572), brewe Sykstusa V z 20 czerwca 1587, memoryał w sprawie Kopernika, dokumenty odnoszące się do potępienia i uwolnienia dzieła Segneri'ego: *Concordia*, — wreszcie różne uzupełnienia, tyczące się poprzednich rozdziałów. Uzupełnienia te należałoby przy drugiem wydaniu koniecznie wciągnąć do samego tekstu książki, a nie umieszczać ich w dodatkach, między dokumentami, bo z wyjątkiem zawodowych uczonych rzadko kto czyta dziś dodatki zawierające akta, które mogą interesować jedynie specyalistów. Dwa skorowidze zamykają dzieło: jeden podaje chronologicznie ułożony materyał całego dzieła, drugi wylicza w porządku alfabetycznym nazwiska osób, tytuły archiwów, bibliotek i dzieł, uwzględnionych w tej pracy.

Forma zewnętrzna samego dzieła poważna — ale firma nakładcza widocznie bardzo oszczędzała na papierze, kiedy nawet między rozdziałami (nb. wcale nie numerowanymi!) żadnych nie zostawiła odstępów. Traci na tem przejrzystość i jasność książki, a znużony poważną lekturą umysł daremnie szuka słupów granicznych w swej duchowej podróży.

Dobiliśmy do końca naszego sprawozdania. Obok nieodłącznych każdej ludzkiej pracy błędów i usterek, o których wspomnieliśmy wyżej, posiada dzieło ks. Hilgersa wielką wartość naukową, przynosi dużo nowych szczegółów, prostuje błędne mniemania i twierdzenia, rozwiązuje jasno a treściwie liczne zarzuty, okazuje bezpodstawność różnych uprzedzeń i przesądów, a przedewszystkiem dostarcza apologetom i historykom indeksu dużo materyału i dowodów. Dla tych niezapomnianych zalet zasługuje na uwagę sfer inteligentnych i kapłanów, specyalistom zaś w kwestyi indeksu jest wprost niezbędnem.

Na końcu niech nam wolno będzie złożyć szczerą podziekę czcigodnemu autorowi za gorące dla nas słowa współczucia a ostre dla rządu pruskiego wyrazy potępienia, jakiemi (str. 384, 385) w ustępie: *Die Censur der Schulbücher* napiętnował z oburzeniem antypolską politykę eksterminacyjną, wdzierającą się nawet na pole wychowania szkolnego i religijnego. Z takiemi słowami rzadko dziś spotkać się można w niemieckich dziełach ściśle n a u k o w y c h. To też cenimy je sobie tem więcej.

Ks. Władysław Szczepański.

Dramen der Gegenwart. Kritische Studien von *dr. Gustav Wethly*. Strassburg i. Els. Ludolf Beust, Verlagsbuchhandlung, str. 203.

Zasadnicze stanowisko, jakie autor powyższego zbioru krytyk teatralnych zajmuje, możnaby określić jednem słowem, jako umiarkowane. W pierwszem studyum zastanawia się nad istotnemi różnicami, zachodzącemi pomiędzy dramatem klasycznym a naturalistycznym, i dochodzi do wniosków, które zwłaszcza w związku z epizodycznemi uwagami, wypowiedzianemi przy sposobności rozbioru poszczególnych dramatów, mogą zyskać nznanie: »Że naturalizm był zdrowym ruchem, to nie da się zaprzeczyć. Że jednak nie mógł wydać z siebie wielkiego dzieła sztuki, to dzisiaj, gdy stoimy nad jego grobem, jest jasnem dla każdego, kto nie oddał się duszą i ciałem jednostronnej teoryi Arno Holz'a« (str. 16). Dodajmy do tego cytatu dwa inne, określające jego granice na prawo i na lewo. Z jednej strony »treść naszego życia stała się całkiem inną, niż była za czasów, gdy Schiller pisał swego Wallensteina« (str. 86), a więc musiał się zmienić i współczesny dramat; z drugiej jednak strony ta nowa sztuka nie stoi ponad materyałem, który odtwarza, cierpi na brak wielkiej idei i dlatego historyk literatury, który za sto lat wydobędzie z bibliotecznego pyłu te utwory epoki, tak bogatej w walki o ideał sztuki, a tak ubogiej w zwycięstwa sztuki, kto wie, czy osiągnie większą jakąś korzyść z moralnej swej pracy, prócz wcale dokładnie skonstruowanego obrazu naszego dzisiejszego społeczeństwa« (str. 141).

Na tym gruncie porusza się autor, krytykując poszczególne utwory. Jest tych ustępów przeszło trzydzieści, co wobec niewielkiej ostatecznie objętości całego tomu, wskazuje, jak krótkiemi są one nieraz i z konieczności — powierzchownemi. Układ ich także wiele do życzenia pozostawia, bo właściwie go wcale nie ma. Pozatem te drobne sprawozdania z niemieckich i obcych dramatów zazwyczaj są i zajmujące i pouczające. Czasem brak autorowi widocznie konsekwencyi, bo n. p. kto tak surowo, jak p. Wethly, potępia »Syna puszczy« Halm'a — mniejsza o to, czy nie bez pewnej słuszności — ten nie może pod niebiosy wynosić »Mistrza z Palmyry« Wilbrandta, tym razem już zupełnie niesłusznie. Innym razem autor zatrzymuje się w połowie drogi: tak n. p., gdy omawiając »Oresteję« Aischylosa już zdaje się poruszać zasadniczą kwestyę, czy jest pożądanem z artystycznych względów przedstawianie na dzisiejszej scenie, utworów napisanych dla teatru, opartego na całkowicie różnych podstawach, i lekko dotknąwszy tego zagadnienia przerywa sobie. Ale są i spostrzeżenia nowe a trafne.

Tak n. p. przy rozbiorze »Kupca weneckiego« p. Wethly rozumnie występuje przeciw dopatrywaniu się w komedyi, jakiego filo- czy antysemityzmu Szekspira. Jest to błędnem, choćby dlatego, że od r. 1290 do 1656 na mocy zakazów królewskich, żydzi w Anglii wogóle nie mieszkali, a więc kwestya żydowska wcale tam nie istniała. (Natomiast gwałci p. Wethly dramat angielski widząc w nim opracowanie idei, przedstawiającej w trzech odmianach stosunek człowieka do swego majątku: pomiędzy dwiema ostatecznościami: Antoniem, pogardzającym pieniądzem, i Shylockiem, dla złota wyzbywającym się wszelkiego ludzkiego uczucia, ma stać rzekomo Bassanio, miłością kobiety z rozrzutności do właściwej oceny bogactwa przyprowadzony.) Autor mówi przeważnie tylko o dramatach, w kilku jedynie miejscach niemal bez powodu unosi się nad grą dwojga aktorów: Pohla i Agnieszki Sormy, co wygląda na umyślną reklamę.

Dr. J. Flach.

Über die poetischen Schriften von Vespasian Kochowski. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doctorwürde an der philosophischen Facultät... zu Berlin. *Zdzisław Leitgeber.* Posen, 1904, str. 65.

Od chwili pojawienia się pracy p. Jana Czubka p. t. *Wespazyan Kochowski, studyum biograficzne*, lata całe ci, którzy o tym poecie pisać będą, nie uchronią się od zarzutu przepisywania lub streszczania pracy tejże. Śladami też p. Czubka idąc, ocenił p. Leitgeber poprzednich biografów Kochowskiego, jak on zajął się rzekomem drugiem imieniem (istniejącem tylko w bałamutnej pracy Rzążewskiego) chrzestnem Kochowskiego: Hieronim. Zapowiedziawszy życiorys poety, szkicowany tylko na podstawie jego poezyi, streszczał również pracę p. Czubka. Być może, że uczynić nawet autor inaczej nie mógł, ale zależności swej pracy od *Studyum biograficznego* niewskazał należycie. W jedenastu rozdziałach zajmuje się p. Leitgeber: opracowaniami dotychczasowymi dzieł i życia Kochowskiego, jegoż życiorysem, poszczególnymi grupami utworów poetycznych, zapatrywaniami polityczno-religijnymi i utworzeniem syntezy z tych wszystkich rozdziałów. Całość nosi na sobie wybitne cechy sprawozdawczości. Właściwy rezultat pracy p. L. streszcza się w kilku tabelach, wykazujących zależność utworów Kochowskiego od dzieł innych poetów, i tak na str. 14 porównuje je z odami Horacego, na str. 20 z poezyami Samuela Twardowskiego, na str. 40 z epigramatami Martialisa, Owena, Ineza, Sannazariusa i Sarbiewskiego, nadmieniając na

innem miejscu o reminiscencyach z dzieł Kochanowskiego i Tassa. Ta część porównawcza pracy p. L. ma istotnie trwalszą wartość i prawdziwie należy załować, iż opracował ją tylko statystycznie, spisując cyfry porządkowe danych utworów. Treściwości tej w wykazywaniu pokrewieństwa utworów Kochowskiego z obcymi wzorami, nie rozumiemy tem więcej, że autor pisze w swej krótkiej zresztą rozprawce nawet o liście pisanym w obozie pod Wiedniem przez króla Jana III do królowej Marysieńki i rozbiera w rozdziale VI *Annales*, które poezyami przecież nie są. Z literaturą do Kochowskiego całą nie obeznał się p. L., nie zna bowiem prof. Tarnowskiego rzeczy p. t. »Wespazyan Kochowski« *Kronika Rodzinna* 1877. Pominął też autor milczeniem mą pracę o *Psalmodyi Polskiej* i może właśnie wskutek tego pominięcia nie zajął się datą powstania tego »kapitalnego« utworu Kochowskiego. I choć p. Czubek wskazał wyraźnie rękopis Biblioteki Jagiellońskiej pnr 1138, zawierający: *Vespasiani Kochowski Epistolae et scriptum de Censura* (Listy do Uniwersytetu krakowskiego z r. 1676, *W sprawie Lirycorum informatia krótka,* tudzież *Usurpatio iuris censurae librorum Cracoviensis)* p. Leitgeber mimo to nie zajrzał do tego rękopisu i o sporze Kochowskiego z cenzurą duchowną z powodu wydania Fraszek nie powiedział nic nowego. Zapomniał też również p. L. o niewydanych dotychczas utworach Kochowskiego tj. o zbiorze znajdującym się niegdyś w bibliotece Załuskich p. t. »Ogród, ale nie plewiony, bróg, ale co snop to inszego zboża«...

Należy koniecznie sprostować błąd, którego autor się dopuścił na str. 35 w przypisku, gdzie czytamy, że pomiędzy nagrobki pióra Jana Gawińskiego wkradły się dwa pióra S. Szymonowicza, mianowicie: nagrobek sroki i nagrobek komorka. Pan L. zdaje się nie wiedzieć, że dr. Władysław Seredyński przedrukował błędnie zupełnie za innymi wydawcami pism J. Gawińskiego, po nagrobkach tegoż autora »nagrobki i n n e g o a u t o r a zbieranej drużyny«, do których należą i owe sroki i komorka. *Nagrobki zbieranej drużyny* pisał wyłącznie Szymonowicz, co już dawno wykazał p. Biegeleisen w *Bibliotece Warszawskiej* (Listopad 1882) i zasłużony biograf Szymonowicza Dr K. Heck w swej pracy o tymże poecie.

Z jakim pośpiechem wykończył p. L. swą rozprawę widać z tego, iż streszczając i omawiając poematy Kochowskiego, podawał wszędzie tytuł ich polski, tylko na str. 55 mówi o »Jungfräulicher Garten«, nie dodając wcale »Ogród Panieński«. Przyszły badacz pism lub życia Kochowskiego, oceniając literaturę dotyczącą tych kwestyi, takie

zapewne w tej pracy umieści zdanie: — Pewną zasługę położył pan Leitgeber, zestawiwszy schematycznie polskich i łacińskich autorów poezye, naśladowane przez Kochowskiego, poza tem jednak praca jego większej wartości nie przedstawia.

L. M. Dziama.

Un vainqueur. *Edouard Rod.* Paris. Bibliothèque Charpentier. 1904. (Str. 384).

Bourget w jednym z ostatnich utworów nazwał Edwarda Roda wielkim pisarzem — jest w rzeczywistości jednym z najlepszych stylistów i pomimo formy powieściowej swych prac jednym z poważnych autorów paryskich. Że działalność jego jest przeważnie dodatnią, świadczą choćby *La vie intime de Michel Texier, Mademoiselle Annette* lub *Le sens de la vie.* Celem ostatniej powieści, *Le vainqueur*, jest zwalczanie materyalizmu, wykazanie, iż praca umysłowa i fizyczna przedsięwzięta i wykonana jedynie w celach zarobkowych a pochłaniająca wszelką myśl i uczucie człowieka zdoła mu dać tylko pieniądz, ale mu nie da ani spokoju ni szczęścia. Alcide Délémont, syn robotnika fabrycznego, sam od dzieciństwa pracujący w hutach szklanych doszedł z czasem do majątku, założył własną fabrykę butelek i zżył się z nią tak dalece, iż nauczył się rzeczy i ludzi dzielić wyłącznie na dwie kategorye: użytecznych lub nieużytecznych dla huty. Czy za światami istnieje niebo, czy natura uśmiecha się wiosną czy jesienią płacze, czy ludzi kość dobra czy zła, było wprost obojętnem, obcem, nie dotykało bowiem spraw huty. Dla tego bożyszcza swego urządzał po dwakroć swe życie rodzinne, w pierwszej żonie bowiem szukał i znalazł powolną a zdolną pomocnicę w pracy, a gdy biedaczkę nadmiar trudu powalił w grób, bolał wprawdzie po niej szczerze, ale wraz ożenił się z drugą dla posagu potrzebnego do pchnięcia huty na nowe tory przemysłu. Między tą nową żoną a córkami pierwszej nie było porozumienia, dziewczęta wyrastały bez kierunku, macocha, traktowana jak niemiły gość, czuła się wciąż obcą i wpadała zwolna w rozstrój nerwowy; syn, kształcący się w wyższych szkołach, oddalał się codzień od ojca poziomem myśli i aspiracyi wyższych, bardziej humanitarnych ale skotłowanych i mglistych, bez jasnej moralnej podstawy. Słowem obok zorganizowanej jak zegarek fabryki, tworzy się życie rodzinne zdezorganizowane do głębi. Délémont też ucieka o ile może od rodziny do huty. Tu za nim troska nie ściga, bo robotników dobiera dobrych do pracy a ponad należytości objęte kontraktem nie poczuwa się

względem nich do obowiązków żadnych. Co więcej, potrzebując dzieci do pewnych czynności wymagających więcej zwinności, niż siły, umawia się o nie z przedsiębiorcą Włochem, istnym handlarzem krwią ludzką, który kupiwszy od biednych rodziców gromady wynędzniałych pacholąt, wynajmuje je do fabryki. Ich książeczki służbowe są w porządku, ale daty urodzeń sfałszowane umyślnie, to też biedne dzieci wycieńczone pracą nad wiek w fabryce a głodem i biciem w piwnicznej norze, gdzie ich il Signor Gotto na noc zamyka, umierają jak muchy, zastępowane co dnia nowemi falangami małych niewolników. Délémont jest a raczej mieni się uczciwym człowiekiem, ale traktując ludzi jak maszyny, patrzy przez palce na działanie Włocha, odwraca wzrok od żebrzących litości czarnych oczu dziecinnych i przez zaniedbanie umyślne — staje się wspólnikiem zbrodni. Wpada w gniew, gdy kapłan, który odkrył cierpienia małych męczenników, przychodził go o nich ostrzegać, odrzuca z oburzeniem prośbę o pozwolenie przychodzenia do huty w wolnych godzinach, by dzieciom nierozumiejącym innej mowy, udzielać nieco nauki po włosku. Ksiądz odchodzi smutny i zgorszony, rola jego wszakże nie jest skończoną. Słów jego dosłyszała starsza córka Délémonta, Alicya, istota szlachetna i dobra, kwiat dziwnym trafem na tym jałowym gruncie wyrosły. Ta idzie z nim do szpitala, gdzie dogorywa jeden z małych robotników, który, że zasłabł w fabryce, został mimo gniewu Gotto wydarty z jego pazurów. Przy tem łóżku szpitalnem spotykają się z młodym inspektorem rządowym, który na próżno już zwracał uwagę Délémonta na prawdopodobne fałszowanie książeczek. Przedstawiciel bezwyznaniowego rządu patrzy krzywo na księdza, musi jednak użyć jego pośrednictwa w wybadaniu prawdy z chorego. Prawda zaś jest straszliwą. Inspektor zrazu nie czyni z niej użytku, bo między nim a Alicyą zawiązało się uczucie tęskne a nieme; on nie śmie mówić, bo wie, że w oczach fabrykanta jest jego zawziętym wrogiem, przedstawicielem władzy wtrącającej się w stosunki wewnętrzne huty, kładącej codzień przez nowe ustawy, nowe zapory na drodze przemysłu, niszczącej karność ludności robotniczej. Skargi Délémonta na nowożytne rządy i prądy są po części słuszne; konserwatyzmem jego wszakże kieruje nie tyle zasada zdrowego rozsądku, co prosta chęć zysku, podobnie jak troskliwość władz pochodzi z socyalistycznego prądu do monopolizowania wszystkiego przez rząd raczej, niż miłości bliźniego. Sługa rządowy zatem nie śmie oświadczyć się o Alicyę, ale o nadużyciach z małymi Włochami milczy też do chwili, gdy się dowiaduje, że Délémont — zawsze

dla dobra huty — zaręczył córkę z długoletnim swym dyrektorem fabrycznym. Wtedy dopiero Délémont widzi się z oburzeniem pociągniętym do odpowiedzialności, a choć unika kary, przecież stanowisko jego wstrząśnięte i duma zmiażdżona. Zmiażdżone też i wszelkie możliwe nadzieje rodzinnego szczęścia, w ognisko domowe padają gromy, których przyczynę, patrząc dokładniej, możnaby zawsze odszukać w zasadniczem podporządkowaniu spraw moralnych pod materyalne. Gromy te uderzają przedewszystkiem w niewinnych — młody Délémont zdumiewa się tem i szuka próżno klucza zagadki. »Może znajdziemy go kiedyś?« — wzdycha nareszcie — autor jednak nie wskazuje go czytelnikowi. Wogóle książka, choć piękna, trzymana jest o jeden ton niżej od ostatnich powieści Bourgeta. Prawdy życiowe ukazane jasno, ale bez ich nadprzyrodzonego pierwiastku. Moralność surową, acz nieco chłodna, charakterystyka osób barwna i trafna, czasami nawet przydługa, gdy gwoli niej musimy słuchać nieskończonych humanitarno-postępowych rozpraw profesora Romanèche'a ulatniających się, gdy mają być wprowadzone w czyn. Jednem słowem, pomimo braków, książka dobra i mogąca być przez niejednego czytaną z pożytkiem.

T. Wodzicka.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Po upadku Combesa.

Ciekawe wrażenie odnosi czytelnik śledzący rozwój wypadków we Francyi. Ten Combes, który dla pewnych stronnictw był prawie bożyszczem i mimo różnych trudności tak długo potrafił się utrzymać u steru rządu, poznaje po swym upadku, że jednak niewdzięczność jest świata zapłatą — dzisiaj cała prasa francuska, z wyjątkiem socyalistycznej, ma dla niego słowa potępienia, a szczególniej ostro krytykuje list byłego ministra wystosowany do prezydenta rzeczypospolitej. Z listu tego przebija i wielka boleść z powodu katastrofy i tęsknota za utraconą władzą i przedewszystkiem chęć dawania dobrych rad przyszłemu gabinetowi i wytknięcia kierunku dla jego programu. *Figaro* twierdzi, że list ten objawia »monumentalny brak zasad«, *Le Siècle,* organ radykalnych dysydentów, uważa go za zamach stanu: »prezesowie ministrów z czasów cesarstwa wyrażali się ustępując z większem umiarkowaniem, mniej też wywyższali samych siebie. Możnaby sądzić, że dokument ten napisał rewolucyonista lub zwolennik zamachów stanu, gdybyśmy nie wiedzieli, jak naiwną jest w gruncie duma tego człowieka, którego upoiło powodzenie, jakiego doznał na niektórych ludowych biesiadach i publicznych zgromadzeniach«. Ostrzej potępia Combesa *Eclair:*

»ten pomazaniec Pana niechętnie wyrzeka się rządów i przyznaje to bez fałszywego wstydu... ten człowiek nie pamięta, w jakim czasie i w jakim kraju żyje... był już ostatni czas, żeby tego cezara, wyrosłego w seminaryum duchownem, z jego tronu strącono«. *Gaulois* twierdzi, że list zawiera obelgę prezydenta, że Combes ustępując wylał całą swoją żółć, że »sługa Wielkiego Wschodu chce głowie rzeczypospolitej dawać rozkazy i przepisywać, jak się ma zachowywać«, radykał Bos zwie dawnego premiera »starym, chytrym, szukającym swej jedynie korzyści, mnichem«, a *Rappel* woła nań głośno: *memento mori*. Jednem słowem Combes ustępując okazał tę samą moralną nicość charakteru, jaka go cechowała w czasie całych rządów, a powyższa antologia, wyrażająca zapatrywania różnych obozów, może mu posłużyć w wolnych chwilach do rozmyślań na temat niestałości i niewdzięczności ludzkiej.

Z ustąpieniem jego, zauważyliśmy to już w zeszłym miesiącu, zmienią się jednak tylko osoby, pozostaną prawdopodobnie te same zasady. Prawdziwość tego przypuszczenia zdaje się stwierdzać postępowanie nowego gabinetu Rouviera. Przyjęcie jego nie było zachęcające. Jedni widzieli w nim ministeryum Combesa bez Combesa i przepowiadali prędki upadek, gdyż *bloc* jest rozdwojony; drudzy gniewali się, że w skład nowego gabinetu weszli ludzie, jak Berteaux, który w sprawie szpiegowań w armii ulega tym samym wpływom, jak Combes — i Thomson, zawsze gorliwy obrońca dawnego ministra marynarki, Pelletana; socyaliści znowu przypuszczali, że Rouvier zajmie umiarkowane i wyczekujące stanowisko w sprawie rozdziału Kościoła od państwa, i grozili na ten wypadek zaciętą walką. Umysły mimo to zaczęły się powoli uspokajać. Wykreślając denuncyantów z listy członków Legii honorowej, przenosząc w stan odpoczynku różnych wojskowych, wykazał Rouvier, że nie liczy się z postępowaniem Combesa i André'go; zachowanie się jego w kwestyi rozdziału Kościoła od państwa przysparza mu również zwolenników. Postępowanie Rouviera w tej sprawie było z początku takie, że przypuszczano, iż kwestya rozdziału, jeżeli wogóle jeszcze w programie istnieje, zejdzie co najmniej na ostatni plan — to oddziały-

wało niepomyślnie na pewne obozy, odzywały się też pogróżki — rzecz się zmieniła. Już w końcu stycznia wyraził się nowy minister wyznań, Bienvenu-Martin, do jednego z współpracowników *Matin*'u, że wkrótce na porządku dziennym stanie zarys prawa o rozdziale i że rząd jest silnie zdecydowany tej reformy dokończyć, ponieważ stosunki tak się ułożyły, że albo trzeba zupełny rozdział przeprowadzić, albo też zawrzeć nowy konkordat. Podstawą nowego zarysu ma być artykuł z r. 1797 opiewający, że »państwo nie uznaje i nie popiera materyalnie żadnego kultu, przyznaje natomiast wszystkim obywatelom prawo wykonywania praktyk przypadającego im do gustu wyznania, o ile jednak zastosują się do przepisów państwowych«. Twierdzenia Bienvenu-Martin'a nie były wyrwane z powietrza; poświadcza to ta okoliczność, że na radzie ministrów 8 lutego przyjęto wszystkie paragrafy proponowanego prawa — podpisali je Rouvier, Bienvenu-Martin, Delcassé i Etienne; 10 lutego wystąpiono z wnioskiem w izbie i zdecydowano się poddać go pod obrady jeszcze przed wielkanocą po załatwieniu się z budżetem i dwuletnią służbą wojskową. Znamiennem jest, że kiedy Rouvier zatwierdził porządek dzienny Sarrien'a opiewający, że stanowisko Watykanu zmusza do przeprowadzenia rozdziału państwa od Kościoła i że rozdział ten musi z pominięciem innych spraw w jak najkrótszym czasie być załatwiony, przyjęto pierwszą część tego projektu 338 głosami przeciwko 185, drugą zaś 379 głosami przeciwko 115, i że nawet księża, jak Gayraud, na rozdział ten się zgodzili; dochodzą widocznie we Francyi do przekonania, że nie tak znowu źle Kościół na rozdziale wyjdzie. Gazety radykalne tryumfują i stwierdzają, że rozdział jest już właściwie faktem.

W tych bądź co bądź trudnych warunkach smutne wywołuje wrażenie stanowisko dawnego biskupa z Dijonu, ks. Le Nordez. Combes nie uznał rezygnacyi biskupa i w myśl rządu jest mgr Le Nordez zawsze jeszcze legalnym pasterzem. Rządy dyecezyi spoczywały jednak w ręku dwóch wikaryuszów generalnych przez ks. Le Nordez mianowanych; Combes tolerował to i dziwnym sposobem milczał nawet i wtenczas, gdy papież po rezygnacyi biskupa mianował obu wikarych administratorami;

ignorował tylko ten fakt, choć administratorzy dyecezyą właściwie zawiadowali. Ponieważ jednak obaj administratorzy postępowali inaczej, jak sobie ks. Nordez tego życzył, zwrócił się on do Combesa z prośbą o obronę przed swymi zastępcami, gdyż stawiają go oni w sprzeczności w samym sobą, równocześnie cofnął ich nominacyę na wikaryuszów generalnych; ten krok biskupa zatwierdził Combes na kilka godzin przed swojem ustąpieniem i tak kwestya na nowo się zaogniła, gdyż biskup Le Nordez sprzeciwił się znowu Watykanowi, a rząd, jak się wyraził minister wyznań, nie uważa dyecezyi za opróżnioną. Że takie postępowanie katolików nie potrafi zjednoczyć ani zbudować, o tem niema dwóch zdań, przykrem tylko, że książę Kościoła tak się przyjętym na siebie obowiązkom sprzeniewierza.

Pewnych za to skutków nieprzyjaznego postępowania rządu wobec Kościoła doznaje Francya już dzisiaj a są one tego rodzaju, że obrażają dotkliwie jej dumę narodową. Siódmego stycznia powstało w Betleem pewne nieporozumienie między zakonnikami greckimi a łacińskimi, skutkiem czego pobito tam dwóch Franciszkanów, Włocha i Niemca. Konsul francuski zażądał satysfakcyi, tak samo konsulowie: włoski i niemiecki. Jeżeli wierzyć gazetom, gubernator turecki nie przyjął do wiadomości protestu konsula francuskiego, twierdząc, że nie jego rzeczą stawać w obronie niefrancuskich poddanych. Ten gubernator rozwiązał swoim sposobem praktycznie kwestyę protektoratu na Wschodzie, ale we Francyi narobiła ta sprawa wiele hałasu i napsuła dużo krwi i wcale poważnie zapatrują się dzisiaj dzienniki francuskie na fakt, że takie np. ważne miejsca jak Konstantynopol lub Jeruzalem oczekują na nowych biskupów i rozwodzą się szeroko nad tem, jak wielki wpływ na stosunki wschodnie wywierali z tych stolic biskupi Francuzi lub Francyi przychylni i jaką stratę poniesie dyplomacya francuska, gdy te stosunki się zmienią, a że się częściowo przynajmniej zmienią, za tem przemawia wiele faktów.

O święcenie niedzieli w Belgii.

Parlament belgijski jest znowu widownią zaciętych walk, toczonych o projekt deputowanego Helleputte, odnoszący się do spoczynku niedzielnego. Po jednej stronie stoi

tu prawica i socyalno-demokratyczna cześć lewicy, przeciwko projektowi zwróciło się stronnictwo liberalne, które od dawna w swych organach przygotowywało i uprzedzało opinię; w ostatnich nawet dniach przed rozpoczęciem obrad nad powyższym projektem spowodowali liberali referat belgijskiej prasy przeciwko spoczynkowi niedzielnemu, co im się ze względu, że większość tejże prasy jest wolnomyślną, bez wielkich trudności udało. Wystąpienie mowców *pro* nie wywołało na ławach wolnomyślnych wielkiego wrażenia a spowodowało natomiast namiętne wezwanie do rządu, aby określił swe stanowisko względem przyszłej ustawy i aby ją ryczałtowo potępił. Rząd uląkł się mniejszości, i chociaż za ustawą stoją trzy czwarte izby, przygotował do projektu Helleputte dodatki, które go z gruntu prawie zmieniają. Przedewszystkiem otrzymał nowy zarys prawa tytuł: »Spoczynek niedzielny w przemyśle« — więc handel i rolnictwo zostały z niego wykluczone. Dla wielu gałęzi przemysłu przepisuje dodatek rządowy spoczynek co dni czternaście tak jednak, że pracodawcy porozumiawszy się z robotnikami, mogą co siedem dni dać im pół dnia wolnego — wybór tego dnia jest zostawiony do woli, niedziela więc nim być nie potrzebuje; oprócz tego przyznano każdorazowemu ministrowi przemysłu rozległą w tym względzie władzę. Prasa katolicka, jak *Le bien public* lub *Le patriote* potępiła jednogłośnie i stanowczo te dążenia rządu. »Nie opłaci się zaiste stwarzać prawa, o którem już naprzód można powiedzieć, że nie osiągnie celu. Opinii publicznej zależy nieskończenie mało na otrzymaniu tekstu prawa; ona żąda skutecznej reformy, prawdziwego postępu. Naszem zdaniem świadczy to źle o naszem wyrobieniu się, jeżeli politycznym nieprzyjaciołom dajemy okazyę, by nam słusznie rzucili w twarz zarzut, że my katolicy jesteśmy jedynie do tego zdolni, byśmy kuli prawa pozorne« *(lois de façade)*. Jakie będą losy przyszłej ustawy, na pewno jeszcze powiedzieć nie można, dwie tylko dotychczas dadzą się stwierdzić rzeczy. Pierwsza, to brak poczucia obowiązku ze strony prawicy, bo kiedy rząd wezwał prawicę na prywatne posiedzenie, by przedyskutować sprawę proponowanych zmian, z 93 deputowanych prawicy stawiło się tylko 40 a z tych znowu 17 głosowało za zmianą, 13 przeciw a 10 od głosowania

zupełnie się powstrzymało; rząd więc mógł z pewnymi pozorami słuszności powiedzieć, że prawica stoi za nim. Druga, to znowu wielka lekkomyślność w przewidywaniu następstw tak niejasnego postępowania. Członkowie prawicy zachowują się dość obojętnie względem zmian objętych programem rządowym, owszem zdają się być zadowoleni, że część odpowiedzialności wziął w tej sprawie na siebie rząd, a tu tymczasem wyborcy żądali od nich formalnego zobowiązania się do głosowania za zupełnym odpoczynkiem niedzielnym; chwila więc, w której posłowie staną przed wyborcami dla zdania sprawy z prac w parlamencie, nie będzie należeć do najmilszych wspomnień w ich życiu, gdyż już w Brukseli, Antwerpii i Leodyum zbierają się zgromadzenia, żądające od swych deputowanych stanowczego wystąpienia.

Ze stosunków włoskich.

Pod tytułem »Włochy na rozdrożu« zamieściła rzymska *Civiltà* w pierwszym styczniowym zeszycie z wszechmiar zaciekawiający artykuł, który wykazuje, że mimo ogólnego anormalnego stanu, stosunki za Apeninami nie należą bynajmniej do najgorszych. Udział katolików włoskich w ostatnich wyborach wywołał nawet i zagranicą dobre wrażenie, odezwały się tylko pojedyńcze głosy, przestrzegające przed klerykalnem niebezpieczeństwem. Czasy garibaldowskiego patryotyzmu z frazesami o czarnym papieżu, o dżumie Włoch i t. d. należą do przeszłości. Przed kilku jeszcze laty rząd nie pozwoliłby na publiczne, uroczyste obchody kościelne, dzisiaj z okazyi jubileuszu Niepokalanego Poczęcia nic nie miał przeciwko nim, a gdy w Florencyi socyaliści użyli tej okazyi do wyprawienia karczemnych burd, opinia zwróciła się nie przeciwko klerykałom, ale przeciwko prawdziwym tego zajścia sprawcom. Co z religii i wiary przeszłości pozostało, to pojawia się dziś w życiu prywatnem i publicznem śmiało i odważnie. Tradycya katolicka jest jeszcze tak silna, że nawet tacy ludzie, jak wódz socyalistów Turati, który w swej *Critica sociale* wzywał do zupełnego usunięcia wpływu księdza katolickiego z prywatnego życia, a więc do wykluczenia go od chrztu, ślubu i t. d., sam był ojcem chrzestnym młodej panny, która w jednym dniu przyjęła chrzest, bierz-

mowanie, komunię św. i sakrament małżeństwa — organ jego kruszył kopię w obronie wolności sumienia. Kiedy Combes w maju zeszłego roku wyraził swe oburzenie w Rzymie, z powodu rzekomej obelgi wyrządzonej królowi włoskiemu przez nieprzyjęcie Loubeta w Watykanie, opinia publiczna n. p. w Bolonii odpowiedziała na to gorącą owacyą, urządzoną dla swego arcypasterza. Socyalista Cicotti, który do upadłego walczył przeciwko przyjęciu wydalanych z Francyi kongregacyi, stracił swój mandat. Znaczenie masoneryi zanika z dnia na dzień, a z okazyi śmierci Leona XIII i wstąpienia na stolicę Apostolską Piusa X biegły wszystkie klasy narodu do stóp papieża z wyrazami hołdu. Jedna tylko chmura zaciemnia ten rozjaśniający się powoli horozont: socyalizm; niebezpieczeństwo rewolucyi było we wrześniu zeszłego roku w czasie wielkiego strejku w Medyolanie bardzo poważne. Jednak sami socyaliści przyznają, że ostatnie polityczne wybory włoskie, w których częściowy udział brali także katolicy, były zupełnem zwycięstwem r e a k c y i, a socyalistyczny deputowany Leonidas Bissolati twierdzi, że większość parlamentu ma charakter dość wybitnie k l e r y k a l n y: »albo stronnictwo socyalistyczne wstąpi bez wahania na drogę reform, albo proletaryat włoski zbliży się do periodu przewrotu, rewolucyi, ucisku, w którym straci to wszystko, co z wysiłkiem dotychczas posiadał«. Z jednej więc strony widać wzrost ducha religijnego we wszystkich przez socyalistów nie opanowanych jeszcze klasach narodu, z drugiej znów oznaki socyalnej rewolucyi. To są rozstajne drogi, na których stoją dziś Włochy. Do pracy wzywa więc organ rzymski katolików i przypomina im dwa najważniejsze postulaty: konieczność programu socyalnego i zwartą jedność katolickich sił.

Powyższe zapatrywania zdają się być obecnie we Włoszech dość rozpowszechnionemi, tak przynajmniej można sądzić z niektórych ogólniejsze znaczenie mających faktów. Znany n. p. powieściopisarz, Fogazzaro, wzywa katolików do utworzenia partyi politycznej na wzór niemieckiego centrum. Ma ona być katolicką, ale nie wyłączną; wypadnie przyjmować do niej w pewnych warunkach i niekatolików, wykluczyć jej czasem przyjdzie i katolików. Turyński dziennik *Il Momento* rozwija tę myśl i moty-

wuje, czemu i innowiercy i wogóle niekatolicy powinni mieć do takiego centrum przystęp. Dlatego, że chociaż partya ma służyć celom socyalnym i obronie religii, często w kwestyach finansowych, administracyjnych i innych katolicy, nawet wybitni, mogą się między sobą różnić, a znowu niekatolicy mogą w tych samych kwestyach być tegoż zapatrywania i iść ręka w rękę z katolikami.

Do tej sprawy wraca też *Civiltà* w drugim numerze tegorocznym. Zaznaczywszy, że jest dziś ogólnie we Włoszech panującem przekonaniem, iż socyalizmowi nie można przeciwstawić skutecznie innego ruchu ludowego, jak katolicki, przytacza między innymi poglądy prof. Nitti'ego, utrzymującego, że gdyby papiestwo zechciało zająć się pogodzeniem kapitalistów i robotników, »stanęłoby na czele ruchu, którego nikt nie byłby w stanie powstrzymać«. Co do tego zgadzają się różne stronnictwa polityczne i socyalne tak kraju jak i zagranicy. Ponieważ ludność jest w większej swej części katolicka, powinny więc Włochy dążyć do założenia stronnictwa centrum, któreby na polu socyalnem skupiło w sobie wszelkie siły. W tych częściach Włoch, gdzie podobne miejscowe stronnictwa zorganizowano, jak n. p. w Bergamo, katolicy mają nie tylko większość w radzie miejskiej, decydują nie tylko o losach rady prowincyonalnej, ale gdy w ubiegłym roku stawili się do urn wyborczych, przeprowadzili swego kandydata i spowodowali upadek dawnego posła socyalistycznego. Stosunki nie są wszędzie tak korzystne, jak w Bergamo, pełnem różnych chrześcijańskich i socyalnych instytucyi, ale to wykazuje właśnie, jak potrzebną jest dla polityki katolickiej organizacya socyalna, dążąca do obrony interesów chrześcijańskich na polu socyalnem. *Civiltà* kończy swoje wywody twierdzeniem: »jak długo we Włoszech nie będziemy mieli związku socyalnego w rodzaju niemieckiego *Volksverein*'u i socyalnego punktu środkowego, jak *Centralstelle* w M.-Gladbach, nie będziemy ani jedni, ani silni, ani politycznie dojrzali«.

Pamiętać przytem wszystkiem potrzeba, że zapatrywania *Civilt*'y są wyrazem poglądów, panujących w decydujących sfe-

rach watykańskich, że więc najbliższa przyszłość dużo ciekawych zmian w stosunkach włoskich katolików nam pewnie przyniesie.

Centrum w sprawie tolerancyi.

W r. 1902 postawiło centrum w parlamencie niemieckim swój wniosek o tolerancyi, który dla spokojnego i rzeczowego tonu, w jakim był trzymany, został w pierwszej części przyjęty znaczną większością; drugą część wycofało samo centrum, ponieważ nie starczyło już czasu na obrady. Obecnie kwestya staje się znów aktualną, dlatego poświęcamy jej niniejszem kilka uwag. Centrum żąda pełnej wolności religijnej, a więc i prywatnego i publicznego wykonywania religijnych praktyk dla wszystkich poddanych państwowych, o ile przez to nie staną w sprzeczności z wypełnianiem obowiązków obywatelskich i państwowo-obywatelskich. Religia dzieci będzie unormowana ugodą przed- lub poślubną, obowiązującą nawet na wypadek śmierci ojca lub matki; wola rodziców stoi w tym względzie ponad wolą opiekunów, którzy znowu wyznania dziecka zmienić nie mogą. Dzieci nie wolno zmuszać do brania udziału w praktykach religijnych innych wyznań, a po ukończonym czternastym roku życia mają one same wyznanie sobie obrać. Kto wyznanie zmienia, uwiadamia o tem odpowiedni urząd, a ten odnosi się z tą sprawą do władzy kościelnej. To są najważniejsze postulaty części pierwszej, część druga zajmuje się stowarzyszeniami religijnemi. Stowarzyszenie uznane w jednym z państw związkowych, może publicznie wykonywać praktyki swego kultu w całem państwie; wolno mu więc odprawiać nabożeństwa, budować kościoły z wieżami i dzwonami i t. d. Stowarzyszenia będą się znosiły bez jakichkolwiek trudności z przełożonymi, a ich przepisy, co do funkcyi religijnych nie zależą od uwiadomienia lub pozwolenia władzy. Zagranicznym członkom uznanych stowarzyszeń wolno pełnić obowiązki kapłańskie. Przyjęcie do stowarzyszenia religijnego, udzielanie chrztu, sakramentu małżeństwa, pogrzeby i t. d. nie zależą ani od władzy, ani od innych wyznań, ani nawet od uwiadamiania władzy. Misye dawane przez uznane stowarzyszenia mają być zupełnie dozwolone, a kongregacye i związki, należące do pewnego wyznania, mogą pozostawać i pracować w granicach

państwa bez zasiągania osobnych państwowych lub komunalnych pozwoleń.

Wniosek więc żąda na prawdę dużo, ale w istocie żąda tylko równości z protestantami i usunięcia niektórych nielicujących z duchem czasu anomalii. Tak n. p. w Meklemburgu istnieje prawo, że gdy chodzi o odprawienie mszy św. poza kościołem właściwym, n. p. w jakiejś wynajętej kaplicy, nie tylko trzeba wpierw poprosić o pozwolenie, ale podać równocześnie plan całego nabożeństwa, rząd też sam decyduje, czy msza św. ma być odprawiona raz czy więcej. Księżom z Meklemburgu-Schwerin nie wolno odprawiać mszy św. w Meklemburgu-Strelitz. W Brunszwiku dzieci zrodzone w małżeństwach mieszanych idą zawsze za wyznaniem ojca, za religią matki tylko wtenczas, jeśli między urodzinami a chrztem dziecięcia, rodzice wniosą odpowiednie podanie do władzy lokalnej. Każdy pastor ma tam prawo chrzcić dzieci katolickie, którym wolno uczęszczać tylko do szkół protestanckich. W Blankenburgu, gdzie się Kościół katolicki znajduje, mogą wprawdzie przemieszkiwać księża katoliccy, lecz nie wolno im odprawiać nabożeństw; w tym celu musi przyjeżdżać kapłan z Halberstadt'u, po nabożeństwie jednak natychmiast wracać — w mieście samem zamieszkać mu nie wolno. W księstwie Sachsen-Altenburg nie może urzędnik brać ślubu katolickiego, do królestwa saksońskiego wzbroniony wstęp dla kapłanów z poza Saksonii, o ile chcą tam duszpasterską pracą się zająć. Te anomalie rozciągają się w mniejszej lub większej mierze na całe państwo.

Wniosek centrum jest więc uzasadniony i przyszedł już pod obrady. Pierwsza część przejdzie z pewnością, lecz będzie leżeć znowu lat kilka w radzie związkowej — druga część nie ma wielkich widoków; za nią stoi centrum i socyaliści, przeciw niej wszelkie inne stronnictwa, a poza parlamentem podjudzany przez *Evangelischer Bund* fanatyczny lud.

Ks. Wiktor Wiecki.

Pogadanka artystyczna.

O przeszłości zamku na Wawelu i sprawie jego restauracyi.

W zwierciadłach wód wiślanych przegląda się codziennie zdetronizowany król: Zamek wawelski. Odarty z swych królewskich szat, skamieniały na szczytach skalnych duma, jak jego ducha brat szekspirowski Lear, nad pozbawieniem królestw, złotego tronu Chrobrego, insygniów majestatu królewskiej godności. Na jego sędziwych barkach zwisają strzępy złotolitej przędzy artystycznych myśli, utkanej przez wieki-prządki. Nie szczędzono mu obelg, zniewagi i pośmiewiska. Bo oto szaty jego drogocenne wróg darł, pruł, bezcześcił, okrywając natomiast nagość stóp jego wstrętną szatą pospolitości i własnych prostackich zwyrodniałych pomysłów.

I patrząc na ten obraz smutku i opuszczenia, łupiestwa i barbarzyństwa a snując długą legendę Wawelu sławnej przeszłości, dusza polska roni łzy współczucia nad losem nieubłaganym. Nad losem, który już od przeszło stulecia całego, smaga niemiłosiernie biczem zniszczenia i poniewierki królewską postać. Jęk duszy polskiej doleciał do stóp władcy serca szlachetnego — został wysłuchany. Potężne i łaskawe słowo z ust jego wypowiedziane r. 1880 dało folgę żądaniom, pozwoliło, by dzieci zaginionych królestw, utkały nową szatę zdetronizowanemu.

Więc teraz komu z braci naszej żywiej tętni serce na wspomnienie Wawelu, każdego myśl ześrodkowuje się w murach zamkowych, wzniesionych przez Piastów założycieli i Jagiellonów humanistów. Gdy przebrzmiało zwycięskie hasło »opróżnienia komnat królewskich« z żołdaczego gminu — gdy długie starania przewódców narodowych zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, chwila odbudowy zamku stała się blizką. W szczególności marszałkowie krajowi: inicyator Mikołaj Zyblikiewicz, hr. Andrzej Potocki i hr. Stanisław Badeni, który 15 lipca 1903 r. doprowadził do skutku umowę z rządem w sprawie przeznaczenia dawnego zamku królewskiego na rezydencyę cesarską, zaskarbią sobie największą wdzięczność społeczeństwa.

Kwestya restauracyi Zamku, posiada dwie równoważne strony, finansową i artystyczną. Zanim kraj pomyślał o funduszach, już serce szlachetnej Polki ubiegło wszystkich. Sędziwa matrona p. Ulanowska zaczęła przed wielu laty mrówczą pracę centowych składek. Z nieugiętą siłą woli, z niesłychaną i nigdy nie słabnącą energią, prowadzi

ona latami tę kwestę, z pomocą marnych, glinianych skarbonek. Nie tylko te nagromadzone kilkadziesiąt tysięcy, ale podtrzymywanie uwagi i pamięci o Wawelu i jego losie wszystkich i wszędzie, było i jest jej zasługą. Te małe puszki, to *memento* budzące zapał a wołające do czynu — rozpleniły się po Polsce całej; bo czy w zapadłych dworkach, w salonach czy sklepach, publicznych instytucyach lub skromnych mieszkaniach miejskich, wszędzie znajdziesz skarbonki p. Ulanowskiej wołające rozgłośnie: »Na Wawel«!

Odnowienie Wawelu takie, któreby go nie pozbawiło oryginalności, przez które powróciłby mu królewski blask, a zarazem pozostał wielkiem wspomnieniem dziejowem, rzeczą nie jest łatwą.

Przypomnijmyż sobie, że Zamek nasz to konglomerat rozmaitych stylów i epok. Początki jego bytu legły w zamierzchłej przeszłości ustrojonej w barwny obraz baśni o skrzydlatym zwierzu pożerającym daniny z ludzi składane u otworu jamy smoczej. Zjawia się tedy legendarny bohatyr, książę, rycerz mocy wielkiej i lwiego serca, który jakby zesłaniec boży, jak orędownik chrześcijańskiego rycerstwa Jerzy św. zgładził potwora, oswobodził gród i przezwał go imieniem swojem. W idei wolności i bohaterstwa rodzi się historya Wawelu. Jeżeli ta piękna, starożytna opowieść ludowa w dziejach wzięła faktyczny początek, co bardzo jest prawdopodobnem, natenczas walka legendarna wskazuje nam na dwie warownie Skałki i Wawelu, które dumnie naprzeciw siebie podnoszą czoła i rywalizują. Cała konfiguracya przestrzeni, na której osiadły pierwsze sadyby starego Krakowa, kierunek rzek, ich stare koryta i wzgórza wraz z mogiłą Krakusa przemawiają za hipotezą, że starszy wiekiem, aczkolwiek mniejszy zamek, wznosił się na Skałce, ujętej widłami wód płynących. Dostępu do skały wawelskiej bronią wtedy szeroko rozlane fale Wisły liżące po dziśdzień jego podnóża, stawy i błota pierścieniem go niedostępnym opasały a ręka ludzka do reszty twierdzą uczyniła. Na kształt wyspy wyniosłej wznosił się wśród wód oparów kościsty skalny grzbiet z drewnianym wieńcem częstokołu i systemem mostów zwodzonych zbudowanych przez książęta panujące nad ludem Wiślan. Chrobry Bolesław zdobył r. 999 na Czechach grody Krakowa i wsparty na potężnym Szczerbcu zajął Wawel na swą królewską i dziedziców swoich własność, wzniósł zamek drewniany i może stołp wymurował kamienny z lochami, o których wspomina pod r. 1071 kronika Kozmy, i jak się zdaje zbudował pierwszy drewniany kościół, późniejszą katedrę. To więcej jak pewna, że smocza jama, analogicznie jak to się działo

w średniowiecznych zamkach niemieckich, gdzie w razie braku naturalnej jaskini kuto w skale sztuczną i tutaj wchodziła w obręb forteczny. Zadaniem jej było zabezpieczenie przed pociskami ognistymi i odłamami skalnymi wyrzucanymi przez machiny oblężnicze t. zw, katapulty. Istotnie zamek krakowski przez całe średniowieeze wystawiony był na ciągłe napady i oblężenia, w których brali udział tak żywy wszyscy Piastowicze, pragnący zasiąść na stolicy krakowskiej i przez nią dobić się korony królewskiej. Czy wojowniczy Bolesław Śmiały i jego następcy zadawalniali się drewnianem dworzyszczem, w to wątpię. Gall nazywa go pałacem, a potrzeba ubezpieczenia nagromadzonych skarbów, mówi o sklepach murowanych. Niewątpliwie cała reszta twierdzy prócz pałacu, była drewnianą, więc z drzewa wznosiły się tam dworki z obszernymi świetlicami, dla pomieszczenia dworu książęcego i załogi. Strome urwiska góry zamkowej ułatwiały same przez się ubezpieczenie jej stoków, ale w miejscach, gdzie tego wymagał teren, były palisady lub sypano wały obite deskami, jakie opisuje Al. Bekri. Pierwszym z panujących, o którym wiemy na pewno, że wznosi budowy kamienne na Wawelu, był Władysław Herman, fundator romańskiej katedry. Na zamku i podgrodziu zapanował dotąd niebywały w Krakowie ruch budowlany przez sprowadzenię kamieniarzy. Wznoszą się wtedy po raz pierwszy mury kamienne katedry, kościołów św. Idziego i Andrzeja. Na podstawie naturalnego porządku rzeczy, wnioskować można, że ten potężny jak na owe czasy ruch budowlany, nie ograniczył się na przybytki boże, ale oddziałał również na królewską rezydencyę. Kroniki nasze tak skąpe w wiadomości kulturalne milczą i tutaj.

Badania całego terenu zamkowego przez architektę restauratora, mogą dopiero rzucić pełniejsze światło na ciemną stronę budownictwa średniowiecznego na zamku krakowskim. Jedynie musi się przyjąć za pewnik, że Stołp (niem. *Bergfried, franc. donjon*) czyli najniedostępniejsza i najwyższa wieża kamienna lub ceglana, która była zasadniczą budową we wszystkich fortecznych planach zamkowych w wiekach średnich, musiała wtedy tutaj istnieć i mógł ją Władysław Herman przy wielkich budowlach i stworzeniu przez nie nowej konfiguracyi na Wawelu na nowo z posad wyprowadzić, a mianowicie, gdzie dziś wznosi się Kurza stopa, bo tutaj znajdują się dotąd ślady kanału wycieczki, zaś opodal ku wieży Lubrance istnieje stara studnia i most zwodzony niedaleko Stołpu łączył, a w potrzebie przerywał połączenie z zamkiem niższym, przy kościele św. Andrzeja. Przed laty trzydziestu przy badaniu lo-

chów Kurzej Stopy znaleziono też na dnie ślady spuszczanego pomostu. Roku 1241 nawała mongolska dwukrotnie oparła się o Wawelu stoki — lecz zamek oparł się najazdowi i oblężeniu. Nie byłby temu podołał, gdyby był li tylko z drzewa. Gdy Konrad mazowiecki zawładnął w r. 1241 zamkiem, umocnił go budową ciągnącą się od miejsca, gdzie się wznosi kaplica katedralna św. Tomasza, późniejsza Tomickiego, aż do kościółków św. Jerzego i św. Maryi Egipcyanki, ale niezadługo, jak wspomina Długosz, zburzono ją doszczętnie. Sytuacyę zamku objaśnia do pewnego stopnia powtórne oblężenie zamku przez Konrada mazowieckiego w r. 1243, bo chociaż zajął kościół św. Andrzeja, więc zamek niższy i nawet św. Jerzego, zatem wyżynę wzgórza grodowego od zachodu i południa, przecież zamczyska zdobyć nie był wstanie. Pokazuje się z tego, że obręb górnego zamku poczynał się w okolicach Kurzej Stopy i ciągnął się po jamę smoczą, ją i katedrę wciągając w swój plan sytuacyjny. Po najazdach Tatarów czuli się tak Bolesław Wstydliwy, jak biskup krakowski nie dosyć bezpieczni na częściowo tylko ufortyfikowanej górze zamkowej, i już w r. 1258 Bolesław wydał dokument z wezwaniem do kleru spieszenia z ludem swoim, do robót około twierdzy wawelskiej. Dopiero teraz pomyślano o rozszerzeniu sieci fortyfikacyjnej na całą górę, która wyrastając dzisiaj nad najniższy poziom Wisły około 22 metrów rozciąga się w kształcie gruszki od południowego zachodu, podnosi się i zwęża ku północnemu wschodowi na długość 320 m, dochodząc do największej szerokości 160 m. Zadanie przeto budownictwa wojennego średniowiecznego utwierdzenia całego Wawelu wobec jego rozległości było trudne i kosztowne. W r. 1265 doprowadzono go do skutku, obudowawszy wzgórze całe drewnianym częstokołem i prawdopodobnie wieżycami drewnianemi, na których umieszczano machiny wojenne, skąd łucznicy bronili dostępu, a lud wojenny lał wrzątek i rzucał bryły kamienne na głowy wrogów. Przyniosło to jedną wielkiej wagi korzyść dla całego grodu, mianowicie w razie ponownego napadu, mieszkańcy nie potrzebowali odtąd w górach lub okolicznych lasach szukać schronienia dla siebie i rodzin, ale już na górze zamkowej mogli znaleźć doraźne pomieszczenie. W lat potem dwadzieścia, gdy Konrad mazowiecki kusząc się o tron krakowski z wielkiem wojskiem podstąpił pod mury miasta, mieszczanie z całym dobytkiem schronili się w istocie na Wawel i ze skutkiem wytrzymali Konradowe oblężenie. Po obwarowaniu miasta przez Leszka Czarnego, który je wałami, przekopami, wieżami i murami otoczył, Kraków stał się pierwszorzędną twierdzą. Tatarzy podszedłszy pod Kraków na Boże Narodzenie w r. 1287,

odeszli niebawem nic nie wskórawszy. Mury zamkowe zbudowane są z kamienia, uzbrojone samostrzałami kołowrotnymi, załoga broni ich nadto procą i strzałą. Nic też dziwnego, że gdy Henryk IV ks. wrocł. zamierzał w r. 1289 zająć Kraków, prócz hufców rycerskich, bierze od wrocławian 3500 zbrojnego ludu, 1200 wozów transportowych i 100 wozów pod przyrządy oblężnicze. Niemcy krakowscy otwarli bramy, sprawa Łokietka upadła zdradą.

Biskup pragski Tobiasz, wódz wojsk Wacławowych zajął w r. 1291 miasto i wzmocnił jego mury, a zamkowym wieżom i murom przydał wysokości. Epoka krwawych walk Łokietkowych o tron i koronę, to chwila przełomowa, przejście z romanizmu do gotyku. W dniu 8 maja 1306, żagiew wyrwaną z płonącego domu przy kościele Wszystkich Świętych, wicher poniósł na dach ołowiany katedry romańskiej i jasnym płomieniem buchnął ogień. W perzynę obrócił kościół i wszystek zamek krakowski z wieżami, pałacami, domami i innem z drzewa zabudowaniem. Tak minęła epoka romańszczyzny na Wawelu. Na jej zgliszczach i ruinach zakwitł teraz ostrołuk. I znowu rozpoczęły się dwie budowy: zamku królewskiego i katedry. Rozpoczętą fabrykę zamkową przez Łokietka, który przez lat cztery ją prowadził, kończył Kazimierz Wielki, i jak powiada Długosz, zamek krakowski znacznie podźwignął, zmurowawszy w nim wiele gmachów okazałych i mieszkań, umocniwszy go wałami i wieżycami, a przydawszy mu ozdoby w rzeźbach i malowidłach. Już budowa Władysława Łokietka musiała być znaczną, skoro w r. 1320 zapadła uchwała senatorów królestwa, by w zamku krakowskim, jako g r o d z i e n a j w a r o w n i e j s z y m, złożoną była i strzeżoną korona i inne ozdoby królewskie. Jako pamiątkę tej budowy widzimy orła piastowskiego, płókanego wiekowymi wichrami na szkarpie Kurzej Stopy, gdzie go z okazyi przebudowy wmurowano między inne ciosy. Budowy, Łokietkowa i Kazimierzowska obejmowały skraj wyżyny Wawelu od strony wschodniej i północnej aż po starą Lubrankę, z południa zaś przytykały, a może już wtenczas łączyły się z emporą kaplicy Maryackiej, dziś Batorego, ukończonej w r. 1331, i biegły ku smoczej jamie. Z tego całego kompleksu budowli, pozostała nam od północy część przyziemna przy wieży Zygmunta III, z izbą narożną, której sklepienie krzyżowe o czterech przęsłach opiera się na sześciobocznym słupie stojącym pośrodku. Według błędnej tradycyi w tej komnacie miał wyzionąć ducha Kazimierz Wielki, tymczasem Długosz wyraźnie powiada, iż umarł w wielkiej izbie dolnej *(sala bassa)* od strony południowej.

Z kształtu i położenia wnioskować zatem należy, że mamy tutaj piastowską izbę biesiadną, zwaną *aula redemtoria*, jaką widzimy w zamkach zwłaszcza krzyżackich. Położenie izby biesiadnej w tem miejscu potwierdza domysł, że również obok wznosił się stołp zamkowy. Będzie to prawdopodobnie jeszcze budowa Władysława Łokietka. Wyjątki z testamentu Kazimierza Wielkiego podane przez naszych kronikarzy pozwalają nam na odtworzenie w wyobraźni, dekoracyi wnętrza komnat królewskich. Ściany zdobiły drogocenne opony, stoły w biesiadnej izbie, gięły się pod ciężarem 36 rogów bawolich w oprawach ze złota i srebra, nalewek z jaspisu i kryształu, roztruchanów i czasz złocistych. W sypialni Kazimierzowskiej łoża okrywały purpurowe podniebia, sadzone klejnotami i wyszywane perłami. Na ścianie wisiał krzyż szczerozłoty, sadzony kamieniami, z partykułą Krzyża św., a na klęczniku leżała ozdobna biblia, darowana kościołowi gnieźnieńskiemu. Jadwidze i Jagielle, gdy zamieszkali na Wawelu były ciosowe ściany za mało wyniosłe i ciasne, więc podnieśli je murem ceglanym.

Wschodnia połać zamku przy Kurzej Stopie biegnąca ku Lubrance, starej baszcie XIV wiecznej, utopionej kątem w ścianach pałacu renesansowego i przebudowanej zupełnie w XVI stuleciu, zachowała dotąd typ średniowieczny. Już z zewnątrz widać piękny gmach dwupiętrowy, gotycki, podparty szerokiemi, ozdobnemi szkarpami. Na jego ścianach pną się pionowo i równolegle gęste laskowania kamienne, a jakkolwiek już może nawet w całości z XV w. pochodzą i w górnej części nieumiejętnie były restaurowane, przecież nadają zewnętrznemu wyglądowi charakter ostrołukowej epoki. Wiemy, że w r. 1461 Kazimierz Jagiellończyk naprawiał i odnawiał zamek. Poziom i piętra rozdzielają fryzy, złożone ze śródłęczów (maswerków) gotyckich trójłucznych, podobne do szeregu ślepych okien gotyckich. Zaś fryz drugiego piętra już wcale odmienny, bo tworzące go rozety przecięte są łukiem falistym. Szczyt wieńczą blanki. Wewnątrz uległ gmach przemianom Zygmuntowskich czasów, zawsze przecież zrąb murów, część sklepień i układ izb pozostał na dole, a nawet pierwszem piętrze średniowieczny. Zwraca n. p. na się uwagę komnata sklepiona dwoma przęsłami krzyżowych sklepień, z żebrami kamiennemi o profilach gruszkowych, z dwoma zwornikami, na których wykute na tarczach herb domowy Władysława Jagiełły: krzyż podwójny, tudzież królowej Jadwigi herb Andegaweński. Jedno okno, zwrócone ku wschodowi rozświetla wnętrze, a w jego obszernym wnęku do dziś dotrwały dwie kamienne ławy, na których wysiadywała królewska para. Zdaje

się, iż nie mylę się, upatrując w tej sali sypialnię królewską, którą Jagiełło w r. 1393 na 4-ty kazał wymalować ruskim malarzom. Nad tą izbą, na pierwszem piętrze w narożniku jest bardzo wysoka świetlica o charakterze gotyckim, z dwoma przęsłami sklepień krzyżowych, z krawężnicami i z trzema oknami, wychodzącemi na wschód i południe, zwana niewłaściwie Kazimierzowską. Dalej w tem skrzydle idąc ku Lubrance napotyka się na głębokie piwnice i starożytną studnię. Przy Kurzej Stopie wspominają też lustracye otwór wycieczkowy. Stok góry zamkowej z tej strony zajmował na podmurowanej terasie ogródek, pielęgnowany zapewne ręką królowej.

Na zboczu skały osiadła wsparta na arkadach szkarp potężnych u spodu ciosowych i rozbiegłych jak pazury ptasie: Kurza Stopa, zwana przed XVIII w. częściej Kurzą Nogą, Baszta to niższa od sąsiedniego gotyckiego gmachu, wązka, wieloboczna, wyskakuje ukośnie naprzód z węgła, który tworzyła starsza od niej okrągła wieża. Widać ją dotąd z zewnątrz ukrytą w głębokim cieniu, z sześciu kwadratowemi okienkami, to dawna turma, której lochy dotąd się utrzymały i miały kryć w sobie wyjście wycieczki. Kurza Stopa ma być budową Jadwigi i Jagiełły, świadczyć o tem mają trzy kamienne tarcze, zawieszone u góry ścian frontowych z herbami Polski: Orłem, Pogonią i Krzyżem Jagiellońskim. Czy oni ją z posad wywiedli, trudno na razie przesądzać. Herby z przewagą litewskich przemawiają raczej za tem, że umieszczone one tam były dopiero w r. 1394, kiedyto Jagiełło umacnia mury zamkowe, więc już po śmierci Jadwigi. We wnętrzu Kurzej Stopy mieści się jasna, piękna salka, zamknięta jak gotycka apsyda kościelna trzema bokami ośmioboku, z widokiem wspaniałym na Kraków. Miała tu mieszkać królowa Jadwiga, powiedzmy raczej modlić się i w dniach smutku i doświadczenia szukać cichego i niedostępnego zakątka ukojenia. Położenie skierowane ku wschodowi, kształt jej i analogia wieżyc kaplicznych z innymi zamkami wskazują, że była tutaj gotycka kaplica zamkowa. W tej to prawdopodobnie kaplicy zamkowej składa senat w r. 1453 przysięgę. Piękne w nich odrzwia z czerwonego marmuru z herbem Wazów, pochodzą z czasów Zygmunta III, który urządził w sąsiedniej wieży kaplicę nową i prześlicznemi sztukateryami złoconemi przyozdobił.

Lud krakowski, który szczerze ukochał pałace królów polskich, dostrzegł, że skoro w zimowych rankach przybywać dnia zaczyna, słońce z boku rzuca na basztę jasne promienie, oświetla po raz pierwszy czoło apsydy, muska jej herby i ściele długie cienie od niej —

więc w ustach ludu powstało przed wiekami przysłowie, że »dnia przybyło na Kurzą Stopę«.

W zeszłym roku złośliwa ręka wyłupała kamienną kulę ze ściany w Kurzej Stopie.

Do zamkowych murów fortecznych należały wieże, przyłączone następnie do katedry, a istniejące po dziś dzień: wieża t. zw. Zygmuntowska, spoczywająca od spodu na pierwotnej, starej budowie z dzikiego kamienia, dalej wieżyczka z ciosowym dachem, przytykająca do transeptu katedry, wieża zegarowa; wszystkie trzy mają na sobie ślady pierwotnego przeznaczenia i nie łączą się planowo z katedrą. Na ostatek mamy reszty ceglanych, obronnych murów gotyckich między wieżami. Brama wjezdna z żelazną broną była w tem miejscu, gdzie dzisiejsza z czasów Rzeczypospolitej krakowskiej. Broniły jej trzy okrągłe wieże, zburzone dopiero w XIX wieku. Z nich pozostał tylko spód barbakanu, przez który wiodła droga do wnętrza zamku przez most zwodzony. Widać go przed bramą po lewej stronie tuż pod wieżą zegarową. Mimo zmian przeprowadzonych systemem vaubanowskim za Augusta II ceglany pierścień czerwonych murów obronnych na zamku krakowskim należał aż po ostatnie dni Polski do systemu fortyfikacyjnego, średniowiecznego. Oto wszystko, co nam pozostało z epoki gotyckiej, następnie więc zdamy sobie sprawę z tego, co nam pozostało, z najwspanialszego okresu na zamku krakowskim, z epoki Odrodzenia.

(Dok. nast.).

Leonard Lepszy.

Z katolickiego ruchu społecznego.

Związek katolicki społeczny we Lwowie i jego czasopismo. — Związek katolickich Towarzystw robotników polskich dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej i ich tygodnik. — Krakowski dwutygodnik katolickich robotników i rzemieślników.

W ostatnich tygodniach katolickie związki złożyły u nas dowody pracy skrzętnej na polu społecznem.

Najżywszy ruch powstał we Lwowie. Pod przewodnictwem księdza metropolity Bilczewskiego wybitni pracownicy w dziedzinie społecznej, odbyli tam zjazd z całego kraju i powzięli myśl, żeby polą-

czyć wielorakie odłamy swojej pracy w związek jednolity. Nie zamierza ten Związek katolicki społeczny rozbijać dawniejszych związków, przeznaczonych dla odłamów pracy poszczególnych; zostawia im wszelką swobodę i pielęgnowaną w każdym z nich myśl przewodnią; łączy je tylko w zakresie ogólniejszych, a wszystkim wspólnych haseł i dąży do poprawy obecnych u nas stosunków społecznych, w myśl zasad katolickich i narodowych; politykę wyklucza.

Związek liczy już członków nie spełna tysiąc i odbył kilkanaście obrad wydziału. Z przedmiotów poruszanych na obradach, najważniejszy może dotyczył środków pomocy dla ludu, dotkniętego klęską posuchy. Wystosowane odezwy Związku do dzienników i rad powiatowych wywołały w innych związkach ruch podobny, a w następstwie poważną liczbę głosów w całym kraju, które wymogły na rządzie ulgi najpilniejsze.

Drugą sprawą, którą Związek już dokonał, jest biuro pośrednictwa w pracy, otworzone w Oświęcimie dla wychodźców naszych do Niemiec, i schronisko dla nich, gdzie do stu osób znajduje najprzód przytułek, a nadto opiekę i ochronę przed niebezpieczeństwem wyzysku.

Nakoniec Związek zaprowadził biuro bezpłatnej porady prawnej, które zdobyło już wielkie zasługi wobec najbiedniejszej warstwy mieszkańców.

W zakresie rozpoczętych prac Związku leży zmiana ustawy prawnej dla służby, poprawne wydanie zasadniczych obowiązków w związkach społecznych, wydawnictwo pism i książek i na nowo podjęte zabiegi o pomoc ze strony związku św. Rafała dla naszych wychodźców za morze.

W zakresie prac zamieszczonych w dalszej drodze rozwoju Związek wyliczył wiele pożytecznych przedsiębiorstw, a dla ściślejszej łączni między zarządem a członkami wysyła im bezpłatnie swoje czasopismo pod nagłówkiem: *Związek Katolicki Społeczny.*

Czasopismo to pod odpowiedzialną redakcyą księdza Wesolińskiego zdaje w samej rzeczy bardzo przejrzyście sprawę ze zamiarów i prac Związku; umieszcza także utwory zawodowych znawców sprawy społecznej, n. p. o współczesnem pośrednictwie w pracy; podało także obszerny ale może nie całkiem doborowy spis dzieł zwłaszcza niemieckich, pożyteczny dla tych, którzy w pracy Związku udział wziąć chcą umiejętnie.

Dość światła na stan krakowskich związków katolickich pada

z dwutygodnika tych związków, pod napisem *Postęp*. Prawda, że nie każdy czytelnik może smakować w tem piśmie, z powodu jego języka, sierdziście zamaszystego. Ale to chyba do zawodowego ludoznawcy należałoby ocenić, czy właśnie taki język nie odpowiada czytelnikom z tych warstw społeczeństwa. *Postęp* przewyższa wszystkie pisma poprzednio wydawane w Krakowie, w tymsamym duchu, zarówno treścią obfitszą, jak i tym właśnie językiem wprost nieocenionym.

Zamilczeć także wypada o języku, jakim pisze *Robotnik* poznański. Zbyt wszyscy z każdej dzielnicy kraju szanujemy Wielkopolskę, jako nasze gniazdo pierwsze, aby zarzucać jej to, że w pismach ludowych, a nawet nie ludowych, włada językiem znacznie więcej chropowatym, niż do którego przywykliśmy w dziełach pisarzy wzorowych. Ale tu nie o języku miejsce mówić, tylko o pracy społecznej, z której sprawę zdaje *Robotnik*. Pod tym względem nie można nic innego powiedzieć, tylko bez przesady wyznać, że Wielkopolska w dziedzinie tej pracy stanowi potęgę, do jakiej dorość ani nie marzylibyśmy, gdyby nie widok nowego całkiem ducha, którym Małopolskę natchnął w tej mierze ks. Arcybiskup Bilczewski. Pismo też wielkopolskich pracowników współczesnych, odpowiada ich wszechstronnemu poglądowi na zakres obowiązku. Wskazówki prawnicze, przestrogi o wychowaniu, rady o zdrowiu, dobór nowin ze świata, rozmaite opisy przygód miejscowych, zapiski pośmiertne: wszystko to służy księdzu Adamskiemu za pole, na którem sieje znakomite ziarno zasad społecznych.

Ks. K. Czajkowski.

Druk ukończono 28 lutego 1905 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

JASEŁKA. Akt drugi: Heród. Przez *Lucyana Rydla* . . 1

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH: PRAWA SŁUGI. Przez *d-ra Leopolda Caro* 19

»TOWARZYSTWA ETYCZNE«. (Dok.) Przez *ks. Karola Krokoszyńskiego T. J.* 38 226 351

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ. (C. d.) Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 64

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ: PAPIESTWO JAKO WSZECHWŁADZA PAŃSTWOWA. (Dokończenie) Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 82

CUD MADONNY. Nowela. Przez *Zofię Mrozowicką* . . . 101

REFLEKSYE Z POWODU WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ. Przez *d-ra Wł. Czerkawskiego* . . . . . 1*—20*

KONSTANTYN I METODYUSZ. Przez *d-ra Karola Potkańskiego* 177 371

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH: POMOC PRAWNA. Przez *d-ra Leopolda Caro* 208

Z DZISIEJSZYCH BADAŃ NAD RADIUM, Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 218

W OJCZYŹNIE SPINOZY. Przez *ks. Stanisława Dunin-Borkowskiego T. J.* 248

MANIFEST POLSKIEJ PRASY. Przez *Redakcyę* . . . . . 1*—2*

REFLEKSYE Z POWODU WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ. II. Przez *d-ra Wł. Czerkawskiego* . . . . . 3*—26*

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ: Z NOWYCH KIERUNKÓW MYŚLI KATOLICKIEJ. (Na tle broszury prof. M. Zdziechowskiego »Pestis perniciosissima«). Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 313

Z ETYKI NASZEGO DZIENNIKARSTWA. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.* 334

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Polska literatura agrarna w XX wieku. II. Ludwik Krzywicki: »Kwestya rolna«. — »Encyklopedya nauk społecznych«. — Dr. J. B. Marchlewski: »Stosunki społeczno-ekonomiczne w ziemiach polskich zaboru pruskiego«. — Władysław Grabski: »Ekonomia w produkcyi rolnej«. — Maryan Kiniorski: »Większa i mniejsza własność ziemska wobec parcelacyi«. — Stanisław Sulimierski: »Obecne stosunki wiejskie«. — Juliusz Waliszewski: »Kilka słów o parcelacyi«. — Aleksander Kłobukowski: »Własność ziemska w Królestwie Polskiem«. — Dr. Tadeusz Jackowski: »Przyszłość naszego ziemiaństwa w Wielkopolsce«. — Stanisław Dzierzbicki: »Działalność banku włościańskiego«. *(Dr. A. Krzyżanowski)* 112

Słoneczna pieśń. Józef Jedlicz. *(Lucyan Rydel)* 122

Julian Klaczko, rys życia i spraw 1825—1904, z portretem J. Klaczki. Ferdynand Hösick. *(Lucyan Rydel)* 127

Z czasopism polskich za rok 1904: Chimera. — Ateneum. — Krytyka. — Ognisko. — Sztuka. — Muzeum. — Reforma szkolna. — Poradnik językowy. — Eos. — Kwartalnik historyczny. — Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne. — Lud. — Wisła. — Przegląd prawa i administracyi. — Ekonomista. — Przegląd hygieniczny. — Zdrowie. — Krytyka lekarska. — Architekt. — Przewodnik bibliograficzny *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 256

Przegląd Polski. Rok XXXVIII—XXXIX. — Biblioteka Warszawska. Rok LXIV. — Przewodnik naukowy i literacki. Rok XXXI. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 273

Pamiętnik literacki. Rocznik III. *(Prof. Antoni Mazanowski)* 279

Z naszych wydawnictw teologiczno-religijnych. *(Ks. G. Fihauser T. J.)* 285

Z nowszych powieści polskich: Stanisław Nałęcz-Ostrowski: »Przed burzą«. — Autor Ireny: »Savonarola«. — Artur Gruszecki: »Pruski huzar«. — Wacław Sieroszewski: »Powrót«. — Jan Łada: »Sweet Boy«. — Abgar-Sołtan: »Widziane i odczute«. — Tenże: »Rywale«. — Marya Konopnicka: »Na normandzhim brzegu«. — Bolesław Prus: »Ze wspomnień cyklisty«. — Marya z Fredrów Szembekowa: »Na jawie i we śnie«. — Sabina Mysłowska. »Żona paralityka«. — Władysławita; »Infamis«. Ludwik Stasiak: »Humoreski«. — Tenże: »Nowe humoreski«. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 408

Literatura agrarna w XX wieku. III: Edmund Lefébure: »La Reforme agraire en Prusse«. »La Législation des Rentengüter«. — Stumpfe: »Polenfrage und Ansiedelungskommission«. — Wictschier: »Das staatliche Besiedelungswesen in den preussischen Ostprovinzen: — Dr. Henryk Sawczyński: »Zarys pruskiego ustawodawstwa o włościach rentowych i szkic urzędowania pruskich generalnych komisyi w sprawach tworzenia włości rentowych«. — Leo Wegener: »Der wirthschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen«. — Dr. Józef Milewski: »Ustawa parcelacyjna«. — Wł. L. Jaworski: »Parcelacya ze stanowiska prawnego«. — Prof. dr. Juliusz Makarewicz: »Walka ze spekulacyą parcelacyjną«. — Dr. Stanisław Grabski: »W kwestyi parcelacyi«. *(Dr. A. Krzyżanowski)* 419

Str.

Z piśmiennictw obcych.

Handbuch der Musikgeschichte von Hugo Riemann. Erster Band, Erster Teil: Altertum. *(Adolf Chybiński).* 133
Au pays de Jésus. Matilde Serao. *(M. Harsdorf)* 137
Compendium historiae ecclesiasticae. In usum Clericorum Seminarii Brunensis concinnavit Dr. Franciscus Zeitbert, Ed. 3-tia procurata a Dre Ioseph Samsour. *(Ks. A. Starker T. J.)* 141
Z powieści angielskich. *(Teresa Wodzicka)* 143
Der Indeks der verbotenen Bücher in seiner neuen Fassung dargelegt und rechtlich-historisch gewürdigt. Ioseph Hilgers S. I. *(Ks. Władysław Szczepański T. J.)*. 425
Dramen der Gegenwart. Kritische Studien von Dr. Gustav Wethly. *(Dr. J. Flach)*. 431
Über die poetischen Schriften von Vespasian Kochowski. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doctorwürde an der philosophischen Facultät zu Berlin, Zdzisław Leitgeber. *(L. M. Dziama)*. 432
Un vainqueur. Edouard Rod. *(T. Wodzicka)* 434

Zapiski bibliograficzne.

Monastyrskaja reforma v carstvê polskom. D. Anučin. (Russkaja Starina 1902, tom III, IV; 1903, tom I). (γ) 148
Dějiny slovanských apoštolů Cyrilla a Methoda, s rozborem a otiskem hlavnich pramenů sepsal dr. František Pastrnek. *(Dr. Z.)* 150
Leon XIII wobec swego wieku. Ks. Arcyb. Józef Teodorowicz. *(K.)* 151
Podróż lądem i morzem do Jerozolimy i innych miejsc świętych Palestyny w 1898 roku. Przez ks. A. Kasyanowicza. *(L.)* . . . 151
Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II, tom XXI. *(A. B.)* 152
Sodalicya Maryańska. Czem jest — jak ją zakładać i prowadzić? Skreślił ks. Alfred Wróblewski T. J. *(Z.)* 153

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Z powodu wyborów włoskich. — Z prześladowań francuskich. — Z niekonsekwencyi socyalistów. — Zjazd nauczycieli w Linzu i jego skutki. — Z pod zaboru pruskiego. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 154
Kronika ekonomiczna. Akcya zapomogowa rządu. — Budżet państwa na rok 1905. — Traktaty handlowe. — Działalność handlowa towarzystw rolniczych. — Rocznik spółek dla oszczędności i pożyczek. — Spółki dla kultury torfów. — Włości rentowe. — Przyśpieszenie drenowania. Przez *d-ra Adama Krzyżanowskiego* . . . 164
Errata 176

Str.

LUTY.

Sprawy Kościoła: Z niezwykłej statystyki. — Z dziejów nowego obłędu dzisiejszej epoki. — Z protestanckich rozmyślań noworocznych. — Kilka uwag o Francyi. — Walka o szkołę w Rumunii. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 292

Ze świata nauk i wynalazków: Promienie N. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 304

Z ruchu kobiecego: Wiec niemieckich kobiet katolickich. — Akademia kobiet fryburska. — Wiec kobiet w Poznaniu. — Akcya antypojedynkowa kobiet polskich. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 308

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Po upadku Combesa. — O święcenie niedzieli w Belgii. — Ze stosunków włoskich. — Centrum w sprawie tolerancyi, Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 437

Pogadanka artystyczna: O przeszłości zamku na Wawelu i sprawie jego restauracyi. Przez *Leonarda Lepszego.* 447

Z katolickiego ruchu społecznego: Związek katolicki społeczny we Lwowie i jego czasopismo. — Związek katolickich Towarzystw robotników polskich dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej i ich tygodnik. — Krakowski dwutygodnik katolickich robotników i rzemieślników. Przez *ks. K. Czaykowskiego T J.* 454

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski. T. J.